

Ostatni smok

De Mari Silvana



calibre 0.9.27



Silwana de Mari

OSTATNI SMOK

Wszystkim naszym matkom,

niedoskonałym, gniewnym, nieznośnym,

wspaniałym,

za całą miłość którą nas obdarzyły,

i tę, której nam nie dały,

gdyż były nazbyt zmęczone lub zbyt zrozpaczone, aby to zrobić księga pierwsza

niedźwiedź

i wilk

Ej, Kapitanie - powiedział Lisentrail - wiesz, tylko ci, którzy nigdy nic nie robią, niczego nie niszczą i wszystko zostaje im zawsze na miejscu. Nawet ten, co stworzył wszechświat, kilka palców i kilka zębów musiał przy tym stracić.

Dowodząc pościgiem za przeklętym elfem jako przywódca najemników z Daligar, Kapitan Rankstrail, zwany Niedźwiedziem, próbował sobie przypomnieć, od ilu lat już go ścigał.

Właściwie to próbował sobie przypomnieć, kiedy usłyszał o nim po raz pierwszy, bo przecież musiał być taki czas w jego życiu, gdy nawet nie słyszał, aby ktokolwiek mówił, o tym przeklętym.

Z trudem udało mu się przywołać wspomnienie: był jeszcze dzieckiem - żył w obrębie murów Zewnętrznego Kręgu miasta Varil -

kiedy to w dniu narodzin jego siostry Fiammy, donna Guzzaria, opowiadając o tym, że elfy, sprawcy wszystkich nieszczęść na tym świecie, posiadają nad domiar złego ogon - wspomniała i również o nim, o przeklętym, o wrogu wszystkich ludzi i mordercy ich kur.

Po raz drugi Rankstrail usłyszał o nim, gdy zrobił sobie procę i rozpoczął wspaniałą karierę kłusownika. Podarował wówczas trochę miodu jednemu z wielu nędzarzy, którzy chronili się w jamach między bastionami murów obronnych; jednemu z niezliczonych żebraków, którzy ledwie powłóczyli nogami, jak ludzie, którym stopy okaleczył kat. Człowiek ów, pragnąc podziękować Rankstrailowi, niemal do niego podbiegł, z trudem stawiając nierówne kroczki.

1 on opowiadał o tym ściganym, o najpotężniejszym ze wszystkich wojowników, o którym stara przepowiednia mówiła, że jako jedyny może odnowić przeszłość i ocalić przyszłość.

Kapitan Rankstrail, zwany Niedźwiedziem, dowódca lekkiej kawalerii z Daligar, przysiągł sobie, że tym razem pojmie przeklętego elfa; złapie go i dostarczy jeszcze bardziej przekłętemu Zarządcy. I wtedy zostawią ich wreszcie w spokoju. On i jego ludzie będą mogli wrócić w rodzinne strony i spróbują zatrzymać armię orków z dala od gospodarstw, od wzgórz, gdzie dzieci wypasają stada, a kobiety chodzą nabierać wody ze źródeł; z dala od zrozczonego ludu i jego ziemi, która krwawi i cierpi.

Wtedy właśnie wszyscy, najpierw elf, a za nim inni, wyszli z wąwozu Dogonu. Ich oczom ukazało się miasto Varil. Wysokie i piękne, otoczone murami obronnymi, odbijało się wraz z ogromnym księżycem w zalanych polach ryżowych.

Zewnętrzny Krąg stał w płomieniach. Miasto oblegały setki oddziałów orków, którzy lada moment mieli zauważyć lekką kawalerię z Daligar, galopującą w ich stronę.

Kapitan Rankstrail pomyślał, że powinien się zatrzymać - zdą-

żyłby uratować swoich ludzi. Jeszcze chwila, a strażnicy wystawieni przez orków, którzy nie byli jakąś sobie zgrają, lecz całą armią, dostrzegą ich - pluton słabo uzbrojonych kawalerzystów.

Dowódca wiedział, że jeśli lada chwila się nie zatrzyma, usłyszy dźwięk ich rogów oznaczający, że mechanizm pułapki zastawionej przez elfa został zwolniony, a on w nią wpadł i przez to zginą jego ludzie.

A potem pomyślał, że odwrót będzie jeszcze gorszy, bo jedyne, czego pragnie, to albo uratować swoje miasto, stojące w płomieniach, albo zginąć wraz z nim.

Elf nie zatrzymał się ani nie zwolnił. Wyciągnął swój miecz, którego blask rozjaśnił ciemność niczym

światło pochodni, i mając nad sobą ogromny księżyc, odbijający się na powierzchni wody pól ryżowych, a za sobą całą kawalerię Daligar, wciąż galopował w stronę ginącego w ogniu miasta i armii orków, która zamierzała je zniszczyć.

1

Kapitan Rankstrail, zwany Niedźwiedziem, dowódca lekkiej kawalerii Daligar, tak jak co najmniej połowa Najemników urodził

się na Pograniczu, na terenach między Ziemią Znaną a Ziemią Nieznaną.

W przeszłości istniały strefy graniczne, których bronili i strzegli uzbrojeni ludzie. Niekończące się Deszcze, które zniszczyły porzą-

dek świata, zatopiły Pogranicze, a wraz z nim - wyznaczające je

-rozmiszczone w regularnych odstępach, wartownie i baszty. Wiązki gałęzi i słomy, które podpalano, gdy zjawiał się wróg, przesiąkły wodą i zamieniły się w maleńkie i bezużyteczne tratwy; nie pozosta-

ło nic, czym można by ostrzec świat ludzi.

Oddziały wojskowe zostały wycofane, fortece zawaliły się z hukiem i opanowały je żaby; główki kapusty zgniły pod warstwą błota; zboże nie wyrosło na polach.

Świat opanowała nędza, a wraz z nędzą, gnani głodem i ośmieleni niefrasobliwością ludzi, całymi stadami przybyli orkowie, napotykając na swej drodze jedynie żaby.

Rodziny uciekały przed napastnikami, przed okrucieństwem i szaleństwem tych, dla których sianie zniszczenia było jedynym znanym sposobem na życie i jedyną przyjemnością, dopóki - niczym rozbitkowie - nie dobiły do kamienistego wybrzeża: murów Zewnętrznego Kręgu miasta Varil.

Kapitan Rankstrail nie mógł pamiętać momentu, w którym po raz pierwszy ujrzał Varil: miał zaledwie kilka dni, kiedy opuścił granice Ziemi Znanych. Cały jego mały świat składał się ze smaku mleka, zapachu mamy, pleców, na których siedział zawieszony w specjalnym worku zrobionym z resztek starej tuniki, ściągniętej sznurem wplecionym ze skóry. Czasami były to plecy mamy, lecz częściej taty: odróżniał ich po rytmie kroku, który go kołysał, po barwie głosu nucącego mu kołysankę podczas niekończącego się marszu.

Jego rodzina była jedną z wielu zmuszonych do ucieczki przez orków; ich historia była jedną z wielu takich samych historii, peł-

nych nocnych krzyków, drzwi rozbitych uderzeniami siekiery, kur, które płonęły w podpalonych kurnikach, nie przynosząc zapachu pieczenia z rozmarynem.

Ich trójka przybyła do Varil pewnego pięknego, wczesnowiosennego popołudnia, tuż przed tym, jak słońce zniknęło za pokrytym kwitnącymi migdałowcami wzgórzem, na którym wznosiły się ol-

brzymie mury z białego marmuru. Woda pól ryżowych odbijała miasto i niebo, co sprawiało wrażenie, jakby świat zawieszony był

w powietrzu, pogrążony w błękicie przechodzącym w złoto, w miarę jak słońce zbliżało się do horyzontu.

Nawet jeśli Rankstrail zauważył mury, to nie mogły mu się one wydać wiele ciekawsze niż kurniki w jego rodzinnej wiosce: w każ-

dym razie w żaden sposób nie okazał im większego zainteresowania i nadal drzemał w swoim worku z kawałka tuniki. Mimo wszystko dokładnie pamiętał tamten dzień, ten moment, kiedy po raz pierwszy ujrzeli mury z białego marmuru i pola ryżowe. Od tamtej pory podziw i wdzięczność dla tego miasta, które, choć nie było ich ojczyzną, uprzejmie przyjmowało do siebie, łaskawie nie przepędzało, ich, tułaczy bez ziemi - stały się tematem opowieści, którą co wieczór usypiał go spokojny głos ojca.

Już od dziecka Rankstrail uważał Varil za swoje miasto i swoją ziemię, miejsce, za które zaszczytem byłoby walczyć. Gdyby pozwolono mu wybrać, za co ma zginąć, wybrałby Yaril.

Już wtedy zastanawiał się czasami, co będzie po śmierci.

Między chłopcami, którzy bawili się w kawalerzystów, mówiło się, że bohaterom ginącym za swoją ziemię, bogowie zapewniają wieczny błogostan. Nie było to zrozumiałe słowo - Rankstrail wywnioskował, że prawdopodobnie musiało oznaczać jakieś uprzywilejowane traktowanie, stan, w którym kiełbasek, suszonych fig, świeżego koziego sera, a przede wszystkim miodu -

najdoskonalszej słodyczy - mogło wreszcie nie tylko nie brakować, ale wręcz było go za dużo.

Chłopiec odkrył smak miodu na dzień przed narodzinami swojej siostry Fiammy. Poranek był słoneczny, a on jak zawsze pomagał

mamie nieść ogromny kosz z bielizną do domu księcia Erktora, niedawno wybranego na władcę. Mama Rankstraila była praczką. Dom księcia wznosił się wewnątrz Cytadeli, w sercu miasta podzielonego w sumie na trzy pierścienie, z których peryferyjnie położone były Środkowy Krąg i Zewnętrzny Krąg. Cytadela, znajdująca się w głębi miasta, dobrze chroniona, stanowiła najwyższą położoną część Va-ril, jego pierwotny zaczątek - najstarszy i najszlachetniejszy. To tam wznosiły się pałace arystokracji otoczone okazałymi kolumnadami i bujnymi ogrodami. Woda tryskała z fontann między drzewkami cytrynowymi i dzikimi pomarańczami, które rosły wzdłuż brukowanych chodników.

Rankstrail był bardzo wysoki i silny jak na swój wiek, jak zresztą wiele dzieci pochodzących z Pogranicza. Chodził po wodę, rąbał

drewno i pomagał mamie nosić kosz z praniem. Odkąd pamiętał, mama zawsze robiła pranie, ale w pewnym momencie jej brzuch zaczął się nagle powiększać, co oznaczało, że - jak wywnioskował z rozmów sąsiadek - w środku był chłopczyk albo dziewczynka, jeszcze zbyt mały lub zbyt mała, aby

żyć na zewnątrz tak jak on. Mama nie mogła już robić wszystkiego, przynajmniej nie tak jak wcześniej.

Woda zrobiła się dla niej zbyt zimna, balia do prania stała za nisko i przede wszystkim kosz zrobił się zbyt ciężki, więc Rankstrail, który do tej pory chodził za mamą dla samej tylko przyjemności przebywania z nią, z wielką dumą zaczął jej teraz pomagać. Dzięki temu nie przerwała pracy, która zapewniała ich rodzinie możliwość zje-dzenia jakiejś kolacji, a czasem nawet i śniadania, bo choć jego tata był bardzo zdolnym stolarzem, nie wszyscy, dla których pracował, chcieli mu płacić za to, co dla nich wykonał.

Rankstrail nie miał pojęcia, w jakim jest wieku: biedni nie liczyli lat. Miał ich pięć, a może sześć. Oprócz kwilenia z okresu, kiedy był

jeszcze niemowlęciem, prawie nie wydawał z siebie dźwięków. Jeszcze nigdy nic nie powiedział, rzadko kiedy się śmiał, a jego usta otwierały się w naprawdę wyjątkowych okolicznościach - gdy płakał.

Zazwyczaj w domu sir Erktora była surowa gospodyni, która przeglądała całą upraną bieliznę, centymetr po centymetrze, szukając niewidocznych plam, tak aby móc powiedzieć praczce, że była flejtuchem, i mniej jej zapłacić. Tamtego dnia, o dziwo, w wielkiej garderobie zastali wysoką i olśniewającą Damę Lucillę we własnej osobie - panią domu. Powiedziała, że wszystko zostało idealnie wy-prane, i kazała zapłacić mamie Rankstraila dwanaście soldów, czyli

- jak zauważyła z jękiem gospodyni - ponad dwa razy więcej, niż ustalono. Dama była dużo wyższa od mamy Rankstraila, tak samo jak ona miała duży brzuch i uśmiechała się. Gdy jej jasne włosy delikatnie musnęło światło poranka, przez moment warkocze splecione dokoła głowy zalśniły niczym korona. Sukienka praczki zszyta była z jasno- i ciemnobrązowych oraz szarych i czarnych kwadratów, i przypominała wzgórze Varil jesienią, z jego licznymi polami, tworzącymi brunatne kwadraty w różnych odcieniach, zgodnie z po-rządkiem upraw. Suknia Damy była za to cała w jednym, białym kolorze, a na wierzchu wyszyte miała małe, okrągłe kamyki, które lśniły jak dolina i cały świat w tym rzadkim czasie, gdy pokrywał go śnieg. Również na głowie Damy znajdowały się takie same kuleczki, które utrzymywały na swoim miejscu warkocze i odbijały światło, dodatkowo potęgując jego blask.

- Ależ dzielny ten wasz chłopiec! Nosi wam kosz z bielizną! Musi być dla was prawdziwą pociechą!
- powiedziała Dama, podczas gdy mama Rankstraila stawała się czerwona niczym papryka.

Chłopiec zdziwił się, słysząc te słowa, które bardzo mu się spodobały. Po raz pierwszy ktoś mówił „wy”, zwracając się do jego mamy, a on sam nigdy nie słyszał, aby ktoś posługiwał się takim

„wy” w rozmowie z praczką. Zorientował się, że była to jedna z tych rzeczy, które choć nie napełniały żołądka, dostarczały jednak dużo przyjemności; trochę jak zapach świeżego chleba albo trzymanie zimą stóp blisko ognia.

- Ja również, lada chwila, urodzę maleństwo, moje pierwsze - pod jąła znów Dama, absolutnie niezrażona milczeniem mamy. - Mam nadzieję, że moje dziecko będzie tak silne jak wasze i równie

mądre.

Jeśli będzie to chłopiec, nazwiemy go Erik. Ale widzę, że wy również spodziewacie się kolejnego. Kiedy ma się urodzić?

Mama wciąż milczała. Rankstrail, który dobrze ją znał, wiedział, że sparaliżowało ją to, co tata nazywał nieśmiałością: coś w rodzaju wszechogarniającego strachu, który opanowywał ją za każdym razem, kiedy musiała rozmawiać z kimś, kogo nie znała, nawet jeśli był to jakiś obdartus z Zewnętrznego Pierścienia, a teraz naprzeciw niej stała przecież Dama we własnej osobie.

- Ej, ty! - rozbrzmiał nienawistny głos gospodyni. - Masz odpo wiadać, kiedy Dama zaszczyca cię rozmową.

Czerwona twarz mamy zrobiła się jeszcze ciemniejsza i nawet pa-pryki z północnej bramy (które Rankstrail uwielbiał, bo podsmażone smakowały jak mięso) w porównaniu z nią wyglądałyby na jaś-niejsze.

-Ja... - zdołała z trudem powiedzieć, lecz przerwał jej łagodny głos Damy, który oczarował Rankstraila. Wokół jego domu wszyscy zawsze krzyczeli, nawet tylko po to, żeby powiedzieć sobie „dzień dobry”, nie mówiąc już o sytuacjach, gdy się złościł. Dama natomiast nie musiała podnosić głosu, gdy była rozgniewana, i wzrok, którym spojrzała na gospodynię, wystarczył, by ją ukarać.

Ta pobladła i ucichła, mimo że nie została uderzona ani nawet dotknięta.

-Bardzo mi przykro - powiedziała Dama. - Jestem doprawdy zawstydzona tym brakiem dobrego wychowania, który niespodziewanie zagościł w moim domu. Ostatnio co innego zaprzęta moje myśli... Jak mogę to naprawić? Miałbyś ochotę na słoiczek miodu?

Tym razem zwróciła się bezpośrednio do Rankstraila. Obraz płyn-nej masy w kolorze bursztynu, przepuszczającej światło, powstał w umyśle chłopca, który natychmiast skinął potakująco głową. Gospodyni podskoczyła z przerażenia, mama znów poczerwieniała, a on, ze ściśniętym sercem, zdołał wykonać niewyraźny gest zaprze-czenia. Gospodyni odetchnęła z aprobatą. Dama udała, że nic nie zauważyła.

- Proszę - powiedziała wesoło i nic już nie mogło zmienić jej decyzji. - Chodźcie za mną.

Podczas gdy tak za nią dreptał, cały rozradowany, pomyślał, że Dama Lucilla zdecydowanie nie była osobą, która łatwo się zniechę-

cała.

Zaprowadziła ich wraz z mamą do ogromnej kuchni, gdzie u kamiennego sufitu wisiały kotły wielkie niczym zbroje i lśniące jak ostrza mieczy, niekończące się warkocze cebuli, czosnku i suszonych papryk, całe szynki i sznury kielbas, długie jak ogon smoka.

Rankstrail nigdy by nie dał wiary, gdyby nie zobaczył ich na własne oczy. Tam Dama kazała jednej z

kucharek - równie srogiej jak gospodyni i równie pogardliwej w stosunku do niego i mamy - dać Rankstrailowi cały słoik miodu.

Spojrzenie kucharki długo błędziło między regałami spiżarni.

Oczywiste było, że szukała najmniejszego spośród dziesiątek słoików, które stały w rzędach. Kiedy wreszcie uznała, że taki znalazła, bez zbędnych uprzejmości wręczyła go chłopcu, a ten chwycił go mocno rękami, triumfalnie się uśmiechając, i wskazał jej wzrokiem jeden spośród regałów, na którym stał słoik jeszcze mniejszy. Rankstrail uwielbiał mierzyć różne rzeczy, rozmyślać o nich, niemal tak samo jak o kształtach geometrycznych. Gdy tylko wszedł do kuchni, od razu obliczył, że ich domek zmieściłby się w środku osiem razy na szerokość i jeden i pół raza na wysokość. A sznury kiełbas zafascynowały go z powodu okręgów, jakie tworzyły na belkach, na które zostały nawinięte - bardziej, niż ze względu na to, że były jedzeniem. Zawsze i wszędzie w okamgnieniu wyróżniał najmniejszą lub największą rzecz. Ze wszystkich lśniących, wypolerowanych miedzianych garnków największy był ten nad głównym paleniskiem.

Najmniejszy z kociołków był ten, który wisiał obok warkocza czosnku trzeciego co do długości.

Kucharka spojrzała na Rankstraila z takim samym wyrazem twarzy, z jakim w Zewnętrzny Kręgu patrzyło się na żywe karaluchy lub żaby zdechłe więcej niż parę dni wcześniej. To samo spojrzenie przeniosła potem na mamę, która zaczerwieniła się i zakryła policzek dłonią. To był ten sam policzek, który kiedyś został poparzony i ściągał jej troszkę usta z jednej strony, kiedy się uśmiechała. To dlatego musiała się tak mało uśmiechać. A szkoda. Mama Rankstraila była naprawdę piękna, kiedy się śmiała, i on mógł wtedy patrzeć na nią przez cały dzień. Chłopiec usłyszał historię poparzenia opowiedzianą pobieżnie jakiejś ciekawskiej sąsiadce: najazd orków, kurniki w płomieniach, niektóre kobiety poparzone podczas prób ratowania kur. Mama poparzyła się, by ratować ich jedyny dobytek - kurę Nerellę, która mieszkała teraz u nich w domu i pomna wybawienia, odwdzięczała się, składając jajko każdego ranka.

- Kto ci tak poparzył twarz? Jakiś adorator? Szkoda - skomentowała kucharka szeptem, aby Dama jej nie usłyszała. - Może gdyby nie ta blizna po poparzeniu, nie byłabyś taka brzydka.

Mama stała w bezruchu, milcząca, z coraz bardziej płonąca twarzą.

Rankstrail poczuł, jak ogarnia go wściekłość. Szybko obliczył, w jaki sposób mógłby stawić czoła przeciwnikowi, który był od niego dwa razy wyższy i trzy razy cięższy. Ani przez chwilę nie odczuwał

strachu. Odwrócił się w stronę mamy, aby potrzymała mu słoik z miodem, lecz jej pełne rozpacz i niemal błagalne spojrzenie zmroziło go. Mama nie chciała, by walczył w jej obronie. Przypomniał sobie, i było to bolesne wspomnienie, jak bardzo cierpiała, kiedy zbił dwóch chłopców, dużo większych niż on, którzy bawili się świetnie, biegając za nią, brudząc upraną bieliznę i przezywając ją Szpetna Twarz. Na całe dwa nieskończenie długie dni uśmiech zniknął z jej twarzy. Jednak od kiedy dał im nauczkę, tamci dwaj już nigdy nie ośmielili się okazać braku szacunku wobec jego mamy.

Kucharki nie mógł zbić, ale niezrobienie niczego nie wchodziło w grę. Coś musiał wymyślić.

Tymczasem okazało się, że choć zdanie zostało tylko wyszeptane, Dama je usłyszała.

-Nie toleruję nieuprzejmości... - zaczęła surowo, ale nie zdołała dokończyć wypowiedzi.

-Mama jest p-p-p-p...piękna - rozbrzmiał głos Rankstraila, mocny i wyraźny, unosząc się pod sufit i warkocze cebuli i czosnku. Nie powstrzymały go nawet potknięcia przy „p”.

Na moment zapadła cisza, potem Dama wybuchnęła śmiechem.

- Dzielny chłopiec. Wspaniała odpowiedź!

Jedna z pomywaczek ośmieliła się dołączyć do tego śmiechu. Czerwień na twarzy kucharki przeszła w fiolet.

Mama Rankstraila spojrzała na niego z tak wielkim zdziwieniem, że dłoń odłoniła jej policzek, ukazując oczom pozostałych poparzoną skórę, twardą i czerwoną. To były na pewno pierwsze słowa, jakie kiedykolwiek wypowiedział. Kucharka, rozwścieczona, wpiła w niego wzrok, a Rankstrail wytrzymał jej spojrzenie, spokojny i dumny, trzymając w rękach swój słoik miodu. Wściekłość w stosunku do kucharki oraz ochota, by ją zbić, przeszły: to była tylko jakaś głupia kobieta, a jemu, słowami, które wypowiedział, udało się zadać jej większy ból niż kopniakiem w kolano. Teraz wszyscy śmiali się z niej.

Rankstrail coraz silniej odczuwał pragnienie, by stamtąd wyjść i wrócić do domu, do taty, aby pokazać mu swój słoik miodu. Wiedział, że w środku jest coś nadzwyczajnego. Coś słodkiego, miękkiego i jasnego, w czym mieniło się światło.

- Moja mama jest p-p-piękna - powtórzył jeszcze raz, stanowczo, głosem nieznoszącym sprzeciwu, dumny, że udało mu się mniej razy potknąć na pierwszej sylabie, a potem odwrócił się w stronę drzwi.

Jego oczom ukazał się zagadkowy widok: kobiety, małe niemal tak samo jak dzieci, a jednak dorosłe, w białych czepkach pomywaczek, obracały w ogromnych kominkach ciężkie ruszty, uginające się pod pieczeniami z dziwnych, wydłużonych kur. Miały osmalone ręce i twarze czerwone od ciepła płomieni. Ociekały potem, który mieszał

się z sadzą i nadawał im dziki i niepokojący wygląd czegoś po-

średniczącego pomiędzy zwierzęciem a demonem. Rankstrail pomy-

ślał, że ich praca musi być jeszcze cięższa od zajęć praczki, bo nawet kiedy w zimowe poranki trzeba rozbijać lód, aby móc coś wypłukać, to i tak przynajmniej widzi się niebo i drzewa. Gdy wszedł do środka, oślepiiony światłem z dziedzińca, nie dostrzegł tych dziwnych postaci, zlewających się z półmrokiem panującym w kuchniach. Odwrócił się i spojrzał na mamę pytająco, ale ona również wydawała się zdezorientowana. Kucharka wyśmiała ich zdziwienie.

- To kobiety karłowatych - parsknęła, znudzona jak ktoś, kto po zjadał wszystkie rozumy i tłumaczy coś dwójce prostaków.

Wyraz twarzy Rankstraila i jego mamy nie zmienił się, więc kucharka musiała wdać się w dłuższe tłumaczenie, wyjaśniając, że kar-

łowaci i ich kobiety dobrze znoszą ciemność, ciepło i ciasne miejsca. Tak im się podoba. Bardzo dobrze radzą sobie z pracą tam, gdzie prawdziwi ludzie by nie wytrzymali...

Spojrzenie Rankstraila skrzyżowało się ze spojrzeniem jednej z istot, które obracały ruszty, i przez chwilę zdążył wyczytać w nim nienawiść tak brutalną, że aby ją ukryć, potrzebna była cała siła drzemiąca w ma-

łym ciele: ręce zatrzymały się i ogromny ruszt stanął w miejscu.

- Może byś się ruszyła, Rosa? - powiedziała kucharka surowym głosem. - Chcesz spalić te czaple? Co się z tobą dzieje: jesteś zła, bo zgubiłaś swoją drabinkę i nie możesz już iść zbierać jagód? Dalej, rusz tymi ramionami! Sztuka leniuchowania to jak dotąd jedyne, czego nie można wam odmówić...

Spojrzenie Rosy natychmiast zgasło, pogrążając się w mrocznym smutku. Opuściła wzrok. Czaple znów zaczęły się obracać.

Rankstrail długo zastanawiał się nad słowami o drabince i jagodach.

Na początku ich nie zrozumiał, potem wyczuł przez skórę, że był to żart na temat wzrostu kobiety. Dobrze wiedział, że odległość dzieląca czyjąś głowę od podłoża mogła być obiektem kpin. On sam, zbyt wysoki jak na swój wiek, często bywał wyśmiewany, bardziej przez inne matki niż przez dzieci, i dobrze to rozumiał. Ale będąc większym, był też silniejszy, a na siłę zawsze należy patrzeć ze strachem. Nigdy jednak nie przyszłoby mu na myśl, że można również wyśmiewać zbyt mały wzrost.

- Nie toleruję nieuprzejmości - powtórzyła surowo zagniewana Dama. - Tym bardziej że zalewa mój dom niczym morski przypływ.

Nieuprzejmość to jednocześnie okrucieństwo i głupota. Nie pozwolę, by pod moim dachem wymawiane było słowo „karłowaci”. Ród karłów miał wspaniałe królestwa i piękną historię, i mimo że teraz został podbity, nic nie daje nam prawa, by nie okazywać szacunku wobec ich minionej wielkości oraz ich życia. Nawet pracując w kopalniach i piekąc nasz drób, wciąż pozostają damami i mężami z rodu karłów.

Zapadła cisza.

W końcu Dama wyszła z kuchni, pozdrowiwszy Rankstraila i jego mamę ostatnim uśmiechem.

Kucharka obróciła się na pięcie i wróciła do swojej zupy cebu-lowej, mrużąc, że mogą sobie zmieniać słowa, nazywać karłowate pokraki karłami, a kundle mieszańcami, a karłowaci i tak pozostaną karłowatymi, a kundle kundlami. Zmiana określeń i tak nie zmieni na lepsze ani świata ludzi, ani świata psów.

Mama, znów osłaniając policzek dłonią, wyprowadziła syna na zewnątrz, na światło, na ulice Cytadeli, czyste i schludne tak jak stojące przy nich domy, z mnóstwem łuków, podwójnych okien i pną-

cych się po nich kwiatów. Spodad murów strzegących wspaniałe ogrody patrycjuszowskich rezydencji wyłaniały się dumnie korony wiekowych drzew, rzucając cień na bruk.

Kiedy już znaleźli się pośród ulic, bezpieczni i z dala od wzroku kucharki, mama odwróciła się wreszcie do Rankstraila i przytuliła go do siebie.

- To ty umiesz mówić! - wyszeptała. - Umiesz mówić? - spytała, zmieniając ton głosu.

Rankstrail nigdy się nad tym nie zastanawiał. To było trudne pytanie. Odpowiedział nieokreślonym gestem. Rzeczywiście, teraz, kiedy się nad tym zastanowił, zorientował się, że potrafi mówić, i w sumie nie najgorzej. Mówienie było dla niego wysiłkiem. Zawsze wołał go unikać. Jego ojciec i matka, przekonani, że jest niemową, za każdym razem zwracali się do niego w taki sposób, aby mógł się ograniczyć do potakującego lub przeczącego ruchu głową, nadal pozostając w swojej bezpiecznej ciszy.

- To nieprawda, że nie potrafisz mówić. Nieprawda, że jesteś... że jesteś... Ty jesteś taki jak inne dzieci... Jesteś taki jak inni... Mój mały chłopiec... Jesteś moim chłopcem... Moim i twojego taty... Teraz pójdziemy mu powiedzieć, że umiesz mówić... Jesteś taki jak inni...

Jesteś jak wszyscy inni...

Mama była szczęśliwa. Wręcz promieniała z radości. Błyszczały jej oczy. Promienny był uśmiech na twarzy. Jej lekko rozchylone usta wyglądały pięknie, mimo że z jednej strony uśmiech powstrzymała czerwona i twarda poparzona skóra. Mama była przepiękna, kiedy się uśmiechała. Rankstrail tak bardzo pragnął, aby uśmiechała się już zawsze.

Ruszyli w drogę, złączeni tą nową radością. Minęli Środkowy Krąg między pierwszym a drugim pierścieniem murów. To tam znajdowały się zakłady cyrulików, złotników i kowali słynnych nawet na obrzeżach Ziemi Znanych dzięki wytrzymałości ich zbroi oraz ostrości ich mieczy. Wąskie ulice, biegnące w cieniu między dwoma pasmami murów, nieustannie ogrzewane były płomieniami z palenisk w kuźniach, co było jednym z głównych powodów, dla których gościli na nich wszyscy okoliczni włóczędzy. Siedzieli skuleni na bruku, pomiędzy bronią inkrustowaną srebrem i złotem, wystawioną przez mistrzów kowalskich, co sprawiało osobliwe wra-

żenie, jakby dwa różne wojska, jedno złożone z obdartusów, drugie z bohaterów, obozowały razem, by wspólnie ogrzać kości.

- P-piękne! - powiedział Rankstrail, wskazując palcem ustawione w szeregu ostrza mieczy.

Wspaniała była jego zdaniem gra biegnących równoległe do siebie linii, które na zmianę z okrągłymi tarczami tworzyły geometryczne wzory, tak skomplikowane, a jednak prawdziwe, przeplatające się z kolei z tymi fantastycznymi, nie mniej nadzwyczajnymi, które tworzyły ich cienie. Czaiło się w tych

spiczastych ostrzach jakieś lodowate piękno; lodowate i okrutne, ale na swój sposób dające poczucie bezpieczeństwa: tam, gdzie broń jest naostrzona, nikt nie może zjawić się, by wyrządzić krzywdę innym - czy to matkom, czy to kurom.

Mama Rankstraila nie podzielała jego entuzjazmu.

- Wolę, żebyś nie miał do czynienia z bronią. Nawet później, kie dy będziesz już duży... Jeszcze zrobisz sobie krzywdę... - powiedziała cicho, naprawdę cicho, jak zawsze, gdy bolało ją gardło.

Rankstrail spojrział na miecze z dziką radością: jeśli orkowie wrócą kiedykolwiek, żeby spalić Nerellę i znów zadać cierpienie jego mamie, on ich zgładzi. Wszystkich. Co do jednego. Nawet jeśli przyjdzie mu przy tym zginąć.

- P-piękne. Jak oki z'obią be mamie i Ne'elli 'An'kst'ail chwyci m-m-m-miec i zabije w-w-wszystkich. W-w-wszystkie oki m-m-ma'twe.

Nawet jak p-p-potem 'An'kst'ail m-m-ma'twy.

R było trudną literą, a na p, w i m wciąż się zacinał, ale z całą resztą jakoś sobie radził. Umiał mówić. Był to oczywiście spory wysiłek, ale mógł mu podołać. Jeśli wcześniej wiedziałby, jak bardzo uszczęśliwi tym swoją mamę, zacisnąłby zęby i mówiłby już od dawna.

Musiał jednak powiedzieć coś niewłaściwego, bo usta i oczy mamy przestały się śmiać. Za każdym razem, gdy Rankstrail przeklinał siebie samego za powiedzenie na głos czegoś, czego lepiej byłoby nie powiedzieć, powracał myślami do tamtego poranka, pośród zbroi, w Środkowym Kręgu. Mówienie stanowiło trudność. Nie chodziło tylko o wydawanie dźwięków. Było coś jeszcze, co czasami pozostawało nieodgadnione, swego rodzaju ryzyko; możliwość wyrządzenia krzywdy innym, nawet niechcący. To, co powiedziała Dama, było prawdą, Rankstrail to zrozumiał: nieuprzejmość jest czystym okrucieństwem, jak silne uderzenie lub cios zadany ostrzem miecza. Kiedy kucharka obraziła jego mamę, poczuł nagłe uderzenie, jak wtedy, kiedy zimą zdarzało mu się czasem poślizgnąć na lodzie, a nie chcąc wywrócić kosza mamy z upranymi rzeczami, upadał specjalnie na kolana. Złość z powodu takiego samego bólu wyczytał na twarzy małej kobiety na-zywanej Rosa, która w pocie czoła piekła ptaki na rusztach w wielkich paleniskach kuchni. Teraz zaczynał rozumieć, że słowa były niczym razy wiader sprzedawcy wody, który krążył po wąskich uliczkach Ze-wnętrznego Kręgu, sprzedając cytryny i czystą wodę. Nosił wiadra zawieszane na czymś w rodzaju jarzma, które pośród rozpaczliwych przeprosin ze strony właściciela uderzało dotkliwie każdego, kto nie był wystarczająco szybki, by się uchylić. Nawet niechcący, nawet jeśli ktoś z całych sił pragnął, by tak się nie stało, słowa mogły ranić.

- Tutaj orkowie nie przybędą - wyszeptala mama - tutaj jesteśmy bezpieczni. Nie potrzebujesz broni. Varil jest nie do zdobycia... Są mury... Wiesz, co jest w słoiczku?

Nawet Rankstrail rozumiał, po szybkości, z jaką zostały wypowiedziane ostatnie słowa, i po sztucznie wesołym tonie głosu, że była to próba zmiany tematu. Myślał, że mama będzie dumna z jego gotowości do walki w jej obronie, nawet do śmierci, jeśli byłoby to konieczne, a tymczasem tak się nie stało. Chciał, aby mama była z niego dumna. Skoczyłby w ogień, byle tylko twarz mamy znów się

rozjaśniła. Z pośpiechem zaczął wyjaśniać, dumny z tego, że zna odpowiedź na jej pytanie.

- P-pyszne - usiłował wytłumaczyć. - P-piękne - dodał. Zastana wiał się, jakimi dźwiękami mógłby opisać światło, które wypełnia piwno-złotą, pyszną masę, i korale z kawałków bursztynu na straga nie jednego ze złotników wybawiły go z kłopotu. - Jak tam - powie dział wreszcie, wskazując je.

Słowa znów spowodowały katastrofę, taką samą jak wiadra sprzedawcy wody. Radość znów zniknęła ze spojrzenia jego mamy.

- Skąd wiesz? - spytała powoli, ścisząc głos. - Skąd wiesz, co jest w słoiku? Nigdy wcześniej nie widziałeś miodu. Nigdy nie mieliśmy go w domu.

Rankstrail zamarł, usłyszawszy pytanie. Chcąc natychmiast zażegnać smutek, który znów pojawił się w spojrzeniu mamy, rozpaczliwie szukał jakiejś właściwej odpowiedzi. Skąd się wie różne rzeczy?

Skąd on je wiedział? Ano, wiedział i koniec. Tak jak był pewien, że on to Rankstrail, a mama to mama. O rzeczach się wie i koniec. Nie było żadnego wytłumaczenia. Znów wykonał niezrozumiały gest.

- Wiesz o czymś, zanim to się zdarzy? Zanim coś się stanie, ty już to wiesz?

Pytanie nie miało sensu. Zrozpaczony chłopiec zacisnął dłonie na słoiczku z miodem, starając się z całych sił wymyślić *coś*, *co* przywróciłoby mamie uśmiech. Próbował zrozumieć, gdzie tym razem popełnił błąd, dlaczego cała radość odleciała niczym złapany motyl, kiedy otworzy się dłonie.

- Jeśli wiesz o czymś, zanim to coś się zdarzy - powiedziała jego mama jeszcze bardziej ściszym głosem, niemalże szeptem - niko mu o tym nie mów. Zrozumiałeś?

Rankstrail był zadowolony z tego szeptu, bo przywracał atmosferę tajnego porozumienia między nimi; atmosferę, którą tak lubił, a potem w niezrozumiały sposób zniszczył ją swoimi słowami. Mimo że nie pojął nic z tego, co powiedziała mama, przytaknął szczerze, z nie-wzruszonym postanowieniem, by trzymać język za zębami, kiedy tylko się da, niezależnie od tematu rozmowy.

Mama znów go przytuliła i niepokój Rankstraila o to, że zgasił jej uśmiech, nieco się zmniejszył.

Przeszli przez bramę drugiej linii murów i znaleźli się w Zewnętrznym Kręgu.

Zewnętrzny Krąg miasta, między drugim a trzecim łańcuchem murów, był ostatnim z powstałych, najniebezpieczniejszym i najbardziej pod-mokłym. Ściśnięty między wysokimi murami, wiecznie znajdował

się w cieniu. Jedyne w południe, w letnie dni, słońce było w stanie go rozjaśnić, przepędzając na parę godzin ciemność i wilgoć, które, niezwykłe, panowały tutaj przez resztę czasu. W północnej czę-

ści jedno źródło dostarczało wodę do fontanny w kształcie głowy gryfa, napędzającej wielkie kamienne balie, w których robiono pranie, oraz tworzącej niezliczone kałuże, które nigdy nie wysychały.

Mech spływał z wysokich murów aż na dachy małych domów, niemal ruder, oklejających bastiony i wyrosłych niczym grzyby po deszczu, by przyjąć wszystkich rozbitków, którzy dotarli do Varil ze świata na zewnątrz w poszukiwaniu miejsca, gdzie mogliby zamieszkać. Byli wśród nich uciekinierzy ze wschodnich regionów, położonych na Pograniczu Ziem Znanych, zmuszeni do ucieczki przez napadających na nich orków; byli i giganci o blond włosach, wypędzeni z Gór Północy przez mróz i wilki, oraz ludy koczownicze przybyłe ze stepów leżących po drugiej stronie Ziem Znanych.

Nie znalazłszy się nigdy pod oblężeniem - nawet w czasach gdy orkowie opadli miasto niczym hieny, a sir Arduin zwyciężył ich i przepędził na drugą stronę Pogranicza Ziem Znanych - Varil trochę zaniedbało najbardziej zewnętrzny z pierścieni swoich murów obronnych, który - wskutek ogólnego zubożenia - stawał się coraz bardziej zapuszczony. Halabardnicy maszerowali po murach doprowadzonych już do takiej ruiny, że korzenie nie tylko kaparów, lecz nawet drzew figowych i dzikich wiśni znajdowały dla siebie miejsce między odrywającymi się kamieniami. Wyższa część muru, do której docierało trochę słońca, została wyposażona w małe drewniane tarasy, podtrzymywane przez kawałki pniaków wetknięte w mur. Wchodziło się na nie po linach i drabinkach. Znajdowały się tu prowizoryczne ogródki, urządzone na cienkich warstwach ziemi wniesionej na górę w dłoniach. Kiedy padały ulewne deszcze lub grad, ziemia osuwała się na dachy ruder, gdzie z czasem do mchu i grzybów dołączyły paprocie, tak że całość sprawiała wrażenie czegoś na kształt miasta, lasu i wiszącego ogrodu. W słoneczne dni, osłonięte od wiatru smagającego mury wysoko w górze, główki kapusty pęczniały pośród czerwieni papryk i czerni bakłażanów, między rozwieszoną suszącą się bielizną, liczną i we wszystkich możliwych kolorach, gdyż jedną z głównych profesji kobiet w Zewnętrznym Kręgu był zawód praczek.

Kamienne łuki, łączące zewnętrzne mury ze środkowymi, nie były porośnięte kwiatami, jak te w Cytadeli, lecz różnymi roślinami ja-dalnymi - pokrywała je gęsta sieć winorośli oraz małych krzaków jeżyn i malin, które jak tylko owoce zaczynały dojrzewać, były pospiesznie ogołacane albo przez dzieci z Zewnętrznego Kręgu, albo przez żołnierzy patrolujących mury.

Zewnętrzny Krąg, tak jak wszystkie miejsca zamieszkiwane przez żebraków i ludzi przymierających głodem, był nieustającym targo-wiskiem.

Jedynymi oficjalnie dozwolonymi zawodami, oprócz żebractwa, były zawody praczek i sprzedawcy wody. To prace przypadające w udziale tym, którzy przybyli jako ostatni: oni właśnie musieli zadbać o to, by wyżywić rodowitych mieszkańców miasta, uprać im ubrania i podnosić ich na duchu, umożliwiając dawanie jałmużny.

Kupowanie surowych produktów i odsprzedawanie ich ugotowanych było na tyle dochodowe, że dawało się jakoś związać koniec z końcem. Większość rzemieślników ze Środkowego Kręgu jadała w swoich domach, w swojej kuchni, mieszczącej się w warsztacie, lecz przy ich stołach nie przewidziano miejsca dla pomocników, którzy często przybywali ze wsi, a tym bardziej dla licznych nabywców towarów. Tymczasem wszyscy ci ludzie byli głodni. Regularne wojsko zapewniało swoim dzielnym żołnierzom dzienny wikt, lecz był on monotony i nie brakowało takich, którzy gotowi byli rozstać się z paroma monetami, aby trochę go sobie urozmaicić.

Jakkolwiek niezwykle zarówno pod względem ilości, jak i różnorodności były nieustannie oferowane artykuły żywnościowe, to nawet w najmniejszym stopniu nie zaspokajały one głodu tych,

którzy go odczuwali. Wszyscy sprzedawali wszystko i okrutny zapach ugo-towanego jedzenia, od którego nie sposób było się opędzić, niczym ostrze przenikał tych, co nie mogli sobie na nie pozwolić. Kolory bakłażanów i pomidorów oślepiały wszystkich, którzy nie byli ich właścicielami. Gdakanie kur ogłuszało biedaków, którzy ich nie mieli, i wielu zrobiłoby wszystko, aby ziściło się ich marzenie o posiadaniu choćby jednej z nich. Dzieci taplały się w kałużach razem z gęsiami, dla zabawy, ale i po to, aby ani na moment nie stracić ich z oczu. Były tam stragany ze ślimakami z pietruszką, smażonymi za-bimi udkami i czasami, w świąteczne dni, ze skrzydełkami kurczaka panierowanymi w papryce, a zapachy unoszące się z zakamarków zabłoconych uliczek dochodziły dosłownie wszędzie, dolatując, mi-nąwszy główki kapusty i bakłażany, wysoko, aż do chodników żół-

nierzy za blankami murów obronnych. Wszędzie biegały łasice, ho-dowane w domach po to, by przeganiały myszy, bawiły się z dziećmi, a zimą stanowiły dodatek do kaszy i zapewniały kawałeczek dobrej skóry na buty. Ciężko było upilnować te stworzenia - ciągle uciekały i goniły za kurczętami, wywołując straszliwe starcia między swoimi właścicielami a hodowcami potencjalnych lub też faktycznych ofiar tych drapieżników. Ryż sprzedawano w wielkich workach z juty lub ugotowany z papryką - w małych miseczkach wplecionych ze sło-my. Na rogach domów prowizoryczne paleniska służyły do opieka-nia grochu lub kasztanów, w zależności od pory roku.

Kiedy tak szli brudnymi uliczkami, wciąż jeszcze pogrążonymi w cieniu mimo późnej godziny, mama zaczęła opowiadać jakąś historię, a właściwie „tę historię”, jedyną, jaką знаła, tę o księżniczce, która spotyka w swoim ogrodzie ropuchę i z wdzięczności za to, że choć jednego popołudnia wybawiła ją ona od szarej, monotonnej samotności, całuje ją, aby następnie zobaczyć, jak przemienia się w księcia.

Jego ojciec znał z kolei inną historię, którą zabawiał go, kiedy nocą letnie ulewy i grad szarpały ich domem niczym gniazdem na gałęzi.

Była to opowieść o wilku i kozie znajdujących wspólne schronienie podczas ulewy. W ciemności każde z nich bierze drugiego za swego pobratymca i w ten sposób udaje im się radośnie doczekać poranka.

Rankstrail nienawidził opowieści. Dla wszystkich oprócz niego były swego rodzaju błogosławieństwem, jakby darem. Znajomość jakiejś historii stanowiła rzadki i cenny skarb. Nawet w Zewnętrznym Kręgu, gdzie nikt nigdy niczego nikomu nie dawał w zamian, umiejętność opowiedzenia historii mogła zostać wynagrodzona bezcennym kawałkiem chleba i cebuli. Parę razy jego mamie i tacie udało się coś zarobić na tych dwóch historiach. Ale teraz wszyscy je znali i nie można ich było już nikomu sprzedać.

W rzeczywistości opowieści były głupie, a głupota denerwowała Rankstraila. Ta o księżniczce wydawała się najbardziej irytująca.

Ropuchy nie mówią, nie zamieniają się w książąt, i tylko głupek jakąś by pocałował, istniało bowiem ryzyko nabawienia się kurzajek.

Również problem ich ewentualnego potomstwa budził wiele wątpliwości. Najbardziej rozdzierającą

była nuda, która doskwierała Rankstrailowi podczas opisu sukni księżniczki, łącznie z wszystkimi jej haftami, a słuchanie dialogu między nią i ropuchą, z wszystkimi tymi rymującymi się zdaniami, było prawdziwą katorgą. Historia, którą opowiadał mu ojciec też nie wzbudzała jego entuzjazmu i nigdy nie rozumiał, jak miała dodać mu otuchy - jemu, który nigdy nie widział niczego niepokojącego w ciemności i ulewie. W każdym razie i ta opowieść była kompletnie pozbawiona logiki. W ciemności koza i wilk powinni się rozpoznać po zapachu. On zaś, nawet w całkowitych ciemnościach, zawsze był w stanie z absolutną precyzją zlokalizować swojego tatę, swoją mamę, Nerellę czy jakiegokolwiek inne stworzenie. Co więcej, wydawało mu się, iż radość z tego, że koza nie została zamieniona na suty posiłek, pociągała za sobą nie-jednakowe współczucie dla obu istot z powodu odczuwanego przez nie głodu, jako że tylko jedno z nich żywiło się samą trawą. Wilk, jakkolwiek by było, pozostawał bardzo głodny, a brak czegokolwiek do jedzenia to przecież jedna z form cierpienia.

Choć losy księżniczki obchodziły go mniej niż nic, to jednak radość, z jaką jego mama opowiadała historię, niezmiernie go wzruszała. Wysłuchał więc pełen zachwytu, a gdy padło pytanie, czy jeszcze raz chce posłuchać tych niedorzecznych bzdur, dzielnie przytaknął.

Kiedy dotarli na miejsce, tata siedział przed domem: zamieniał

właśnie kłodę w deski, które staną się drzwiami albo może ławką. Za tę pracę miał pewnie otrzymać zapłatę, a to oznaczałoby dla nich prawdziwe święto i zajadanie kaszy z kielbaskami przez jeden a może nawet dwa dni. Rankstrail trzymał zawsze język za zębami, ale za to ucha nadstawiał i zdołał już pojąć jak bardzo warsztat snycerza nie nadawał się do tego, by utrzymać rodzinę, jeśli ta nie mogła liczyć na dochody z innych źródeł. Ojciec Rankstraila był bardzo zdolny.

Ich rodzinna wioska, na Pograniczu Ziem Znanych, cała była jedną wielką płaskorzeźbą: domy, drzwi, nawet tyczki, między którymi rozciągały się sznurki z suszącym się praniem, przypominały wodospad kwiatów, liści, owoców, jednorożców, gryfów i bogów, do tego stopnia gubiących się pośród bogatych zdobień, że nie sposób było je rozróżnić. Uchodziło za cud, że jakiś mieszkaniec Zewnętrznego Pierścienia został rzemieślnikiem - ojcu Rankstraila udało się to dzięki niesamowitym zdolnościom, dzięki marzeniom i obrazom, w które zamieniał drewno.

Handlarze ze Środkowego Kręgu płacili w terminie, ale ich zamó-

wienia były nieduże: skrzynie do miejsc pracy bez żadnych zdobień czy też naprawienie lady sklepowej. Najbardziej opłacalne były za-mówienia wykonywane dla arystokracji, lecz w Cytadeli otrzymanie zapłaty graniczyło z cudem. W swej zarozumiałości niektóre spo-

śród starych rodów sądziły, że dla mieszkańca Zewnętrznego Kręgu praca dla nich była tak wielkim zaszczytem, że sama w sobie stanowiła wynagrodzenie.

Wiadomość o pierwszych wypowiedzianych przez Rankstraila słowach została przekazana ojcu ze zrozumiałym patosem.

Mężczyźnie żadne poparzenie nie ściągało skóry na twarzy, więc jego radość

i uśmiech były głośne i symetryczne. Długo obejmował Rankstraila, wciąż powtarzając: „Mój

chłopiec... Mój chłopiec... Mój kochany chłopiec...".

Rankstrail dał dowód swojej brawury. Pamiętając o katastrofach, jakie niechcący wywołał przy mamie, oraz o tym, że słowa mogą uśmiercić radość, tym razem ograniczył się do wskazania rzeczy palcem i wypowiedzenia ich nazw.

Tata wziął go na kolana i opowiedział jedyną historię, która podobała się Rankstrailowi i której słuchanie nigdy by go nie znudziło: historię ich przybycia do Varil. Miasto, pola ryżowe, czaple, które podrywały się do lotu, gdy przechodzili obok - to wszystko było jak żywe w głowie chłopca.

Całe piękno tamtego poranka rozbrzmiewało w słowach taty.

Najpierw opowiadał o wioskach, które ich wypędziły, i opisywał je, jedną po drugiej, a Rankstrail słuchał tej historii jak po raz pierwszy, w niepewności, z wyczekiwaniem, z rozczarowaniem, gdy okazywało się, że musieli iść dalej. Potem następował opis Varil, silnego niczym sokół, pięknego niczym paw; opis momentu, gdy wzgórze, na którym stało miasto, ukazało się w całej okazałości oczom jego rodziców, górując nad ogromną równiną, ciągnącą się aż po kres horyzontu, we wszystkie strony świata, z wyjątkiem zachodu, gdzie zamykały ją Góry Ciemności. W tym momencie tata robił głęboki wdech, uśmiechał się, a potem znów zaczynał opisywać Varil, które dumne i wyniosłe, wznosiło się potrójnym, ogromnym pierścieniem murów na wzgórzu częściowo pokrytym przez tarasy pól ryżowych, a częściowo przez gaje pomarańczowe i oliwne, które na północnym zboczu łączyły się z gęstym lasem dębów i mirtów, gdzie pasły się dorodne białe krowy. Wszystko było dokładnie opisywane, każdy detal powtarzany, każdy szczegół jak zawsze podkreślany.

Wystarczyłoby, żeby Rankstrail podniósł głowę, a zobaczyłby łuki i przypory budynków, ale on uwielbiał odnajdywać ich opisy w głosie ojca. To było tak, jakby spletały się ze sobą trzy wymiary - jeden z kamiennych budowli, jeden z rzucanych przez nie cieni, jeden z opisujących to wszystko słów. Tata znał się na łukach: jego dziadek, również snycerz, nauczył go wykonywać je jako części de-koracji. Wyjaśnił mu swój pełen zachwytu podziw, kiedy rozpoznał

wznoszące się wysoko nad miastem okrągłe łuki drugiej dynastii runicznej, podczas gdy wieże widokowe trzech rzędów murów po-

łączone były ostrymi, schodkowymi łukami trzeciej dynastii, które pozwalały łucznikom i strażnikom bram przemieszczać się szybko z jednego pierścienia murów na drugi w razie hipotetycznego i mało prawdopodobnego oblężenia. Podczas gdy tata opowiadał, Rankstrail podnosił wzrok i spoglądał na łuki, które krzyżując się ze sobą, dzieliły niebo i światło na serię skomplikowanych figur geometrycznych, całe oplecione gęstymi gałęziami winorośli, bluszczu i kwitnących glicynii, których kolory przeplatały się z bielą i złotem sztandarów łagodnie powiewających na wietrze. Z daleka, mówił tata, łuki i pnące się po nich kwiaty wyglądały jak kolorowe półkola, które ciągnęły się dalej, przechodząc jedne w drugie i przypominając pióra wielkiego, wspaniałego ptaka moszczącego się na murach niczym w gnieździe. Lecz najlepsza część opowieści, za każ-

dym razem przyprawiająca go o szybsze bicie serca, mimo że słyszał

ją już niezliczoną ilość razy, przychodziła na koniec: strach, oczekiwanie, on i jego mama z sercem

w gardle, kiedy czuli na sobie spojrzenia żołnierzy, a następnie zdziwienie, bo żołnierze patrzyli beztrosko i obojętnie. Nie zatrzymali ich. Nie zostali przepędzeni.

Byli uratowani. Rankstrail roześmiał się szczęśliwy i zamiast ograniczyć się do uczczenia opowieści i klasnąć swoimi małymi dłońmi, tak jak to robił zazwyczaj, skomentował ją, powtarzając słowo:

„Piękna”, a dokładnie: „P-piękna”, niczym swego rodzaju refren.

Mamę i tatę ogarnęła niewypowiedziana radość. Tata, w euforii, obiecał mu zabawkę. Jaką zabawkę ma mu wystrugać? Rankstrail nie musiał się długo zastanawiać: znów zobaczył siebie jako kawalerzystę, z mieczem w dłoni i Nerellą, bezpieczną u niego pod pachą, kiedy to bronił jej oraz wszystkich matek i kur świata przed wszystkimi orkami świata, wszystkimi co do jednego.

- Mieć! - krzyknął z radością. - Mieć p-p-piękny!

Lecz natychmiast pożałował tych słów. Radość znów utonęła niczym mucha w zupie i dogorywała w bólach gdzieś między zaciśnię-

tymi ustami jego mamy a zmartwionym spojrzeniem taty.

Na szczęście był jeszcze miód. Radość powróciła.

Otworzyli słoiczek z namaszczeniem, jak relikwię, i mama dała mu troszkę miodu, pozwalając spłynąć na kawałek podpłomyka magicznej wstędze słodyczy i światła, tak słodkiej i świetlistej jak jej uśmiech.

W słoiczku była dziwna, martwa mucha - ogromna, w żółte i czarne paski. Jego tata wyjaśnił, że nazywa się „pszczoła”, i opowiedział

mu, że to właśnie pszczoły, a nie bogowie - jak początkowo sądził

Rankstrail - produkują miód. Mama opowiedziała o Damie, o tym, jak potrafiła łączyć w sobie wielką siłę i uprzejmość, o perłach, które drobnym ścięciem ozdobiły jej suknię i uczesanie - tak Rankstrail poznał nazwę małych, okrągłych przedmiotów skupiających i odbijających światło.

O mieczu nie było już mowy, lecz ojciec i tak sprawił swojemu chłopcu podarunek - wręczył mu flet. Był to drogi prezent, niemal bezcenny, bo potrzeba wiele czasu, uwagi i wysiłku, aby wydrążyć wewnątrz kawałek drewna, nadać odpowiedni kształt, naciąć, obliczyć z absolutną dokładnością miejsce i wielkość dziurek, przez które miało przechodzić powietrze, umożliwiające powstawanie dźwięków.

W czasach, gdy jego tata mógł jeszcze opowiadać historię o wilku i kozie, by co nieco na tym zarobić, zwykł akompaniować sobie na flecie, podkreślając pauzy, aby wzmocnić wzrastające stopniowo napięcie i entuzjazm oraz ulgę następujące po wesołym zakończeniu. Dźwięk fletu był jedną z niewielu rzeczy wywołujących - według Rankstraila - jeszcze straszliwszą nudę niż opis haftów na stroju księżniczki i jej wierszowane lamenty. Ale jasność bijąca z uśmiechu taty i wartość daru były tak wielkie, że podziękował z autentycznym wzruszeniem.

Tej samej nocy urodziła się jego siostra Fiamma.

Tata rozwiesił w pomieszczeniu prześcieradło tak, aby oddzielić małe posłanie Rankstraila od tego dużego, na którym na świat przychodziła Fiamma. Chłopiec usłyszał, jak do płaczu małej dołączył

głos mamy, która ją pocieszała. Już dawno zrozumiał, czemu mama miała taki duży brzuch: w środku była żywa istotka, tak samo jak u Damy, która podarowała mu słoiczek z miodem. Pozazdrościł dziecku z Cytadeli, które miało żyć sobie pośród girland kielbas i rusztów pełnych pieczących się czapli. Rankstrail usłyszał, jak płacz cichnie, i zasmuciło go, że nie mógł sobie przypomnieć momentu, kiedy on się urodził, i mama też go pocieszała - wspaniale byłoby mieć ten obraz w pamięci i przywoływać go za każdym razem, gdy czuł się nieszczęśliwy i samotny. Najwcześniejszym jego wspomnieniem było to, jak zdarł sobie skórę na kolanach, a tata wyleczył go i poszukał

dla niego najprawdziwszej kiści winogron. Ale do tego momentu musiało upłynąć sporo czasu, odkąd się urodził, bo umiał już biegać i wspinać się na dachy domów. To wspomnienie też było piękne.

Rankstrail widział już, jak na świat przychodzą młode kotki i łasice, i dobrze wiedział, co się wtedy działo i jak. Poza tym równocześnie-

nie z pierwszym płaczem siostrzyczki poczuł jedyny w swoim rodzaju przykry zapach krwi, który towarzyszył narodzinom; nagły i silny tak jak wtedy, gdy zarzyna się kure. Mimo to z niezrozumiałych dla niego powodów tata pokazał mu siostrzyczkę, opowiadając jakąś dziwną historię, jakoby jeden z czarnych bocianów o czerwonym dziobie, które czasami przelatywały nad polami ryżowymi, przybył, aby zostawić ją na dachu ich domu. Oczywiście było, że dziewczynka, choć mała, i tak w locie byłaby dla bociana zbyt ciężka, zwłaszcza jeśli - jak utrzymywał tata - przybywał on zza chmur, a zatem odległość, jaką pokonywał, prawdopodobnie nie mogła być mniejsza od tej, jaka dzieliła miasto od Gór Ciemności.

Siostrzyczka była sinofioletowa, o buzi jednocześnie opuchniętej i pomarszczonej, przypominającej żółwia, którą jego tata określił

jednak jako piękną. Trzymał się najwidoczniej tej samej logiki, którą rządziła się historia o bocianie.

Mama spędziła cały dzień w łóżku razem z jego siostrzyczką i Rankstrail rozumiał, że oznaczało to kłopoty dla ich rodziny: nic nie zostanie uprane i nic nie będzie można kupić. Chciał zobaczyć małą z bliska, lecz już od dawna potrafił wyczytać niepokój malujący się na twarzach rodziców i teraz rozpoznawał go za każdym razem, gdy się do niej zbliżał. Zrozumiał strach wywołany jego od zawsze zbyt postawną figurą, ciągłym potrącaniem wszystkiego po drodze, ile-kroć się poruszał. Przypomnił sobie, jak zniszczył cenną, już i tak uszczuploną zastawę stołową; przypomnił sobie, jak o mały włos nie zabił Nerelli, cudem uratowanej przed orkami, niechcący na nią upadając.

Aby uspokoić rodziców i poszukać sobie jakiegoś zajęcia, Rankstrail wyszedł z domu i minął Zewnętrzny Krąg, wraz z jego wiecznym, odurzającym zapachem jedzenia, niepotrzebnie porywającym kogokolwiek, kto nie mógł sobie pozwolić na nic więcej niż oddychanie. Odprowadzony obojętnym wzrokiem wartowników Wielkiej Bramy wyszedł na zalane światłem pola, rozciągające się między lasami cedrowymi, migdałowcami i krzewami poziomkowymi. Po raz pierwszy szedł tamtędy sam. Zaczął szukać pszczół.

Rankstrail znał pszczoły, natknął się już na nie pośród lasów drzew pomarańczowych i migdałowców porastających obrzeża pól ryżowych, kiedy towarzyszył swojej mamie w pracy.

Wystarczyło śledzić owady wzrokiem, by odkryć ich gniazda -

wspaniałe skarbcze, pełne miodu, osadzone w małych, drogocennych sześciobokach plastrów, które wzruszyły go swoimi idealnymi wymiarami; genialnymi powtórzeniami połączeń ich form. Otarł

sobie skórę o gałęzie i podrapał się krzakami jeżyn. Poza tym dowiedział się, że pszczoły kąsały, zadając ostry ból i pozostawiając na ciele małą, dokuczliwą plamkę. Nie ciekła z niej krew, za to bolała ona bardziej niż wszystkie zadrapania, jakich się do tej pory nabawił. Odkrył jak zwykle sam, osobiście, po licznych eksperymentach i próbach, że jeśli zbliżał się do nich powoli i pokryty błotem, pszczoły pozwalały mu podejść i dawały się obrabować. Wracał do domu z plastrem miodu

w dłoni, fioletowy od mnóstwa żadeł wbi-tych w każde odkryte miejsce na skórze, obolały jak ktoś poparzony, ociekający błotem i spływający potem i krwią. Znów minął Wielką Bramę, tym razem wyjątkowo niestrzeżoną przez żołnierzy, przebiegł z duszą na ramieniu, ale cały w skowronkach, przez podejrzanie cichy Zewnętrzny Krąg, gdzie słychać było jedynie rytmiczne uderzenia jakiegoś dzwonu.

Kiedy wreszcie dotarł do domu i pokazał swój skarb, nic nie poszło tak, jak to sobie wymarzył. Mama szlochała, tata był przygnębiony -

miasto obiegła wiadomość, że nocą urodził się także syn sir Erktora i nazwano go Erik, w tym samym czasie przybył jednak Anioł Śmierci i zabrał Damę do miejsca, z którego już się nie wraca.

Rankstrailowi ścisnęło się serce.

Zrobiło mu się też wstyd, że przez chwilę zazdrościł tamtemu malcowi, dziecku z Cytadeli, które przez całe życie będzie mogło rozporządzać tyloma girlandami kielbas, iloma będzie chciało, bo przecież nigdy nie opromieni go uśmiech mamy. Po raz pierwszy w życiu pomyślał o tym, jak szczęśliwe było jego własne istnienie.

Miał mamę i tatę. Żył.

Spojrzał na pomarszczoną twarz rodzicielki i pragnąc natychmiast zaradzić smutkowi, który się na niej malował, ofiarował jej swój plaster miodu.

Mama przestała płakać.

Tata był przerażony. Rozzłościł się po raz pierwszy, odkąd Rankstrail był sobie w stanie przypomnieć.

- Nigdy więcej! - krzyknął. - Nigdy więcej! Przysięgnij. Nie rozumiesz? Pszczoły mogły cię zabić. Mogłeś spaść z gałęzi. Mogłeś zginąć. Nie możesz nam tego zrobić! Zobacz, jak cię pogryzły! Nie wolno ci chodzić na pola ryżowe bez mojego pozwolenia. Wiesz, jak się martwiliśmy?

Rankstrail popatrzył na swojego ojca bardziej zafascynowany niż zdziwiony. On jeszcze nigdy nie podniósł głosu. To był pierwszy raz, kiedy słyszał, jak tata krzyczy. Pomysł z zakazaniem mu wyrażenia sobie krzywdy wydał się chłopcu wspaniały i niesamowity.

Ale to nie był jeszcze koniec, pojawiły się inne argumenty. Tata wyjaśnił mu już spokojniejszy, lecz wciąż jeszcze przejęty, że to, co zrobił, jest zabronione. Pszczoły były wprawdzie dzikie i nie miały właściciela, ale ich miodu i tak nie wolno ruszać. Oni, mieszkańcy Zewnętrznego Kręgu, nie przynależeli do miasta, byli tylko tolerowani i nie mieli żadnych praw. Nie wolno im było niczego tknąć -

ani pomarańczy na drzewach, ani ryb w stawach, czapli czy pszczelego miodu. Wszystko to należało do mieszkańców miasta, a oni nimi nie byli.

Nikt ich do tego miasta nie zapraszał, nikt nie miał obowiązku czymkolwiek się z nimi dzielić.

-Jesteś moim dzieckiem - dodał ojciec. - Nie chcę, żebyś kiedykolwiek robił coś, co jest niezgodne z prawem. Ten miód, mimo że pszczoły są dzikie, nie należy do każdego, kto obok nich przejdzie, kto go dla siebie zdobędzie, rozumiesz? Nawet jeśli byłeś odważny i pozwoliłeś się boleśnie pogryźć, żeby go zdobyć. Wziąć miód znaczy ukraść go. Inni to robią, wiem o tym. Jedni są kłusownikami, jeszcze inni przemytnikami, ale my nie, my tak nie postępujemy.

My to my i u nas w domu takich rzeczy się nie robi. Ty, ja, a przede mną mój ojciec i ojciec mojego ojca, jesteśmy ludźmi, którzy szanują prawo. Nigdy niczego nie ukradliśmy. Niczego. Nigdy. Już prędzej będziemy głodni. Ja, mój ojciec, ojciec mojego ojca, nigdy...

I to nie wszystko - Rankstrailowi udało mu się tylko dlatego, że z powodu *żałoby* po śmierci Damy wszyscy byli w Cytadeli, i nawet Wielkiej Bramy nie strzeżono.

- ...jeśli kradniesz, mogą cię ukarać. Mogą cię zbić. Ja nie... nigdy...

ja nigdy bym tego nie zniósł, nigdy, rozumiesz? Żeby ktoś krzywdził

mojego chłopca. Nie chcę, aby jakiś żołnierz miał prawo do tego, żeby cię zbić albo wychłostać, nigdy...

Rankstrail był tak bardzo zafascynowany ideą przynależenia do rodziny oraz bycia obiektem troski matki i ojca, a nie tylko swojej, że na początku nie dotarł do niego głos mamy i nie dosłyszał, jak wciąż powtarzała: „Nie, nie, nie”. Taka sytuacja też nigdy jeszcze nie miała miejsca.

Mama powiedziała, że nie, że ta rzecz, plaster miodu, tak się to nazywało, to ich ratunek. Można go było sprzedać. Niewiele już im w domu zostało. Za ławę, którą zrobił tata, nie zapłacono, za okna, które dopiero co naprawił, też nie. Nie było się co oszukiwać. Ona nie będzie mogła prac tak od razu i nie kiedy dziecko jest takie małe.

Niewiele mieli w domu, mogli się żywić chlebem i cebulą jeszcze przez parę dni. Ale bez jedzenia zabraknie jej mleka i mała umrze z głodu. Miód można było sprzedać. Sam plaster również, bo to wosk.

To wszystko były bezcenne dobra. Oznaczały dla małej życie. Ich dziewczynka nie umrze przecież z głodu, tak jak umierają dzieci biedaków. Ich maleńka przeżyje, za wszelką cenę. To prawdziwe szczęście, że Rankstrail był... był w stanie zdobyć miód.

Tata wpatrywał się w nią bez słowa, z wyrazem twarzy kogoś, kto został właśnie spoliczkowany. Potem coś wymamrotał:

- On był... nie był... nie chciał być... on...

Rankstrail milczał dezorientowany. Milczenie to była jego specjalność, ale dezorientacji jeszcze nie doświadczył. Jak dotąd wszystko wydawało się takie proste: jasne, że coś jest prawidłowe, albo jasne, że jest nieprawidłowe, a to, co złe, i to, co dobre, oddzielała od siebie gruba, wyraźna linia. Pójście po wodę było dobre i otrzymywało się za to pochwałę. Szarpanie się z innymi było złe, nawet jeśli robiło się to w obronie mamy: niesprawiedliwe, ale jasne. Kiedy się nie szarpał, był

chwalony. Teraz stał w obliczu rzeczy złej, ale może mniej złej niż inna, jaką był głód siostrzyczki. Sprawa stała się skomplikowana. Zrozumiał, że jeśli nadal będzie kradł miód, nikt nigdy nie będzie się z tego cieszył, lecz jeśli przestanie to robić, jego siostrzyczka będzie cierpieła. Wszystko nie tak. Dobrego rozwiązania po prostu nie było.

Mama przerobiła na torbę worek, w którym nosili go jako niemowlę, nadal ściągnięty tym samym sznurem wplecionym ze skóry, by ukryć w nim plaster miodu, i spojrzała na Rankstraila.

-Dlaczego on? Przecież to dziecko! - krzyknął ojciec. - To my jesteśmy dorośli.

-Właśnie. My jesteśmy dorośli. Ty jesteś dorosły. Jeśli cię złapią, karą jest wygnanie, a jeśli nas wypędzą, to bez dachu nad głową Fiamma umrze.

-To dziecko. Prawie nie umie mówić...

-Poradzi sobie, gestykulując... Poza tym ja nie... nie... nie lubię rozmawiać z... z innymi... a ty... kiedy chodzi o pieniądze... ty...

Poradzi sobie nie gorzej niż my, a mniej ryzykuje.

Zapadła cisza. Ojciec spuścił wzrok.

Mama wytłumaczyła Rankstrailowi, gdzie miał iść. Przy południowej ścianie murów stały stragany, na których sprzedawano marcepan i co ważniejsze, małe, płaskie słodycze, coś w rodzaju skorupki w kolorze bursztynu, które robiono, karmelizując w miodzie ziarna sezamu. Miał pokazać plaster i czekać na propozycję, a potem, po jakimś czasie, tak jakby się namyślał, przyjąć ją. Jakakolwiek będzie.

Oni nie mogli się targować. Nie potrafili, a poza tym nie wiedzieli, za ile zazwyczaj sprzedaje się kradziony miód. Właściwie należałoby użyć słów: „kontrabanda” i „czarny rynek”. Do tego wszystkiego on był jeszcze dzieckiem. Cokolwiek mu zaproponują, będzie dobre.

Zrozumiał?

Rankstrail przytaknął. Zrozumiał.

Znalazł wskazane miejsce.

Była tam pewna stara kobieta, z włosami splecionymi w warkoczyki, która obejrzała plaster i w zamian zaproponowała mu jedną kiełbasę. Rankstrail poczuł, jak coś w rodzaju dreszczu przebiegło mu po plecach: czuł się jak wtedy, gdy szykował się do bójki. W jednej chwili zapomniał o poleceniu, by od razu przyjąć ofertę i odejść.

Nawet nie odpowiedział kobiecie. Schował plaster z powrotem do worka i odwrócił się na pięcie.

- Dwie - krzyknęła staruszka. - Nie odchodź. Czekał. Ten plaster wcale nie najlepszej jakości, do

tego brudny od ziemi, ale ty mi wyglądasz na bystrego malca. Dwie kielbasy. Tylko dlatego, że wyglądasz na bystrego chłopca.

Rankstrail przystanął i udawał, że się namyśla. Na palcach pokazał trzy. Znał liczby. Od lat bywał świadkiem targowania się i świetnie się przy tym bawił, o wiele lepiej niż słuchając o jakiejś księżniczce i jej schadzce z ropuchą. Przypatrując się i przysłuchując, nauczył się nawet liczyć na palcach.

Staruszka uśmiechnęła się krzywo. Też była uparta. Warkoczyki tworzyły wokół jej głowy serię okręgów. Zaoferowała dwie kielbasy i trzy ziemniaki. Rankstrail potrząsnął głową, położył torbę na ziemi, a potem na palcach pokazał: dwie kielbasy i dziesięć ziemniaków. Ziemniaki, podzielone na małe i duże, znajdowały się w dwóch wiadrach stojących obok staruszki. Chłopiec wskazał palcem wiadro z dużymi ziemniakami. Staruszka zgodziła się na dwie kielbasy i siedem dużych ziemniaków. Rankstrail musiał się powstrzymać, by nie wybuchnąć śmiechem. Liczby wprawiały go w takie samo podekscytowanie jak kształty i odległości, a do tego konieczność stawienia komuś czoła podczas targowania się przypominała pojedynek, była taką jakby bezkrwawą bitwą, podczas której mógł wreszcie walczyć za tatę i za mamę.

Wrócił do domu z kielbasami i ziemniakami. To był pierwszy raz, kiedy sam coś załatwił i musiał sobie poradzić w wymianie handlowej z prawdziwym dorosłym. Udało się, wyszedł z tej próby zwycię-

sko, był dzielny. Ale znów nikt się nie ucieszył. Dzięki wszystkiemu, co przyniósł, zjedli kolację o niebo wystawniejszą niż zwykle, ale tylko on z mamą, w ciszy, podzielili się nią. Tata nawet nie tknął.

Oświadczył, że nie jest głodny, i kontynuował rzeźbienie kolejnej ławy, ciągle żywiąc nadzieję, że ktoś mu za nią zapłaci.

Zapadł wieczór i ich mały domek nawiedziły sąsiadki i kumoszki z całej dzielnicy. Były tam donna Cira, donna Sabiria, a nawet donna Guzzaria, żona piekarza, najzamożniejsza matrona w Zewnętrznym Kręgu.

-Piękna maleńka - powiedziała donna Sabiria. Przyniosła kawałek tasiemki z prawdziwego błękitnego jedwabiu.

-Naprawdę śliczna - potwierdziła donna Cira. Przyniosła wisiorek z kości w kształcie serca, o którym mówiono, że służył do odga-niania złych snów i zapobiegania odmrożeniom.

-Z pewnością wygląda lepiej niż brat, przynajmniej nie przypomina niedźwiedzia, miejmy nadzieję, że chociaż ona nauczy się mówić jak należy - skomentowała żona piekarza, która nie przyniosła nic.

Po długich wywodach donny Guzzarii na temat tego, jakim to klejnocikiem był jej własny chłopiec i jakim to szczęściem stanie się dla małej, jeśli oczywiście będzie miała i urodę, i odpowiedni posag, kiedy prędzej czy później go poślubi - cała trójka zaczęła rozmawiać również o radości i rozpacy panujących razem w domu sir Erktora.

Przygotowany już festyn, na którym miano rozdawać wino i marcepan, został natychmiast odwołany i zamienił się w uroczystości żałobne. Donna Guzzaria jak zwykle wiedziała wszystko.

Opowiedziała też, mówiąc ostrożnie i szeptem, o najnowszych pogłoskach.

- Anioł Śmierci nie przypadkiem zawitał do sir Erktora. Ludzie gadają, że to koniec spokoju. Elfy wróciły. To musiała być ich sprawa, z całą pewnością nic innego. Teraz, kiedy Epoka Niekończących się Deszczy dobiega końca i kiedy można znów zacząć jakoś żyć...

oto i elfy, źródło wszelkiego zła, powracają. Mają ogony. Słyszałam, jak ludzie mówili, że zatrują wody u źródła, by wywołać zarazę.

Wicie, wtedy wszyscy ludzie umierają jednocześnie. Włóczą się nocami, żeby pożerać dusze niepilnowanych dzieci albo kobiet osłabionych po porodzie. Wy też uważajcie w ciemnościach. Krąży wieść, że w Daligar, stolicy, straszny elf, jeszcze dziecko, pojawił

się nagle nie wiadomo skąd i wybił tam wszystkie kury, czaple, szczygły, a nawet papugi w ogrodach.

Kiedy trzy kumoszki już sobie poszły, nie omieszkawszy zalecić ostrożności i życzyć wszystkiego dobrego, nadeszła noc i ciemność skryła ich mały domek. Tata położył się obok mamy, a Rankstrail leżał w ciemności z otwartymi oczami. Już jako dziecko mało sypiał, mniej niż jego rodzice. Kiedy upewnił się, że sen ogarnął

wszystkich, miłosiernie niosąc ze sobą ukojenie i odganiając strapienie, chłopiec wstał i odnalazł w ciemnościach posłanie siostrzyczki, przyklęknął tuż przy niej i pozostając w bezruchu, słuchał jej oddechu. Zza chmur wyłonił się księżyc i jego blask, wpadający do środka przez małe okno, okrągłe i trochę koślawe, niczym poobijana pomarańcza, oświetlił dziewczynkę. Rankstrail wyciągnął rękę i dotknął jej maleńkiej dłoni zwiniętej w piąstkę.

Nadal spała, lecz otworzyła dłoń i zacisnęła palce wokół kciuka swojego brata. Rankstrail poczuł wilgotne, ciepłe paluszki i znaczną siłę uścisku, jak na tak małą rączkę. Mimo iż rozumiał, że był to odruch we śnie, poza świadomością, spodobało mu się, że mała tak go chwyciła. Pozostał na miejscu. Od zawsze nosił w sobie jakiś nieprzenikniony smutek, który jednak słabł za każdym razem, gdy mama się uśmiechała albo w momentach takich jak ten - gdy czuł w swojej dłoni rączkę siostrzyczki.

Jej zapach go rozczulił.

Księżyc oświetlał małą postać. Twarzyczka, opuchnięta i pomarszczona, wyglądała prawie tak samo jak dzień wcześniej, była może tylko troszkę mniej zaczerwieniona. Tym razem jednak Rankstrail pomyślał, że tata miał rację. Historia z bocianem wprawdzie pozostawała niezrozumiała, ale jego siostra naprawdę była piękna. Narodziła się z brzucha tej samej matki, która urodziła i jego. Będzie nazywała ojcem i matką te same osoby, które on tak nazywał.

Była jego siostrą.

Siostrą.

Siostrzyczką.

Powtórzył te słowa w myślach niczym refren piosenki. Wypowiedzenie słów nie było jego mocną stroną, wiedział o tym, ale czuł, że niektóre niosły w sobie jakąś dziwną magię. „Siostra” było jednym z nich. Również „mama”, „tata” i „syn” mogły być magicznymi słowami.

Rankstrail przysiągł sobie, że jeśli będzie trzeba, wykradnie cały miód wszystkim pszczołom w okolicy, aż po same Góry Ciemności.

Jak będzie trzeba, nawet zabije: póki on żyje, nikt nigdy nie skrzywdzi Fiammy. Nigdy, póki on żyje, jego siostra nie będzie cierpiała głodu. Jeśli ktokolwiek nawet pomyśli o tym, żeby powiedzieć, że jego siostra jest brzydka, niech lepiej jego nie będzie w pobliżu.

Rankstrail nie śmiał się ruszyć, nie ośmielił się zrezygnować z ciepła i wilgoci, które czuł na kciuku, z tego uścisku, który dla niego przypieczętował pakt na całe życie. Pozostał w bezruchu, klęcząc tuż przy niej, dopóki twarzyczka Fiammy nie zaczęła się jeszcze bardziej marszczyć i zorientował się, że głód miał ją lada moment obudzić. Świtało. Nie czekał, aż usłyszy jej płacz. Zabrał swoją nową torbę i wybiegł na zewnątrz, podążając w kierunku pól ryżowych, w stronę nowego dnia, który miał być pierwszym dniem jego nowego życia jako złodzieja.

W wieku pięciu lat, może sześciu, mniej więcej, zważywszy, że aby wiedzieć dokładnie, ile ma się lat, trzeba umieć odczytywać kalendarz, co było niemal tak samo nie do pomyślenia jak w ogóle posiadanie kalendarza - Rankstrail stał się najlepszym złodziejem miodu w Zewnętrznym Kręgu. Mieli wielkie szczęście, bo po narodzinach Fiammy mama rozchorowała się i kaszlała, a miód dodany do napa-ru z rozmarynu sprawiał, że kaszel przechodził.

Nie było mu łatwo. Powodzenie z pierwszego dnia nieczęsto się powtarzało. Pszczoły nie żyły na polach ryżowych, lecz tylko w lasach i na nielicznych pastwiskach w okolicy. Trzeba było maszerować cały dzień, aby je znaleźć, a potem drugie tyle, aby śledząc je, zlokalizować miejsce ich zamieszkania. Coś w rodzaju zamku w kształcie dużej szyszki, wiszącego zawsze gdzieś wysoko i otoczonego uzbrojonymi, skrzydlatymi obrońcami, których - mimo ryzyka klęski - należało atakować z odwagą, i niecierpliwością. Plastry miodu łatwo dało się ukryć, a halabardnicy strzegący bram byli zbyt zajęci zaczepianiem dziewcząt i kłótniami, więc nie zwracali uwagi na dzieci. Nie dawało się jednak oszukać taty, który wszystko zawsze widział, załamany i cierpiący, gdy jego syn łamał prawo. Ale kaszel to kaszel i tylko miód trochę go łagodził; poza tym wreszcie pojawi-

ły się ziemniaki, ser i groszek, którymi zajadała się Fiamma. Zrobiła się już za duża na mleko mamy, a było go i tak niewiele.

Tata nie był w stanie kupić tych rzeczy. Spuszczał wzrok, a Rankstrail czuł się dużo gorzej, niż gdyby żołnierze go przyłapali i po-tężnie wychłostali. Przysięgał, że przestanie. Jak tylko będzie mógł.

Pełen nadziei i wciąż czekając, aż będzie mu dane z tym skończyć, wzmógł swoją działalność. Stał się ekspertem i największym dostawcą miodu w Zewnętrznym Kręgu.

Zawsze był ktoś, kto miał kaszel: sąsiad, staruszek, jedno z małych nieczyich dzieci, które bawiły się w błocie. Przed ich drzwiami wystawała czasami mała kolejka żebraków potrzebujących lekarstwa. Ich dom stał się centrum dzielnicy.

Letnimi wieczorami słyhać było rozmowy między sąsiadami, tyleż przyjemne, co niepotrzebne, i grała muzyka - nie był to dźwięk fletu, lecz głośna i szybka melodia kobz i bębenków, o której mówiło się, że miała moc leczenia skutków ukąszenia tarantuli. Ta muzyka podobała się Rankstrailowi. Hałas bębenków porywał go, przypominał odgłos kopyt konia galopującego po wzgórzach. Muzyka leczyła również smutek, a czasami i kaszel. Zdarzało się, że jego mama spędzała

całe wieczory, siedząc w drzwiach domu, z Fiammą na rękę i z nim oraz tatą u swego boku, śmiejąc się szczęśliwa i prawie nie kaszląc.

Coraz częściej to Rankstrail opiekował się Fiammą. Początkowy strach mamy z powodu jego niezdarności znikł, kiedy pewnej nocy, obudzona przez atak kaszlu, zastała go klęczącego obok rozbudzonej siostrzyczki, z jego dużymi palcami oplecionymi wokół piąstki dziewczynki, nucącego jej kołysankę, by Fiammą z powrotem usnęła.

Kiedy mała nauczyła się uśmiechać, uśmiechała się częściej do brata niż do mamy, często chorej i rzadko trzymającej ją w ramionach -

mama obawiała się, że zarazi ją kaszlem. Fiammą uśmiechała się też częściej do brata niż do taty, który nie zawsze potrafił otrząsnąć się ze swego smutku, by się z nią bawić. Pierwszym słowem, jakie wypowiedziała, było „Ail” i serce Rankstraila zalała fala czułości.

Chcąc ją rozweselić albo uspić, chłopiec odważył się nawet zapoznać siostrę z historią o księżniczce i ropusze. Opowiadał monotonnym, bezbarwnym głosem, starając się skrócić bajkę tak, jak to możliwe, ale nawet w okrojonej wersji historia się Fiammie podobała. Z opowiadania o wilku i kozie zrezygnował, to było ponad jego siły. Jeden jedyny raz, kiedy spróbował, przyszło mu do głowy, by zmienić zakończenie: wilk wreszcie zanurza kły w mięsie, czuje ścięgna i kości kozy i zaspakaja swój wieczny głód. Kiedy tak opowiadał, napotkał

pełne przerażenia spojrzenie mamy przerwał więc natychmiast. Od tej pory nie mógł już ścierpieć głupoty bajki, po której wysłuchaniu ludzie świętujący nad połówką pieczonego kozłęcia lub kawałkiem kiełbasy, jak nad darem ofiarowanym przez bogów, cieszyli się z tego, że kozie udało się przeżyć. Co najmniej tak jakby chodziło o ich własną córkę.

Wspaniale było mieć groszek: przypatrywanie się małej, gdy nieruchoma i spokojna jak aniołek, opróżniała strąki jeden za drugim, zbliżając maleńkie i brudne dłonie do jeszcze bezzębnych, uśmiechniętych ust, sprawiało ogromną radość. Jedynym zmartwieniem było odganianie much i szerszeni.

Mniej więcej w wieku siedmiu lat Rankstrail został kłusownikiem.

W czasie swoich wędrówek pośród kwitnących migdałowców chłopiec zorientował się, że na polach ryżowych żyją czaple, białe i siwe, wszystkie skrzydlate, podobnie jak kury. Przypominał sobie

wizytę w kuchniach sir Erktora: to właśnie te ptaki obracały się na wielkich rusztach. Czaple, i białe, i siwe, tak jak i kury, mogły zostać zamienione w pieczeń, a prawdopodobnie także w sztukę mięsa lub gulasz. Było ich całe mnóstwo, wydawało się, że ich skrzydła w locie przykrywały całe pola ryżowe.

Jedna mniej, jedna więcej przecież nikomu nie robi różnicy.

Oczywiście z wyjątkiem samej czapli i jej najbliższych, przyjaciół

i sąsiadów (o ile one takowych miały).

Jednak w przeciwieństwie do kur i plastrów miodu, czaple potrafiły latać. A zatem złapanie ich wymagało posiadania broni miotającej o małym zasięgu, czyli procy, takiej jak te, które widywał w rękach kłusowników lub ukryte pod ich płaszczami w wiadomym celu. Rankstrail próbował parę razy zabić ptaki, rzucając w nie kamieniami, lecz jakkolwiek silne było jego ramię, nie udawało mu się tego zrobić.

Choć nigdy nie rozstawał się ze swoim fletem, to jednak nie grał

na nim ani nie pragnął tego uczynić. Ale obecność fletu w jego torbie była namacalnym dowodem miłości ojca do syna.

Rankstrail wyprał z torby sznur wypleciony ze skóry i przewlekł

go przez dwie dziurki we flecie, zamieniając go w procę. Wykonał

kilka prób: proca była idealna. Spędził zimowe popołudnie w wodzie i na zimnie, pełen radości z nowo odkrytego poczucia władzy. Miał broń. Długo musiał ćwiczyć, zanim zrozumiał, jak uzyskać celność rzutu i odpowiednią siłę, i nim nadszedł zachód słońca, zalewając złotem powietrze i wodę, Rankstrail upolował

swoją pierwszą czaplę. Ogromna radość przepełniła go na widok piór poplamionych krwią, które zapowiadały zapach pieczeni dochodzący z ich paleniska.

Znów oczami duszy zobaczył siebie samego jako wojownika uzbrojonego w procę, ścigającego wszystkich orków świata, którzy próbowali zabić Nerellę, wystraszyli jego mamę i zmienili tatę z godnego i dumnego mężczyzny utrzymującego rodzinę, gdy jeszcze mieszkali w ich wiosce, w człowieka pokonanego, którego przeżycie zależało od wyników kłusowania jego syna.

W każdej chwili spędzonej pośród pól ryżowych Rankstrail marzył

o zostaniu tym, który odzyska dla rodu ludzi ziemię, na których teraz orkowie urządzali rzezie. To właśnie oni mordowali nawet małe dzieci, śmiejąc się z ich krzyków i ciesząc śmiercią i śmiejąc się na widok rozpaczliwych, którzy je opłakiwali. Myślał o tym, że będzie ich szukał, pokona ich, wygna, że będzie ich ścigał aż po krańce świata i wytępi wszystkich co do ostatniego. Wyobraził sobie nawet siebie, jak wysoki i wspaniały, stojąc dumnie w swojej zbroi, ze swoją procą, a może nawet i z mieczem w dłoni, spojrzysz z pogardą na tego drugiego, na ową bestię, na ostatniego orka, który na

kolanach bę-

dzie go błagał o litość, a on może wspaniałomyślnie mu ją okaże.

Rankstrail pospieszył do Zewnętrznego Kręgu z czapłą ukrytą w torbie, pod kurtką, a oprócz niej miał tam jak zwykle groszek. Na swej drodze napotkał nową falę uchodźców, którzy uciekli z południowych obszarów, gdzie susza wyniszczyła ziemię, a pożary pochłone-

ły lasy i wioski, i po raz drugi w swym życiu usłyszał przekleństwa pod adresem elfów. Te istoty posiadały ponoć wszystkie możliwe moce, całą dostępną wiedzę i jakimś tajemniczym sposobem były niezwyciężonymi panami tego świata, a zatem teraz musiały być i sprawcami wszelkiego bólu.

Kiedy Rankstrail wszedł do Zewnętrznego Kręgu, napotkał jakiegoś osobnika, dopiero co przybyłego z Daligar. Było to bezzębny człowieczek o wylupiastych oczach, w wieku trudnym do określenia, dreptający w osobliwy sposób i dziwacznie podskakujący.

- Szlachetni obywatele, przechadzający się po kamienistych uliczkach tego miejsca, wdychający te odurzające aromaty, przeżuwiający ten pokarm, który swym wyglądem mnie dręczy, a zapachem podnieca...

Rankstrail nie zatrzymał się, chciał jak najszybciej dotrzeć do domu i niewiele rzeczy go obchodziło, a już na pewno nie lamenty jakiegoś kolejnego żebraka. Kątem oka jednak zobaczył człowieczka pokazującego wszystkim swoją szatę, której koloru ze względu na pokrywający ją brud, błoto i krew nie sposób było rozpoznać lecz która zachowała jeszcze na końcach rękawów fragmenty aksamitu, świadczące o pierwotnie przyzwoitej prezencji.

- Spójrzcie na moją tunikę. Czyż nie wisi ona na mnie niczym chmura na niebie, gdy nie ma wiatru? W przeszłości owijała krągłe kształty świadczące o mym bogactwie, teraz marszczy się na mej kościstej piersi...

Mimo iż pilnie chciał zostawić swą zdobycz w domu, gdzie byłaby bezpieczna przed ewentualną inspekcją straży łowieckiej lub żołnierzy, Rankstrail zatrzymał się, by posłuchać. Wyglądało to na pokaz żebractwa. Już sami adresaci byli nieodpowiedni: o jałmużnę prosiło się w Środkowym Kręgu lub w Cytadeli. W Zewnętrznym Kręgu, gdzie mieli swoją siedzibę biedacy z całej okolicy, zebranie było nie tylko bezcelowe, ale i uchodziło za nietakt. Aluzja do lepszej przeszłości również stanowiła błąd, szczególnie wśród ludzi, któ-

rych egzystencja była jednym pasmem nędzy. Spośród niechlujnej publiki podniosło się kilka złośliwych śmiechów, które na początku brzmiały piskliwie i nieprzyjemnie, niczym skrzywienie zardzewia-

łych zawiasów, a po chwili całkowicie zagłuszyły rozpaczliwy głos żebraka. Rankstrail poczuł złość. To była nieuprzejmość, tak jak wtedy, gdy wołano za jego mamą: Szpetna Twarz. Człowieczek słuchał kpín zgorzony.

- Ze mnie się naśmiewacie? Ze mnie? Przecież mój zawód był naj szlachetniejszy spośród

wszystkich...

Z grupy chłopców poleciało kilka kamieni. Rankstrail wpadł we wściekłość. Sympatyczny czy nie, ten człowiek nikomu nic złego nie zrobił. Chłopiec poczuł, jak rodząca się w jego piersi furia zaczyna stopniowo wypełniać jego głowę. Stał przed kulejącym i oświadczył temu, który wyglądał na przywódcę napastników, że pogruchota mu wszystkie kości, jeśli ten natychmiast nie przestanie rzucać. O

dziwo podziałało. Wokół niego momentalnie zrobiło się pusto i Rankstrail dokonał interesującego odkrycia dotyczącego siły słowa: ton głosu mógł być bronią równie skuteczną jak pięść.

Człeczyna upadł na ziemię. Rankstrail podniósł go i postawił z powrotem na nogi.

-Jesteś żołnierzem? - spytał trochę zdezorientowany. - M-m-mia-

łeś m-m-miecz? Konia? W-w-walczyłeś z orkami?

-Żołnierzem?

-Najszlachetniejszy zawód... ten, o którym m-m-mówiłeś.

-Jestem skrybą, synu, to jedyny spośród zawodów równie szlachetny jak zawód żołnierza, równie dostojny, tak samo wspaniały.

Tylko bogowie... może... pisarze przekazują historię, a to jeszcze zacniejsze niż być żołnierzem. Zważ: tylko ten, kto zna przeszłość, może zrozumieć terażniejszość i tylko ten, kto rozumie terażniejszość, może ustanawiać przyszłość. Rozumiesz?

-P-pewnie - skłamał Rankstrail, starając się dyskretnie odejść, lecz nie był wystarczająco szybki. Człowieczek ponownie się go uchwycił, a on, widząc chwiejną kruchą postać, nie śmiał

wykorzystać swej siły, by mu się wyrwać.

-Z orkami walczyłem... - spojrzenie Rankstraila się ożywiło i chłopiec popatrzył na niego zainteresowany. - ...pisząc prawdę, o nich... prawdę o tym, kto naprawdę z nimi walczył... o tym, kto w rzeczywistości zawarł sojusze... nawet dziś... nawet teraz...

niemożliwe, żeby or-kowie nas zaatakowali bez pomocy zdrajców...

- spojrzenie Rankstraila powędrowało w stronę domu, lecz człeczyna nie dał za wygraną.

-W Daligar niszczą przeszłość, topią ją w kłamstwach. Pamięć o sir Arduinie zostanie zaprzepaszczona, a wraz z pamięcią utracimy nasz honor. Stara przepowiednia, która opowiada o spotkaniu ostatniego elfa z ostatnim smokiem... Wiesz, kim jest elf, synu?

-Pewnie - odparł Rankstrail zdecydowanie i z przekonaniem. - To taki jeden z ogonem, co sprawia, że umierają m-matki księżąt, i p-potem nie rozdają nikomu m-marcepanu.

Mężczyzna jęknął tak, jakby został uderzony w twarz. Zaczął mó-

wić od początku: był kopistą z Daligar, uciekł z rąk jednego z licznych katów miasta, który to - człeczyna ciągle zwracał się do niezainteresowanych przechodniów - zemścił się na nim za odczytanie i rozpowszechnienie starej przepowiedni o sir Arduinie, wojowniku, Władcy Światła, pogromcy orków i obrońcy honoru rodu ludzi.

Podczas gdy tak dreptał, krokiem charakterystycznym dla ludzi, których stopy trafiły kiedyś w ręce kata - człeczyna znów został za-głuszony przez śmiech zgrai łobuzów. Zatrzymali się, by posłuchać.

Nie odważyli się obrzucić go kamieniami, obawiając się groźnego Rankstraila, ale nadali człowieczkowi przydomek „Szalony Skryba”

i prostsze: „Tępak”.

Rankstrail podarował mężczyźnie połowę plastra miodu, a potem znów spróbował oddalić się w stronę domu.

Długo jeszcze słyszał za sobą podziękia Szalonego Skryby. By się odwdzińczyć, mężczyzna obiecał mu, że nauczy go pisać; co więcej, wymógł na chłopcu, by zawrócił. Nie pozwolił Rankstrailowi odejść, dopóki chłopak nie był w stanie rozpoznać i narysować na zakurzonej ziemi pierwszej litery swojego imienia. Podczas gdy rysował swoje pierwsze R, człeczyna streścił mu przepowiednię: kiedy niebezpieczeństwo i wróg, nadciągający ze wszystkich stron, znów pojawią się na horyzoncie, ostatni i największy z elfich wojowników będzie miał u swego boku królową wojowniczkę z światłem poranka w imieniu, a świat zostanie uratowany. Poleciał Rankstrailowi, by nie wierzył w oszczerstwa na temat elfów albo przynajmniej w nie wątpił, i stwierdził z mocą, że ze wszystkich występków jakich dopuszcza się ten, kto nie znając przeszłości, rezygnuje z budowania swej przyszłości, nienawiść do elfów jest najbardziej hańbiącym i naj-okrutniejszym.

Rankstrail wysłuchał do samego końca, pamiętając o nakazie swoich rodziców, by wobec nikogo nie być nieuprzejmym, nawet wobec tego, kto opowiada śmieszne i bezsensowne rzeczy, a potem wreszcie udało mu się oddalić.

Po powrocie do domu czekało na niego cierpienie taty i ogromna radość z powodu przemiany czapli w sztukę mięsa. Mięso i rosół

były zbawieniem dla mamy, której kaszel ustał na kilka dni. Pióra wyścieliły stare płócienne buciki Fiammy, dzięki czemu wreszcie przestała kichać.

Nocą, gdy wszyscy spali, Rankstrail wstał i wyrzezał na swoim flecie-procy R, którego nauczył go Szalony Skryba. Potem wyrzezał

inne ozdoby: nie ptaki i kwiaty, które rzeźbił jego tata, lecz dziwne, geometryczne kształty, krzyżujące się ze sobą, i to napełniło go dziwnym i zarazem uspokajającym zadowoleniem. Miał procę i była to proca podpisana jego imieniem, nieważne, że składało się ono tylko z jednej litery. Praca ta miała swoją historię, tak jak broń wielkich wojowników, którzy walczyli w obronie świata ludzi i

wybawili go od niebezpieczeństw.

Polowanie za dnia, jak Rankstrail szybko się przekonał, niesło zbyt duże ryzyko. Jakkolwiek wybitne były jego zdolności w zachowywaniu ostrożności - wyczuwał obecność ludzi po ruchu ptaków, które podrywały się do lotu, kiedy znajdowali się blisko - to jednak straż łowiecka stanowiła pewne zagrożenie. Wyprawy nocne miały jeszcze jedną zaletę - nie musiał znosić wzroku ojca. Chłopiec nauczył się więc poświęcać swoją jedyną chwilę odpoczynku. Wyruszał

tylko w nocy, kiedy ciepły i pocieszający sen spowijał wszystkich dorosłych, z wyjątkiem żołnierzy stojących na straży, i wszystkie dzieci, oprócz niego. Również czaple, i te białe, i te siwe, spały w swoich gniazdach, ukrytych w zaroślach u stóp podnóża grobli obronnych.

Jedynym sposobem, by odnaleźć ptaki, było pozostawanie w bezruchu noc w noc i czekanie na łut szczęścia: lot sowy, która zaprowadzi do ofiary.

Każdego dnia Rankstrail zatrzymywał się, by podarować coś, nawet jeśli była to tylko garść kijanek, Szalonemu Skrybie, który w zamian uczył go nowej litery. Potem objaśnił mu, jak złożyć je wszystkie razem, tak by powstały słowa, a oprócz tego kazał mu tak często powtarzać alfabet, czasem szeptem, a czasem głośno, czasem na opak albo z ustami pełnymi kamyczków, aż wreszcie jego jąkanie zniknęło. Wspaniała była też przygoda z liczbami, których wyraźny obraz Rankstrail zawsze nosił w swoim umyśle, lecz teraz zamienione na znaki, dodatkowo zwielokrotniały swoje piękno, stając się precyzyjnymi niczym naostrzony miecz. Ze wzruszeniem odkrył, że liczby nie kończą się nigdy: nie istniała taka, której nie mógłby jeszcze zwiększyć o jeden albo o dziesięć, albo i nawet o sto. Nie sposób było nie poczuć idei nieskończoności, która stawała się niemal namacalna.

Kiedy już pojął, jak przeistaczać dźwięki w znaki, jak je utrwaląc Rankstrail został wykształcony w zakresie historii. Nauczył się dat i imion. Wysłuchał przebiegów bitew. Zrozumiał istotę wybiegu polegającego na umieszczeniu pozornie słabego oddziału w samym środku szyku, tak aby wróg bezmyślnie pospieszył złamać ów szyk i odkrył nagle, że tak naprawdę został otoczony przez resztę wojska.

Zrozumiał, że ze względu na to samo niebezpieczeństwo - ryzyko zostania otoczonym - wojsko nigdy nie powinno być pozbawione osłony na skrzydłach. Wykorzystanie znajomo-

ści geometrii przez dowódcę mogło decydować o życiu i śmierci, porażce i zwycięstwie. Szalony Skryba opowiedział mu też o sir Arduinie.

- ...on odzyskał Ziemię Ludzi... On powiedział... nie masz może jeszcze trochę miodu, waleczny i hojny chłopcze? Nie? Szkoda, tak dobrze wpływa na me zmęczone członki... A zatem sir Arduin odzyskał Ziemię Ludzi, którą najechali orkowie, wykorzystując do tego strategię, zrozumiałeś, co to strategia?

Rankstrail zrozumiał: była to suma geometrii i odwagi.

- To on powiedział, że lud, który nie potrafi już walczyć, to lud niewolników albo lud martwych i...

Rankstrail również chciał się nauczyć walczyć. Ośmielił się opowiedzieć o swoim marzeniu zostania konnym albo nawet pieszym wojownikiem, jeśli nie będzie nic lepszego, w każdym razie żołnierzem w zbroi i hełmie, lśniących w promieniach słońca. Odpowiedź

Skryby była niczym kubał zimnej wody:

- Niedorzeczność, taka sama, gdy jako dziecko marzy się o tym, by móc latać!

Nikt z Zewnętrzznego Kręgu nigdy nie stanie w szyku wraz z bohaterami w lśniących zbrojach. Skryba objaśnił mu, że mieszkańcy Zewnętrzznego Kręgu, zwykli zjadacze kijanek i żab, a sami jedzeni z kolei przez chmary komarów, które spały na tutejszych kałużach, nie byli przyjmowani w militarne struktury armii Varil, bo te stanowiły tak naprawdę skomplikowaną hierarchiczną piramidę, gdzie wszystkie stanowiska, począwszy od pierwszego dowódcy, a skoń-

czywszy na zwykłym halabardniku, zgodnie z obowiązującymi od zawsze surowymi zasadami, były dziedziczne. Wszyscy ci spośród mieszkańców chatki znajdujących się między murami, którzy sądzili, jakoby ich powołaniem była kariera wojownika lub bohatera, musieli się zadowolić zarobkowaniem w innych ojczyznach (ściślej: w hrabstwie Daligar), czyli zająć się tak zwaną służbą w wojsku za-ciężnym. Wykonywaniem zawodu najemnika nie sposób jednak za-skarbić sobie powszechnego szacunku.

- ...widzisz, chłopcze, najemnik ma się do rycerza tak jak praczka do damy. Nie tylko są odlegli niczym gwiazdy od swego odbicia w rynsztoku ale po prostu absolutnie do siebie nie przystają. Kto splami się podłym zajęciem, na zawsze zamyka sobie drogę do za szczytnych stanowisk. Problem polega na tym, że w Varil nawet za wody cyrulika, kowala, złotnika, kupca korzennego, krawca, świnio pasa, pasterza, hodowcy kóz, kamieniarza, majstra budowlanego czy służącego są dziedziczone. Jedynym zawodem, poza najemnikiem, jakiego ty, jako mieszkaniec Zewnętrzny Kręgu, możesz się podjąć, jest zawód żebraka. Gdybyś się urodził jako kobieta, mógłbyś zostać praczką.

- A ty skąd to wiesz? Jesteś obcy - spytał Rankstrail ostro.

Podejrzał już od jakiegoś czasu, że jego marzenie o zostaniu kawalerzystą było niczym innym jak tylko dziecięcą mrzonką, lecz i tak zabolalo go, gdy usłyszał, że jego obawy zostały potwierdzone.

- Nie trzeba wcale pochodzić ze szczególnego miejsca, by to wszystko wiedzieć. Smaczny ten twój rosół z żab, czuję już, jak do brze robi na mój kaszel i na me kości. Podziękuj twej czcigodnej matce w moim imieniu. Znajomość miejsc jest jak znajomość cza sów: można ją nabyć zarówno poprzez słowo mówione, jak i pisane.

Powiem więcej. Znajomość nabyta na zewnątrz często lepsza jest niż ta nabyta wewnątrz, dokładnie tak samo, jak łatwiej jest zidentyfikować kowal budowlę pałacu, oglądając ją z zewnątrz, niż będąc w podzie miach.

Daligar zawdzięcza swój przydomek miasta jeżozwierza śmiertelnie niebezpiecznemu szeregowi pali powbijanych dokoła zewnętrznej części murów, wysoko, tuż pod blankami. Są one nachylone w dół, wydrążone i wyłożone w środku ołowiem. Służą do tego, by wylewać na oblegające wojsko wszystko to, co może je spalić lub chociaż poparzyć. Nie trzeba wtedy się wychylać, można bezpiecznie pozostać za murami. Pale zostały wykonane i zamontowane na rozkaz sir Arduina po tym, jak miasto, odbite z rąk orków, musiało przetrzymać ich oblężenie. Wydrążone pale bez ustanku wypluwały żar, noc w noc rysując w ciemnościach linię ognia, jedyne światło, które krzyczało do całego umierającego świata ludzi, że Daligar walczy, bo walka wciąż była możliwa. Wojsko miasta Daligar składa się, synu, z dwóch oddziałów, starannie od siebie oddzielonych i zupeł-

nie różnych. Prawdziwa armia miasta, suma tak zwanej ciężkiej konnicy i ciężkiej piechoty, składa się z rodowitych mieszkańców Daligar. Najpiękniejsze konie i najlepsze miecze są dla jeźdźców. Ciężka kawaleria w przeszłości składała się z arystokratów, hrabiego Daligar oraz założycieli miasta. Ostatnio natomiast to Zarządca ustala, kto może do niej należeć, biorąc pod uwagę zasługi.

-Cóż... to jeszcze nie tak źle, tak jest sprawiedliwiej.

-Nie, nie jest, synu, tak tylko ci się wydaje. To, czego ty byś oczekiwał, to aby ci najbardziej zdolni i najwaleczniejsi wzywani byli do walki, kiedy już ta okropna potrzeba, jaką jest zabijanie, stanie się niezbędna, żeby pozostać przy życiu. Nie lódź się nigdy, chłopcze, że wojna jest chwalebnym przedsięwzięciem, lecz czasami istotnie trzeba ją prowadzić, a wtedy lepiej, by zrobił to ktoś, kto jest w stanie zwyciężyć: dobre wojsko to wojsko dowodzone przez tego, kto jest obdarzony wielką inteligencją i wielką wiarą. W przeszłości byli to potomkowie starych rodów -

czasem bystrzy, czasem tępi, prawie zawsze odważni, rzadziej tchórze, a jeśli już, to przynajmniej potrafiący walczyć, jako że uczono ich tego od dziecka. System oparty na dziedziczeniu nie był sprawiedliwy, lecz stabilny i rozsądny. Teraz nie ma już czegoś takiego w Daligar. Dzisiaj potomkowie rodów zostali zastąpieni przez synów pochodzących z rodzin najbliższych Zarządcy i panuje jeszcze większa niesprawiedliwość, bo nikt nie ośmiela się nawet pisnąć. Przedtem dozwolona była przynajmniej krytyka wobec króla, a zapewniam cię, że każdy się psuje, gdy otaczają go jedynie ci, którzy wiecznie mu potakują. Myślisz, że twoja czcigodna matka byłaby na tyle uprzejma, by pożyczyć mi igłę i nitkę? Moje spodnie rozlatują się na kawałki. Na czym to ja skończyłem? A tak. Dla jeźdźców są najlepsze zbroje, najostrzejsze miecze, najokazalsze halabardy. Dzieci wywodzące się z mniej szlacheckich

rodzin, tych, które nie są tak stare jak najstarsze rody, a teraz trochę mniej płaszcą się przed Zarządcą, służą w ciężkiej piechocie: tutaj mniej jest złotych i srebrnych klamer, lecz stal zbroi i mieczy jest jeszcze całkiem dobra. Określenie „ciężka” pochodzi, całkiem słusznie, od wagi pancerzy i broni, w których do stali dochodzą jeszcze srebro i złoto rzeźbień oraz intarsji. Po drugiej stronie są najemnicy.

Nazywają się tak od najmu: im się płaci.

-To innym nie płacą?

-Ależ oczywiście, że im nie płacą.

-To jak sobie radzą?

-Radzą sobie, bo już są bogaci. Regularne wojsko, podatek...

-Pod... co ?

-Pieniądze. Już je mają i nic im po nich. Najemnikami zostają nędzarze. Ty mógłbyś zostać najemnikiem. Wysoki, postawny i nędzarcz: spełniasz wszystkie wymagania. Sądzisz, że mógłbyś zapytać swej czcigodnej matki, czy ona mogłaby naprawić moje spodnie? Ja nie najlepiej radzę sobie z igłą i nicią, a poza tym zdaje się, że same nici tu nie wystarczą. Według mnie przydałoby się parę lat. Myślisz, że twoja czcigodna matka ma troszkę materiału na zbyciu? Nie? U ciebie w domu nigdy nie ma niczego na zbyciu? Szkoda. Na czym to ja skończyłem? A tak, zatem zadaniem najemnych oddziałów jest obrona nie tylko hrabstwa, lecz całego obszaru Ziemi Ludzi, aż do Pogranicza Ziemi Znanych, włączając także równinę Varil, Rozłupaną Górę, płaskowyże Kasztanii i Wysokiej

Strażnicy.

-Równinę Varil? My nie potrzebujemy nikogo. Mamy najsilniejszą armię na świecie.

-Wybacz, synu, kogo masz na myśli, mówiąc „my”? Ty nie nale-

żysz do Varil, lecz do jego Zewnętrznego Kręgu, a to nie to samo.

Wy, a raczej oni, prawdziwi mieszkańcy Varil, owszem, posiadają potężną armię, lecz nigdy jej nie używali, ponieważ kiedy przybywa jakieś wojsko, otwierają osiem tam znajdujących się na Dogonię, wiesz, w miejscu, gdzie są wiatraki służące do przenoszenia wody, i zatapiają pola ryżowe. Varil nigdy nie zostało zaatakowane. Jego wojsko składa się z arystokracji, a to są ludzie, którzy nie mają ochoty umierać w obronie osad na Pograniczu, więc hrabstwo rozwiązuje sprawę, posyłając tam najemników. Hrabstwo Daligar i równinę Varil łączy zawarty dawno temu pakt oraz mgliste wspomnienie o poddaństwie tego drugiego względem pierwszego, sięgające jeszcze odległych, mrocznych stuleci, podczas których hordy orków napadały na ziemię rodu ludzi, a król Varil został mianowany przez władcę Daligar i musiał upaść przed nim na kolana. Porozumienie nadal obowiązuje: hrabstwo bierze na siebie obowiązek obrony Pogranicza Ziem Znanych, za co odpowiada właśnie armia najemników, dzięki czemu Varil, w swej arystokratycznej beztrosce, nie musi się martwić o bezpieczeństwo. W zamian za ową obronę Varil płaci hrabstwu każdego roku słony podatek, opiewający na tak wielką ilość złota, że dziesięciokrotnie przewyższa całkowity koszt utrzymania armii najemników. Zarządca Daligar mógłby zatem zwiększyć co najmniej dziesięciokrotnie ich żołd i jednocześnie nadal na tym zarabiać. Przy wyższym żołdzie i regularnych posiłkach ciągły nadzór ani działalność kata, karzącego okrutnie nawet kradzież jednego liścia kapusty, nie byłyby konieczne. Aby poskromić nieustającą pokusę kradzieży pośród bandy desperatów ciągle cierpiących głód, a zarazem uzbrojonych po zęby, okrucieństwo musi być szeroko stosowane i wymierzane z nadzwyczajną gorliwością. Tego zresztą nigdy nie udało mi się zrozumieć. Najemnikom wystarczyłoby po prostu trochę więcej płacić, a właściwie wystarczyłoby w ogóle im zapłacić

- po prostu wypłacić uzgodnione wynagrodzenie. Bo widzisz, kiedy nie są potrzebni na służbie, najemnicy nie otrzymują żołdu, i co wtedy niby mają jeść? Z kolei dezertarów czeka szubienica. W hrabstwie jedyną rzeczą dorównującą temu okrucieństwu jest głupota.

Najwidoczniej Zarządca uważa instytucję kata za środek nie tylko konieczny, lecz również wystarczający do tego, by utrzymać nie-naganną dyscyplinę, a o podniesieniu żołdu nigdy nie było nawet mowy. - Dlaczego mówisz, że to byłby dla mnie odpowiedni zawód?

-Nie jesteś zbudowany jak żebrak. Sądząc po tym, jak wyglądasz teraz, kiedy dorośniesz, będziesz miał nawet sześć i pół stopy wzrostu i trzy stopy w ramionach. Lubisz o coś prosić lub coś komuś zawdzięczać?

-Wolę umrzeć.

-No widzisz! Nie masz ani podstaw, ani powołania, by zrobić karierę jako żebrak. Co do kariery snycerza, któremu nie płacą, twój ojciec już wystarczy...

-Nie podoba mi się, że wyśmiewasz mojego ojca.

-Ależ to ostatnia rzecz na świecie, na jaką bym sobie pozwolił.

Nawet przez tysiąc lat nie zdołałbym wyrazić całego szacunku, który żywię dla twoich rodziców. Przysięgam na to, co dla mnie najświętsze na świecie, na życie mojego syna.

-Masz syna?

-Tak, i zanim zostałem aresztowany, kazałem mu się mnie wyprzeć, zapomnieć o mnie, zgodzić się na znieważanie mnie i żyć dalej. Posłuchaj mnie, mówię tylko prawdę. Jeśli twój ojciec otrzymywałby zapłatę, tak jak powinien, ty mógłbyś mu pomagać w warsztacie, a potem go odziedziczyć; taka jest naturalna kolej rzeczy. Lepiej, żebyś sobie znalazł jakieś zajęcie. Kiedy jest dla nich praca, najemnicy są wynagradzani i karmieni, a więc mogą posyłać swój żołd do domu. Do ich obowiązków należy także dbanie o to, by bandyci i orkowie trzymali się z dala od terenów Pogranicza, tak jak to było w przeszłości, zanim nastąpiła Epoka Niekończących się Deszczy. Teraz brak już wartowni, systemu ogni sygnalizacyjnych ani murów, są jednak najemnicy. Nie ma w ich zajęciu niczego wzniosłego, jak widzisz, niczego wielkiego. Ta praca nie przynosi im wcale chwały, a wymaga wysiłku, pełnienia wart na zmiany, unikania zasadzek i odwetów, lecz gdyby nie najemnicy, ziemie na granicach zupełnie nie byłyby chronione...

-Najemnicy walczą z orkami?

-Oczywiście, że tak. Nie sądzisz chyba, że na tereny Pogranicza udają się kawalerzyści w swoich lśniących zbrojach? Mogliby sobie

przecież zakurzyć pióropusze na hełmach. Dlatego właśnie potrzebują najemników: ludzi z lekkimi zbrojami, zrobionymi z metalowych płytek i skóry, które nie błyszczą się w słońcu, lecz umożliwiają marsz całymi godzinami albo i dniami. Zajęcie najemników jest trochę jak twoje kłusownictwo: niezbędne, ale i pogardzane, nikt nigdy im nie dziękuje. Lecz ktoś musi wykonywać tę pracę, inaczej orkowie powrócą. A oni są najgorsi z wszystkiego i z wszystkich.

Gorsi nawet od Zarządcy.

Rankstrail słuchał i zastanawiał się.

Marzenie o byciu kawalerzystą przygasło, przestało już wypełniać upalne godziny dnia, a powracało na krótko między czuwaniem a snem. Tylko kiedy oczy same już mu się zamykały, fantazjował o sobie, o chwili, gdy będzie mógł zademonstrować miastu Varil swoje męstwo. Marzył o tym, że pewnego dnia poprowadzi szarżę kawalerii, aby uwolnić obleżone miasto. Marzył, że tutaj powróci, bogaty i w chwale, i że mieszkańcy Cytadeli, Starego Miasta, znajdującego się w obrębie najbardziej wewnętrznego spośród trzech pierścieni murów, pośród ogrodów, będą się kłaniać, gdy on będzie przejeżdżał, i okrzykną go królem.

Lecz nawet w jego wieczornych dziecięcych marzeniach o chwale zawsze czaił się niepokój, który z czasem przybrał na sile, i świadomość, że pewnego dnia orkowie powrócą, bo prędzej czy później

zawsze wracali. Była to jedna z tych rzeczy, które się wie i koniec. Tak samo wyczuwał, że z dnia na dzień jego siła staje się coraz większa.

W końcu obracał się na bok, szukał pozycji, która byłaby w miarę wygodna nie tylko dla niego, ale i dla gryzących go wszy, i zasypiał, pocieszając się myślą, że w najgorszym wypadku zawsze może zostać najemnikiem. Przynajmniej będzie walczył z orkami.

Budził się parę godzin później, ciemną nocą. Wychodził z domu i unikając rozkojarzonych spojrzeń strażników, pokonywał mury całe w ogródkach warzywnych, obficie porastające winoroślą, z drzewkami figowymi, które wyrastały w pustkę. Zapuszczał się w nocny chłód pól ryżowych, szukając czegoś do jedzenia dla siebie, swojej rodziny i wszystkich nieszczęśników, którzy prosząc o coś, zapukają do ich zdobionymi gryfami, czaplami i rajskimi ptakami drzwi.

Kłusownictwo okazało się zajęciem, które wymagało różnych skomplikowanych umiejętności: tropienia czapli i sprawnego zabijania ich, unikania straży łowieckiej i powrotów Wielką Bramą bez zwracania uwagi wartowników. Na koniec po powrocie do domu czekało na niego jeszcze spojrzenie ojca. Mimo wszystko tata nigdy nie zabronił mu polować: do Fiammy dołączył kolejny braciszek, Borstril. Poza tym matka cierpiała ciągle na kaszel i nie mogła już pracować jako praczka, a wszyscy musieli przecież coś jeść... Zasad-ność polowania nie zażegnała jednak cierpienia i poczucia przegranej, widocznych w oczach ojca, ani ciągłego zapewniania, że nie jest głodny, byleby tylko nie musiał tknąć tego, co przynosił syn, nara-

żający w ten sposób nie tylko siebie, ale swoją moralność. Sąsiedzi zorientowali się, że w ich domu było co jeść, choćby po zapachu pieczystego, który wydobywał się z ich komina, wznosząc się ponad paprociami i mchem pokrywającym dach. Przed ich domem często zjawiał się ktoś, kto o coś prosił.

Rankstrail wyprawiał się na pola ryżowe każdej nocy. Nie zawsze jednak udawało mu się coś upolować. Nauczył się wnioskować o ruchach straży łowieckiej, po ochrypłych odgłosach sów. Nauczył się też poruszać, nie denerwując zbytnio tych ptaków, tak aby swoimi krzykami nie sygnalizowały straży jego obecności.

Poznał sposoby na zwalczanie senności, zimna i drętwoty paraliżującej nogi zanurzone w wodzie. Nauczył się także pływać, na-

śladując żaby, tak by mógł przeżyć, kiedy z powodu uszkodzenia którejś z tam, poziom wody nagle się podnosił, lub gdy jesienne deszcze zamieniały pola ryżowe w głębokie stawy. Używszy do tego dużej gałęzi z wierzby, sprawił sobie broń miotającą o większym zasięgu, wyposażoną w zastrzone i zadające dotkliwe rany pociski, czyli myśliwski łuk: mały, mający niespełna trzy stopy. Rankstrail wyrył w środkowej części łuku swoje R. Pozostawiał go w skrytce w wydrążonym dębie, zaraz za murami. O ile w posługiwaniu się procą był nie do pobicia, o tyle z łukiem radził sobie dobrze, ale nie znakomicie. Jego siostra Fiamma, gdy tylko pokazał jej, jak go używać, natychmiast przewyższyła go w biegłości, z jaką nim władała.

Czaple, białe i siwe, czasem nawet jakiś królik albo borsuk, wędrowały do jego mamy, do chorych, małych dzieci, do kobiet w ciąży, a jakby tego było jeszcze mało, pamiętał o Szalonym Skrybie. Chcąc uchronić go również przed obrzucaniem kamieniami, Rankstrail zyskał sobie przychyłność i

posłuch wśród chłopców z Zewnętrznego Kręgu, podzielił ich na grupy i zabierał z sobą na niektóre nocne eskapady. Przy tej okazji odkrył, że wielu z nich, nawet starszych od niego, bało się braku światła.

Ciemność była przyjazna i wygodna, otulała go niczym kołdra. Poruszał się w niej sprawnie, a węch dostarczał mu równie pewnych informacji, co kształty i odległości za dnia. Fakt, że można się jej było obawiać, wywołał w nim zdziwienie, tak samo jak odkrycie tego, jak bardzo dotkliwym cierpieniem była dla innych rezygnacja ze snu.

Rankstrail opanował podstawową zasadę dobrego dowodzenia: nieliczne rozkazy, jasne i nigdy nieprzerastające siłą ich wykonawców. Ponadto dobry dowódca zabraniał bójek, nikogo nie upokarzał

i nie pozwalał nigdy, aby robili to inni. Wbrew wszelkim regułom przyzwoitości, niewzruszony wobec krytyki i obelg, Rankstrail zwerbował do swoich oddziałów również dziewczęta (koniec końców pozostała tylko jego siostra, Fiamma), które upomniały się, aby dać im szansę, jako że cokolwiek - nawet stanie nieruchomo w lodowatej wodzie na polach ryżowych, z sercem w gardle ze strachu przed stra-

żą łowiecką - wydawało im się nieskończenie lepsze od pracy praczki, która była im wszystkim pisana.

Za pierwszym razem, gdy Fiamma dołączyła do ekspedycji, Rankstrail musiał ją nauczyć, jak się wspina i jak się zeskakuje. Fiamma poradziła sobie, ale wówczas opóźniła wyprawę. Ktoś się zniecierpliwił, a do niecierpliwości dołączyła złość na psucie przygody obecnością dziewczyny.

- Dzieci Szpetnej Twarzy i głupka, co nie miał nic lepszego do roboty, niż wziąć ją sobie za żonę - wymamrotał jakiś głos.

Rankstrail mimo ciemności rozpoznał, od kogo wyszły te słowa.

Nienawiść i furia eksplodowały w jego głowie. Zdał sobie sprawę, że tym razem nie powstrzyma się, tak jak zawsze, po pierwszym sińcu przeciwnika, po pierwszej prośbie o litość. Tym razem nie zatrzyma go nic, ani krew, ani trzask łamiących się kości. Jedyne, czego pragnął, to zakleszczyć dłonie wokół szyi tego drugiego i zaciskać je tak długo, aż żadna obraza już nigdy nie padnie z tamtych ust.

Ale nawet nie ruszył do swego odwetu.

Powstrzymał go beztroski ton głosu Fiammy.

- Bogowie każdemu dają jakiś ciężar, który musi dźwigać. Mojej mamie dali poparzenie, twojej narodziny syna tępaka - wyszeptwała, nie tracąc dobrego humoru. - I zapewniam cię, że to o wiele gorsze.

Był taki czas w życiu mojej mamy, gdy nie miała oszpeconej twarzy,

i nie zostanie już bardziej oszpecona, nawet w piekle. Ty nie przeżyłeś ani chwili swojego życia, nie będąc tępakiem.

Wszyscy zdusili śmiech, zakrywając sobie usta dłońmi, a Rankstrail znów zaczął oddychać. Furia zniknęła. Z każdą chwilą, kiedy przemijała, wydawała mu się coraz bardziej niepotrzebna i głupia.

Pomyślał, że nie może masakrować wszystkich tępaków, których spotka na swej drodze: on też musi nauczyć się postępować jak Fiamma: będzie sprawiał, że inni poczują się jak tępaki, i tym sposobem jego mama nie będzie już cierpiała, tak jak zawsze cierpiała, gdy kogoś bił. Powiedział sobie, że musi skończyć z bójkami, postarać się ich nie wszczynać: tamtej nocy zrozumiał i przekonał się, doznając przy tym lekkiego zawrotu głowy, a może uczucia nudności, że byłby zdolny zabić.

Od Fiammy poza umiejętnością rozwiązywania problemów za pomocą słów, a nie pięści, Rankstrail - choć kosztowało go to wiele wysiłku - nauczył się także wyrządzać jak najmniej cierpienia zwierzętom. Twardo postanowił unikać ptasich gniazd, gdy były w nich młode, nie zabijać nigdy matek, rezygnując raczej - w razie wątpliwości - za spodziewanej zdobyczy. Przyznał, że rozumowanie Fiammy było sensowne: bez gniazd i bez jajek, prędzej czy później czapli, i tych siwych, i tych białych, będzie coraz mniej, ze szkodą dla samych myśliwych.

Jako że jego odmienność była dla niego zawsze skomplikowaną kwestią, z trudem zorientował się, że wszyscy inni, łącznie z Fiammą, dostrzegali przyszłe ofiary z pewnym opóźnieniem. Właściwie lepiej byłoby powiedzieć, że to on zauważał je z pewnym wyprzedzeniem. Posiadanie wiedzy o rzeczach, zanim one nastąpią, tej, dzięki której zrozumiał, co było w słoiczku z miodem, nie ujawniła się już przy żadnej innej okazji, z wyjątkiem tych sytuacji, kiedy miał w ręce broń. Znał położenie ofiary, której przeznaczone było stać się jego łupem, na chwilę przed tym, zanim ją widział.

Podczas długich zim Szalony Skryba, który je przeżył jedynie dzie-

ki drewnu przemycanemu przez Rankstraila, by ogrzewało starego człowieka, ten wytłumaczył mu, że w Daligar, tak jak w Varil, urząd króla jest częściowo elekcyjny, a częściowo dziedziczny. Władcę wybierano podczas elekcji: prawo głosu i kandydowania mieli członkowie wielkich, arystokratycznych rodów. Często, ale nie zawsze i niekoniecznie, król był synem swojego poprzednika. Gdy władca zostawiał syna, ten miał największe szanse, by zostać faworytem, pod warunkiem, że nie wzbudzał żadnych wątpliwości lub ktoś inny nie wyróżnił się wielkimi zasługami. Wyjątkiem był Arduin, generał, jednomyślnie wybrany drogą elekcji na króla, jako że przepędził

orków i uratował to, co pozostało z Daligar, po tym, jak panujący władca opuścił je, aby schronić się w Alyil, niedostępnym mieście sokoła, w Górach Północy. Arduin nie należał do arystokracji, nie chciał także, aby należeli do niej jego potomkowie, którzy żyli po-

śród mieszkańców, ukryci i nierozpoznani.

Jednak od czasów Arduina wszystko pogrążyło się w tak wielkim zalewie nieudolności, że zamiast decydować, kto jest bardziej go-dzien głosu, szukano tego, kto był najmniej wybrakowany i mniej kiepski niż inny, mniej bezmyślny i nieudolny oraz niezbyt nie-zdarny, i głosowano na niego. Mierność stała się zasługą, a niezdarność regułą.

Hrabstwo tonęło w bagnie nierozwiązanych problemów i katastrof, które można było przewidzieć i dałoby się ich uniknąć, jako że na-stępowały okresowo, tak jak pory roku. Podczas kolejnych wiosen, kiedy to słońce pojawiało się znów na niebie, a miliony nowo naro-dzonych komarów wzbijały się w górę wraz z ciepłym powietrzem, Szalony Skryba powtarzał, że wskutek zaniedbania konserwacji kana-

łów nawadniających, co drugie lato brak deszczu stanowił prawdziwy problem, a z kolei ponieważ nikt nie oczyszczał lasu z podszycia, ilość gałęzi i odpadków, które pokrywały brzegi Dogonu - w co drugą jesień deszcze wywoływały powodzie. Podczas chłodnych zimowych miesięcy, kiedy to żar pozostawiany był w kominkach także na czas mroźnych godzin nocnych, porę snu, zdarzało się, że iskry dosięgały ścian i podpały słomę wypełniającą szczeliny między rozchodzą-

cymi się i gnijącymi belkami. W bardzo biednych wioskach domy stały ściśnięte jeden przy drugim, więc płomienie rozprzestrzeniały się szybko, pochłaniając wszystko na swej drodze, przelatując od domu do domu niczym Anioły Zagłady. Nad ranem ocaleńcy, licząc zmarłych i wszystko to, co stracili, poszukiwali także winowajców. By wyjaśnić czymś owe katastrofy, powoływano się na czary elfów lub złośliwość wiedźm: jedni i drugie wciąż jeszcze nie mieli dość ludzkiego cierpienia, nie zadowalali się suszą, biedą i powodziami. Śmiali się z ludzi. I za każdym razem ród ludzi przysięgał, że wyrówna rachunki z tym, kto użył złych mocy i rzucił czary. Wymierzy sprawiedliwość ogniem i mieczem. Ogniem, mieczem i zadawanym bólem.

Latem, między ulewnymi deszczami i skwarem, od którego żarzy-

ły się ulice, Szalony Skryba doszedł wreszcie do wyjaśnień na temat tego, jak to po całej serii władców, którzy wytrwale rywalizowali ze sobą w głupocie i nieudolności, inkwizytor miasta, Erligno, wielki pogromca elfów i czarownic, zdołał połączyć swoje stanowisko z władzą administracyjną i wojskową, mimo że ostatni król, Aturdo Piąty, wciąż jeszcze żył.

Po jego śmierci Erligno sprytnie postanowił obwołać się Zarządcą, nadając sobie tytuł trochę mniej niepokojący niż tytuł inkwizytora, i stał się władcą absolutnym. Nie mógł zostać królem: jego okrucieństwo było już zbyt dobrze znane, aby mógł żywić nadzieję na elekcję. Pośród możnych i arystokracji niemal każda z rodzin miała przynajmniej jednego krewnego, który skończył pod pręgierzem, na szubienicy lub został wtrącony bezterminowo do lochu. Erligno był

jednak sprytny: po prostu wykreślił ze słownika słowo „król” i zabronił go używać. Zniósł też suwerenność, która zakładała elekcję, uznając ją za niepotrzebny blichtr przestarzałych, zamierzchłych czasów, odebrał ziemie, lasy i warsztaty tym, którzy je posiadali i pracowali w nich, aby następnie podporządkować je Zarządowi Hrabstwa; niemiłosiernie wysokim podatkiem ogołocił każdego, kto jeszcze coś posiadał; powalił przeciwników lub podejrzewanych o bycie przeciwnikami tak, jak powala się wściekłego psa, i pograżył

kraj w najsmętniejszej i najnikczemniejszej nędzy, jaką widziano od czasów orków.

Wciąż mówiąc o wkroczeniu w nową erę, Zarządca zburzył znaczną część starego pałacu królewskiego, by zastąpić go osobliwą konstrukcją, pozbawioną łuków, kolumn i przypór, podobną do nieregularnego bloku kamiennego czy też kopca termitów. Brak ornamentów, wewnętrznych

ogrodów i jakiegokolwiek zróżnicowania wysokości ścian sprawiało, że konstrukcja mogła pomieścić w swoim wnętrzu niezliczoną ilość ciemnych komnat, bez okien czy innych otworów, którymi wpadałoby światło. Rankstrailowi nie wydawało się to jakimś problemem, lecz Skryba podkreślił, że chodziło o pewien prze-

łom, to było tak, jakby powiedzieć, że wszystko, co było do tej pory, to śmieci. Kto neguje przeszłość, zabija przyszłość. Rankstrail potakiwał, rozdrażniony, i nieśmiało próbował się oddalić. Czasami wy-wody tego człeczyny trzymały się nawet logiki, lecz gdy pojawiała się kwestia zaprzepaszczonej przeszłości, zaraz zamieniały się w niekoń-

czące się zawodzenie, które wymagało od słuchacza wyrozumiałości i cierpliwości. To wykraczało poza możliwości zwykłego chłopca.

Tematem najchętniej poruszonym jesienią, kiedy zrywał się wiatr, który roznosił po okolicy wydobywający się z beczek zapach świeżo wyciśniętego soku z owoców, były umiejętności Zarządcy - godna uwagi znajomość języków obcych oraz pewne zdolności czarno-księskie, a może raczej wynalazcze. Zarządca systematycznie żądał

dużych ilości jęczmienia i pszenicy, aby zmieniać je w wymyśloną przez siebie miksturę, która po podlaniu nią korzeni drzew jaśmi-nowych i glicynii sprawiała, że drzewa te kwitły wiecznie, wypuszczając nadzwyczaj liczne kwiaty, o niesłychanie słodkim i uciążliwym zapachu. Z kolei z wielkich dostaw sfermentowanych jabłek desty-lowany był jasny płyn, jeszcze bardziej upajający niż wino, który po dodaniu do niego kwiatów jaśminu zamieniał się w perfumy. Sprzedawano je po bardzo wysokiej cenie: mikstura bowiem nie tylko likwidowała przykry zapach osób i ulic, lecz dodatkowo, wylana na chustkę, która służyła do osłaniania twarzy, zmniejszała ponoć ryzyko zarażenia się podczas epidemii. A ich liczba zdecydowanie wzrosła za panowania Zarządcy. Tłumaczono to złośliwą działalnością elfów i czarownic. Perfumy rozlewano do przezroczystych flakoni-ków i składowano w licznych ślepych komnatach pałacu Zarządcy.

Specyfik sprzedawano nawet na Pograniczu Ziem Nieznanych, dzie-

ki czemu skarbiec Zarządcy zapełniał się pieniędzmi, szlachetnymi kamieniami i złotem.

Zapewne gdyby Szalony Skryba nie przerywał swoich opowieści podskokami, krzykami i nieustannymi wybuchami śmiechu, byłby bardziej wiarygodny. Nawyk rozprawiania o pewnych kwestiach, z których każda rytmicznie powracała w danej porze roku, nie wydawał się wskazywać na dobry stan zdrowia psychicznego Skryby. Kiedy mówił o strategii wojskowej, można go było jeszcze zrozumieć, ale jeśli chodzi o całą resztę, Rankstrail słuchał go raczej z uprzejmo-

ści, a równocześnie przygotowywał mu rosół z kijanek i powtarzał

sobie w myślach cyfry oraz litery alfabetu. Idea, jakoby niecałe zło świata spowodowane było złośliwością elfów i czarownic, zafascynowała go swą logiką, gdyż elfy i czarownice istotnie musieliby wykazać się głupotą godną samobójcy, aby wywoływać nieszczęścia, które musiały najpierw godzić w nich samych, nie mówiąc o późniejszych odwetach ze strony ludzi. Ale teoria ta była tak bardzo sprzeczna z powszechnym mniemaniem, że Rankstrail puścił ją mimo uszu -

jako zbyt nieprawdopodobną i dziwną.

Życie upływało bez zmian, rok po roku, dopóki Borstril nie nauczył się chodzić.

Potem wszystko potoczyło się błyskawicznie. Mama przegrała swoją walkę z kaszlem, a jednocześnie tata rozpoczął bój z chorobą. Dwa lata po śmierci mamy Rankstrail został najemnikiem. Nie znalazł nic lepszego, co pozwoliłoby mu dotrzymać przysięgi złożonej sobie samemu i niebu, że nie dopuści nigdy, by jego rodzeństwo zaznało głodu.

W dniu, w którym opuścił Zewnętrzny Krąg, by zaciągnąć się do wojska, Rankstrail miał skończone piętnaście lat.

Wyruszył nocą, nie żegnając się z nikim, bo jego ojciec, gdyby się o wszystkim dowiedział, nie pozwoliłby mu odejść. Nawet Fiamma, jego wierny sprzymierzeniec na dobre i na złe, o niczym nie wiedzia-

ła, bo i ona nie zgodziłaby się na to szaleństwo.

„Żołd” był tym magicznym słowem, które zafascynowało młodziutkiego najemnika, popychając go do opuszczenia domu i porzucenia swoich bliskich. Rankstrail zniknął jak złodziej pośród ciemności. Jego ojciec potrzebował jedzenia i czegoś, czym by mógł

zapłacić aptekarzowi i poczuć się lepiej.

Tata bardzo mało jadał, to dlatego nabawił się kaszlu, z którego nie mógł się wyleczyć. Ci, którzy jedli codziennie, nie kaszleli.

Ojciec Rankstraila nie mógł znieść głodu swoich dzieci. Im wolno było spożywać jedzenie pochodzące z polowania, tego nigdy im nie zabronił. Lecz komuś czegoś nie zabronić, a samemu to zaakceptować, to dwie różne rzeczy.

Kiedy na stole pojawiła się pieczeń z czapli, ojciec wstawał i szedł

usiąść na swoim pniaku, ze spuszczonego wzrokiem, jakim patrzą pokonani. Siedział tam tak aż do świtu, wycinając wspaniałe rzeczy z drewna, za które tylko nieliczni mieli mu zapłacić.

Nawet po śmierci mamy, dzięki warsztatowi stolarskiemu i kłusownictwu Rankstraila, rodzina radziła sobie nie gorzej niż inni w Zewnętrznym Kręgu. Potem jego tata zaczął kaszleć. Zimą pojawiła się gorączka: chwytała go i trzymała całymi dniami, był wtedy wyczerpany i niezdolny do wzięcia dłuta do ręki przez następne ty-godnie. Lekarz przepisał skomplikowane napary z rumianku, wilczej jagody i waleriany i zalecił jak najwięcej rosółu z wołowiny, co w jednej chwili pochłonęło i tak nieduże oszczędności, wciąż jeszcze będące w posiadaniu rodziny.

W ten sposób Rankstrail stanął oko w oko z problemem, który musiał jakoś rozwiązać. Najpierw

przyszło mu do głowy, by zinten-syfikować swoje kłusownictwo i wtedy popełnił nieostrożność. Ale to nie w czasie polowania został przyłapany - miał taki słuch i węch, że żaden strażnik nie byłby w stanie go odkryć. Pewnego razu jednak, by upolować dziką gęś, na którą zasadzał się przez wiele nocy, za bardzo się ociągał. Światło słońca o świcie odbiło się w wodach pól ryżowych i powrót przez bastiony stał się niemożliwy. Rankstrail musiał wejść szlakiem wiodącym do miasta. Udało by mu się nawet, straż u bramy Zewnętrzznego Kręgu wciąż była zaspana, ale ja-kaś wygłodniała łasica przyczepiła się do jego torby, wywołując tym samym śmiech wśród ludzi i przyciągając uwagę żołnierzy na wale.

Zarekwirowano mu wszystko, co miał przy sobie, i zaprowadzono na posterunek straży. Karą było dwanaście chłost. Kiedy skończyli, strażnicy wyjaśnili mu, że chłostę wymierza się tylko raz. Jeśli znów złapią go na kłusowaniu i poznają po bliznach, że już był karany, wtedy wynocha. On i wszyscy jego bliscy. Wynocha. Varil pozwoliło mu na byle jakie życie w obrębie murów, ale kto nie respektował

prawa, musiał odejść. Niech sobie idzie szukać innego miejsca, gdzie pozwolą mu zostać i dokonać żywota.

Rankstrail opuścił posterunek straży chwiejnym krokiem, a potem upadł na ziemię. Pozostał tak, dopóki słońce nie stanęło w zenicie nad miastem. Zerwał się lodowaty wiatr z północy.

Wstyd sprawił, że ból stał się nie do zniesienia.

Jeśli jego ojciec się o tym dowie, umrze. Rankstrail postanowił, że nigdy nikomu nie piśnie o tym słowa. Nawet Fiammie. Nikt nigdy się o tym nie dowie. Sam sobie wyleczy rany pod kaftanem.

Teraz jednak problem stanowiła kwestia jedzenia. Nie mógł już ryzykować, a bez jego polowań wszyscy w domu umrą z głodu.

Tak rozmyślając, usłyszał herolda, który przybył, aby przypomnieć wszystkim, że hrabstwo Daligar, dwa dni drogi stąd, znów organizowało zaciąg najemników, oficjalnie zwanych „lekką jazdą” i

„lekką piechotą”. Podobny nabór miał miejsce osiem lat temu, kiedy to pewien straszny elf, ten przeklęty, przemierzył całe miasto, tępiąc wszystkich dorosłych, dzieci, kury, psy i kanarki, a prawdopodobnie i koty, krowy, owce, kozy, barany oraz karmazyny pływające w fontannach. Rankstrail, który słyszał już tę historię przy okazji narodzin jego siostry Fiammy, zastanowił się, czy Daligar było miastem takim jak inne, czy też menażerią rozmaitych zwierząt. Szalony Skryba przedstawił mu swoją wersję: według niego dziecko elf wskrzesiło jedną kurę, by choć raz zniknął smutek z powodu śmierci. Ta pozbawiona sensu opowieść była dla Rankstraila ostatecznym dowodem tego, jak mało wiarygodny był ów człeczyna.

Przez osiem lat elfa wciąż nie udało się pojmać. Może nawet sam umarł, choćby z samego strachu przed tymi wszystkimi bohaterami, którzy go poszukiwali. Tak czy inaczej potem o nim zapomniano.

Tym razem powodem organizowania zaciągu byli Czarni Grabież-

cy, bandyci grasujący na terenach leżących na południu.

Chłopiec wsłuchiwał się w słowo „żołd” - które herold celowo powtarzał w każdym zdaniu - tak samo jak spragniony przysłuchuje się odgłosowi towarzyszącemu spadaniu kropli wody. Konieczność opuszczenia domu rozdzierała mu serce, lecz myśl o pieniądzach była niczym rzucony urok.

Wiedział, że dzięki wysokiemu wzrostowi i syjącemu się pierwszemu zarostowi mógł się podać za młodego mężczyznę, a nie tego, kim był w rzeczywistości, czyli jeszcze chłopca. Na pewno zostałby przyjęty. Po latach rozmów z Szalonym Skrybą, a raczej słuchania jego monologów, posiadał znaczną wiedzę na temat hrabstwa Daligar i jego wojsk. Dalsze dane Rankstrail uzyskał w zamian za coś do jedzenia od wędrownego żebraka, którego miało łączyć bliżej nieokreślone pokrewieństwo z jakimiś najemnikami. Chłopiec podejrzewał, że w rzeczywistości chodziło o dezercję. Mniejsza o to, czy z pierwszej, czy z drugiej ręki, informacje te okazały się nieskończenie bardziej przydatne, rzeczowe i wiarygodne niż orędzie herolda.

Jak wyjaśnił mu Skryba, najemnicy, tworzący oddziały lekkiej kawalerii i lekkiej piechoty, mieli zbroje i hełmy wykonane z metalowych płyt, łączonych z kawałkami skóry, co minimalizowało nie tylko ich koszt, ale i ciężar. Wszystko trzymało się dzięki rzemieniom ze skóry i taśmom z płótna, w zależności od tego, co miało się do dyspozycji. Kiedy się zużywały, żołnierz zastępował je tym, czym mógł, i jeśli nie posiadał akurat płótna ani skóry, używał

ścięgien wołu, które także utrzymywały razem elementy zbroi pokonanych bandytów i orków. Koniec końców żołnierze lekkiej piechoty i kawalerii wyglądem oraz zapachem niewiele różnili się od wrogów, z którym mieli walczyć.

Ale lżejsze zbroje gorzej chroniły: nie zawsze wytrzymały ciosy.

Co druga strzała z łuków lub kuszy, jeśli wypuszczona została z bliska, trafiała celu i raniła. Niemniej w letniej zbroi można było się poruszać ze znaczną prędkością, porównywalną do prędkości wroga, a i zwrotność oddziałów dawała w trakcie starcia przewagę. Dlatego właśnie najemnicy byli wysyłani na Pogranicze Ziem Znanych, by stawić czoła orkom na wschodzie i Czarnym Grabieżcom na południu, kiedy tamtejsze domostwa stawały w płomieniach i oświetlały dzidy z nabitymi głowami poddanych hrabstwa - rozpoznawalny znak obecności bandytów.

Kiedy sprawy przybierały zły obrót, najemnicy uciekali. Fachowo nazywano to „odwrotem”, i taka ucieczka z pola walki nie była karana, byleby potem doszło do kontrataku zakończonego zwycięstwem. Kierowano się zasadą: żołnierz, który ucieknie, pozostaje przy życiu, a zatem może nadal walczyć. Kiedy jakiś najemnik ginął, pozostawiano go tam, gdzie padł. Jego towarzysze broni, o ile właśnie nie uciekali, atakowali, biegli lub kłęli na wikt, którego nie było, czy też na żołd, którego nie dostali, mogli wykopać mu grób, a potem go jakoś oznaczyć. Jeśli umarły miał

kobietę i ona urodziła mu dzieci, czasem inni zabierali coś dla niej.

Posiadanie żony było teoretycznie zabronione. Nie chodziło tylko o to, że mając rodzinę, najemnicy za bardzo uważaliby, by nie polec w walce. Po prostu lepiej, żeby akurat tacy ludzie się nie żenili.

Żeby zostać członkiem kawalerii, należało mieć konia. Pierwszym etapem służby była piechota.

Mógł do niej dołączyć każdy, kto wystarczająco mocno powątpiewał w swoje prawo do życia i pragnął zasilić jej szeregi. Nie zadawano żadnych pytań na temat pochodzenia, nazwiska czy faktów z dotychczasowego życia. Żołd żołnierza wynosił piętnaście monet miedzianych i jedną srebrną, wypłacanych co trzy miesiące. Zdarzało się, że wypłacano go z opóźnieniem lub tylko częściowo, albo że nie wypłacano go wcale. Ale bywało i tak, że dawano całą sumę i to w terminie. Żołd za pierwszy rok wypłacano z góry, aby żołnierz kupił sobie zbroję, miecz, nagołenniki, hełm i przynajmniej jeden sztylet, jedną kuszę i jeden łuk. Strzały należało się nauczyć robić samemu. Żołnierskie wyposażenie mogło być wybrakowane, zdekompletowane i używane, ale nawet całoroczny żołd często nie wystarczał, by pokryć jego koszt. Lichwiarskie odsetki z pożyczek były więc kolejnym wiecznym zmartwieniem zaciężnych żołnierzy, podobnie jak kusze orków i zasadzki zbójców.

Z tego, co Rankstrail zdołał zrozumieć, sensem przynależności do lekkiej piechoty była nadzieja: nadzieja, że nie zostanie się zamordowanym, że otrzyma się zapłatę, że będzie posiłek, nie za mały i nie za bardzo zepsuty. I wreszcie nadzieja, że strzały własnego wyrobu nie złamią się, nie chybią celu, nie okażą się zbyt lekkie i zatrzymają bandytów oraz orków, zanim ci zdążą wystrzelić swoje przekłete strzały, zrobione przez prawdziwych kowali, z grotami z żelaza, wypuszczone z porządnych kusz, wykonanych przez prawdziwych rzemieślników.

Służba trwała piętnaście lat. Jeśli przed jej końcem ktoś próbował

unikać bezpośredniej walki, karą była szubienica. Z kolei dla tych, którzy unikali jej podczas pierwszego roku, czyli przed upływem czasu, za który zapłacono z góry, karą była śmierć, ale także zadawana w bardziej wyrafinowany sposób. Ta sama kara, lecz wymierzana w trakcie długich i wymyślnych tortur, groziła za notoryczną niesubordynację, ucieczkę, po której doszło do przegranej, lub - Boże, uchowaj - bunt i rebelię.

Za mniejsze uchybienia groziły mniejsze kary, od chłosty po okaleczenie. Po pięciu latach służby prawie nikt nie posiadał tyłu palców czy zębów, co na początku. Spośród piętnastu katów miasta Daligar, zawsze będących pod ręką, trzech mieli zajmować się tylko najemnikami.

Ostatniej nocy w domu Rankstrail spał krótko i miał ponury sen, w którym pojawiło się mnóstwo wilczych pysków. Obudził się na długo przed świtem, rozpoznał w ciemności zapach swoich bliskich i ogarnął go smutek na myśl o tym, że ich opuszcza. Skróciwszy nieumiejętnie rękawy swojego kaftana, uzyskał kawałek materiału wystarczająco duży, by zostawić na nim wiadomość, i kawałkiem węgla spisał, jakie były jego zamiary, tak aby Fiamma, która umiała czytać, mogła wytłumaczyć wszystko ojcu i bratu.

Kiedy Rankstrail opuścił Varil, zbliżał się świt. Świat spowijała delikatna mgła i chłopak miał wrażenie, że śni. Kiedy słońce było już wysoko na niebie, a mgła się przeredziła, obrócił się, by spojrzeć na miasto, które górowało, wysokie i wspaniałe, nad polami ryżowymi, gdzie wodę przysłała zieleń młodych łodyg, gęstych i delikatnych. Zdawało się, jakby całe Varil otoczone było bezkresnym, mięciutkim dywanem.

Jego serce pograżyło się w gorzkiej rozpacz, której nie potrafił

nawet nazwać. Konieczność opuszczenia ojca, Fiammy i Borstri-la ciążyła mu ogromnie. Oprócz Fiammy nie miał nikogo, komu mógłby opowiadać historie i kto z kolei mógłby opowiadać jej jemu.

A Borstril - dopiero co zaczął mówić, a on już lubił go słuchać. Jego pierwszym słowem też było Aail.

Fiamma była dobrą łuczniczką, ale nie mogła polować. Mogłaby ustrzelić kilka czapli, lecz jeśli złapałaby ją straż łowiecka, groziła jej chłosta. Poza tym miała tylko dziesięć lat, a do tego była dziewczyną.

Dziewczęta miały bardziej delikatną budowę niż chłopcy i w ogóle -

dziewczyny to dziewczyny. Jeśli straży łowieckiej zdarzało się je przyłapać i wychłostać, było z nimi krucho.

Fiamma także umiała pisać. Rankstrail nakłonił Szalonego Skrybę, by używając ulicznego kurzu jako tablicy, uczył również jego siostrę. Nie był jednak pewien, że pod jego nieobecność Fiamma nadal będzie się uczyć.

Mimo wszystko magia słowa „żołd” bardzo go pociągała. Za każ-

dym razem, a było ich wiele, kiedy już miał się zatrzymać i zawrócić, słowo to zaczynało zaprzętać jego myśli. „Żołd” oznaczał, że wszystko było jak należy, że żadna zasada nie została naruszona, no, może z wyjątkiem tej, zgodnie z którą chłopcy powinni żyć w swoich domach, a nie walczyć dla kogokolwiek.

Za ten żołd jego ojciec będzie mógł regularnie płacić za jedzenie, a potem powoli spłacić dług zaciągnięty u aptekarza.

Dotarcie na miejsce zajęło mu trzy dni. Podróż była marszem przed siebie i zawracaniem: co chwila zmieniał decyzję i wracał w stronę Varil, bo choć z pewnością żołd był potrzebny, to zarazem Rankstrail miał świadomość, że to, co robił, było szaleństwem. Zatrzymywał się, by polować, by rozmyślać, by poszukać wody, by popatrzeć na chmury, wciąż mając nadzieję, że jego ojciec lub Fiamma pojawią się za jego plecami, z początku dwa małe punkciki w oddali na drodze, potem prawdziwe osoby, krzyczące i wrzeszczące, że jest szalony i że nie wie, co robi. Nawymyślaliby mu, on by się rozplakał, a potem wszyscy by się do siebie przytulili i razem wrócili do domu.

Niestety, nie pojawił się nikt.

Wreszcie po trzech dniach przybył do Daligar. Miasto było małe, jakby naburmuszone, osadzone nisko między dwoma ramionami Dogonu, które otaczały je niczym ogromna fosa. O ile Varil, dawna stolica pierwszej dynastii runicznej, z pałacami i murami z rzeźbionego śnieżnobiałego marmuru, było jak czapla, górująca nad równiną upstrzoną polami ryżowymi na zmianę z groblami porośniętymi migdałowcami - o tyle Daligar, prawdziwa stolica Ziemi Ludzi, przypominała z wyglądu jeżozwierza.

Daligar było czerwone od barwy jego cegieł, wypalonych w piecach, zakurzone, niegościnne i nieprzyjemne, położone w cieniu Gór Ciemności. Otaczały je niskie i potężne mury, najeżone zaostrozonymi palami. Przed dwoma zwodzonymi mostkami stały tłumy żołnierzy, tak jakby miasto prowadziło nieustanną wojnę. W przeciwieństwie do Varil, gdzie każdy mógł wejść i wyjść, Daligar pilnowane było niczym kufer złota, choć zdawało się, że od dawna kufer ten jest pusty.

Temu kto mógł się poszczycić, że tam mieszka, nie wolno było dobrowolnie odejść, a kto chciał tam wejść, musiał mieć ku temu ważny powód i przekonująco go przedstawić, by zostać wpuszczonym.

Oprócz trudnego życia, które czekało Rankstraila, oczywiście pod warunkiem, że zdoła przeżyć, oprócz bólu z powodu konieczności opuszczenia bliskich, który przypominał ból otwartej rany, był

jeszcze strach, ale inny niż ten, który odczuwa się zazwyczaj - nie tak wyraźny i nie tak silny - obawa, że ten, któremu powierzył swój los, nie był władcą ani zbyt mądrym, ani sprawiedliwym. Ale nieuleczalny kaszel i rachunek u aptekarza nie pozostawiły mu wyboru

- zaciągnął się. Lecz postanowił zachować ostrożność. Sprzeda swoją siłę, ale nie duszę.

Rankstrail dotarł do miasta jeżozwierza w blasku poranka.

Równe łany pszenicy i jęczmienia przeplatały się z ziemią poroś-

niętą przez słoneczniki. Kłosa były zielone i niskie, przewyższały je łodygi maków lśniących w słońcu. Jaskółki unosiły się na wietrze ponad zbożem i pośród mnóstwa owadów, na które mogły polować.

Rankstrail postanowił uznać światło poranka i wspaniałe trajektorie jaskółek za dobry znak. W blasku słońca czerwone cegły miasta nabierały złotawego odcienia.

W Daligar panowała wrzawa prawie taka jak dziesięć lat wcześniej, kiedy przeszedł tamtędy straszny elf. Czarni Grabieżcy palili południowe tereny i mordowali miejscową ludność. Mówiło się wówczas tylko o nich. Bandyci owi początkowo tworzyli małe grupy, które z czasem stanowiły już całą armię. Nie byli jak orkowie, ale ich barbarzyństwo stawało się z roku na rok coraz większe: dowódcy prze-

ścigali się w okrucieństwie i każdy starał się pokonać innych, jak gdyby występował w turnieju.

Szukano jakiegoś sposobu, by kontratakować i bronić domostw, więc wszyscy, którzy się zgłaszali, byli automatycznie wcielani do wojska. Ale zebrała się zaledwie garstka odważnych. Żaden więc z zasępionych urzędników, odpowiedzialnych za pobór, nie zadał

Rankstrailowi pytania o jego wiek. I tak oto dołączył on do lekkiej piechoty.

Odebrał astronomiczną kwotę - sześćdziesiąt miedziaków i cztery srebrniki - wypłaconą mu na pokrycie kosztów zaciągnięcia się, wyposażenia oraz za pierwszy rok służby dla miasta Daligar. Pozostała część poranka musiała mu wystarczyć na zdobycie wszystkich niezbędnych rzeczy. Już

popołudniem miał wyruszyć w stronę Gór Po-

łudnia, gdzie bandyci ogniem i mieczem siali spustoszenie pośród tamtejszych domostw i wzgórz.

Nieswój i niezdolny do myślenia, Rankstrail włókł się przez Daligar. Gubił się pośród kłębowiska zakurzonych i brudnych uliczek. W porównaniu z tym miejscem, Zewnętrzny Krąg z całą jego nędzą, wydawał się rajska kraina. W gwarnym Zewnętrznym Kręgu ubóstwo mimo wszystko zawsze napawało nadzieją, było przesiąk-nięte różnymi zapachami i kryło w sobie obietnicę różnych smaków.

W pewnym sensie nędza ta nigdy nie była całkowita. Pozostawała względna, nie zawsze się coś miało, ale i nie zawsze było się bez niczego. Jakkolwiek źle by szło, wciąż były jeszcze głąby kapusty albo ogryzione kolby kukurydzy i łupiny z ziemniaków, pozostawione przez tych, którym los sprzyjał i dlatego mogli sobie pozwolić na wyrzucanie głąbów i kolb oraz na obieranie ziemniaków. W Daligar nie było nic. Zewsząd wyzierała nędza: rozpaczliwa i brudna, niemająca nic wspólnego z tą wielokolorową, panującą w gwarnym Zewnętrznym Kręgu, do której on był przyzwyczajony. Zobaczył

dzieci o skórze tak naciągniętej i cienkiej, że ukazywała kości cza-szek, i przeraziła go wizja zimy, której istoty te nie przeżyją. Ujrzał

matki o spojrzeniu tak pustym, że nawet płacz potomstwa, które trzymały na rękach, nie był w stanie ich wzruszyć.

Jeszcze zanim całkowicie podupadł na duchu, minął jakąś kobietę, nie wyższą od małej dziewczynki, i rozpoznał ją. Widział ją, gdy był mały, jak obracała ruszt z czaplami.

- Rosa - zawołał. Potem przypomniał sobie słowa Damy i przemówił do małej kobiety w postrzępionym ubraniu tak, jak się przemawia do dam. - Wy jesteście Rosa, jedna z dam rodu karłów!

Rosa zatrzymała się i długo mu się przypatrywała. Wreszcie uśmiechnęła się, cała rozpromieniona. Rankstrail pomyślał, że na-zwanie kogoś damą lub mężem mogło mieć większą wartość niż dźwięczące monety albo podarowana czapla.

Ona od razu go rozpoznała, mimo że widziała go jeden jedyny raz, i to gdy był jeszcze dzieckiem. Wyjaśniła mu, że po śmierci Damy wołała odejść, dając się skusić pogłoskom (a może raczej nabrać)

- o sprawiedliwości panującej rzekomo w Daligar. Teraz było już za późno, by zmienić zdanie, w Daligar na to nie pozwalano. W każ-

dym razie po tysiącokroć lepsza była niesprawiedliwość w Varil niż sprawiedliwość Zarządcy.

Na to popołudnie Rosa przygarnęła Rankstraila i oprowadziła go po mieście.

Chłopiec wydał połowę swoich pieniędzy na kupno miecza, naj-tańszego, jaki udało mu się znaleźć. Był niezamierzenie asymetryczny, lekko wygięty, posiadał drewnianą rękojeść i gardę z wgnie-

cionego brązu, bez głowicy, która gdzieś przepadła, zagubiona w mrokach niezbyt chwalebnej przeszłości. Broń należała do halabardnika, który umarł na udar słoneczny po tym, jak się upił. Okazała się dla chłopca za lekka i za krótka, a na ostrzu miała trochę rdzy, lecz mimo wszystko był to jednak miecz. Łuk i strzały już posiadał. Zrobił je sobie, by móc polować na czaple, ale nadawały się do strzelania do wszystkiego, co tylko się rusza. Zbroję też sam sobie sprawił, dla zabawy, by marzyć, że może zostanie kawalerzystą, jednym z tych, którzy lśnią w blasku słońca. Wykonał ją z zebranych metalowych odpadków, wyrzucanych przez rzemieślników ze Środkowego Kręgu, łącząc je za pomocą skór zwierząt, na które czasem polował, zwłaszcza królików i borsuków. Jego zbroja z pewnością spełniała jako tako funkcję obronną, lecz nadawał mu ponury i surowy wygląd: natychmiast nazwano go „Niedźwiedziem”. Resztę pieniędzy wysłał ojcu. Rosa przedstawiła mu odpowiedniego czy może raczej najmniej nieodpowiedniego człowieka do ich przekazania, i Rankstrail, z braku wyboru, musiał mu zaufać. Był to handlarz perfum, który właśnie wyruszał do Varil i za usługę wziął

od niego całą jedną srebrną monetę prowizji, usprawiedliwiając to kłopotem związanym z odszukaniem w Zewnętrznym Kręgu właś-

ciwego domu i właściwego człowieka. Rankstrail nie targował się, lecz ze swoim zardzewiałym mieczem w dłoni i niedźwiedzią zbroją na ciele powiedział, że jeśli pieniądze nie trafią do jego ojca oni dwaj, on i handlarz, choćby nawet pośród lodowców na samym końcu świata, znów się spotkają. W oczach handlarza pojawił się jakiś inny błysk i Rankstrail miał wrażenie, a właściwie to nawet pewność, że pieniądze trafią jednak do rąk jego ojca. Wszystkie, co do ostatniego miedziaka.

Jako że czas naglił, nowi rekruci nie przeszli żadnego szkolenia.

Rankiem następnego dnia po tym, jak został wcielony do wojska, Rankstrail wyruszył w drogę. Letnie słońce lśniło na czystym niebie, przecinanym czasem przez jaskółki, na którym z rzadka pojawiało się kilka obłoków. Tworzyli jeden oddział, było ich dwudziestu pięciu, co stanowiło jedną czwartą plutonu. Towarzyszył

im osioł niosący ich miesięczny zapas chleba. Właściwie to było dwudziestu czterech mężczyzn, a do tego jeden chłopiec, ale nawet jeśli ktoś to zauważył, najwidoczniej uznał, że to nie jego sprawa.

Dowodził nimi bardzo wysoki typek, z wielkim nosem i bujnymi czarnymi wąsami. Jego oczy były idealnie okrągłe, przez co przypominał trochę jedną z białych krów, które pasły się wokół murów Varil, lecz jego twarz miała nieco mniej bystry i mniej przyjazny wyraz.

Przeciągał niemal wszystkie „s” i „r”, i Rankstrail uznał, że pewnie pochodził z północnego zachodu. Posiadał również komplet zębów i palców w ilości typowej dla ludzkiej rasy, z czego chłopiec wywnioskował, że musiał to być albo wyjątkowy szczęściarz, albo wyjątkowy sługus, ślepo oddany panującej władzy, skoro jak dotąd nie stracił

uzębienia podczas spotkania z katem.

Młodziutki żołnierz maszerował wraz z innymi, ostatni w szeregu, jeszcze długo po tym, jak zapadł wieczór. Nic nie jadł i nie miał nic do picia. Na liście rzeczy, których wciąż mu brakowało, znajdowała się manierka. Pośród pól ryżowych pragnienie można było zaspokoić gdziekolwiek, a jego piętnastoletni dopiero umysł nie podejrzewał

nawet, że na świecie są takie miejsca, gdzie wody może brakować.

Zatrzymali się późną nocą nad strumykiem, w pobliżu dębowego lasu.

Rankstrail, przyzwyczajony do chodzenia po polach ryżowych ca-

łymi dniami, od wczesnego świtu po późny zmierzch, nie był zmę-

czony, choć od długiego czasu nic nie jadł ani nie pił. Okazało się, że pragnienie było rzeczą straszniejszą od głodu.

Jak tylko padł rozkaz, by spocząć, rzucił się do picia.

- Ej, chłopcze - szepnął do niego jeden z żołnierzy - nie rób tego.

Powstrzymaj się, dopóki nie rozdadzą chleba.

To był niski żołnierz, z wielkim nosem, który w przeszłości musiał

być niejedyn raz złamany, z włosami splecionymi w całą serię warkoczyków, na modłę mężczyzn ze wschodu. Brakowało mu sporo zębów i trzech palców u lewej dłoni. Rankstrail nie posłuchał go.

Napił się bardzo łapczywie, zwymiotował, a potem znów się napił.

Kiedy wrócił do pozostałych, dowódca oddziału rozdał już chleb.

Porcję Rankstraila dzielili właśnie między sobą trzej starsi żołnierze.

- Chciałeś coś powiedzieć, chłopcze? - spytał największy z całej trójki. - Kto chce jeść, ten nie rusza się ze swojego miejsca. Im szybciej się tego nauczysz, tym szybciej nie będziesz wychodzić na głupka.

Rankstrail poszukał wzrokiem dowódcy. Ten, wyciągnięty na kamieniu, zajadał w najlepsze swój chleb i nie odwrócił nawet głowy, by na nich spojrzeć, mimo że musiał usłyszeć ich słowa. Rankstrail, bogaty w swoje doświadczenia jako herszt bandy, od razu sklasyfikował go jako kompletnego tępaka, bo przecież prawdziwy dowódca nie pozwala na niesprawiedliwość, zwłaszcza jeśli chodzi o jedzenie, i tylko idiota może chcieć iść na wojnę z żołnierzem, który nie jest się w stanie utrzymać na nogach z głodu i upokorzenia.

Musiał sam sobie radzić. Bójka byłaby zbyt ryzykowna: jeśli poniesie klęskę, to już na zawsze będzie nosił na sobie jej piętno. Jeśli zwycięży - rzecz trudna, aczkolwiek możliwa - prędzej czy później oddadzą mu, może nawet rozszarpią go na kawałki. Lecz jeśli nie stanie do walki, zamknie sobie na zawsze drogę do zyskania jakiegokolwiek szacunku. Musiał znaleźć jakiś inny sposób.

- Ej, chłopcze, odpuść sobie - powiedział żołnierz z warkoczyka mi, przełamując swój chleb. - Dam ci kawałek mojego. Podzielimy się po połowie. Jak będziemy przeżuwać powoli, jedzenie potrwa tak długo, jak byśmy mieli tyle, co trzeba...

Rankstrail nie usłuchał. Nie przyjął ofiarowanego mu kawałka chleba. Poszedł się wyciągnąć pod rosnącym najbardziej na uboczu dębem i zaczekał, aż wszyscy zasną. Kiedy oddechy stały się regularne i żaden ruch nie przerywał już ciszy pogodnej nocy, wstał i zapuścił się w głąb nieznanego mu pola, które dzięki niedostępnym dla innych zapachom i odgłosom było dla niego czytelne jak mapa. Na południe od obozu znajdowała się królicza nora. Odnalazł ją natychmiast: już wcześniej, kiedy pił, zauważył ślady na brzegu strumienia. Bażant, którego także złapał tuż przed świtem, był prawdziwym darem od losu. Kiedy reszta pułku się zbudziła, Rankstrail siedział już przy małym ognisku rozpalonym przy użyciu suchej trawy i żaru z obozowiska, i opiekował nad nim swojego bażanta. Trzy króliki leżały, jeden na drugim, na dużym kamieniu. Rankstrail wskazał

je ruchem głowy.

- Możecie zjeść mięso, ale skóry są moje - powiedział spokojnie.

- I nie zbliżajcie się do mojego ognia.

Żołnierz z warkoczykami nazywał się Lisentrail. Nie wstając, Rankstrail rzucił mu kawałek bażanta, a tamten pochwycił go w locie.

Nikt z pozostałych się do niego nie zbliżył.

Kupił ich.

Był tylko chłopcem i do tego ostatnim z przybyłych, ale potrafił

ich wyżywić, a to było dobrem tak cennym, że przewyższało wszystko, nawet widoczne gołym okiem pragnienie dowódcy i wielu spo-

śród starszych żołnierzy, by przywrócić go do porządku, wybijając mu wszystkie zęby.

Wszyscy, łącznie z dowódcą, zjedli mięso, wiedząc, że jeśli zostawią go w spokoju, znów je dostaną następnej nocy, a potem znów kolejnej.

Oddział przemierzył całe hrabstwo z północy na południe.

Przeszli przez krainę lasów sosnowych i bagien, nad którymi wznosiły się wzgórza żółte od zeschniętych traw, gdzie krowy białe tak samo jak te, których pełno było na wzgórzach Varil, pasły się pod okiem pasterzy siedzących na grzbietach dużych, czarnych koni. Sosny były wysokie i dziwne, o pniach pozbawionych gałęzi, na samych ich wierzchołkach znajdowały się ogromne korony. Lisentrail polecił

wszystkim, by zbierali szyszki, bo przydawały się do rozpalenia ognia wieczorami, a ich wnętrze kryło w sobie twardą jak skała łupinkę, zawierającą małeńki dar zwany orzeszkiem piniowym.

W dzień maszerowali, w nocy Rankstrail polował. Czasami zdarzało mu się wracać z pustymi rękami. Raz upolował dziwnaczego mieszańca wieprza i wilka, którego inni nazwali dzikiem. Pochwycił

go, zapędziwszy w krzaki jeżyn, po pościgu, który przyplącił zdartą skórą i o wiele większą ilością przebytych mil, niż za dnia przeszedł

z oddziałami. Rankstrail niewiele sypiał, o wiele mniej niż jego rodzeństwo, a jeszcze mniej niż jego ojciec, lecz nawet on trochę spać musiał. Teraz zmęczenie i brak snu zaczynały mu doskwierać, zacisnął jednak zęby i przyzwyczał się do takiego stanu rzeczy.

W pierwszym napotkanym na drodze skupisku chat wymienił kró-

licze skóry na manierkę, a właściwie to wysłał Lisentraila, by dokonał transakcji, gdyż on, ze swoją zbroją z metalu i zwierzęcych skór, przypominał z wyglądu raczej orka niż żołnierza regularnej armii.

Kilka dni później, wciąż wyręczając się Lisentrailem jako pośrednikiem, zamienił kawał dzika na dwa drogocenne krzemienie, by nie być zależnym od żaru. Kupił także kasetkę ze zwierzęcego rogu, pełną soli, bezcennego skarbu dla każdego żołnierza, żebraka czy włóczęgi - dającego bowiem pewność, że je się jak człowiek, a nie jak pies. Poza tym dzięki soli mniej czuło się smak goryczy.

Wieczorami Lisentrail udzielał mu także lekcji obchodzenia się z mieczem. Nauczył go podstawowych ciosów i kilku wypadów. Był

jedynym, który chciał szkolić młodego żołnierza, i po tym, jak za-czął, połowa oddziału nie mogła sobie darować, że nie wpadła na ten sam pomysł, tracąc tym samym jedyną dobrą okazję, by zadać cios, który zostawiłby ślad na piszczelach i bokach nowego rekruta.

Lisentrail nie zostawił jednak ani jednego. Bardzo dobrze posługiwał się mieczem i nie potrzebował ranić, by uczyć. Uderzał zawsze lekko, dając chłopakowi sygnał, które partie ciała odsłaniał podczas walki, i tam, gdzie było to konieczne, pomógł Rankstrailowi wzmocnić jego prowizoryczną zbroję, odstąpiwszy mu nawet kilka klamer ze swojej własnej.

Strzelania z łuku nikt nie musiał chłopca uczyć.

Rankstrail miał zawsze z sobą nieodłączną towarzyszkę procę ukrytą na samym dnie torby, oraz parę okrągłych kamyków, tak na wszelki wypadek. Spora część jego nocnych polowań była możliwa właśnie dzięki procy, która była najlepszą bronią o krótkim zasięgu, również dlatego, że kamienie leżały wszędzie na ziemi, zaś strzały należało sobie zrobić.

W miarę jak posuwali się na południe, trawa stawała się bardziej żółta, a sosny coraz rzadsze, aż wreszcie zupełnie nieobecne. Nadeszła najchłodniejsza część lata. Krów także widywali już mniej, a potem i one zniknęły, zastąpione przez o wiele mniejsze, także obdarzone rogami zwierzęta. Nazywano je owcami, a zamiast „muuu”

robiły „beee”.

Bagna wyschły i było to prawdziwym błogosławieństwem, bo żoł-

nierze uwolnili się wreszcie od komarów, których chmary prześladowały ich pośród sosen i wzgórz. Przekleństwem stały się natomiast muchy: były duże, czarne, z połyskującymi skrzydłami, i gryzły.

Rankstrail nie miał nagolenników, postanowił na nich zaoszczędzić,

nie sądził, by była to podstawa wyposażenia żołnierza. Nie zdążył się jeszcze przekonać, czy są niezbędne w trakcie walki z ewentualnym wrogiem, lecz wiedział już, że z pewnością okazują się niezastąpione w walce z muchami. Każdego wieczoru musiał

zdejmować insekty z kostek i łydek. Często pod skórą zostawała mu głowa owada i rana się zakażała. Raz dostał nawet lekkiej gorączki, która go osłabiła. Zacisnął jednak zęby i szedł dalej.

Na żółtej i żółtobrązowej od uschniętej trawy i jałowej gleby równinie to, co zostało po rzekach, znaczyło się lśniąca w słońcu zielenią krzaków i oleandrów obsypanych mnogością kwiatów - śnieżnobiałych lub różowych. Wciąż maszerowali na południe, roślinność występowała coraz rzadziej. Zieleni zarośli i oleandrów zgasła - nie była już znakiem obecności wody, a jedynie błotnistych kałuż. Ziemia pękała, tworząc na powierzchni szczeliny, puste i zakurzone, przypominając wyglądem

piekło, o ile piekło w ogóle miało jakiś wygląd.

Pośród zarośli napotykali stada wychudzonych owiec, pilnowanych przez wynędzniałych pasterzy, którzy uciekali na ich widok.

Z chleba, który odkąd wyruszyli, posłusznie niósł na swym grzbiecie osioł, nie zostało już wiele, a ten, co jeszcze się uchował, stał się twardy jak ich miecze. Z jednej strony była to zaleta, bo trzeba było przeżuwać go tak długo, iż miało się wrażenie, że coś się naprawdę zjadło; z drugiej jednak - aby go przeżuć i przełknąć, potrzebna była ślina w ustach, a tej coraz bardziej im brakowało.

Woda stawała się coraz brudniejsza i występowała znacznie rzadziej.

Rankstrail nie miał już także prawie na co polować, z wyjątkiem węży i małych jeżozwierzy, nielicznych i trudnych do schwytania -

takie polowanie wymagało męczących czatów. Któregoś razu no-cowali w jaskini i Rankstrail urządził prawdziwą rzeź nietoperzy.

Upieczone na ruszcie, przyprawione odrobiną soli, nie różniły się bardzo od mięsa królika, a do tego przyjemnie było ogryzać ich skrzydełka. Lisentrail miał jeszcze trochę orzeszków piniowych i zrobili z nich farsz.

Czasami nie było naprawdę niczego.

Rankstrail, który żywił się do tej pory tylko tym, co upolował, zaczął razem z innymi jeść wojskowy posiłek, składający się jedynie z chleba. Pragnienie stawało się tak palące, że zapominali o głodzie.

W oddali surowe wzgórza, niskie, strome i porośnięte nielicznymi drzewami, potarganymi i wykrzywionymi przez gorące wiatry, zamykały horyzont.

Po całym dniu wyczerpującego marszu dotarli wreszcie nad staw, jeszcze niezupełnie wyschnięty, nad którego nieregularnym brzegiem lśniło w słońcu kilka ogródków i małych domów.

Udręczony pragnieniem, Rankstrail rzucił się pierwszy w stronę stawu, zostawiając innych z tyłu. Padł na ziemię, aby się napić, wyciągnięty w błocie niczym dzikie zwierzę. Woda była niedobra i smakowała zgnilizną, lecz on i tak pił. Kiedy podniósł wzrok, zorientował się, że znajduje się przy sadzie. Na drzewach rosło mnó-

stwo brzoskwiń. Rankstrail znał ich nazwę, bo widywał je czasem, nieliczne i drogie, na rynku Zewnętrznego Kręgu.

Mimo że część niego krzyczała, by się zatrzymał, bo to przecież kradzież i czysta głupota, on zerwał z drzewa jeden owoc i zanurzył

w nim zęby. Skórka była dziwna, cierpka, a w środku było coś żół-

tego, miękkiego i zwartego jednocześnie. Sama słodczy, a do tego gasiła pragnienie. Kraina mlekiem

i miodem płynąca, jeśli w ogóle istniała, musiała skrywać w sobie takie właśnie smaki. To był

prawdziwy pokarm bogów, jeśli bogowie cokolwiek jadali. Kiedy to coś żółtego się skończyło, pozostała czerwona pestka, którą Rankstrail schował do torby, by nie zostawić śladów kradzieży i dać ją ojcu, gdy wróci do domu, aby ten mógł ją zasadzić. Zerwał kolejną brzoskwinię i ugryzł. Jedna jego połowa nadal powtarzała, by się powstrzymał, lecz wydawało się, że otępiające pragnienie, spowodowane gorączką, mógł uśmierzyć jedynie smak brzoskwini. Nawet jeśli przyszłoby mu zapłacić za to odciętymi palcami i wybitymi zębami, nie umiałby się powstrzymać. Dopiero przy trzeciej brzoskwini wreszcie uniósł głowę i rozejrzał się dokoła. Ciała mieszkańców ma-

łej osady i gzów wpatrywały się w niego pustymi oczodołami spod chmary much. Niektóre z nich wisiały na drzwiach tego, co było kiedyś domostwami, inne w osobliwy sposób przymocowane były do kół wozu.

Zaślepiiony pragnieniem Rankstrail, myśliwy zdolny usłyszeć nawet mysz na polu ryżowym dotarł do stawu i wszedł do sadu, w ogóle nie dostrzegając oznak rzezi: zapachu zgnilizny i ogłuszającego brzęczenia much i gzów, unoszących się nad zakrzepłą krwią.

Stał, przypatrując się temu miejscu masakry, wciąż trzymając w dłoni pół brzoskwini.

Nigdy jeszcze nie widział nieżywej ludzkiej istoty, z wyjątkiem mamy. Ale to była godna śmierć: nikt jej nie spowodował, nikt jej nie wyśmiał. Wszyscy płakali, a potem zanieśli mamę na cmentarz.

Tutaj nic takiego nie miało miejsca.

Rankstrail potrafił liczyć. Ośmiu dorosłych i jedenaścioro dzieci.

Dziewiętnaście, tyle, ile palców u człowieka, któremu jednego z nich brakuje.

Zdał sobie sprawę, sądząc po tym, jak ich powieszono - wysoko, głową w dół - że z tych umarłych chciano się pośmiać, tak, jakby to wszystko było jakąś zabawą.

Pochylił się i zwrócił zgniłą wodę i brzoskwinię. Potem upadł na kolana i dalej wymiotował.

Słońce stało w zenicie, a w trawie było pełno cykad.

Poczuł na ramieniu dłoń.

-Idź stąd, chłopcze, my ich pochowamy - szepnął do niego Lisentrail, wyjmując mu z dłoni połowę brzoskwini i chowając ją do torby, zanim dowódca zdążył coś zauważyć. Jednym z obowiązków lekkiej piechoty było grzebanie martwych cywilów, gdy w okolicy nikt nie mógł tego zrobić.

-On też ssssłuży w armii - powiedział syczący dowódca, zbliżając się do nich.

-Ma gorączkę - odparł Lisentrail.

-Nic mi nie jest - odparł Rankstrail, strząsając z ramienia dłoń mężczyzny.

Za nic w świecie nie zrezygnowałby z pochowania tych zabitych.

Trzęsły nim dreszcze, a mimo to odcinał ciała i kopał doły, tak samo jak inni, za pomocą łopat, których mieszkańcy wioski za życia używali do przekopywania sadu i pogłębiania kanałów pomiędzy ogródkami warzywnymi. Niektórzy ze starszych żołnierzy zaczęli wygłaszać jakieś uwagi pod adresem kobiet, w których Rankstrail widział przede wszystkim czyjeś matki. Pełne furii, dzikie spojrzenie chłopca wystarczyło, by zmusić ich do zamilknięcia.

Rankstrail próbował układać ciała porządnie i umieścić dzieci obok kobiet, mając nadzieję, że odgadł, która była czyją matką.

Wokół domów znajdowały się zagrody dla zwierząt, być może owiec i świń, sądząc po ekskrementach, jedynym śladzie, jaki po nich pozostał. Na tyłach gospodarstw, przywiązane za jedną nogę do fragmentu płotu, znaleźli dwie kury, które teraz już nie należały do nikogo, więc skończyły na ruszcie dowódcy i starszych żołnierzy. W

błocie niedaleko poidła odcisnięte były różne ślady butów, które biegły aż do kurzego płotu. Nie mogły należeć do mieszkańców, gdyż ci byli bosi.

Gdy zapadł wieczór, dowódca, przeciągając wszystkie możliwe

„s” i „r”, wydał rozkaz, by zebrać brzoskwinie, jako że te również pozostały teraz bez właściciela. Był to szybki i dobrze zaplanowany rabunek, podczas którego ogołocili mały sad.

Rankstrail zabrał dziewiętnaście owoców. Nie zjadł ani jednego z nich. Pod osłoną ciemności poszedł położyć po jednym na każdym z dziewiętnastu grobów, ukrywając owoce pod garścią ziemi.

Przysiągł, że wymierzy sprawiedliwość.

Do tej pory był zwykłym najemnikiem. Zapomniawszy o wszystkich marzeniach z dzieciństwa, postawił sobie jeden cel: przeżyć cały okres służby, nie dać się zabić i starać się wysłać ojcu wystarczająco dużo pieniędzy, by mógł zapłacić za jedzenie i wyrównać dług za-ciągnięty u aptekarza.

Teraz chciał dopaść bandytów. Było dokładnie tak, jak powiedział

Szalony Skryba: to najemnicy mieli chronić tych najbardziej bezbronnych. Zrozumiał, że w byciu najemnikiem nie liczył się tylko pobierany żołd. To było coś więcej.

Teraz już wiedział, że powstrzyma zabójców.

Przybył na te ziemie, by uczynić je dobrym i bezpiecznym miejscem, gdzie mężczyźni, kobiety i dzieci będą mogli żyć i hodować swoje kury. Nie opuści tych terenów, dopóki nie sprawi, że nikt nie będzie mógł przybyć niczym wilk pod osłoną nocy, aby urządzić rzeź na brzegach stawu, wokół którego rozciągał się sad.

Przestał być najemnikiem i stał się żołnierzem.

Kiedy znalazł się na prowizorycznym cmentarzu, piętnastoletni Rankstrail odkrył jedną z fundamentalnych reguł taktyki: przeniknąć myśli wroga. Każde działanie okupione jest wysiłkiem, a więc wróży jakąś korzyść. Powieszenie ciał tak, aby tworzyły makabryczne i wulgarne geometryczne konfiguracje, musiało wymagać ciężkiej pracy, nawet od silnych ludzi, a więc wyrażało nadzieję na jakiś zysk. Te ciała były przynętą pozostawioną w zasadzce. Oni, ich oddział, miał być ofiarą.

Mimo iż wyraźnie zabronione było naprzykrzanie się przełożonemu i roszczenie sobie jakiegokolwiek prawa do samodzielnego my-

ślenia, młodziutki żołnierz udał się do dowódcy, aby poinformować go, iż z całą pewnością bandyci zaatakują ich w nocy. Rzeź, którą tamci mieli we krwi, teraz została być może urządzona dla rozrywki, lecz miała także inny cel: opuszczone gospodarstwo stawało się na pewno najodpowiedniejszym miejscem, by szukać w nim schronienia na noc.

- Mówi ssssię „urządzić kwaterę główną”. I nie ośśśśmielaj ssię więcej przychodzić i pouczać mnie, jak wykonywać mój zawód, bo inaczej, choć jessssteśśśś jeszcze ssssmarkaczem, oddam cię katowi za niesssubordynację.

Rankstrail zignorował rozpaczliwe gesty Lisentraila - który dał

mu do zrozumienia, by bezwzględnie i natychmiast zamknął gębę na kłódkę - podziękował dowódcy za informację, a potem znów zaczął: nie chce nikogo w niczym pouczać, a tylko wyjaśnić, jako że najwidoczniej dowódca jeszcze tego nie zrozumiał, że przed świtem zostaną zaatakowani. Tamci powiesili ciała w tak dziwaczny sposób właśnie dlatego, że po wysiłku związanym z pochówkiem, co było jasne nawet dla kompletnego tępaka, oddział będzie tak zmęczony, że zanocuje na miejscu.

- Nawet głupiec - dodał na koniec - zrozumiałby, że zrobiono to umyślnie. Zostawili nam brzoskwinie i kury. Teraz mają pewność, że nie rozejdziemy się po okolicy w poszukiwaniu jedzenia. Zosta-niemy tu jak idioci, a oni przyjdą w nocy nas zarżnąć...

Nie była to najszcześniejsza uwaga.

Przeciągacz „esów” przepędził go, obiecując konsekwencje w postaci obcięcia języka i może także kciuków. Potem razem ze starszymi żołnierzami skierował się do domostw, by spocząć choć raz na prawdziwym legowisku, w pobliżu prawdziwego paleniska, w któ-

rym trzaskał ogień, dając ciepło pośród zimnej nocy.

Rankstrail wyjaśnił pozostałym, jakie grozi im niebezpieczeństwo, i na jego polecenie ustalili między sobą kolejne warty, nie zwykłe, a podwojone.

Inni postanowili go posłuchać.

Niedźwiedź był zbyt dziwny, aby go lekceważyć.

Widział ślady tam, gdzie ich nie było, słyszał nawet szelest gąsienicy pośród obozowych krzyków i przekleństw. Napinał łuk, jeszcze zanim zobaczył królika, jakby wcześniej wiedział, gdzie on się pojawi. Nikt nie lubi, gdy jakiś młody chłopak mówi mu, co powinien zrobić, ale skórę ma się tylko jedną, a myśl o zagrażającej śmierci popycha często do rozwiązań, które inaczej byłyby nie do pomyślenia.

W pobliżu sadu, nisko nad ziemią, na wysokości ludzkiej kostki, Rankstrail kazał rozpiąć liny niewidoczne w ciemności, które uprzednio posłużyły do związania biednych zabitych.

Wartę przed domami, najniebezpieczniejszą z powodu światła z kominka, objął razem z Lisentrailem.

Nie zamienili ze sobą ani jednego słowa, dopóki ciemność na wschodzie nie zaczęła szarzeć. Rankstrail zbliżył się do towarzysza i oznajmił mu, że wróg jest już w sadzie, liczniejszy niż oni, i prawdopodobnie stara się ich otoczyć przed przypuszczeniem ataku.

-Ej, Niedźwiedziu, a ty skąd to niby wiesz? - spytał Lisentrailem.

-Czuję ich zapach i słyszę odgłos butów uderzających o ziemię.

-Nikt nie umie rozpoznać takich rzeczy.

-Jeśli się spodziewa, to umie - padła odpowiedź Niedźwiedzia. -

Widziałem ślady ich butów, zrozumiałem, jakiego hałasu mam się spodziewać, i usłyszałem go.

Lisentrailem poszedł zawołać dowódcę. Wszedł na czworakach, by nie być widocznym z zewnątrz, na tle ognia, który się palił. Przeciagacz

„s” nie zachował ostrożności i wyszedł na otwartą przestrzeń w samej koszuli bez hełmu, krzycząc, że nie życzy sobie być budzonym z powodu jakichś głupstw. Powaliły go dwie strzały, jedna trafiła w brzuch, druga, bardziej litościwa, w gardło, szybko i definitywnie.

Krótkie i krzykliwe wystąpienie przeciagacza „s” było na tyle skutecznie odwracającym uwagę wydarzeniem, by pozwolić Niedźwiedziowi wspiąć się na drzewo z procą i łukiem. Powalił czterech grabieżców, nim zrozumiał, dlaczego nazywano ich czarnymi: mieli twarze zasłonięte czymś w rodzaju hełmów, zrobionych ze skóry wygotowanej w sadzy, i nawet z wysokości drzewa, na którym właśnie siedział, Rankstrail zorientował się, jak głupi był to pomysł. Ten rodzaj kaptura był dosyć przerażający, lecz pozbawiał możliwości patrzenia na boki, kątem oka, a do tego nie chronił wcale przed mocnymi uderzeniami.

To spostrzeżenie dodało mu pewności siebie.

Lisentrailem zdążył już wyciągnąć z chat starszych żołnierzy, kiedy płonące strzały dotarły do słomianych strzech, i starał się właśnie wycofać do winnicy, gdzie byliby kryci przez winorośle, z dala od jasnych płomieni, czyniących z nich łatwy cel.

Rankstrail zorientował się, że ten manewr został przewidziany przez wroga i że w winnicy czekała na

nich zasadzka. Zeskoczył z brzoskwini i dołączył do Lisentraila.

- Tam czeka was śmierć - powiedział szybko. - Chodźcie za mną, i trzymajcie się blisko. Zaatakujemy w sadzie, teraz jest tam mniej napastników i nie spodziewają się naszego ataku. Ja nie popełniam błędów.

Wspomnienie o masakrze, o dziewiętnastu brzoskwiniach przy-sypanych garścią ziemi, wprawiło go w furję. Poprowadził atak tak, jakby przez całe życie nie robił nic innego. Czarni Grabieżcy wyszli na otwartą przestrzeń dokładnie w momencie, gdy on i jego ludzie na nich uderzyli. Spora część pierwszego szeregu przeciwnika wpadła na niewidoczne rozciągnięte liny, a drugi szereg wpadł na pierwszy.

Role się odwróciły. Lekka piechota zaatakowała niczym stado wilków. Na tyłach wroga stał mężczyzna uzbrojony w ogromny topór o podwójnym ostrzu, który trzymał obiema rękami. Krzyknął na swoich ludzi, by się wycofali, ale było już za późno. Niedźwiedź

pojął, że to ich przywódca. Był wielkim, krępyim mężczyzną, z twarzą ukrytą za hełmem, który nie pozwoliłby mu dostrzec czarnego cienia Niedźwiedzia, atakującego go z boku.

Niedźwiedź nie zaatakował jednak z flanki. Zaatakował od frontu.

Chciał mu spojrzeć w twarz.

To był on, wiedział to.

To on wydał rozkaz masakry, a potem rozkaz urządzenia całej inscenizacji. Zdeptawszy życie, wyśmiał i śmierć.

Niedźwiedź pragnął, aby tamten wyczytał w jego oczach, że teraz to jego życie zostanie zdeptane a jego śmierć wyszydzone.

Czyste światło nadchodzącego świtu zmieszało się z surowym, migoczącym blaskiem. Dwaj wrogowie na moment spojrzeli sobie w oczy, potem bandyta uniósł swój ogromny topór i opuścił go na chłopca, uderzając z całych sił. Rankstrail odparł cios mieczem, któ-

ry złamał się na pół pod precyzyjnym uderzeniem. Mężczyzna ro-ześmiał się. Chłopak spojrział z przerażeniem na kikut, który został

mu w dłoni. Myśl o tym, że na ten bezużyteczny kawałek metalu zmarnował równowartość co najmniej paromiesięcznego zapasu jedzenia dla jego ojca, była tak upokarzająca, że na chwilę przyprawiła go o mdłości, lecz szybko wziął się w garść. Rzucił się w bok, na ziemię i przeciął kikutem miecza ścięgno łydki swojego przeciwnika. Mężczyzna upadł. Upadek zaczął jeszcze żywy, lecz skończył go już martwy: trzymając złamany miecz obiema rękami, by zwiększyć siłę uderzenia, Rankstrail odciął mu głowę, jeszcze zanim jego plecy zdążyły dotknąć ziemi. Pocieszające było to, że zakup miecza nie okazał się zupełnie bezużyteczny. Młody żołnierz pochylił się nad trupem, wyjął z jego rąk wielki topór i ruszył z odsieczą swojemu oddziałowi.

Kiedy było już po wszystkim, Rankstrail podliczył zdobycze i straty. Odnieśli zwycięstwo nad wrogami, dwa i pół raza liczniej-szymi niż ich oddział, a jedynym człowiekiem, jakiego stracili, był dowódca. Ktoś został raniony, ale nie było to nic poważnego, nic, czemu Trakrail, uzdrowiciel plutonu, nie umiałby zaradzić. Ogień powalił dachy i jedna z belek przygniotła osła, który nie przeżył.

Zanim zamienili go w ogromną porcję gulaszu, opłakali zwierzę ze szczerym smutkiem, podczas gdy żal po śmierci dowódcy okazali dużo bardziej powściągliwie. Był kompletnym głupcem, a to dla żołnierza stanowiło największe z niebezpieczeństw i najgorsze z nieszczęść.

Rankstrail obejrzał ciała wrogów. Wszyscy mieli ręce, nogi i zbroje pomazane błotem, aby łatwiej wtopić się w czerń nocy. Wielu ob-więzało sobie wokół przedramion i przyczepiło do pasów ohydne trofea: kawałki ubrań kobiet i dzieci, które wymordowali.

-Teraz ich pochowamy - powiedział Lisentrail. - Szybciej byłoby ich spalić, ale drewna jest niewiele, a przecież nie można użyć drzew z sadu.

-Teraz ich poćwiartujemy, a kawałki rzucimy psom na pożarcie -

odparł Rankstrail - bo tak będzie sprawiedliwie.

Niektórzy żołnierze wydali pomruk aprobaty.

- Zrobimy im to, co oni nam - powiedział ktoś inny.

Idea zaczęła krążyć wśród żołnierzy, niebezpiecznie, niczym iskra pośród słomy, lecz Lisentrail zdusił ją w zarodku, jego głos był jak wiadro wody wylane na płonąca strzechę.

- Ludzie - powiedział - od wymierzania sprawiedliwości jest kat.

Jemu więcej płacą i we wszystkie dni dają jeść, głównie kaszę, czasem nawet bez robaków. My jesteśmy żołnierzami, lekką piechotą. Nikt z nas nie będzie katem. Teraz ich pochowamy. I koniec.

Zbliżył się do Rankstraila.

- Ej, Niedźwiedziu - powiedział ściszym głosem - masz matkę czy sam się zrobiłeś, kawałek po kawałku, w kuźni jakiegoś kowala?

Rankstrail nie był pewien, czy ten żart mu się spodobał.

-Moja matka nie żyje - mruknął ponuro.

-Przykro mi - powiedział Lisentrail. - Naprawdę. Teraz twoja matka jest w królestwie śmierci, ale jakimś sposobem wie o wszystkim, co robisz. Czyń tylko to, z czego będzie dumna.

Rankstrail zastanowił się - to była dobra myśl. Jego matka poczu-

łaby się dumna, wiedząc, że powstrzymał wrogów na zawsze. Byłaby zadowolona, wiedząc, że dzięki niemu żaden z jego ludzi nie zginął, a i okoliczne domostwa są bezpieczne i nikt nie obróci ich w pył, nie zostanie po nich tylko garść bólu i rój much na zakrzepniętej krwi.

Lecz nie byłaby z pewnością zadowolona, widząc, jak Rankstrail staje się taki sam jak ci, z którymi walczył.

Zanim pochowali zabitych, ogołocili ich z mnóstwa broni i niewielu innych rzeczy, zdjęli im hełmy i przyrzekli im się. Wrogowie mieli zupełnie zwyczajne twarze: nie było w nich nic, co upodobia-

łoby ich do demonów lub mieszkańców piekieł. Dowódcy i kilku innym z tej bandy brakowało palców i zębów.

- Hej! - krzyknął Trakrail. - Oni byli najemnikami.

Lisentrail przytaknął, mruczając pod nosem.

- Kiedy żołąd nie nadchodzi, zostaje już tylko głód. Gdy głód wypełnia sobą wszystko, pozostaje jedynie rabunek. Kiedy dokonałeś rabunku, przed tobą już tylko kat, a kiedy wiesz, że czeka na ciebie oprawca, wybierasz ucieczkę. Kiedy uciekasz i wszyscy cię nienawidzą, ty także zaczynasz nienawidzić wszystkich, a więc zostajesz grabieżcą albo demonem.

Najemnicy rozerwali hełmy zabitych na kawałki, żeby załatać swoją zbroję lub zrobić rzemienie do przewieszenia broni przez ramię.

Kilka sztuk nadziano na to, co zostało z połamanych halabard, a potem rozmieszczono dokoła gospodarstw i sadu, jako znak zwycięstwa i ostrzeżenia.

Lisentrail pozbiierał zbroje grabieżców i składając razem najlepsze płytki, zdołał zrobić z nich jedną, kompletną, dla Rankstraila. Skóry z jego zbroi nasiąkły krwią, która niedługo zaczęłaby brzydko pachnieć, czyniąc go przy odpowiednim wietrze wyczuwalnym z odległości wielu mil. A poza tym przebywanie w jego towarzystwie stałoby się wątpliwą przyjemnością.

Jednak nawet w normalnej zbroi Rankstrail przypominał niedź-

wiedzia - ta postura, włosy opadające na oczy i niepielęgnowany zarost... Przezwisko pozostało.

Gdy pochowali zmarłych, Rankstrail ustalił kolejność wart.

W przypadku śmierci dowódcy oddziału, jego funkcję powinien przejąć najstarszy. Ale starsi żołnierze czuli się wyczerpani. Jedynymi ich zasługami, dzięki którym zdobyli swoje stopnie, były psie posłuszeństwo i brak inicjatywy, tak wielki, że powstrzymał ich od rabunku. Obie cechy nie pasowały do dowódcy.

Najstarszy wiekiem Lisentrail był także mądry, spokojny i bardzo lubiany. Jemu jednak nie przypadło nigdy stanowisko starszego żołnierza, jako że zarezerwowano je dla tych, którzy nigdy niczego nie zrabowali lub nie dali się na tym złapać - Lisentrail, niemający palców i zębów, nie należał widać

do żadnej z tych kategorii.

W takich okolicznościach wszyscy zatem wykonywali to, co nakazywał im Niedźwiedź.

Rankstrail przeszukał dokładnie mały sad, aż w końcu, wysoko w górze, schowane między liśćmi, wytropił ostatnie brzoskwinie, które przetrwały rabunek.

Wspiął się na drzewo, zerwał je i zjadł, przycupnięty na gałęziach niczym wielka wiewiórka. Powoli przeżuwał małe kęsy, tak, aby trwało to jak najdłużej.

Wieczorem dokonano podziału reszty chleba.

Rankstrailowi nie przypadła tym razem warta, więc położył się spać. W środku nocy obudził go delikatny deszczyk i dopiero wówczas zdał sobie sprawę, że po raz pierwszy w swoim życiu zabił człowieka.

Był zmęczony i usnął z powrotem.

Zapadł z powrotem w swój dziwny, niespokojny sen, pełen wilczych kłów i ciężki od nieokreślonego, ponurego bólu.

Skórzane hełmy, nabite na pale, głosiły nowinę o zwycięstwie; pasterze, którzy przemierzali okolice ze stadami chudych owiec, ponieśli ją dalej.

W ciągu kilku dni cały region był już poinformowany i zakurzo-nymi drogami ruszyła procesja nieszczęśników, którzy ciągnęli zewsząd w stronę małego stawu - w poszukiwaniu schronienia.

Przybywali z dziećmi na rękach, trzymając przy sobie swoje owce i kury, aby ani na chwilę nie stracić ich z oczu. W sercach mieli strach przed łotrami, którzy siali spustoszenie i czynili ich nędzę jeszcze bardziej nieznośną, a na ich twarzach malowało się przerażenie na widok wojowników, którzy przybyli, aby z bandytami walczyć. Ojcowie rodzin z obawą patrzyli, jak kurczaki dziobią pod nogami uzbrojonych i wygłodzonych żołnierzy. Matki przyciskały do siebie dzieci.

Rankstrail kazał nowo przybyłym wybrać spośród siebie przywódcę i przysłać go do niego na rozmowę.

Po długich naradach stawiała się przed nim staruszka z haczykowa-tym nosem na samym środku kwadratowej twarzy, która sprawiała wrażenie, jakby była zrobiona z pomarszczonej skóry zwierzęcej.

Rankstrail uzgodnił z przywódczynią, że oddział będzie otrzymywał

regularnie dostawy drobiu i kaszy - żołnierze nie będą więc głodni i znikną niebezpieczne pokusy. W zamian przekazał jej niewielką sumę lokalnych pieniędzy, zdobytą na grabieżcach: kilka monet z brązu z wizerunkiem dziwnego stwora o dwóch twarzach, i przede wszystkim zagwarantował ochronę dla wszystkich - męż-

czyn, kobiet, dzieci oraz owiec i kur.

Przywódczyni odeszła zadowolona i na najemników zaczęto spoglądać z życzliwością, a przynajmniej bez zbytej niechęci - od kiedy wykonywali swój żałosny fach, zdarzyło się to pierwszy raz.

Lisentrail sceptycznie przysłuchiwał się całej rozmowie. W armii najemników wszystko to, co nie było przymusowe albo nie zostało dozwolone, uważano za zabronione. Układanie się w kwestii zaopa-trzenia w jadło przez ludność, absolutna nowość, prawdopodobnie nie zostanie docenione.

- Naprawdę? - odparł pogodnie Niedźwiedź. - To niech mi przysła kogoś z wiadomością, że im to nie pasuje.

Żadnemu z innych dowódców nigdy nie przyszło do głowy, by pertraktować w imieniu grupy. Nikt nigdy nie pomyślał, że kupując jedzenie, każdy na własną rękę, najemnicy wytwarzali konkurencję.

Ceny rosły, żołąd się kończył, a potem dochodziło do kradzieży. Z

kradziejami pojawiała się nienawiść lokalnych mieszkańców, a potem był już tylko kat. Nie chcąc skończyć w jego rękach, wielu dezertowało i zostawało grabieżcami. Liczba łupieżców rosła, do armii wcielano nowych najemników, by z nimi walczyli, i koło się zamykało.

Po grupach nieszczęśników zjawili się towarzysze broni - ci, któ-

rzy pozostali przy życiu, a należeli do trzech innych oddziałów wysłanych w ten rejon, by walczyć z grabieżcami. W sumie czterdziestu mężczyzn, do tej pory rozproszonych po okolicy i pozbawionych dowództwa. Dwóch dowodzących zmarło wskutek odniesionych ran, a jednego zabrała gorączka bagienna jeszcze przed rozpoczę-

ciem walk.

Już następnego dnia Rankstrail zaczął przeszukiwać równinę aż po wzgórza, zastawiając serię pułapek i chcąc zdążyć, nim nieprzyjaciel się przeorganizuje. Wystarczyło zobaczyć błoto, którym nacie-rali się czarni grabieżcy, by domyślić się, gdzie mogą się czaić. Były to pozostałości po rzekach, błotniste strumyki okolone zaroślami i oleandrami, które stawały się coraz bardziej spłowiałe i suche, lecz wciąż mogły służyć za kryjówkę. Wystarczyło, że podzielił dopływy na odcinki, i wtedy oczyścił je systematycznie z oddziałów wroga, jednego po drugim. Wszystkich swoich ludzi zebrał razem, i w ten sposób bez żadnych strat oswobodził całą równinę.

Nowo przybyli początkowo pękali ze śmiechu na widok chłopca, który wydawał rozkazy dorosłym mężczyznom i rościł sobie prawo do tego, by wydawać je również im, potem jednak przestali się śmiać i podporządkowali się. Młodziutki dowódca znajdował ślady na pozór niewidoczne, odgadywał ruchy wroga, obserwując lot ptaków, poruszał się zwinnie i cicho niczym wąż, nigdy nie mylił

żadnego ataku, wydawał się wiedzieć z wyprzedzeniem, gdzie pojawi się wróg. Miał dodatkową broń, której nie mieli inni: węch. Zawsze wiedział, którędy przeszedł nieprzyjaciel i ile czasu upłynęło od tego momentu.

Inaczej było na wzgórzach. Rankstrail nie znał tamtejszego terenu, podczas gdy inni się tam urodzili. Zorganizował zastępy, po dziesięciu mężczyzn każdy, porozumiewające się między sobą przez posłańców, i wyruszył przeszukiwać wzniesienia. Wcielił do zastę-

pów pasterzy, kupując ich obietnicą, że ich owce będą już zawsze bezpieczne, zarówno od grabieżców, jak i od najemników, i kazał im sobie wskazywać drogę i opisać dokładnie lasy. Stworzył system komunikacji oparty na układaniu stert kamieni w taki sposób, by sprawiały wrażenie czegoś przypadkowego dla nieuwważnych oczu.

W ten sposób wszyscy mogli go informować, nie kontaktując się z nim osobiście, o ruchach wroga, które z daleka dostrzegli. Kiedy ojcowie zamordowanych przez grabieżców dzieci spyтали go, czy mogą wziąć udział w jego wojnie, Rankstrail się zgodził. Dręczony, na próżno, przez Lisentraila, który wszelkimi sposobami próbował

mu to wyperswadować i przekonać go, jak bardzo było to zabronione, Rankstrail wcielił nowo

przybyłych do swoich oddziałów jako zwiadowców i dzięki nim nauczył się poruszać po wzgórzach z tą samą pewnością, z jaką przemierzał pola ryżowe.

Centralnie położona Wysoka Skała, porośnięta dębami i kasztanami, w dalszej części przechodziła w kilka kamienistych wzgórz -

Wąską Skałę, Słoną Skałę i Ostrą Skałę - gdzie wśród wielkich granitowych głazów znajdowały się niskie zarośla, gęste od mirtu, krzewów mącznicy, janowca i większego nieco tamaryszku, który przypominał postrzępione chmury maleńkich różowych kwiatów.

Ścieżki czasami biegły w górę, łatwe i lekkie, zacienione przez las, a czasem były strome i trudne, prowadzące pośród nagich kamieni smaganych słońcem. Podstawowa strategia opierała się jak zawsze na prawdzie geometrii oraz na odwadze, tyle tylko, że wzgórza nie były tak płaskie jak pola ryżowe. Tam, gdzie świat składał się z góry i dołu, należało atakować z góry i pamiętać, by brać pod uwagę wąwozy i urwiska, które mogły odcinać drogę ucieczki i stanowić miejsce zasadzki. Najbardziej ryzykowny był pierwszy atak. Siuil, najemnik którego Rankstrail nie cierpiał, w swej totalnej głupocie wyłonił się zza krzaków, w których Rankstrail czaił się wraz z tuzinem najemników, święcie przekonany, że wrogowie znajdowali się poniżej, między polanami. Tymczasem mieli ich za swoimi plecami, w górze, w kasztanowym lesie: niestety, wąż na nic się nie mógł

przydać, kiedy wiatr wiał od niewłaściwej strony, Siuil został

zaatakowany, rozbrojony, schwytany i zmuszony do upadnięcia na kolana: lada chwila mieli go ściąć. To był największy oddział

grabieżców, który stanął na ich drodze od czasów pierwszej bitwy.

Niedźwiedź, wciąż ukryty w krzakach, zdołał podejść bliżej: miał

zamiar uwolnić Siuila, atakując z zaskoczenia i pod osłoną strzał, które pozostali mieli wypuścić z łuków. Powiadomił najemnika o swej obecności odpowiednim znakiem: dwa gwizdy, jeden po drugim, niczym odgłos turkawki. Siuil uniósł głowę, dostrzegł go, lecz w swej bezmyślności wskazał wzrokiem grabieżcom, którzy odkryli obecność Rankstraila. Na szczęście również Lisentrail, stojący na czele przyczajonych żołnierzy, zabezpieczających tyły nieco niżej, gdzie wiatr wiał w dobrym kierunku, usłyszał odgłos turkawki. Przybył z posiłkami, uderzył na wroga i odbił wszystkich zakładników.

- Ej, Niedźwiedziu - skomentował wesoło - patrz i ucz się. To jest właśnie różnica między niegodziwcem a idiotą: niegodziwiec zaszkodzi ci tylko pod warunkiem, że coś na tym zyska, idiota to ciągle zagrożenie.

Ktoś zaproponował, by odwdzińczyć się Siuilowi jednym ciosem miecza, lecz Rankstrail nie wyraził na to zgody, wiedząc, że strach może czasem skłonić człowieka do popełniania głupstwa.

Starszy żołnierz zawsze bowiem sprawiał problemy. Rankstrail w duchu nazywał go „imbecylem”, podczas gdy Lisentrail, używał

niedużo bardziej przyzwoitego określenia, mówiąc o nim „cierpiętnik”.

Siuil wiecznie narzekał na jedno i to samo: oskarżał wszystkich, z wyjątkiem siebie i dwóch innych starszych żołnierzy, że nie zaznali w życiu wystarczająco dużo cierpienia i uznawał właśnie siebie za prawdziwego eksperta i weterana na tym polu. Ośmielał się nawet powtarzać to przed Trakrailem, który był świadkiem śmierci własnej matki, spalonej na stosie oskarżonej o uprawianie czarów, i nosił na twarzy ślad po rozpalonym żelazie. Blizna ta odróżniała dzieci czarownic od pozostałych, nie pozostawiając im do wyboru żadnego innego fachu, jak tylko zawód wojskowy. Powtarzał to również przed Lisentrailem, któremu przecież nie mogło być wcale do śmiechu, skoro stopniowo stracił po kolei palce i zęby. Czym było cierpienie według Siuila, nie miał pojęcia zwłaszcza Rankstrail: przeskoczywszy szybko od okresu próbnego do stanowiska dowódcy, oszczędził sobie nie tylko szkolenia, lecz także wlokącej się latami męki związanej z awansowaniem ze zwykłego żołnierza na starszego. Ominął zatem stopnie pośrednie: żołnierza mianowanego i żołnierza wyróżnionego, etapy uważane najwidoczniej przez

„imbecyla” za źródło wszelkich cierpień.

Najlepszą i rozstrzygającą bitwę stoczyli na południowych zboczach Wąskiej Skały. W pobliżu grupki zagród na krańcu długiego kasztanowego lasu Rankstrail poczuł jedyny w swoim rodzaju zapach sadzy i skóry, jaki wydawały nic niewarte hełmy wroga.

Grabieżcy zaatakowali nocą. Najemnicy już na nich czekali. Do bitwy nawet nie doszło. Podczas ucieczki grabieżcy wzięli jako za-kładnika starego wieśniaka, który późną nocą szedł powoli drogą z Pietracaggiosa. Lisentrailem, jak zawsze na czele ariergardy, dopadł

uciekinierów, uwolnił staruszka i pocieszył go bezcennym darem -

paroma swoimi suszonymi figami i łykiem czystej wody. Starzec mówił niezrozumiałym językiem, lecz i tak wszyscy pojęli, że im błogosławił.

Ta akcja zaprowadziła spokój w regionie. Trakrail zaproponował, by rannych wrogów wziąć do niewoli i wyleczyć: pomysł polegał na tym, że jeśli po okolicy rozeszłaby się pogłoska o szansie przeżycia, grabieżcy, którzy ocaleli, dobrowolnie by się poddali. Kwestia, któ-

rej jednak nawet Trakrail nie był w stanie rozwiązać, dotyczyła tego, gdzie umieścić więźniów i czym ich nakarmić. Rankstrail wyśmiał

jego propozycję. Siuil pękał ze śmiechu tej nocy i przez kilka następnych. Śmierć i widok poległych robiły na Trakrailu duże wrażenie: widać było, że nie czuł powołania do zawodu żołnierza. Walczył z konieczności - z powodu blizny na twarzy. Był za to dobry w le-czeniu ran i znał się na ziołach, i dlatego wszyscy go lubili.

Nadeszła zima, która okazała się krótka, pogodna i sucha.

Delikatny śnieg w jeden dzień pokrył bielą masywne szczyty Wysokiej Skały, a potem się rozpuścił. Na wiosnę z Daligar przybył

oficjalny posłaniec, z dokładnie wyliczonym żołdem dla wszystkich, i co było wydarzeniem niebywałym - na ogół najemnicy byli analfabeci - z wiadomością dla Rankstraila. Była od jego ojca. Została napisana dobrze mu znanym, koślawym pismem Szalonego Skryby.

Zaczynała się od słów: „Kochany synu, marzę w każdej chwili o twoim powrocie i o twój powrót w każdej chwili się modłę...”. Potem były podziękowania za pieniądze, które szczęśliwie dotarły, zapewnienie, że wszystko idzie ku lepszemu i że kaszel pozostał już tylko wspomnieniem, następnie opis tego, jak wspaniale rośnie jego brat, informacje o jego siostrze, która zaczęła pracować jako pracznica; po-

średnik handlowy z Zewnętrznego Kręgu powiedział, że kto wie, gdy nadejdzie odpowiedni moment, może sam syn piekarza będzie dla niej odpowiednią partią; a potem niekończąca się seria zaleceń na wypadek zimna, gorąca, odmrożeń i - niech Bóg uchwala - ciosów nieprzyjaciół...

Zagubiony pośród krzaków jeżyn, z dzikami walcząc o żołędzie, a z pchłami, które grasowały mu w zbroi, o własną krew, młody żół-

niez czytał raz po raz ów list, namacalny dowód tego, że gdzieś tam daleko istniało życie inne niż to ich wieczne czołganie się w błocie, w ciągłym strachu przed niespodziewanym atakiem, który wyeliminuje ich na zawsze. W ciemności, gdy nie mógł już ponownie odczytać listu, po prostu przebiegał palcami po miejscu, gdzie znajdowały się słowa: „Mój kochany synu, marzę w każdej chwili o twoim powrocie i o twój powrót w każdej chwili się modłę...”.

Nadeszła wiosna, minęła i znów dostarczono żółd. Wysoka Skala została oczyszczona z nieprzyjaciół i najemnicy udali się na wzgó-

rza. Lato jak zwykle spaliło i wysuszyło trawę. Po całej krainie, i nawet poza Pograniczem, rozszła się pogłoska o niezwyciężonym żół-

niezu, silnym niczym niedźwiedź, posępnym niczym wilk, który przewodził najemnikom, odnosząc zwycięstwo za zwycięstwem. Był

surowym dowódcą: nigdy nie szafował miłosierdziem i żaden z jego wrogów nie uszedł z życiem z bitwy, lecz Rankstrail wiedział, co to litość wobec niewinnych i przywracał pogwałconą sprawiedliwość.

Znów otrzymali żółd i Rankstrail posłużył się umyślnym, by wysłać połowę pieniędzy swemu ojcu.

Jesienią wzgórza zostały oczyszczone i stało się to, co działo się zawsze, kiedy wojny zostają wygrane: żółd przestał nadchodzić. Wikt pozostał tylko wspomnieniem.

Wieśniacy powrócili do swoich gospodarstw, teraz już bezpiecznych, i zaczęli z coraz większą podejrzliwością i rozgoryczeniem spoglądać na swoje główki kapusty, których wciąż było mniej, oraz na swoje kury, które coraz częściej przestawały się nieść lub co gorsza, znikwały, jakby połknięte przez pierwsze mgły. W kraju zapanował spokój. Nikt nie potrzebował już najemników.

Garnizon został przeniesiony ze wsi, gdzie czasem coś się upolowało, niekiedy zaginęła jakaś owca -

do stolicy, a tu znikwały już tylko bezpańskie koty, a wkrótce i tych nie było.

Stolica regionu, Wysoka Strażnica, znajdowała się na zboczach Wąskiej Skały i była dużą wioską o zakurzonych uliczkach i wysokich murach z kamienia, poza które spadały zarówno użyteczne liście fig, jak i te niepotrzebne i wystrzępione, palmowe. W cieniu ogrodów znajdowały się maleńkie domy, pobielone wapnem, z drzwiami z ciemnego drewna, okienkami podobnymi do otworów strzelniczych i dachami w kształcie stożka, które zmniejszały upał w letnie dni i pozwalały ściekać wodzie podczas gwałtownych ulew jesiennych. Oddział wkroczył do wioski, niewitany przez nikogo z wyjątkiem nieprzyjemnego żołnierza, który wskazał im starą owczarnię, gdzie mieli się ulokować.

-Ej, Niedźwiedziu - powiedział Lisentrail. - Nie żebym miał zgrywać wyniosłą księżniczkę, ale tu nie tylko panuje smród jak w kloace, bo do tego zdążyliśmy się już przyzwyczać; tu po prostu nie ma czym oddychać. Brakuje powietrza. Człowiek nawet nie wystoi na nogach. Musimy chodzić na czworakach jak psy.

-Usiądź sobie - powiedział pojednawczo Siuil. - Wtedy się nie zmęczysz.

Nie chcąc przebywać w środku, spędzali dni kucając w błocie pod murem głównego placyku stolicy, gdzie znajdowała się stara studnia.

Naprzeciwko nich stał pałac dowództwa, największy budynek w okolicy, dwupiętrowy, ozdobiony rzędem kolumn podtrzymujących nierówne łuki. Na piętrze mieszkał Gubernator, daligaryjczyk, bardzo wysoki, szczupły, a raczej wychudzony (nie wiadomo czemu, skoro komu jak komu, ale jemu kurczaków na pewno nie brakowało).

- Ten ma dużo żółci we krwi - podejrzewał Trakrail, obeznany ze sztuką medyczną. - Musiał kiedyś mieć robaki i nie wyleczyli go z nich do końca.

- Ma dużo żółci w duszy - podsumował Lisentrail, utwierdzony w swej dobrej znajomości świata. - Musiał się urodzić tępakiem, a jego matka nigdy nie dała mu porządnie po głębie, nie to co moja, dla której był to jedyny sposób, by zrobić ze mnie ludzi.

Dziwactwo Gubernatora przekraczało ludzkie pojęcie: kwaśny i nie-zadowolony, garbił się i rozciągał usta osadzone bardzo blisko nosa, przypominającego kurzy dziób.

Na parterze pałacu stacjonował maleńki kontyngent zbrojnych; trzech kawalerzystów i czterech piechurów. Była tam stajnia, w któ-

rej trzymano konie, sala sprawiedliwości z przybudówką dla kata, szubienica, pręgierz oraz skromna kolekcja obcęgów, a także wiadra dla oddziału zbrojnych z wioski. Dokoła rozciągał się bujny ogród różany i łąka w kolorze intensywnego szmaragdu, który był dosyć zaskakujący na tle zgaszonej i przykurzonej zieleni reszty okolicy.

Łąka była nawadniana każdego dnia wodą ze studni, nawet latem, kiedy słońce wisiało nad martwą ziemią, a wody było tak mało, że kobiety przychodzące z dzbanami nie mogły ich napełnić.

Z nadejściem jesieni deszcze uzupełniły wreszcie studnie, a do strumyków, obrośniętych krzakami i oleandrami, powróciła woda.

Zieleń okolicy była jak zieleń łąki Gubernatora, która nie rzucała się już tak bardzo w oczy swą szmaragdową barwą. Może dlatego twarz kościstego urzędnika spochmurniała i wydłużyła się, a wraz z nią dłuższy stał się jego nos jak kurzy dziób.

Jesień była długa i błotnista. Najemnicy całe dni przesiadywali na ziemi przy murach obronnych i czując się nikomu niepotrzebni, spędzali je na opłakiwaniu czasów, gdy musieli walczyć z grabieżcami, i na marzeniu o tym, by ktoś wysłał ich wreszcie przeciw orkom.

Wszystko wydawało się lepsze od niegodnej wojownika beczynno-

ści, od ciągnącego się w nieskończoność marnotrawionego czasu, spędzanego na siedzeniu pośród kurzu, który w strugach deszczu zamieniał się w muł.

Pewnego dnia, gdy z mlecznego nieba przedzierało się mdłe światło, wysoki starzec, owinięty ciemnym płaszczem, podszedł do nich powłóczyстым i kołyszącym się krokiem.

- Ej, Niedźwiedziu, kolejny, co był w rękach kata - mruknął Lisentrail łamiącym się i przechodzącym w szept głosem, jak zawsze, gdy rozmowa schodziła na temat kata.

-Jeśli był w nich, to nie bez powodu - skomentował wyniośle Siuil. - Zawsze jest jakiś powód, jeśli ktoś kończy w rękach kata.

Starzec podpierał mur, pozostając cały czas w cieniu. Światło słońca wyszło zza chmur i bezczelnie pozbawiło go osłony. Starca zaatakowała grupa chłopców. Ich krzyki i uderzenia kamieni rzuconych w stronę muru przerwały ciszę sennego popołudnia.

- Patrzcie ich, jak się zabawiają - burknął Lisentrail tak cicho, że tylko Rankstrail zdołał go dosłyszeć. - Weseli i głupi, stado wilków nad ranną owcą.

Krzyki chłopców stały się głośniejsze. Siuil zachichotał.

- Najgorsze jest to, że kat zostawia ślad po sobie - kontynuował

Lisentrail. - Potem wszyscy mogą z ciebie szydzić... W każdej wiosce, w każdym miejscu, zawsze znajdzie się taki, dla którego naigrawanie się z innych to sama radość...

Rankstrail przypomniał sobie o Szalonym Skrybie i przytaknął.

Wystarczył jeden jego gest, by banda chłopców rozpierzchła się niczym stado psów wystraszone przez wilka. On i starzec popatrzyli na siebie przez moment, potem mężczyzna zniknął gdzieś w cieniu.

Kilka dni później pośród lekkiego deszczu, który wypędził z ulic wszystkich chłopców, starzec powrócił. Tym razem ośmielił się odezwać. Stał przed Rankstraiłem i przedstawił się jako Naikil,

pożyczkodawca.

- Pożyczkodawca? Czyli jesteście lichwiarzem? To dlatego was nie nawidzą! Żałuję, że powstrzymałem tamtych chłopców. Naprawdę żałuję. Prędzej czy później nadejdzie dzień, w którym nikt ich nie powstrzyma.

Starzec przełknął ślinę, z trudem łapiąc powietrze, ale potem wziął

się w garść i spytał, czy wolno mu zaoferować jemu i jego ludziom szlachetne, dobrze płatne zajęcie. Nie podnosząc nawet głowy, Rankstrail odparł, że dopóki może się bez tego obejść, nie ma zamiaru rozmawiać z lichwiarzami, i że policzy do dziewięciu, a potem ma go nie być.

- To będzie szlachetna praca - nalegał starzec.

Rankstrail nic nie odpowiedział. Uniósł głowę i spojrzał na niego z pogardą. Tamten obrócił się z zamiarem odejścia, potem niepewnie zatrzymał się jeszcze na chwilę.

- Jeśli zmienicie zdanie, to mieszkam tam - dodał w końcu, po kazując dom z zakratowanymi oknami, położony poniżej wioski, z dala od pozostałych, z ogrodem pełnym groźnie wyglądających ciemnych fig.

Rankstrail nie obrócił się nawet, by spojrzeć. Starzec oddalił się w deszczu.

Z nadejściem zimy niebo się zachmurzyło; skończyły się kasztany. Koty już dawno wyginęły i w końcu zaczęły znikać kury.

Pewnego jasnego, słonecznego poranka, podczas gdy wiatr smagał

wzgórza, jasno i surowo rysujące się na tle błękitnego horyzontu, na placu zjawili się zbrojni z pałacu - trzech kawalerzystów i czterech piechurów - którym towarzyszył jeden wieśniak i zakapturzony kat bez topora, ale za to z przepisowym kompletem czterech par obcę-

gów, wiszących na metalowych klamrach wielkiego skózanego pasa.

Rankstrail usłyszał zduszony jęk i nie musiał się obracać, by upewnić się, że to Lisentrail.

Nie pomarli jeszcze z głodu tylko dlatego, że Lisentrail krążył

między wzgórzami, zbierając wszystko, co nadawało się do jedzenia, łącznie z jeżozwierzami. Kasztany już się skończyły. Były jeszcze szczury, ale ciężko się je chwycić. Między krzewami i kamieniami musiało zapłatać się też parę kur. Rankstrail wiedział, że to, co zaraz powie dowódca żołnierzy, będzie prawdą: zauważył pierze i upieczono-ne skrzydełka. Wiedział też, że pieczone podzielono między wielu, właściwie to nawet między wszystkich, lecz tylko ten, kto dokonał

kradzieży, miał za nią zapłacić. Jeden z właścicieli zrabowanych kur złożył donos. Był to wieśniak, który towarzyszył zbrojnym.

- Dobrze - powiedział dowódca oddziału, żołnierz w stalowej zbroi z wyrytym na niej gryfem. Zbroja zalsniła w słońcu i Rankstrail spojrział na nią z fascynacją, podziwem i lekkim onieśmieniem. - Jestem sir Argniolo z Kawalerii Hrabstwa. Przybyłem wy mierzyć sprawiedliwość. Temu oto biednemu człękowi skradziono kurę. On, na szczęście, widział winnego.

Wieśniak wystąpił do przodu. Splunął na ziemię i wskazał Lisentraila.

Argniolo skinął głową i Lisentrail został otoczony przez czterech piechurów w zbrojach bez grawerunku.

-Ej, ty, prostaku - powiedział Argniolo - ile warta była ta twoja kura?

-Łocna moja kokoska, nader łocna była. Łocna jako słońce, krągło jako księżyc. Nigdy nie miał drugi, co by było tako łocna. Snad-nie tucna i świeżo dosyć. Jedno jajo dziennie mie znosiła, a w dzień lepsy to i nowet dwa - wymamrotał rozpaczliwie wieśniak, przygnębiony niczym ktoś, kto właśnie pochował pierworodnego syna. - Seść soldów na bidę, panie wielmozu, seść soldów.

-Kura była bardzo dobrego gatunku - przetłumaczył kat. - Młoda i tłuściutka. Dawała jedno jajo dziennie. Czasem nawet dwa. Warta była co najmniej sześć soldów.

Rankstrail rozpoznał wieśniaka i znieawidził go. To ten sam, któremu Lisentrail i jego ludzie przybyli z pomocą na drodze mię-

dzy Pietrafitta a Pietracaggiosa. Był tego pewien: ten sam, z tą swoją rzadką brodą i na wpół przymkniętym okiem; to jemu Lisentrail uratował życie, a potem oddał połowę zawartości swojej manierki i kilka cennych suszonych fig.

Argniolo zaśmiał się rubasznie.

- Niech będzie sześć - przytaknął. - Sześć zębów. Naprzód, ty tam, bądź grzecznym chłopcem. Jeśli sam otworzysz usta, nie rozża-rżymy dla ciebie obcęgow i oszczędzisz sobie wielu problemów, ale ty już to wiesz, prawda?

-To nieprawda - powiedział Lisentrail, który choć pobladł, mówił

spokojnym głosem. - To kłamstwo. Niczego nie ukradłem. On mówi, że ukradłem, ja mówię, że to nieprawda.

-Ej - powiedział Siuil, starszy żołnierz - ta kura wcale nie była warta sześć monet: stara i sucha jak patyczek.

Potem zamilkł natychmiast i zasłonił usta dłońmi. Lisentrail wydał

zduszony jęk.

Rankstrail pomyślał, że „imbecyl” na określenie Siuila to był właś-

ciwie komplement.

- No dobrze, niech będzie pięć zębów - zgodził się Argniolo do brotliwie.

Rankstrail spojrział na Lisentraila i po raz pierwszy dostrzegł

strach w jego oczach. To był żaloszny strach - lęk zawierający się w pełnym wstydu, krzywym spojrzeniu, spojrzeniu psa, nie mężczyzny. Jego usta rozchyłały się lekko w czymś na kształt uśmiešku i widać było, że żywił niedorzeczną nadzieję wzbudzenia litości u swoich oprawców. To nie był już ten sam żołnierz, który zawsze zabezpieczał tyły podczas natarcia, co kradł, by wyżywić ich wszystkich i stawiał czoła okropnym niebezpieczeństwom. Zamienili go w psa.

Rankstrail pomyślał, że czym innym jest zostać okaleczonym przez uderzenie topora, które dosięga cię w bitwie, podczas gdy twój dowódca przebiega do przodu, inni z kolei osłaniają cię po bokach, a coś innego to kat, który kaleczy cię, kawałek po kawałeczku, na oczach ludzi śmiejących się z tego.

Ważne są nie rzeczy, lecz znaczenie, jakie posiadają. Ważniejsze od samego bólu jest to, że ból jest opłakiwany lub wyśmiewany. Jeszcze gorsze od bycia zabitym lub okaleczonym jest to, że ktoś będzie świętował i się tym cieszył.

Starszy żołnierz Siuil zaczął się śmiać. Rankstrail zniechęcił

nawet jego imię, które przypominało mu coś między sykiem węża a piskiem myszy.

Lisentraile rzucił się na kolana lub może upadł, a dwaj piechurzy ciągnęli go za sobą.

Sir Argniolo także zaczął się śmiać, ale natychmiast przestał, bo Rankstrail stanął przed dwoma piechurami. Siuil również przestał

chichotać. Chcąc przede wszystkim zobaczyć, co się dzieje, ale może i instynktownie podążając za tym, który teraz stał się ich dowódcą, mężczyźni, przed chwilą siedzący jeszcze na ziemi, jeden za drugim, podnieśli się.

Było ich więcej niż pięćdziesięciu.

Tamtych było ośmiu, razem z katem.

- A ty, łajdaku, za kogo się uważasz? - spytał Argniolo złowrogim i lodowatym tonem.

Pod tą pogardą Rankstrail rozpoznał lekki i daleki, skryty i nieuchwytny, ale jedyny w swoim rodzaju strach.

- Rankstrail, eksce lencjo - odparł spokojnie, uśmiechając się. -

Ka

pitan, dowódca oddziału i tego żołnierza. Do waszych usług, eksce lencjo - dodał uprzejmym i

ugodowym tonem, kłaniając się nisko.

Mimo że nie miało to ironicznego wydźwięku, było aż nadto jasne, że usługiwanie Argniolowi ani nie jest, ani nigdy nie było zamiarem lub celem samozwańczego dowódcy. Stało się również oczywiste, że teraz to właśnie on był kapitanem: do tej pory nikt nigdy nie nazwał Rankstraila kapitanem. Do tej pory po prostu akceptowano fakt, iż kiedy przychodziło do walki, to on był tym, który wydawał rozkazy. On mógł udzielać wskazówek, a inni, uważając je za rozsądne, za nim podążać.

Teraz przestała to być jedynie możliwość.

Rankstrail został kapitanem plutonu lekkiej piechoty, kapitanem najemników.

-To najemnicy przyjmują rozkazy od szczeniaków? - spytał Argniolo.

-Widzicie, ekscelencjo - odparł Rankstrail - my, najemnicy, jesteśmy prostymi ludźmi. Wystarczy, że ktoś wygra i nie straci ludzi, a dajemy mu objąć dowództwo, kimkolwiek by był.

Widzicie, eksce-

lencjo, chodzi o to - Rankstrail wyrwał towarzysza z rąk piechurów, którzy otoczeni przez najemników, nawet nie pisnęli i bez protestów wypuścili ofiarę, postawił go z powrotem na nogi - że to jest jeden z moich ludzi, a mnie moi ludzie potrzebni są na tyle kompletni, na ile to możliwe. Bez palców nie wypuszczą strzał z łuku, a bez zębów plują, gdy mówią, i zajmuje im trzy dni zjedzenie zeschniętego kasztana. Nie da się, ekscelencjo, prowadzić wojny z człowiekiem, który za każdym razem, gdy ma powiedzieć, gdzie znajduje się wróg, tryska śliną jak fontanna i ani trochę nie da się go zrozumieć! Kilku mężczyzn się zaśmiało. Argniolo zbladł.

- Przesiadujecie przy murach jak muchy na psich fekaliach, nie wydaje mi się, by wymagało to posiadania wszystkich palców i zębów - odparł z nienawiścią.

Rankstrail puścił ramię Lisentraila, który teraz już był w stanie sam ustać na nogach. Obrócił się w stronę Argniola.

- Pomiędzy jednym wysiadywaniem przy murach a następnym

-odpowiedział Rankstrail - robimy, ekscelencjo, także inne rzeczy.

Widzicie, wczoraj byli Czarni Grabieżcy jutro może się zdarzyć polowanie na orków. No jak to, nie przypominacie sobie grabieżców?

-spytał wieśniaka, który patrzył na niego pobladły, próbując się schować za jednym z żołnierzy. - Mieli właśnie was rozszarpać na kawałeczki, każdy mniejszy niż jajko waszej kury! - Potem znów odwrócił się do Argniola - ci ludzie są moi i odpowiadam za nich ja i tylko ja. Co do kury, to według mnie zaszła tu jakaś pomyłka, ale tak czy inaczej zapłacimy za nią. Ile była warta? Sześć monet? Oddamy je wam, jeszcze dziś po południu. Lepsze sześć monet i pusta sakwa niż świadomość, że ktoś ma pięć zębów mniej w ustach, nie sądzicie? Albo jeszcze inaczej, oddamy wam siedem monet:

jedną monetę jesteście wam winni za fatygę, którą sobie zadaliście, niosąc w żołądku ciężar wody i fig, które dał wam kapral Lisentrail po tym, jak przybył uratować wam życie, przypominacie sobie?

-Kapral? - syknął Siuil, poszarzały na twarzy.

-Kapral? - syknął Argniolo. - Złodziej bez zębów i bez palców?

-Cóż począć, ekscelencjo - kontynuował Rankstrail niewzruszony.

- My jesteśmy lekka piechota. Najemnicy. Jesteśmy prości ludzie, łatwo nas zadowolić. Wystarczy, że ktoś parę razy uratuje nam skórę, i od razu dajemy mu awans. Cóż począć!

-Dobrze - powiedział szybko Argniolo. Spieszno było jemu i jego grupce nieskazitelnych i lśniących żołnierzy, by się oddalić od tych pięćdziesięciu szaleńców uzbrojonych po zęby, z brudnymi włosami, które opadały im na pokiereszowane twarze, dowodzonych przez jakiegoś dzikiego młodzika, który przypominał niedźwiedzia i który choć nadal się uśmiechał, zbliżał

się coraz bardziej do jego konia i do niego samego. - Dobrze -

powtórzył - to twoi ludzie. Od tej chwili rozkazy temu motłochowi wydajesz ty. Niech mi będzie wolno życzyć ci powodzenia. Ale wiedz jedno, kapitanie - dodał, cedząc słowa - za pierwszą skargę, jaka do mnie dotrze, za pierwszego kurczaka, który zniknie, zapłacisz głową.

Rankstrail podszedł bliżej. Położył dłoń na rękojeści miecza. Była to tylko sama rękojeść i kikut, który służył mu przede wszystkim do ścinania gałęzi i rąbania drewna - lecz z zewnątrz nie było tego wi-dać. Stał, podczas gdy tamten siedział na koniu. Popatrzyli na siebie i chłopak wykonał ukłon bardziej teatralny i głębszy od poprzedniego, a gdy się wyprostował, widać było, że nabrał jeszcze więcej pewności, a jego uśmiech był jeszcze grzeczniejszy.

-Ależ oczywiście, ekscelencjo. Prawdziwy dowódca bierze odpowiedzialność za życie i śmierć ludzi, których posyła do walki, i sprawiedliwe jest, by za nich odpowiadał. Za pierwszego kurczaka, który zniknie, zapłacę głową.

-Ja i ty prędzej czy później znów się spotkamy - zagroził szeptem Argniolo.

-Ależ oczywiście, ekscelencjo - odparł kapitan. - Takie już jest życie. Jeśli nie zdechniemy, ani ja, ani wy, to prędzej czy później znów się spotkamy.

Żołnierze oddalili się, wyprężając pierś. Wieśniak czmychnął

szybko i kucnął nieopodal sali sprawiedliwości, dla bezpieczeństwa tuż

obok kata. Kiedy zbrojni weszli już do swego ogrodu pełnego róż, skąd nie mogli go usłyszeć, Rankstrail potrząsnął głową i powiedział

niemal z westchnieniem, spoglądając na plecy Argniola: - Piękna zbroja.

- Ej, kapitanie - odrzekł cicho Lisentrail. Był pierwszym, który tak

go nazwał. - Kapitanie, co teraz zrobimy? Skąd weźmiesz te siedem soldów? On cię teraz nienawidzi. Może lepiej było nic nie robić? To szybko przechodzi, wiesz, to znaczy po tym, jak ci wyrwą zęby.

- Nikt nie tknie moich ludzi - odparł oschle Rankstrail. - Nigdy.

Te słowa nie były tylko przechwałką. Stały się prawdą. Ci ludzie należeli do niego: był ich Kapitanem. Przyjął na siebie odpowiedzialność za ich życie i śmierć. Był gotów zapłacić za to głową.

-Kapitanie, to niesubordynacja. Poćwiartują cię na kawałki, które dadzą psom na pożarcie.

-Nie. Jeśli ten tam poskarży się, że jakiś najemnik napędził mu stracha, straci twarz. Będzie milczał jak grób. Co więcej, za dzień albo dwa wmówi sobie, że to był jego pomysł, by zostawić cię w jednym kawałku, bo tak będziesz lepiej walczył dla hrabstwa.

Zapadła długa cisza, maćcona jedynie przez wiatr. Ogromne chmury płynęły szybko ponad wzgórzami. Niebo było granatowe i odbijało się razem z chmurami w kałużach na placu. Przeleciało stado kruków.

-Wypełniajcie moje rozkazy, a nie będzie kłopotów - kontynuował

Kapitan. - Nie wiem jeszcze, jakie to będą rozkazy, ale czuję, że będziemy mieli co jeść. Nikt nie zachowa się jak imbecyl, a moja głowa nie skończy w rękach Gubernatora.

-Kapitanie, oszalałeś, nie możesz dla nas ryzykować własną głową.

-Umiem oceniać sytuację - odparł Niedźwiedź - i się nie mylę.

Moja głowa zostanie na swoim miejscu. Niech ci rozważniejsi mają oko na głupców - dodał, patrząc na Siuila - a wszystko będzie dobrze. Kapralu Lisentrail, zaczekaj tutaj i niech nikt się stąd nie rusza, gdy mnie nie będzie.

Rankstrail ruszył w drogę. Wiedział, że dom lichwiarza znajduje się na samym krańcu zbocza. Zadał sobie pytanie, czy aby na pewno dobrze zrobił, i znalazł niepewną odpowiedź: siedem monet nie, ale może pięć zębów tego człowieka to już była rozsądna cena, za jaką gotów był sprzedać swoją duszę. Gdyby nawet wszystko źle poszło, zawsze mógł poświęcić swoją głowę, i w ten sposób zamknąć całą sprawę. Kiedy się oddalał, doleciał go głos kaprała.

- Ej, Kapitanie - powiedział Lisentrail - wiesz, że tylko ci, którzy nigdy nic nie robią, niczego nie niszczą i wszystko zostaje im zawsze na miejscu. Nawet Ten, co stworzył wszechświat, kilka palców i zębów musiał przy tym stracić.

Kapitan nie rozumiał, czy owo stwierdzenie było spóźnionymi przeprosinami, czy dowodem przychylnego szacunku.

Choć nie odwrócił się, by odpowiedzieć, był szczęśliwy, że usłyszał te słowa.

Starzec otworzył drzwi i wpuścił go do środka. Pokój był

okrągły, jak i cały dom. Na środku miał palenisko. Wąskie okna wpuszczały mało światła. W ścianach tej istnej nory wyżłobione były nisze wypełnione książkami, wszędzie indziej też znajdowały się tomiska, zamknięte, otwarte, różnej wielkości, nawet na ziemi i ogromnym dębowym stole, który zajmował pół pomieszczenia. Na drugim stole leżały gęsie pióra, pergaminy oraz inne dziwne przedmioty, których Rankstrail nigdy wcześniej nie widział. Ujrzał

też ogromne świece w skórzanych lichtarzach, tak jakby w nocy, zamiast spać, starzec spędzał czas na robieniu rzeczy, do których wykonywania potrzebne było światło.

W Zewnętrznym Kręgu świec brakowało i były cenne jak kury.

Jedna, jak dobrze poszło, przypadała na całą rodzinę, i używano jej tylko w nagłych wypadkach: kiedy w nocy dziecko wymiotowało lub kobieta musiała rodzić. Ale jeśli ktoś miał umrzeć, to już nie, bo to można zrobić po ciemku, właściwie bez świecy było nawet lepiej!

Poza tym w nocy się spało i nie było potrzeby jej rozświetlać. Może starzec w nocy nie sypiał?!

Rankstrail uznał to za niepokojące, ale jednocześnie fascynujące.

On także, od zawsze, spędzał nocny czas z otwartymi oczami i czujną, rozbudzoną świadomością. W pewnym sensie czuł się tak, jakby odkrył, że nie jest sam. Duży, tłusty, rudawy kocur spał na jedynym taborecie w pomieszczeniu i na widok Rankstraila wcale się nie ruszył. Palenisko służyło zarówno do gotowania, jak i do ogrzewania wnętrza. W pokoju było ciepło jak w wiosenne popołudnie, a nad małym ogniem kołysał się lekko duży, miedziany garnek, zawieszony na łańcuchu. Jedyny w swoim rodzaju zapach fasoli unosił się w małym pomieszczeniu i dotarł natychmiast do Rankstraila, wypełniając jego żołądek nagłym pragnieniem posiłku, a jego duszę bezgraniczną tęsknotą, wspomnieniem czegoś ciepłego, jedzonego na siedząco, pod dachem, przy ogniu.

Pożyczkodawca był bardzo uprzejmy i nie skomentował jego nie-spodziewanej zmiany zdania. Po tym, jak wpuścił go do środka, zaproponował mu kufel jabłecznika, który - jak musiał to Rankstrailowi wyjaśnić - był rodzajem napoju z jabłek. Potem postarał się uspokoić młodego żołnierza w kwestii znaczenia słowa „zaproponować”, które nie oznaczało bynajmniej konieczności zapłaty ani żadnego zobowiązania.

Sporo czasu zabrało starcowi wyjaśnienie, że propozycja napicia się jabłecznika była zwykłą uprzejmością, niemal banalną, podczas gdy mniej powszednie i już nieco bardziej wyjątkowe było zaproszenie na obiad: czy Rankstrail miałby ochotę zjeść z nim fasolę?

Doszło do długiej dyskusji i starzec objaśnił dzikiemu młodzianowi, na czym polega wspólny posiłek, podkreślając, że żadna z tych propozycji nie zawierała w sobie obraźliwego ani nie oznaczała, że jej adresat jest nędzarzem, żebrakiem, jałmużnikiem czy kimś umierającym z głodu. W końcu Rankstrail, prawie z krwawiącym sercem, odmówił stanowczo fasoli i zgodził się na pół kufła

jablecznika.

Starzec bez swojego płaszcza wydawał się mniejszy. Miał wielki nos w kształcie ziemniaka, pobrużdżoną twarz i gęstwinę siwych włosów na głowie, pośród których migotały promienie słońca, prze-cinające pokój niczym ostrza.

- Praca, do której was potrzebuję, to szlachetne zajęcie. Doprawdy szlachetne - powtórzył.

Rankstrail przytaknął.

- Oto i nasz wróg - powiedział starzec, wskazując coś za ciasnym oknem, co wyglądało na wzgórze Pietrasalata.

Kapitan popatrzył w kierunku wyznaczonym przez długi palec wskazujący: stado baranów spokojnie skubało ostatnie źdźbła trawy na płaskowyżu.

-Owce? - spytał zdezorientowany.

-Barany - potwierdził starzec. Do tego momentu sprawiał wrażenie kogoś przy zdrowych zmysłach. Może i trochę cudacznego, ale z pewnością nie kompletnie szalonego. - Wiecie, jaka jest różnica między krową a owcą?

-Tak - odpowiedział pewnie Rankstrail. - Krowy są większe.

-To prawda. Ale jest jeszcze inna różnica, ważniejsza - odparł

starzec i czekał.

Rankstrail musiał się skoncentrować.

- Barany robią „bee” a krowy „muuu” - powiedział wreszcie, wy czerpując tym samym cały zasób swojej wiedzy na ten temat.

Starzec potrząsnął głową.

-Zęby krów tną, zęby owiec szarpią - wyjaśnił. - Rozumiecie, co to oznacza?

-Że lepiej nie dać się ugryźć ani jednemu, ani drugiemu?

-Nie, chyba że jesteście źdźbłami trawy.

-Nie przypominam sobie, bym kiedykolwiek był źdźbłem trawy -

odparł oschle Rankstrail.

Starzec westchnął, potem wytłumaczył mu, że jeszcze przed paru laty młode krowy pasły się na gęsto porośniętych koniczyną i kwiatami łąkach u podnóża wzgórz, których szczyty pokryte były lasami

dębów i sosen o bujnych koronach. Żęby krów cięły trawę, która w związku z tym wyrastała potem silniejsza, dużo zieleńsza, bujniejsza i więcej w niej było koniczyny, ziół leczniczych i kwiatów. To oznaczało, że ziemia, jak okiem sięgnąć, pokryta była silną, bujną i zieloną trawą, która żywiła krowy, a jej korzenie zatrzymywały wodę deszczową, i dzięki temu nie uciekała przez szczeliny w wyschniętej ziemi, tak jak działa się to obecnie.

Niekończące się Deszcze przyniosły nędzę i zatopiły w błocie nawet krowy i kiedy pięć lat temu znów powróciła przemienność pór roku, po tym, co było kiedyś, nie pozostało nic więcej jak ogołoczone kości psów albo ich właścicieli. Nie było już krów ani pieniędzy, aby je nabyć, więc ludność, nie chcąc się zadłużać ani dać się osku-bać lichwiarzom, nie kupiła nowych krów, lecz owce. Owce nadają się tam, gdzie rosną krzaki albo krzewy, ale nie na łąki - tam ich obecność to katastrofa. Kosztują mniej, bo - nie da się ukryć - są mniejsze, ale wyrrywają trawę z korzeniami i po kilku latach ziemia jałowuje i obumiera. Najpierw staje się żółtobrazowa, potem pęka, a szczeliny, które na początku są małe i rzadkie, z czasem pokrywają cały teren. Jednocześnie kurz zasłania cały horyzont i rozwiewają się marzenia ludzi o tym, by mieć co zebrać wieczorem. Wtedy aby przeżyć, zaczyna się wycinać drzewa. Lasy zamieniają się w stepy i wrzosowiska, które przy gwałtownych jesiennych ulewach stają się mokradłami, a przy letnim wietrze usychają w słońcu. Pasterze stają się drwalami. Najpierw dęby, później sosny o olbrzymich koronach, wszystkie po kolei zostają ścięte, powalone na ziemię, a potem ładuje się je na wozy i wyrusza sprzedać na północy jako drewno na opał. Wiecie, co to oznacza?

-Nie ma już więcej orzeszków piniowych ani korków, żeby za-tykać manierki? - odparł młody Kapitan, dosyć dezorientowany.

- Nie żeby orzeszkami piniowymi można się było najeść, ale są całkiem smaczne, z rozmarynem, wewnątrz nietoperzy, ale na zewnątrz też, i nawet bez rozmarynu...

-Tak, to też - przerwał mu starzec - Prawdziwym problemem jest jednak woda. Korzenie drzew zatrzymują wodę. Tam gdzie nie ma drzew, woda jest pochłaniana przez glebę i znika. Każde lato staje się dłuższe i bardziej suche od poprzedniego. Wszystko robi się żółte. Błoto zamienia się w kurz. Dlatego musimy sprowadzić z powrotem krowy i dać ludziom pracę albo susza uczyni ziemię niepłodną, a desperacja - ludzi bandytami. Chwycą siekiery w ręce i nałożą czarne kaptury, by zamaskować twarze. Ja nie jestem lichwiarzem,

wolę zwać się pożyczkodawcą. Nie chcę łupić ludzi, tylko pożyczać im pieniądze po to, żeby odżyli, a świat znów stał się zielony.

Starzec stał przed Rankstraiem w słabym świetle słońca, które zaczynało już zachodzić, i przypatrywał mu się, podczas gdy jego pobrużdżona twarz zaczynała powoli odzyskiwać witalność, a głowa unosiła się w dumie, gdy mówił.

Kapitan potrząsnął głową.

-Nie moglibyście im dać tych pieniędzy? Nie możecie po prostu dać ich ludziom i tyle? Albo jeśli nie macie wystarczająco dużo, by im je podarować, to chociaż nie kaźcie sobie zwracać więcej, tak jak lichwiarze, kaźcie sobie przynajmniej oddać tyle samo. To byłoby bardziej przyzwoite, gdyż oni są

biedni. Ja sam nienawidzę lichwiarzy. Wszyscy najemnicy nienawidzą lichwiarzy tak samo jak kata. Gdyby nie lichwiarze, w ogóle byśmy się do wojska nie zaciągali, gdyby nie kat, już byśmy z niego odeszli.

-Ja też nienawidzę lichwiarzy. Lichwiarze to ci, którzy pożyczają pieniądze temu, kto ich potrzebuje, a potem łupią go odsetkami, aby zrobić z niego nędzarza. I nienawidzę najemników: ludzi, któ-

rzy sprzedają swój miecz każdemu, kto zapłaci. Ja jestem pożyczkodawcą, nie lichwiarzem. A wy jesteście żołnierzem, nie najemnikiem, bo choć dla pieniędzy się zaciągnęliście, to nie tylko po to poszliście tam, na wzgórze, by przeszukać je, żdźbło za żdźbłem, ryzykując każdego dnia swoje życie. Jestem pożyczkodawcą: nie rozdaję pieniędzy, tylko je pożyczam, bo tak mnoży się bogactwo. Nie tylko moje bogactwo, bogactwo wszystkich. Użycie mi siły waszych mieczy, a ja uczynię z tej ziemi prawdziwy ogród. Pieniądzy nie można rozdawać, dlatego że szybko się kończą i ponieważ wymuszona wdzięczność to upokorzenie, a upokorzeni ludzie nie walczą i nie zwyciężają.

Pożyczka bez odsetek, kiedy zwraca się taką samą sumę, jaką się otrzymało, leży jednak w gestii pożyczkodawcy i zależy od jego hojności. Ta, niejako z definicji, musi się wreszcie wyczerpać, a z punktu widzenia tego, który pożyczka, z konieczności zakłada upokorzenie w postaci wdzięczności. Nie udało mi się nakłonić was

do przyjęcia połowy miski fasoli. Gdybyście byli wieśniakiem, za żadne skarby nie mógłbym zmusić was do przyjęcia pieniędzy ko-niecznych do kupna krowy. Taka pożyczka, gdy przy zwrocie trzeba dołożyć dodatkowo małą sumę, wzbogaca zarówno pożyczkodawcę, jak i odbiorcę: tylko taka sytuacja, powtarzając się w nieskoń-

czoność, wypracowuje dobrobyt danego kraju.

-Ale ta dodatkowa suma musi być faktycznie mała, bo inaczej to lichwa.

-Oczywiście, musi być mała, w przeciwnym razie to lichwa i powoduje nędzę, a nie dobrobyt. Niszczy, nie buduje. Ja pożyczę pieniądze na zakup krów, a wy pójdziecie odebrać bydło. Tylko uzbrojeni ludzie mogą przemierzać te krainy, mając ze sobą złoto lub cenne zwierzęta.

-A potem co? Co jeśli ktoś wam nie odda złota, które mu pożyczycie? Oddacie go w ręce kata?

-Nie. Macie na to moje słowo. Przysięgam wam, że do tego nie dojdzie.

-Chyba nie przyszło wam do głowy, że to my się pójdziemy rozprawić z tymi, co nie zapłacą?

-I tym razem daję wam moje słowo, a zapewniam was, że moje słowo coś znaczy, że nigdy do tego nie dojdzie. Wasz honor nie jest zagrożony. Wasza dusza też nie.

-A jak, do licha, zmusicie ich, żeby zapłacili? - spytał młody Kapitan z irytacją.

-Zapłacą mi, bo będą w tym mieli swój interes. Zrozumieliście?

-Nie - odparł szczerze Niedźwiedź.

-Nieważne. Jesteście skłonni użyć mi waszej siły? Przysięgam, że nie splamie tym swego honoru. Ile lat macie, panie?

Rankstrail aż podskoczył. Nie tylko było to pytanie, na które udzielenia odpowiedzi wolałby uniknąć, ale dodatkowo onieśmielił

go zwrot „panie”. Był tak nieprawdopodobny w odniesieniu do jego osoby, że wydało mu się, iż zabrzmiał śmiesznie, by nie powiedzieć prześmiewcze

-Dwadzieścia dwa - skłamał. - I za pozwoleniem, wolałbym, aby zwracano się do mnie „Kapitanie”.

-Dobrze, Kapitanie, możecie zatem wyjawić mi wasz wiek. Zapewniam was, że będę strzegł tego sekretu równie pieczołowicie jak złota.

-Osiemnaście - odparł Rankstrail. Starzec wciąż mu się przypatrywał w milczeniu. - Szesnaście - powiedział wreszcie. - Tak myślę - dodał.

-Dobrze - zgodził się starzec. - Macie zatem tyle samo lat, co nasz sir Arduin, kiedy odzyskał nasz świat, przywracając tym samym chwałę rodu ludzi. Tak, tak. Wy dorastacie szybko, stajecie się dorośli i zostajecie żołnierzami w bardzo młodym wieku.

-My... Kto?

Pożyczkodawca zagadkowo skinął w odpowiedzi.

- Sądzę, Kapitanie, że między wami a sir Arduinem jest więcej po dobieństwie, niż myślicie. Mówią, że umiecie czytać.

Rankstrail przytaknął, starając się niby obojętnie ukryć dumę.

-Umiecie także czytać mapę?

-Nie wiem nawet, co to mapa. Ale czytać umiem - odparł z powagą Kapitan.

-Otóż spójrzcie tu, na tę serię słów i obrazków. Wyobraźcie sobie, że jesteście ptakiem i przelatujecie nad okolicą. To jest Wysoka Skała, ten punkt to wzgórze Pietrafitta, a to jest Pietracaggiosa...

Kapitan zrozumiał w okamgnieniu. Starzec miał rację: to było tak, jakby stał się ptakiem, który lata wysoko i widzi nawet to, co jest poza horyzontem.

-Góry Ciemności, Daligar... - kontynuował już sam, rozpoznając różne miejsca.

-Teraz przejdźmy do tego, co mamy zrobić. Powierzę wam moje złoto. Wraz z nim przejdziecie przez wzgórze i dotrzecie na drugą stronę Wysokiej Skały, do płaskowyżu Kasztanii.

-Tak, to proste, pójdę wzdłuż tej drogi, a potem, gdy dotrę do najwyższego punktu, skreślę w tę

stronę...

-Właśnie, skręćcie na wschód, tam gdzie wstaje słońce. Wyżyny pozostały ponad terenami, gdzie występują Niekończące się Deszcze, i tamtejsze krowy przetrwały. Teraz mają ich tam pod dostatkiem, aż nadto, i wiem, że próbują nimi handlować. To ziemie bogate w wodę, lecz pozbawione złóż metali i soli, a ludziom, którzy je zamieszkują, potrzebne są pieniądze, by mogli handlować.

Kupicie krowy, po kilkadziesiąt sztuk za każdym razem, i przyprowadzicie je tutaj. Trzeba uzbrojonych ludzi do przewiezienia złota i uzbrojonych ludzi do eskortowania krów, ale nie sądzę, byście mieli zostać zaatakowani. Za bardzo się was boją. Ja zapłacę wam tak jak hrabstwo i zapewnię wam wszystkim tyle przyzwoitego jedzenia, ile będzie trzeba. Pierwszą zapłatę otrzymacie po dostarczeniu pierwszych krów na miejsce. Kiedy możecie wyruszyć?

-Jak tylko załatwicie coś do jedzenia dla moich ludzi, tych, którzy wyruszą, i tych, którzy zostaną. Ruszamy natychmiast, jeśli chcecie - odparł Rankstrail.

Poprosił o zaliczkę w wysokości siedmiu soldów, pożegnał starca i odnalazł wieśniaka, nadal siedzącego w kucki nieopodal kata. Bez słowa wcisnął mu część pieniędzy do ręki i odszedł.

-Taki ja bidny - usprawiedliwił się tamten płacząco. - Kura to kura.

-Człowiek to człowiek - odparł Kapitan, nie odwracając się.

Pozostawiwszy kaprala Lisentraila i połowę swoich ludzi do ochrony wyludnionej Wysokiej Strażnicy i przykazawszy im, by ukryli się w owczarni, Rankstrail wyruszył w drogę.

Brak Lisentraila u jego boku był niemal dokuczliwy, lecz nie ośmielił się pozostawić oddziału w rękach starszych żołnierzy ani zdawać się na ich wierność i bystrość w sytuacji, gdy stawką była jego głowa.

Martwiły go pieniądze, które powierzył mu starzec. Nie miał

pojęcia o tym, jak kupuje się krowę ani jak przekonuje się ją do wędrówki.

Mimo wszystko czuł radosne i miłe podniecenie, którego nie potrafił nazwać, a jednak nie było ono jedynie ekscytacją na myśl o podróży w nieznane ani nadzieją posiadania czegoś, co będzie mógł

wysłać ojcu, czy też przyjemnością płynącą z otrząśnięcia się z nudy i apatii.

Płaskowyż Kasztanii ukazał się na horyzoncie, jak tylko opuścili Wysoką Skałę - wspaniałe, cały pokryty morzem kasztanowców, które kłębiły się w dolinach. Ich zieleń miała jeszcze ciemniejszy ton, a drzewa przypominały łuski ogromnego smoka. Teren był po-przecinany niezliczonymi strumykami, które spadały w przestrzeń, tworząc wodospady. Poniżej znajdowały się małe jeziora, w któ-

rych odbijał się błękit. Huk wody słychać było na każdym kroku wśród rozległych lasów, pełnych

paproci i kasztanowców. Wioski przypominały orle gniazda, umiejscowione na najwyższych szczytach i otoczone potężnymi i niedostępnymi murami. Pomiędzy kamieniami murów kwitły cierniste figi. W lasach brzęczało mnóstwo pszczół. Miód kasztanowy był słodki i ciemny, za to ten z mącznicy

- niemal gorzki. Rankstrail nauczył swoich ludzi, pokrytych błotem lub ziemią, poruszać się powoli, tak aby umiejętnie wykraść małym skrzydlatym stworzeniom to, co dla wszystkich było pokarmem bogów.

Najokazalsza część płaskowyżu odcinała się na tle nieba, odróż-

niając się dumnie od wszystkich innych wzniesień. Pokryta była warstwą gęstej i zielonej trawy - Rankstrail nigdy wcześniej takiej nie widział - która żywiła liczne stado dzikich krów. W wielu miejscach trawa rozstępowała się, porwana niezliczonymi strumykami, które miejscami rozlewały się pośród żyznej gleby, tworząc nieskoń-

czenie wiele małych czystych stawów, w miejscowym języku nazywanych „kałużami”. W kałużach pływały czarne rybki, a czasem kilka żab. Rankstrail pomyślał, że jeśli byłoby mu dane dożyć późnej starości, a nie ponieść śmierć na służbie, to tutaj właśnie chciałby ją spędzić.

Najemnicy poznali dziwny lud pasterzy, wolnych, dumnych, draż-

liwych i niegościnnych. Wszyscy, nawet kobiety, byli uzbrojeni po zęby, tak samo albo i nawet lepiej niż żołnierze. Ci pochodzący ze Scannuruzzu i Lafrisonaccia, największych wiosek położonych na krańcach płaskowyżu, zgodzili się sprzedać im jedno ze stad wraz z cielakami.

Pertraktacje handlowe były długie i ciężkie, prowadzone w miejscowym szorstkim języku, twardym i gardłowym. Pasterze podkreślali bezustannie urodę bydła: „Krowy naze durudne zom barrzo...”.

Na szczęście z Kapitanem był Trakrail, który wykazywał wyjątkową intuicję w rozumieniu nieznanymi języków.

Krowy były małe, chude i bojowo nastawione, w kolorze przechodzącym z kasztanowego w czerwony, z czupryną gęstej i długiej sierści, która opadała z czoła na oczy, czyniąc ich spojrzenie jeszcze groźniejszym. Potrafiły wspiąć się na najbardziej strome skały. Nie miały w sobie nic z majestatycznych białych stworzeń, które odbija-

ły się w polach ryżowych Varil, były silne i nigdy się nie męczyły.

Pod koniec pierwszych dwóch dni wyczerpujących pertraktacji na nieruchomej twarzy przywódcy wioski Scannuruzzu, który sprawował także władzę nad całym regionem, zdrząły kąciki ust, co musiało być lokalną wersją promiennego uśmiechu. Mężczyzna podarował Kapitanowi nietypowy nóż: cienki sztylet, z trzonkiem z drzewa oliwnego, który w Kasztanii musiał posiadać każdy prawdziwy mężczyzna.

Eskortowanie krów okazało się mniej kłopotliwe, niż przewidywali. Na początku Rankstrail kazał je powiązać długimi sznurami, ale potem się zorientował, że jeśli tylko pozwoliło im się w spokoju

skubać trawę, nie uciekały, nie gubiły się i szły za ludźmi, którzy je prowadzili. Ciekawość ludzi na widok Rankstraila mijającego Wysoką Skałę przerodziła się w prawdziwą euforię. Wylegli z wiosek, by powitać krowy wracające w ich okolicę. Wielu miało łzy w oczach, kiedy głaskali zwierzęta - jakby byli to ich krewni, którzy gdzieś zaginęli, a teraz się odnaleźli. Niektórzy poszli za Rankstraiem aż do stolicy i targowali się ze starcem, który odstąpił każdemu po jednej krowie, częściowo za pieniądze, częściowo w zamian za pracę. Dopiero po spłaceniu pierwszej można było uzyskać następną.

Po kilku dniach odpoczynku najemnicy znów wyruszyli. Od trzeciej wyprawy Rankstrail zaczął zabierać ze sobą Lisentraila. Jego ludzie jedli regularnie, dostawali żołąd i z wyjątkiem jednego, wszyscy skoczyliby za nim w ogień. Otaczali go wierni ludzie, a Siuil ze swą podejrzaną głupotą stał się jakby mniej szkodliwy. Wiele cieląt, któ-

re podążały za swoimi matkami, to były byczki - po jakimś czasie stada będą mogły się rozmnażać i wtedy dobrobyt się utrzyma.

Poza wcześniej ustaloną kwotą pieniędzy starzec wręczył Rankstrailowi także książkę, jak mu wyjaśnił, po to, by grzejąc się przy ognisku, Kapitan mógł spędzać nad nią swoje długie, teraz już spokojniejsze wieczory.

Książka opowiadała historię hrabstwa. Spośród wszystkich nad-zwyczajnych rzeczy, jakie mu się przytrafiły, otrzymanie takiego prezentu wydało się Rankstrailowi tą najbardziej nieprawdopodobną, lecz przyznał, że starzec miał rację. Wspaniale było trzymać w dłoniach książkę, siedząc przy ogniu, o wiele lepiej niż nudzić się w obozowisku i czekać, aż czas przepłynie niczym woda w strumyku.

Na początku Rankstrailowi cały wieczór zajmowało przeczytanie paru linijek, potem trudności gdzieś zniknęły, a strony zaczęły się zmieniać jedna za drugą, szybko niczym zające na śniegu, wciąż śledzone czujnym spojrzeniem. Wzruszało go trzymanie w rękach czegoś, co zostało spisane. Człowiek lub ludzie, którzy skreślili te słowa, zamienili się w proch już lata temu, lecz słowa pozostały i pokonały czas i śmierć, aby on mógł teraz poznać historie, które mu opowiadały. Jego ludzie na początku podśmiewali się z niego, ale potem pojawiła się ciekawość, i pytania. Cierpliwie kreśląc litery palcem na drodze pełnej kurzu, niczym atramentem na pergaminie, Rankstrail zaczął ich uczyć czytania i pisania. Czasami odczytywał

tekst na głos i wtedy jakby czytali wszyscy.

Druga pożyczona książka dotyczyła astronomii. Miała obrazki.

Rankstrail wreszcie zrozumiał, że dziwne przyrządy starca, wykonane z miedzi i mosiądzu, służyły do obserwowania konstelacji. Trzecia lektura traktowała o strategiach stosowanych przez sir Arduina. Aby zrozumieć napisy, które się w niej znajdowały, Rankstrail musiał

nauczyć się trochę elfickiego, niedużo, lecz na tyle, by móc napisać i odczytać swoje imię w tym języku. Ta lektura także dostarczyła mu wielu emocji. Szalony Skryba opisywał kiedyś bitwy przedstawione w tej książce, lecz słuchanie o nich było niczym w porównaniu z uj-rzeniem na własne oczy schematów, które je przedstawiały.

Podczas siódmej albo ósmej wyprawy Rankstrail spostrzegł, że coraz częściej spotykają innych podróżnych: głównie handlarzy solą i skórami. Czasem byli to sprzedawcy tkanin na kolorowych wozach, niekiedy wędrowni śpiewacy lub kuglarze. Przy drogach pojawiły się małe gospody i kuźnie, a także stragany z suszonymi kasztanami i kiełbasą z dzika.

Kiedy zapadała noc, Rankstrail unosił oczy ku górze i spoglądał

na niebo, rozświetlane przez gwiazdy, których nazwy już znał, a te niczym osobiwa mapa, zapisana szyfrem, wskazywały mu drogę.

Starzec miał rację: krowy okazały się błogosławieństwem. Wystarczył

jeden sezon, by wzgórza znów się zazieleniły aż po same szczyty. Delikatny deszczyk dość regularnie je zraszał. Na wiosnę oleandry na nowo pokryły się dużymi białymi i różowymi kwiatami, a zamulone kanały zamieniły się w strugi i maleńkie potoki.

Kiedy jesienią oleandry przekwitły, podczas ulew strużki stały się prawdziwymi strumykami z czystą wodą.

Odsetki z pożyczek na zakup krów zostały odpracowane: starzec nakazał wydrążyć i wyłożyć gliną głębokie kanały, które brały początek w strumykach, a między nimi w regularnych odstępach posadzono drzewka pomarańczowe. Kanały na początku były puste, lecz po kolejnych ulewach zaczęły się napełniać wodą i skrzyć w świetle słońca.

Woda nie mogła przeciekać przez glinę i wsiąkać w grunt, więc od-pływała do dalszych, maleńkich rowów, pomiędzy korzeniami drzew, których kuliste korony odcinały się zielenią na tle brunatnej gleby.

- Jak mawiał nasz sir Arduin, aby wojny były skuteczne, trzeba je prowadzić dwie naraz: jedną przeciwko temu, kto grabi i morduje, a drugą przeciw głodowi, bo głód popycha ludzi do grabieży i mordowania, i wtedy trzeba wracać do punktu wyjścia i zaczynać wszystko od nowa. - Były to słowa pożyczkodawcy skierowane do Rankstraila w dniu rocznicy jego przybycia do Wysokiej Strażnicy, który postanowili wspólnie uczcić. - W pewnym sensie ja odegrałem rolę wielkiego szambelana, tego, który udziela rad, wy zaś rolę króla, który prowadzi swe wojsko i dba o dobro ludu. Myślicie, że dziś możecie wreszcie zjeść u mnie talerz fasoli?

-Kim jesteście? - spytał Kapitan.

-Już wam to powiedziałem, Kapitanie, jestem Naikli, pożyczkodawca.

-Chcę wiedzieć, kim jesteście i kto okaleczył wam stopy. Potem, jeśli odpowiedź mnie nie przestraszy, zgodzę się może na talerz fasoli.

Starzec, który stał pochylony nad garnkiem, odwrócił się i długo patrzył na Rankstraila, nim wreszcie zaczął mówić.

- Byłem wielkim szambelanem, doradcą ostatniego króla Daligar.

Król może i był kretynem, w rzeczy samej, ale nie przestępcą. Gdyby Niekończące się Deszcze nie zatopiły świata, zdołałbym utrzymać władcę na drodze mądrości. O ile prawdą jest, że wojny należy wygrać dwie za jednym razem, o tyle jest nią również i to, że można je obie za jednym razem przegrać. Kiedy nędzą zalewa czyjaś ziemię, łatwo jest ulec temu, kto obiecuje swą opiekę. Widzicie, Ka pytanie, kiedy zły los doświadczają świat ludzi, myśl o tym, że ból i cierpienie miałyby być zależne od nieprzewidywalnego przypadku, jest nie do zniesienia. To wtedy właśnie rodzi się pokusa, nieczna i bezwstydna, by uwierzyć, że rzeczywistość można kontrolować i że istnieje ktoś, kto ową kontrolę sprawuje. Ktoś z jednej strony na tyle potężny, by powodować klęski, a z drugiej - na tyle bezsilny, by znosić prześladowania z naszej strony. Ktoś na tyle przebiegły, by władać światem, i na tyle szalony, by pozwolić innym zrzucić na siebie odpowiedzialność za wszystko. Taka świadomość daje lu dziom iluzję bycia panami przeznaczenia: wystarczy tego kogoś znaleźć i zgładzić, tego, który jest odpowiedzialny za ból i cierpienie, by życie znów było takie jak dawniej. Starałem się temu przeciwdziałać, kiedy szaleństwo ogarnęło świat zatopiony przez Niekończące się Deszcze, a elfy zostały oskarżone o całe zło, jakie się na nim pojawiło. Będziecie tak dobrzy i nie poinformujecie waszego Zarządcy, że tutaj przebywam? Sam, niejako z przyzwyczajenia, nie lubię pracy w połowie wykonanej, lecz wolałbym jednak, by kaci z Daligar nie dokończyli swej roboty.

Rankstrail namyślał się dłuższą chwilę. Nigdy niczego od nikogo nie przyjął, z wyjątkiem kilku suchych fig od Lisentraila, i musiał

kilkakrotnie nabrać powietrza w płuca, zanim zapytał pożyczkodawcę, czy będzie na tyle uprzejmy, by zaproponować mu pół garn-ka fasoli.

Był to pierwszy z całej długiej serii ich wspólnych posiłków, które niechybnie wprawiały młodego żołnierza w zakłopotanie, mimo że wcześniej nie przyszłoby mu nawet do głowy, by odczuwać niepewność wobec sytuacji mającej cokolwiek wspólnego ze spożyciem posiłku. Fasola była smaczna, przyrządzona z cebulą, oliwą, a nawet kilkoma kawałeczkami słoniny, ale Rankstrailowi niedane było tym razem zjeść jej w spokoju, gdyż pożyczkodawca, tudzież wielki szambelan hrabstwa Daligar, bogaty w długoletnie doświadczenie i pewny siebie w roli gospodarza, zasypał go niedorzecznymi i nieznośnymi żądaniami. Zobowiązał go, by zamiast chleba i rąk użył

czegoś w rodzaju śmiesznej małej warzachwi, i wytłumaczył, że nie trzyma się jej ani tak jak maczugi, ani jak sztyletu. Pojawił się również nożyk, którym przykazano mu ciąć na kawałeczki mięso, przy-trzymywane czymś w rodzaju miniaturowych widel.

-Dobrze wychowana osoba używa widelca, noża oraz łyżki i nigdy nie dotyka jedzenia dłońmi.

-Ale ja jestem najemnikiem.

-To nie powód, by jeść jak ork.

Młody żołnierz mógł używać stołu jedynie jako miejsca dla miski, a nigdy po to, by oprzeć o niego części ciała: łokcie ani - tym bardziej - nogi. Starzec zażądał, by nie siorbał, gdy pije, odwracał

głowę, gdy kicha, by nie smarkał w dłonie, a zwłaszcza nie robił tego nigdy w czasie jedzenia.

Słowa starca zafascynowały jednak Rankstraila, który - byle tylko nie stracić możliwości słuchania ich - przewyciężył irytację i podporządkował się bezsensownym głupstwom, jak jedzenie z wyprostowanymi plecami, podniesioną głową, łokciami przyciśniętymi do boków oraz niedrapanie się przy stole, choćby nie wiadomo jak bardzo gryzły zastępy wszy, które gościł na swoim ciele, i choćby nie wiadomo jak się rozzuchwalały pod wpływem ciepła bijącego od paleniska.

Kiedy poirytowany Kapitan pytał, czemu mają służyć wszystkie te głupstwa, pożyczkodawca odpowiadał wesoło, że w dniu, w którym przyszedłoby mu zjeść posiłek przy jednym stole z ambasadorami, nie zrobi złego wrażenia.

Najemnicy stali się wówczas porządnie nakarmioną gromadą, która maszerowała przez wioski, nie musząc już wysłuchiwać przekleństw, oskarżeń o kradzież i nienawistnych słów. Kapitan Rankstrail przemierzał coraz odleglejsze regiony, eskortując złoto lub prowadząc coraz liczniejsze i coraz dorodniejsze stada, i nikt nigdy nie odważył

się go zaatakować. Miał nagolenniki nie do pary i zbroję ze sztu-kowanych kawałków metalu, mierzył siedem stóp wzrostu i nosił

brudne włosy, które opadały mu na twarz, a mimo to jeszcze szybciej niż on sam pojawiała się wszędzie fama o tym, że jest niezwycię-

żony. Pokonał grabieżców, bo tak jak sir Arduin, wiedział zawsze, gdzie zaatakować, kiedy się wycofać, jak ukryć i w jakim momencie kontratakować. Był dowódcą najemników. Dzięki niemu jego ludzie stali się nie tylko niezwyciężeni, ale i porządni. Otaczała ich niemal cześć. Odnosił też zwycięstwo w innej wojnie - tej przeciwko głodowi. O Rankstrailu krążyły dziwne legendy: że umie czytać i że jeśli chce, potrafi mówić mądrze niczym wielki szambelan. Kiedy przechodził, kobiety i dziewczęta usuwały się, jak wypadało im to robić, gdy mijał je najemnik, lecz z za ciemnych ogrodzeń, z wysokich tarasów, ukrytych pośród pnączy, spojrzenia często śledziły go jeszcze przez długi czas. Nigdy się tym zresztą nie przejmował.

Zdał sobie z tego sprawę kapral Lisentrail. Znów zaczął podążać krok w krok za Kapitanem, gdziekolwiek ten się udał, bo nie istniało już ryzyko, że któryś z jego ludzi popełni jakieś głupstwo.

- Ej, Kapitanie - mówił doń wesoło, kiedy posuwali się naprzód razem z krowami pośród mirtów i mącznic, w cieniu kasztanowców porastających płaskowyż - jeśli idzie o wzrost, to akurat masz go aż nadto, ale wcale nie jesteś brzydki i nie masz szram na twarzy. Mógł-

byś sobie znaleźć jakąś kobietę.

Nim minęła trzecia zima jego pobytu w Wysokiej Strażnicy, Rankstrail został wezwany przez zło wyglądającego Gubernatora.

Wezwanie było na piśmie, termin wyznaczono na pojutrze. Zosta-

ło spisane na małym pergaminie, zwiniętym w rulon, dostarczonym przez jednego ze sług pałacu, który ostrożnie zapukał do drzwi z solidnego dębowego drewna, strzegące siedziby najemników. Owczarnia została zburzona i zastąpiona budowlą z kamienia i drewna, ciepłą i suchą, z potężnym paleniskiem na środku. Każdy żołnierz miał dla siebie własne legowisko na czystej słomie, zmienianej raz na tydzień.

Kapitan Rankstrail spojrzał na pergamin szczęśliwy i przejęty za-równo ze względu na oficjalny charakter urzędowego pisma, jak i na myśl o pieniądzach, których rychłe wręczenie prawdopodobnie ów pergamin zapowiadał. Powodem wezwania nie mogło bowiem być nic innego, jak oficjalne uznanie pełnionych przez niego obowiązków Kapitana i wręczenie żołdu spóźniającego się już o cały rok.

Według jego obliczeń zapłata pozwoliłaby mu na kupno miecza jak należy oraz konia.

Najemnikiem będzie zawsze, ale kawaleria to już coś. Nikt wtedy nie wyrwie ci zębów czy palców przy pierwszym kurczaku, jaki zniknie. Do najemników będących członkami kawalerii, zwracano się

„wy”. Poza tym pełnili oni różne funkcje. Kawalerzystów wysyłano na Pogranicze Ziem Znanych, by „dyskutowali” z orkami na temat granic ich lądów, i tam właśnie Rankstrail najchętniej by się udał, ponieważ było to miejsce, w którym przyszedł na świat. Miał też z orkami rachunki do wyrównania.

Większość owego dnia wszyscy najemnicy spędzili na rozważaniu rozmaitych możliwości, jakie teraz nagle się przed nimi otwierały.

Snuli nieprawdopodobne plany, na przykład dotyczące kupna skrawka ziemi lub małej winnicy.

Rankstrail pozwolił, by pożyczkodawca skrócił mu jego długie, opadające na ramiona włosy i by wyjaśnił mu, jak się czyści paznokcie, myje szyję i ręce. Spędził pół dnia na kąpieli w najbliższym stawie, by usunąć warstwę błota, która zebrała się na nim przez lata obozowania i maszerowania w towarzystwie bydła. Woda była lodowata, lecz to mu nie przeszkadzało, może dzięki temu zgładziła ponad połowę nielegalnie zamieszkujących na nim pcheł.

Był prawie nie do poznania, kiedy następnego ranka przeszedł

ostrożnie przez targ, który od jakiegoś czasu funkcjonował codziennie na placu przed pałacem Gubernatora. Sterty pomarańczy, stragany z oliwkami i masłem oraz serem zajmowały nieliczne suche miejsca, a kałuże trzeba było ostrożnie omijać.

Choć spotkanie zostało wyznaczone na wczesne godziny poranne, młodego Kapitana przyjęto dopiero

o zachodzie słońca. Cały dzień spędził przed stajniami, w nieustającym, lekkim deszczu. Kiedy wreszcie przekroczył próg pałacu, wyglądał jak zmokła kura i był

ubłocony jak żaba, która dopiero co wylazła ze stawu. Zarówno do zimna, jak i do przemoczenia zdążył się już przyzwyczaić, lecz przeszkadzało mu, że gdziekolwiek się ruszył, zostawiał za sobą błotnistą smugę, mimo że zrobił wszystko, by być jak najczystszy.

Gubernator siedział w ogromnej prostokątnej sali, której dłuższa ściana zajęta była przez kominek tak duży, że zmieścił się w nim cały pień jakiegoś drzewa. Ciepło zapierało dech w piersi. Do błota na czole młodego Kapitana dołączył pot.

Gubernator spojrział na Rankstraila ze zbolałą miną, wyrażającą zarazem obrazę i wściekłość, która dodatkowo jeszcze uwydatniła grymas dezaprobaty, z jaką ten mężczyzna patrzył na świat, a potem polecił najemnikowi, by stanął najdalej, jak tylko można, na końcu sali. W tym momencie deszcz przestał padać i nieśmiałe słońce roz-

świeciło niebo. Głęboka zieleń gajów pomarańczowych rozciągają-

cych się za długim szeregiem ostrołukowych okien, przykuła uwagę gubernatora. Jego spojrzenie zagubiło się pośród tej zieleni, a twarz przybrała łagodniejszy wyraz.

- Wiesz chociaż, czyją zasługą jest to wszystko? - spytał.

Na szczęście Rankstrail zorientował się w porę, że było to jedno z tych pytań, na które udzielenie odpowiedzi nie jest przewidziane, i trzymał usta na kłódkę. Nie zdołał jednak powstrzymać lekkiego uśmiechu. Oczekiwał na podziękowanie i pochwały.

- A zatem udało nam się. Powoli oczyściliśmy ziemię z wszystkich elfów, paląc ich jednego po drugim na kolejnych stosach, i z wszystkich czarownic. Teraz nasze bramy są dla demonów zamknięte i nie

kló nie zalewa już nas kolejnymi nieszczęściami. Ziemia znów roz kwita niczym ogród.

Rankstrail powstrzymał natychmiast swój półuśmiech, który na szczęście pozostał niezauważony.

-Jedyną plamą, jedyną skazą, jedyną zniewagą, jedyną hańbą jesteś ty i twoja nędzna banda. Jakim sposobem dowiedziałeś się, że masz się tu dzisiaj stawić?

Rankstrail zastanowił się chwilę, potem stwierdził, że jakkolwiek idiotyczne, to jest to już jedno z tych pytań, na które się trzeba odpowiedzieć. Wyciągnął swój pergamin.

-Zostałem wezwany. Wy mnie wezwaliście. Tak jest tu napisane.

-Widzisz! - odparł Gubernator tryumfalnie. - Oto i dowód! Specjalnie wysłałem ci wezwanie na piśmie. Zapewne kazałeś odczytać sobie ten list lichwiarzowi. Teraz nie możesz już zaprzeczyć, że ty i lichwiarz się spotykacie. Przynosisz hańbę, zepsucie, jesteś skazą na naszym honorze. Sprzedałeś się. Sprzedałeś swój miecz, a twój miecz należy do Zarządcy i do hrabstwa Daligar. I - dodał sycząc

-
sprzedałeś się dla pieniędzy. Pieniądzy.

Rankstrail potrzebował trochę czasu, by zrozumieć to, co się właś-

nie działo. Właściwie jednak pojął natychmiast: tym, czego potrzebował, był czas, by dać temu wiarę. W końcu uwierzył.

- Jestem kapitanem lekkiej piechoty - odparł spokojnie, zbliżając się do stołu. - Dowodziłem ludźmi, którzy pod moimi rozkazami zostali okaleczeni lub zabici, i nie jestem skłonny tolerować najmniejszych oznak braku szacunku dla nich. Mój miecz nie należy ani do Zarządcy, ani do hrabstwa. Mój miecz jest mój i tylko mój, wprawdzie używany, ale kupiłem go sam, wybierając ten, który kosztował najmniej. Nie sprzedałem swojego miecza, lecz pracę. Wysła liście mnie, bym schwytał grabieżców, i ich wam schwytałem. To właśnie moją pracę, nie honor, sprzedałem pożyczkodawcy. Dla pieniędzy, oczywiście. Słowo „sprzedać” to właśnie oznacza: coś otrzymuje się w zamian za pieniądze. Jeśli zamiast pieniędzy daje się suzione figi albo gotowane kasztany, wtedy nie mówi się o sprzedaży, lecz o wymianie handlowej. Jeśli natomiast coś się dostaje, mimo że samemu nie ma się nic, to wtedy można mówić o hojności i przyzwoitości ze strony osoby ofiarowującej. Osobiście wolę to drugie, ale to inna kwestia. Nie wypieram się ani trochę mojej przyjaźni z pożyczkodawcą. Dowodem na to, że go znam, nie jest jednak wca le sugestia, jakoby on powiedział mi, co jest napisane w wezwaniu, ponieważ sam posiadam umiejętność czytania, umiejętność absolutnie niepospolitą, większość moich ludzi potrafi czytać...

Gubernator wybuchnął głupawym śmiechem.

-Nie oczekujesz chyba, że ci uwierzę?

-Nie jestem przyzwyczajony do tego, by brano mnie za kłamcę -

odparł pogodnie Kapitan i kontynuował: - Dowodem mojej przyjaźni z pożyczkodawcą jest fakt, że ja i moi ludzie wciąż jeszcze żyjemy i cieszymy się dobrym zdrowiem. Zważywszy na to, że od trzech lat nie widzieliśmy bochenka chleba ani złamanego grosza, jak waszym zdaniem mieliśmy przeżyć? Moim ludziom daliście do

wyboru śmierć z głodu, godną żebraków, albo śmierć w rękach kata, godną złodziei.

Mimo przemowy Rankstrail wciąż nie miał pojęcia, jak będą mogli przeżyć. Gubernator go wyrzucił. Poinformował go również, że ich żołąd w całości został skonfiskowany w ramach kary za niehonorowe postępowanie i na pokrycie strat, na które narazili skarb hrabstwa.

Nic z tego, co przeczytał ani usłyszał przy palenisku od pożyczkodawcy, nie sprawiło, by Rankstrail zrozumiał, dlaczego szkodą dla skarbu hrabstwa miała owa przeklęta zniszczona owczarnia, w której chodzili na czworakach jak psy. Gubernator musiał mu to wyjaśnić, tak samo jak wyjaśnił mu, że fakt, iż nie kazał ich wszystkich jeszcze powiesić, wynikał tylko i wyłącznie z tego, że orkowie zaatakowali Pogranicze i lekka kawaleria nie była w stanie stawić im czoła. Nikt nie zdołał poza nimi

skutecznie pomóc konnym.

Rankstrail minął pusty już plac targowy z dziwnym uczuciem mdłości.

Nawet gdy został wychłostany, nie czuł nic podobnego - wtedy kłusował i źle się to dla niego skończyło. Teraz chodziło o coś innego.

Westchnął.

Spojrzał na niebo, które znów zaczęło skrapiać jego twarz lekkim deszczykiem, mającym uczynić trawę dla krów, które Rankstrail sprowadził, jeszcze mocniejszą i bardziej zieloną.

Znów westchnął.

W ciemności nie mógł dostrzec rozległych gajów pomarańczowych, lecz wiedział, że tam były.

Ruszył do swoich ludzi oznajmić im, że nie będzie ani pól uprawnych, ani małych winnic, ani nawet konia, może co najwyżej dobry posiłek, szal i bączek, zabawka dla tych, co mieli żonę i dzieci; może nowy miecz dla tych, co jak on, mieli tylko jeden, i to złamany.

Przynajmniej pożyczkodawca im zapłacił i każdy coś sobie odłożył.

- Ej, Kapitanie - powiedział Lisentrail - chyba nie wierzyłeś, że chcieli nam dać ten żołd? Nie daliśmy popracować ani karawaniarzowi, ani katowi, a wszy, które nas zamieszkują, dzięki temu, że jest im ciepło i mają czym się napychać, są tak wielkie, że przypominają szczury. Coś jednak posiadamy, a to nigdy jeszcze nam się nie zdarzyło.

W rzeczywistości żaden spośród jego ludzi, starszych od niego za-równo wiekiem, jak i stażem, żaden nie wierzył w to, że pozwolą im stać się choć trochę mniej nieszczęśliwymi i mniej biednymi.

Wyruszyli po trzech dniach, eskortowani z dala przez trzech kawalerzystów i czterech piechurów, tak jakby byli przestępcami.

Pożyczkodawca nie przyszedł ich pożegnać. Dowiedział się, że jest poszukiwany, i wyruszył dzień wcześniej, by przezimować w Wysokiej Skale lub może w Scannuruzzu, gdzie było bezpieczniej.

Przyszli jednak wszyscy inni, łącznie ze ślepym na jedno oko wieś-

niakiem, któremu Lisentrail ukradł kiedyś kurę.

Czekali na nich przy dolnej granicy Pietrafitta, gdzie kończyło się wzgórze, a zaczynała równina. Przygotowali pomarańcze, owczy ser i chleb. Wieśniak podarował im kurę, chudą i chorowitą, którą określił jako „łocną jako samo słońce". Przyszły także kobiety: stare kumoszki, matki z dziećmi i młode dziewczęta. Kilka się rozplakało, kilka rzuciło kwiaty, gdy je mijali.

-To nie mogły przyjść nas poszukać wcześniej? A nie teraz, gdy już stąd odchodzimy? - spytał ktoś.

-Panowie - odparł Lisentrail - jesteście najemnikami. Nam swoich córek nie oddają. Ale za to dali nam ser i chleb. Kurka jest moja.

Kto ją tknie, tego obedrę ze skóry. Weźmiemy ją ze sobą do Daligar.

Po raz ostatni Kapitan i lekka piechota przemierzyli tę krainę i opu-

cili ją. Nie odwracali się, bo najemnicy nigdy tego nie robią.

Wokół strumieni nie rosły już tylko byle jakie kępy trzciny i przekwitłe oleandry, ale dziesiątki drzewek pomarańczowych, z roku na rok setki, a potem tysiące. W końcu drzewka pokryły niemal całe wzgórze. Wyglądały doprawdy wspaniale obok srebrzystej zieleni drzewek oliwkowych oraz subtelnej i delikatnej zieleni migdałowców, których kwiaty wiosną obsypywały świat swoim różem.

Szczyty wzgórz pozostały nagie, nieporośnięte drzewami, lecz peł-

ne kwitnących roślin: tam pasły się małe stada płochliwych krów, pilnowanych przez pasterzy, którzy gdy nikogo nie było w pobliżu, używali kijów pasterskich jako mieczy i udawali, że są Niedźwiedziem, wojownikiem, Kapitanem lekkiej piechoty.

Najemnicy przybyli do Daligar w pełni blasku południowego słońca.

Lato miało się ku końcowi. Kurka została zamieniona na prowiant gdzieś w okolicach moczarów głównej równiny. Surowe spojrzenia majestatycznych, białych krów, które przypomniały najemnikom te z płaskowyżu Wysokiej Skały, napęliły ich serca tęsknotą. Byli brudni, zmęczeni i wygłodniali jak nigdy. Kiedy szli przez wsie, matki nawoływały swoje córki i wszyscy zabierali z drogi swój drób.

Gdy stanęli u bram miasta jeżozwierza, zaczęli się ze sobą kłócić, bo nikomu nie przyszło do głowy, by zapewnić im coś do jedzenia czy poszukać im jakiegoś miejsca do spania.

W końcu umieszczono ich w stajni dla osłów, gdzie przynajmniej nie musieli poruszać się na czworakach. O ile jednak owczarnia w Wysokiej Strażnicy była pusta, o tyle tutaj nadal znajdowały się osły, i wszyscy razem trochę sobie przeszkadzali.

Po trwających pół dnia dyskusjach otrzymali trzy bochenki chleba i pół litra zupy z kapusty na więcej niż pięćdziesięciu. Następnie, byleby się ich pozbyć, dano im trzy dni na dobrowolne opuszczenie miasta.

Wydarzenie było nietypowe, lecz nie stanowiło wyjątku. Niektó-

rzy spośród starszych żołnierzy mieli w Daligar kobietę lub dzieci, a niektórzy jeszcze rodziców, więc miał ich kto ugościć. Byli też tacy, którzy nie mieli nikogo i musieli koczować pośród osłów w stajni, starając się doczekać momentu, w którym ktoś znajdzie dla nich coś do jedzenia i przede wszystkim powie im, co dalej.

Rankstrail miał jeszcze sześć srebrnych monet i czternaście miedziaków, schowanych starannie w

fałdzie tuniki zasnurowanej rze-mykami. Nie wystarczyłyby na konia i spełnienie marzeń o lekkiej kawalerii, ale było ich więcej, niż trzeba na zakup miecza, jednego z tych z oksydowanej stali, które produkowano w Środkowym Kręgu, co nigdy się nie łamały, nawet jeśli uderzały o topór grabieżcy lub orka.

Kapitan nadal posługiwał się toporem odebrany pierwszemu pokonanemu wrogowi. Stał się on jego ulubioną bronią. Dowódca nosił też zawsze u pasa kikut miecza, zarówno, by zachować pozory, jak i dlatego, że przydawał się do krojenia chleba - o ile było co kroić. Dłużej jednak nie chciał się pokazywać bez broni jak należy.

Odpowiedni dla niego miecz musiał mieć przynajmniej cztery stopy, a długość podnosiła jego cenę.

Wytrzymałość miecza nie zależała tylko od jego ciężaru, lecz także od jakości stali, czyli od czasu, jaki poświęcono na wykucie, oraz od zdolności rzemieślnika. Im wyższa była jakość, tym bardziej rosła cena. Niestety, na ogół na lepszych mieczach pojawiały się także zdobienia na rękojeści, prawie zawsze ze srebra i cyny, a w wypadku kling z najlepszej stali, nawet i ze złota. Rankstrail szczerze nienawidził wszelkich wymyślnych ozdóbek. Nie tylko ze względów finansowych, skądinąd zasadniczych, lecz także dlatego, że jego zdaniem było w tych zdobieniach coś niewłaściwego. On sam nie żałował, że zabił ludzi, których zabił: zawsze miał przed sobą obraz okrutnego spektaklu, jaki ci urządzili zarówno z życia, jak i śmierci. Nie spędzał nocy bezsennie, rozmyślając o ich twarzach, lecz przecież wcale nie sprawiło mu przyjemności to, że musiał ich zabić. Miecz to miecz: miał splamić się krwią kogoś, kto jakkolwiek nikczemny, wciąż pozostawał istotą, którą matka nosiła kiedyś w łonie. Kiedy zabija się człowieka, nie powinno się tego robić mieczem ozdobionym jakimiś obrazkami.

Rankstrail ruszył do Varil. Droga w przeciwną stronę, kiedy szedł

się zaciągnąć, nieustannie rozmyślając i podejmując różne postanowienia, zajęła mu trzy dni. Bez niepokoju i ciągłego zawracania tam i z powrotem był to jeden dzień szybkiego marszu, a dwa dni w tempie normalnym.

Droga wiała się wzdłuż zachodniego brzegu Dogonu, pośród zaro-

śli, w stronę szerokiej przełęczy, osłanianej przez niewysokie wzgó-

rza, które potem, na wschodzie, miały się unieść wyżej, przechodząc w Góry Ciemności. Kiedy wąwóz otworzył się na równinę Varil, zrobiło się już popołudnie, słońce było zamglone. Świat zlewał się w odcieniach szarości: nieba, skrzydeł czapli, wody na polach ryżowych, delikatnej mgły, która otulała ziemię. Później niebo się rozjaśniło i miasto powitało przybycie Rankstraila swoimi triumfalnymi, gigantycznymi murami obronnymi, odbijającymi się w polach ryżowych, zabarwionych czerwienią zachodzącego słońca. Czaple unosiły się na delikatnym wietrze. Białe i złote sztandary powiewały nad krzyżującymi się łukami, tonącymi w kwiatach. Potem zapadła ciemność. Pochodnie zostały zapalone i odbijały się wraz z gwiazdami w ciemnej wodzie.

Gdy tylko minął Wielką Bramę, puścił się biegiem przed siebie.

Ludzie usuwali się z drogi z ostrożności oraz pełni niepokoju, jakim napawała ich jego postura oraz to, że wyglądał na najemnika.

Rankstrail rozpoznał stragany, kałuże, paprocie, małe ogródki na murach, pełne kapusty i bakłażanów. Rozpoznał domek z drzwiami, na których pyszniły się wyrzeźbione królewskie orły i gryfy, z dachem porośniętym mchem, paprociami, trawą, bluszczem i małymi kwiatami.

Kiedy wszedł do środka, wszyscy siedzieli wokół ognia i dzielili między siebie ciecierzycę i oliwki. Fiammę rozpoznałby nawet po-

śród tysiąca kobiet, nie zmieniła się od czasów, gdy była dzieckiem: wesoła, beztroska i z iskierką ironii w oku. Miała w sobie łagodność ich matki, lecz na jej twarzy nie malował się wyraz rezygnacji. Borstrila by nie rozpoznał, gdyby spotkał go na ulicy. Brat był trochę nieśmiałym chłopcem. Spojrzał na niego z niepokojem, gdy Rankstrail otworzył drzwi i wypełnił wejście całym sobą. Ojciec ruszył

pierwszy: wstał, podbiegł do niego i objął go z płaczem. Potem podeszła Fiamma, która potrzebowała trochę więcej czasu, by otrząsnąć się z zaskoczenia. Borstril pozostał na swoim miejscu, nieruchomy i onieśmielony, dopóki ojciec nie wziął go na ręce i nie przyniósł, by uściskał starszego brata. Fiamma również wybuchła płaczem. Rankstrail poczuł dziką radość. Czuł ciepło ich ciał przy swoim, czuł

wilgoć ich łez na swoich policzkach. Odniosł wrażenie, jakby całego błota, zimna, gorąca czy wszy nigdy nie było, jakby to było tylko snem. A potem ojciec opowiedział mu o wszystkim. Próbował opisać ich rozpacz, kiedy zorientowali się, że odszedł.

- ...natychmiast, natychmiast zrozumiałem, że poszedłeś się zaciągnąć, wcale nie potrzebowałem, żeby Fiamma mi to czytała...

Mnie od zawsze prześladowały koszmary, że poszedłeś się zaciągnąć... Moje dziecko, w samym środku wojny... pośród krwi... żeby opłacić dla mnie zielarza...

Opowiedział mu, jak zostawił Borstrila u sąsiadki i wyruszył z Fiammą idącą tuż za nim, kaszląc wciąż i nie zabrawszy manierki z wodą ani też kawałka chleba. Aby zyskać na czasie, nie poszli drogą, lecz na przełaj, co oznaczało konieczność przecięcia zakola Dogonu i przedarcia się przez środek wrzosowiska i krzaków jeżyn.

Dotarli do Daligar w pół dnia, cali podrapani i na wpół żywi z wy-czerpania, lecz z pewnością wcześniej niż on. Tam odnaleźli miejsce, gdzie zaciągano się do wojska, i czekali dwa dni, w deszczu i w słoń-

cu, ale on się nie pokazał. Wtedy ojciec pomyślał, że musiał się pomylić. Może syn został ranny podczas polowania albo złapała go straż? Z duszą na ramieniu oboje wrócili do Varil, znów na przełaj, byle tylko zyskać na czasie, znów strasznie podrapani i na wpół

żywi z pragnienia i głodu...

Po raz pierwszy, odkąd zmarła jego mama, Rankstrail poczuł, że łzy napływają mu do oczu.

Szukali go.

Tam i z powrotem, jak dwoje obłąkanych.

Zrozpaczeni.

Próbowali go zatrzymać!

On wędrował trzy dni i przez całą drogę nie marzył o niczym innym, jak tylko o tym, by Fiamma i ojciec jednak go zatrzymali.

Oni poszli na przełaj, by mieć pewność że go złapią. Zwyczajnie się rozminęli!

Rankstrail był jednak zadowolony, że nie udało im się go zatrzymać. Bez jego pieniędzy ojciec już dawno by umarł. Gdyby nie on, Lisentrail zostałby rozerwany na kawałki i nigdy nie pokonaliby grabieżców.

To było jego przeznaczeniem. Chociaż radość na myśl o tym, że próbowali go dogonić, zdyszani i zrozpaczeni, nie opuszczała go.

Wciąż kazał sobie opowiadać wszystko od początku, raz po raz.

Potem mówił on: trochę zmyślając, trochę przemilczając i łagodząc, trochę mówiąc o rzeczach, które naprawdę się wydarzyły.

Bor-stril patrzył na niego szeroko otwartymi oczami, rozjaśniającymi się za każdym razem, gdy starszy brat opisywał

równiny, lasy, wodospady. Rankstrail był dumny z tego spojrzenia.

Podobał mu się Borstril, poważny i trochę nieśmiały chłopiec, który we wszystkim przypominał ojca - miał tę samą drobną budowę ciała i tak samo jasne włosy. Siedzieli sobie, opowiadając i słuchając się nawzajem, aż zapadła głęboka noc i ogień zgasł w kominku.

Rankstrail podzielił łóżko z Borstrilem. Prawie nie zasnął, ze strachu, by nie uderzyć go we śnie, i z radości, nasłuchując, jak chłopak oddycha tuż obok niego. Przez całą noc powtarzał sobie w myślach słowa „brat”, „siostra”, „ojciec”, niczym refren radosnej piosenki.

Wreszcie ogarnęła go senność i umysł znów pogrzył się w dręczą-

cym go już od dawna, niezrozumiałym śnie o wilczych kłach, po którym pozostało mu o brzasku jedynie mgliste wspomnienie.

Świt wstał pełen głosów, zapachów i dźwięków. Rankstrail rozpoznał gdakanie kur, które unosiło się w powietrzu pachnącym delikatnie smażoną ciecierzycą i zlewało ze śpiewami żebraków.

Młody Kapitan poczuł, jak jego serce wypełnia się spokojem.

Ojciec już nie spał, podgrzewał odrobinę zupy z ryżu. Podzielili ją między sobą, siedząc na progu domu. Borstril i Fiamma wciąż jeszcze spali. Tata rozmawiał z nim tak, jak mężczyzna rozmawia z męż-

czynną. Wszystko układało się dobrze: zaczął sprzedawać rzeźbione ławy rzemieślnikom ze Środkowego Kręgu, którzy z reguły płacili, i to nawet na czas. Jeśli będzie im się wiodło coraz lepiej, Fiamma może przestanie wykonywać okropny zawód praczki, który niszczył

skórę na dłoniach i sprawiał, że dziewczęta nie uśmiechały się i nie trzymały głowy wysoko, kiedy szły ulicą, bo były przyzwyczajone do ciężkiego pochylania się nad balią z praniem.

Nieopodal dzieci bawiły się z kurczętami, a wokół straganów z owocami zaczynało się robić gwaro.

Ojciec opowiadał dalej. Szalony Skryba umarł rok temu. Pod nieobecność Rankstraila to on go żywił, a Fiamma broniła. W zamian za to nauczył Fiammę i Borstrila czytać, pisać i liczyć. Teraz został

pochowany na tutejszym małym cmentarzu. Nigdy nie poznali jego imienia.

Nagle coś zmaćliło spokój. Głosy umilkły.

Na drodze pojawiła się jakaś postać, Rankstrailowi nieznana, a dla ludzi z zaułka szczególnie przerażająca. Wychudły mężczyzna z ha-czykowskim nosem. Choć nie był niski, miał krótkie nogi i wielki kuper, znajdujący się tuż nad ziemią i tworzący osobliwy kontrast z chudymi plecami i pooraną twarzą. Wyglądem przypominał

ogromnego sępa. Człowiek ten zatrzymywał się przy chatkach, by zamienić z mieszkańcami parę słów, których Rankstrail nie zdołał

dosłyszeć. Po chwili wyraźnie słyhać było płacze i lamenty. Młody Kapitan popatrzył zdziwiony na ojca, który zrobił się spięty i milczący. Sęp znalazł się wreszcie przy nich i z ceremonialną uprzejmością przywitał ojca, co wcale tego ostatniego nie ucieszyło, a wręcz zwiększyło jego strapienie.

- Jestem poborcą podatków, dostojny panie - przedstawił się Sęp -

czyli tym, któremu przypada wielki zaszczyt zbierania dla szlacheckiego miasta Varil ceł i podatków należnych mu od tej tu szlacheckiej ludności. Ponadto przypada mi także niebywały zaszczyt przewodniczyć ślubom, narodzinom, pochówkom i wszelkim innym uroczystościom, wprowadzającym

wszelkiego rodzaju zmiany w obrę-

bie szlacheckiego ludu szlacheckiego miasta Varil, jako że wszystkie owe zmiany obłożone są podatkiem, o czym dostojnym panom z pewnością już wiadomo z obwieszczenia, które dostojni panowie przeczytali. Starszy pan nie potrafi czytać? Ależ nie spodziewałbym się tego po kimś tak nadzwyczaj dostojnym! Na nieszczęście nie mogę uznać tego za wymówkę. Z ogromnym smutkiem zmuszony jestem poinformować, iż wrogi spisek wciąż jeszcze nie dość wyte-

pionego ludu elfów odrodził się i Pogranicze znów jest atakowane przez orków. Potrzebne są zatem pieniądze, by sfinansować szlachecką kampanię wojenną, którą prowadzi ościenne, zaangażowane w walkę z najeźdźcą i sprzymierzone z nami, szlacheckie hrabstwo Daligar. Jedynym rozwiązaniem jest więc podniesienie podatków i zarządzenie o natychmiastowym wydaleniu szlacheckich mieszkańców uchylających się od ich płacenia. Zechce szlachecki pan podać mi dokładne brzmienie swojego imienia, dokładną liczbę lat pobytu na terenie miasta, liczbę członków jego znakomitej, czcigodnej i szlacheckiej rodziny oraz liczbę szanownych nieboszczyków pochodzących z jego wielmożnej rodziny, których to ciężar dźwiga na obecną chwilę cmentarz Zewnętrzny Kręgu, i wreszcie zechce wyjaśnić mi, jakież to są czynności, z których jego szanowna osoba i jego dostojna rodzina czerpią środki utrzymania?

Ojciec nieśmiało wyliczył wszystko po kolei: na cmentarzu osób do opodatkowania było dwie, ponieważ także kości Szalonego Skryby, a raczej to, co z nich pozostało, znajdowały się na ich utrzymaniu. Borstrila uznano za pracownika, jako że pomagał ojcu w warsztacie i chodził po wodę. Fiamma obudziła się i właśnie stanęła w drzwiach; nawet jeśli próbowałaby ukryć swoje zatrudnienie na szlacheckim stanowisku praczki, zdradziłyby ją jej spękane i zaczerwienione dłonie. Podczas gdy poborca podatkowy dokonywał swoich obliczeń Rankstrail dodał ojcu odwagi swoim spojrzeniem: jest na miejscu. Wrócił. Był w stanie rozwiązać problem.

W swojej głowie młody Kapitan szybko wszystko wykalkulował: jego sześć srebrnych monet, nie licząc czternastu miedziaków, wystarczało na kosztowny miecz. Jeśli podatki wyniosłyby około dwóch monet, zostałyby mu wystarczająco dużo na dobry miecz, jeśli wyniosłyby cztery monety, kupiłby wcale nie najgorszą broń, byleby tylko ze stali, nie z żelaza. Jeśli byłaby zbyt lekka, zawsze mógł używać jej tylko jako broni pomocniczej, trzymanej w lewej ręce. W prawej nadal dzierżyłby topór. Byli tylko nie musiał już nosić samej rękojeści, kikuta nienadającego się nawet do tego, by nadzieć na niego kurczaki.

- Pół srebrnika i dwadzieścia miedziaków - powiedział poborca podatkowy - a przez najbliższe dwa lata miasto Varil będzie mogło cieszyć się waszą obecnością.

Rankstrail potrzebował chwili, by się otrząsnąć; bał się, że będzie dużo gorzej. W rzeczywistości sam mógł na to wpaść: suma nie mogła być przecież wygórowana, poza ich zasięgiem. Zdecydowana większość mieszkańców Zewnętrznego Kręgu wprawdzie siarczyście i obficie przy tym przeklinając, ale jednak płaciła podatki. Kapitan uśmiechnął się, uspokajającym gestem znów dodał ojcu odwagi, wstał i zapłacił. Rozpierała go duma.

Poborca podatkowy uklonił się i złożył długie podziękowanie. Po wyciągnięciu ze swej torby z haftowanego jedwabiu ruloniku pergaminu, gęsiego pióra i zalakowanej ampułki z atramentem

wypełnił

skomplikowane pokwitowanie, z absolutną stanowczością, okropne gęste od eleganckich zawijasów, podziękowań i prośb o przychylność bogów. Na swoją pracę potrzebował niemało czasu. Opierał się o parapet jedyne okna maleńkiego domku i w międzyczasie zebrał

się wokoło mały tłum. Była tam ich sąsiadka, mężczyźni z Ziemi Północnych, którzy mieszkali naprzeciwko, rodzina z mnóstwem dzieci z końca ulicy...

Byli żebracy... Kuglarze ze swoim maleńkim cyrkiem tresowanych kundli. Byli tam wszyscy ci, którzy nie mieli pieniędzy i musieli zostać wypędzeni; którzy mieli skończyć, utonawszy w zgiełku świata na zewnątrz, podczas gdy oni mogli się uratować.

- Mam tylko sześć miedziaków - powiedział ojciec, zakłopotany.

Spojrzenia wszystkich spoczęły na Rankstrailu: był najemnikiem.

Najemnikom się płaci. Krążyły bajki o całym mnóstwie złotych monet, wypłacanych im, kiedy się należało, oraz wikcie, na który składały się jabłka, pieczeń wieprzowa, kasza, suszone figi i miód.

Młody Kapitan wyciągnął pieniądze z sakiewki, która nie wyglądała wcale na pustą.

- Ile wynosi cały dług Zewnętrznego Kręgu? - spytał Rankstrail z ciekawością.

- Opiewa on na dziesięć srebrnych monet, szlachetny panie, czcigodny żołnierzu najemny i opłacany.

Pytanie było błędem: wzbudził nadzieję. Wszyscy patrzyli na niego jak na anioła. Rankstrail pomyślał z rozpaczą o swoim planie: nie mógł przecież paradować z samą rękojeścią, włożoną do pochwy miecza. To było niedorzeczne... śmieszne. Pomyślał, że to, co posiadał, było dorobkiem trzech lat pracy, nieustannej, wyętej pracy.

Dostrzegł przepełnione dumą i podziwem spojrzenie brata.

Przyszło mu na myśl, że czas spędzony pośród krów na płaskowyżu Kasztanii, z Lisentrailem, gdy gaje pomarańczowe zaczynały stopniowo pokrywać doliny, był czasem naprawdę wspaniałym, a tego, co wspaniałe, nie trzeba przecież rekompensować, bo samo w sobie jest już nagrodą.

- Nie zawraca się z raz obranej drogi - mruknął i rozpoczął swoją walkę.

Dziesięciu srebrników nie miał i nigdy nie zdobędzie. Rozpoczął

więc pertraktacje, wychodząc od pięciu srebrników, które były nadal w jego posiadaniu.

- Lepsze pięć srebrników w skrzyni niż pusta skrzynia i wygnani dłużnicy - stwierdził pogodnie.

„Sęp” wyjaśnił mu, używając wielu pompatycznych słów, że podatki nie podlegały dyskusji, lecz koniec końców spróbował doprowadzić do jakiegoś kompromisu. Biedacy zebrali cały swój dobytek

i próbując go czymś urozmaicić i wzbogacić, zaoferowali kolejno dwa kurczaki oraz pieska, który potrafił tańczyć na tylnych łapach, ale ostatnia oferta została szybko cofnięta, jak tylko właściciele zorientowali się, że w rękach poborcy podatkowego pies podzieliłby los zwierząt jadalnych, zamieniając się w pieczeń duszoną z cebulą i ostrą papryką. Porozumienie osiągnięto popołudniem, po całym, wyczerpującym dniu pertraktacji, podczas których zimna krew i opanowanie poborcy podatkowego nie zostały ani na moment zmącone, a jego miłosierdzie, o ile kiedykolwiek takowym się odznaczał, ani razu się nie ujawniło. Kapitan także się nie ugiął, mając za sobą ciężką zaprawę z Kasztanii, czyli targi z przywódcami wiosek Scan-naruzzu i Lafrisonaccia, których szorstki i nieprzyjazny język nie był wcale lepszy od pompatycznych zawilosci, pośród których lawirowała i gubiła się mowa poborcy podatkowego. W

rezultacie stanęło na czterech kurach, a do nich dodano łasicę i miedziany dzbanuszek do kawy. Oszczędności Rankstraila opuściły sakiewkę i poborca podatkowy w końcu ustąpił, zapewniwszy wszystkich, że przez następne dwa lata nie dostąpią zaszczytu ani niewątpliwej przyjemności, jaką będzie jego wizyta, chyba że postanowią się żenić, umrzeć lub rozmnażać. W takim wypadku on nie tylko z bezgraniczną radością i wielkim zaszczytem odprawi odpowiednie uroczystości, ale będzie także musiał od nowa omówić z nimi kwestię podatków.

Mieszkańcy przepędzili go. Za to z kurtuazją.

Zapadł wieczór i urządzono prawdziwe święto: były naleśniki z ba-klązanów i pokazy tresowanych piesków. Ci, którzy mieli bębenki, wybijali najdziksze rytmy i nawet głos Fiammy dołączył do chóru śpiewającego o pewnej młodej czarownicy, która każdej nocy jeździła na grzbiecie koguta w tajemnicy przed okolicznymi mieszkańcami.

Rankstrail zorientował się, że syn piekarza, za każdym razem udając, że to czysty przypadek, zawsze siada w pobliżu jego siostry.

Jak każda dziewczyna, która zajmowała się praniem, także Fiamma ukrywała w fałdach spódnicy swoje czerwone i zniszczone ręce.

Gwiazdy już od dawna świeciły na niebie, gdy uroczystości wreszcie się skończyły.

Następnego ranka Kapitan pożegnał ojca i Fiammę, tuląc ich i długo nie mogąc nacieszyć się tym uściskiem. Brat poprosił, by pozwolił mu sobie towarzyszyć aż do Wielkiej Bramy, i Rankstrailowi miło było mieć go przy sobie.

Czarna rozpacz przepelniała serce Kapitana. Radość z poprzedniego wieczoru zniknęła, a pozostała świadomość dni bez strawy, które czekały go teraz, gdy został bez grosza. Będzie zmuszony zacząć sobie wypłacić następny żołd z góry, aby móc kupić choć byle jakie zardzewiałe żelastwo, które choć trochę przypominałoby miecz.

Przeszli obok sprzedawcy ciastek z sezamem i miodem. Sądząc po spojrzeniu Borstrila, on także marzył o jednym z nich. Niestety, musiał obejść się smakiem. Rankstrail nie miał już nawet miedziaka.

We wgłębieniu bastionu stał handlarz dywanów. Borstril, który nauczył się rozumieć jego dziwny dialekt, wyjaśnił Rankstrailowi, że człowiek ten musiał opuścić swoją ziemię po tym, jak powódź zniszczyła miasto karawaniarzy zwane Darboga, dar bogów.

- Daaarbogówzwieeesięzieemiamaaa, któóórąnambogooowieda-aali, pięęęknabyłataaak...

Darboga, w przeszłości, zanim zatopiło je czterdzieści dni i czterdzieści nocy trwające oberwanie chmury, nazywało się Gounnert, czyli Lubiana. Powstało na ruinach Lakkil, czyli Fortuny, całkowicie zniszczonej przez trzęsienie ziemi. Handlarz sprzedawał kobierce, które tak samo jak namioty jakie przyszło mu opuścić, miały kolory wiatru i słońca. Gdyby kiedykolwiek udało mu się jego raczej mało prawdopodobne przedsięwzięcie sprzedania choć jednego z nich, może mógłby wrócić do swej krainy, by postawić z powrotem namioty. W zaułku rozbrzmiewał jego głos pełen nadziei na sprzedanie choć paru sztuk.

- Pooostawnyczłłłecze, weeeźcieżżżkobierzecccc!

- Pyta, czy chcesz od niego kupić dywan - przetłumaczył Borstril.

Rankstrail potrząsnął przecząco głową.

Tym razem dało się słyszeć przepełniającą sprzedawcę rozpacz i złość.

-Byyyleśśkrwiąkasssłał, czooortnieccchhpooorwietyccchcocipo-oomarli.

-To przekleństwa - objaśnił Borstril. - Życzył ci, żebyś pluł krwią, i rzucił parę uwag na temat twoich przodków, ale nie złość się, proszę, on nie jest zły. Jest tylko zrozpaczony, bo nie ma pieniędzy.

-Potrafię go zrozumieć - odparł oschle Kapitan, ale smucił się krótko.

Pomyślał znów o krowach i o plackach z bakłazanami.

Wybuchnął śmiechem.

Objął Borstrila.

-Jestem dumny, że mam takiego brata jak ty - powiedział mu i zobaczył, że chłopiec uśmiecha się, cały szczęśliwy.

Pomyślał, że odkrył fundamentalną prawdę: świadomość tego, że ktoś uważa nasze istnienie za wartość, może być cenniejsza niż ciast-ko z sezamem i miodem. Obiecał sobie, że będzie o tym pamiętał, obcując ze swoimi ludźmi, i wreszcie ruszył w drogę.

Rankstrail nie miał przy sobie łuku, lecz jego stara proca okazała się wystarczająca. Czaple poderwały się do lotu na odgłos jego kroków.

Ustrzelił dwie z nich, prawie pod samym nosem strażników, i uba-wił się setnie, uciekwszy im. Jedną sprzedał u bram Daligar za sześć soldów, z których trzy zostały natychmiast zamienione na groszek z

chlebem. Drugą podzielił się z Lisentrailem. Czapla i trzy pajdy chleba okazały się prawdziwym majątkiem - znów nic nie zostało dla nich przygotowane. W rzeczywistości nikt o nich nie pamiętał.

Obojętność, z jaką tym razem zostali przyjęci on i inni najemnicy, była jeszcze większa niż ta, do jakiej przywykli. Zaś ta, do jakiej przywykli, i tak już oznaczała: „na granicy przeżywalności”, więc wiedzieli, że teraz albo sami muszą sobie poradzić, albo zdechną z głodu i nikt tego nie zauważy.

Rankstrail i Lisentrailem urządzili pieczenie na zewnątrz stajni, nad prowizorycznym paleniskiem z kamieni.

- Ej, Kapitanie - powiedział Lisentrailem zdziwiony i zadowolony -

twój kawałek miecza nadaje się w sam raz na ruszt. Złamał się tuż nad rękojeścią, skośnie, tak że łatwo na niego nadziać pieczeń, która potem dobrze się na nim utrzyma. To też ma znaczenie dla naszej walki z orkami: jak tylko wyciągniesz taki kikut wielkości dłoni, tamci wybuchną śmiechem, i nie będziemy się musieli zbytnio fatygować, żeby ich zabić.

Kapitan w odpowiedzi mruknął coś niezrozumiałego.

Zapach czapli, która rumieniła się nad ogniem, rozszedł się wo-koło, lecz zamiast przewidywanej kolejki żebraków i jałmużników przed Kapitanem stawiło się pół tuzina kawalerzystów i piechurów, ci pierwsi z karmazynowymi godłami, ci drudzy, skromniej odziani, w bieli. Mężczyźni byli młodzi, nie nosili zbroi, lecz cienkie kol-czugi, a aksamitne kaftany z wyszywanymi złotem kołnierzykami zdradzały ich przynależność do arystokratycznych kręgów armii Daligar. Rankstrail, kucający przed swoim rusztem, poderwał się.

Jeden z mężczyzn, ten, który wydawał się liczyć trochę więcej lat od pozostałych, odezwał się, i mówiąc w dość dziwny sposób, powoli i sylabizując, tak jak mówi się do bardzo małych lub trochę tępawych dzieci, zapytał, czy to on jest Kapitanem i czy prawdą jest pogłoska, jakoby umiał pisać.

- Dlaczego pyta? - spytał Kapitan zdezorientowany. - Potrzebny wam skryba?

Nie, to nie skryba był im potrzebny. Wreszcie, mówiąc nieśmiało, urywkami zdań, nadal głośno, powoli i wyraźnie, zdołał wytłumaczyć, o co im chodzi. Byli honorową gwardią Aurory, Księżniczki Daligar, córki Zarządcy. Musiała być ona zawsze strzeżona przez jednego zbrojnego, i pilnowali jej na zmianę, po połowie dnia każdy.

Zazwyczaj rywalizowali o to, by móc strzec Aurory, lecz tym razem najwyższą koniecznością była obecność na ceremonii, do której właśnie się szykowano, i potrzebny był im zastępca.

-Jutro - powiedział ten, który przemówił jako pierwszy - wypada dwudziesta rocznica objęcia urzędu przez naszego wspaniałego i wielbionego Zarządcę, prawdziwego ojca naszej ziemi.

-Ponadto w tym dniu - dodał drugi - swój półwieczny jubileusz obchodzi również nasz ukochany przywódca.

-A jakby tego było jeszcze mało - kontynuował trzeci - podczas uroczystości mamy dać wyraz całej

naszej wdzięczności dla człowieka poświęcającego swe życie tej ziemi, która jest również i naszą...

Wreszcie Kapitan zrozumiał, jaki był powód obojętności, jaką ich przywitano. W tę historyczną rocznicę przewidziano uroczystości nie do opisanania i nie do opowiedzenia, które zepchnęły na dalszy plan troski dnia powszedniego. Nieważny był teraz los Ziemi Pogranicza i nikt nie zwracał sobie głowy wysyłaniem tam kogoś, by przepędził orków albo chociaż zatrzymał ich tam, gdzie byli. Błahą sprawą - w porównaniu z pilną koniecznością dekorowania balkonów i przygotowywania odpowiedniej ilości racuchów z jabłkami -

okazało się również wykarmienie i ulokowanie w przyzwoitych warunkach tych, którzy mieli iść walczyć z owymi orkami. Przewidywano tak huczne święta i uroczystości, że ani jedna spośród zasłu-

zonych rodzin arystokratycznych nie chciała być z nich wyłączona.

-Rozumiesz, czymś nie do pojęcia byłoby nie przyjść.

-Niewyobrażalnym.

-Niewybaczalnym.

-Nie mówiąc już o tym - dodał czwarty kawalerzysta, który ośmielił

się po raz pierwszy odezwać - że nie ma rodziny, nawet pośród naszych, bez choćby jednego krewnego, który nie jest lub nie był

do tej pory w lochach, na szubienicy lub pręgierzu, a rozumiesz...

Nie żeby niesprawiedliwością było umieszczenie ich tam, gdzie zostali umieszczeni... przeciwnie, to my czujemy się winni wobec Zarządcy, że musieliśmy zaciągnąć tam tych wszystkich...

oczywiście, nie żeby nie byli winni... Więc widzisz, że nieobecność jutro...

-Czasami wystarczało coś bardziej błahego - powiedział cicho i szybko jeden z dwóch piechurów - niż nieobecność na ceremonii.

Mój ojciec nie zjawił się, bo został ranny, kiedy walczył dla niego... a i tak... też go... - chłopak urwał, zgromiony wzrokiem kawalerzystów, którzy jednak nie zdołali uciszyć towarzysza.

-To najwyższa konieczność, rozumiesz, ta jutrzejsza ceremonia.

Jeśli nie znajdziemy nikogo, kto nas zastąpi, to mnie, najmłodsze-mu ze wszystkich, przyjdzie zdezerterować z ceremonii. Co jest niebezpieczne. Zarządca nigdy nie zapomina nikomu jego nieobecności, a jej powody giną gdzieś w jego pamięci...

Młody piechur przerwał, popatrzył z wyrazem cierpienia na twarzy na Rankstraila i w końcu wyrzucił z siebie:

- Ale co jeszcze ważniejsze, jeśli nie będzie nas jutro przy nim, skąd będzie wiedział, jak bardzo go kochamy? Zwłaszcza ja, skoro należę do rodziny, która przysporzyła Zarządcy tyle bólu i cierpienia, bo musiał je zgładzić. Jakże mógłbym nie być obecny?

Pozostali biorący udział w całej tej rozmowie, zgorszeni pierwszą częścią wypowiedzi, przyłączyli się z entuzjazmem do finału, apro-bując go w pełni, a oczy lśniły im jak gwiazdy.

Rankstrail zdał sobie sprawę, że w tych ludziach nie tylko miesza-

ły się strach, oportunizm i bałwochwalstwo, które nawzajem w sobie podsycali, na zmianę biorąc w obronę niecnego władcy, oni go po prostu kochali. Szaleństwo Zarządcy coraz częściej myłone było z normalnością; ciągle powtarzane kłamstwa coraz częściej uważano za prawdę. A z roku na rok najpodlejsze okrucieństwo brano za umiowanie sprawiedliwości. Jakiś człowiek został stracony, bo rany wojenne nie pozwoliły mu iść, by złożyć ukłon na urzędowej ceremonii, a nawet jego syn nie był tym oburzony. Nie tylko ze strachu nikt nie chciał być nieobecny. Nie tylko jako pochlebcy wszyscy pragnęli uczestniczyć w uroczystości. Kiedyś Szalony Skryba powiedział Rankstrailowi o pozornym uroku, jakiego nabiera okrucień-

stwo, kiedy nadzieja i odwaga, by z nim walczyć, ponoszą klęskę.

Wyjaśnił mu, jak to się dzieje, że w takich chwilach hańbiąca uległość i zmowa milczenia zyskują bezwstydną przyzwolenie. Wtedy było to dla Rankstraila jedno z wielu zdań, trudnych i pozbawionych sensu. Teraz, stojąc naprzeciw młodym arystokratów, wreszcie je zrozumiał.

Chcieli być obecni, bo go kochali.

Rankstrail, stojąc tuż obok rusztu z czapłą, wciąż wpatrywał się z niedowierzaniem w tych młodzieńców, którzy w normalnych okolicznościach nie zwróciliby nawet głowy, by spojrzeć w jego stronę, nawet gdyby umarł tuż pod ich nosem. Teraz zwierzali mu się z najmroczniejszych rodzinnych sekretów; z najnieprzyzwoitszych dowodów tchórzostwa; z najnędniejszej służalczości, byle tylko zdobyć sobie jego życzliwość.

Rozmowa toczyła się dalej. Kawalerzyści i piechurzy, wciąż jeszcze nie mając pewności, czy wszystko zrozumiał, wytłumaczyli mu po raz kolejny, że żadnego z nich nie może zabraknąć na ceremonii, i w związku z tym potrzebują kogoś, kto by ich zastąpił, pilnując Księżniczki. Słyszeli, jak mówiono, że młody Kapitan lekkiej piechoty może uchodzić - oczywiście na tyle, na ile jest to możliwe w wypadku najemnika - za całkiem przyzwoitego człowieka. Jeśli nie ogląda się go z bliska. Umiał pisać i czytać, nie spluwał na ziemię, nie drapał się niczym zapchlony kundel. Oni umyją go jak trzeba, zrobią porządek z jego włosami, przez które wygląda jak niedź-

wiedź, i z tą brodą, co sprawia, że można go pomylić z wilkołakiem.

Ubiorą go w zbroję kawalerzysty i nikt niczego się nie domyśli. Poza tym Księżniczka Aurora jest... jak by to powiedzieć...

-To cudowna dziewczynka zawsze... hm... zawsze pogrążona w marzeniach...

-W swoich fantazjach...

-Żyje cały czas w swoim własnym świecie.

Rankstrail przypomniał sobie, że słyszał już o tym, jaka głupia albo może nawet szalona, podobnie jak jej matka, jest Księżniczka Daligar. Że nie je rzeczy, które kiedyś były żywe, i nigdy nie wychodzi na ulice miasta.

-Jedyne zajęcie małej damy to huśtanie się na huśtawce.

-Ty będziesz musiał tylko stać w kącie ogrodu, nie rzucać w oczy i nie ruszać, stale w ciszy i bezruchu, niczym posąg. Dostąpisz najwyższego zaszczytu przebywania w towarzystwie córki Zarządcy.

Potem będziesz mógł o tym opowiedzieć swoim rodzicom, jeśli ich masz. I swoim wnukom. Zresztą, my się tam na tym nie znamy, nie wydaje nam się, by najemnicy mogli brać sobie żony, ale jeśli nikt cię nie zabije, to prędzej czy później przestaniesz przecież być najemnikiem. Jeżeli podczas trzymania straży piśniesz słówko albo się poruszysz, wychłostamy cię tak, że zejdziesz z ciebie skóra, i każemy ci odebrać stanowisko dowódcy oddziału piechoty. Ale mówimy to tylko na wszelki wypadek. Na pewno nie jesteś aż tak głupi.

Chodziło przede wszystkim o jego imię. Spośród wszystkich moż-

liwych tematów, na które mógłby prowadzić rozmowę, ten był najbardziej zakazanym, bo zakrawało, że nie posiada sławnego rodowodu i wskazywało na to, że jest najemnikiem. Jeśli to się wyda, każą go obdrzeć ze skóry. Czy wszystko jest dla niego jasne?

W normalnych warunkach Rankstrail by odszedł, oczywiście z należytą uprzejmością, jaką on, najemnik, winien był kwiatowi arystokracji. Niewiele rzeczy mogło obchodzić go mniej niż zaszczyt spędzenia całego dnia na niańczeniu córki Zarządcy, która zdaje się miała opinię na wpół nieprzytomnej, podczas gdy jej ojciec cieszył

się sławą tego, który gdy tylko ktoś kichnął w niewłaściwą stronę, wieszał go do góry nogami w lochu i zostawiał tam aż na następny rok. Rozsądnie byłoby zatem, dopóki to możliwe, trzymać się z dala i nie mieć z tym wszystkim nic wspólnego.

Problem polegał jednak na tym, że jego sytuacja i tak nie była wesoła. Poinformował dostojnych rozmówców, że propozycja może go, owszem, interesować, pod warunkiem, że dozgonnej wdzięczno-

ści zaoferują mu także jeden ze swoich mieczy.

Umowa została zawarta. Najmłodszy z piechurów dostał właśnie w podarunku broń z okazji osiągniętej pełnoletności, więc odstąpił

Rankstrailowi swój miecz szkoleniowy, jak dla Kapitana trochę za krótki i za lekki, ale z dobrej stali i bez żadnych esów-floresów.

Gdy arystokraci odeszli, okazało się, że czapla już się upiekła.

- Kapitanie - powiedział Lisentrail, też mówiąc powoli, jak mówi się do głupawych dzieci - czy mogę zatrzymać twój rożen teraz, kiedy masz coś lepszego do walki? I czy mógłbym jutro przyjść i zobaczyć, jak niańczysz Księżniczkę? Skoro nie pójdziesz na wojnę ze swoim rożnem, może opowiemy orkom o twoim niańczeniu Księż-

niczki. Wtedy pękną ze śmiechu i same zdechną.

II

Dzień był ciepły. Aurora miała spędzić go w ogrodzie pałacu swego ojca.

Rankstrail stał nieruchomo w cieniu wierzby, częściowo zasłonięty opadającymi gałęziami.

Dostał lśniącą zbroję ze stali, z jakimś skomplikowanym srebrnym zdobieniem i hełm z osłoną na gardło, który zakrywał mu całkowicie twarz. Kategorycznie zabroniono mu ruszać się i odzywać, miał ograniczyć się do oddychania, a i to po cichu. Zbroja nie najlepiej pasowała albo to Rankstrail nie był przyzwyczajony do jej noszenia, w każdym razie oddychanie, i to po cichu, okazało się nie lada wyzwaniem.

Przez całe życie Kapitan marzył o tym, by nosić zbroję z prawdziwej stali, a teraz, kiedy już ją założył, nie mógł się doczekać, by ją ściągnąć. Wreszcie zrozumiał, dlaczego to najemników wysyłano do zatrzymania orków i grabieżców: z takim żelastwem na sobie ciężko stawić czoła jakiegokolwiek istocie, która byłaby groźniejsza od bie-dronki. Nawet w hełmie nie dało się wytrzymać: oczywiście chronił

on przed każdą strzałą, ale jedyne, co teraz mógł zrobić Rankstrail, mając ten garnek na głowie, to bawić się w udawanie posągu.

Ogród był piękny, pełen roślin kwitnących późnym latem. Rosły w nim przede wszystkim nadzwyczaj ogromne kwiaty glicynii, które miały w sobie coś nadnaturalnego, a ich zapach po prostu odurzał. Pałac Zarządcy był wielką budowlą, dziwną i niesymetryczną, bez kolumn, łuków i zdobień, z nielicznymi oknami.

Córka Zarządcy musiała być młodsza od Fiammy, mogła mieć jakieś dziesięć lat.

Nosiła suknię ze srebrnego i białego brokatu, przykrytą aksamitną karmazynową tuniką. Takiego samego koloru były również buciki Księżniczki Daligar z jedwabiu ze srebrnymi sznurowadłami. Nie miała na sobie nic, co byłoby poplamione, ubrudzone lub pomięte.

Może to dlatego siedziała sztywno i bez ruchu, niczym posąg z kamienia. Była bardzo piękna, miała jasne włosy splecione w skomplikowane, drobne warkoczyki, które gęsta sieć pereł opinała nieruchomo wokół jej idealnej twarzy, rozświetlonej dużymi oczami w kolorze głębokiej wodnej toni, zielonej i ciemnej niczym zimowe morze.

Rankstrail pomyślał o warkoczykach Fiammy: to on zaplatał je każdego ranka po śmierci matki,

zanim siostra podrosła na tyle, by sama mogła sobie z nimi poradzić. Plótł tylko dwa warkocze po bokach, potem okręcał je wokół głowy i związywał bawełnianą tasiemką. Coś takiego zajmowało mnóstwo czasu, a Fiamma przebierała niecierpliwie nogami, nie mogąc się doczekać końca czesania, by móc wreszcie się bawić. Patrząc na Aurorę, Rankstrail zastanawiał

się, ile czasu trzeba było poświęcić, by zebrać wszystkie jej kosmyki w te sieci srebra i pereł. Ileż czasu w nudnym bezruchu to wymaga-

ło. Wszystko wydało mu się pozbawione sensu.

Dokoła dziewczynki krzątało się stado dworzan, których Rankstrail nie zdołał dokładnie przeliczyć, lecz łącznie z damami do towarzystwa, służącymi, kawalerzystami i paziami, nie mogło być mniej niż pięćdziesięcioro. Wszyscy czuli się w obowiązku pozdrowić dziewczynkę długim wywodem, wychwalając jej wdzięk, piękno, nieskazitelną gładkość skóry, blask oczu, delikatność włosów, a ktoś wspomniał nawet o wdzięku haftu na jej bucikach. Dziewczynka tkwiła pośród tych ludzi, sztywna i nieruchoma, dziękując każdemu lekkim skinieniem głowy.

Rankstrail pomyślał, że nawet komplement, powtarzany w nieskończoność, staje się utrapieniem. Może to dlatego oczy dziewczynki nie zawsze były w stanie zatrzymać się nieruchomo na twarzy rozmówcy, a jej wzrok często gubił się gdzieś w pustce.

Wreszcie nadeszła pora ceremonii i wszyscy pospieszyli na ze-wnątrz. Otworzyły się ciężkie drewniane drzwi, zdobione masywnymi okuciami ze srebra, i cały rój ludzi przeniósł się na zewnątrz wielkiego ogrodu, prosto na słońce, które zalewało ulicę. Tam znajdowała się głośna zgraja dzieci różnego wzrostu, które grały w skomplikowaną grę piłką z pozszywanych szmatek. Wraz z otwarciem bramy podniosły się krzyki żebraków, dały się słyszeć liczne błagania o miłosierdzie i jałmużnę, a potem równie wyszukane kpiny i obelgi w odpowiedzi na zakaz zebrania, i na koniec odgłosy ucieczki przed kopniakami i ciosami.

Przez otwartą bramę Aurora przypatrywała się dzieciom na ze-wnątrz. Jej spojrzenie ożywiło się i dopiero teraz Rankstrail zdał

sobie sprawę z tego, jak bardzo było ono do tej pory puste, posępne i smutne niczym głęboki staw, w którym nie ma życia. Kiedy drzwi się zamknęły, Aurora szeroko otwartymi, pełnymi rozpaczy oczami, wciąż wpatrywała się w miejsce, które przed chwilą zalało słońce.

Potem, nadal nieruchoma w swoich szatach z aksamitu i brokatu, znów pozwoliła, by jej spojrzenie gdzieś się zagubiło, i tak już pozostała.

Rankstrail pomyślał, że to musi być okropne.

On od zawsze przebywał wśród dzieci: przygarnął Fiammę i chłop-ców w Zewnętrznym Kręgu, których ojcowie przebywali daleko, a matki gdzieś zaginęły. Nie mając nikogo, do kogo mogliby się przywiązać, przylgnęli właśnie do niego.

Kapitan otrzymał wprawdzie stanowczy rozkaz pozostania w bezruchu i milczeniu, lecz nieruchome

stanie w ciszy w pobliżu dziewczynki, która miała zupełną pustkę w oczach, wydało mu się taką samą zbrodnią jak obojętność wobec kogoś, kto właśnie tonie.

Pomyślał, że chłosta nie jest mu już obca, wiedział, że się od niej nie umiera i że stopnia kapitana przecież nie mogliby mu odebrać, bo nigdy mu go nie nadali.

Wyłonił się z cienia swej wierzby, zdjął hełm i ośmielił się odezwać do dziewczynki.

- Ej, wasza łaskawość - zaczął nieśmiało. Może wystarczyłoby nawet zwykłe „pani”, ze względu na młody wiek, ale tego nie był pewien. - Wybaczcie, wasza łaskawość, cóż... wybaczcie, nie chciałbym przeszkadzać, ale tak sobie myślałem... właśnie... może sprawiłoby wam przyjemność posiadanie łuku? Chcielibyście mieć łuk? Wiecie, żeby wypuszczać strzały... Ja zrobiłem już taki jeden dla mojej siostry, ona jest trochę starsza od was. Kiedy dałem jej łuk kilka lat temu, była mniej więcej w waszym wieku i miała z niego dużo rado-

ści. Dzięki temu mielibyście do zabawy nie tylko huśtawkę. Zawsze lepiej mieć dwie niż jedną. Jeśli chcecie, to zrobię dla was łuk i nauczę was, jak go używać.

Aurora zwróciła ku niemu swoje milczące spojrzenie. Przyglądała mu się długo, podczas gdy głęboki staw jej zielonych oczu zaczynał

się powoli ożywiać, a potem kiwnęła potakująco głową.

Produkcja łuku i strzał zajęła sporą część poranka. Do jego wykonania Rankstrail wykorzystał gałąź jesionu. Ociosał ją, posługując się sztyletem, który nosił u pasa, podarowanym mu przez przywódcę wioski Scannuruzzu na zakończenie ich pierwszych pertraktacji. Jako cięciwy użył rzemienia, dzięki któremu kiedyś zamienił swój flet w procę. Rzemień przypominał mu rodzinę i jej dzieje, więc był mu drogi, lecz w obliczu rozpaczliwej pustki wypełniającej czas dziewczynki, zdecydował się go poświęcić. Na procę może znaleźć sobie inny. Kiedy łuk był już gotowy, Rankstrail zabrał się do zrobienia dwóch strzał z gałązek orzecha. Aby obciążać czubek, obłożył je - poświęcając dwie trzecie swego dobytku

- dwoma z trzech jednogroszowych miedziaków, mięciutkich i łatwych do uformowania w stożek, pokazawszy je wcześniej niezmiernie zainteresowanej nimi dziewczynce. Aurora wysłuchiwała także wszystkich jego wyjaśnień dotyczących pieniędzy, wartości rzeczy, niezbędnych obliczeń, kiedy trzeba kupić jakiś przedmiot, na którego opłacenie nie ma się wystarczającej kwoty, na przykład konia lub lekarstwa od ziołarza, gdy ktoś, kogo się kocha, jest chory.

Rankstrail wyposażył drugi koniec strzały w pióra turkawki, które znalazł w jednym z gniazd w ogrodzie.

Aby dostać się do gniazda, musiał się wspiąć na orzech. Młody Kapitan, który w swojej zwykłej skórzanej komży z klamrami zdołałby się wdrapać nawet na słup na jarmarku, ściągnął z siebie teraz nieznośną błyszczącą zbroję ciężkiej kawalerii, modląc się, by również za to uchybienie kara nie była surowsza od chłosty.

Podczas gdy robił wszystkie niezbędne rzeczy, ani na moment nie przestawał mówić. Opisał Aurorze Varil: czaple, moczary, pola ryżowe, rozległe obszary porośnięte migdałowcami, które otaczały miasto, a także wzgórza drzewek pomarańczowych i oliwnych.

Rankstrail zawsze był małomówny, nigdy nie przyszło by mu do głowy, że spędzi poranek, opowiadając dziewczynce w szatach z czystego aksamitu i brokatu przetykanego srebrem, o tym, że on i jego rodzeństwo nauczyli się łątać sobie ubrania, używając do tego piór zabranych z ptasich gniazd.

Prawda była taka, że nawet on, który widywał już dzieci grzebiące w błocie i walczące o kapuściane głąby z ulicznymi szczurami i dzieci ze śmiercią w oczach; on, który pomógł pochować tych, których oczy nie miały już niczego zobaczyć; on, który musiał patrzeć jak jego matka umiera na kaszel, i nauczyć się, że skórka chleba wystarczyć musi na cały dzień; nawet on skamieniał na widok smutku, pustki i nicości, które były z zieleni oczu Aurory.

Opisał jej Zewnętrzny Krąg i tych, którzy go zamieszkiwali. Opisał Czarnych Grabieżców, krowy, pożyczkodawcę, Scannuruzzu, Wysoką Skalę, płaskowyż Kasztanii, wysoki i wspaniały, na którym trawa była piękna jak nigdzie indziej, a woda czysta niczym w nie-biańskim ogrodzie. Opowiedział jej o płaskowyżu Kałuż i wyjaśnił, że była to ziemia dzika, ale też jednocześnie łagodna, jak tylko może być ziemia mlekiem i miodem płynąca, po prostu magiczne miejsce, w którym nie żał nawet umrzeć. Aurora słuchała go w nabożnym milczeniu, nie chcąc stracić ani jednego słowa, ze wzrokiem utkwionym w jego twarzy. Czując na sobie spojrzenie tych oczu, które na dźwięk jego słów ożywiły się i zabłysnęły, Rankstrail nie przestawał

mówić.

Opowiedział jej nawet o tym, jak będąc dzieckiem, sam nauczył

się strzelać z łuku na moczarach, i wielkie siwe czaple, a także te małe i białe, wzbogaciły jadłospis jego rodziny, składający się wtedy głównie ze ślimaków i żab, które gotowało się w garnku nad paleniskiem w jego domu. Wyjaśnił jej, że na moczary musiał chodzić nocą: polowania zabroniono mieszkańcom Zewnętrznego Kręgu, jako że zwierzyna łowna przeznaczona była dla obywateli Starego Miasta. Potem opowiedział jej, jak nauczył się rozpoznawać obecność straży łowieckiej po locie czapli.

- ...wiecie, pani, przemieszczanie się czapli pośród nocnych ciemności odgaduje się po krzyku, który wydają z siebie żaby, gdy kończą w ich dziobie. To takie rozpaczliwe skrzeczenie. Nawiasem mówiąc, żaby w lecie robią taki hałas, że aż uszy puchną, obudziłby zmarłego, za waszym pozwoleniem, pani, wybaczone ten zwrot. Kiedy nic się nie uda schwycić, zawsze są jeszcze żaby. Wiecie, pani, rosół z żaby to prawdziwy przysmak, prawie jak z kurczaka. Ten to dopiero obudziłby zmarłego, i to tak na poważnie. Mieliśmy taką sąsiadkę, donnę Sabirę, która zawsze powtarzała, jak to raz, kiedy wydawało się już, że jej ojciec umiera, zrobiła mu rosół z żaby z ostrą papryką, tak smaczny, że chory ozdrowiał. Wstał ze swojego legowiska i poszedł

tańczyć na ulicy, a potem żył jeszcze przez następnych dziesięć lat.

To dlatego latem Varil jest takim wspaniałym miejscem. Wystarczy mieć ostrą paprykę, a żaby są w zasięgu każdego. Prawdziwa katastrofa to zima. Zimą nie ma żab do jedzenia, a na czaple trzeba polować, stojąc nieruchomo pośród ryżowych pól całymi nocami, w ciszy, dopóki jakaś sowa nie doprowadzi do gniazda, i to pod warunkiem, że w ogóle doprowadzi. Ale w zimie i tak zdarzają się noce naprawdę piękne. Kiedy wracałem z jakąś zdobyczą, to nie tylko u mnie w domu, ale na całej ulicy, było prawdziwe święto... Teraz pozwólcie, że zobaczę, jak jesteście wysoka: możliwe, że muszę trochę skrócić łuk, ale nie za wiele, tak by mógł wam służyć, nawet gdy podrośniecie. Jak myślicie, taki czy krótszy?

Dziewczynka długo się zastanawiała, potem potrząsnęła głową, co nie było jasne. Rankstrail pomyślał, czy przypadkiem nie jest niemową.

Ukończywszy pracę nad łukiem, poświęcił kawałek rękawa swojej tuniki w trudnym do określenia kasztanowobrazowym kolorze, by owinąć nim lewe przedramienia dziewczynki i ochronić je przed cięciwą, która gdy się już wystrzeli, odskakuje z powrotem i uderza jak bicz. Potem pokazał Aurorze, jak należało trzymać łuk, i stojąc za jej plecami, ułożył go odpowiednio w jej dłoniach.

Nie uniknął lekkiego muśnięcia ramienia dziewczynki, przez które przebiegł lekki dreszcz, podobny do dygotu skrzydeł wróbla, kiedy weźmie się go do ręki. Rankstrail, który spędził dzieciństwo na uczeniu swojej siostry, jak się bić, i ani razu nie zasnął bez przytulenia ojca i matki, pomyślał, że Aurora, uwięziona w swoich nietykalnych, bezcennych szatach, prawdopodobnie nigdy nie zaznała pieśczoł.

Odsunął się, nie chcąc zrobić czegoś, do czego ona nie była przyzwyczajona, i bojąc się, że ją wystraszy. Pokazał jej, jak trzymać łuk, i udzielił instrukcji dla początkujących.

- Widzicie, pani, aby ustalić, które oko celuje, robi się tak: spójrzcie na jakąś rzecz, na przykład na tę paproć. Patrzcie, nie spuszczając jej przez chwilę z oka. Teraz dłonią zakryjcie sobie jedno oko, potem drugie. Kiedy zasłonicie oko niepotrzebne, by wycelować, obraz, który widzicie, nie zmieni się. Ale jeśli się zmieni, to okiem, które celuje, musi być to drugie... Doskonale, zatem lewe jest tym właściwym? Dobrze, teraz uważajcie: musicie sprawić, by linia wzroku i strzała znalazły się na jednej linii z celem.

Pierwsze strzały oddane przez Aurorę nie trafiły w cel. Najwidoczniej, w przeciwieństwie do Fiammy, Aurora nie tylko nie miała nigdy w ręku choćby procy, ale nawet w nic nie grała. Nie była w stanie dość mocno utrzymać łuku, nie naciągała dostatecznie mocno cięciwy, aby dobrze strzelić, i nie miała bladego pojęcia o celowaniu.

Rankstrail wyjaśnił wszystko jeszcze raz, rozwodząc się długo nad tym, jak mierzy się do celu, i kazał Aurorze mocniej napiąć łuk. W

końcu po kolejnej długiej serii nieudanych strzałów i jednym nie-planowanym zamachu na starego kota, który czmychnął z pełnym oburzenia mruknięciem, młody żołnierz, jednocześnie zrozpaczony i rozbawiony, powiedział:

- Zdaje się, że to elfy mówią, iż trzeba celować oczami duszy i myśleć o tym, że jest się strzałą, ale

szczerze mówiąc, nigdy nie zrozu miałem, co to właściwie znaczy.

Dziewczynka odwróciła się i spojrzała na niego swoimi oczami w kolorze głębokiej zieleni.

- Elfy mówią, że trzeba celować oczami duszy i myśleć o tym, że jest się strzałą - powtórzyła, prawie sylabizując.

Po raz pierwszy Rankstrail usłyszał jej głos.

Kolejny strzał, a także wiele następnych, Aurora wykonała z niezrównaną precyzją. Trafiła w sam środek pojedynczego źdźbła trawy z odległości trzydziestu stóp, a w główkę maku z dystansu sześć-

dziesięciu stóp. Nie myśląc się przy tym nawet o szerokość kciuka, wyczuwała kierunek i siłę, z jaką należało wystrzelić. Okazała się urodzonym łucznikiem. Błysk radości w jej oku był niczym promyk księżycy na niebie o świcie. Rankstrail pomyślał, że ekscytującym dla niej przeżyciem byłaby nauka polowania.

Kątem oka dostrzegł ruch między paprociami i wskazał miejsce, w które wypuściła właśnie strzałę. Paprocie znieruchomiały momentalnie: Księżniczka trafiła małego królika! Rankstrail ucieszył

się i wybuchnął radosnym śmiechem. Aurora zbladła. Podbiegła do przebitego strzałą zwierzęcia. Zrozpaczona, z oczami pełnymi łez, patrzyła, jak zwierze umiera. Rankstrail z całego serca zapragnął, żeby ziemia rozstała się pod nim, by go pochłonię. Słyszał przecież plotki na temat córki Zarządcy. Któraś z najwidoczniej musiała być prawdziwa.

Aurora poprosiła Rankstraila, by podniósł zwierzątko. Ona nie mogła się schylić po nie, nie brudząc przy tym błotem brzegu swojej sukni z brokatu, nie mogła też go trzymać, nie plamiąc krwią tuniki z aksamitu. Rankstrail wykonał polecenie i kiedy trzymał nieżywe zwierzę w swych ogromnych dłoniach, Aurora pogłaskała królika powoli. Nawet teraz, gdy oczy miała pełne łez, Kapitan pomyślał, że ten ból był lepszy od pustki. I wtedy opowiedział jej o głodzie. O

tym, jak głód niszczy ciało, które potem zaczyna chorować na kaszel nie do uleczenia, i o tym, jak rani duszę, a ta zaczyna obumierać. O tym, jak wygłodzone dzieci stają się ułomne, a czasem głupie, i o tym, jak duch jałowuje, marnieje, staje się podły i nikczemny. Głód zabija szlachetność, niweczy odwagę.

- Moja pani, posłuchajcie mnie. Śmierć nie jest zaprzeczeniem ży cia, lecz jego odwrotną stroną. Zobaczcie sami - dodał, wyciągając z torby swoją trzecią i ostatnią małą monetę - wszyscy umierają, by móc zostawić miejsce swoim dzieciom, my dwoje także umrze my, by zrobić miejsce dzieciom, które będziemy mieć, i zrobimy to z radością, bo zaszczyt posiadania dziecka jest większy od strachu przed śmiercią. Bez śmierci życie byłoby bezużytecznym ciągiem nadchodzących po sobie, pozbawionych sensu dni. Śmierć jednych jest życiem drugich. Sowa zjada mysz, a czapla żaby, i jeśliby tego nie robiły, zbyt wiele myszy i żab pozostałoby bez niczego do jedzenia i zdechłyby potem wszystkie razem, zanieczyszczając świat swoimi zarobaczonymi szkieletami. Proszę, weźcie ją - dodał i wręczył

jej maleńką monetę, ostatnią ceną rzecz, jaką posiadał. - Teraz bę dziecie pamiętać o tym, co wam powiedziałem, i może przebaczycie mi, że kazałem wam zabić tego małego królika.

Dziewczynka patrzyła na niego bardzo długo, aż w końcu kiwnęła głową.

- Proszę was, panie, zatrzymajcie wy to zwierzątko i przekazcie je ode mnie komuś, kto cierpi głód i nie może go zaspokoić. Jakiemuś dziecku, jeśli mielibyście taką możliwość. Byłabym wam bardzo wdzięczna za tę grzeczność i przepraszam za kłopot, jaki wam to sprawi. Panie, wybaczcie mi moją niedelikatność, ale czy wy kiedykolwiek zabiliście?

Rankstrail pojął, że nie chodzi już tylko o króliki czy czaple. Odpowiedział jej uczciwie, że zabijał w swoim życiu ludzi: Czarnych Grabieżców z bandy, która zaatakowała i zniszczyła gospodarstwa na brzegu małego stawu, tych, którzy chcieli spalić żywcem jego towarzyszy i wszystkich, którzy na śmierć zasłużyli.

- Nie zrobicie tego więcej, chyba że tylko po to, by ratować życie, wasze lub innych? A jeśli do tego dojdzie, nigdy nie zapomnicie, że musieliście to zrobić? - upewniła się Aurora.

Rankstrail nie zrozumiał, czy było to stwierdzenie, prośba, czy zobowiązanie do złożenia obietnicy. Nigdy w życiu nie wracał myślami do ludzi, których zabił. Przypomniiał sobie, jak Trakrail poprosił

go, by brali wrogów do niewoli, i pomysł ten ponownie wydał mu się pozbawiony sensu. Poczł się nieswojo, jakby lekko zakłopotany, tak jak wtedy, gdy jego matka odnajdywała go bijącego się w błocie

- a przecież niezliczoną ilość razy zabraniała mu to robić.

Przytaknął.

Nie robi tego więcej, a jeśli, to tylko po to, by ratować życie swoje lub innych, i będzie o tym pamiętał.

- Obiecuję wam to, pani. Nawet więcej: przysięgam. Teraz, kiedy tak się nad tym zastanawiam, uświadamiam sobie, że pierwszy raz w moim życiu coś komuś przysięgam - powiedział, wkładając królika do torby. - Ale i wy obiecujcie mi, że jeśli kiedykolwiek będziecie musieli bronić waszego życia lub życia osób, które kochacie, staniecie do walki po to, by wygrać. Teraz, jeśli się zgodzicie, pani, tak jak wcześniej moją siostrę Fiammę, i was nauczę używać miecza. Jeżeli będziecie musieli stoczyć walkę będziecie wiedzieli, jak to zrobić.

Aurora się zgodziła.

Zdobycie dwóch łodyg trzciny było łatwiejsze niż zrobienie łuku.

Aurora schowała prezent od Rankstraila pod dachówkami drwalni, które miały go osłonić przed deszczem, uczynić niewidocznym dla jakiegokolwiek spojrzenia i niemożliwym do odnalezienia w razie poszukiwań. Dobrze ukryta między dachówkami została także mała piłka szmacianka.

- Nawet to stanowi naruszenie reguł. Spójrzcie tam - wskazała gniewnie sporą huśtawkę, wspianą inkrustowaną srebrem i kryształami, która królowała pośrodku ogrodu, zawieszona na kaszta nowcu.
- Moim obowiązkiem jest spędzać na niej całe dnie i być jak z obrazka, jak dawne księżniczki z książek mojego ojca, i nie uchodzi za rozsądne, bym miała inne rozrywki.

Rankstrail objaśnił jej podstawy ataku i parowania ciosów, opisał

najpowszechniej używane miecze: symetryczne, asymetryczne, proste, zakrzywione, trzymane jednorącz lub oburęcznie. Nim zaczęli, Aurora spytała, czy jest może coś, co elfy mówią na temat mieczy, i Rankstrail musiał się nad tym zastanowić.

- Mówią, że odparowując cios, musisz śledzić ruch oczu przeciw nika, bo każdy patrzy instynktownie tam, gdzie ma zamiar uderzyć, i to jest w sumie całkiem logiczne. Poza tym mówią, że przy ataku trzeba myśleć o tym, że jest się mieczem, ale to już sam nie wiem, co może znaczyć - wyjaśnił.

Zrobili kilka prób i Rankstrail podziękował w duchu, że miecze były tylko trzciniowe, bo w przeciwnym razie zarobiłby jakieś pół

tuzina trafień, sam nie zadając ani jednego celnego ciosu. Choć ograniczana swoją okazała szatą, dziewczynka była niewiarygodnie zręczna, a poza wszystkim tak bardzo śmiała jej się oczy, migoczące niczym promienie letniego słońca między koronami drzew, że Rankstrail wybaczył jej nawet brawurę. Samopoczucie młodego żołnierza, którego przewyższono w strzelaniu z łuku i pokonano w walce na miecze, zostało nieco nadwątlone, lecz Rankstrail, widząc pustkę w oczach Aurory, gotów był dać się pokonać w każdej konkurencji, włączając wspinaczkę na drzewa czy puszczanie kaczek na tafli jeziora, byleby tylko zobaczyć, jak dziewczynka się raduje.

- Pani - powiedział do niej ze śmiechem - żywię nadzieję nie mieć was nigdy za przeciwnika.

Dziewczynka spoważniała. Spojrzała na niego zielonymi oczami, które skrzyły się teraz pełnią życia.

- Nie sędzę, panie - odpowiedziała mu - że ja i wy moglibyśmy kiedykolwiek być przeciwnikami.

Rankstrail odpowiedział ukłonem.

Słońce stało w zenicie i nadeszła pora obiadu. Rankstrail był

głodny. W torbie miał kawałek czarnego chleba i fasolę, a ponieważ jego trzy miedziaki należały już teraz do Aurory, musiał szybko podliczyć, ile może zjeść, by mieć jedzenie na następny dzień.

Włożył z powrotem hełm i zbroję, uważając, by nikt go nie zobaczył, i z zaciekawieniem obserwował przygotowania do obiadu Aurory. Dwaj słudzy, niezmiernie przejęci i zdyszani, przybiegli, by nakrywać stół. Nakryli go obrusem, na którym koronki i hafty przeplatały się, nadając mu wygląd ogrodu rozkwitającego spod śniegu. Ułożyli pięć małych srebrnych noży z boku, po prawej stronie talerza, który wykonany był z kryształu, tak samo zresztą jak i kieliszek, a po lewej położyli pięć widelczyków, także ze srebra, od największego do najmniejszego. Rankstrail nauczył się używać łyżki w domu pożyczkodawcy, lecz nawet tam, jeśli chciał, kawałki chleba i mięsa mógł wziąć do rąk. Aurora szepnęła do Rankstraila, że zazwyczaj służących przy obiedzie było dwudziestu jeden, lecz dziś najwidoczniej wszyscy brali udział w ceremonii, z wyjątkiem tych dwóch.

Kiedy wreszcie wszystko było gotowe i Aurora mogła zasiąść do stołu, dwaj służący zaczęli serwować pięć przewidzianych dań.

Na stole stały dwa wielkie złote świeczniki o czterech ramionach, które podtrzymywały prawdziwe świece z pszczelego wosku. Świece zostały zapalone, mimo iż było samo południe i letnie słońce stało w zenicie.

Dania, które dwóch służących zaprezentowało z należytą pompą i w całej okazałości, były następujące: kabaczek pokrojony w cie-niusieńkie plasterki, z których każdy skropiono czterema kroplami olejku zapachowego, seler w maleńkich kosteczkach z sosem z bazylii, sałatka z kaparów z oliwką, płatek róży faszerowany pastą z kukurydzy, fantazja z trzech winogron z borówkami. Borówki też były trzy: po jednej na każde winogrono.

Aurora jadła bardzo powoli: każde winogrono było starannie dzielone na kawałeczki, każda pojedyncza borówka została obrana ze skórki, a każdy plasterzek kabaczka pokrojony szesnaście razy, nim został wreszcie połknięty.

Kiedy skończyła i wszystko zostało wyniesione, Rankstrail znów się zbliżył. Ostępiał i nie wierzył własnym oczom. Nawet jeśli prawdą była plotka głosząca, że jak na ironię losu, dzieci bogaczy, ubrane w swoje okazałe ubrania, jedzą niewiele więcej niż nic, podczas gdy zawszone dzieci nędzarzy nigdy nie są syte, posiłek ten okazał się wyjątkowo skromny. Fiammie to coś nie wystarczyłoby nawet na pół podwieczorku.

- Nie ma nic więcej? - spytał zdziwiony.

Dziewczynka pokręciła przecząco głową.

- To był obiad? - spytał znowu. Może tutaj posiłek zorganizowany był inaczej i na razie podano tylko przystawkę?

Aurora potaknęła.

-A na śniadanie co wam dali? - zapytał znów, nie dając za wygraną.

-Uchodzi za rozsądne, bym jadła tylko jeden raz dziennie, tak aby nie zaszkodziło to trawieniu - wyjaśniła z powagą dziewczynka. -

Jest i inny powód: tłumaczono mi wielokrotnie, o ile większe wydają się wtedy oczy i jak ważne jest, by u dziewczynki były tak duże, jak to tylko możliwe. - Aurora poczuła się w obowiązku doprecyzować.

Rankstrail przyjrzał się uważnie jej sińcom pod oczami, gdzie skó-

ra wydawała się przezroczysta, i dłoniom - kostki sterczały jak u wychudzonego pisklęcia. Wspaniały strój i bogactwo ozdób na głowie ukrywały jej chudość, odciągały sprytnie spojrzenie, aby nie zatrzymywało się zbyt długo na kościach policzkowych lub na stawach palców. Rankstrail pomyślał znów o licznych pochwałach, których Aurora wysłuchiwała na temat perłowego koloru swego ciała i wdzię-

ku swych kończyn. Przetłumaczone na język potoczny, oznaczały mniej więcej tyle, że była blada i wychudzona, a przecież norma przewiduje, by ludzie byli różowi, nie koloru masy perłowej, i by kończyny dziewczynki lub kobiety, w przeciwieństwie do odnóży ważek, komarów i modliszek, trochę jednak ważyły. Zastanowił się nad tym, kto mógł być owym zgłupiałym do reszty człowiekiem, któremu przyszło do głowy tak ją zgłodzić. Wydało mu się ponad-to, że prawdziwy głód, który cierpi się tam, gdzie naprawdę nie ma nic do jedzenia, był jakby lepszy, mniej niegodziwy niż to okropne rozdrabnianie borówek i łydzynek bazylii z płatkami róży pośród kryształowych talerzy i świeczników ze złota. Oczywiście było, że ją głodzono: wychudzona poczwarka, składająca się tylko ze szkieletu, która nigdy nie znajdzie sił, by rozpostrzeć skrzydła.

Rankstrail pomyślał, że jeśli spytałby ją, czy jest głodna lub czy chce chleba, odpowiedź byłaby zapewne odmowna, zatem postanowił nie bawić się w uprzejmości. Po tym, jak zdjął z powrotem przekłętą zbroję i hełm, wyjął z torby chleb i podzielił go na dwie nierówne części, wsuwając większy kawałek w dłoń Aurory.

Miał przy tym nadzieję, że dziewczynka będzie miała na tyle zdrowego rozsądku, by nie opowiadać nigdy nikomu o tym wszystkim, bo wtedy nie przeżyłby chłosty, jaka go czekała.

Aurora patrzyła długo na kawałek chleba, potem spojrzała na żół-

nierza, i w koniec podziękowała lekkim ukłonem. Rankstrail patrzył, jak zajadała chleb, zanurzając w nim zęby i zważając, by nie uронić nawet okruszyny, tak jak robią to biedacy. Potem Kapitan podzielił po bratersku również groszki, którym dziewczynka przyglądała się

z zaciekawieniem, i widać było wyraźnie, że widziała je pierwszy raz w życiu. Rankstrail obiecał sobie, że jeśli kiedykolwiek spotka na-dwornego kucharza, poleci mu fantastyczną pastę z jednego ziarnka groszku i z pietruszki, aby urozmaicić jakoś głodową dietę Aurory.

Kiedy chleb i groszek zostały zjedzone, Rankstrail zaprowadził

dziewczynkę w głąb ogrodu, gdzie znajdował się mały staw. Jedna czapla poderwała się leniwie do lotu na odgłos ich kroków, a para kaczątek ukryła się w sitowiu i trzcinach, które otaczały wodę.

- Umiecie puszczać kaczki? - zapytał.

Aurora potrząsnęła przecząco głową. Rankstrail znalazł kilka okrą-

głych, płaskich kamieni i rzucił je tak, by odbiły się od powierzchni wody. Za pierwszym razem odbicia były cztery, za drugim trzy, a za trzecim pięć. Aurora spojrzała na niego zafascynowana i sama zabrała się do szukania płaskiego kamienia. Rankstrail spróbował jej wytłumaczyć jak powinna go była trzymać, by rzucić odpowiednio i z nale-

żytą siłą, lecz dziewczynka przerwała mu, uśmiechając się lekko.

- Już zrozumiałam! - powiedziała triumfalnie. - Trzeba pomyśleć, że jest się kamieniem.

Jej kamyk odbił się piętnaście razy, rozpryskując w świetle popołudnia piętnaście wianków kropel, które opadły, tworząc niezliczone kręgi, a te z kolei, rosnąc coraz bardziej, wzajemnie się przecinały.

Aurora wybuchnęła śmiechem, ale jak tylko usłyszała jego dźwięk, natychmiast zamilkła. Rozejrzała się wokoło, stropiona, zakrywając sobie usta dłońmi, jakby chciała ukryć niewybaczalną gafę.

-Widzicie je? - spytał Rankstrail, wskazując na staw.

-Tak, panie. To są kijanki - odparła roztropnie Aurora. - Rosnąc, zmieniają postać i z czasem stają się żabami.

-Tak, to prawda, ale nie wszystkie. Widzicie: są ich setki, może nawet tysiące. Jeśli każda stanie się żabą, utonie w całym ich morzu, od kuchni po dach. Nie będziecie mogli sobie usiąść inaczej niż tylko na żabie. Nie będziecie mogli czytać, bo zaraz jakaś ropucha wskoczy wam na książkę, i trzeba będzie stoczyć wieczorem ciężką bitwę, chcąc wypędzić żaby z waszego łóżka, aby się w nim położyć.

Aurora po raz drugi pozwoliła sobie wybuchnąć śmiechem: znów zakryła usta dłońmi, lecz jej zielone oczy zamigotały niczym promyk słońca w cieniu leśnego poszycia. Nawet gdy już przybrała z powrotem swoją dostojną minę, blask pozostał.

Rankstrail przykląkł na kolanie, by spojrzeć dziewczynce prosto w oczy.

- Tylko niektóre z tych kijanek staną się żabami - wyjaśnił. - Po zostało to jedzenie. Dla czapli, dla kaczek i dla kogokolwiek, kto nie ma nic innego. Ja i moje rodzeństwo potrafiliśmy przeżyć całe tygo dnie, żywiąc się ślimakami i żabami. Teraz wybierajcie: albo nauczę was jeść królika i pokażę wam, jak obdziera się go ze skóry i rozpala ogień, aby go upiec, albo nauczę was łapać kijanki i przyrządzać je na rozgrzanym od słońca kamieniu, bez rozpalania ognia. Tak czy inaczej, nie odejdę stąd, dopóki nie zjecie czegoś, co pozbawi waszą twarz koloru, przywodzącego na myśl umarłych.

Przerażenie zagościło w spojrzeniu Aurory, które jednak pozosta-

ło uważne i pełne blasku.

-Panie, wybaczcie, że się wam sprzeciwię, ale nie może być moją wolą, by umrzeć miały żywe istoty - powiedziała.

-Wy także jesteście żywi, a wasze życie jest warte więcej niż życie kijanek. Musicie nabrać ciała i sił. I to natychmiast. Kto nie je, jest jak szkielet, nie jest w stanie zrobić niczego innego jak tylko pozwolić życiu, by płynęło, i czekać na śmierć. Głód to upodlenie, które znaczy więcej niż życie kijanki, a nawet królika. Głód to ból, i to brudny ból, którego człowiek się wstydzi, a kiedy się wstydzi, nie ma już w sobie ani godności, ani odwagi. Kiedy jest się głodnym, nie potrafi się już nawet myśleć.

Rankstrail nie czekał na pozwolenie Aurory. Złapał w swoje wielkie dłonie jakieś dziesięć kijanek.

-Teraz je zgmiotę - uprzedził ją.

-Nie! - krzyknęła dziewczynka. - Nie... proszę was, to już raczej królika. On i tak nie żyje.

-Zgoda, pani - odparł Rankstrail, uśmiechając się.

Wypuścił kijanki. Wyciągnął królika z torby, obdarł ze skóry i aby go upiec, rozpałił mały ogień z trzciny, nie omieszkał pokazać Aurorze krzemieni i objaśnić zasady ich działania. Nie zrobił rusztu, lecz wykorzystał system kłusowników: włożył królika do zaim-prowizowanego piecyka z ziemi oraz kamieni i rozpałił nad nim ogień. Kapitan wyjaśnił Aurorze, że takie pieczenie trwa dłużej, lecz jeśli ktoś by nadszedł, wystarczy zgasić ogień, i nic nie widać ani nie czuć w powietrzu. Królik był mały: pieczenie nie zajęło dużo czasu i całe szczęście, bo wkrótce niebo się zachmurzyło i zrobiło się ciemno. Dało się słyszeć przytłumione odgłosy uroczystości: śpiewy, oklaski, lutnie i rogi. Jeśli zaczęłyby padać, uroczystość została szybko zakończona.

- Pozwolicie, że o coś was zapytam, panie? - spytała poważnie Aurora.

Rankstrail przytaknął. Czuł się nieswojo i niezręcznie, będąc nazywany „panem”, był to drugi raz, gdy tak się zdarzyło, lecz nie śmiał prosić dziewczynki, by zwracała się do niego po imieniu.

- Możecie mi wyjaśnić, co to jest czysty ból?

Rankstrail postanowił sobie, by nie pleść więcej, co mu ślina na język przyniesie, kiedy opowiadał Aurorze różne rzeczy, bo istniało ryzyko, że usłyszy pytania, które przyprawiają go o zimne poty.

- To taki ból, który nie powoduje, że... to znaczy taki, który nie pozbawia nas... nie pozbawia człowieka godności. To tak jak wtedy, gdy umiera ci matka: czujesz się jak zbity pies, wszystko wydaje się stracone, głupie i bezcelowe, ale... Kiedy umarła moja matka, było nam bardzo źle, lecz... wiedziałem... no właśnie., wiedziałem, że ona była ze mnie dumna, a ja byłem dumny, że miałem taką matkę...

i nikomu nie było wstyd. Gdy nie ma wstydu, ból jest czysty.

Rankstrail zamilkł. Zapragnął, by pochłonęło go piekło. Nie powinien był o tym wszystkim mówić! Dziewczynka została niedawno sierotą.

- Kiedy umiera matka, to jest czysty ból - powtórzyła mała, jakby uczyła się jakiejś lekcji. - Czy mogłabym wiedzieć, panie, jeśli nie sprawi wam to przykrości i nie będzie niedyskrecją z mojej strony, jak zmarła wasza matka? Nie tak źle! To było proste pytanie.

- Dostała kaszlu, takiego, co już nie przechodzi; takiego, przy którym pluje się krwią. Zawołaliśmy zielarza, a ten powiedział nam, żeby podać jej napar z wilczej jagody i rozmarynu, a potem rosół z kurczaka. Sprzedaliśmy wszystko, co mogliśmy sprzedać, a ja upo

lowałem wszystko, co mogłem upolować, byleby tylko móc robić napary z wilczej jagody i rozmarynu i gotować dla niej rosół z kurczaka, ale ona i tak nie wyzdrowiała - odparł Rankstrail.

Dziewczynka miała dziwnie przenikliwe spojrzenie. Była nie tylko zasłuchana. To było tak, jakby... jakby bardzo potrzebne były jej informacje na temat tego, jak zazwyczaj umierają matki.

- Wybaczcie mi moją niedyskrecję, ale co zrobiliście, kiedy umarła wasza matka? - kontynuowała.

Rankstrail był coraz bardziej zmieszany. Nie wiedział, dokąd prowadzi ta rozmowa.

-Cóż... - zaczął zakłopotany - ...kiedy umarła, wszyscy płakaliśmy...

-Wy płakaliście? - spytała Aurora. - Czy to aby nie jest niestosowne?

-Nie - odpowiedział Rankstrail niepewnie. Mężczyźni może i faktycznie nie powinni płakać, on jednak płakał i jego ojciec także.

Teraz, gdy dobrze się nad tym zastanowił, to jeśli podczas pogrzebu jego matki ktoś podszedłby do niego, by wyśmiać go dlatego, że płakał, bez oporów zmasakrowałby mu twarz. - Nie - powtórzył

bardziej stanowczo. - Nie jest. Nie sądził, że kiedykolwiek zechce wspominać przy kimś o tym, że płakał, lecz teraz, nie wydało mu się to wcale takie straszne. - Tak, ja również płakałem - ciągnął. -

Wszyscy płakaliśmy i nie mogliśmy przestać, a kiedy czuliśmy się bardzo źle, obejmowaliśmy się i płakaliśmy objęci. Mój ojciec wykuł płytę nagrobną z imieniem mojej matki. Pokazałem mu litery, których powinien użyć, a potem wyrzeźbił dwa łabędzie, które symbolizowały jego samego i moją matkę, a potem jeszcze trzy małe

łabędzie, którymi byliśmy ja i moje młodsze rodzeństwo. Podobało nam się to.

Rankstrail powstrzymał się od pokusy, by dodać, iż był to pierwszy i ostatni raz w jego życiu, kiedy płakał. Zamilkł. Ta bez wątpienia dziwna rozmowa z jakichś niejasnych powodów miała dla Aurory ogromne znaczenie. Rankstrail odniósł wrażenie, jakby podlewał

więdnącą roślinkę.

Królik był prawie gotowy.

- Na co umarła wasza matka? - spytał Rankstrail półgłosem, modląc się, by nie popełnić kolejnego głupstwa.

A jednak je popełnił.

Oczy dziewczynki znów stały się nieobecne, jakby cień padł na zieleń jej spojrzenia, odzierając je z jakichkolwiek oznak życia. Za-częły nią wstrząsać dreszcze.

Rankstrail wściekł się na siebie, nie miało sensu życzenie sobie, by zapaść się pod ziemię, bo i tak do tego by nie doszło. Znów przykląkł na jedno kolano i patrzył na dziewczynkę, dopóki nie otrząsnęła się i nie zaczęła, choć z oporem, na niego patrzeć. Spoglądając mu prosto w twarz, uspokoiła się i przestała drżeć.

- Moja matka, jak sądzę, również cierpiała na jakiś rodzaj kaszlu, ale nie wydaje mi się, aby został wezwany zielarz - powiedziała tylko tyle. Nic więcej.

Informacja ta, pomijając już fakt, że była niejasna, zabrzmiała do-syć złowrogo. Nie tylko stało się jasne, że oplakiwanie własnej matki musiało zostać dziewczynce zabronione jako czynność wymyślna, nieodpowiednia i po prostu nieprzyzwoita, tak samo jak jedzenie rękami i jedzenie w ogóle - ale co więcej, swoim wymownym milczeniem Aurora dawała mu do zrozumienia, że śmierci jej matki ktoś chciał.

- Jest jeszcze coś, o czym chcecie mi powiedzieć? Jak do tego do szło? - spytał Rankstrail poważnie.

Nauczył się zachowywać czujność na polu bitwy i pośród zasadzek. Co więcej, nauczył się tego, jeszcze będąc dzieckiem, kiedy polował pod nosem straży łowieckiej. Potrafił rozpoznać niebezpieczeństwo, wyczuć je niczym zapach lub ruch powietrza.

Teraz też je wyczuł. Miał przecucie, mgliste, lecz jednak obecne, że dziewczynka miała mu właśnie wyjawić sekret tak haniebny, że poznanie go narazi jego własne życie. Nie chodziło już o chłostę.

Groziła mu śmierć, jeśli ktokolwiek kiedykolwiek zorientuje się, że on coś wie.

- Nie - wyszeptała wymijająco Aurora, tak długo zwlekając z od powiedzią i nie kryjąc, że nie mówi prawdy. Było coś, o czym bardzo chciała powiedzieć, lecz nie zrobiła tego. Była dzielną dziewczynką.

Kaczki zatrzepotały skrzydłami, kiedy stary kot przeszedł obok nich. Liście poruszyły się na wietrze, który się zerwał, i znów dobiegły ich odgłosy lutni i oklasków.

- Królik jest już gotowy - powiedział Rankstrail.

W tym momencie zaczęło padać.

Schronili się pod dachem domku na narzędzia, który najwidoczniej był starszy niż reszta zabudowań. Jego wygląd przywodził na myśl maleńki, baśniowy las. Bezpieczni od deszczu, usiedli sobie wygodnie na cokołach kolumn.

Rankstrail pokroił królika. Wyciągnął z torby swoją solniczkę, szkatułkę z rogu, jedną z najcenniejszych, obok krzesiwa, rzeczy, z którym nigdy nie rozstaje się żaden żołnierz ani porządny myśliwy.

Pokrojone kawałki posolił i ułożył na dwóch dużych liściach, których użył jako talerzy.

-Pozwolicie, panie, że zapytam was jeszcze o coś? - spytała Aurora.

-Oczywiście, pani - odparł Rankstrail, modląc się rozpaczliwie, by pytanie dotyczyło na przykład różnicy między kuszą a łukiem lub przemiany kijanek w żaby.

-Czy brudny ból to taka sytuacja, w której sami jesteśmy winni temu, co nam ów ból zadaje? Brudny ból to coś, co sami spowodowaliśmy, mimo że nigdy nie było to naszą intencją? Nie sprawiliśmy go naumyślnie, a mimo to stało się coś strasznego. Zgadza się?

-Mówicie o tym, kiedy niechcący poplamicie sobie ubranie albo sprawicie, że warkocze uciekną spod tego... tego czegoś, tak... spod czepka, tego, który jest.... Czyżbyście próbowali mi powiedzieć, że zepsuliście huśtawkę, pani? - spytał Rankstrail z malującym się na twarzy dobrotliwym uśmiechem wyrozumiałego dorosłego. Chciał

uspokoić dziewczynkę, która najwyraźniej czuła się winna z powodu jakiejś błahej, dziecinnej psoty.
- Takie rzeczy się zdarzają!

- Nie, panie, pytam, jak to jest, gdy odpowiada się za czyjąś śmierć, gdy z naszej winy ktoś zostaje zabity.

Uśmiech zniknął z twarzy Rankstraila. Miał wrażenie, że grzęźnie w ruchomych piaskach. Namyslał się długo, nim odważył się odpowiedzieć.

-Raz, w Wysokiej Skale, kazałem niedoświadczonemu żołnierzowi udać się na patrol. Byłem pewien, że nie grozi nam żadne niebezpieczeństwo. Jednak wrogowie pojмали go, a ja musiałem słuchać jego krzyków, gdy go zabijali. To nie ja go zabiłem i nie jest powiedziane, że bardziej doświadczony żołnierz lepiej by sobie poradził. Dzięki jego śmierci uratowałem jednak z pułapki resztę oddziału, a to było piętnastu mężczyzn. Mimo to każdego wieczoru, nim zasnę, słyszę tamte krzyki. Myślę, że to jest właśnie brudny ból. Co to za osoba, za której śmierć czujecie się odpowiedzialna, pani?

-Dowódca straży - szepnęła Aurora.

-I jak to się stało, że spowodowaliście jego śmierć?

Aurora, zrozpaczona, przełknęła kilka razy ślinę. Jej zielone oczy wypełniły się łzami.

-Jego małżonka przyszła, by oddać mi pokłon. Miała na sobie złoty naszyjnik. Prawdę mówiąc, nie był on nawet szczególnie ładny, lecz ja zrozumiałam, jak bardzo był dla niej ważny, ponieważ ciągle go dotykała, sama nie zdając sobie z tego sprawy. Zorientowałam się, jak niezwykle był dla niej cenny i jak bardzo zależało jej także na tym, bym ja go zauważyła, rozumiecie? Widzicie, panie, ruchy tej kobiety nie były podyktowane jedynie troską, która przepelnia zazwyczaj wszystkie damy przybywające mnie pozdrowić i wyraża ich pragnienie, by zauważone zostały ich suknie. Najlepsze jakie posiadają, często okupione poświęceniem i miesiącami pracy. Gesty tej kobiety wyrażały także pragnienie, bardzo mocne, bym zauważyła właśnie ten naszyjnik. Rozumiecie? - spytała Aurora.

-Ależ oczywiście - skłamał Rankstrail.

-Więc powiedziałam, że jej naszyjnik jest bardzo piękny, a ona była taka szczęśliwa! Opowiedziała mi, że dostała go w darze od swoich rodziców w dniu, w którym wyszła za mąż. A jej mąż podarował jej do niego wisioriki w kształcie żółędzia, po jednym za każde dziecko, które im się rodziło. Wtedy powtórzyłam, że naszyjnik wygląda wspaniale, co było nawet prawdą, tyle tylko, że uważałam, iż wyglądał wspaniale na niej. Na niej, rozumiecie? -

spytała znów Aurora, a jej oczy wypełniły się przerażeniem i łzami. A po chwili znów zatopiły się w pustce. Rankstrail ośmielił

się nawet jej dotknąć: chwycił ramię Aurory, potrząsnął nią i powiedział powoli.

-Mówcie dalej. Płaczcie, jeśli chcecie, ale mówcie dalej.

Aurora ukryła twarz w dłoniach i zanosła się szlochem. Jej płacz, pełen żalości, zagubił się pośród szumu deszczu, który zraszał obficie kwitnący ogród i tworzył niezliczone bańki na powierzchni ma-

łego stawu. Rankstrail patrzył zmartwiony na deszcz: uroczystość się skończy i lada moment damy dworu, służący i paziowie obskoczą Aurorę, karcąc ją za to, że pozwoliła sobie na łzy spływające teraz po jej nieskazitelnej cerze.

-Chodziło mi o to, że naszyjnik był piękny na niej, ponieważ krył

w sobie jej życie. Powiedziałam, że również pragnęłabym mieć taki naszyjnik, mając na myśli naszyjnik, w którym każdy element oznaczałby kogoś, kto mnie kocha i kogo ja Kocham. Nie chciałam dać do zrozumienia, że moją wolą było posiadanie jej naszyjnika, ale źle się wyraziłam, rozumiecie?

-Zrozumiałem, mówcie dalej - odparł łagodnie. Plecy Aurory wydawały się zgarbione, tak jakby ugiwały się pod jakimś ciężarem. - Cokolwiek to jest, wyrzućcie to z siebie. Udźwigniemy ten ciężar we dwoje.

Rankstrail zdjął swój kawałek rękawa, który ochraniał przedramię Aurory, gdy zaczęła się zabawa z łukiem, i podał go jej, by mogła osuszyć oczy i wydmuchać nos.

Aurora wsadziła rękę do głębokiej kieszeni swej szaty z aksamitu, aby coś z niej wyjąć: otworzyła

dłoń i oczom żołnierza ukazał się naszyjnik z zawieszonymi na nim dwoma maleńkimi złotymi żołędziami.

Rankstrail spojrział na nią zaskoczony.

-Panie, jeszcze nie zrozumieliście? - spytała Aurora z westchnieniem.

-Nie - odparł szczerze Kapitan.

-Mojemu czcigodnemu ojcu doniesiono o tym, co powiedziałam.

Zrelacjonowano mu, jak bardzo spodobał mi się naszyjnik, i zasugerowano, że moim zamiarem było posiadanie go. Zdaje się, że nigdy w całym moim życiu nie oznajmiłam, że coś jest piękne.

Mój czcigodny ojciec, którego nieustanna chęć, by spełniać każde moje życzenie, jest udaremniana przez mój całkowity brak życzeń, nie mógł stracić takiej okazji. Sprawą najwyższej wagi wydało mu się dostarczenie mi tego naszyjnika. Chciał w ten sposób zademonstrować mi swoją wielką miłość do mnie. Kazał oskarżyć dowódcę straży o zdradę. Mężczyzna zawisł na szubienicy, dzieci straciły ojca, a żona została sama. Wszystkie jego dobra skonfiskowano, także ów naszyjnik, który jest teraz w moim posiadaniu i sprawia mi nieskończenie wielkie cierpienie. Kobieta, do której należy, jest sama, zrozpaczona i biedna. Jej dzieci zobaczyły swojego ojca na szubienicy, a teraz cierpią głód.

Mężczyzna, który polecił złotnikowi wykonać dwa małe żołędzie ze złota, by uczcić w ten sposób narodziny swych dzieci, nie zobaczy już, jak one dorastają. Rozumiecie? Temu wszystkiemu jestem i zawsze będę winna. Mój czcigodny ojciec wyznał mi nawet, że żadnej zdrady nigdy się nie było. Że do żadnej zdrady nikt nawet się nie przyznał... że to wszystko zostało zorganizowane tylko po to, by on mógł okazać mi swoją miłość i mnie uszczęśliwić...

Reszta słów zagubiła się pośród szlochu, który z kolei zmieszał się z odgłosem padającego deszczu. Rankstrail doznał dziwnego uczucia pustki w żołądku.

Jeśli ta rozmowa wyszłaby kiedykolwiek na jaw, nie tylko oddano by go w ręce kata, lecz także polecono temu ostatniemu, aby pотор-turował go przed posłaniem na szubienicę. A jednak to nie świadomość grożącego mu niebezpieczeństwa była tym, co ciążyło mu najbardziej. Czuł odrazę. W trakcie kilku dni spędzonych w Daligar słyszał o dowódcy straży, zdaje się, że miał na imię Mandrail, oskar-

żonym dwa lata temu o potworną zdradę i straconym. Jeśli historia o jego niewierności została zmyślona, to szubienica, na którą trafił

jako niewinny człowiek, była oznaką chorego i zbrodniczego szaleństwa. Nawet jeśli naprawdę doszłoby do zdrady, nawet jeśli Mandrail był winny, to i tak okrutną i szaloną rzeczą było opowiedzenie tej okropnej historii małej dziewczynce.

W obu wypadkach nasuwało się to samo wyjaśnienie: Zarządca, który był panem jego życia i jego miecza, jest całkowicie obłąkany.

A może Szalony Skryba wcale nie był szalony? Szkoda, że już nie żyje. To byłby odpowiedni moment, aby poprosić go o kilka wyjaś-

nień na temat historii Daligar.

Rankstrail znów się pochylił, by spojrzeć Aurorze w oczy.

- Posłuchajcie mnie uważnie, pani, i zapamiętajcie na zawsze to, co wam teraz powiem. Każdy ponosi odpowiedzialność za własne i tylko własne czyny. W dniu, w którym zatopicie miecz w szyi jakiegoś człowieka, wtedy będziecie odpowiedzialną za jego śmierć.

W dniu, kiedy doniesiecie na człowieka, samej zmyślając historię o zdradzie, której on tak naprawdę się nie dopuścił, wtedy będziecie odpowiedzialną za jego zawieszenie na szubienicy. Teraz przestańcie nosić w kieszeni ten naszyjnik i ukryjcie go w bezpiecznym miejscu.

Prędzej czy później zwrócicie go prawowitej właścicielce i zrobicie, co będzie w waszej mocy, by naprawić krzywdę, jaką jej wyrządzono i by to, co się stało, już nigdy więcej się nie powtórzyło. Do tego potrzebna wam będzie wasza siła, a więc teraz przestańcie płakać, a zacznijcie jeść. Żaden dobry żołnierz nie idzie w bój z pustym żołądkiem, a wy macie wojnę do stoczenia. Zaczynacie ją już teraz.

Dzisiaj nauczyliście się piec królika. W tym ogrodzie macie ich pod dostatkiem. Żaby przyrządza się w taki sam sposób, ale zajmuje to dużo mniej czasu. Kijanki wystarczy położyć na kamień, na który padają promienie słońca, i upieką się same, ale uważajcie, żeby wcześniej nie zjadły wam ich mrówki. Jeśli tak się stanie, to mrówki też można zjeść. Kiedy nie ma się naprawdę nic, je się nawet mrów-ki. Za miesiąc dobre już będą orzechy, nie trzeba się będzie wspinać, bo pospadają na ziemię...

-Nie martwcie się, panie, już potrafię się wspinać.

-Naprawdę?

-Oczywiście, panie, robię to nocą, kiedy ciemność mnie skrywa i nie mam na sobie tych wszystkich szat, które mnie krępują. To proste, wiecie? Wystarczy pomyśleć, że jest się wiewiórką lub kotem!

-Dobrze, tak będziecie mogli mieć jeszcze więcej orzechów, musicie tylko zachować ostrożność, bo orzechy brudzą...

-Orzechy naprawdę można jeść?

-Nigdy jeszcze ich nie jedliście? Oczywiście, że się je zjada. Musicie tylko uważać, bo zielona część łupiny brudzi dłonie na czarno i ktoś mógłby się zorientować. Nie dotykajcie jej nigdy gołymi rękami. Skoro potraficie się wspinać, spójrzcie, z dachu domku na narzędzia można się dostać na ten występ, a stamtąd na gałąź

orzecha. Obok gałęzi są okna kuchni, a tam musi być wszystkiego pod dostatkiem. Kiedy jest się bardzo głodnym, wolno być złodziejem...

-Nie, tak nie - przerwała mu Aurora, wystraszona. - To zbyt ryzykowne. Ktoś w kuchni mógłby zostać oskarżony o zniknięcie jedzenia i ponieść za to karę. Już prędzej zjem mrówki.

-Niech będą mrówki. Teraz odwagi, zjedzcie kawałek królika.

Aurora spojrzała na niego niepewna.

-Czy mogę jeszcze o coś zapytać, panie - spytała.

-Oczywiście - powiedział Rankstrail łagodnie, żywiąc rozpaczliwą nadzieję, że usłyszy pytanie na temat kijanek, żab lub jego rodziny, ale i mając absolutną pewność, że teraz już nic go nie zdziwi.

-Jeśli go zjem, strach minie?

Rankstrail obiecał sobie, że będzie pamiętał, by o nic już więcej się nie modlić i niczego nie być już więcej pewnym.

- Tak - powiedział łagodnie i stanowczo. - Jeśli zjecie, strach minie.

Aurora zjadła ćwierć małego królika. Przeżuwała bardzo wolno, skupiona tak, jakby wypełniała właśnie jakiś ważny obowiązek. Rankstrail chciał zostawić jej swoje krzemienie i solniczkę, ale odmówiła: jeśliby je przy niej znaleźli, dla niego oznaczałoby to karę śmierci.

Do rozniecenia ognia użyje jednej ze świec, zawsze się palących, nawet w środku dnia, a soli ma na stole pod dostatkiem. Przysięgła Rankstrailowi, że każdego dnia upoluje tyle, ile trzeba, by następnie to zjeść, lecz poprosiła go, aby zaniósł to, co pozostało z królika, jakimś głodnym dzieciom, tak żeby ten dzień stał się świętem również dla nich.

-Mam jeszcze jedno pytanie, jeśli pozwolicie, panie - dodała Aurora. - Widzicie, jest pewna rzecz, którą wiem, że muszę uczynić, o której zawsze wiedziałam, że przyjdzie mi ją uczynić, i nigdy bym się nie ośmieliła nawet pomyśleć o zaniechaniu jej... Lecz teraz, gdy nie jestem ani głodna, ani winna, ani wystraszona, szaleństwo, jakim byłoby odmówienie wykonania owej rzeczy, wydaje mi się całkiem możliwe do popełnienia.

-Ależ oczywiście, pani - odparł Rankstrail. Znów odniósł, niemalże namacalnie, wrażenie czającego się gdzieś niebezpieczeństwa. Po raz kolejny jego życie mogło zależeć od słów dziesięcioletniej dziewczynki.

-Oczywiście jeszcze nie teraz, ale za osiem lat, kiedy wkroczę w wiek dorosłości, będę musiała pojąć za małżonka kogoś, kogo...

jakby to powiedzieć...

-Kogo nie chcecie.

-Kogo nie chcę.

-Dobrze, to proste, macie trzy możliwości: albo przekonacie tego mężczyznę, żeby poślubił inną...

-Wy-klu-czo-ne - wysylabizowała Aurora.

-Wykluczone, na pewno?

-Widzicie, on jest... jest jak... właściwie można uważać go za króla i jak sam mówi, jest najpotężniejszym królem, jaki kiedykolwiek chodził po ziemi, łagodny w czasie pokoju, straszny w czasie wojny, i nikt nie może się z nim równać. Powiedzmy, że musi poślubić dziewczę dorównujące urodą jego pierwszej żonie, która była najpiękniejszą małżonką w hrabstwie, i tylko ja odpowiadam temu kryterium.

-Bez obrazy, pani, za pozwoleniem, ale wydaje mi się to jakąś głupotą. A jeśli kiedyś wyskoczą wam pryszcze? Jeśli się przewrócicie i złamiecie nos? A jeśli jutro wasz przyszły mąż zobaczy kobietę, która może nawet będzie miała pryszcze i złamany nos, ale ponieważ uśmiechnie się do niego, gdy będzie mu smutno, uzna ją za piękną? Zawsze możecie sprawić, by wyszły wam pryszcze albo złamać sobie nos, i wtedy już nie wy będziecie najpiękniejszą w całym hrabstwie! Widzicie, pani, można ustalić, kto najszybciej biega, można i zmierzyć, kto jest najniższy lub najwyższy. Da się nawet sprawdzić, kto zje najwięcej kielbasek.

Marzeniem wszystkich tych, co pomarli z głodu, byłoby wziąć udział w takim konkursie. Nie można jednak ustalić, która z kobiet jest najpiękniejsza w całym królestwie. Nigdy nie będzie jednej najpiękniejszej w królestwie. Każdy mężczyzna nosi w sercu tę, która dla niego jest najpiękniejszą w królestwie, tak samo jak kobieta wie dokładnie, którego mężczyzny chce, nawet jeśli kat go okulił albo wojna okaleczyła. Wiecie, pani, ja zawsze uważałem za piękną twarz mojej matki, mimo że została oszpecona przez ogień.

-I wasz ojciec kochał waszą matkę?

-Oczywiście, pani, całym swoim sercem.

-W jaki sposób została oszpecona twarz waszej matki?

-Nie wiem dokładnie, mówienie o tym sprawiało jej ból. Powiedziano mi tylko, że stało się to, zanim się urodziłem.

-Jak miała na imię wasza matka? Teraz, kiedy się zastanowiłam, panie, widzę, że nie znam jeszcze waszego imienia.

Wśród licznych nakazów otrzymanych od młodych i przestraszonych arystokratów, którzy go wynajęli, ten, by trzymać gębę na kłódkę, był najpoważniejszy i został najwięcej razy powtórzony, lecz teraz wszystkie te rzeczy stały się mało ważne.

-Mam na imię Rankstrail. Moja matka nosiła imię Aharthrail. To imiona, jakich używa się w naszych stronach. Nie sądzę, aby miały jakieś konkretne znaczenie, to tylko dźwięki.

-Wszystkie imiona mają znaczenie, Kapitanie, choć nie wszystkie z tych znaczeń znamy. W

staroelfickim języku Aharthrail było nazwą ostatniej gwiazdy, tej, która czeka aż do poranka i wyprowadza świat z ciemności, by wydać go światłu. Myślę, że i wasze imię w przeszłości coś znaczyło, coś jak „ten, na którym spoczęła łaska”. Moja matka miała na imię Transkilia, co w dawnych czasach oznaczało „ta, która żyje pośród lasów”. Było to imię popularne wśród eee... chciałam powiedzieć... wśród tych, którzy kochają lasy. Bardzo brakuje mi matki, mój panie. Brak mi jej strasznie każdej godziny. Jej nieobecność to największy ból, jakiego doświadczam. To pierwszy raz, gdy wymawiam te słowa.

Przez całe lata nie pozwalano nam się obejmować, ale przynajmniej mogłyśmy ze sobą rozmawiać. Brak mi mojej matki i nie poślubię... tego, kogo muszę poślubić. Widzicie, nie umiem wam tego wyjaśnić, nie chodzi tylko o piękno: powiedzmy, że to kwestia krwi, on musi... on chce poślubić osobę mojej krwi, czyli... naprawdę trudno to wyjaśnić... czyli tej samej krwi, co jego pierwsza żona.

- Druga możliwość: możecie go zabić.

Oczy dziewczynki wypełniło przerażenie.

-Panie! - jęknęła. - Panie! - powtórzyła. -Jak możecie... nawet po-myśleć... sama myśl... Panie, wybaczcie, nie zdajecie sobie sprawy ze znaczenia tego, co powiedzieliście... To nawet nie do pomyślenia.

-Nawet nie do pomyślenia? Na pewno? Szkoda - odparł Kapitan z wściekłością. Już i tak blada twarz Księżniczki zbladła jeszcze bardziej, lecz on na to nie zważał. - Człowiek, który zmusza kobietę, by go przyjęła wbrew jej woli, mężczyzna wyciągający swe ręce po dziewczynę, która go odrzuca, zasługuje na śmierć. Nie róbcie nic, by spowodować tę śmierć, jeśli miałyby to zgubić waszą duszę, lecz

pamiętajcie zawsze, że ten człowiek, kimkolwiek jest, zasługuje na śmierć.

-Panie, nikt nie powinien zasługiwać na śmierć.

-Ofiarujcie mu przynajmniej waszą pogardę! No dobrze, pozostaje więc trzecie rozwiązanie: musicie uciec.

Dziewczynka uniosła ręce, by wskazać mury, które ją otaczały.

-Uciec? Uciec? Ale jak?

-To nie takie trudne. Przez te wszystkie lata udawajcie, że się zgadzacie, w ten sposób unikniecie podejrzeń. Wreszcie, tuż przed ślubem, zażądajcie prezentu ślubnego, mówiąc, że jeśli go nie otrzymacie, nie poślubicie tego człowieka.

-Lecz jeśli udaję, że pragnę ślubu, nielogiczne jest, bym żądała czegoś, od czego on zależy. Skoro tak go rzekomo pragnę!

-W rzeczy samej, moja pani, nie chodzi o coś logicznego. Musi to wyglądać na kaprys, zachciankę, lecz zachciankę możliwą do speł-

nienia. Nie poślubicie go, dopóki nie otrzymacie dowodu, że wasz oblubieniec kocha was bardzo mocno, a on musi wam to udowodnić podarkami.

-A jakich podarków powinnam zażądać?

-Pierwsze życzenie to koń: szybki jak wiatr, nieugięty jak gniew.

Rumak najszybszy w całym królestwie. Szybkość konia można zmierzyć, a więc istnieje ten, który byłby najszybszy w całym królestwie. Kiedy ktoś decyduje się na ucieczkę, zawsze dobrze jest mieć najlepszego konia. Nie jest to absolutna gwarancja sukcesu, lecz zwiększa jego szansę.

-Ta rada wydaje mi się sensowna. A potem?

-Zażycie sobie najbardziej nedorzecznego stroju, jakiego tylko można zażądać. Coś, co wymagać będzie pieniędzy, czasu, energii, i gdy wszyscy będą zajęci jego przygotowaniem, wy zorganizujecie swoją ucieczkę.

Aurora przytaknęła, wciąż zamyślona.

- Coś w kolorze mgły lub ciemności, dymu i nocy. Strój jedno cześniej dla kobiety i dla mężczyzny... właśnie to... Coś nedorzecznego, by zyskać na czasie, a jednocześnie coś, co pomoże wtopić się w otoczenie, aby stać się niewidzialną podczas ucieczki. Aurora uśmiechnęła się i przytaknęła z entuzjazmem. Uda jej się.

- Wiecie, panie, jest coś, co moja matka zdążyła mi powiedzieć zanim została... to znaczy zanim zmarła. Powiedziała mi, że cała jej miłość, oprócz miłości do mnie, spłynie także na tego, kto kiedyś zdoła wskazać mi drogę... wskazać mi drogę... by...

Przerwała, zamyślona, lecz zarazem dziwnie pogodna. Potem znów opanował ją niepokój. Spojrzała na Rankstraila.

- Mam jeszcze jedno pytanie, panie, to już naprawdę będzie ostatnie. Czy wy nosicie już w sercu twarz jakiejś damy?

- Tylko twarz mojej matki - odparł stanowczo Kapitan.

Aurora roześmiała się. Tym razem nie zasłoniła ust dłońmi i nie wystraszyła się swojego śmiechu.

Deszcz powoli ustał i pozostał jedynie cichy odgłos kropli, które kapały z mokrych drzew. Dało się słyszeć hałas i głosy dobiegające zza muru, nieomylny znak, że rój dworzan miał się zaraz pojawić.

Rankstrail i Aurora wstali, by wrócić do huśtawki, i dopiero wtedy zorientowali się, że deszcz pozostawił po sobie mnóstwo błota wokół domku.

- Nie mogą się zorientować, że tu byłem - powiedziała dziewczynka stanowczo.

Pierwsze, co przyszło Rankstrailowi na myśl, to wziąć ją na ręce, tak jak zrobiłby z Fiammą, lecz nie

ośmielił się. Zdjął swoją koszulę w nieokreślonym, burym kolorze i położył ją na błocie, tak by Aurora mogła przejść na drugą stronę błotnistego strumyka. Potem za-

łożył ją z powrotem na siebie, zakrywając natychmiast zbroją. Kiedy odwrócił się do niej, dziewczynka stała z szeroko otwartymi oczami, zasłaniając dłońmi usta.

- Panie, co wam uczynili? - spytała.

Rankstrail zrozumiał.

- To nic - odparł. - Kiedy byłem dzieckiem i kłusowałem, raz mnie złapali i zostały mi ślady po chłóście.

Opowiedział jej także o tym, jak ukrywał te ślady przed wszystkimi, w koszuli zapiętej po samą szyję, czekając, dopóki rany nie przestaną go boleć, a w związku z tym, że było mu strasznie wstyd, nikomu się do niczego nie przyznał ani nie poprosił o pomoc nawet swojej siostry Fiammy. Aurora była pierwszą osobą, która zobaczyła blizny i mu współczuła.

- Nie bolało tak bardzo - dodał, kłamiąc, aby pocieszyć dziewczynkę, której oczy wypełniły się łzami.

Zgiełk był coraz bliżej.

Brama została otwarta.

Aurora, otoczona przez wszystkie jej damy do towarzystwa, zosta-

ła obsypana pochwałami dotyczącymi jej piękności i musiała wysłuchać lamentów w związku ze strasznym stanem jej szat. Najwidoczniej pomimo wysiłków ich obojga dzień musiał pozostawić jakieś ślady na brokacie i aksamicie. Zbyt małe dla ich oczu, lecz olbrzymie dla badawczego i nieubłaganego spojrzania dam dworu.

Rankstrail oddalił się z resztką królika w torbie. Szedł z opuszczoną głową i nieprzyjemnym uczuciem. Nie była to jednak tylko irytacja z powodu nieznośnej zbroi wrzynającej się w szyję. Był biedniejszy o swoje trzy miedziaki i miał zostać bez chleba przez półtora dnia, ale i to nie stanowiło przyczyny przygnębienia. Nie były nią również ani pokusa, by złamać słowo i pochłonąć resztę królika, ani wysiłek, jaki kosztowało go powstrzymanie się.

Potrzebował trochę czasu, by nazwać ten stan, a potem, gdy wrę-

czał zdobyczą upolowaną przez Aurorę grupie obdartych żebraków, wreszcie go olśniło.

Miał nieodparte wrażenie, że złamał właśnie pierwsze zasady żoł-

nierskiego kodeksu honorowego.

Nigdy nie opuszczać towarzysza broni.

Nigdy nie zostawiać nikogo z tyłu.

Od zakończenia uroczystości upłynęło dziewięć dni. Nic się nie wydarzyło. Czas płynął powoli. Dzień za dniem przybywali kolejni uchodźcy z terenów ciągnących się od równiny Dobrego Wiatru po Pogranicze Ziem Znanych. Brakowało słów, by wyrazić strach, brakowało już łez, by płakać. Miasto Dali-gar nie przyjmowało nikogo.

Wśród uchodźców były kobiety i dzieci. Mężczyźni zostali, próbując chronić swoje gospodarstwa, zwierzęta, pola i ogrody warzywne, na których od pokoleń pracowali w pocie czoła.

Mężczyźni zostali i zginęli.

Teraz ich kobiety i dzieci koczowały pod miejskimi murami.

Zebrane wokół ognia, wszystkie kobiety, jedna po drugiej, wstawały i wspominały swych mężów i synów, których straciły. Wspominały swoje domy, i dawne życie. Przypominały nawet imiona zwierząt, które wrogowie wymordowali albo żeby je zjeść, albo z głupoty. Mówiły o zwierzętach, bo dla wieśniaków są one trochę jak domownicy i ostatnia deska ratunku przed głodem, nędzą i samotnością.

Po kobietach opowiadały dzieci, te, które potrafiły mówić. Po kolei wspominały ojców, dziadków, braci, szczeniaki, z którymi się bawiły, i zabawki, bo każde dziecko ma jakąś zabawkę - choćby kawałek drewna albo kamyk - któremu nadaje imię.

I tak oto pełna bólu opowieść snuta przez zgromadzonych wokół

ognia zataczała pełne koło, a potem, gdy ktoś znów zaczynał mówić, rozpoczynała swój bieg od nowa.

Rankstrail i Lisentrail polowali. Było to zabronione i karane rozmaitymi torturami, ale młody Kapitan lekkiej piechoty zyskał sobie już sławę osoby o drażliwym usposobieniu i nikt nie miał ochoty wdawać się z nim w dyskusję. Po powrocie oddawali prawie wszystko kobietom przy ogniskach i czasem zatrzymywali się, by posłuchać ich historii, wszystkich do siebie podobnych, pełnych krzyku, ognia i śmierci.

Kapitan przysięgał, że powstrzyma wrogów, a potem będzie ich ścigał, aż po kraj świata.

Zgładzi wszystkich co do jednego, bez odrobiny litości.

Razem ze wszystkimi najemnikami został wezwany do Wysokiego Trybunału, w Cytadeli, pod pałacem Zarządcy. Plutony lekkiej piechoty były w komplecie: prawie pięciuset mężczyzn. Do plutonu Rankstraila dołączono nowicjuszy, aby zgodnie z przepisami liczył

on cztery pułki: setkę żołnierzy. Wszystko to byli ludzie, którzy za-ciągnęli się rzecz jasna dla żołdu, ale wielu mężczyzn pochodziło z rodzin z Pogranicza - ci uciekinierzy naprawdę chcieli iść na bój z orkami. Wielu stało lub siedziało na ziemi albo na schodach z kamienia, tonących w bluszczu, które

przewodziły wysoko, aż na stoki.

Była tam także grupa kawalerzystów i ich wspaniałe konie. Jeden miał rumaka czarnego jak skrzydła kruka. Rankstrail pomyślał, że jeśli kiedykolwiek będzie miał konia, chciałby dosiadać właśnie takiego. Przyjrzał się kawalerzycie i był prawie pewien, że go rozpoznał, choć tamten miał spuszczone przyłbicę. Odniósł wrażenie, że to mężczyzna, z którego rąk wyrwał kiedyś Lisentraila, ocalając jego pięć zębów. Rankstrail przypomniał sobie jego imię: Argnio-lo.

W końcu kawalerzysta przemówił i poinformował wszystkich, że wyruszają za niecałe dziesięć dni i że przez ten czas nie życzy sobie, aby brudzili ulice, chodząc po nich i zanieczyszczając powietrze swoim oddechem. Mieli pozostać w stajniach, które im przydzielono, a pierwszy, który się kręcił po okolicy, trafi w ręce kata, by ten wyjaśnił mu powagę rozkazów i to, jak należy je wypełniać. Potem udadzą się na Pogranicze Ziem Znanych. Przeprowadzą się przez Silario, wspaniałe tereny, gdzie nimfy Dogonu spotykają się z tymi z jeziora Silar, dostąpią zaszczytu podróży przez cudowny rejon Złotych Lasów i wreszcie dotrą do Rozłupanej Góry, płaskowyżu Złego Wiatru i równiny Dobrego Wiatru. Tam będą mogli pokazać, ile są warci, jeśli w ogóle są coś warci. Tłum żołnierzy stał bez ruchu i słuchał w milczeniu.

- Czemu nie wyruszymy teraz? - głos Kapitana zabrzmiał mocno i wyraźnie, burząc ciszę, jak kamień rzucony w wody jeziora burzy nagle niczym niezmaconą, gładką powierzchnię. - Skoro to prawda, że z każdym dniem rośnie liczba zabitych, to na co czekamy?

Kawalerzysta musiał być w dobrym humorze, ponieważ nie wpadł we wściekłość, lecz roześmiał się.

- Bo nie ma nikogo, kto mógłby cię tam zaprowadzić, obdartusie!

Jak chcesz trafić do Rozłupanej Góry? Zapytasz orka o drogę?

Grupę kawalerzystów ogarnęła wesołość.

Rankstrail uśmiechnął się uprzejmie i pojednawczo. Kawalerzysta nie podniósł przyłbicy, lecz głos okazał się znany: to był Argniolo.

Najwidoczniej jego także wezwano z Wysokiej Skały na wojnę z orkami. Niemożliwe, by Argniolo go nie pamiętał, lecz nie dał tego po sobie poznać.

-Jeśli dacie nam mapę, ekscelencjo, albo powiecie, na którą konstelację należy się orientować, myślę, że do Rozłupanej Góry będziemy mogli dotrzeć sami - zaproponował.

-Komu chcesz wmówić, że potrafisz odczytać mapę, prostaku?

Takie brednie opowiadaj swojej matce albo swojej siostrze, jeśli je masz.

Tym razem prawdziwa wesołość wybuchła wśród kawalerzystów.

- Ekscelencjo! - zaczął znów Rankstrail, wciąż zwracając się z szacunkiem do rozmówcy. - Widzicie, my jesteśmy z lekkiej piechoty, na pewno nie tak jak wy, ekscelencjo! Ale drogę jakoś odnajdziemy, jeśli tylko dacie nam mapę. Dobry humor Argniola nagle się popsuł.

-Tak ci się spieszy, łajdaku? - spytał siny z gniewu. - Czy to lichwiarz, kat czy jakiś małżonek na ciebie poluje? Boisz się, że zostaniesz z tyłu albo że orkowie nie zaczekają na ciebie, żeby cię wypatroszyć?

-Oczywiście, orkowie są gorsi niż grabieżcy - przyznał Rankstrail

- nie ma nawet co porównywać. Jednak przy odrobinie szczęścia, zanim nas wypatroszą, kilku powstrzymamy. Sądzę, że lepiej, abyśmy wyruszyli teraz!

Kapitan zamilkł. Uprzejmy uśmiech zniknął z jego twarzy. Wyprostował się i uniósł głowę. Odwrócił się do swoich ludzi, stając plecami do kawalerii.

- Wyruszymy teraz! - krzyknął, a jego mocny głos rozbrzmiał

w całej Cytadeli. - TERAZ! Nie będzie więcej spalonych domów, mężczyzn uprowadzonych i znalezionych bez głów! Nie będzie już zabitych dzieci! Popatrzcie tam, na zewnątrz. Za mury. Posłuchajcie rozpaczających kobiet, które widziały, jak umierają ich dzieci, rozpoznających głowy swoich mężczyzn, odcięte i nadziane na pale.

Idźcie ich posłuchać, bo więcej już ich nie usłyszycie. Nie usłyszycie, bo my powstrzymamy wroga, teraz!

Jego słowom odpowiedział szmer, a ci spośród mężczyzn, którzy jeszcze siedzieli, zaczęli się podnosić.

- Powstrzymajmy ich! - krzyknął Kapitan groźnie. - Chodźmy te raz. Powstrzymajmy ich teraz! TERAZ! - zagrzmał.

Wydarzyła się dziwna rzecz, która w całej historii lekkiej piechoty nigdy jeszcze nie miała miejsca. Tak jakby wcześniej to ze sobą uzgodnili, wszyscy mężczyźni, którzy stali, wyprostowani i z głowami zadartymi do góry, by spojrzeć w twarz swojemu Kapitanowi, odpowiedzieli:

- TERAZ!

Ściany pomieszczenia zadrżały kilkakrotnie od ich okrzyku.

Krzyknęli kilka razy, i stopniowo głosów, które się dołączały, było coraz więcej. Nawet najmłodsi kawalerzyści, krzyczeli: „TERAZ!”, na całe gardło.

Na jeden gest Rankstraila zapadła cisza.

Młody Kapitan obrócił się w stronę Argniola.

-To jak, macie tę mapę? - zapytał.

-Prędzej czy później każę cię wychłostać - syknął Argniolo cicho, podnosząc przyłbicę, aby dobrze przyjrzeć się Kapitanowi. - Każę ci zedrzeć skórę z pleców tak, że nie będziesz się więcej mógł o nic oprzeć już do końca życia. Może kat wybije ci z głowy ochotę na takie rzeczy.

-Oczywiście, ekscelencjo, kiedy tylko chcecie, ale nie w tym życiu, raczej w następnym. Teraz, ja, Rankstrail, jestem Kapitanem lekkiej piechoty, a to są ludzie, którzy żyją na mój rozkaz i na mój rozkaz pójdą umrzeć, i jeśli pozwolę komukolwiek, by mnie nie szanował, to tak, jakbym powiedział tym ludziom, że są nic niewarci.

Pośród kawalerzystów zapanowała cisza, każdy z nich rozpoznał

Rankstraila. Może nawet nigdy wcześniej go nie widzieli, ale wszyscy, bez wyjątku, słyszeli o Niedźwiedziu, młodziutkim Kapitanie lekkiej piechoty, który umiał czytać, znał się na gwiazdach i chronił

swoich żołnierzy. Słyszeli o młodym wojowniku, który zwyciężyłby wszystkich, łącznie z demonami, i był nietykalny, bo dla niego jego ludzie przebyliby tam i z powrotem Królestwo Umarłych.

Argniolo nadal milczał, stojąc bez ruchu, bo już nie tylko Rankstrail ośmielił się patrzeć mu prosto w twarz. To samo robił mot-

łoch, brudna banda podrzynaczy gardeł.

Kapitan zrozumiał, że pierwsza reguła wojsk najemnych, ta, która nakazywała głodzić i torturować, by utrzymywać ludzi w ryzach, z pochylonymi głowami i spuszczonego wzrokiem, została złamana.

Po raz pierwszy też dotarło do niego, że regułę tę naprawdę stosowano. Do tej pory był głęboko przekonany, że pozostawianie ich samym sobie, bez jedzenia i żołdu, spowodowane było po prostu głupotą, obojętnością i niedbalstwem.

A jednak nie - tamci po prostu się ich bali. Głodzili najemników, bo to zmuszało żołnierzy do kradzieży. Kradzież pociągała za sobą pogardę i rozgrzane obcegi kata. Głód, wstyd i strach były narzę-

dziem, za pomocą którego łamie się ludzi, tak jak Aurorę. Głód i wstyd - to one zapewniały posłuszeństwo najemników, a jednocześnie łagodziły strach, jaki budzili.

- A poza tym, ekscelencjo - odezwał się Rankstrail twardo - jeśli oddacie mnie katowi, wtedy to wy będziecie musieli iść podyskutować sobie z orkami o życiu i śmierci, a pewnie macie co innego do roboty. Lepiej, żebym tam poszedł ja, bo jestem przyzwyczajony.

Teraz - dodał głosem groźnym i poważnym - dajcie mi tę mapę, bo każdy dzień zwłoki oznacza czyjąś śmierć, której my moglibyśmy zapobiec.

Zapadła długa cisza. Wszyscy stali nieruchomo, a potem wreszcie ktoś się poruszył: *był to starszy*

kawalerzysta, o białych włosach i ze skórzanym naszyjnikiem, na którym znajdowały się znaki w kształ-

cie masywnych, złotych jeżozwierz, świadczące o jego wysokim stopniu i przynależności do starego rodu. Przemierzył całą salę, aż dotarł do Rankstraila, potem się zatrzymał i zsiadł z konia, by nie mówić do niego z wysoka.

Wyciągnął mapę schowaną w siodle, rozwinął ją, pokazał Rankstrailowi, gdzie leży Rozłupana Góra, płaskowyż Złego Wiatru i równina Cichego Wiatru, zazaczył mu te miejsca, w których najprawdopodobniej może się spodziewać ataków, i te, gdzie drogi wciąż jeszcze są bezpieczne. Na koniec wręczył mu mapę, obiecał, że jak najszybciej postara się przysłać mu posiłki, życzył powodzenia i pożegnał się skinieniem głowy, które Rankstrail od wzajemnił.

Mimo że nikt nigdy nie nominował Rankstraila dowódcą żadnego oddziału, od tego momentu Kapitan stanął na czele nie tylko swojego plutonu, lecz całej lekkiej piechoty, w sumie prawie pięciuset mężczyzn.

Wyruszyli o świcie następnego dnia. Każdy oddział miał osła, który niósł wodę i chleb.

Po trzech dniach wkroczyli na tereny Silario, które okazały się nie wspaniałą laguną, a bagniskiem. Zarówno nimfy rzeki Dogoń, jak i te z jeziora Silą musiały gdzieś się rozpieczęć, jeśli wcześniej nie zjadły ich pijawki albo nie potopiły się z rozpacz, żyjąc pośród ciągnących się w nieskończoność przeklętych moczarów. Komary były ogromne, okrutne, krwiożercze, kłuły nawet za dnia i aż płakać się chciało na wspomnienie o zwyczajnych chmarach komarów w Zewnętrznym Kręgu. Pijawki naprzykrzały się straszliwie: po przejściu kilku zaledwie mil błota trzeba się było zatrzymać, zdejmować nogolenniki, podciągać nogawki od spodni i próbować oderwać pasożyty. Były poprzyczepiane do nóg, brunatnoczarne, obrzmiałe i napęczniałe od krwi najemników. Jeśli oderwało się je zbyt gwałtownie, bestie pękały, sikając wszędzie krwią i zostawiając resztki przyssawek wbite w ciało, gdzie później miały zgnieć. Matka Trakraila była uzdrowicielką i wyjaśnił on, że trzeba obsypać miejsce dokoła pijawki solą. Potem należało ją przypalić, żeby odpadła w całości. Zorganizowano zbiórkę wszystkich solniczek i przy pa-lących się cały czas pochodniach rzecz przebiegała sprawnie: pijawki spadały, a kapral Lisentrail zbierał je starannie, by wieczorem upiec na ruszcie tak, aby wykorzystać wyssaną krew i zapobiec zbyt-niemu osłabieniu żołnierzy. Jako że wkrótce nie mieli już soli, by złagodzić smak pijawek, użyli ogórecznika lekarskiego i tymianku, które rosły dziko na brzegach bagien.

Złote Lasy były kolejnym pięknie nazywającym się regionem. Nie występowało tu żadne złoto, za to w ogromnym skupisku rosły sosny, całe w pędach pnących się jeżyn, o liściach żółtawych nawet w pełni lata. Nie było tam żadnych ścieżek. Drogę musieli torować sobie toporami i mieczami, a i tak jeżyny zdarły z ludzi resztki skó-

ry, które uratowali przed komarami z moczarów.

Wreszcie sosny zniknęły, a pojawił się płaskowyż Złego Wiatru, porosły kwitnącą roślinnością, gdzie wiał silny wiatr przez dziesięć z jedenastu dni.

Rozłupana Góra wznosiła się strzeliście nad płaskowyżem, tuż nad źródłami rzeki Dogoń, na wysokość około stu stóp. Była z różowego granitu i w świetle zachodzącego słońca nabierała barwy ognia.

Otoczał ją stuletni gaj oliwny, czyli jedyne drzewa na całym płaskowyżu, stare i powykrzywiane, według lokalnej legendy świę-

te, bo tak stare, że były świadkami wojny, w trakcie której bogowie stworzyli świat, a demony piekło. Rozłupana Góra zawdzięczała swą nazwę długiej, pionowej szczelinie, która biegła od podnóża po sam wierzchołek, gdzie wpadał wiatr, atakujący płaskowyż ze wszystkich stron we wszystkie pory roku i wydający niski dźwięk przypominający głos rogu.

Płaskowyż pokrywało gęste i pełne kwiatów wrzosowisko, smagane przez wszystkie możliwe wiatry, zraszane przez częste, małe deszcze, żywiące liczne owce i kozy i przede wszystkim konie: dorodne, mocne, o łagodnym usposobieniu.

Wioski były dwie, Montesirchio i Capula, każda z wielkim rynkiem, na którym odbywał się targ bydła. Domy stały porozrzucane po okolicy, każdy otoczony zagrodami dla zwierząt i stajniami. Były niskie, przykryte dachami sięgającymi ziemi i tak jak ziemia pokrytymi trawą i kwiatami, z kominami, które wyrastały z nich niespodziewanie, jakby zostały posadzone na łące. Miały niskie, podłużne okna, przez które wydobywało się światło ognia w kominku.

Małe ogródki warzywne osłonięte ze wszystkich stron wysokim murem z kamieni, urozmaicały od czasu do czasu widok wrzosowiska.

Na wzgórzach za Capulą znajdowały się kopalnie miedzi dostarczające długi i miękki drut, który po zwinięciu w spiralę wzmacniał

sklepienie dachu. Pod ziemią pracowali karłowaci, niewolnicy od dziesięcioleci, i pół tuzina żołnierzy, którzy ich pilnowali. Kilka dni po przybyciu Kapitana rozeszła się pogłoska, że jeden z karłowatych, niejaki Nirdly, zdołał zbiec. Chodziło o stworzenie niebywale młode jak na przedstawiciela owego długowiecznego rodu, w któ-

rym narodziny były dużo rzadsze niż zgony.

Pewnego wyjątkowo pogodnego ranka, gdy wiatr północny zmiótł

z horyzontu ostatnią drobinę kurzu, Kapitan wspiał się na Rozłupaną Górę w towarzystwie kaprała Lisentraila i paru młodszych halabardników. Wspinaczka nie była zbyt trudna i po upływie po-

łowy dnia znaleźli się na szczycie. Zobaczyli cały płaskowyż, pasące się kozy i domy z trawy, a dalej, na wschodzie, równinę Cichego Wiatru, pozostającą już w rękach orków: szmat ziemi w kształcie trójkąta. Kapitan rozpoznał długi rząd pogorzeliśk między lasem kasztanowców a szerokimi zarośniętymi już polami słoneczników i kukurydzy. To było wszystko, co zostało z pięciu gospodarstw, o których mówili uciekinierzy w Daligar. „Najlepsze gęsi w całym regionie”, lamentowały wynędzniałe kobiety, koczujące wokół miasta, wspominające swoje ptactwo i kiełbasy,

które z niego produkowały. Strumieniem, biorącym początek w tamtejszym stawie, musiał być Czarny Strumień, którego wody wydawały się ciemne z powodu łusek pstrągów - aż się od nich tam roiło. Teraz amatorzy ryb obozowali wokół Daligar, a pstrągi zjadał w najlepsze kto inny.

Kapitan obliczył szybko, ilu ludzi potrzebował, by urzeczywistnić marzenie odzyskania tej ziemi. Ich liczba okazała się tak wysoka, że przestał w ogóle o tym myśleć. Jedyne, co był w stanie zrobić, to strzec płaskowyżu Złego Wiatru przed najeźdźcami.

Jeszcze bardziej na wschód zaczynały się tereny orków, nieuprawiana równina pokryta gęstym lasem, porwana wąwozami nie do przebycia. Ziemia, na której pojawiały się i szczyty, i parowy, kamienne groble i bagna. Dzika przestrzeń, która nie żywiła swoich dzieci, a tylko wyrzucała je na świat co jakiś czas. Były niczym stado wygłodniałych wilków, które miały łupić.

Zapadł wieczór i gwiazdy rozbłysły wysoko na niebie. Najemnicy obozujący u podnóża Rozłupanej Góry zobaczyli małą postać, wyłaniającą się z ciemności i kuśtykającą aż do kręgu wokół ognia; pilnowało jej czterech żołnierzy, którzy mieli ze sobą dwa psy.

Karzeł zatrzymał się. Popatrzył najpierw na nich, potem na żołnierzy, których miał za plecami, i doszedł do oczywistego wniosku, że nie ma dokąd uciec. Wzruszył ramionami. Miał kwadratową twarz z krótką, brązową brodą. Jedna łydka i jedno ramię krwawiły, co znaczyło, że został już pogryziony.

- Wolę, żebyście to wy mnie zabili - wyjaśnił, dysząc. -

Zabierzcie

te psy.

Kapitan leżał wyciągnięty, spoglądał w gwiazdy i nawet się nie podniósł.

-Lisentrail - powiedział wesoło - ten przedstawiciel rodu karłów przyszedł się zaciągnąć. Około sto lat temu hrabstwo Daligar wydało rozporządzenie, zgodnie z którym w zamian za dobrowolne zaciągnięcie się do wojska zostajesz zwolniony z pracy przymusowej w kopalni. Wy tłumacz żołnierzom, którzy go ścigają, że ten tutaj to już najemnik, i powiedz im, żeby się stąd zabierali razem ze swoimi psami, ich ujadanie działa mi na nerwy.

-Ej, Kapitanie - powiedział Siuil - my nigdy nie braliśmy karłowatych. Tych to naprawdę nikt nie chce.

-Lisentrail - powtórzył Kapitan - właśnie zwerbowałeś przedstawiciela rodu karłów. Kiedy już pozbędziesz się tych żołnierzy i psów, poszukaj mu jakiejś zbroi, która będzie na niego pasować.

Ty tam, jak się nazywasz? - spytał wreszcie nowo przybyłego.

-Jestem Nirdly - powiedział karzeł.

- Dobrze, Nirdly, ja jestem twoim Kapitanem, a on twoim kapra lem.

Młody karzeł przytaknął, przełknął ślinę, raz albo dwa, i zaczerpnął tchu.

- Ej, Kapitanie - odpowiedział w końcu - będę zabezpieczał ci tyły. A jeśli będzie trzeba, to za ciebie zginę.

-Synu - odezwał się Lisentrail, surowy i zarozumiały, przeskakując go, aby zatrzymać żołnierzy - my tu wszyscy, jeśli tylko będzie trzeba, pójdziemy za niego umierać i wszyscy zabezpieczamy mu tyły.

-Nigdy nic nie wiadomo - mruknął karzeł.

Kapitan pozostał w okolicy prawie dwa lata. Przed przybyciem najemników orkowie często napadali te ziemie, grabiąc je i niszcząc, by potem zniknąć po drugiej stronie Czarnego Strumienia.

- Posuwają się kawałeczek po kawałeczku, wcale im się nie spieszy, właśnie tak to się robi - zauważył Lisentrail. - Wzięli równinę Cichego Wiatru, teraz szykują się na płaskowyż Złego Wiatru. Jak nikt ich nie zatrzyma, prędzej czy później dotrą do Daligar. Ej, Kapitanie, wiesz, że miejsce, w którym się urodziłem, to teraz ziemia orków? Nazywa się Pontetremulo i leżało nad Czarnym Strumieniem.

Dosłownie tonęliśmy w owcach. Wydawało się, że na ziemi leży śnieg, tyle ich było. Produkowaliśmy pergaminy, a potem mężczyź-

ni wypełniali nim wiklinowe kosze, które zakładali na plecy, i szli je sprzedawać. Teraz jesteśmy nikim... Już nawet nie istniejemy...

Kiedy rozeszła się wieść o przybyciu żołnierzy, orkowie zaniechali ataków. W trakcie pierwszego roku swojego pobytu najemnicy spotkali ich tylko raz.

Na początku jesieni, we wczesnym świetle czystego i zimnego świ-tu, smaganego wiatrem z północy, Kapitan i jego ludzie dotarli do gospodarstw, które zostały złupione przez orków. By dać rodzinom czas na ucieczkę, mężczyźni przy użyciu tasaków, motyk i sierpów próbowali stawiać opór. Zostali wymordowani. Kobiety i dzieci uratowały się i przybyły, oszalałe z bólu, rozpacz i przerażenia, by wezwać na pomoc najemników. Kiedy żołnierze znaleźli się na miejscu, orkowie byli już kompletnie pijani i spali na ubitej glebie, stanowiącej podłogę tamtejszych domów z ziemi i trawy. Noc upłynęła im na pijatyce i niszczeniu wszystkiego. Po chwili ciała wymordowanych mieszkańców leżały obok ciał orków zabitych przez ludzi Rankstraila. Wielu poległo wśród własnych wymiocin, które mieszały się z rozlanym winem i krwią wyciętych w pień.

- Kto późno wstaje, sam sobie szkodzi - powiedział Lisentrail. -

Tym tu nikt nie powiedział, że to już koniec wyzerki.

Była to bardziej masakra niż bitwa: żołnierze po prostu wymordowali orków, nie dając im nawet czasu ani okazji, by wstali, zrozumieli, co się dzieje, i chwycili za broń. Rankstrail przypomniał

sobie, strapiony, o przysiędze złożonej Aurorze, zastanawiając się przez moment, czy ta masakra pijanych oznacza jej złamanie, potem spojrzał na to, co pozostało z właścicieli gospodarstw, i przestał się zadręczać tą myślą. Kto zabił, będzie zabity. Kto przybywał, by masakrować, zostanie zmasakrowany.

Kiedy było już po wszystkim, Rankstrail pochylił się nad trupami.

To byli pierwsi orkowie, jakich widział w swoim życiu. Dziwne uczucie ucisku i pustki napierało na dolną część jego klatki piersiowej tak jak wtedy, gdy chce się zwymiotować, a nie można.

Wyciągnął rękę i powoli, jakby się obawiał ataku lub zarażenia, dotknął hełmu zmarłego. Nie był to prawdziwy hełm, raczej czasza ze skóry, z przybitymi do niej płytkami, zardzewiałym żelazem oraz kawałkami brązu i miedzi, najwidoczniej pochodzącymi z drzwi i bram, bo noszącymi jeszcze ślady zdobień. Czasza sięgała nisko, aż do ust. W pobliżu otworów na oczy i nos maska pokryta była kłakami sierści i kłami wilka, które nadawały jej przerażający wygląd, tak samo jak kawałki futra i skóry z przyczepionymi do nich wielkimi pazurami, może niedźwiedzimi, które zwisały po bokach. Orkowie nigdy nie ściągali swoich „hełmów”, nawet gdy jedli lub spali.

Kapitan odetchnął głęboko, potem ujął maskę obiema dłońmi i ściągnął ją. Pod spodem znajdowała się twarz, ogromna i asymetryczna, która wyglądała tak, jak gdyby została zrobiona z sierści i pazurów. Na czole były małe łuski, przypominające ogony jaszczurek, ułożone jak w mozaice, jeden obok drugiego. Kapitan jakby się rozchmurzył.

-Nie mają w sobie nic ludzkiego - powiedział. - Ten tutaj składa się z kłów, sierści i ogonów jaszczurek. To na wpół zwierzę, coś między człowiekiem a zwierzęciem.

-Nie, Kapitanie - zaprzeczył mu Lisentrail. - To są naprawdę ogony jaszczurek, kły i sierść zwierząt. Orkowie noszą je przyczepione do twarzy. Pod spodem są mniej więcej tacy sami jak my. Popatrz.

Kapral z trudem oderwał sierść, pazury i łuski. Trzymały się tak mocno, że skóra trupa oderwała się w kilku miejscach. Pod spodem znajdowała się twarz, szeroka, kwadratowa, ze spłaszczonymi kośćmi policzkowymi. Skóra, gruba i nierówna, tworzyła miejscami twarde i nieregularne wypukłości, oddzielone czerwonymi bruzdami. Była dziwnie ziemista i sina, bardziej sina i bardziej ziemista niż nawet długo po śmierci.

-To wszystko zostało przyklejone. Nie wiem czym, myślę, że może za pomocą zjełczanego oleju zmieszanego z wrzącą smołą.

Musi boleć jak diabli nakładanie czegoś takiego na twarz, ale pierwsza zasada orka to nie czuć bólu. Druga: kochać śmierć, i to nie tylko innych. Swoją też. Ork powinien być zadowolony z tego, że daje się zabić, i to akurat wcale nie jest takie głupie. Lepiej być martwym niż wegetować jak oni. Do przyklejania masek każde plemię używa innej mikstury i każde ma też inny wzór maski.

Widzisz, ten tam jest z tego samego plemienia: ogony jaszczurek, pazury i sierść borsuka.

-A jednak są dziwni - upierał się Kapitan. - Bardzo.

-Nie są wcale tacy dziwni.

-Oczywiście, że są dziwni. Mają skórę grubszą od naszej. Są dziwni.

Nie są tacy jak my. I to nie tylko przez tę zdartą skórę.

-Ma skórę taką jak ty, Kapitanie; taką, jak ty byś miał, gdyby ci ją regularnie parzyli smołą. A poza tym ponieważ mają cały czas to paskudztwo przyklejone, nigdy nie zmieniają wyrazu twarzy i robi im się trochę ociężała, jak u tępaka. Widzisz, jeśli nie używasz jednej ręki przez dwadzieścia lat, to z czasem ona ci jakby usycha, nie masz siły podnieść nawet orzecha. To tak samo.

-Kolor też jest dziwny. Nikt nie może być tak blady.

-Kapitanie, widziałeś kiedy człowieka po wyjściu z lochu, w którym był dłużej niż sześć miesięcy? Ma właśnie taki kolor.

Przyczep sobie i ty coś do twarzy, a potem załóż na to hełm, odczekaj trzy lata, a będziesz biały jak upiór. Przyjrzyj się dobrze jego skórze na ramionach: on jest taki jak my. Orkowie są tylko więksi i trochę bardziej śniadzi, poza twarzą, i masywniejsi. Wielu z nich jest wyższych niż my, nawet niż ty - ale wcale nie wszyscy.

Ci z bagien są niżsi ode mnie, a jestem przecież niewysoki. Mówią, że mają więcej sierści, ale to tylko gadanie. Może i prawda, że cuchną bardziej niż my, a może tylko rzadziej się myją. Poza tym fragmenty ich zbroi są ze sobą połączone nie sznurami, lecz ścięgnami zwierząt, a taki smród w końcu się czuje. My także, kiedy czasem musimy użyć ścięgien wołowych, bo akurat nie mamy sznura, śmierdzimy tak samo jak oni. Jak nas powąchać, stojąc pod wiatr, przypominamy orków. Mają twarze trochę bardziej płaskie i włosy prostsze, ale co do reszty... Żywych dobrze ich odróżnisz. Orkowie przemieszczają się razem, plutonami, batalionami, jak wojsko. Pojedynczy ork to... martwy ork. Wszyscy razem jedzą, wszyscy razem maszerują, wszyscy razem się upijają, wszyscy razem się przemieszczają. Szarże orków są niewiarygodne. To marzeniem każdego halabardnika instruktora. Wszyscy poruszają się w jednym tempie. Poza tym dobrze się bawią, zabijając, i świętują, kiedy tego dokonają. Lubią patrzeć, jak dzieci cierpią, i to akurat, przysięgam, jest prawdą, Kapitanie. Ja także pochodzę z Pogranicza. Pamiętam mojego brata. Był trochę starszy ode mnie. Paśliśmy owce, ja i on. On ściągnął ich na siebie, żebym ja mógł uciec, no i schwytali go.

Widziałem, jak go zabijali. Śmiali się. A potem tańczyli. Jeśli chcesz definicji orka, oto i ona: ork to ten, co jest zadowolony, gdy dziecko cierpi, a jeśli w końcu umrze, to

jeszcze lepiej. Wiesz, mówią, że między półorkami a prawdziwymi ludźmi wcale nie widać różnicy, ale ja tam nie wiem, czy to prawda.

-Istnieją półorkowie?

-Mówi się, że na tej ziemi wszystko istnieje.

Kapitan miał dość. Wszedł z prawdziwej nory, domu pokrytego trawą i liśćmi - w środku pełnego trupów, wymiocin, krwi i rozlane-go wina. W końcu zwymiotował. Zwymiotował też swoją duszę.

- Ej, Kapitanie - powiedział kapral, który zjawił się, by mu pomóc

- To pewnie te cebule. Były zarobaczone. Zdaje się, że ci nie służą.

Musisz bardziej uważać na to, co jesz.

Kapitan klęczał na kolanach, ciągle wymiotując i nie mogąc nawet złapać oddechu. Kiedy Lisentrail zdołał już go postawić na nogi i zaciągnąć do obozu, pozostał w swoim legowisku przez dwa dni,

właściwie nie mogąc mówić. Wobec braku alternatyw, Trakrail potwierdził z niewyraźną miną, że Rankstrailowi zaszkodziły zjedzone, podgnięte cebule.

Kapitan doszedł wreszcie do siebie, lecz od tej pory był ponury i mało się odzywał.

Na szczęście orkowie już się nie pokazali.

Gorszym wrogiem niż sami najeźdźcy stał się strach przed nimi.

Kapitan go jednak pokonał.

Obmyślił system zapór i zapalanych jedne po drugich ogni sygnalizacyjnych, tak aby bandy nie mogły pojawić się niezauważone.

Uzgodnił z przywódcami wiosek, że każda społeczność zobowiąże się do zbudowania małych wałów obronnych, za którymi mieszkań-

cy mogliby się schronić w razie ataku. Najemnicy nauczyli ich, jak organizować nocne patrole. W pobliżu studni, które były najbardziej uczęszczanymi miejscami, dogodnymi dla zasadzek, na straży stali uzbrojeni mężczyźni. Ci, którzy chodzili szukać wody lub wypasali trzodę, musieli mieć broń, a przede wszystkim róg, aby móc zaalarmować wszystkich w razie dostrzeżenia ogni sygnalizacyjnych.

Kapitan uzgodnił z przywódcami wiosek także sprawę zakwaterowania i wyżywienia dla najemników w zamian za ochronę i pomoc w pracach rolnych oraz we wznoszeniu murowanych budowli obronnych, i kiedy żołąd przestał przychodzić, czyli zanim jeszcze upłynęły dwa lata, nadal mieli co jeść, a i nastroje wśród żołnierzy były dobre.

Nadeszła zima. Dni pozostały niemal ciepłe, lecz nocą wiał lodowaty wiatr. Rankiem obozowiska najemników często pokrywał

szron, ale znikał, gdy wstawało słońce.

Nastała druga wiosna ich pobytu w okolicy i zrobiło się lato. Akacje zakwitły białymi i karmazynowymi kwiatami, które Rankstrailowi przypominały szaty Księżniczki Aurory. Sielanka zakończyła się pewnego upalnego dnia, gdy ciepły i niosący ze sobą piasek wiatr smagał

płaskowyż, wpadając w szczelinę Rozłupanej Góry i wydając przy tym straszny dźwięk, który przywodził na myśl jęki konających.

Parę mil na południowy wschód, gdzie kończył się płaskowyż Złego Wiatru, a zaczynały Góry Starego Księżyca, lekka kawaleria została zaatakowana. Prośbę o pomoc i posiłki przyniósł śmiertelnie ranny młodzieniec, który przybył na koniu całym w błocie i krwi.

Rankstrail i Lisentrail dostrzegli jeźdźca i wybiegli mu naprzeciw.

Zdążyli odebrać wiadomość i zobaczyli, jak młodzieniec osuwa się na ziemię i już tak pozostaje, z coraz bardziej szklistymi i pustymi oczami.

Dotarli do Gór Starego Księżyca w półtora dnia, po trudnej przeprawie. Były to nagie i surowe pasma, pełne przełęczy i skalistych szczytów, pokryte niską i rzadką roślinnością. Nigdzie nie znaleźli wody. Dna nielicznych strumyków wyschły i popękały, a w szczelinach osiadł kurz. Podzieleni na grupy najemnicy przeszukali teren wzdłuż i wszerz, smażąc się w bezlitosnym słońcu, lecz nie zdołali znaleźć ani kawalerzystów, ani orków. Wreszcie sępy ponuro krą-

żące nad wąwozem, którym nie płynęła woda, wskazały im to, co zostało po lekkiej kawalerii. Nie potrzebowała już żadnej pomocy, może z wyjątkiem przewoźnika, który miał ich przeprowadzić przez rzekę do Królestwa Zmarłych.

-A ty wierzysz, że każdemu, kto umiera, potrzebne są dwie monety, żeby zapłacić przewoźnikowi? - spytał Trakrail.

-Nie - zapewnił go Lisentrail z przekonaniem. - Śmierć to jedyna rzecz, za którą nic nikomu nie płacisz.

Nie było tam już żadnego konia, żywego czy martwego - orkowie musieli je zabrać ze sobą albo zjeść. Oprócz zwłok najemników znaleźli ciała dwóch pasterzy i Rankstrail zrozumiał, co musiało zajść.

Mała banda orków złapała dwóch chłopców, narobiła hałasu i pozwoliła kawalerzystom podążać za sobą, prosto do wąwozu, gdzie prażyło słońce i gdzie czekała już większa część ich okrutnych sił.

Miejsce to zamieniło się w pułapkę. Kilkudziesięciu łuczników stojących wysoko na dwóch krańcach wystarczyło, by lekka kawaleria przestała istnieć.

Rankstrail zadbał o to, by odcinek granicy znajdujący się pod jego nadzorem był nie do przejścia. Kawalerii najwidoczniej się to nie udało. Co więcej musiała stawić czoła także tym wrogom, którym nie udało się przejść zabezpieczeń Kapitana i dostać na płaskowyż Złego Wiatru.

Najemnicy mogli tylko pochować zabitych i odejść.

Rankstrail zostawił dwóch swoich ludzi, by pilnowali dwóch wioszek w okolicy, i w razie ataku za pomocą ogni przekazali na Rozłupaną Górę sygnał ostrzegawczy. Następnie wysłał pismo do Daligar, by powiadomić wszystkich o nieszczęściu.

Kiedy przechodzili przez ostatnią przełęcz Gór Starego Księżyca, jeden z jego ludzi dostał gorączki. Trakrail oznajmił, że żołnierz będzie mógł znów chodzić za pół dnia, lecz potrzeba wody, dużo i czystej.

-Ktoś ma trochę czystej wody? - spytał Kapitan.

-Ja mam pół manierki, ale nawet pies by jej nie wypił - odparł

Lisentrail.

-W takim razie po co ją ze sobą nosisz?

- Jeszcze dzień w tym słońcu, Kapitanie, a i ona będzie dobra.

Zatrzymali się, żeby poszukać wody i dać odpocząć choremu. Kapitan znalazł wodę po zapachu: wysychające źródło na dnie żlebu.

Napełnili manierki kropla po kropli, co trwało irytująco długo, i napoili chorego żołnierza. W drodze powrotnej Rankstrail usłyszał

ciche skamlenie. Ukryty w pośród krzaków albo raczej zaplątany w jeżyny, wilczy szczeniak ujadł resztkami sił. Musiał upaść z wysoka albo został zrzucony.

Miał język popękany z pragnienia i upału oraz skaleczoną łapę.

Nie mógł już prawie skamleć. Był mały, ale odważny. Kiedy Rankstrail wyciągnął rękę, żeby go chwycić, warknął groźnie. Kapitan uciął gałąź, która więziła wilka i uwolnił go. Chwyciwszy go za kark, przytrzymał w górze i obaj przyjrzeni się sobie nawzajem. Szczeniak warknął jeszcze raz, potem zaczął skamleć. Miał jasnoszarą sierść i oczy w pięknym miodowym kolorze, który przypominał Kapitanowi czasy dzieciństwa. Nieopodal leżała matka szczeniaka, piękna wilczyca, martwa od co najmniej trzech dni, trafiona strzałą orków.

Rankstrail napoił szczeniaka obrzydliwą wodą Lisentraila i zwierzak odżył. Kiedy Kapitan wziął go na ręce, wilczek polizał mu twarz, a potem usnął momentalnie, wyczerpany. Rankstrail postanowił go zatrzymać.

-Ej, Kapitanie, chyba żartujesz? - spytał Lisentrail z oburzeniem, które towarzyszyło mu zawsze wtedy, kiedy miał do czynienia z klęską zdrowego rozsądku. - Podczas polowań będzie istnym przekleństwem. Do tego jeszcze jemu trzeba będzie dać jeść. Wilk nie pociągnie o starym chlebie i łupinach fasoli, to przecież nie kura.

Spośród wszystkich pomysłów, jakie mogą komuś przyjść do głowy, kiedy waleś się po krainie owiec i pasterzy, zatrzymanie sobie wilka jest jednym z najmniej roztropnych. Najmniej roztropnych to eufemizm. Eufemizm jest wtedy, gdy zamiast mocniejszego wyrażenia, używasz słabszego, takiego, które lepiej brzmi. „Najmniej roztropna” znaczy więc „najbardziej kretyńska”.

-Zrozumiałem, Lisentrail - odparł oschle Kapitan.

Pomimo nalegań kaprała Rankstrail nie chciał nawet słyszeć o po-zostawieniu szczeniaka tam, gdzie go znalazł. Malec spał mu na rękę. Połączył ich wspólny wróg. Zatrzymanie małej bestii okazało się dobrym posunięciem. Kapitan już od jakiegoś czasu z trudem znosił niespokojne noce, dręczony powracającym snem o wilczych kłach. On i wilczek spali teraz razem, jeden obok drugiego, a świadomość obecności szczeniaka, ciepłego futerka zwiniętego w kłębek niczym kulka, w jakiś sposób ukołysa Rankstraila i jego sen stał się spokojniejszy, a koszmar mniej straszny i rzadszy.

Z czasem zwierzak podrosł. Jeden z ostatnio zwerbowanych męż-

czyn był kuglarzem, pracował z tresowanymi pieskami i zaoferował

swoje usługi w kwestii edukacji małej bestii. Wilczek okazał się inteligentny i natychmiast opanował polecenia, które były bardzo ważne, jeśli miał jakoś koegzystować z ludźmi. Reagował też na swoje imię, które brzmiało po prostu „Wilk”. Chodził wszędzie za Rankstraiem, szybki i cichy, jak jego cień. Nazywali ich Niedźwiedź i Wilk.

Już i tak groźny wygląd Kapitana, mającego teraz wilka u nogi, stał się jeszcze bardziej mroczny i surowy. Pasterze starali się trzymać swoje trzody z dala od Rozłupanej Góry. W wioskach kobiety zamykały się w domach, kiedy przechodzili tamtędy żołnierze.

Po orkach nadal nie było śladu. Zasieki zbudowane na rozkaz Kapitana okazały się nie do przejścia, ale jego humor wcale się nie poprawił. Czy pojawiali się, czy nie, orkowie byli jego obsesją.

Konie z płaskowyżu Złego Wiatru stworzone zostały raczej do pracy w polu niż do tego, by nosić na swych grzbietach kawalerzystów.

Czekając, aż zostaną sprzedane, kręciły się po wrzosowisku i pozwalały najemnikom się do siebie zbliżyć i dosiadać, kiedy ci nie mieli nic innego do roboty. Pasterze zaproponowali, że nauczą żołnierzy podstaw jazdy w zamian za lekcje posługiwania się mieczem i łukiem.

Wielu z nich, łącznie z Kapitanem, nauczyło się jeździć konno.

Podczas jednej z przejażdżek na tych mocnych i spokojnych koniach Kapitan, Lisentrail, Trakrail i karzeł Nirdly przyjechali do Tallil, wioski położonej na samym krańcu ziemi Cichego Wiatru, która wciąż jeszcze była w rękach ludzi. Wszędzie, na skrzypiących okropnie zawiasach, ciemnych, chwiejących się i źle osadzonych oknach i zniszczonych dachówkach, znajdowały się rzeźbienia. Po brudnych uliczkach, pokrytych tysiącami much, które ogłuszająco bzyczały, walały się głąby z kapusty i kozie ekskrementy, których nikt nie usuwał. Pomiędzy winnicami, które zaczynały już dziko zarastać, był mały staw.

-A tych tutaj już w ogóle nie obchodzi, gdzie żyją? - spytał Lisentrail.

-To pewnie przez to, że są blisko orków - odparł Nirdly. - To tak, jakbyś przebywał z kimś, kto ma wszy, chcesz czy nie, też je wtedy łapiesz.

-Może to tylko niepewność - stwierdził Trakrail. - Są naprawdę na granicy, liczą się z ryzykiem, że w każdej chwili będą musieli odejść. Kto żyje w strachu, że przyjdzie mu stracić dach nad głową, nie trwoni sił na to, żeby go naprawiać.

Rzeźbienia były wspaniałe: wypukłe zdobienia i płaskorzeźby prze-

ścigały się nawzajem, tworząc zaczarowane ogrody i fantastyczne bestiariusze. Kapitan zamyślił się, czy czasem nie była to jego ojczysta wioska, której nazwy - z czego nagle zdał sobie sprawę - nigdy nie poznał. Zbliżył się do jakiegoś starca z motyką pochylonego nad rządkiem mizernych główek kapusty, powiedział mu, jak nazywali się jego rodzice, i spytał, czy przypadkiem ich nie znał, bo może stąd pochodzą. Tamten nic nie odpowiedział, potrząsnął tylko głową w niezrozumiałym geście, nawet jej nie podnosząc, cały czas wpatrzony w swoją kapustę.

Kapitan odszedł.

- Nie spodobaliśmy się mu - podsumował Lisentrail. - Może nie lubi karłów - kontynuował, próbując wyjaśnić czymś nieuprzejmość starca. - Wszyscy ludzie nazywają ich „karłowatymi”, a nie jakimiś mężami z rodu karłów, tak jak ty, i nikt tu się nie raduje, widząc jednego z nich na progu swoich drzwi.

Lato minęło. Lodowaty wiatr nadciągnął z północy, by smagać płaskowyż.

Niespodziewanie, gdy nadeszła druga jesień, przybył posłaniec z Daligar, szybki jak wiatr na swoim gniadym koniu, jedzony żywcem przez komary w Silario i obdarty do żywej skóry przez nieprzebyte krzaki jeżyn w Złoty Lasach.

Pojawił się tam smok. Ktoś go dosiadał i wiedzieli, kto to był.

Nikt inny jak tylko elf, ten elf: przeklęty, znieawidzony, wrogi.

Zagrażał Daligar, całemu miastu. Na włosku zawisło życie samego Zarządcy.

Kapitana wzywano bardzo pilnie: lekka kawaleria została zniszczona przez orków. Nie było już nikogo innego.

Tylko on i jego ludzie.

Ze wszystkich kłamstw, jakie Rankstrail słyszał w całym swoim życiu, słowa posłańca były z pewnością największym. W Daligar, uzbrojone po zęby, stały regularne oddziały piechoty i kawalerii, żołnierze z porządnymi nagolennikami, w zbrojach ze stali, z mieczami jak się patrzy, które nigdy się nie łamały, i wydawało się oczywiste, że ani żaden elf, ani smok nie powinni narazić ich na szwank. Najwidoczniej jednak myśl ta musiała być oczywista tylko dla Kapitana.

Wiadomość oznaczała bowiem prawdziwą katastrofę.

Odejście i nagłe pozbawienie ludności zamieszkującej granicę ich ochrony było szaleństwem i zbrodnią, ale nie miał wyboru - musiał

wykonać rozkaz. Zdążył zwołać do siebie przywódców wiosek: przede wszystkim muszą utrzymać system ogni sygnalizacyjnych.

Uda im się zbierać wystarczającą liczbę zbrojnych do pilnowania granicy, jeśli w siekiery i sierpy wyposażą również kobiety; one przecież też mogą walczyć. Zresztą w okolicy nękanej atakami orków kobiety nigdy, ale to nigdy, nie powinny zostawać bez broni.

Gdy tak chodził w tę i z powrotem, przemawiając, zobaczył przerażenie w oczach swoich rozmówców. Rankstrail z całego serca zniechęcił Zarządcę, a także tego przeklętego elfa. Z ich winy rejon Złego Wiatru zostanie pozostawiony sam sobie, bez najemników, naprzeciw ziem, które lada moment wypływają na świat hordy orków.

Kiedy ich oczom ukazało się miasto jeżozwierz, już padali z nóg po dwudziestu godzinach marszu każdego dnia. Nakarmili wszystkie pijawki z rzeki i z jeziora, ale zachowali na sobie resztki skóry nietknięte przez jeżyny i komary. U wejścia do miasta doszło do przeciągającej się dyskusji ze strażnikami Wielkiej Bramy, którzy nie otrzymali żadnych instrukcji i nie zamierzali zawracać głowy nikomu ze swoich przełożonych, aby o nie zapytać. Fakt, iż obecność najemników była konieczna i niecierpiąca zwłoki, nie sprawił wcale, by ktokolwiek zaprzętał sobie głowę tym, gdzie ich ulokować. Jedynymi, którzy ruszyli się, aby coś zrobić, byli łucznicy. Dostrzegli oni wilka Kapitana i próbowali do niego strzelać, lecz Rankstrail wyperswadował im ten pomysł, wyrażając w kilku dosadnych słowach swą opinię o nich, ich łukach i lepszym użytku, jaki mogli z nich zrobić.

Wreszcie późną nocą żołnierze dali się przekonać i wezwali podoficera, który pojawił się, wyniosły i zimny. Opowiedział im o ostatnich wydarzeniach w Daligar, o potwornej tragedii, której ledwo udało się uniknąć dzięki męstwu jego ludzi. Przeklęty elf przybył do miasta. Z wielkim poświęceniem udało się udaremnić jego próbę porwania Księżniczki Aurory. W tym momencie po raz pierwszy Kapitan poczuł się szczęśliwy, że został wezwany, i także po raz pierwszy zniechęcił kogoś może nawet bardziej, niż nienawidził

orków i Zarządcy. Jakby tego wszystkiego było mało, usłyszeli z ust podoficera, że przeklęty powrócił jeszcze tego samego dnia i uwolnił

najgorszych przestępców w hrabstwie, strzeżonych w lochach. Kapitanowi wydało się to dziwne:

zastanowił się, jakich to złoczyńców mogły gościć lochy w krainie, gdzie dobre maniery zabraniały prze-trzymywania więźniów.

Następnego ranka Rankstrail zorganizował przed bramami miasta obozowisko na brzegu Dogonu, aż po zarośla, i otrzymał, a właś-

ciwie wymusił, coś przypominającego bochenki chleba - po jednym na sześciu mężczyzn - a także pozwolenie na łowienie i polowanie dla wszystkich jego ludzi.

Powierzył wilka Lisentrailowi i stawił się w pałacu Zarządcy. Masywny budynek, nieharmonijny i surowy, był brzydki i niewygodnie musiało się w nim mieszkać. Już za pierwszym razem, podczas długiego dnia spędzonego z Aurorą w ogrodzie, osłupiał na jego widok, ale wtedy miał co innego do roboty niż podziwianie miej-scowej architektury. Teraz mógł się przyjrzeć temu miejscu z bliska i na spokojnie, bo pilne wezwanie wcale nie przeszkodziło temu, by spędził pół dnia w przedsionku, oczekując, aż zostanie przyjęty. Paź, który wprowadził go na wewnętrzny dziedziniec, zauważył jego spojrzenia w stronę surowych murów i nielicznych okien, rozrzu-conych chaotycznie na prostej fasadzie, i najwidoczniej opacznie je zrozu-miawszy, oznajmił Kapitanowi, dumny i napuszony, że to tak zwany „nowy styl”.

Całe Daligar, ze swoimi przyprawiającymi o dreszcz dziedzińcami otoczonymi przez arkady, zwykłymi krętymi schodkami z kamienia, które wspinały się dokoła domów, prostymi balkonami zawieszonymi pośród pnączy, kratami z kutego żelaza, architrawami ze zdobionego marmuru, małymi świątyniami z podwójnymi, skręconymi kolumnami, niszami, oknami ostrołukowymi, miało zostać zburzone i zbudowane na nowo, aby dać jasno do zrozumienia, że wraz z Zarządcą zaczyna się nowa era, nowy styl.

Uczono się także nowego języka. Jak tylko spiskowi elfów zostanie położony kres, a sytuacja ekonomiczna znów się poprawi, wszyscy zajmą się „nowym stylem”. Wtedy Rank-strail po raz pierwszy i ostatni pomyślał, że przynależność do ludności przymierającej głodem mogła jednak mieć swoje plusy.

Kiedy tak koczował na dziedzińcu, w pełnym nadziei oczekiwa-niu, że ktoś pofatyguje się, by powiedzieć mu, co ma robić, usłyszał

głos:

- Panie!

Chwilę trwało, zanim pojął, że wołano właśnie jego. Po drugiej stronie kraty, która zasłaniała okno w kształcie otworu strzelni-czego, ujrzał twarz jedynej osoby, która - oprócz pożyczkodawcy -

w ten sposób się do niego zwróciła. Aurora, Księżniczka Daligar, nadal była piękna, lecz już o wiele mniej blada i mizerna, niż kiedy ją poznał. Urosła co najmniej o dwie dłonie, jej klatka nie wydawała się już tak zapadnięta i koścista jak u mysikrólika, a szyja wyciągała się dumnie ponad barkami. Również ramiona nie miały już w sobie nic z dawnej kruchości. Najwidoczniej gdy ogołacała kostki jaszczurek i pałaszowała pałacowe żaby, jej ciało nabrało chęci, by rosnąć i rozkwitać, a ręce, które

wyłąniały się teraz z rękawów z brokatu, oparte o kratę, były rękami, których wdzięk dorównywał ich sile.

Kapitan pomyślał, że nie rozmawia z nim teraz mała dziewczynka, lecz młoda kobieta. Bardzo młoda, oczywiście, będąca jeszcze trochę dzieckiem, lecz bez wątpienia kobieta.

- Panie! - powtórzyła znów.

Jej oczy błyszczały niczym słońce latem pomiędzy liśćmi morwy albo wiosną na listkach koniczyny. Miały przejrzystość wód Kasz-tami, głęboką zieleń sosen, gdy przebijała błyszcząca spod śniegu i kolor wiatru, który wieje na wzgórzach. Spotkały się z oczami Kapitana i wtedy Aurora się uśmiechnęła.

Ani śladu wstydu, poczucia winy czy strachu.

-Zrobił wam krzywdę, pani? - spytał ożywiony, choć już uspokojony jej uśmiechem. - To znaczy ten przeklęty, skrzywdził was?

-On nie jest przeklęty, panie, to ostatni i najpotężniejszy z rodu elfów. Nie wyrządził mi żadnej krzywdy, ani nie miał takiego zamiaru. Po prostu przebiegł przez mój ogród, gdy wypełniało się jego przeznaczenie. Posłuchajcie, panie, istnieje stara przepowiednia, samego sir Arduina, a właściwie to istniała, gdyż mój ojciec kazał ją zniszczyć. Jedyńm złem, jakie ostatni z władców elfów mógłby wyrządzić, byłoby zakochanie się we mnie, i temu właśnie musiałam zapobiec. Dopuszcilaam się strasznej niesprawiedliwości i zadałam cierpienie pewnej dziewczynce, nad czym niezmiernie ubolewam, lecz było to konieczne. Musiałam sprawić wrażenie tak głupiej i nieuprzejmej, by mieć pewność, iż kiedy mnie ujrzy, ostatni i najpotężniejszy z elfickich wojowników nie zapragnie połączyć swego życia z moim. Teraz powrócił, lecz tylko po to, by przywrócić wolność

i zapewnić bezpieczeństwo pewnej dziewczynce. Będzie jego królo-wą, a jest dziedziczką Arduina, który wszystko o niej powiedział, lecz nie podał jej imienia. Wiecie, panie, mgła czasu nieraz potrafi omamić nawet najmądrzejszych jasnowidzów.

- Pani, za pozwoleniem, wybaczcie - zaprotestował Kapitan, ziry towany. - Nie zrozumiałem ani słowa.

Nie było już czasu. Paż, po tym, jak porzucił Rankstraila niczym bezwartościowy drobiazg, a ten przez cały ranek koczował na dziedzińcu - teraz wrócił, żeby go zawołać.

- Panie, błagam was, nie zapomnijcie o waszej przysiędze!

Aurora odsunęła się od kraty, by paż jej nie zauważył. Kapitan był

zdezorientowany. Przypomniał sobie przysięgę, tę, by nie zabijać nikogo, chyba że musiałby kogoś ratować. Spróbował też znaleźć jakiś sens w tym, co zapamiętał ze słów Aurory. Co jeszcze powiedziała?

Nie przeklęty, a ostatni... Nie mogła mu powiedzieć czegoś sensownego, czegoś, co by się bardziej

przydało?

Córka Zarządcy nie była w niebezpieczeństwie, podczas gdy Roz-

łupana Góra tak. Jediną rzeczą, jaką należało zrobić, to wrócić się tam. Miał co innego do roboty gdzie indziej i przede wszystkim nie był pewien, czy zabicie elfa przyniosłoby mu chwałę, czy okazałoby się największą głupotą. Pomyślał, że to jeden powód więcej, żeby starać się dłużej nie przebywać w Daligar.

Paź ruszył biegiem i Rankstrail musiał za nim szybko podążać. Re-guła tego domu mówiła najwidoczniej: „Najpierw czekaj jak głupek, potem wściekaj się i biegnij”. Dotarli zdyszani do wielkiej sali, gdzie - jak od razu pojawił - tym, który przemawiał do dowódców wojsk, był Zarządca we własnej osobie.

Tyran okazał się bardzo przystojny, miał białe włosy, piękną brodę i jasne oczy. Aurora była do niego podobna. Mieli tak samo owalne twarze, tak samo smukłe dłonie.

- ...i ja, który jestem Zarządcą, ja, który przywróciłem w mieście sprawiedliwość... - powtarzał ciągle.

Na szczęście był tak pochłonięty swoją przemową, że nie zauważył

nawet przybycia Rankstraila. Wielka sala była nieumeblowana i surowa, słabo oświetlona przez nieliczne okna w kształcie otworów strzelniczych, rozmieszczone w ścianach bez żadnego porządku.

Byli tam czterej dowódcy ciężkiej kawalerii, łącznie z Argniolem, i trzech dowódcy piechoty. Siedzieli na dębowych krzesłach, obitych białą i karmazynową tkaniną, i wszyscy, znudzeni i poirytowani, od-wrócili głowy, kiedy do środka wszedł Kapitan, krocząc za pazim.

Dla niego nie przewidziano żadnego krzesła, a zatem Rankstrail ograniczył się do podparcia sobą ściany. Powiedziawszy to, co miał

do powiedzenia, Zarządca przerwał nagle, westchnął, nie pożegnał

się ani słowem, nawet nie skinął głową, odwrócił się na pięcie i wyszedł.

W wielkiej sali zapadła cisza. Mężczyźni siedzący na krzesłach, wstali, z wyjątkiem jednego.

-Dobrze - powiedział jeden z dowódców piechoty. - Rozkazy wydają mi się jasne.

-Czy ktoś z waszych ekscelencji mógłby je i mnie wyjaśnić? - spytał

Kapitan.

-Nie słyszałeś ich? A może ich nie zrozumiałeś? - zapytał Argniolo.

Rankstrail postanowił nie usprawiedliwić się z powodu niezawinionego spóźnienia, które

najwidoczniej zostało zaaranżowane tylko po to, by mu go teraz nie przebaczyć.

-Jedno i drugie, ekscelencjo - odparł ze spokojem. - Trudno, by ktoś z lekkiej piechoty był pojętny. Jeśli zechcielibyście mi powtó-

rzyć rozkazy, wolno i wyraźnie, to może zrozumiem.

-Pragniesz przede mną zgrywać dowcipnisia?

-Chciałbym tylko sobie stąd pójść, ekscelencjo. Wrócić na Roz-

łupaną Górę. Jeśli nie jestem wam potrzebny. Jeśli jednak jestem, powiedzcie, co mam robić.

-Chodzi o stawienie czoła elfowi i smokowi. Czy sądzisz, że ty i twoi ludzie macie na tyle odwagi i zimnej krwi, by to zrobić?

-Jestem pewien, że nie, ekscelencjo. Krwią, która płynęła w naszych żyłach, musieliśmy się podzielić z pijawkami i komarami, a tej, która jeszcze nam została, jest mało. Na elfy i smoki nie wystarczy, ale na orków tak. Możemy podzielić zadania między siebie. Wy, którzy jesteście bohaterami, ocalicie Daligar, a my, którzy jesteśmy najemnikami, wrócimy, żeby wycinać się nawzajem w pień z orkami na płaskowyżu Złego Wiatru, bo jakkolwiek by było, jesteśmy już do tego przyzwyczajeni.

-Cóż za brednie wygadujesz? - spytał Argniolo, oburzony.

-Ależ ekscelencjo, przyznaję wam tylko rację! - wyjaśnił cierpliwie Kapitan.

-I nie wstyd ci nawet, że oświadczasz, iż jesteś tchórzem?

-Nie, ekscelencjo - odpowiedział wesoło Rankstrail. - A czemu miałoby być? To wy jesteście kawalerem bez skazy, nieznającym strachu kawalerzystą! Ja jestem najemnikiem, nie walczę dla żadnej chwały. Mnie za to płacą. My, najemnicy, boimy się smoka, a poza tym przecież wy tu jesteście. Wy idźcie z nim walczyć, wy, którzy nikogo się nie boicie. Ja wrócę do moich orków.

-Jesteś tchórzem - syknął Argniolo.

-Zgadza się! - odparł spokojnie Kapitan. - A zatem skoro wszystko uzgodniliśmy, czy mogę odejść?

Argniolo ani o tym myślał. Oznajmił, że od tej chwili on i jego ludzie są żołnierzami ciężkiej kawalerii, podczas gdy Rankstrail i pięć-

dziesiątka jego ludzi tworzą lekką kawalerię. Mają czas do wieczora, by sprawić sobie konie. O świcie wyruszą, by zatrzymać uciekinierów, albo lepiej: odciąć im drogę.

Godność kawalerzysty była celem, do którego nieustannie dążył

każdy żołnierz lekkiej piechoty, zmianą statusu, dzięki czemu zyskiwał prawie powszechny szacunek. Tyle tylko, że dla Kapitana działało się to nie w porę, nie po tym, co powiedziała Aurora. Zresztą nie

był

nawet pewien, że wie, co się dzieje. Próbował oponować, tłumacząc, że on i jego ludzie nie potrafią jeździć konno, potem przyznając, że to nie do końca prawda, ale że nie mają bladego pojęcia o koniach, a następnie znów wyjaśniając, że to nie do końca kłamstwo. Ale tym razem to Argniolo zakończył dyskusję.

-Kapitanie, czyż nie jesteś człowiekiem czynu? A każdy twój czyn zawsze obraca się w sukces! Jestem pewien, że sobie poradzisz.

-Kiedy mówicie „czynu”, to znaczy „jednego czynu”, ekscelencjo.

Kiedy w grę wchodzi dwa albo trzy, mówi się „czynów”, a to już zupełnie co innego. W obecnej sytuacji musimy wymyślić, skąd wziąć konie i jak utrzymać się na ich grzbiecie. Później - znaleźć smoka. A gdy już znajdziemy, przekonać go, że ma się dać zabić.

I jak niby mamy to zrobić?

-Smoka nietrudno zabić, jego brzuch jest wrażliwy. Tam łuski są miękkie jak skóra węża.

-Czyli będziemy do niego strzelać naszymi słabymi strzałami, znajdując się na koniach, na których nie umiemy siedzieć ani jeździć? Skoro jesteście lepiej zorientowani, czemu wy go nie zabijecie? A jak my go wam zabijemy, co będzie z waszą chwałą? Co opowiecie waszym wnukom za pięćdziesiąt lat, grzejąc się przy ogniu z paleniska, gdy deszcz będzie padał za oknem? Wy już tu jesteście, ci najlepsi. To wy zabijcie smoka, bo jesteście dzielniejsi, a my wrócimy walczyć z orkami w Rozłupanej Górze, bo tam żadna chwała nikogo nie czeka. My i tak żadnych wnuków nie będziemy mieć, żeby im coś opowiadać. A jeśli nawet, to opowiemy im, że spotkaliśmy was. To jeszcze lepsze niż opowieść, że zabiliśmy smoka. Czy teraz mogę już odejść?

Nikt nic nie odpowiedział. Rankstrail odwrócił się, by odejść.

- Kapitanie - zawołał jeden z żołnierzy, który do tej pory w milczeniu siedział na krześle. To był ten mężczyzna, który kiedyś wręczył

Rankstrailowi mapę, starszy kawalerzysta ze złotymi odznaczeniami.

- Zostaliście mianowani Kapitanem lekkiej kawalerii, mimo że nadal sprawujecie dowództwo nad piechotą. Zarządca podpisał już rozporządzenie. - Żołnierz westchnął, nie patrząc mu w twarz, i Rankstrail zrozumiał, że nie tylko pomysł nie był jego, lecz co więcej, wstydił

się, że nie zdołał zapobiec jego realizacji. Kawalerzysta rzucił okiem w stronę Argniola, potem znów przemówił: - Ja także zdałem sobie sprawę z tego, że było... że byłoby... - znów spojrzął na Argniola - ryzykowne, jeśli wolno mi się tak wyrazić, zaproponowanie Zarządcy, by wysłał przeciw wrogom hrabstwa ludzi... - trzecie spojrzenie w kierunku Argniola - ludzi mężnych, lecz niepotrafiących jeździć konno, zwłaszcza że w szeregach naszych przeciwników jest smok. Ponadto wasi ludzie trzymali orków z dala od wschodnich terenów, a teraz te okolice pozostaną bezbronne. Nikt już nie zatrzyma orków, Kapitanie, chyba że wy zdołacie jutro zwyciężyć. Jeśli zginiecie, nie będzie już

kogo na nich wysłać. Niech nas mają w swojej pieczy bogowie, jeśli zdezerterujecie lub odmówicie wykonania rozkazu... mówię to tylko na wszelki wypadek, Kapitanie, wiem dobrze, że nawet nie do pomyślenia jest, byście mogli być tak szalonym i tak... okrutnym... by skazać siebie samego, waszych ludzi i zgodnie z ostatnimi rozporządzenia-

dzeniami, także bliskich waszych ludzi, którzy żyją w hrabstwie na...

na to, co zapowiadają... całkiem słusznie... ostatnie rozporządzenia...

-Mężczyzna ciągnął coraz wolniej - ...gdyby miało się tak zdarzyć, nie wystarczy nawet trzydziestu katów w Daligar do wymierzenia kary i trzeba będzie najać innych. A kiedy już kaci skończą swoją pracę, wschodnie ziemie wpadną w ręce orków. Jutro pojedziecie razem z sir Argniolem i będziecie sobie nawzajem pomagać. Albo zwycięstwo, albo śmierć, Kapitanie, porażka będzie równa zdradzie

-mężczyzna wyrzucił z siebie na koniec jednym tchem. - Przykro mi

-dodał niespodziewanie, spuszczać wzrok.

Zapadła cisza, której nawet wściekły Argniolo nie ośmielił się zakłócić.

- Miałbym jeszcze jedno pytanie - powiedział wreszcie Kapitan, zwracając się do starego kawalerzysty.

Mężczyzna uniósł głowę i spojrzał na niego.

- Czy mógłbym poznać wasze imię? Następnym razem, gdy się spotkamy, pragnąłbym was pozdrowić.

Stary kawalerzysta potrzebował chwili czasu, by zrozumieć sens jego słów. Nie uśmiechnął się, lecz wstał i przedstawił się przyjaź-

nie:

-Jestem Follio, hrabia Daligar, panie, lecz to już tylko tytuł.

Oznacza jedynie, że jestem ostatnim potomkiem założycieli miasta.

Rankstrail odpowiedział skinieniem głowy.

Argniolo uznał, że nadszedł odpowiedni moment, by wszystkim o sobie przypomnieć, i monotony dźwięk jego głosu znów rozbrzmiał za plecami odchodzącego Kapitana.

- Jutro o świcie macie być gotowi. Poinformujemy was, co macie robić i jak. Jestem pewien, że dzięki waszemu sprytowi, zdołacie sobie sprawić konie i dosiądziecie ich, w przeciwnym razie zostanieie uznani za dezertów. Jestem również pewien, że tak zawsze waleczni, powstrzymacie wszystkich, których należy powstrzymać. W przeciwnym razie dopuścicie się zdrady.

Ransktrail przeklął go w duchu. Nie rozumiał w sumie, czy chcieli wykorzystać go, by zgładzić elfa i smoka, czy chcieli wykorzystać elfa i smoka, by zgładzić jego i jego ludzi. Przynajmniej jeden z tych celów, jeśli nie oba jednocześnie, uda im się osiągnąć.

Powróciwszy do obozu za murami, zebrał swoich żołnierzy i powiadomił ich, że od teraz są lekką kawalerią. Wybranie tych spośród żołnierzy, którzy nadawali się na kawalerzystów, nie było trudne: zostali nimi wszyscy ci, którzy byli z nim w Wysokiej Skale, bo wciąż jeszcze mieli zapłatę otrzymaną od pożyczkodawcy i nienaruszony żołd z ostatnich dwóch lat. To byli najwierniejsi żołnierze Kapitana, ci, którzy nauczyli się jeździć konno w Rozłupanej Górze i od dawna marzyli o tym, by móc kupić wierzchowca i należeć do kawalerii.

Siuil mruknął, jak zwykle oburzony, że Kapitan nie ma nawet po-jęcia, czym jest cierpienie, i bez żadnego większego wysiłku zostanie dowódcą kawalerii. Potem twardo i wyniośle zażądał, by nie brano go do lekkiej kawalerii, więc od razu mieli go z głowy.

Udali się do stajen hrabstwa, znajdujących się niedaleko pomieszczenia dla osłów, które dwa lata wcześniej służyło im za miejsce noc-legu. Stajnie były pełne koni. Argniolo o to przynajmniej zadbał.

Rankstrail targował się za wszystkich, by żołnierze nie podbijali ceny i aby koszt koni był jak najniższy. Udało mu się je kupić po dziesięć srebrników za każdą sztukę, razem z siodłami. Lisentrail miał tylko osiem monet i starczyło ich tylko na Krzywogona, marnego starego konia, kapryśnego i nieufnego. Jedynym żołnierzem bez grosza był Rankstrail, bo regularnie posyłał

pieniądze ojcu. W torbie miał tylko kilka miedziaków, które zachował, by z bratem urządzić sobie ucztę z ciastek z sezamem i miodem, kiedy zostanie zwolniony i zjawi się w domu.

Wybrał pięknego gniadosza rumaka lecz na razie kazał go han-dlarzowi dla siebie zatrzymać i pozwolił Lisentrailowi zaprowadzić się do niżej położonej części miasta, do ciemnego zaułka w cieniu murów, zwanego i powszechnie, i słusznie Ulicą Lichwiarzy.

Domy były tam wysokie i wąskie, ustawione tak ciasno, że często należało iść bokiem, by się między nimi przecisnąć. Uliczka opadała stromo i często zamieniała się w schody.

- Ej, Kapitanie - powiedział Lisentrail - miej się na baczności: kto tu przychodzi, prędzej czy później trafia i do kata.

Kapitan przytaknął. Będzie się miał na baczności. Wiedział, co działo się w hrabstwie Daligar z tymi, którzy nie spłacali długów.

Spytał jedyne napotkanego po drodze człowieka, który siedział

na progu jakiegoś domu w długiej szacie o wyblakłym czarnym kolorze, gdzie może znaleźć pożyczkodawcę.

Tamten spojrział na niego zaskoczony.

- Człowieku! - odparł. - Tutaj używa się słowa „lichwiarz”. Widzisz człowieku, już ci wyjaśniam,

każdego roku pożyczka się podwaja i wtedy mam pewność, że ty się tym przejmujesz. Jak mi nie zapłacisz, jest kat, i dlatego mam też pewność, że się starasz. Ale ja jestem dobry człowiek, po kata idę tylko wtedy, gdy czuję, że ktoś mnie nabiera: gdy nie daje mi nic albo daje naprawdę niewiele. Wyobraź sobie, że mam przyjaciela, któremu pożyczyłem jedną monetę osiem lat temu, gdy urodziła mu się córeczka, a on każdego roku jest w stanie dać mi tylko jedną monetę zamiast dwóch; ja jednak kata nie wzywam.

-Pewnie, po co miałbyś to robić - zastanowił się Rankstrail. - Jak dotąd, monet dał ci aż osiem, a ciągle jest ci winien jeszcze jedną.

Oddanie go w ręce kata byłoby jak zabicie kury znoszącej złote jaja.

-Tak, to też, ale poza tym to dlatego, że jestem dobrym człowiekiem.

-Takim jakby świętym - potwierdził Kapitan.

By całe przedsięwzięcie okazało się jedynie szaleństwem, ale nie samobójstwem, Rankstrail pożyczył tylko pięć monet, sumę, którą, teoretycznie będzie mógł odzyskać, jako że będąc Kapitanem lekkiej kawalerii, otrzyma wyższy żołd. Szóstą monetę uzyskał, sprzedając lichwiarzowi sztylet z trzonkiem z drzewa oliwnego, który podarowali mu w Scannuruzzu. I bardzo tego żałował. Siódmą mógłby zdobyć, sprzedając wilka, który wszędzie za nim chodził, lecz na taką propozycję nie przystał.

Handlarz był niewzruszony. Za gniadego rumaka żądał dziesięć monet i nic nie można było zrobić. Lecz nie chcąc zasmucać Kapitana i odsyłać go z kwitkiem, za sześć monet mógł mu oddać Kleszcza, którego zakup byłby prawdziwą okazją, istną gratką, jak za taką cenę. Oczywiście nie należało się absolutnie sugerować wy-gładem zwierzęcia. Kapitan już miał zapytać, dlaczego nazywano go Kleszcz, lecz gdy ujrzał konia, o nic więcej nie musiał pytać.

- Jakby nie było, jest to koń - powiedział sprzedawca i Kapitan musiał się z tym zgodzić.

Jakby nie było, był to koń.

Kapitan wahał się chwilę, nim się zgodził. Nie żeby zapomniał, że zakup Kleszcza jest konieczny. Chciał po prostu maksymalnie, jak to tylko możliwe, choćby o krótką chwilę, odwlec moment, w którym właśnie on miał się stać właścicielem zwierzęcia.

Następnego ranka wysłano ich do przyprawiającego o zawrót głowy wąwozu Astrid, którym Dogoń wdzierał się w masyw Gór Ciemności. Rozkaz brzmiał: czekać, tyle że nie wiadomo na kogo, by zrobić mu nie wiadomo co.

Podstawy hippiki zdobyte na grzbietach łagodnych koni w Roz-

łupanej Górze okazały się wystarczające, by Rankstrail i jego ludzie trzymali jako taki szyk, jadąc z kawalerzystami Argniola pośród lekkiej mgły, która w jesienny poranek otulała Dogoń i otaczające go zarośla.

Kawalerzyści wyruszyli na długo przed świtem i przybyli na miejsce, gdy słońce stało już wysoko na niebie.

Wąwóz tworzył ciemną szczelinę w masywie górskim. Zgodnie z mapą pożyczkodawcy, znajdująca się nadal w rękach Kapitana, przełęcz przechodziła w długi kanion, wyżłobiony przez rzekę, któ-

ry kończył się przyprawiającym o zawrót głowy wodospadem.

Rozdzielili się na dwa szeregi: lekka kawaleria z przodu, kawalerzy-

ści Argniola z tyłu. Świat spowity był delikatną mgłą. Argniolo przemówił. Wyjaśnił, na czym polega ich misja: mają dokończyć dzieło Zarządcy, który starając *się* nie dopuścić, by elfy *zrujnowały świat* ludzi swoimi nikczemnymi knowaniami, zarządził, jako jedyny środek zaradczy ich zagładę. Lecz w świecie ludzi ukrywali się zdrajcy.

- Para wieśniaków, prawdziwi nikczemni potępieńcy, nie bacząc na przyszłe nieszczęścia, w zamian za wspaniały skarb, podarowali ostatniemu z elfów ocalenie. Sprzedali mu honor świata i swoją własną córkę, małą czarownicę, w niczym nie lepszą od swoich rodziców. Sprawiedliwość Zarządcy dosięgła tych dwoje nędzników parę lat temu; zabito ich tak, jak zabija się żmiję, lecz w przypływie litości darowano życie ich córce. Teraz ta nędzna mała czarownica jest sprzymierzeńcem elfa i najpotężniejszej ze wszystkich złych istot - smoka. Elf próbował porwać Księżniczkę Daligar, próba nie powiodła się tylko dzięki najwyższemu męstwu straży, która zdołała zranić Elfa. To prawdziwi bohaterowie.

-Cała straż na jednego i jeszcze pozwolili mu uciec, do tego ran-nemu, też mi bohaterowie - skomentował szeptem Lisentrail na tyle cicho, by mógł usłyszeć go tylko Kapitan, stojący obok niego.

-Teraz elf ucieka - zaczął znów Argniolo - i wiedzie za sobą wszystkich zdrajców i wrogów hrabstwa, chroniony przez smoka i sprzymierzony z małą czarownicą, która ma złą moc. Rozkazy są proste. Będziemy musieli zlikwidować każdego, kto będzie próbo-wał sprzeciwić się Zarządcy. Pamiętajcie wszyscy, że elf *jest* ranny, a smoka można łatwo zranić w podbrzusze, gdzie łuski są jaśniejsze. Nadejdą od wschodu i spróbują wślizgnąć się do wąwozu, lepiej będzie, jeśli zaatakujemy ich wcześniej: tutaj, na równinie, są większe możliwości manewru.

-Tutaj można uciekać we wszystkie strony - znów objaśnił Lisentrail. - Jak ten tu ma stanąć oko w oko ze smokiem w wąwozie, przecież całe to żelastwo, co nosi na sobie, przyda mu się jak patelnia złowionemu pstrągowi.

-Plan jest taki: zostajemy tutaj w dwóch szeregach - ciągnął Argniolo.

-Lekka kawaleria z przodu, a ciężka z tyłu - domyślał się Lisentrail, nadal mówiąc tak cicho, by tylko Rankstrail mógł go usłyszeć. - Żeby w razie czego mogli nam pomóc, jacyż uprzejmi.

Co oznacza, że my możemy iść już tylko do przodu, bo za plecami mamy ich.

-Lekka kawaleria z przodu, a ciężka z tyłu - podjął znowu Argniolo. - Abyśmy mogli, jeśli będzie trzeba, przyjść wam z pomocą.

-Ej, Kapitanie, słyszałeś? Może i ja nadałbym się na głównodowodzącego. Zobaczymy, czy znów zgadnę: smok dla nas, a elf dla nich.

-Kiedy smok zjawi się w polu widzenia, podzielimy się zadaniami: my zajmiemy się elfem, stworzeniem bardzo niebezpiecznym i magicznym, a wy oddacie nam przysługę, likwidując smoka.

Po przemówieniu Argniolo zamilkł, nie komentując szemrania dobiegającego od strony ludzi Kapitana.

Głęboko ukryty, nieuchwytny, jedyny w swoim rodzaju strach -

Argniolo znów go czuł i Rankstrail o tym wiedział. To nie tylko ze złośliwości Argniolo kazał ich sprowadzić, nie tylko z nienawiści wcisnął Kapitana i jego ludzi między siebie a smoka.

Bał się. Był przerażony.

Jesienne słońce weszło i jego jasne światło, odbiło się od nieru-chomych żołnierzy ciężkiej kawalerii. Jeszcze przed południem kawalerzyści zaczęli się dusić i pocić. Wielu zsiadło z koni i ukryło się w cieniu lip, trochę bardziej z tyłu. Byli zamknięci niczym małże w swych rozpalonych zbrojach.

Lekka kawaleria, jako że wciąż nic się nie działo, przerwała bezruch i ciszę. Mężczyźni próbowali galopować. Niektórzy spadali.

Jednym szło trochę lepiej i nawet potrafili zatrzymać konia w miejscu, inni mocno trzymali się w siodle.

Postępy jeźdźców były widoczne, coraz bardziej, z godziny na godzinę. Trening na dużych i łagodnych koniach z ziem Złego Wiatru oraz ten spokojny czas oczekiwania zaczynały przynosić owoce. W

przeciwieństwie do Kapitana, który wydawał się ponury jak nigdy, w oddziale panowała ogólna wesołość. Byli kawalerią! Nigdy się przecież tego nie spodziewali, lecz nie da się ukryć, że było to ich marzeniem, inaczej nie odkładaliby tak uparcie swoich zarobków, sold do solda, miedziaka do

miedziaka.

Wciąż byli najemnikami. Nikt nie oddałby im córki na żonę. Nadal odgrywali rolę tarczy, ale przynajmniej nie jako piechota.

Musieli stawić czoła smokowi i wojownikowi, który miał po swojej stronie złe moce i magię, i to wzbudzało fale strachu, które rozchodziły się w szeregach, lecz potem nadchodziła pociecha: mieli przecież swojego Kapitana. Kapitan wie, co robić. Kapitan zwycięży, a oni przeżyją.

Trakrail cały w skowronkach jeździł tam i z powrotem wzdłuż szeregu, nie przestając gadać i głaskać żłobień w starym siodle kupio-nym u handlarza, i zachowując się jak ktoś, kogo spotkało szczęście tak ogromne, że wciąż nie może jeszcze w nie uwierzyć.

Lisentrail i Kapitan siedzieli na ziemi, dając koniom wytchnienie.

Akurat w wypadku ich koni lepiej było, żeby się nie męczyły.

Wilk spał spokojnie z pyskiem na nodze Rankstraila, przywiązany kawałkiem sznura, by nie płoszył koni. Ciepło zwierzęcia było jedyną rzeczą, jaka łagodziła niepokój Kapitana. Starał się skupić, lecz myśl zaprzętały ciągle te same natrętne myśli.

Może nawet mógłby pokonać elfa i smoka, jeśli tylko udałoby mu się ustalić, czy aby na pewno chciał ich pokonać.

Nie „przeklęty”, a „najpotężniejszy” i „ostatni”, powiedziała Aurora. Określenia te wcale nie musiały się wykluczać. Można być najpotężniejszym i ostatnim, a jednocześnie przeklętym, zwłaszcza jeśli jest się najpotężniejszym i ostatnim z przeklętego ludu. Jeśli to elfickie ksiąźatko czy kimkolwiek jest ten, któremu miał stawić czo-

ła, nie było dopustem bożym, to dlaczego zamiast jakiegoś psa czy kota, ciągnął za sobą akurat smoka? Te bestię należało powalić. To była jedna z niewielu jasnych kwestii. Skoro Kapitan nie był pewien, czy będzie mógł oswobodzić ziemię ludzi od orków na wschodnich granicach, to pozostawienie smoka na środkowej równinie byłoby po prostu głupie. Swoją drogą, Aurora, podczas tych kilku chwil, kiedy było im dane porozmawiać, mogła powiedzieć mu coś przydatnego zamiast płać wszystko.

Pojawiły się na szczęście wyjaśnienia Lisentraila, któremu obcy był

zwyczaj trzymania buzi na kłódkę. Sam uzyskiwał informacje od podróżnych, żebraków, sprzedawców jabłek, pomocnika kata, jednej z pomywaczek z kuchni Zarządcy i przede wszystkim szwagierki pałacowego ogrodnika oraz kuzynki jednego z żołnierzy przydzielonych do pilnowania lochów.

Lisentrail wyjaśnił, że ów żołnierz poznał rodziców czarownicy i w lochach spędził z nimi kilka dni, zanim ich powiesili. Nazywali się Monser i Sajra i byli wieśniaków: opowiedzieli żołnierzowi, temu z lochów, że kiedy byli młodzi, uratowali małego elfa. Bo - jak stwierdzili - małemu dziecku nie można przecież pozwolić umrzeć, nigdy, tak robią tylko orkowie. A potem powiedzieli, że ten,

którego uratowali, wcale nie był przeklęty, tylko dobry, ale Zarządca nie uznaje tego za okoliczność łagodzącą, prawo mówi, że elfy trzeba za-bić. Wszystkie. I że każdego elfa trzeba wydać, nawet jeśli jest dobry.

-I nawet jeśli to dziecko? - spytał Kapitan.

-Nawet jeśli to dziecko - potwierdził Lisentrail. - Tamtych dwoje potem powiesili, a ich córka trafiła do takiego miejsca, co się nazywa Dom dla Sierot i dla dziecka jest tym samym, co lekka piechota dla mężczyzny: głód, zimno, trud, wszy i zewsząd cięgi.

Bardzo nieprzyjemne miejsce. Wtedy też stała się dziwna rzecz: Zarządca kazał zedrzeć dłutem jakieś bohomazy, znajdujące się na starym murze. Ale to wcale nie były bohomazy, tylko zapisana przepowiednia samego sir Arduina. To ten, co uratował nas przed orkami, bo gdyby nie on, to nie ujrzelibyśmy w ogóle świata. On też widział rzeczy, które dopiero mają się wydarzyć. Widzisz, Kapitanie, ciebie i mnie to nie, bo my jesteśmy dwoma zwykłymi najemnikami, ale tych, którzy coś znaczą, Arduin przewidział. I przewidział... Czekaj, czekaj, to było coś trudnego: powiedział, że ostatni z elfów spotka ostatniego smoka, a potem się połączy z tą, która nosi imię mające coś wspólnego z porankiem, a ojciec i matka... Nie, nie. Nie elfa, ojciec i matka tej jednej, mieli go kochać... No jak to kogo? Elfa. A więc wszystko pasowało: elf spotkał smoka i połączył się z córką tej dwójki, co ich powiesili, tych, co go pokochali, jak był dzieckiem. Córka tych dwojga ma na imię Juna.

-To nie miała nazywać się jak poranek?

-Zgadza się! Juna to skrót od Jutrzenki. Wiem, bo to imię popularne w moich stronach. Sajra, imię matki dziewczynki, też jest z moich stron - to nazwa kwiatu. Kto wie, może nawet jesteśmy spokrewnieni. Jutrzenka to imię szwagierki mojej starszej siostry i ją też wszyscy nazywają Juna. Więc przepowiednia się sprawdza.

Zrozumiałeś?

-Nie - odparł Kapitan. - Tylko nie opowiadaj mi tego od początku.

Rankstrail znał przepowiednię. Nigdy w nią nie uwierzył, ale tak wiele razy jej słuchał, że zapadła mu w pamięć. Ostatni elf, ostatni smok, dziewczynka, która miała światło poranka w imieniu, przez lata przewijali się w opowieściach Szalonego Skryby. Przypominał je sobie. Przyszło mu na myśl, że przecież imię Aurora oznaczało to samo. Zastanowił się, czy to przypadek, czy przeznaczenie, intuicyjnie wyczuwając, że wrogość Zarządcy wobec ostatniego elfa musiała być w jakiś sposób związana z imieniem córki.

W tym momencie nadszedł Trakrail, który pod wieloma względami, głównie z powodu nieumiejętności pilnowania własnego nosa i trzymania gęby na kłódkę, przypominał bardzo Lisentraila. Gdy słońce zaczynało się już chylić ku zachodowi, oświetlając jego brudne blond włosy, Trakrail zaczął się rozwodzić na temat historii swojej matki. Zaczął nieśmiało, urywając słowa, lecz potem jego przemowa poderwała się niczym spłoszona kaczka, już nie do zatrzymania w locie. Nic z tego, co powiedział Argniolo, nie było prawdą. Trakrail nie był synem czarownicy, jego matka

zbierała zioła i różne rośliny, by nimi uzdrawiać, i pomagała kobietom, które rodziły, ale Zarządca ogłosił, że kobiety, które potrafią leczyć, są czarownicami i zaprzedały duszę piekłu w zamian za ten dar. Matkę Trakraila wtrącono do lochu, a po kilku tygodniach spalono na stosie. W lochu poznała Monsera i Sajrę, i kiedy Trakrail ją odwiedzał, żeby przynieść jej chleb albo po prostu ją zobaczyć, bo to były ich ostatnie wspólne chwile, on też poznał tych dwoje. To byli porządni ludzie. Mieli to wypisane na twarzach. Trakrail uważał, że Zarządca postępował tak z zazdrości. Powiadano, że sam też próbował kogoś leczyć, ale jeśli nie masz do tego daru, to nie wystarczą książki z nazwami roślin.

Czarownicom się udawało, a jemu nie, i dlatego ich nienawidził. Z

elfami było tak samo: Zarządca był piękny, oczywiście, i zależało mu na tym jak na niczym innym, co było widać po tym, jak dbał

zawsze o swoje białe, kręcone włosy. Ale elfy i tak były piękniejsze od niego. Tyran wiedział całe mnóstwo rzeczy, bo przez lata męczył się okropnie nad książkami, a tamci od razu wszystko pojmowali: mówili trzema językami, jak tylko nauczyli się chodzić, przyswajali sobie w okamgnieniu astronomię i alchemię, słuchając kołysanek, które im śpiewano do snu. To wcale nieprawda, że elfy to nikczemnicy. Jeśliby nimi byli, to uratowaliby siebie samych, niszcząc resztę świata.

Elfy nie były winne, tak jak i bez winy pozostawała jego matka.

Lisentrail powiedział, żeby skończył wygadywać te brednie, i Trakrail przerwał nagle, spuścił wzrok i odszedł w pośpiechu.

W końcu słońce zaszło. Delikatny deszczyk skropił cały świat. Jakaś zgraja, przypominająca wojsko, pojawiła się w słabym świetle zmierzchu po drugiej stronie doliny: ludzie szli, prowadzeni przez dwójkę jeźdźców. Kiedy się zbliżyli, Rankstrail zobaczył, że jeździec był tylko jeden. Drugi koń niósł na swym grzbiecie troje dzieci.

Pochód zamykał smok, który właśnie zaczął wysuwać się na czoło.

Była to istota nie do opisanie, łącząca w sobie siłę i piękno. Nawet w słabym świetle dawało się dostrzec jego olśniewający szmaragdowy kolor i zabójcze kły, którymi człowiek mógłby zostać zmiażdżony niczym pisklę w paszczy wilka.

Smok był ogromny, a jego rykowi towarzyszył rozświetlający noc płomień, lecz nawet wówczas Kapitan nie poczuł strachu. Można go będzie powalić: dwudziestu ludzi, którzy zaatakują go jednocześnie ze wszystkich stron, potrafi zmusić go, by poderwał się do lotu. Gdy się uniesie, łucznicy zaatakują z dołu jego wrażliwe podbrzusze. To da się zrobić. Pytanie, czy powinni to zrobić i dlaczego mieliby tego dokonać.

Zrobiło się jaśniej. Deszcz ustał. Chmury się rozproszyły. Rankstrail dostrzegł ludzi, nieuzbrojonych, całych w łachmanach, i pełno dzieci. Wszedł księżyc. Jeździec, który towarzyszył obdartu-som, najwidoczniej sam elf, trzymał w zaciśniętej dłoni miecz, który zaśnił w księżycowym świetle. Wiedzieli, że jest prawdopodobnie ranny. Na rozkaz Argniola ciężka kawaleria wyprzedziła Rankstraila i jego ludzi i ruszyła na jeźdźcę, lecz ten odparł ich ataki. Jeden spośród łachmaniarzy

zbliżył się, by mu pomóc, lecz wojownik sam wyszedł z opresji. Któryś z kawalerzystów Argniola zaatakował go od tyłu i elf, choć nie patrzył w jego stronę, odparował cios i nawet nie spojrzawszy, wytrącił mu broń z ręki.

-Ej! - mruknął ktoś. - Ten tam walczy jak nasz Kapitan: też wie, skąd nadejdą ciosy, zanim jeszcze zostaną zadane.

-Kapitanie, co robimy? - spytał Lisentrail. -Jeszcze chwila, a prze-dostaną się do wąwozu.

Kapitan nie odpowiedział. Oddalali się. Elf i jego ludzie nie robili nikomu krzywdy, tylko uciekali.

Smok znalazł się między ludźmi w łachmanach a nimi. Argniolo i inni walczyli, wycofując się. Zostali już tylko oni.

-Strzelajcie w grzbiet smoka! - powiedział Kapitan.

-Kapitanie, strzały się od niego odbijają. Przecież zranić można tylko jego brzuch!

- Strzelajcie w grzbiet smoka - powtórzył Kapitan.

Chmura strzał przyćmiła słabe światło jesiennej nocy.

Jakaś dziewczynka z koroną na głowie zebrała wszystkich łachmaniarzy i prowadziła ich w bezpieczne miejsce. Miała mniej więcej tyle lat co Fiamma czy Aurora.

Tłum rozbiegał się w różne strony, był przerażony, a prowadzenie złęcznionych ludzi zawsze jest bardzo trudne - robią oni wtedy głupie rzeczy, na przykład uciekają nie w tym kierunku, co trzeba.

Ale dziewczynka była niesamowita. Nie bała się w ogóle. To dlatego udawało jej się wszystkich uspokoić i pociągnąć za sobą.

Była urodzonym przywódcą. Ludzie Argniola, którzy zaatakowali jeźdźca z mieczem, wycofali się. Jeden z koni spłoszył się i kawalerzysta wypadł z siodła. Po tym, jak dał znak swoim ludziom, by pozostali na miejscu, Kapitan podbiegł do niego, żeby bezpiecznie mógł wsiąść z powrotem na konia. Podczas tych paru chwil dziewczynka podniosła na niego wzrok pełen rozpaczy i nienawiści. Rankstrail powrócił do swoich ludzi.

-Kapitanie, co robimy? - spytał Lisentrail. - Kapitanie - powtórzył

- coś przecież musimy zrobić.

-Powiedz ludziom, by pozostali na swoich miejscach. I pamiętajcie: ja nie oddam was w ręce kata, bo tutaj to ja wymierzam sprawiedliwość. Kto nie posłucha i zaatakuje, posmakuje mojego miecza.

-Kapitanie, nie możesz nic nie zrobić. Ludzie Argniola zabijają cię -

nalegał Lisentrail.

-Róbcie, co mówię. Nic innego nie da się zrobić - powtórzył po-sepnie Kapitan.

Podjął decyzję. Jeśli wyda rozkaz, by nic nie czynić, zabiją jego, ale nie jego ludzi. Żołnierz musi wykonywać rozkazy, a jeśli rozkaz brzmi: „stać w miejscu”, nie może podejmować żadnych działań.

Poza tym Argniolo nie mógł stracić całej armii najemników, mając orków u granic.

Rankstrail przypomniał sobie pełne nienawiści spojrzenie dziewczynki. Pomyślał, że uratował jej życie, ryzykując swoje, i że ona nie dowie się o tym nigdy. Potem nie mógł już jej dostrzec, bo znikła bezpieczna w głębi wąwozu. Smok zastąpił im drogę. Kapitan zadał

sobie pytanie: na jak długo, dzień, dwa, pięć? Na zawsze? Prędzej czy później smok odejdzie i między Argniolem a dziewczynką pozostanie tylko wojownik z mieczem i włosami, które lśniły w świetle księżyca.

Smok uniósł się w powietrze. Jego jasne i wrażliwe podbrzusze za-lśniło w blasku księżyca, a rozpostarte fantastyczne zielone skrzydła omiotły nocne niebo.

Nawet teraz, ze świadomością śmierci, którą na siebie ściągnie, Kapitan patrzył na wspaniały lot, łączący w sobie potęgę i piękno. Zrozumiał, smok zamierzał ocalić armię obdartusów. Rankstrail mógł

już uznać się za martwego.

Z drugiej strony, nie był przecież nieśmiertelny. Liczył się z tym, że prędzej czy później umrze.

Stał nieruchomo i podziwiał lot smoka.

- Strzelajcie! - krzyknął Lisentrail zza jego pleców. - W brzuch!

Stamtąd strzały się nie odbijają, nie odpadną!

Rozkaz został wykonany błyskawicznie. Kapitan nie zdążył się nawet odwrócić, kiedy strzały lekkiej kawalerii zafurkotały niczym stado jastrzębi.

- NIEEEE! - krzyknął Kapitan.

Ogień rozświetlił niebo i obrócił w popiół stare drzewa. Stworzenie uderzyło całą siłą swego ciała w zbocze góry, które się obsunęło.

Runęła ziemia, posypały się kamienie, spalone drzewa i błoto.

Ogromna lawina pomknęła w dół.

Kiedy bryły ziemi zatrzymały się, najemnicy zobaczyli, że wąwóz został zamknięty na zawsze. Po drugiej stronie dziewczynka, młody wojownik i pozostali byli bezpieczni, poza ich zasięgiem.

Smok leżał na ziemi.

Wstrząsały nim jeszcze ostatnie, agoniczne drgania.

Ziemia nasiąkała jego krwią.

Tysiące maleńkich stokrotek nagle wyrosło i rozkwitło, tworząc dywan, na środku którego konał smok.

Rankstrail zsiadł z konia i to samo uczynili jego ludzie. Wilk zdołał się w końcu uwolnić ze swojego sznura i szedł u jego boku.

Zbliżyli się powoli.

Smok był nieruchomy, martwy.

Wiatr poruszył stokrotkami i ich płatki zaczęły opadać.

Zrobiło się chłodniej.

- Panowie - powiedział Kapitan cicho. - Tym razem popełniliśmy głupstwo.

Kapitan obrócił się w stronę Lisentraila.

- Karą za niesubordynację jest śmierć, kapralu - powiedział. Odkąd walczyli ramię w ramię, pierwszy raz przemawiał do niego tak surowym tonem. Kapral wytrzymał jego spojrzenie.

- A więc zdechnę, tak jak zdechł smok, Kapitanie, ale ty będziesz żył. Kapitanie, tylko ty możesz zatrzymać orków. Na Pograniczu Ziem Znanych są też i moi ludzie, to przecież nie karaluchy i mają prawo do jakiegoś życia.

Wciąż stali, patrząc na siebie.

Zjawili się Argniolo i jego ludzie, triumfujący i radośni.

-A elf? - spytał Argniolo rozczarowany. - A mała czarownica?

-Wszyscy pod osuwiskiem - skłamał Kapitan. Jego ludzie przytaknęli. - Zepchnęliśmy smoka na zbocze góry, a ono runęło.

Dwie pieczenie na jednym ogniu. Wszyscy martwi.

-Może ktoś się uratował? - zaniepokoił Argniolo.

-Nam się zdaje, że nie. Wszyscy pod osuwiskiem. Nikt nie uciekł

- stwierdził Kapitan. - Choć nie możemy być pewni - uniosło się mnóstwo kurzu. - Pomruk akceptacji przebiegł wśród jego żołnierzy.

-Lepiej byłoby mieć ciała, by pokazać je Zarządcy.

-W takim razie powinniście byli sami ich zabić, ekscelencjo. My, najemnicy, kiedy tylko możemy oszczędzić sobie trudu, robimy to.

Kapitan i Argniolo spoglądali na siebie nawzajem.

-O świcie chcę cię widzieć w moim namiocie, Kapitanie.

-Tak, ekscelencjo, oczywiście, a który to wasz namiot, bo tutaj żadnych nie widzę?

-Namioty są w wozie, który za nami jechał, razem z pachołkami.

Jestem pewien, że ty i twoi ludzie szybko uporacie się z rozbiciem ich dla nas. Mówią, że najemnikom wszystko się udaje, a zwłaszcza tobie. Plotka głosi, że imaleś się zacnego zajęcia, jakim jest pasanie krów, więc z pewnością będziesz i dobrym majordomusem.

-Z pewnością, ekscelencjo - odparł Rankstrail. - Zaszczycem by-

łoby dla mnie rozłożyć wasz namiot. Dumą i chlubą byłoby przygotować wam legowisko. Za pozwoleniem, ekscelencjo, jest tylko jeden drobiazg, a nie chciałbym w żadnym razie, byście się potem na mnie pogniewali. Bo widzicie, ekscelencjo, będą już ze dwa lata, jak stacjonując w Rozłupanej Górze, nie myjemy się.

Mamy wszy wielkie jak karaluchy, nie mówiąc już o naszych pluskwach. Jesteście pewni, że chcecie spać na tym, czego dotykały wcześniej nasze dłonie? Ja nie śmiem powiedzieć wam, co na ogół robimy z naszymi dłońmi i gdzie je czasem wkładamy, bo to w żadnym wypadku nie licuje z honorem kawalerzysty.

Argniolo popatrzył na niego z lodowatą nienawiścią, a Kapitan odpowiedział mu pełnym szacunku uśmiechem i lekkim ukłonem.

Namioty kawalerzystów rozbili pachołkowie.

Najemnicy spali na ziemi, przy ogniskach. O pierwszym brzasku Kapitan stawił się bez broni i bez zbroi, jak nakazywała grzeczność, w namiocie Argniola, który na środku równiny wyglądał okazale, cały w białe i karmazynowe poziome pasy, przeplatające się ze złotem obszyć.

Dziwny, słodkawy zapach rozchodził się nad obozem. Wszędzie na ziemi leżało to, co pozostało po stokrotkach, tworząc na trawie jakby dywan. Wiele płatków było czerwonych od krwi smoka i wraz z tymi białymi tworzyło kolory Daligar.

Argniolo czekał na niego w środku namiotu. Siedział na krześle, ubrany w aksamit, i gdy Kapitan wszedł do środka, zwlekał długo, nim obrócił się w jego stronę i przemówił. Za Argniolem była kotara, która dzieliła namiot na dwie części. Rankstrail wyczuł, że nie są sami, lecz nie obeszło go to ani nie zdziwiło, ponieważ gdy czekał

cierpliwie, aż tamten zechce łaskawie zauważyć jego obecność, spostrzegł kątem oka, że jego wilk szedł za nim i leżał niedaleko, przyczajony w cieniu.

Wreszcie Argniolo podniósł wzrok na Rankstraila i odezwał się:

-Nie spodobałeś mi się, Kapitanie. Ale przynajmniej powaliłeś smoka. Wiesz, co to za zapach?

-Właśnie się nad tym zastanawiałem, ekscelencjo - odpowiedział

zgodnie z prawdą Kapitan.

-Pieczemy właśnie mięso smoka.

-Wy... właśnie... co? Co właśnie robicie? Pieczecie smoka? Ale...

-To będzie uczta kawalerzystów z Daligar, Kapitanie. Od dziecka wpajano nam, że mamy zostać bohaterami, spożyjemy więc mięso smoka, aby jego siła popłynęła naszymi żyłami i uczyniła nas niezwyciężonymi.

Kapitan wykorzystał całą swoją wolę, by powstrzymać zarówno odruch wymiotny, jak i chęć zmasakrowania Argniola tu i teraz.

-Co o tym sądzisz? - spytał tamten.

-Nie wiem - odparł Kapitan, starając się nie dać nic po sobie poznać. - Ja zjadłem całe mnóstwo nietoperzy, a latać nie umiem.

Moja matka, która była świętą kobietą, wykarmiła swoją krwią tysiące komarów, a im charakter wcale się nie poprawił. Ale nie wiem, może to wy macie rację. Jedliście dużo kur tam, gdzie się wychowaliście, ekscelencjo?

Argniolo zerwał się na równe nogi, oburzony.

- Nie mam zamiaru dłużej tolerować twojej arogancji - oznajmił.

Na jego skinienie trzech uzbrojonych ludzi w lśniących zbrojach i z mieczami, wyłoniło się zza kotary i stanęło tuż przed Kapitanem, który z zaciekawieniem zmierzył ich wzrokiem po czym zwrócił się znów do Argniola.

- Dobrze - stwierdził - jeśli nie macie mi nic do powiedzenia, po żegnam się już. Jutro wyruszam do Rozłupanej Góry jako dowódca zarówno kawalerii, jak i lekkiej piechoty, tak jak oznajmił to hrabia Daligar. Co dwa miesiące będę wam przysyłał raporty. Moje uszono wanie dla całego towarzystwa.

Kapitan odwrócił się, by odejść. Zatrzymał go lodowaty głos Argniola.

-Kapitanie - powiedział - nie sądzisz chyba, że wyjdiesz żywy z tego namiotu!

-Oczywiście, że nie, ekscelencjo. Jestem inteligentny i zrozumia-

łem, że już po mnie. Tylko mój wilk, biedna bestia, jest kompletnie głupi i ni w ząb nie rozumie, co się dzieje. Niech tylko jeden z waszych ludzi się ruszy, a wilk rozszarpie wam gardło, ekscelencjo. Jak już mówiłem, moje uszanowanie dla całego towarzystwa.

Kapitan znów się odwrócił, by odejść. Jego wilk wydał z siebie ciche warknięcie.

-Ja i ty znów się spotkamy - syknął Argniolo.

-To pewne, ekscelencjo - potwierdził Kapitan, nawet się nie odwracając. - Jeśli tylko wcześniej nie zdechniemy, to znów się spotkamy.

Po wyjściu z namiotu Rankstrail schylił się, zebrał garść płatków stokrotek, niektórych śnieżnobiałych, symbolizujących niewinność, innych czerwonych od krwi złożonej w ofierze, i zacisnął je mocno w dłoni.

Kiedy dotarł do obozowiska najemników, upadł na kolana i zwymiotował, jakby wyrzucał z siebie uczucia. Lisentrail przyjrzał mu się zaniepokojony, lecz nie ośmielił się pisnąć nawet słowem.

Kapitan podniósł się, spojrzął na płatki, które ścisnął w dłoni, a potem włożył je ostrożnie do swojej torby. Nie patrząc na Lisentraila, wydał mu rozkaz zebrania ludzi: zaraz wyruszają, na wieczór dotrą do Daligar, a następnego dnia wszyscy razem, oni i piechota, wyruszą do Rozłupanej Góry.

Siedzieli już na koniach, gdy ktoś zapytał cicho:

-No a ci tam, po drugiej strony obsuwiska, co teraz z nimi będzie?

-Po drugiej stronie Gór Ciemności jest morze - odparł Lisen-trail. -

Morze to takie miejsce, gdzie wszędzie jest woda, która ciągnie się bez przerwy i nigdy się nie kończy. Pić jej się nie da, i dlatego jeszcze tyle jej jest, ale w morzu można znaleźć wiele rzeczy do jedzenia. I to nie tylko ryby. Na skałach podwodnych są rośliny, które się je, i nawet piasek skrywa pod sobą pożywienie. Kto żyje nad morzem, nie cierpi głodu.

-To dlaczego my też tam nie pójdziemy? - spytał ktoś. - Czemu nie pójdziemy tam zamieszkać?

- Bo tam są erynie - odparł Lisentraile.

-Kto?

- Furie. Anioły Śmierci. Duchy zniszczenia. To trzy okropne, nie pokonane zjawy. Przybywają z nieba i niszczą wszystko, co stanie na ich drodze. To dlatego nad morzem już nikt nie mieszka. Nawet piraci przestali tam przybywać. Tego, kto przejdzie przez Góry Ciemności, prędzej czy później czeka śmierć. Stąd nazwa tego ma sywu. Kto je przebędzie, nie pociągnie już długo. Nawet smok nie poradziłby nic na erynie, Kapitanie.

Kapitan nie odpowiedział, lecz kiwnął potakująco głową, a jego zastępca przelotnie spojrzął mu w twarz. Tuż przed przybyciem do Daligar kapral odzyskał odwagę i ośmielił się przemówić.

- Kapitanie - powiedział - musisz bardziej uważać. Cebule, jeśli są robaczywe, wcale ci nie służą.

księga druga

ostatni

feniks

-To elfy nie są nieśmiertelne? - zapytał ktoś.

-Tylko jeśli pozwolimy im żyć - odparł Lisentraile, który wiedział zawsze wszystko o wszystkim. - Gdy ktoś je zabije, umierają tak jak my.

I

Pierwsze światło poranka pojawiło się na pogodnym niebie: morze zaiskrzyło niczym płaszcz z jasnego jedwabiu. Dwie chmurki zarysowały się, blade i ledwie widoczne, nad horyzontem, w

różowym świetle dnia. Nocna bryza rozwiała piasek, tworząc na jego powierzchni lekkie fale. Szczyty maleńkich pagórków oświetlał

poranny brzask. Doliny wypełnione były cieniem i porane śladami krabów, wróbli i mew. Słońce miało się właśnie wznieść ponad stromym brzegiem, wysokim, niedostępnym, pokrytym bluszczem i kwitnącymi kaparami; prawie tak wysokim jak góry, które lśniły dalej, zielone od lasów. Na wschodzie niebo zaczęło blaknąć, granat stał się błękitem, gwiazdy bladły w coraz jaśniejszym świetle dnia.

Para mysikrólików spotkała się na skraju zarośli, w cieniu tamaryszku, który zaczynał właśnie przekwitać. Przekrojony robak skręcał się rozpaczliwie i wówczas zwolnił się mechanizm pułapki.

Złapane ptaszki, kwiląc rozpaczliwie, szamotały się, ale pułapka była perfekcyjna i pętla z plecionego płótna wytrzymała.

Wreszcie było coś do jedzenia.

Ospo odgarnął włosy z twarzy, odzyskał połówkę swojego robaka, chwycił mysikróliki - najpierw drobniejszego, prawdopodobnie sa-miczkę, a potem samca - i zębami szybko odgryzł im główki.

Oblizął krew, która pozostała mu na ustach i włożył ptaki do torby - to będzie obiad. Główki posłużą za przynętę, a więc przy odrobinie szczęścia będzie też kolacja. Trzeba było jeszcze zdecydować, co zrobić z połową robaka: można ją wykorzystać w celu urozma-icenia sobie obiadu lub też użyć znów jako przynęty, w nadziei na urozmaicenie kolacji.

A wszystko dzięki temu, że dobrze mu poszło.

Rozejrzał się dokoła. Plaża o tej porze poranka była istnym mrowiskiem ludzi parających się różną działalnością. Chodzili tam po-szukiwacze rogowców, maleńkich małży, które śpią w piasku, tak małych, że właściwie nie sycą i dają tylko wrażenie, że coś się jadło, co jednak i tak jest lepsze niż pewność, że brakuje jakiegokolwiek po-karmu. Gdy nastanie ranek, mrówcze prace przenoszą się na stromy brzeg, bo podczas odpływu dostępne są ostrygi i skałoczepy, które zamiast uśmierzać głód, tylko go rozbudzają. A w południe: słońce w zenicie i pora obiadu, o ile się go ma. W razie braku obiadu po-

łudnie jest tak samo pracowite jak ranek, gdyż o tej porze raki pojawiają się w cieniu wielkich skał, które zamykają zatokę od zachodu, a więc wtedy wszyscy próbują je łapać. Po południu całe mrowisko wyniesie się z wody, by szukać szyszek, które mają w środku kilka orzeszków piniowych, tak maleńkich, że zamiast zaspokajać głód, tylko go wzmagają.

Ospo rzucił okiem na plażę Erbrow, która znajdowała się tuż po-niżej ich wioski Erbrow nad zatoką, która nazywa się oczywiście zatoką Erbrow. Od imienia smoka, który poległ, by oni mogli żyć, wszystko nosiło nazwę Erbrow, nawet córkę elfa, jej wysokość małą Księżniczkę, też nazwali Erbrow - przynajmniej nie musieli się na-myślać nad imionami.

Ludzkie mrowisko na plaży było wyjątkowo głośnie. Cala, żona Draba, i jej przyjaciółka Juna, żona

elfa, chichotały jak zwykle. Cala miała małego syna, który nosił absurdalne imię Pestek, co w języku ich kraju miało oznaczać coś w stylu „chmurka-jak-wata-co-iata”. Brzmiało to niedorzecznie. Krzyżówka kury z robakiem prawdopodobnie miała-by więcej oleju w głowie niż te dwie kobiety, bo rozumiałyby, że na tej plaży żyje się beznadziejnie i wcale nie ma z czego się śmiać. Juna i Cala poświęcały połowę swojego czasu na szukanie rogowców, a drugą na zbieranie głupich muszelek bez niczego do jedzenia w środku, tylko po to, żeby robić z nich bezużyteczne naszyjniki albo... takie coś... co nosi się we włosach. Co jakiś czas ktoś mu mówił, jak się to nazywa, ale Ospo ciągle zapominał. Trzy lata temu Juna poślubiła przeklętego elfa. Odbyły się wielkie uroczystości, oczywiście bez niczego do jedzenia, i wielkie tańce. Zaprosili też tych z Astrid, innej wioski, obdartusów przymierających głodem, którzy mieszkali na małym cyplu zamykającym zatokę od północy. Ci z Astrid mieszkali tam dłużej niż oni, ale i tak nie byli mniej ubodzy, choć trzeba przyznać, że w Astrid mieli przynajmniej kurczaki i na ślub elfa i Juny podarowali im pięć kur i koguta, które zamieszkiwały teraz jedyny kurnik Erbrow, nietykalny załazek przyszłego bogactwa.

Oni, mieszkańcy Erbrow, w zamian za to dali im żrebaka. Bły-skawica i Plama, dwójka koni, która przybyła tu z nimi z hrabstwa umęczona drogą, kiedy musieli uciekać, żyła na plaży i właściwie nie wiadomo po co, skoro do niczego się nie nadawała, chociaż na gulasz pasowałaaby wyśmienicie. Jednak nie można było zrobić z nich potrawki, tak jak nie wolno przerobić na kotlety żrebiąt, które systematycznie pojawiały się na świecie, jeden co dwa lata. Dlatego w Erbrow, jeśli nie umarło się z głodu, nie spadło ze stromego brzegu albo się nie utonęło, można było jeszcze zostać stratowanym przez konia, bo mieli ich całe stado i wszystkie konie całymi dniami biegały tam i z powrotem. Mieszkańcy Erbrow przymierali głodem i byli obdarci, ale za to wszyscy potrafili jeździć konno. Bez siodeł i galopem, zupełnie to było nieprzydatne i jeszcze bardziej podsycalo apetyt. Ospo odmówił nauki.

Z okazji ślubu tej dwójki głupków obie społeczności przyrzekły sobie nawzajem bezwzględną i wieczną lojalność, a potem dalej przymierały głodem i biedowały, każda osobno. Jak się zdaje, zdychanie z głodu i nędza stanowiły niezbywalny przywilej ludzi wolnych, wraz z umiejętnością pisania, czytania, jeżdżenia konno bez siodła, pływania i wałęsania się tu i tam, na wpół nago.

Za plecami Cali najmłodszy z drwali, Solario, szukał rogowców.

Robił to tylko jedną ręką, bo na drugiej trzymał najmniejsze ze swoich dzieci, które również śmiało się głośno. Najwyraźniej wszyscy przednio się bawili na tej przeklętej plaży, tuż pod skałami. Doprowadzało to Ospa do szału. Rzeczywiście, trzeba przyznać, że gdyby on także został na plaży, by szukać rogowców, zdobyłby dużo wię-

cej jedzenia niż dzięki swoim pułapkom na mysikróliki, ale wtedy musiałby znosić nie tylko Cale i Junę, ale także Solaria, który znów by mu opowiadał, jakie to zdolne są jego najstarsze córeczki, które potrafią już czytać i pływać, albo jak to zakochał się w swojej małżonce, Rimarze. Małżonce, nie żonie, tak zwykło się tu mówić.

Odkąd przybyli nad morze, wszyscy zaczęli mówić jak elfy. Solario oświadczył się swojej małżonce, jak tylko dotarli na plażę, jeszcze zanim zaczęli budować domy. To był przyływ radości z bycia wolnym, wolnym po to, by robić właściwie nie wiadomo co. By śmiać się bezustannie, wygadywać głupoty do dziecka, które nie potrafiło nawet mówić, i zdychać z głodu na plaży smaganej przez

wszystkie możliwe wiatry z wyjątkiem tych ze wschodu, zatrzymywanych przez Góry Ciemności.

Bezsprzecznie nie byli już łachmaniarzami, bo aby zasłużyć sobie na miano łachmaniarza, trzeba by łachmany w ogóle posiadać. Przez osiem lat ich ubrania zniszczyły się, podarły i rozpadły. Zostały po nich tylko strzępki gdzieś pośród krzaków jeżyn. Wszystkie nitki, jedna za drugą, były zużywane, zamieniane na prowizoryczne wędki albo cudaczne sieci łowieckie.

I tak żył sobie lud istot wolnych, będących panami własnego przeznaczenia, a mniej patetycznie - pary gatek. Wypada dodać, że wolność aż tak znowu nie rozgrzewa, zwłaszcza jak wieje wiatr od północy i sztorm uderza w nabrzeże. Wszyscy ci, którym urodziły się dzieci, od Solaria po przekłętą elfa - jego smarkata przyszła na świat jakieś dwadzieścia miesięcy temu - byli na wpół nadzy i latem, i zimą, bo w swoje szmaty ubrali dzieci. Yorsh, wielki przywódca, potomek dostojnych rodów ludzkich i elfickich, nosił tylko prze-paskę wokół bioder. Dziewczęta miały nogi gołe aż do kolan i od-słonięte ramiona, co wcale nie uchodzi za przyzwoite. Jeśli Beka zobaczyłaby je w takim stanie, wygrzmociałaby je kijem jak nigdy.

Co za ubaw! A najdziwniejsze, że im bardziej byli obdarci i cuchnący, tym chętniej starali się rozmawiać ze sobą tak, jakby wszyscy byli szlachcicami, panami i bogaczami ziemskimi. „Mój panie, jak się mają wasze zawzorne sprawy? Droga pani, jakże wam się dziś przymiera głodem? Wasza mość, jak tam stoicie z robakami, którymi jeśli jakieś macie, mogliśmy się napchać?” - ironizował Ospos.

A gdy zapytał elfa, dlaczego mówił do żebraków, służących i ro-botników tak, jakby wszyscy byli dziećmi króla, on odpowiedział, że to najlepszy sposób, by uświadomić każdemu, że jego godność w istocie równa się godności króla. Wszyscy byli przyzwyczajeni do tego, by kojarzyć godność z szatami, butami i złotymi ozdobami. W

sytuacji, gdy złotych ozdób ani butów nie było, a ubrań już brakowało, by się upewnić, że pamięta się nadal o godności, należało wspominać o niej w każdym zdaniu. Elf dodał również, że język jest jedną z dwóch rzeczy - druga to miłosierdzie - które choć nic nie kosztują, mają największą wartość. Jednakże Ospos, co to elfem bynajmniej nie był, wciąż zastanawiał się, co u licha, miało to wszystko znaczyć.

Spróbował sobie przypomnieć czasy, gdy jedzenie było dla niego czymś zwyczajnym. Wspomnienie zagubiło się gdzieś w głębokich i mglistych zakamarkach pamięci, wśród tego, co pamiętał z czasów, zanim pojawił się przekłętą elf ze swoim lśniącym mieczem i swoją równie widoczną tępotą, po to tylko, żeby przywlec ich wszystkich na tę po stokroć przekłętą plażę, gdzie do picia mieli tylko rosę i słoną morską wodę, a do jedzenia algi, korę drzew i od czasu do czasu zgniłą rybę. Gdyby nauczył się pływać, byłyby też rogowce, raki i małże. Gdyby nauczył się wspinać, zdobyłby i miód z mirtu rosnącego na cyplu. Ale starszy żołnierz nie robi przecież takich rzeczy - nie wspina się i nie pływa, nie jest przecież wiewiórką ani rybą. Już prędzej będzie żywił się rosą i korą drzew. Nawet gdyby ktoś chciał go tego nauczyć, nie był bardzo pojętny i szybki w opa-nowywaniu nowych rzeczy.

Można się było najeść nad stawami, gdzie czaple, białe i siwe, dreptały w błocie, i nadałyby się na pieczeń. Wystarczyłaby mała pułapka z połówką zgniłej ryby, ale nie! Tego nie można było robić, to zostało zabronione. Przez pierwszy rok dla wszystkich wygłodniałych, których ugościła plaża,

polowanie na czaple było samą radością, ale ta skończyła się nagle, bo po prostu wszystkie zostały zjedzone.

Odkąd kilka czapli pojawiło się nie wiadomo skąd, nie wolno było ich tknąć, bo się rozmnażały. Dozwolone było upolowanie tylko jednej czapli, i to w wyjątkowych okolicznościach: jeśli należało nakarmić chorego lub jeśli kobieta urodziła dziecko. Na mewy pozwalano polować do woli - ich mieli pod dostatkiem, szkoda tylko, że były nie do schwytania. Nie łapały się w pułapki i były zbyt szybkie, aby trafić je kamieniem. Przydałaby się proca albo łuk, lecz Ospo nie potrafił posługiwać się ani jednym, ani drugim.

Kiedyś przynajmniej jadał. Inni nie, inni jedli więcej teraz, niezbyt wiele, ale z pewnością więcej niż on wcześniej. Kiedy nie jedli, gadali jak elfy, i to jakimś dziwnym sposobem pozwalało zapomnieć o głodzie. Są ludzie, którzy zawsze mają wszystko, co im do szczęścia potrzebne, głupotę, która czyni ich zadowolonymi i radosnymi, choć są goli i żyją na plaży smaganej wszystkimi możliwymi wiatrami. Elf nauczył innych pływać i strzelać z łuku do całkiem smacznych mew.

Ospo jednak z łukiem sobie nie radził, a nauki pływania odmówił.

To było dobre dla elfów. Żołnierz nie musi umieć pływać, a już zwłaszcza nie starszy rangą. Pisać i czytać też nie potrzebuje. Kiedy nie pływali, czytali - kolejna rzecz dobra dla elfów i dla kretynów.

Pisali słowa na piasku, a potem je czytali, co i tak było lepsze od opowieści. Wieczorami, jeśli pogoda była ładna, zbierali się wszyscy wokół ognisk na plaży, żeby opowiadać sobie historie o osobach, które nigdy nie istniały i w ogóle nie mogły istnieć, bo byłoby to po prostu nedorzeczne. Czasem nie opowiadali, a grali: jedno, że jest królem, a drugie, że jest księżniczką, i w taki sposób przekazywali historię. To nazywało się teatr. Raz nawet wszyscy się popłakali, bo Cala zagrała umierającą księżniczkę. Po prostu nie do wiary. Starsi żołnierze wieczorami upijali się piwem, i to jest zajęcie dla męż-

czyn, a nie jakieś opowiadanie niestworzonych historii, które nie wiadomo co w ogóle miały znaczyć. A do tego niektórzy dobrze się bawili, oplakując Cale. Są ludzie, którzy zawsze mają wszystko, co im do szczęścia potrzebne.

Kiedy Ospo przebywał w Domu dla Sierot, pani Beka, opiekunka tego domu, pilnowała, by jedzenia nie było za dużo, bo jak dziecko je tyle, ile chce i kiedy chce, to psuje się mu charakter. Niektórzy rzeczywiście w Domu dla Sierot jedli bardzo mało, żywili się samymi rogowcami nazbieranymi na plaży. To tylko oni dwaj, Drabo i Ospo, dwaj strażnicy Domu dla Sierot jedli porządnie. Kaszę chociażby, dzielono na nierówne porcje, i właśnie oni to robili, więc zawsze dostawały się im resztki, gdy stróże Domu dla Sierot, pani Beka i wielmożny pan Karambol, zostawiali coś z posiłku. Wprawdzie rzadko, bo Karambol był jak studnia bez dna, lecz czasem się to zdarzało.

A jeszcze ważniejsza od kaszy była nadzieja. Prędzej czy później oni dwaj mieli zostać żołnierzami: cztery porcje kaszy dziennie i porcja wieprzowiny dwa razy w miesiącu. A potem awansowaliby na starszych żołnierzy: pięć porcji kaszy dziennie, jedna porcja wieprzowiny dwa razy w tygodniu i kufel piwa z okazji święta zimy oraz nowiu księżyca. Na myśl o piwie jego oczy się zaszklily. W Domu dla Sierot piwo zostawało czasem na dnie kufli Beki i Karambola, i wtedy było prawdziwe

święto.

Na początku żyło się ciężko, jeszcze gorzej niż u niego w domu.

To były długie lata - małe pomarszczone jabłka oraz kaszę z robakami zawsze rozdzielano nierówno. Batów też nie dzielono równo, ale inaczej niż kaszę: im krócej byłeś w Domu dla Sierot, tym więcej batów dostawałeś. Ale wystarczyło tylko wytrzymać. Jeśli po drodze nie umarłeś, wyrastałeś i przypadała ci pozycja strażnika, potem żoł-

nierza, a na końcu raj na ziemi: robili z ciebie starszego żołnierza.

W dniu, w którym elf przybył razem ze swoim przyjacielem smokiem, odbyła się wielka popijawa i wyzerka: poszło całe piwo i wszystkie kurczaki Beki i Karambola, ale nawet wtedy Ospó po-myślał, że głupotą byłoby stamtąd odejść, pozostawić znane, by pójść w nieznane. Szkoda, że nie było komu o tym powiedzieć.

Nawet Drabo, który od zawsze był jego zwierciadlanym odbiciem, jego drugą połową, opuścił go, żeby zejść się z tą grymaśnicą Całą i spijać z warg elfa każde jego durne słowo. Po prostu nie do wiary.

Poza tym w trakcie całej tej szalonej i niesamowitej podróży, kiedy elf pociągnął za sobą ich, wszystkich nędzarzy i obdartusów ze wszystkich okolic hrabstwa, Ospó nadal sądził, że to jedna wielka głupota, ale wtedy nie miał komu o tym powiedzieć. Wszyscy jak jeden mąż poszli za tym obłąkańcem: w chwilach, gdy mogłyby ich przynajmniej zatrzymać zmęczenie i ból nóg, obłąkaniec opowiadał

im całą masę bajek, jedną bardziej nedorzeczną od drugiej, i wszyscy znów nabierali odwagi i zaczęli maszerować. Nawet gdy napotkali na swojej drodze całą kawalerię Daligar, nie zrobiło to na nich większego wrażenia. Obłąkaniec opowiedział jakąś historyjkę o bohaterach całych w blasku chwały i ci łachmaniarze, którzy przez całe swoje marne życie nie robili nic innego, jak tylko szukali kogoś, przed kim mogliby się płaszczyć, zamieniali się nagle w wojowników i postanawiali, że nigdy więcej nikomu się nie poddadzą, nawet jeśli miano by ich zabić. Zresztą gdyby nie to, że smok dał się zabić, żeby ich uratować, kawaleria Daligar wybiłaby ich wszystkich. Co do jednego, od zawszonego kulawego żebraka po nieznośne dziecko.

Po prostu nie do wiary!

A oni wcale się nie zezłościли na po stokroć przeklętego elfa za to, że powlókł ich za sobą, wręcz przeciwnie - wszyscy zgrywali bohaterów!

Po prostu nie do wiary.

A potem wreszcie dotarli na plażę, tak jakby morze było miejscem, do którego warto dotrzeć: ta granatowa woda i zielone wyspy, cypel i mewy. Woda i mewy nawet by uszły, tym, kogo naprawdę nie znosił, była ta mała dziewczynka, półelf. Najzwyklejszy berbec, ale kiedy się urodziła, to było tak, jakby na świat przyszła co najmniej jakaś księżniczka!

Kiedy on, Ospó, miewał jako dziecko gorączkę, wysyłali go razem z innymi, żeby poszukał sobie czegoś do jedzenia, a matka przywoływała go do porządku policzkiem. Tymczasem wystarczyło, że berbecić kichnął, i wtedy jakby świat się walił. Mała zawsze była na ręku u swojego ojca, chociaż chodziła bardzo dobrze. Jego, Ospa, nikt nigdy nie trzymał na ręku, w jego domu wszyscy byli twardzi.

Kiedy rodził się chłopak, to sam musiał o siebie zadbać, a kiedy rodzeństwa zaczęło przybywać, zaprowadzano ich do Domu dla Sierot. Przecież nie poszedł do Domu dla Sierot sam, z własnej woli.

On, Ospó, spędził całe życie na drapaniu się z powodu kleszczy i komarów, i nic strasznego mu się z tego powodu nie stało, nie umarł

od tego. Za pierwszym razem, gdy komar ugryzł jej wysokość małą księżniczkę, jej ojciec zużył swój ostatni kawałek ubrania, żeby wypruć z niego nitki i zrobić coś w rodzaju sieci, która nie przepuszczała niczego, co miało skrzydła, tak jakby dziecku miała się dziać krzywda od tego, że musi się podzielić swoją krwią z komarami.

Na początku, kiedy przybyli na plażę, ustalili swoje zasady. Ze wszystkich właśnie ta była najgłupsza.

Każdy powiedział jedno zdanie, które stało się miejscową zasadą, no bo przecież miejsca muszą mieć swoje zasady.

Powiedzieli, że można robić to, co się chce, czytać i pisać, i jeszcze jakieś inne głupoty. Można nawet dać córce imię smoka. Można też kręcić się na wpół nago, co w każdym innym miejscu jest zabronione. Mąż Juny, jego wysokość elf, chodził właśnie półnagi, dlatego że w swoje ubrania odział żonę. A potrzebował ich w tym celu dosyć dużo, bo Juna - kiedyś małe chuchro, sama skóra i kości - teraz zmieniała się w roślą dziewczynę. Cały czas spędzała na pływaniu, więc jej ramiona tak się rozrosły, że jeśli wróciliby do Daligar, to mogłaby być kamieniarzem w kamieniołomach Zarządcy.

Była masa głupich zasad, dotyczących głupich rzeczy, ale za to nikt nie mówił o naprawdę ważnych kwestiach: na przykład ani słowa o tym, jak się zostaje starszym żołnierzem. Kiedy „zakładali miasto”, jak wyrazili się pozostali, bo to skupisko ubóstwa było według nich miastem, każdy coś powiedział i on, Ospó, dodał, że można też być elfem, ale przecież powiedział to specjalnie, żeby wszyscy zrozumieli, że przez te wszystkie kretyńskie zasady zapomnieli elfom zabronić przebywania pośród nich, a przecież elfy nie są ludźmi. Ale pozostali tego nie zrozumieli, i stąd jedną z zasad w tym istnym domu waria-tów było to, że ktoś może być elfem, jeśli tylko tak mu się podoba.

Według Ospa to szaleństwo, ale z nikim nie mógł o tym porozmawiać. Nawet z Drabem.

A przecież zawsze byli nierozłączni, oni dwaj, Drabo i Ospó. Nawet ich imiona tworzyły jakby całość, „Drabiospó”, wymawiano je zawsze razem, bo tam, gdzie jeden, pojawiał się i drugi.

Prawdę powiedziawszy, to właśnie Drabo był tym, do którego na-leżała inicjatywa, on decydował, łapał zwierzęta do jedzenia, kierował podziałem łupów z kradzieży, leczył rany i wymierzał kary.

On, Ospó, ograniczał się jedynie do trzymania się blisko niego i przy-takiwania mu, co nie jest taką znowu błahostką, bo szefów mimo wszystko musi być zawsze dwóch, a więc jego obecność była ważna i nieodzowna. Tak ważna i nieodzowna, że Drabo wciąż musiał mieć Ospa u swego boku, nawet jak się pokłócili. Tak naprawdę to Drabo wszczął kłótnię. To było wtedy, gdy Ospowi umarł młodszy brat: Drabo się zezłościł i powiedział, że Ospó nie powinien był mu pozwolić umrzeć, powinien był mu dawać więcej do jedzenia, pomagać mu, pozwolić mu mniej pracować i mieć go stale przy sobie. Same brednie, bo w Domu dla Sierot obowiązywała taka sama zasada, jak u niego w domu: każdy sam dba o siebie, a tylko bogowie, o ile w ogóle istnieją, dbają o wszystkich. To wcale nie była jego wina, że brat był mały, głupi i dawał sobie zabierać kaszę. Od-bierania kaszy słabszym nikt nie zabronił. On, Ospó, sam też mu ją zabierał. W końcu był przecież jego starszym bratem.

Potem jednak, żeby znów przyjaźnić się z Drabem, chodził za nim krok w krok przez całą bzdurną podróż, której przewodził elf. Był

przy nim nawet wtedy, gdy grupa kawalerzystów Daligar w błyszczą-cych zbrojach otoczyła elfa, a ten ich odpędził.

To niesprawiedliwe, że teraz Drabo żyje sobie na własny rachunek. Właściwie to nawet nie tylko na własny, bo jest ciągle przy Cali. Stale przy elfie.

Nie chciał już nawet, by nazywano go Drabo. Mówił, że przypomina mu to Dom dla Sierot, o którym najwyraźniej chciał zapomnieć. Beka całkiem słusznie sądziła, że dzieci należy przywoływać krótkimi dźwiękami, tak samo jak psy, i skróciła jego pierwotne imię, Daren Aboil, czyli „Sokół Wzgórz” w języku ludzi z bagien północy, miejsca, z którego pochodził Drabo. Ta grymaśnica, Cala, też pochodziła z tego samego miejsca, z bagien północy. Jej imię brzmiało w rzeczywistości Cail Ara, czyli „Nów Księżyc”. Wywo-dzili się z tego samego miejsca, i to właśnie, to i tylko to, musiało być powodem, dla którego tych dwoje żyło teraz razem, bo niemoż-

liwe przecież, żeby ktoś taki jak Drabo mógł uznać za miłą taką nieznośną, małą grymaśnicę.

Za to on, Ospó, nazywał się tak, jak się nazywał - po prostu Ospó i tyle. Dobre imię, które kompletnie nic nie znaczy i służy tylko do tego, żeby ktoś, kto chce cię widzieć, mógł cię zawołać. Dlatego Beka nie musiała już nic skracać.

Juna też miała takie imię: nie znaczyło zupełnie nic i szybko się je wymawiało.

Imię Ospa wybrała jego matka: każdego syna, którego rodziła, nazywała pierwszym dźwiękiem, jaki wówczas usłyszała. Kiedy urodził

się on, panowała epidemia ospy, tak więc dostał imię Ospó, i tyle.

Jego przybycie do Domu dla Sierot nie było jakimś wielkim wydarzeniem: któregoś dnia rodzice stwierdzili po prostu, że zrobiło się w domu za ciasno, i to jego wybrano, by się stamtąd zabierał.

Brak towarzystwa Draba, czyli Darena Aboila, „Sokoła Wzgórz”, bezpowrotnie straconego, choć

znajdującego się parę kroków od niego, przy elfie i Cali, okazał się dla niego nie do zniesienia. To była udręka dużo większa niż głód i niespełnione marzenie o zostaniu starszym żołnierzem. Słyszał jego głos, który nie zwracał się nigdy do niego, i sprawiało mu to okropny ból. W głębi duszy wiedział, że tylko ze względu na obecność Draba nawet pełna robaków kasza Beki, w jego wspomnieniach, jawiła się jako pokarm bogów.

Ospo rozwiązał kawałek cennego sznura, którym się przepasał. To był jego sprzęt do wędkowania. Przyczepił do niego główkę mysikrólika i skierował się w stronę Skały Głupiego Orka czy też - jak nazywali ją niektórzy - Ostatniego Orka. Skała Głupiego Orka była bardzo mała, wznosiła się na środku zatoki i miała bardzo osobliwy kształt, jakby dwóch dużych stóp. Połączona była z cyplem, który zamykał zatokę od północy piaszczystą mielizną. Było to dobre miejsce do łowienia ryb. Znajdowało się na samym środku szlaku sargusów wypływających na otwarte morze, lecz mogło być niebezpieczne dla kogoś, kto nie potrafił pływać, ponieważ przyływ zatapiał je całkowicie, tak że lustro wody sięgało dużo ponad czubek głowy osoby przeciętnego wzrostu. Miejsce zawdzięczało swą nazwę Srakkiolowi, legendarnej postaci, bohaterowi obowiązkowo obecne-mu w każdej historii i balladzie o orkach. Temu, który miał być ostatnim orkiem, jedynym, jaki pozostał, gdy ród ludzi zdołał ich wszystkich wypędzić. Srakkiolo, okrutny ork, pełnił funkcję ofiary, zbierając mnóstwo cięgow i wychodząc pokonanym i oszukany ze wszystkich swoich przygód, jako że był bezsprzecznie tępy i pro-stacki. Srakkiolo miał wejść na skałę, by schwytać pierwszy promień wstającego słońca i następnie użyć go do oślepienia wrogów, a potem umrzeć w falach przyływu.

Ospo przycupnął na skale: nie było niebezpieczeństwa, przyływ zacznie się dopiero wcześniej rano. Rzucił linkę i czekał, że przy odrobinie szczęścia może złapie sargusa.

Niedaleko od niego kapryśny berbec siedział jak zwykle na ręku swego ojca. Ospo z całego serca zapragnął schwytać dziewczynkę któregoś dnia, kiedy nie będzie przy niej ani jej ojca, ani matki. Być może ze wszystkich jego marzeń to było jedyne, które wciąż jeszcze mogło się spełnić. Elf postawił na ziemi swoją córkę, która zdołała stanąć sama na nogach. Ospo spojrział na dziewczynkę i z całej siły zapragnął, by wpadła do tego przeklętego morza, które - jak wszyscy twierdzili - miało kolor jej oczu, i zniknęła w nim raz na zawsze.

Erbrow spoglądała na morze.

Jej tata podniósł głowę i morską bryza rozwiała jego włosy. Słońce zaplątało się w nie, przydając im blasku. Dziewczynka zaśmiała się, podobała jej się gra światła na włosach taty. Tata był silny, miał gładką twarz i jasne włosy, od których odbijało się słońce.

Mama była silna. Miała włosy czarne jak córka. Spływały falami i można było zanurzyć w nich twarz przed zaśnięciem. Tata pochodził

z rodu elfów i pachniał powietrzem oraz wiatrem. Mama pochodziła z rodu ludzi i pachniała morzem oraz ziemią, ale rankiem wszystkie zapachy mieszały się, bo w nocy tata i mama spali objęci i przytuleni do siebie. Ona, Erbrow, nosiła imię ostatniego smoka.

Świat był piękny. Morze co prawda miało kolor jej oczu, ale mogło ją zabrać, i dlatego nie wolno jej było zbliżać się do wody, chyba że z tatą i mamą, i teraz właśnie była tam z tatą. Ptaki latały po niebie ale dzieci tego nie umiały, nawet te, które nazywały się tak samo jak smok, i to była wielka szkoda. Za to dzieci umiały słuchać, kiedy ktoś opowiadał jakąś historię. Teraz jej tata opowiadał o sardelach. Piękną historię, jedną z tych, która uczy o różnych rzeczach.

-Rozumiesz - wyjaśnił Yorsh - nasz problem dotyczy dostępu do jedzenia - chodzi o to, by było ono dostępne łatwiej i ciągle.

-Papu - powiedziała Erbrow, wskazując palcem sardele.

- Oczywiście, maleńka - potwierdził jej tata - sardele się je. I też soli. Musimy wymyślić, jak odbudować warzelnię soli. To są takie zbiorniki, w których umieszcza się wodę z morza, aby uzyskać z niej sól. Rozumiesz? Gdybyśmy mieli soli pod dostatkiem, moglibyśmy zasalać sardele latem, kiedy dużo ich wylawiamy, tak aby mieć je potem w zimie, kiedy fale są wysokie i morze spycha nas daleko od brzegu. Sądzę, że warzelnie znajdowały się pomiędzy cyplem a stawami, tam zostały ślady po dużych, kwadratowych zbiornikach.

Erbrow spojrzała na odcinek między dużym cyplem a stawami, pod wodospadem rzekł Dogoń. Zobaczyła duże sosny, których korony rozpościerały się jak ogromne zielone chmury, zarośla oraz kolczaste drzewka figowe. Wszystko było zielone i błękitne, z wyjątkiem skrzydeł czapli i mew. Nagle wszystko stało się białe. Wielkie zbiorniki odbijały niebo i przeplatały się z kwadratami olśniewającej bieli. Były tam domy, do których przyczepiono coś jak skrzydła wielkiej czapli, i Erbrow zrozumiała, że służyły do przenoszenia wody za pomocą siły wiatru. Ich obraz utrzymywał się przez kilka chwil, a potem tak samo jak obraz kwadratów wody, w których domy się odbijały, zadrżał i zniknął.

Erbrow odwróciła się do taty i przytaknęła: wiedziała już, czym były warzelnie soli.

Elf Yorsh zamilkł. Starał się zrozumieć, jak przebiegają prądy w zatoce oraz jak i dlaczego

przemieszczają się ławice sardeli. Stawiając sieci na początku kanału pomiędzy najmniejszą z wysepek, które znajdowały się naprzeciw zatoki a cyplem zamykającym ją od południa, mogliby złowić wystarczająco dużo ryb, by wszyscy byli syci, i mieliby wystarczająco dużo czasu, by poświęcić się również innym czynnościom. Naprzeciw cypla Astrid, tego, który zamykał zatokę od północy, znajdowało się sześć małych, zieloniutkich wysp ze względu na swój kształt nosiły one nazwy: Płaska, Dziurawa, Stołowa, Kozia, Krowia i Bycza. Na początku ich pobytu na plaży Yorsh szybko je przeszukał. Ograniczył się wtedy, z trudem stawiając czoło silnemu prądowi, do dotarcia do ich plaż i nadbrzeżnych skał. Rzut oka wystarczył, by stwierdzić, że nie żyło tam nic przydatnego. W tamtych czasach Yorsh był jedynym pływakiem wśród przybyłych, choć słowo „pływanie” nie opisuje trafnie tego, że umiał wyobrazić sobie, że jest rybą, oraz zachowywał się jak ona w wodzie. Teraz wielu innych też potrafiło pływać, więc gdyby mieli wracać na wyspy, mogliby to zrobić.

-Jeśli złapałibyśmy wystarczająco dużo sardeli, uniknęlibyśmy także zjadania mysikrólików przez niektórych - dodał, spoglądając posępnie na koślawą sylwetkę Ospa, który skakał sobie po plaży. -

W ten sposób unicestwiają wspaniałe stworzenia, nie zaspokajając swojego głodu.

-Nie be cip cip.

-Nie krzywdzi się ptaszków. Kury to ptaki, które można jeść.

-Cip cip papu.

-Tak, kura to ptak do jedzenia. Widzisz, nie żeby kury nie my-

ślały, biedne istoty, ale nie latają, a jedną kurą naje się co najmniej sześć osób. To słuszne, że ludzie jedzą inne istoty, aby dziecko nie cierpiało głodu, sam, własnymi rękami, gotów jestem ukreślić główkę mysikrólikowi, lecz za każdym razem, gdy mamy taką sposobność, powinniśmy godnie traktować innych mieszkańców tego świata i dokonywać wyborów, które powodują jak najmniejsze cierpienie. Nie możemy osiągnąć dobra absolutnego, więc naszym celem jest czynić jak najmniej zła.

-Cip cip nie papu. Cip cip nie be - zgodziła się Erbrow.

-Tak. Ptaszków się nie je. I nigdy się ich nie krzywdzi. Nie zabija się mysikrólików, zwłaszcza jeśli żyje się w miejscu pełnym rogowców i sardeli.

Yorsh podniósł się i stał przez chwilę na skałach, w owiewającej go bryzie, w świetle słońca odbijającego się w wodzie. Spojrzał na ich dom, jego i Juny, najbardziej wysunięty na zachód. Był tak bardzo szczęśliwy, że odniósł wrażenie, iż światło przechodzi go na wskroś

- czuł się nim wręcz przepelniony.

Potem popatrzył na Ospa, wspinającego się na Skałę Głupiego Orka nieopodal i z powrotem odwrócił się, by popatrzeć na jasne sardele.

Nagle światło zbladło i dziewczynka poczuła coś jak ostrze lodu.

Podniosła oczy ku niebu, gdzie nadal świeciło słońce, a potem spojrzała na szczyty drzew, nieruchome, bo wiatr ucichł. Rozejrzała się i wreszcie zrozumiała. To nie chłód był przyczyną, a nienawiść.

Nienawistny człowiek znajdował się parę kroków od niej. Stojąc na Skale Głupiego Orka, próbował łapać ryby na swoją sprutą z ubrania nitkę. Obrzucił jej tatę złowrogim spojrzeniem, takim samym jak zwykł obrzucać jej mamę, lecz było ono niczym w porównaniu z najczystsza nienawiścią, którą żywił do niej.

Mężczyzna odwrócił się i jego spojrzenie przeszło dziewczynkę.

Było straszne. Ten człowiek nigdy nie patrzył tak, jeśli jej tata lub jej mama mogliby to zobaczyć, lecz wtedy, gdy mogła to dostrzec tylko ona. To spojrzenie oznaczało, że stanie jej się coś złego, gdy taty albo mamy zabraknie w pobliżu.

Erbrow zachwiała się.

Straciła równowagę. Spróbowała chwycić rękę taty, który w tej samej chwili zbliżył się do krawędzi skały, by obserwować sardele, i nie dosięgła jej. Wpadła do wody. Poczwała, jak woda wpływa jej do oczu, nosa i ust. Nawet wtedy nie wypuściła z rąk swojej lalki.

Serce Yorsha na moment zamarło. W chwilę potem był w wodzie. Mała nie umiała pływać.

Niedługo po tym, jak przybyli na tę plażę, Yorsh poprowadził lekcję pływania dla Juny, objaśniając jej sprawę „delfinowości”, czyli intensywnego myślenia o byciu delfinem, lecz ona najwidoczniej nie do końca pojęła, o co chodziło. Po wypiciu ogromnej ilości morskiej wody w końcu odważyła się i spróbowała ruchów podobnych do żabich, które umożliwiały jej utrzymanie głowy nad powierzchnią i oddychanie. Nauczyła potem tej techniki wszystkich innych i wkrótce tylko Ospos oraz najmniejsze dzieci nie potrafili pływać.

Zarówno Yorsh, jak i Juna zdawali sobie sprawę, że nie zawsze łatwo u młodego elfa rozróżnić, które z jego umiejętności właściwe są tylko jemu, a które rasie ludzkiej. Tak więc w obawie przed pomyłkami i narażeniem Erbrow na niebezpieczeństwo, gdyby na przykład przypisali jej mylnie pewne elfickie moce, ustalili, że to Juna nauczy ją pływać, jak tylko mała trochę podrośnie. Ponieważ żyli na plaży, zdarzyło się już, że Erbrow wpadła do wody, konsekwencją były głośne ataki kaszlu i płacz. Dlatego Yorsh stwierdził, że tylko technika mamy mogła uratować ją w morzu.

Chwytnąjąc dziewczynkę, Yorsh pomyślał o byciu delfinem, a potem wyciągnął ją na powierzchnię. Wszystko trwało zaledwie chwilę.

Erbrow wybuchnęła śmiechem jak szalona. Nie zakaszłała i nie przetarła oczu, które szczypały, bo cały czas miała je otwarte.

-Ecie - powiedziała rozradowana.

-Jeszcze? - spytał Yorsh.

-Ecie - potwierdziła mała.

Yorsh zrozumiał. Trzymając ją mocno za rękę, pozwolił jej pozostawać pod wodą. Erbrow rozejrzała się roześmiana, wskazała gwiazdę morską na dnie, a potem ruszyła w stronę małej kałamarnicy, maskującej się na pobliskiej skale. Stworzenie uciekło przerażone, pozostawiając za sobą smugę atramentu.

Mała czuła się w wodzie jak delfin. Yorsh znów wziął ją na rękę, a ona nie przestawała się śmiać. Przypomniawszy sobie, że gdy wcześniej wpadała do wody, nigdy jej nie dotykał. Być może dotyk wystarczał, by mógł jej przekazać swą moc. Z Erbrowem, gdy ten był małym smokiem, też porozumiewał się przez dotyk. Jego córka musiała odziedziczyć jego magię, w całości lub choć częściowo.

- Uważaj, maleńka - powiedział łagodnie - my mamy płuca, nie skrzela. Możemy zejść tak głęboko, jak chcemy, lecz potem musimy wrócić na powierzchnię, by złapać oddech.

-Puff?

- Tak, właśnie, puff, oddychać.

Yorsh pozwolił jej wrócić do wody. Co jakiś czas wydobywał dziewczynkę na powierzchnię, by nabrała powietrza, dopóki nie upewnił

się całkowicie, że Erbrow wszystko zrozumiała.

Kiedy wpadła do morza, woda dostała się jej do ust oraz nosa i przerwała jej oddech. Dziewczynka widziała tylko cienie. Wszystko było zimne. Już miała się rozplakać. Potem tata ją chwycił i oddech powrócił, zimno minęło, oczy znów zaczęły widzieć tak, jak widziały zawsze: mogła rozróżnić, każdą nitkę swojego ubranka. W

wodzie nienawiść tego człowieka rozpuściła się i odeszła. Morze nie mogło pozbawić ją życia. Dopóki chroniło ją, spojrzenie nienawistnego człowieka nie było w stanie jej dosięgnąć, mimo że był on niedaleko. Tata tego nie rozumiał, bo nienawiść, którą człowiek żywił także do niego, była mała, a tata duży. Poza tym nienawiść jest jak wiatr: dużych osób nie powali. To tylko dzieci trzeba brać na ręce, bo inaczej upadną. Erbrow nie była już bezbronna. Nienawistny człowiek nie umiał pływać: mogła uciec tam, gdzie on nie mógł jej dosięgnąć.

Erbrow zdołała powiedzieć swojemu tacie, że chce jeszcze zostać w morzu, i na szczęście jej pozwolił. Wytłumaczył, jak powinna oddychać, tak jakby ona tego nie pojmowała, i po trochę głupiej zaba-wie, kiedy musiała pływać w górę i w dół, tam i z powrotem, wreszcie pozwolił jej pływać samej. Zaczęła wówczas uciekać, najszybciej jak tylko potrafiła, daleko od nienawistnego człowieka i jego oczu.

Morze było ogromne, piękne i zupełnie inne niż świat na ze-wnątrz. W dodatku tutaj potrafiła latać. Rozpostarła ramiona i poszybowała pośród słonej wody, która ją podtrzymywała i otulała.

260

Napotkała grupę maleńkich ryb, w tak olśniewająco granatowym kolorze, że wydawało się, iż świeciły.

Dojrzała skalną ścianę, całą pełną dziwnych kwiatuszków, żółtych niczym zachodzące słońce, a te pozdrowiły ją z dworską uprzejmoś-

cią, zamykając swe płatki w pąki.

Trafiła na łąkę wysokiej trawy, jakiej nigdy wcześniej nie widziała, nad którą unosiła się ławica ryb w zielone i złote paski, lśniące jak słońce.

Przemknęła pod fioletowymi drzewkami, które otwierały się jak wachlarz, ponad białymi krzakami, pełnymi kwiatów, a te również witały ją, zamykając swe płatki.

W końcu dotarła do zielonej wyspy z mnóstwem małych ptaków w gniazdach, gdzie spotkała złowrogie stworzenie pożerające niewinność.

Mała nie chciała nawet słyszeć o pozostaniu u niego na ręku.

Chciała z powrotem bawić się w wodzie. Wymknęła mu się, szybka jak mała rybka, i znów zanurkowała. Pofrunęła przez wodę, rozpościerając ramiona niczym te leśne wróblowate ptaki, potem nauczyła się przemieszczać dzięki zdecydowanemu ruchowi złączonych nóg, tak samo, jak robił to Yorsh. Była szybka jak on. Tata pozwolił jej zejść pod wodę, żeby pobawiła się z ławicą młodziutkich chromisów, błyszczących mocnym błękitem, od którego odbijało się światło. Kiedy Erbrow znudziła się rybkami i odpłynęła, Yorsh podążył za nią, lecz niełatwo było ją złapać. Była nieduża, więc bez problemu przepłynęła pod ciasnym łukiem między skałami, zbyt wąskim dla Yorsha, który musiał zawrócić i popłynąć okrężną drogą wokół wielkiej podwodnej rafy. Kiedy wreszcie dotarł na drugą stronę, małeńka była już daleko między źdźbłami trawy morskiej, które falowały leniwie w wodzie, podzielone ogromnymi głazami.

Skały występowały coraz gęściej, coraz bardziej zacienione przez białe i fioletowe wachlarze dużych gorgonii, które otwierały się, gdy tylko Erbrow podpływała bliżej. Promienie światła, które przeciskały się między nimi tworzyły sploty sklepień i łuków.

Ośmiornice na widok dziewczynki zamykały gwałtownie swoje ma-cki. Przed Yorshem pojawiła się ściana sargusów i sardeli, których srebrna poświata ukryła na moment dziewczynkę. Kiedy ją zobaczył

wyprowadził z powrotem w stronę powierzchni, by mieć ją blisko 262

siebie, gdy znów pojawiłaby się potrzeba zaczerpnięcia powietrza.

Mała pozostała jeszcze na niewielkiej głębokości, by popatrzeć na małeńką langustę, potem wreszcie wyłoniła się z wody.

-Papu? - spytała zainteresowana.

-Trudno powiedzieć - odparł jej ojciec, przyglądając się niepewnie małej langustce. - Nie sędzę, ma doprawdy zbyt dziwaczny kształt.

Yorsh rozejrzał się dookoła. Znajdowali się na plaży Wyspy Stołowej, największej z wysp leżących naprzeciw zatoki.

Yorsh właśnie nauczył się kolejnej rzeczy, o której nie mówiły ani stare pergaminy, ani książki: prąd morski nie jest wszędzie taki sam, może być bardzo silny na powierzchni i jednocześnie nie ma go już na niewielkiej głębokości. Autorzy prac z zakresu morskiej geografii najwidoczniej nigdy nie zapuścili się w pogoń za salpami, pomiędzy sargusy, ponad dywany morskiej trawy, i nie mieli nawet pojęcia, co stracili.

Wyspa tonęła w zieleni, całkowicie pokryta janowcem, i krzakami mirtu. Była wysokim płaskowyżem, od którego wzięła się jej nazwa.

Tym razem Yorsh postanowił przeszukać wyspę, aby dać swojej cór-ce czas na odpoczynek i rozgrzanie się, zanim przyjdzie jej ruszyć w drogę powrotną.

Wziął Erbrow na ręce i wyruszył. Zaczął się wspinać wschodnią ścianą, która wydała mu się najmniej urwista, i dotarł na spłaszczony szczyt. Na samej górze odwrócił się, by spojrzeć na zatokę Erbrow. Widok zaparł mu dech w piersiach: widziana z daleka, z wysokości, zatoka naprawdę przypominała smoka, wielkiego smoka wyciągniętego w drzemce. Ujrzał domy rozsiane między plażą, a dużym cyplem i rozpoznał wśród nich także swój. Zbudowali je wszystkie, piętrząc na sobie kolejne kamienie, wygładzone kawałki skał, pniaki drzew powalonych przez wiatr, drewno wyrzucone na brzeg przez fale i wygładzone przez morską wodę. Rezultat ich pracy stanowiły krzywe, ale solidne ściany, koślawe drzwi, które pozbawione zawiasów, niedokładnie zamykały wejścia, ale za to całość upiększały skomplikowane arabeski z muszelek, kolorowych kamyków, szyszek i szkielecików jeży morskich. Domy odcinały się swoimi jasnymi kolorami, od szarości po róż, na tle lśniącego błękitu morza i bujnej zieleni cyplów porośniętych janowcem i sosnami.

Zarośla porastały brzegi słonawych stawów, które wdzierały się na plażę w miejscu, gdzie Dogoń, opadając wspaniałym wodospadem, mulił piasek i zasilał moczary. Nawet z tej odległości widać było duże szare czaple i małe czaple białe, które walczyły o żaby w płyt-kiej wodzie. Zatoka była tak bogata, bujna i kwitnąca, praktycznie pełna pożywienia, że nawet oni, żałosna zbieranina uciekinierów i obdartusów, pośród których na każdego sprawnego dorosłego przypadała czwórka dzieci i chorych, gdy ich jedynym wspólnym mieniem były dwie motyki i dwie siekiery, zdołali tu przeżyć, a nawet rozwinąć się.

Choć często to roztrząsał, Yorsh nadal nie rozumiał, jakim cudem to miejsce przed ich przybyciem mogło być niezamieszkane.

Zdrowy rozsądek i książki historyczne ze starej biblioteki, gdzie spędził trzynaście lat swojego życia, w tej kwestii mówiły stanowczo: niezamieszkane miejsca albo zostały spustoszone i są niegoś-

cinne niczym klatka pełna skorpionów, albo są zagrożone jakimś ogromnym niebezpieczeństwem. Taki los spotkał Yernish, mityczną Ziemią Gryfów, istot przepędzonych z niej za sprawą inwazji chimer, które zostały z kolei wybite podczas krwawej wojny przeciw harpiom, wymarłym za to z powodu legendarnej suszy z czasów drugiej dynastii runicznej. Potem Yernish została zatopiona przez deszcz padający nieustannie czterdzieści dni i czterdzieści nocy.

Następnie w okolicy pojawili się nomadowie, którzy założyli miasto karawaniarzy zwane Lakkil, co w lokalnym języku oznacza „fortuna”.

-Budzi moje podejrzenia fakt, że to miejsce było niezamieszkane przed naszym przybyciem. Obawiam się, że kryje się za tym jakieś niebezpieczeństwo.

-Be - powiedziała dziewczynka.

- Właśnie, niebezpieczeństwo to coś, co wyrządza krzywdę.

Yorsh nadal spoglądał na plażę. Od północy wielka zatoka opierała się o cypel Astrid, a od południa

zamykała ją bardzo wysoka skała, pionowa i niedostępna, która na szczycie gościła dorodną kolonię orłów morskich. Te silne i dumne ptaki rzucały się w fale, by po chwili wyłonić się z dużymi rybami w szponach. Spojrzenie orłów, śmiałe i przenikliwe, nie przypominało spojrzenia żadnego innego zwierzęcia.

Potem Yorsh rozpoznał w plaży kształt Erbrowa, jego brata smoka, wyciągniętego w słońcu: północny cypel to była jego głowa, cypel południowy tworzył ogon, korpus stanowiła duża i zielona skała w kształcie łuku, a wodospad znajdował się w punkcie, w którym skrzydła łączą się ze sobą na grzbiecie śpiącego zwierzęcia.

- Erbrow! - krzyknął wzruszony.

Myśląc, że ją zawołał, dziewczynka objęła go, kładąc mu główkę na piersi, potem zaczęła przebierać nogami, by opuścić ją na ziemię.

Yorsh pocałował jej włosy i pozwolił iść. Wydawało się, że nie grozi jej tu żadne niebezpieczeństwo. Setki białych kuropatw pisklętami na ich widok poderwały się do lotu, zasłaniając niebo. Ich gniazda leżały na gołej skale, z jajami albo bezbronnymi młodymi, z czego Yorsh wywnioskował, że na wyspie nie mogło być żadnych drapież-

ników: ani węży, ani gryzoni.

-Nie dotykaj gniazd ani jaj - przykazał Erbrow, która patrzyła zafascynowana na pisklęta.

-Cip cip nie be - przytaknęła.

Kierował się właśnie na północ, gdzie - jak mu się zdawało - widział

jakieś jaskinie pośród krzaków, kiedy przywołał go głos Erbrow.

-Cip cip papu be - stwierdziła stanowczo.

-Chora kura? - przetłumaczył Yorsh, zdziwiony. - Jesteś pewna?

-Cip cip papu be - powtórzyła mała.

Wskazała miejsce pod ich nogami, małą, częściowo zakrytą przez czarny bez jamę, gdzie znajdowało się coś dużego i białego. Yorsh podszedł bliżej: to była bez wątpienia najtłustsza kura, jaką kiedykolwiek widział. Pokrywały ją wspaniałe białe pióra, w srebrzystych i błękitnych barwach, które błyszczały nawet w półcieniu. Mający tak piękne, błyszczące upierzenie ptak wydawał się cierpieć. Może jednak był tylko wystraszony ich obecnością: musieli być pierw-szymi, którzy od niepamiętnych czasów postawili stopę na wyspie.

Stworzenie wcisnęło się w kąt i usłyszeli ostre błagalne jęki, które skruszyłyby najtwardsze serce.

-Cip cip papu? - spytała Erbrow.

-Nie wiem - szepnął Yorsh - nie jestem do końca pewien, czy to kura. Jest za duża, a poza tym kury nie jęczą. I to upierzenie... Zapewne jęczy, bo jest ranna. Może da się ją wyleczyć.

-Papu! - stwierdziła Erbrow z przekonaniem. - Papu! - powtórzyła.

Yorsh nie wiedział, czy mała była głodna, czy też chciała zjeść dziwną kurę, bo nie mogła znieść jej zawodzenia.

-Jak śmiecie, o nieszczęśni? - spytała kura.

-To nie jest kura, kury nie mówią - stwierdził stanowczo Yorsh.

-Cip cip nie papu? - skomentowała Erbrow, niezmiernie rozczarowana.

-Uskarżacie się, bo cierpicie na chorobę, czy dlatego, że jesteście ranna? - spytał Yorsh ze współczuciem. - Wasz jęk rozdziera serce: jeśli jest cokolwiek, co mógłbym zrobić, by wam ulżyć...

-Mój panie - powiedziało rozsierdzone stworzenie - śpiew mój do najszlachetniejszych należy, jakie tak pod tym nieboskłonem, jak i pośród bogów świata całego usłyszeć można.

-Musiało nam to umknąć - mruknął Yorsh.

-Jak śmiecie spokój mój zakłócać, przybysze nieoczekiwani, nie-proszeni i nieokrzesani. Ja śpiewem mym wzniosłym was przyjęłam, a wy w sposób tak niegrzeczny mi odpowiadacie! Całe poematy śpiewy moje opiewały! O biada, jak nisko świat ten już upadł. Dzień dzisiejszy i tak już nadzwyczaj jest ponurym, gdyż nie posiadam ja, wygnana w to miejsce dzikie i nieprzyjazne, lustra żadnego, a zatem pewności nie mam co do tego, jak pióra me się prezentują ani ile

srebra pośród nich błyszczy jeszcze! Cóż za nieszczęście, cóż za cięż-

zar dla mej świadomości, ów strach... co też ja mówię? ów lęk, co też ja mówię? owo przerażenie, które na myśl, że upierzenie moje już rzednie i że czubka głowy mej nie sięga, odczuwam...

Yorsh był zdezorientowany, ale i wzruszony. Bez wątpienia odnalazł feniksa, co więcej: samicę feniksa. A więc to nieprawda, że smoki doprowadziły do ich wyginięcia.

-To feniks. To samica feniksa - powiedział Yorsh, wzruszony. -

Starożytne i niezwykle kiedyś cenione stworzenie! Feniks!

-Papu! - powtórzyła Erbrow z uporem.

Nikt nigdy nic nie rozumiał.

Bywały dni, że nawet jej tata nic nie rozumiał! Nie chciała powiedzieć, że to chora kura, tylko że jest to kura, która krzywdzi.

Nie tak jak nienawistny człowiek, którego spojrzenie było zimne jak lód i mroczne jak ciemna noc.

Kura odbiera radość, chęć śmiechu. Wszystko brudzi.

Pewnego razu mama pokazała Erbrow, wielkiego robaka, który żyje w stawach blisko wodospadu i nazywa się pijawka. Jeśli uda mu się do kogoś przyczepić, pozostaje tak przyssany i wysysa z niego wszystko, co się da.

Ta, którą jej tata nazywał „samicą feniksa”, była jakby pijawką i nie zatrzyma się, dopóki nie zniszczy wszystkiego, co ma przed sobą, a teraz byli to oni.

A co najgorsze, samica umiała mówić.

Erbrow nie chciała powiedzieć, że mogliby ją zjeść, ale że to ona zje ich. Nie ich ciała, ale to, co było wewnątrz nich.

Zła kura zjadała radość.

Pożerają wzajemną miłość.

Wywoływała klótnie i złe myśli, i co gorsza, nawet gdy już jej się to udało, wcale nie stawiała się mniej zawistna.

Jedynym dobrym rozwiązaniem było zostawić ją tam, gdzie ją znaleźli, i uciec najszybciej, jak tylko można.

To byłoby dobre rozwiązanie, ale prędzej czy później ktoś inny natknie się na tę ogromną kurę i ona go zniszczy. Może właśnie dlatego jej tata ciągle jeszcze stał przed nią.

Yorsh pomyślał, że dziewczynka musiała być naprawdę bardzo głodna. Nigdy nie przyszłoby mu do głowy, że Erbrow mogłaby wykazać się aż taką nieuprzejmością, by nie rzec okrucieństwem, aby chcieć zjeść stworzenie obdarzone mową, choćby nawet wyglądało jak kura.

-Pani - powiedział - brak mi słów. Niezmiernie tym strapiony, wierzyłem, że wasz gatunek wyginął. To nieskończenie wielka radość dla moich oczu widzieć was żywą...

-Nie wygadujcie bredni, nierozumny młodzieńcze. Feniksy żyją, nader liczne, silne i dumne, po drugiej stronie bezkresnego morza.

Jam jedyna pozostała, to prawda, po tej stronie oceanu rozległego i głębokiego, gdyż smoki złowrogie zaciekle nas zwalczały, a kilka nawet z rozmarynem zjadły.

-Wydawało mi się, że z liśćmi laurowymi - mruknął Yorsh, na szczęście szum fal zagłuszył jego słowa.

-Cip cip papu? - pytała uparcie Erbrow.

-O co spytało pacholę? - zapytała rozdrażniona samica feniksa, obrzucając małą pogardliwym spojrzeniem.

-Spytała, czy jesteście kurą - odparł oschle Yorsh.

-Panie! Jak możecie tolerować takie barbarzyństwo?

-Za waszym pozwoleniem, pani, nie wydaje mi się to takie straszne.

Moja córka to małe dziecko, jej umysł ujmuje wszystko na zasadzie podobieństw. Kiedy natyka się na nieznaną pojęcie lub obiekt, szuka podobieństw z tymi, które już zna. Zna kury, a was nie, i dlatego próbuje włączyć was... Samica feniksa nie dała mu dokończyć.

- Czy mogłabym wiedzieć, młody paniczu - spytała i wyniośle

- jakież to imię stoi za całą waszą prostacką uprzejmością?

-Yorshkrunsauarkjolnerstrink - odparł Yorsh, rezygnując z wyjaśnień i lekko się kłaniając. - Do waszych usług - dodał rycersko, by wreszcie zakończyć prezentację.

-Aaaa - powiedziała samica feniksa. - Doprawdy? Interesujące.

Zatem ostatni i najpotężniejszy z elfickiego rodu. Wasze imię otrzymaliście tak ot, bo jakieś dostać musieliście, czy też naprawdę ustalone zostało, iż to wy macie ostatnim być z waszego rodu i najpotężniejszym i obdarzonym mocami?

-To nieprzypadkowe imię.

- Ostatni - samica feniksa, której nieuprzejmy głos stawał się coraz bardziej piskliwy i pogardliwy, znów się odezwała. - Nadzwyczaj przykra musi być rola ostatniego z rodu, który nie potrafił nawet zapobiec własnemu wygaśnięciu. Pożałowania godne. Tak przy spo sobności, skoro jesteście ostatnim, jak to możliwe, że macie córkę?

Chyba nie pomieszaliście swej krwi z... wybaczenie, w mej wielkiej szczodrobliwości i nieskończonej dobroci nie przepadam za byciem brutalną i teraz nie śmiem nawet tego wypowiedzieć: z ludzkimi stworzeniami? Sama już myśl o tym wstrząsa mną do głębi...

- Pani - odparł Yorsh z całą uprzejmością, na jaką było go stać

- dostąpiłem zaszczytu poślubienia takiej istoty, że nie do pomyśle nia byłoby znaleźć lepszą, i radość płynąca z tej pewności wypełnia każdą najmniejszą cząstkę mego jestestwa, rozświetlając swym blaskiem nawet chwilę zawarcia znajomości z wami, której nie zapa miętam bynajmniej jako jednej z najpiękniejszych w moim życiu.

Nie ważcie się nigdy więcej, ani w mej obecności, ani gdziekolwiek indziej, uchybić mojej małżonce lub mojej córeczce. Jeśli zaś chodzi o kwestię przetrwania rodów, pani, to nie wiem, jak się ma sytuacja po drugiej stronie „oceanu rozległego i głębokiego”, lecz tutaj, wybaczenie moją szczerość, ale tutaj feniksy też nie występują bynajmniej w nadmiarze.

Riposta z pewnością nie należała do najuprzejmiejszych. Feniks zareagował serią lamentów i była to tak skrzekliwa kakofonia, że w porównaniu z nią nawet tak zwany „śpiew”, który słyszeli wcześniej, zdawał się pełen dostojęstwa i wdzięku,

Yorsh był dezorientowany. Nie pierwszy raz w życiu odkrywał

poważną różnicę między rzeczywistością a książkami. Wiele razy natykał się na opisy dotyczące cudownych feniksów, ich inteligencji, piękna ich śpiewu, siły ich skrzydeł. Smok Erbrow, skądinąd wspania-

łe stworzenie, mówił o nich jak o ptasich mózdkach i bez wątpienia był to trafny opis. Czasami Yorsh odnosił wrażenie, że w książkach można było odnaleźć zarówno prawdę, jak i jej całkowite przeciwień-

stwo. W pewnym starym rękopisie, rzekomo spisany przez samego władcę, znalazł opis sir Arduina jako orka wysokiego na siedem stóp, a raz zdarzyło mu się znaleźć książkę, w której osły miały na sobie białe i czarne pasy, a oprócz tego była tam jakaś nieprawdopodobna krowa w kropki, z bardzo długimi nogami i takąż szyją.

-Dobrze, moja pani, przepraszam was zatem za kłopot, jaki sprawiliśmy. Zaszczycem było móc was poznać...

-Cip cip papu - syknęła Erbrow uparcie.

-Zaszczytem było móc was poznać - powtórzył cierpliwie Yorsh, spoglądając surowo na małą - ale teraz już się pożegnamy, by dłużej nie narzucać wam...

-Panie! - zawołała samica feniksa. - Ogarnęło mnie absolutne zdumienie. Jestem do głębi wstrząśnięta i zaskoczona waszym po-stępowaniem, które uważam za pozbawione wszelkiej uprzejmości. Zastanawiam się, jak wy, przy takim braku przyzwoitości, możecie nazywać siebie samego przynależącym do rodu elfów?

-Pani - odpowiedział Yorsh - nic nie rozumiem. Odnieśliśmy wrażenie, że się naprzykrzamy, a więc nie wydaje nam się, byście mieli tęsknić za naszą obecnością...

-Nie mogę uwierzyć, że odchodzicie teraz, pozostawiając mnie tutaj na pastwę mej okrutnej samotności, w mej gorzkiej pustelni, mej żalosnej samotni, na tej skale zapomnianej przez bogów i ludzi. Ja w moim wieku...

-Pani - odparł znów Yorsh - wyjaśniliście mi, jak bardzo niemile widziane jest nasze zjawienie się, a więc rezygnujemy z rozkoszy, jaką byłoby niewątpliwie dalsze podziwianie waszego upierzenia, i wracamy na naszą plażę.

-Panie, cóż za złośliwość wypominać mi słowa przeze mnie wypowiedziane w chwili przygnębienia wielkiego, któreście sami byli wywołali - nalegał feniks coraz bardziej piskliwym głosem.

-Złośliwość istotnie niesłychana - potwierdził Yorsh. - Rzekłbym: nieznośna. Jakże nie przyznać wam racji? Radością będzie dla was, jak pozbędziecie się naszego towarzystwa, więc skróćmy tę wizytę, pani. - Yorsh pożegnał ją głębokim ukłonem, wziął swoją córeczkę z powrotem na ręce i odwrócił się, by odejść.

Zamyślił się przez chwilę nad tym, że istota obdarzona życiem i rozumem nie powinna nigdy chełpić się absolutną pewnością czegokolwiek. On był zawsze święcie przekonany, że po trzynastu latach spędzonych w towarzystwie wysiadującego jajo smoka, może uważać się za wcielenie cierpliwości. Był zawsze najzupełniej pewny, że wysiadujący jajo smok może być uważany za absolutne wcielenie głupiej nieżyczliwości, męczącej zawziętości i żalosnej arogancji. Towarzystwo samicy feniksa, choć krótkotrwałe, uświadomiło mu, że on i smok nawet kiedy mieli siebie serdecznie dosyć, byli tylko dwoma nieopierzonymi amatorami we wszystkich powyższych kwestiach.

Piskliwy głos feniksa znów zabrzmiał.

-Pani, nie rozumiem, czego oczekujecie - dodał Yorsh, w duchu myśląc, że wręcz przeciwnie: wszystko doskonale zrozumiał już na początku rozmowy.

-Panie - odparł jadownicie feniks - bogów wzywam na świadków, że poważanie moje dla intelektu waszego istotnie nie jest osobliwie duże, lecz nawet wy powinniście byli zrozumieć, że nie jest mym pragnieniem pozostać samotnie na tej skale przez kolejne stulecia.

Ergo, postarajcież się znaleźć jakiś sposób, by moja olśniewająca acz delikatna postać mogła opuścić to miejsce bez żadnego uszczerbku.

-Zabrać was z nami? Ależ pani, ta piękna wyspa to wasz dom, wasze niezaprzeczone królestwo: odmawiam uprowadzenia was z miejsca tak uroczego, gdzie wasza osoba może pozostać bezpieczna i nietknięta. Zabierając was ze sobą, musielibyśmy narzucić wam nasze bardzo przykre towarzystwo, nie mówiąc już o innych ludziach, z którymi dzielimy życie, a którzy są jeszcze gorsi od nas, bardziej nieuprzejmi, bardziej drażniący. My dwoje, moja córka i ja, jesteśmy ze wszech miar najbardziej uprzejmi, a więc pomyślcie, jacy dopiero są inni! Pozostańcie tutaj, my nie jesteśmy godni waszego towarzystwa.

-Cip cip nie papu my - dodała z rozpaczą Erbrow. - Cip cip papu my be.

- Co wymamrotało to, powiedzmy, jakby pacholę?

Yorsh znów potrzebował chwili, by odpowiedzieć.

Kolejny pewnik, a mianowicie, że nigdy w życiu nie doświadczy ochoty, by kogoś spoliczkować, właśnie przestał istnieć.

-Moja wspaniała córeczka wyraziła życzenie, by nie przeciągać tej wizyty, oraz obawę, że wasze towarzystwo mogłoby okazać się dla nas niefortunnym. Nim podniesiecie lament, pani, informuję was, że nie sposób wymagać uprzejmości od dzieciątka poniżej trzech lat, a Erbrow ma ich dwa. Innymi słowy, mówi zawsze to, co myśli. A zatem jeśli uznacie cokolwiek z tego, co mówi, za mało przyjemne, jedynym, co możecie zrobić, to zmienić wasze zachowanie tak, aby jej opinia na wasz temat uległa poprawie.

-Panie, zgadzam się, że w wypadku dziecka, a do tego po części ludzkiego, czyli sumy wszelkich niedoskonałości, oczywistym jest, że nieznanne są jej również podstawy dobrego wychowania, lecz jeśli pamięć mnie nie myli, doskonałe i niezawodne są metody oduczenia w krótkim czasie niestosownych zachowań zarówno dzieci, jak i szczeniąt.

Yorsh zmierzył samicę wzrokiem mówiącym, że nie ma już wcale pewności co do tego, że nigdy w życiu nie zapragnie nikogo udusić

- jego cierpliwość wyczerpała się.

- Pani - zaczął lodowatym tonem, sam dźwięk jego głosu zadziwił

go, przecież nigdy nie używał takiego tonu - nie ośmielajcie się nigdy więcej... żeby nigdy więcej was....

Przerwał mu wybuch płaczu przepełnionego tak rozdzierającą udręką, że Erbrow zatkała sobie uszy. W głosie feniksa nie było już żadnego skrzypienia ani zmartwienia tylko bezgraniczny smutek z powodu okropnej samotności, wiecznego i beznadziejnego opuszczenia.

- Panie! Bądźcie życzliwi! Bądźcie wielcy, bądźcie godni waszego imienia; zabierzcież mą skromną osobę z wami, na ziemię. Bądźcie godni waszego rodu. Bądźcie wyrozumiali. Jak możecie opuścić mnie, biedną, już niemłodą, pełną smutnych wspomnień i wygasłych dawno uczuć.

To był łagodny płacz, który bardzo poruszał swoją delikatnością.

Yorsh poczuł, że ściska mu się serce.

Samica feniksa, jakkolwiek nieznośna, była jednak żywym i pra-dawnym stworzeniem, a on miał je właśnie porzucić na opuszczonej wyspie.

Sam zamiar takiego okrucieństwa zranił go i wzburzył. Zastanowił

się, co pomyśleliby jego rodzice, gdyby się dowiedzieli o jego brutalności, i po raz pierwszy, odkąd żył na tym świecie, poczuł wstyd, a także ulgę, że jego rodzice nie mogą go teraz zobaczyć.

Poddał się i pośpieszył, by uspokoić samicę feniksa. Obiecał, że zabiorą ją ze sobą na stały ląd, i lamenty, choć powoli, wreszcie ucichły. Erbrow pozostała milcząca, trzymała lalkę w rękach i miała nieszczęśliwą minę.

Yorsh zszedł ze wzgórza z Erbrow na rękę. Zaczął ją łaskotać w stopki. Mała przestała ukrywać głowę w zagłębieniu jego szyi i znów się roześmiała, zadowolona z bliskości z ojcem.

Płaczliwe lamenty feniksa cichły coraz bardziej.

- Nie cip cip papu my. My be - nalegała Erbrow.

Choć jej język był jeszcze koślawy, rozumowanie Erbrow było bez zarzutu. Samica feniksa była złośliwym stworem i rozsądniej byłoby zostawić ją tam, gdzie się znajdowała.

-Nie mogę jej tam zostawić. Musimy zabrać ją ze sobą.

-Nie - powiedziała zdeterminowana dziewczynka z pogodnym uporem. - Cip cip papu my be. My nie papu cip cip.

-Tak, to nieznośne stworzenie, nie da się ukryć, ale widzisz, to bardzo stara istota, jak smoki, a więc... tak, tak, bez wątplenia nieznośne, ale zarazem cenne. Przez długi czas smoki, feniksy i hipogryfy rządziły światem, zanim bogowie zdecydowali, że mowa będzie umiejętnością zastrzeżoną dla istot o ludzkim wyglądzie, i teraz wiele trudu i cierpienia kosztuje je akceptacja faktu, że, być może, z ich dawnej świetności pozostała już tylko pusta duma. Samica jest cenna, ponieważ jest bardzo stara, a w jej pamięci zawiera się pamięć całego świata. I co ważniejsze - ona odczuwa cierpienie. Jej obecność to męka, zgadza się, ale feniks potrafi...

jak to powiedzieć?... potrafi cierpieć. Jest nieszczęśliwy, a my za to... my jesteśmy odpowiedzialni za cierpienie świata, a więc i za cierpienie tej samicy feniksa, choćby nie wiadomo jak bardzo złośliwa była, rozumiesz?

Erbrow westchnęła. Przytaknęła, potem jednak pokręciła głową i znów westchnęła.

-Mama be - dodała.

-Obawiam się, że masz rację. Mama nie będzie zadowolona. Ale nie gdy feniks otworzy usta, to znaczy dziób. Wiem, sam sprawiam, że będę w opałach, ale nie mogę postąpić inaczej.

-Ały?

- Opały? To... to jakby kłopoty. Kiedy ktoś sam się w nie pakuje, mówi się, że jest w opałach. To taka metafora, rozumiesz, język prze nośny.

Dziewczynka kiwnęła głową.

Miała błękitne oczy, takie same jak Yorsh, ale poza tym była iden-tyczna jak jej mama: łagodna i silna zarazem, i jakoś wyniosła. Moż-

na by powiedzieć: królewska.

Za każdym razem, gdy trzeba było stawić czoła jakimś niebezpieczeństwom, Yorshowi zdarzało się zaniemówić wobec zdolności Juny do podejmowania decyzji i działania. Kiedy trąba powietrzna uderzyła w skały nadbrzeżne, a on był na morzu i stawiał sieci na sardele, wtedy Juna zapędziła wszystkich do jaskiń i kazała je zabezpieczyć kamieniami, nim piasek zaczął wirować w kłębach szalejącego wiatru. Podczas klęski głodu, która nastąpiła po całych miesiącach burz i ulew, uniemożliwiających wypłynięcie w morze w poszukiwaniu choćby rogowców, to Juna rozpałała energię w bliskich zwątpienia, i zaczęła szykować po kolei wszystko, co nadawało się do jedzenia, od czapli po żaby, mrówki i nasiona szyszek sosny i karaluchy karmelizowane w miodzie.

Myśl o starej, dotyczącej go przepowiedni nigdy go nie opuściła.

Zastanawiał się, czy Juna naprawdę nie była dziedziczką Arduina, dziewczynką ze światłem poranka w imieniu, od wieków przeznaczoną właśnie jemu, ostatniemu i najpotężniejszemu z elfów. Może istniał jakiś język, nieznanemu mu, w którym wyraz Juna oznaczał

„brzask poranka”, ale może w tej jednej kwestii umysł Władcy Świat-

ła, przesłonięty mgłą czasu, zawiódł.

Yorsh zdecydował się zejść zachodnim zboczem. Niedaleko znajdowały się dwie inne wysepki, Krowia i Bycza, a za nimi rozciągał

się horyzont. Na zachodzie ukazała się piękna zatoka, gdzie woda była wystarczająco głęboka, by statek mógł wpłynąć, nie osiadając przy tym na mieliźnie - zamknięta ostrymi i urwistymi skałami, które sterczały z morza, niczym rząd wież. Znajdowały się tam też inne, maleńkie zatoczki, pełne tego wszystkiego, co przynosi morze.

Były tam algi, drewno wygładzone przez wodę, szkielety delfinów, a nawet wieloryba, którego ogromne kręgi mogłyby służyć jako meble dla człowieka. Były też niezliczone szczątki topielców. Yorsh pamiętał, że czytał kiedyś o tym, jakoby w dawnych czasach na wybrzeżach kwitło życie: pełne towarów statki pruły fale, a lśnią-

ce w słońcu warzelnie dostarczały soli światu ludzi. W tym okresie handlu i pomyślności Wyspa Stołowa, ze swym wspaniałym naturalnym portem otoczonym przez zdradliwe skały i muskanym przez szybkie prądy, musiała być śmiertelną pułapką. Świadczyły o tym dryfujące wokoło drewniane belki różnej, strzępy żagli, których materiał tak przegnił, że stał się bardziej prześwitujący niż pajęczyna.

Yorsh spojrzął na te żalosne szczątki i choć całe pokolenia dzieliły go od tamtych czasów, poczuł cierpienie tonących, usłyszał krzyki towarzyszące chwili, w której fale wzięły górę nad wolą ludzi, a ci uświadomili sobie, że ich życie się kończy.

Jego córeczka powstrzymywała szloch i Yorsh zrozumiał, że ona również dostrzegła kryjącą się za kawałkami drewna i strzępkami żagli tragedię. Przez moment wydawało się, że słońce jakby zasnuło się szarością i pozostali tylko oni dwoje, przytuleni do siebie, spowici skrzydłami śmierci, wyłaniającymi się z przeszłości.

Yorsh przycisnął mocno do siebie córeczkę, maleńką i ciepłą, i w tym uścisku jego cierpienie i cierpienie dziecka rozplynęły się.

Skrzydła śmierci znikły.

-Przypomnieliśmy ich - powiedział. - Teraz znów zaczniemy żyć.

Nieważne jest to, że się umiera, lecz jak się umiera, za co i czy ktoś nas wspomni po tym, jak umrzemy. Śmierć na morzu jest konsekwencją dokonanego wyboru. Gdyby ci ludzie pozostali na lądzie, by uprawiać swoje ogródki i łowić sardynki, ich życie byłoby bezpieczne. Oni jednak zapragnęli posiadać wiedzę o tym, co jest po drugiej stronie horyzontu, gdyż najwyższym przeznaczeniem człowieka jest wiedza. Oddajmy cześć ich odwadze. I sprawdźmy, czy wśród wszystkich tych szczątków jest coś, co może nam się przydać. Musimy zbudować jakąś tratwę, aby jej wysokość Piękne Piórka mogła bezpiecznie zabrać swój kuper aż na brzeg. Tylko nie powiedz jej nigdy, że wyraziłem się w ten sposób.

-Upe?

-To część ciała, na której się siada.

Yorsh wybuchnął śmiechem. Erbrow także się roześmiała, i choć zrobiła to przez grzeczność, jak ktoś, kto nie jest pewien, czy zrozumiał żart, to i tak dało się odczuć, że słońce znów rozbłysło na niebie.

Budowa tratwy okazała się nie tak prosta, za to bardziej zabawna, niż Yorsh myślał. Brakowało drewna. Znaleźli fragment skrzyni, cał-

kowicie roztrzaskanej, ale za to z nietkniętym wciąż zamkiem ze srebra i złota. Yorsh położył dłoń na zatrzasku, który odskoczył.

Erbrow roześmiała się. Nie wypuszczając z ręki swojej cennej lalki, sama też położyła drugą na zamku, który zgrzytnął, tym razem zamykając się. Erbrow go otworzyła, a potem znów zamknęła.

- Dobrze - powiedział jej tata. - W życiu może się przydać umie jętność otwierania rygli. Posłuchaj, dziecinko: to, co teraz ci pokażę, wolno ci robić tylko w naszej obecności, mojej lub mamy, bo może to być niebezpieczne, nawet śmiertelnie, ale chcę, byś potrafiła sobie

radzić z czymś takim.

Yorsh położył dłoń na kawałku suchego drewna, który zapłonął.

Pozwolił płomieniom palić się przez kilka chwil, potem jednym ruchem je ugasił. Erbrow roześmiała się, a następnie rączką sama wznieciła płomienie.

- Dzielna dziewczynka, mój ukochany skarbek, teraz uważaj.

Ogień to ogromna siła. Rozgrzewa w nocy i gotuje nasze jedzenie, ale może też wywołać największy ból. Moc pojawia się dopiero wte dy, gdy potrafi się nad nią panować. Tak jest w przypadku elfów, a zatem musi być podobnie również wtedy...

Yorsh był zakłopotany.

- Nie wiem, jak o tobie mówić - przyznał. - Choć nie, teraz, gdy tak się nad tym zastanawiam, wiem to doskonale. Nazwę cię półelfem. Widzisz, ważniejszy od samych słów jest sens, jaki im nadaje my. Półelf oznacza spadkobierca wiedzy elfów i odwagi ludzi. Fakt, że do tej pory określenie „półelf uważane było za obelgę, świadczy tylko o szaleństwie tego świata. Gdyby słowo „woda” stało się nagle zniewagą, nie znaczy to, że wszyscy mielibyśmy z tego powodu po-umierać z pragnienia, nie wydaje ci się? A więc, mój wspaniały pół-

elfie, mój cudowny półelfie, nie rozpalaj nigdy ognia bez pozwolenia, mojego lub mamy, nigdy go nie wzniecaj, jeśli wieje wiatr; jeśli ogień stanie się zbyt duży, zgaś go. Teraz pokażę ci, jak to się robi.

By mieć całkowitą pewność, że jego córka wszystko zrozumiała, Yorsh zbliżył swoją dłoń do ognia i pozostawił tam przez kilka chwil. Jęknął. Zabrał dłoń znad płomienia: dłoń była zaczerwieniona i od razu wyrósł na niej bąbel. Erbrow aż jęknęła.

Upuściła swoją lalkę i położyła obie rączki na oparzeniu taty.

Zamknęła oczy i wysiłek był tak duży, że aż musiała zmarszczyć czoło. Parzenie zniknęło. Yorsh wpatrywał się w swoją dłoń, która znów stawała się gładka i różowa.

-A tego gdzie się nauczyłaś? - spytał.

-Ebow be.

-Kiedy zdzierasz sobie skórę z kolan, a ja cię uzdrawiam?

Dziewczynka przytaknęła.

Yorsh wziął ją na ręce i długo tulił. Moc dziewczynki była prawdopodobnie większa niż jego: z pewnością objawiła się u niej dużo wcześniej niż u niego.

Moc elfów i odwaga ludzi.

Yorsh wzdrygnął się: na dzieci ludzi i elfów było jeszcze inne okre-

ślenie, oprócz słowa „półelf, i brzmiało ono „czarownica". O ile

„półelf" uchodziło tylko za niegodziwą obelgę, „czarownica" mogło być wyrokiem śmierci nawet dla kogoś, kto nigdy nie zrobił nic złego.

Przytulił mocno swoją córeczkę i przysiągł sobie, że zawsze będzie ją chronił przed wszystkim i wszystkimi.

Potem puścił Erbrow i zaczął budować tratwę. Przetransportuje na niej samicę feniksa i dohołuje tratwę aż do brzegu, pokonując prąd siłą swoich płuc, nóg i rąk.

Strzępki żagla po długiej serii prób, wśród wybuchów śmiechu i plusku wody, wreszcie połączyły trzy kawałki drewna, dwa fragmenty głównego masztu i jeden blat stołu. Składały się one na prowizoryczną tratwę, wystarczająco dużą, by unieść samicę feniksa, podczas gdy Yorsh, płynąc, popychał ją aż do brzegu.

Na wieść o konieczności wejścia na tratwę samica feniksa podniosła lament, który podczas rejsu przerodził się w coraz bardziej piskliwe i rozdzierające dźwięki. Yorsh przykazał Erbrow, by podą-

żała za nim na głębokości około pół tuzina stóp pod powierzchnią wody, gdzie prąd stawał się

łagodniejszy, a dziewczynka pozostawała widoczna. Wydało mu się, że bezpieczniej będzie dla niej pozostać w wodzie niż na powierzchni lub tratwie, gdzie oddychałaby wprawdzie normalnie, ale wśród niezliczonych chlupnięć, słone krople dostawałyby się do jej nosa i oczu. Elf płynął pod prąd i musiał

wykorzystać całą swoją siłę, by popychać tratwę. Samica nie robiła nic, by mu pomóc, i Yorsh zmęczony był z pewnością o wiele mniej, gdyby nie musiał tracić tchu, prowadząc długą uspokajającą rozmowę na temat wpływu morskiej wody na piękno upierzenia. Po raz pierwszy w życiu Yorsh miał problemy w wodzie. Zrozumiał, co miała na myśli Juna, skarżąc się, że się jej napiła. Wprawdzie nie do końca było to prawdą, ale woda trafiła do płuc, co stanowiło przykre doświadczenie.

Erbrow dotarła do brzegu szybciej niż on i widząc ją bezpieczną, stąpającą na stałym lądzie, Yorsh poczuł ulgę. Dziewczynka trzymała w rękach małą langustę, widzianą wcześniej i teraz najwidoczniej odnalezioną. Pobiegła, by rzucić się, ramiona swojej mamie, i triumfalnie wręczyła jej zdobycz.

-Papu? - spytała z nadzieją w głosie.

-Oczywiście, to taki rodzaj raka, dziś wieczór trafi do ogniska. -

Juna roześmiała się, wzięła dziewczynkę na ręce i przytulała ją długo, co zwykła robić zawsze, gdy się martwiła. - Pływasz pod wodą jak twój tata! - dodała.

Yorsh widział, że Juna była zdenerwowana: mała potrafiła dotrzeć w miejsca, gdzie jej matka nie była w stanie jej towarzyszyć ani jej chronić. Ale w tej eksplozji uczuć były też czułość i radość, a nawet coś więcej - wzruszenie. Pomyślał, że uczucie, jakiego doznaje kobieta, rozpoznając we własnym dziecku ciało lub duszę tego, któ-

rego wybrała na ojca swego potomstwa, można określić tylko jako wzruszenie. Ród elfów nie wymarł i nie został wymazany z dziejów wszechświata. Jego moc zachowała się nienaruszona wewnątrz miękkiej istotki o niesfornych włosach i odwadze, odziedziczonej po jej matce i całym ludzkim rodzie.

-Jesteś moją małżonką - wyszeptał tak cicho, że dźwięk tych słów rozpląnął się wśród fal.

Potem powtórzył to sobie w głowie i znów jego radość stała się tak wielka, że fizycznie odczuwalna, niczym zapach soli albo ciepło słońca na skórze wychłodzonej od wody. Był wreszcie na lądzie i ciągnął właśnie małą tratwę po piasku, by jej wysokość Piękne Pióra mogła zsiąść, nie ryzykując w najmniejszym stopniu, że jakaś ohydna słona kropla muśnie jej srebrzyste upierzenie o nieznównym pięknie.

-Co za wspaniała kura! - krzyknęła Juna. -Jest ich więcej? Moglibyśmy założyć hodowlę. Musi znosić jaja wielkie jak pięść!

-Nie papu cip cip - Erbrow poprawiła ją pospiesznie.

- To nie ku... - spróbował wyjaśnić Yorsh, ale było już za późno.

Krzyk samicy feniksa przeciął całą zatokę niczym chłodne ostrze.

Zbieracze rogowców aż podskoczyli i przerwali swoją pracę. Poła-wiacze raków, zdezorientowani, unieśli głowy znad wody, próbując odgadnąć, co się stało. Nawet Ospo wystraszył się i zbiegł ze Skały Głupiego Orka. W oddali, po drugiej stronie zatoki, małe stado koni żyjących w Erbrow spłoszyło się. Znad wioski Astrid uniosły się trzy kręgi dymu: uzgodniony sygnał - pytanie, czy potrzebna jest pomoc.

Podczas gdy spieszył w stronę swojego paleniska, by uspokoić Astrid dwoma kręgami dymu, przedzielonymi jednym małym, Yor-sh kątem oka spostrzegł ruch skrzydeł za swoimi plecami. Nawet orły ze skał, te dziwne ptaki, które żyły wysoko w górze i potrafiły patrzeć ludziom prosto w oczy, nagle i niespodziewanie niżej niż zwykle zatoczyły koła. Juna postawiła Erbrow na ziemi, by mogła podbiec do swojego ojca, a sama pozostała na miejscu, by stawić czoła nowo przybyłemu stworowi. Wyposażeni w dużo odwagi, ale mało kijów, nadbiegli mieszkańcy Erbrow.

-Upe ała? - spytała Erbrow.

-Tak - odparł jej tata. - Bez wątpienia. Teraz z pewnością mamy kuper w opałach, ale to nie jest odpowiedni język dla małej dziewczynki.

- Kobieto! - syknęła samica feniksa. - Jak śmiesz zwracać się do mnie w ten sposób? Jam, kobieto, feniks. Przynoszę zaszczyt temu światu, jestem chlubą stworzenia. Nie tylko jestem jednym z pradawnych stworzeń, ostatnim, jakie zostało na tym świecie żalonym, nędznych stworzeń pełnym, lecz i pośród stworzeń pradawnych jam najpiękniejszym, jakie kiedykolwiek istniało; najpowabniejszym ze wszystkich, jakie stworzono; przewyższającym blaskiem samo słoń-

ce na nieboskłonie. Panie - syknęła znowu, tym razem zwracając się do Yorsha - czyżby to był człek ów, z którym złączyliście waszą i tak już wątpliwej jakości egzystencję?

Yorsh zaczerpnął tchu, by stawić czoła temu, co było dla niego strasznym utrapieniem: nieuprzejmości. Nie mógł pozwolić, by ktoś nie okazywał szacunku jego małżonce. Zaczerpnął powietrza i trwało to o moment za długo. Głos Juny rozbrzmiał w powietrzu anielsko i stanowczo.

- Pani - zwróciła się do feniksa - nie do końca zrozumiałam, kim jesteście, i przede wszystkim, dlaczego pozwoliliście sobie trzepo tać skrzydłami i grzebać w piasku przed moim domem, ale dobrze wam radzę, byście w mojej obecności zachowali milczenie: wasze podobieństwo do jadalnego stworzenia jest zbyt wielkie, byście mogli nadużywać mojej i tak już niewielkiej cierpliwości.

Samica zamilkła. Erbrow odetchnęła z ulgą, która zaraz minęła.

Słaby, cichy i łagodny niczym pierwszy jesienny deszczyk, rozpoczął się lament samicy feniksa, lecz tym razem nie był to piskliwy i nieznośny dźwięk sprzed paru chwil, lecz delikatny i jednocześnie przejmujący płacz, który wydawał się na zawsze niweczyć marzenie o tym, że cierpieniu można ulżyć.

- Moja pani, zaklinam was, odbierzcie mi życie, jeśli w tym znajdziecie przyjemność, i zróbcie to, na co macie ochotę, lecz nie urzęczywistniajcie, proszę, waszego zamiaru przeistoczenia pradawnego ciała mego w strawę. Ja, ostatni przedstawiciel rodziny, której po czątki samego stworzenia świata sięgają, nie chciałabym sprofać wać niegodną śmiercią, jaką mi zapowiadacie, całego rodu, który mnie począł.

Nawet Yorsh skamieniał. Po raz pierwszy w życiu poczuł pretensję do Juny, przyczyny całego tego cierpienia, lecz natychmiast odgo-nił tę myśl. Teraz, gdy to już nie on był powodem chwytającego za serce zawodzenia samicy feniksa, zrozumiał, jak bardzo było ono krzywdzące i niesprawiedliwe. Ale pojął to jako jedyny, z wyjątkiem Erbrow, która oburzona i rozzłoszczona, patrzyła na feniksa bez żadnego współczucia. Mieszkańcy Erbrow zamruczeli gniewnie przeciwko Junie. Blask upierzenia samicy feniksa w trakcie śpiewu przybierał na sile. Olśniewająca aura rozpaczającego stworzenia zburzyła harmonię w wiosce. Wiele głosów podniosło się przeciw Junie, która stała osłupiała w ciszy, z poczuciem winy malującym się na twarzy. „Niedobra” było słowem, które rozbrzmiewało najczęściej.

-Nikczemna - odważył się powiedzieć ktoś inny.

-Kiedy jest głodna, już nic do niej nie dociera.

Yorsh zrobił ruch, by stanąć obok swojej małżonki i bronić jej, lecz i tym razem nie zdążył.

- Dobrze - odparła Juna, podniósłszy głowę dumnie, a niesforne kosmyki włosów odsłoniły twarz, na której nie malowało się poczucie winy. - Dobrze, moi państwo, przekonaliście mnie. Nie jestem godna mieć do czynienia z tym oto stworzeniem, któremu w moim towarzystwie grozi też okropne ryzyko skończenia jako pieczone.

Tłum wydał z siebie pomruk oburzenia, ale Juna bynajmniej się nie zmieszała.

- Kto zatem pragnie gościć u siebie latające stworzenie i uratować je?

Doszło niemal do bójki. W końcu wygrali Cala i Daren Aboil.

Mężczyzna wziął dobrotliwie promieniejącego feniksa na ręce i oddalił się, obrzuciwszy Junę pogardliwym spojrzeniem, na które ona odpowiedziała anielskim uśmiechem.

- Jestem pewna, że będzie to dla was sama radość - powiedziała z mocą.

Yorsh spojrział na Junę: była stanowcza, odważna, inteligentna, zdolna do szybkiego podejmowania decyzji, ale też w pewnym sensie... szczerze mówiąc... nie żeby nie było to uzasadnione... w pewnym sensie... surowe określenie, ale żadne inne nie przychodziło mu do głowy... w pewnym sensie dzika.

Im więcej nad tym rozmyślał, tym bardziej nabierał przekonania, że podobieństw między Juną a sir Arduinem, takim, jak opisywały go podania, było zbyt wiele, aby uznać je za dzieło przypadku.

Erbrow odetchnęła z ulgą.

-Nie mama ały - powiedziała.

-Tak - odparł wesoło jej tata. - Mama nigdy nie znajdzie się w opałach.

Tuż przed świtem ktoś zastukał do ich drzwi. Był to Daren Aboil z samicą feniksa pod pachą. Kawałek z bardzo skromnego ubioru Cali został wykorzystany do zamknięcia dziobu ptaka. Daren Aboil sprawiał wrażenie zakłopotanego i Yorsh był bardzo wyrozumiały: w imię ich świętej przyjaźni odebrał od niego ptaka. Daren Aboil poprzysiągł mu wierność na wieki.

Juna chciała zapaść się pod ziemię, a przynajmniej żeby ziemia zapadła się pod nią, aby już nigdy nikomu nie musiała spojrzeć w oczy. To, co powiedziała, było niedorzeczne, okrutne i okropne.

Była wściekła i zrozpaczona.

Pozwoliła się wyprowadzić z równowagi, a nie powinna była do tego dopuścić. Kiedy ktoś wyprowadzał ją z równowagi, mówiła rzeczy, których później żałowała. Zagroziła istocie obdarzonej umiejętnością mowy, której jedynym przewinieniem było obrażenie jej.

Nie było z jej strony uprzejme - by użyć sformułowania drogiego Yorshowi - pomylenie feniksa z kurą. Choć przecież podobieństwo było znaczne, i niby skąd miała wiedzieć, że ten kurak liczy sobie dwa tysiące lat i mówi pół tuzinem języków, czyli pięcioma więcej niż ona. Do tego wszystkiego w tym samym momencie wzruszyła się bardzo, odkrywszy, że jej córeczka posiada taką samą moc jak jej ojciec. Czuła tkliwą radość, szczęśliwa i zachwycona, ale zarazem jakby wykluczona. Poczła się inna, ot co. Oni oboje, tacy idealni, tacy niezwykli, tacy podobni, a ona tak strasznie ludzka, czasem nawet barbarzyńska, a już z pewnością nieokrzesana. Widząc samicę feniksa, z miejsca wzięła ją za kurę, bo nie miała żadnej wiedzy na temat pradawnych stworzeń, podobnie jak nie miała pojęcia o starych językach i o całej reszcie, poczynawszy od alchemii, przez astronomię, historię, a na zoologii skończywszy. Juna potrafiła tylko czytać i pisać, i to dlatego, że Yorsh ją tego nauczył. Jej pomyłka wynikała również z instynktownej potrzeby sprowadzenia rozmowy na jakiś codzienny temat, jak kuchnia lub hodowla drobiu, gdzie niepotrzebne były wyjątkowe zdolności i wystarczały ludzkie cechy.

Atak feniksa niczym ostrze przeszył jej duszę. Trafił w najczulszy punkt: niejasne poczucie bycia naprawdę gorszą.

Gdyby Yorsh natychmiast stanął się w jej obronie, gdyby przeciwstawił się feniksowi, wtedy ona skwitowałaby całe zajście wzruszeniem ramion. Ale wpadła we wściekłość i ze wszystkich możliwych zrobiła rzecz najgorszą: wykazała się okrucieństwem. Mimo że Daren Aboil i Cala oddali tę złośliwą kreaturę już po kilku godzinach, stwierdzając, że nie da się z nią wytrzymać, to jednak ona była tą jedyną, która zagroziła stworzeniu, że... - nie mogła nawet o tym myśleć! - ...że je zje. Samica była nieznośna, fakt, ale to nie upoważ-

niało Juny to do bycia nieuprzejmą, by znów posłużyć się ulubio-nym określeniem Yorsha. Juna nie chciała, by jej małżonek uznał, iż poślubił kobietę na tyle nieokrzesaną, by grozić stworzeniu obdarzonemu mową.

Nocą, gdy spali przytuleni, nie niepokoił jej żaden lęk, żadna wątpliwość. To za dnia, kiedy patrzyła na jego sylwetkę rysującą się na tle horyzontu i podziwiała jego urodę, zwinność, uniesienie, z jakim dzielił się z innymi swoją wiedzą na temat wszystkiego, od ruchów gwiazd poczynawszy, na morskich stworzeniach skończywszy - wtedy właśnie nachodziły ją wątpliwości. Niepewność wypełniała ją wraz ze wspomnieniem głosu Beki, która wyśmiewała ją i nazywała kara-luchem: „Mała, czarna i naburmuszona: któż mógłby kiedykolwiek być tak głupi, by się z tobą żenić, mój Karaluszku? Chyba,

że jeśli powrócą deszcze, wszystkie dziewczyny się potopią i zostaniesz tylko ty, wtedy może będziesz mogła mieć jakieś nadzieje...".

„Brzydka i nieokrzesana”, powtarzane ciągle przez Bekę, jej wieczne „niezdarna i do tego trochę tępawa”, nie miałyby znaczenia, gdyby nie jej doświadczenia. Jej rodzice zostali powieszani, ich dom spłonął. Wioskę, w której się urodziła, zniszczyli żołnierze. Ona sama stała się dzieckiem niczym, została bez nikogo, smutna, za jedynych towarzyszy niedoli mając kleszcze i pluskwy z brudnego płaszcza, który służył jej też jako przykrycie. Pracowała bez przerwy, nigdy nie jedząc do syta. Juna żyła w przeświadczeniu, że jest nic niewarta. Przeświadczenie, to czasami zagłuszała tylko jej wielka odwaga, kiedy przychodziło jej z czymś lub kimś walczyć. Mimo że feniks był tylko głupim i śmiesznym stworzeniem, na powrót roz-budził w niej nieukojonny ból, mroczną pewność, że nic nie znaczy.

A w każdym razie z pewnością nie tyle co Yorsh, nie tyle, ile powinna znaczyć jego małżonka.

Przez kilka chwil w Daligar Juna widziała Aurorę, córkę Zarządcy, i uderzyło ją nieskazitelne piękno tej drugiej, delikatnej i wspaniałej, która wydawała się stworzona, by połączyć się z Yorshem. Aurora również nosiła imię, które pasowało do przepowiedni Arduina. Co jeśli to ona powinna znaleźć się na końcu drogi przeznaczenia Yorsha?

Samica feniksa, należy przyznać, przez dwa pierwsze dni swego pobytu w Erbrow przestrzegala nakazu milczenia. Cały czas spędza-

ła na plaży, z wypiętą pierśią, ze wzrokiem wpatrzonym w horyzont, odrzucając z pogardą i wstrętem wszelkie pożywienie. Dawała do zrozumienia, że żywi się światłem i powietrzem, słoną wodą, a czasem paroma nędznymi źdźbłami trawy lub kilkoma maleńkimi ziarnami. Za nadzwyczaj niestosowne uznawała wszystkie czynności związane z jedzeniem.

Mieszkańcy pobliskiego Astrid zesłi, wszyscy jak jeden mąż, ze swojego cypla aż na plażę, by podziwiać to wyjątkowe stworzenie.

Wszyscy pytali, czy i kiedy będzie można ją zjeść, wszyscy powiedzieli: „Och, naprawdę!”, kiedy Juna wyjaśniła, że stworzenie nie jest kurczakiem, a feniksem, ma dwa tysiące lat i mówi sześcioma językami. Wszyscy byli oczarowani upierzeniem samicy i stwierdzili, że niesamowitym wydarzeniem musi być goszczenie jej w swoim domu. Juna spytała, czy ktoś pożąda cudownego towarzystwa feniksa, ale mieszkańcy Astrid opanowali arkana pertraktacji, jeszcze zanim żona Yorsha przyszła na świat - a pośród reguł, które rządziły negocjacjami, była i ta, co mówi o absolutnej podejrzliwości wobec wszelkich darmowych i spontanicznych ofert - i odpowiedzieli przecząco, z dworską aczkolwiek stanowczą uprzejmością.

Po pierwszych dniach samica feniksa zorientowała się, że Juna nigdy nie ośmieli się wcielić w czyn swoich gróźb, i na powrót zaczęła się odzywać. Nie do niej, a do Yorsha.

Był zimny i mglisty poranek. Skostniali i skuleni przed swoim domem, Yorsh i Juna omawiali nierozwiązywalny problem garderoby.

Byli na wpół nadzy, jak dzikusy, i zmartwieni faktem, że dzieci również nie mają ubrań; lecz prawdę powiedziawszy, widok maluchów drepczących wokół jak wilcze szczenięta nie świadczył o tym, że nagość jakoś im przeszkadzała.

Brak materiału oznaczał jednak brak żagli.

Zbudowali już kilka tratw, które pozwalały im pływać po zatoce i łowić sardele za pomocą prymitywnych sieci, plecionych ze słomy.

Siła ich wiosł, koślawych i asymetrycznych, nie była wystarczająca, by przeciwstawić się prądom pomiędzy wyspami, które zamykały zatokę; tym silniejszym, im węższy był przesmyk między wyspami.

Bez żagla nigdy nie uda się ani dotrzeć do wysp, ani wypłynąć na otwarte morze i zobaczyć, co jest poza horyzontem.

- Nie rozumiem, panie - zaczął feniks, nie zważając na to, że w tym momencie Juna mówiła właśnie o możliwości łączenia ze sobą nielicznych piór znalezionych w gniazdach - skąd w tym miejscu imię Erbrow. Wydaję mi się, iż jest to imię waszego pacholęcia, dość osobliwe jak dla dziewczynki.

Yorsh wyjaśnił, że było to imię ostatniego ze smoków, i na słowo

„smok” samica aż podskoczyła. Yorsh przyznał, że za niedopuszczalne uznawał to, iż smoki prześladowały feniksy, lecz jednocześnie-

nie dodał, że jego miłość i wdzięczność wobec ostatniego ze smoków jest przeogromna.

Poza ich córką tak nazywała się również ich wioska i naturalnie zatoka, nad którą mieszkali.

Samica feniksa wydawała się być zdezorientowana.

-Powszechnym jest - powiedziała - aby imię nadawać po stworzeniu podobnym pod względem kształtu, charakteru i koloru. Nie można poza tym pominąć zwyczaju nadawania dziewczętom imion żeńskich, a chłopcom imion męskich. A zatem wasze pacholę i wyżej wspomniany... jakby to powiedzieć... gad...

-Pod względem kształtu, rozmiaru i koloru dziewczynka i smok są całkowicie różni - przerwał jej Yorsh - lecz jeśli chodzi o prawość, wspaniałomyślność, inteligencję i odwagę, te dwie istoty o imieniu Erbrow są do siebie podobne niczym dwie krople wody. Co do ostatniej poruszonej przez was kwestii, przypominam sobie z zupełną jasnością, że przedostatni ze smoków o imieniu Erbrow, kiedy go poznałem, dopiero co złożył jajo i właśnie je wysiadywał, a zatem...

-Panie - przerwała mu samica - nie ośmielacie się chyba mówić w mej obecności na temat tak... niestosowny?

-A o tym, że kury też składają jaja, można mówić czy również nie przystoi? - spytała Juna, która znów zaczynała mieć dosyć. Czowała się upokorzona tym wykluczeniem jej z rozmowy, słowami

skierowanymi zawsze tylko do Yorsha. Samica feniksa obrzuciła ją spojrzeniem bardziej pogardliwym niż wyniosłym i nie wyczerpawszy jeszcze swoich argumentów, znów przemówiła:

-Sprytnym nadzwyczaj jest nadawanie tego samego imienia jednocześnie smokowi, wiosce, dziecku i miejscu, tak że nigdy nie wiadomo, o kim lub o czym mowa. Długo musieliście nad tym myśleć czy tak nagle wpadło wam to do głowy? Że nie wspomnę już nawet o zgrozie na myśl o takim uznaniu dla zabójcy feniksów.

-Pani - uniosła się Juna, rozdrażniona - smokowi, który nosił imię Erbrow, winna jestem dozgonną wdzięczność. Gdyby nie jego poświęcenie, już dawno byśmy nie żyli. Jego obraz rozjaśniał przez dwa lata moją mroczną samotność, lecz odkąd wy zeszlście na brzeg, moja tęsknota za nim rośnie z godziny na godzinę.

Pozwolę sobie wam przypomnieć, że ani ja, ani moja dziedziczka nie należymy do rodu elfów. Nie mamy żadnych oporów przed zjadaniem stworzeń zdatnych do ugotowania, a wy nadajecie się do tego idealnie. Samica nie zmieszała się bynajmniej.

- Pani - odparła chłodno - nie wątpię, że wcielilibyście w czyn wasz zamiar, lecz jestem pewna, że wasz małżonek na to nie pozwoli.

Junie zaparło dech w piersi. Nawet pod nieobecność Yorsha nigdy, przenigdy nie ośmieliłaby się nawet pomyśleć o zabiciu i zjedzeniu stworzenia obdarzonego zdolnością mowy. Riposta feniksa unaocz-niała różnicę, która istniała i zawsze już miała istnieć między nią a Yorshem, wręcz ją wyolbrzymiała. To była wypowiedź, którą ona sama sprowokowała, o którą sama się prosiła.

Yorsh pozostał niewzruszony.

- Pani - odparł łagodnie - to, co powiedzieliście, jest prawdą.

Moja małżonka w swej wypowiedzi posłużyła się hiperbolą, efektowną figurą retoryczną, operującą językiem przesadnym i wyolbrzymionym. Moja małżonka nigdy by was nie zjadła, lecz sądzę, że to rozsądnie z jej strony, iż wam tym grozi, gdyż jest to rozwiązanie, które okazało się już raz skuteczne, by skłonić was do milczenia, a przecież wasza mowa jest przykra. Jako że obecnie groźba zjedzenia was przestała przynosić pożądane skutki, ja pozwolę sobie wyśunąć inną, wiarygodną i szczerą: jeśli jeszcze raz ośmielicie się nie okazać szacunku mojej rodzinie, wsadzę was z powrotem na łąkę i odstawię na Wyspę Stołową, gdzie pozostawię was, jeśli nie do końca waszych dni, które obawiam się trwają w nieskończoność, to z pewnością do końca mych własnych. Pozbawiony waszego towa rzystwa, z pewnością przeżyję je lepiej.

Juna poczuła, że jej zmartwienie znika w mgnieniu oka. Zadała sobie pytanie, jak mogła tak rozpaczać z powodu głupich słów jakiejś głupiej kreatury, teraz wszystko wydawało jej się tak banalne i mało ważne.

Samica feniksa nie zamilkła, lecz rozpoczęła swoje rozpaczliwe zawodzenie. Łagodnym głosem przywołała swój prastary smutek, nieskończoną samotność, bezkresną rozpacz swojego życia. I tym

razem zebrała się ludność wioski. Oskarżenia pod adresem twardego charakteru Juny były jednak mniej gwałtowne niż ostatnim razem.

Cala i Daren Aboil wcale się nie pokazali. Samicę przekazano rodzinie Solaria, która zaoferowała się, że ją przyjmie, choć zrobiła to bez przekonania. Wkrótce Solaro i jego małżonka zjawili się z powrotem, błagając Yorsha i Junę, by zabrali złośliwe stworzenie i wybaczyli im.

-Jej płacz wzbudza wielkie współczucie - zauważył Yorsh - lecz musi być bardzo męczący. Poza tym feniks szybko powraca do swoich obelg, i nikt go wtedy nie może znieść.

-To głupia i wiecznie niezadowolona kreatura, ale obawiam się, że to nam przypadnie zaszczyt opieki nad nią - odparła Juna wiedząc, że to ich uznawano za przywódców wioski. - Teraz, kiedy już wiemy, jaka jest jej broń, nie może nas już skrzywdzić.

Wstało słońce, mgła się przerzedziła, a po chłodnym poranku nadszedł pogodny i przyjemny dzień. Plaża wypełniła się światłem.

Maleńkie chmurki nakrapiały niebo, podtrzymywane przez łagodną bryzę. Daleko za chmurami ćwiartka jasnego księżyca uparcie jaśniała swym nikłym światłem, nawet na dziennym niebie. Mewy leniwie latały wysoko w górze, a ich donośny krzyk wypełniał powietrze.

Po południu Yorsh i Juna wypuścili się między skały, aby złapać ogromnego raka o długich, cienkich szczypcach. Była to naprawdę gigantyczna bestia. Juna zaczęła ją czyścić, niewiele rzeczy cieszyło ją tak bardzo jak obserwowanie jedzącej córeczki.

Juna знаła głód. Był to nieodłączny element życia w Domu dla Sierot. Również Yorsh, osierocony przez wszystkich poznał, co to głód. Ich dziewczynka nigdy nie dowie się, jak dotkliwy jest brak jedzenia, choćby oboje musieli stawić czoła samym demonom, by zdobyć dla córeczki pokarm. Ona i Yorsh byli wyjątkowo dobrymi myśliwymi. Dla niego zabijanie stanowiło bolesne doświadczenie, lecz by Erbrow miała co jeść, gotów był zrobić wiele. Co do Juny, ona również, tak jak jej ojciec, umiała przewidywać, w którą stronę ucieknie jej ofiara. Trochę czasu zajęło jej zorientowanie się, że nie było to coś naturalnego, lecz cudowny dar, którego inni nie otrzymali.

Dobrze, że Yorsh przewyciężył właściwą elfom odrazę przed jedzeniem czegokolwiek, co obdarzone było zdolnością myślenia. Na początku tylko próbował potraw, ale teraz żywił się prawie tak samo jak inni, i to nie tylko dlatego, że odczuwał głód. Yorsh jadł, bo być taki jak oni.

Jak ona i Erbrow.

Zaczął w dniu ich małżeństwa, kiedy to zjadł pół ślimaka. Odkąd urodziła się Erbrow, robił to z komicznymi i pełnymi uniesienia demonstracjami radości, na widok których dziewczynka i - prawdę powiedziawszy - Juna także, pękały ze śmiechu. Stopniowo przeszedł od czareczek do rogowców, raków i nawet ośmiornic, a wreszcie do samych dorad.

Podczas gdy Juna pracowała, samica feniksa zbliżyła się do niej swoim rozkołysanym krokiem przerośniętej kury, ze swoją długą, falującą szyją i upierzeniem, które lśniło w słońcu.

Dzień był tak piękny, że Juna pomyślała, iż nawet to głupie pta-szysko, nie zdoła jej go uprzykrzyć. Po słowach wypowiedzianych rano przez Yorsha nic nigdy więcej nie sprawi, by miała zważyć w siebie samą albo w swojego małżonka.

- Za pozwoleniem, moja pani - zaczęła samica, rozsiadłszy się na pniu nadmorskiej sosny przygiętym przez smagający go wiatr aż do piasku - czy mogłabym z wami porozmawiać?

-Jeśli już, to cała przyjemność będzie po waszej stronie, nie po mojej - odparła wesoło Juna. - Wolałabym być sama dzisiaj podczas pracy.

Feniks zaczął swój niezmiernie smutny śpiew i Juna przerwała go.

- Dobrze, zostańcie. - Nie chciała, żeby znów powtórzyła się sce na z ludźmi, którzy się zbiegali, potem ktoś się zobowiązywał pocieszyć stworzenie, a następnie upokorzony oddawał je im z powrotem. - I rozmawiajcie nawet ze mną. Macie moje słowo, dziś was wysłucham i nie stracę cierpliwości.

-Wasze słowo? - spytał stwór.

-Moje słowo - potwierdziła Juna.

Za plecami samicy feniksa widziała lśniące morze. Yorsh i Daren Aboil wyplatali trzcinę, by zrobić więcierz na ośmiornice. Dalej Cail Ara z Pestkiem na ramieniu zbierała rogowce razem z grupką dzieci. Pestek był ślicznym chłopcem, silnym i wesołym, a urodził

się kilka dni po Erbrow.

- Chciałam się upewnić - kontynuowała samica feniksa - gdyż przekonałam się, jak łatwo wywołać w was raptowne wybuchy furii.

Juna przełknęła ślinę i naszła ją wątpliwość, że być może przeceniła siłę swego spokoju, a także chyba swój wesoły nastrój, zgadzając się na towarzystwo kuropodobnej pokraki. Lecz było już za późno.

-Chciałam powiedzieć wam coś o waszym małżonku - ciągnęła samica.

-Słucham.

-Widzicie, pani, elficka rasa zawsze nadzwyczajną pięknnością się odznaczała, lecz małżonek wasz, oprócz tego, że najpotężniejszy i ostatni, ma zarazem najwięcej wdzięku spośród tych wszystkich, których w swoim życiu spotkałam.

-Tak - potwierdziła Juna.

Nie widziała nigdy innych elfów, lecz Yorsh był z pewnością nadzwyczaj piękny.

Spojrzała na niego, stojącego w oddali. Jego włosy chwytały promienie słońca.

Stwór mówił dalej:

- Wciąż zadaję sobie pytanie, jak mogło dojść do tego, że zmieszał się, to znaczy, miałam na myśli, ożenił się z wami. - Tu westchnął.

Zaskoczona Juna przerwała pracę. - Najwidoczniej samotność musi być rzeczą straszną nadzwyczaj i kiedy szansa na znalezienie czegoś lepszego zaprzepaszczonej jest... Kiedy spytałam go, waszego małżonka, jak to możliwe, że jego krew z waszą się zmieszała, odparł, w rzeczy samej, że niemożliwym było znalezienie czegoś lepszego.

Juna pochyliła gwałtownie głowę nad rakiem i znów zaczęła go czyścić. Jej uśmiech zniknął, ale starała się opanować. Otworzyła pancerz uderzywszy kamieniem, i opróżniła go, przebiegając palcami wszystkie rowki, by nic się nie zmarnowało. Jej dłonie ociekały tym, co było kiedyś żywym ciałem raka, miękkim i różowym, a teraz skapywało na jej dłonie, a nawet zachlapało przedramiona. Gęsty rój os zaczął brzęczeć wokół, stając się dla Juny dodatkowym utrapieniem. Spojrzenie feniksa było pełne odrazy.

Jedna z os zdołała ukąsić Junę, która błyskawicznym ciosem zgmiotła parę z nich. Samica wydała z siebie okrzyk pełen obrzydzenia i przerażona odwróciła wzrok. Osy i komary, bąki, muchy, pchły i wszy nie tykały ciała i krwi nieśmiertelnych stworzeń. Yorsh nie był

przez nie kąsany, a więc nie musiał ich nienawidzić. Na początku ich małżeństwa Juna przyłapywała go na ożywianiu komarów, które jej udało się wreszcie zabić. Po narodzinach Erbrow i całych nocach spędzonych na wtulaniu płaczącego maleństwa Yorsh przestał pomagać stworzeniom, które mogłyby ugryźć jego córeczkę.

Juna poczuła się jak brudna, niechlujna i okrutna istota. Była zadowolona, że Yorsh nie mógł jej teraz zobaczyć.

-Potrzebujecie mojej pomocy, pani? - spytał niespodziewanie stwór.

-Dziękuję - odparła Juna, usiłując odgarnąć łokciem włosy znad spoconego czoła, a nie mogąc użyć do tego zabrudzonych rąk.

Potrząsnęła gwałtownie głową, aby odpędzić pozostałe osy.

-To miło z waszej strony - odezwała się znowu. - To w oczyszczeniu raka czy w rozgniataniu os chcecie mi pomóc?

-Pani! - odparła samica, podczas gdy rzadko u niej łagodność ustępowała miejsca oburzeniu. - Ja jestem feniksem i nigdy nie mogłabym się zniżyć do wykonywania prac odrażających i niegodnych, jakie wy wykonujecie. To rzeczy, którymi zajmują się ludzie.

To zresztą jeden z powodów, dla których elfy od zawsze rasą ludzką nadzwyczaj gardzą. Wiecie, słowo „półelf” powstało za czasów potęgi elfów, stworzone przez same elfy i z całą pewnością

mogę potwierdzić, iż nie było ono komplementem. Była to, jeśli dobrze sobie przypominam, obelga poważna nadzwyczaj. Juna westchnęła głęboko i przełknęła ślinę.

-A zatem o jaką pomoc chodzi? - spytała.

-Mogłabym pomóc wam z tymi waszymi włosami, pani. Mogłabym przynajmniej spróbować wam pomóc, gdyż pewności nie ma żadnej, że lepszym ich wygląd można uczynić, są bowiem nader sztywne. Gdybym nie obawiała się charakteru waszego, gniewnego i porywczego nadzwyczaj, ośmieliłabym się rzec: kędzierzawe. Widzicie, pani, może z włosami bardziej na czole mniej byłoby widać część waszej twarzy... także sińce, które macie dokoła oczu, byłyby mniej widoczne... i przesadne rozmiary waszego nosa... Nie znajduję, doprawdy, powodu, dla którego macie skorupy małż i kawałki roślin w waszych włosach?

-To muszelki. To kwiaty - zdołała odpowiedzieć Juna matowym głosem. - To znaczy to... miały być ozdoby.

-Kawałki martwego zwierzęcia jako ozdoby? To czemu i nie ogony jaszczurek, skrzydła nietoperzy albo i kości koni, jak u orków?

Juna milczała długo ze wzrokiem wbitym w raka.

-Dziękuję - odparła wreszcie oschle. - To nie jest konieczne. Moje włosy wyglądają dobrze tak, jak wyglądają.

-Moja pani... - sprzeciwił się feniks.

-Nie ma takiej potrzeby - powtórzyła Juna, głosem, który zaczynał przybierać surowy ton.

Cail Ara zaczęła śpiewać wyliczankę razem z dziećmi, z którymi szukała rogowców.

Yorsh i Daren Aboil znajdowali się razem w wodzie i sprawdzali więcierz, bo wydawało się, że coś jest nie tak. Nic nie złapali i żartobliwie kpili z siebie nawzajem, jeden rzucając pod adresem drugiego komiczne i absurdalne oskarżenia, dotyczące ich niepowodzenia.

Juna rozpaczliwie zapragnęła być razem z nimi.

-Wiedziałam, że wasz gniewny charakter weźmie górę - powiedziała, popłakując, samica.

-Nie jestem ani trochę zdenerwowana - skłamała Juna, starając się na powrót odnaleźć spokój. Pomyślała o dłoniach Yorsha, kiedy głaskał ją po włosach. Przywołała uśmiech, który gościł na jego twarzy, gdy się nad nią pochylał. Uspokoila się.

Kiedy rak był już oczyszczony, Juna położyła na ogniu płaski kamień, a na nim czyste mięso, podzielone na trzy kupki: dwie równe, jedna dla niej i jedna dla wiecznie głodnej Erbrow, a mniejsza miała być kęsem dla Yorsha. Później wypraży orzeszki piniowe, które stanowiły resztę

posiłku młodego elfa.

-Dlaczego dzielicie wszystko na trzy części, pani? Elfy nie jadają żadnego stworzenia, które chodziło, pływało czy złożyło jajo.

-Mój małżonek to robi, pani - odparła Juna, na powrót uśmiechając się. - Tak bardzo kocha mnie i naszą córeczkę, że stara się jak najbardziej do nas upodobnić.

Przepełniła ją duma, usuwając wszystkie jej wątpliwości spojrzała na Yorsha, na jego sylwetkę w lśniącej wodzie, i duma na myśl o tym, że posiada jego miłość, tak bardzo ją wypełniła, że prawie wywołała uśmiech. Z pobłażliwością popatrzyła na feniksa. Nawet ta głupia kreatura nie zdoła zepsuć jej dnia; tego ani żadnego innego, dopóki Juna czuje słodycz miłości swojej córki i siłę miłości swojego małżonka.

- Wiecie, pani - przemówiła znów, rozbawiona - odkąd został

moim małżonkiem, ostatni i najpotężniejszy z elfów jada tak jak my, nędzni ludzie. Jaja mewy pewnie nie znajdują się na medytacji, choć potem, jakkolwiek by było, stają się ptakami, w postaci omletów są jednym z dań Yorsha, dopiero odkąd jesteśmy małżeństwem. Teraz już bez wątpienia jeden z jego ulubionych posiłków. Wiecie, omlety smażyę w dwóch wyżłobieniach miecza pradawnych królów z elfickiego rodu, jako że nie mam żadnych innych patelni: wychodzą mi długie i miękkie, więc je zawijam w spiralę, taką samą jak wewnątrz muszli, której kształt mój mąż bardzo lubi, bo jak mówi, stanowi metaforę nieskończoności, a potem dodaję rozmaryn i miód, jeśli je mam...

Głos uwiązał jej w gardle. Feniks wytrzeszczał oczy pełne przerażenia. Nie mógł złapać tchu.

-Wy... wy... ośmieliliście się... miecz z bluszczem? Ten miecz? Spro-fanowany w tak trywialny sposób! Wy... Jak mogliście! Ten miecz zawiera całą historię elfickich królestw. Całą ich potęgę!

Przypominam sobie, bez wątpienia, że został bezpiecznie ukryty, wbity w litą skałę, właśnie po to, by jego potęga nigdy już sprofanowana być nie mogła. Jak to możliwe, że ten miecz jest teraz w waszych rękach?

-Yorsh go wyciągnął... - wydukała Juna.

-Waszemu małżonkowi wiadomo, że wy używacie symbolu potę-

gi jego ludu, by smażyć jajka?

Juna zastanowiła się, dlaczego powiedziała samicy feniksa o mieczu. Rzeczywiście, nigdy nie ośmieliła się do tego przyznać Yorshowi, który na szczęście nigdy nie pytał, jak wygląda proces zamiany jajka w omlet. Ale teraz radość, jaką wywołała u niej wiadomość posiadania jego miłości, zupełnie uspiła jej czujność i popchnęła do popełnienia tego głupstwa, jakim było powiedzenie prawdy feniksowi.

-Mój małżonek - odparła, uśmiechając się i zmuszając do mówienia cichym i spokojnym tonem - jada ludzkie jedzenie z powodu miłości, którą żywi do mnie i naszej córki...

-Pani - przerwała monstualna kura - cóż za szalona brednia! To nie po to, by zniżyć się do waszego nieprzyzwoitego barbarzyństwa, wasz małżonek splamił swoje istnienie pokarmami, których elf powinien się brzydzić. Naprawdę nic wam o tym nie wiadomo? Bogów wzywam na świadków tego, jak niewygodowane jest poważanie moje dla waszych sił

intelektualnych, lecz nawet wy powinniście już dawno byli pojąć, że małżonek wasz sam sobie śmierć zadaje - stwierdziła pełnym troski głosem.

Uśmiech zniknął z twarzy Juny. O mało się nie zachwiała i musia-

ła przytrzymać się gałęzi sosny, by nie upaść.

-Sam sobie śmierć zadaje? - powtórzyła osłupiała.

-Zabija się - potwierdził feniks z uśmiechem wyrażającym ciche i współczujące politowanie dla tępoty tej kobiety. - Dla was, dla tej waszej... powiedzmy córki, ostatni i najpotężniejszy z rodu elfów skazuje się na utratę nieśmiertelności. Pani, członkowie rodu elfów są nieśmiertelni. Ciało ich stworzone jest do tego, by pozostać nienaruszonym, tak jak ich duch. Nic nie może ich osiągnąć, z wyjątkiem może kataru, jeśli są mali i niedożywieni. Ciało elfa nie niszczy na starość, chyba że ból i cierpienie zaatakują ducha lub rozkład mięsa połkniętego zarazi jego wnętrzności. Poślubiając go i dając mu córkę, jakby to powiedzieć... ludzką, postawiliście waszego małżonka przed okrutnie ciężkim wyborem - mógł albo patrzeć, jak jego własne potomstwo zstępuje w śmiertelne otchłanie, albo zniszczyć własną nieśmiertelność przez zanieczyszczenie własnego ciała, by samemu pierwemu do grobu trafić i cierpienia sobie oszczędzić. A zatem dokonał wyboru i teraz będzie mógł mieć odciski, odmrożenia, nawet tasiemca. Tak jak w wypadku ludzi, jego ciało będzie mogło zostać pokonane przez trąd lub dżumę. Rany mogą otwierać się na jego nogach, tak jak na nogach innych śmiertelników. Odkryje, czym jest pot. Jego oddech będzie mógł zgasnąć z powodu kaszlu. Jego zęby staną się dziurawe i zgniją, i to samo może stać się z jego kośćmi. Straci włosy, wszy będą mogły zaatakować jego ciało - to rzecz, której nie mogłyby zrobić, gdy byłby nieśmiertelny. Jego ciało zepsuje się na starość, dusza zubożeje, tak jak zawsze ubożeje duch starców, trawiony przez bóle kręgosłupa i nadkwasotę żołądka. Może na starość jego członki będą drżały. Może jego umysł stanie się niepewny i wszystko zapomni. Jego serce się zatrzyma. Robaki w jego grobie zjedzą to, co czas oszczędził. Nie zauważyliście maleń-

kich zmarszczek wyżłobionych wokół jego oczu? Tego, że skóra jego nie ma jasności elfickiej, też nie dostrzeżliście?

-To przez słońce - zaprotestowała słabo Juna, prawie nie mogąc wydać z siebie głosu.

-Pani, skóra istot nieśmiertelnych pozostaje zawsze taka sama.

Juna musiała się czegoś przytrzymać, by nie upaść. Na moment wszystko stało się czarne. Cały świat zniknął i pozostały jedynie mdłości i potrzeba rozplakania się. Kiedy się ocknęła, zobaczyła przed sobą trzaskający ogień z suchych trzciny i szyszek opróżnionych z orzeszków piniowych - a na płaskim kamieniu swojego raka, podzielonego na trzy części, z których najmniejsza była trucizną dla Yorsha.

Z krzykiem skoczyła na nogi i kopnęła kamień, który przewrócił

się w ogień i potoczył na piasek. Poparzył jej kostkę, a rozpalona głownia uderzyła ją w rękę, na której zrobiła się duża, zaczerwieniona rana. Juna przysypała piaskiem dogasający ogień, a potem upadła na kolana, zwymiotowała i rozplakała się.

Zwinęła się w kłębek, chwyciła za głowę rękami, wstrząsał nią szloch, dopóki nie poczuła na sobie małych ramionek córeczki, która płakała. Erbrow, zrozpaczona i przestraszona, przyszła, by ją pocieszyć. Po raz pierwszy od wielu miesięcy Juna słyszała płacz Erbrow. Ostatnim razem płakała zimą, kiedy zamarły brzegi stawów i poślizgnęła się wtedy na lodzie. To był krótki płacz, bardziej wynikający z rozczarowania, bo Yorsh zawsze błyskawicznie koł ból spowodowany jakimś upadkiem.

Teraz był to płacz rozpaczliwy. Juna spróbowała się uspokoić. Objęła swoją małą istotkę, by ją pocieszyć, i spojrzała na to, co zostało z jej raka; właśnie wyrzuciła kolację swojego dziecka.

Połykając łzy, zebrała z piasku i spośród tłących się głowni mięso raka, by umyć je w morskiej wodzie. Poszła dokoła, aby nie spotkać Yorsha, Darena Aboil, Cail Ary i wszystkich tych, którzy właśnie łowili, polowali i śmiali się na plaży.

Podczas całej drogi wystraszona Erbrow popłakiwała. Juna rozpalila z powrotem ogień i ułożyła nad nim to, co zostało z raka. Tym razem tylko dwie małe porcje.

Erbrow chciała być duża. Duża i silna. Może wtedy mogłaby pocieszyć swoją mamę i sprawić, by ta przestała płakać. Nie wiedziała, co robić. Czuła się bezsilna.

Ta okropna kura nic nie jadła, bo zjadała ich.

Tak jak ona, jej tata i jej mama jedli dorady oraz orzeszki piniowe, tak tamta zjadała wesołość i radość. Dla niej skłócenie innych było jak miód. A sprawienie bólu lepsze od jedzenia orzeszków piniowych.

A najgorsze okazało się to, że jej głód był niezaspokojony.

Erbrow nigdy nie widziała mamy tak zrozpaczonej.

Przypomniała sobie, jak kiedyś dostała gorączki, i Juna się przestraszyła, ale potem tata położył swe dłonie na czole córki, gorączka minęła, a mama znów zaczęła się uśmiechać.

Może i tym razem jej tata się zjawi i wszystko wróci do porządku, ale nie była tego pewna.

Tym razem wydawało jej się, że wszystko jest bardziej mroczne i ponure, okropnie beznadziejne. Gorączka jest straszna jak ogień, lecz to było gorsze.

10

Yorsh zjawił się wieczorem, pogodny i uśmiechnięty, z trzema ośmiornicami na rękach. Morze wzburzyło się od północnego wiatru, a ciemne chmury zasłoniły gwiazdy. Spojrzał na pozbawioną blasku twarz swojej żony, usłyszał nienaturalny ton głosu, gdy go powitała, i jego radość zniknęła.

-Co się dzieje, moja pani? - spytał zmartwiony, klękając, by spojrzeć jej w oczy. Juna przycupnęła przy ognisku przed ich domem, które właśnie dogasało. Erbrow, wyjątkowo spięta i milcząca, kręciła się w pobliżu.

-Nic - odparła Juna, wzruszając ramionami i siląc się na uśmiech.

- Martwię się, bo lada moment rozpęta się burza - dodała.

Znowu uśmiechnęła się smutno. Potem wybuchnęła płaczem.

Był to długi i rozpaczliwy szloch, który za każdym razem, gdy wydawało się, że cichnie, rozpoczynał się od nowa. Juna nie potrafiła się opanować. Jej córeczka podbiegła, by objąć jej nogi. Juna zorientowała się, że jej także zadaje cierpienie, i to pogorszyło całą sytuację. Próbowwała coś wymyślić.

- Myślałam o moich rodzicach - skłamała. Natychmiast tego po żałowała, ale było już za późno.

Nigdy do tej pory nie okłamała Yorsha, mimo że zdarzało jej się ukrywać pewne sprawy.

Nigdy nie powiedziała mu, że ich omletry w kształcie muszli miały związek z profanacją starożytnego miecza.

Nie wyjawiała mu, że jej prawdziwe imię brzmiało Jutrzenka, i nigdy nie opowiedziała mu o swoich wizjach, to prawda, ale i to nie było właściwie kłamstwem. Stanowiło zresztą, obok muszelek we włosach jedyną formę kokieterii, na jaką kiedykolwiek sobie pozwoliła. Chciała być tylko pewna, tak do końca pewna, że on, ostatni wspaniały spadkobierca rodu elfów, pragnął jej, bo była sobą, a nie dlatego, że była spadkobierczynią Arduina. Nawet po tym, jak została wybrana, miała wątpliwość, czy on, taki wspaniały, mógł naprawdę jej chcieć.

To był pierwszy raz, gdy okłamywała Yorsha, i zrobiła to w okrutny i głupi sposób, gdyż wspomnienie śmierci jej rodziców, powieszonych z powodu przyjaźni z elfem, oznaczał wpędzenie Yorsha, po raz kolejny, w poczucie winy.

Juna podniosła w stronę Yorsha swoją umęczoną twarz, siąkając ciągle nosem. Z całego serca zapragnęła cofnąć czas, by móc powstrzymać się od płaczu. Nie chciała płakać przy swoim małżonku elfie. Elfy wszak nie płaczą i stawiają czoła każdemu cierpieniu.

Poczuła ramiona Yorsha. Erbrow stanęła między nimi.

- Mama be - powiedziała po cichu.

Yorsh przycisnął Junę mocno do siebie. Oparła głowę na jego ramionach, lecz to jej nie pocieszyło. Pomyślała, że te ramiona zgarbią się kiedyś z jej winy; że z jej winy jego oddech, który czuła teraz na swoich włosach, ustanie. Westchnęła głęboko i choć nie odczuła wcale ulgi, zdołała jakoś się uspokoić.

- Już mi przeszło, już lepiej - zdołała powiedzieć. Yorsh przytaknął, mało przekonany.

W tym momencie między ich domem a wodą przemknęła rozko-

łysana sylwetka samicy feniksa.

-Cip cip papu! - krzyknęła zawzięcie Erbrow, wskazując ją ojcu, by zrozumiał, że to ptak był przyczyną kłopotów.

-Nie chcę słyszeć, jak wołasz za nią, że to kura - powiedział Yorsh, a jego łagodny zazwyczaj głos przybrał surowy ton. - To nie jest uprzejme, a ja nie chcę, żebyś była nieuprzejma...

Nieporozumienie przepełniło czarę goryczy i Erbrow zalała się łzami.

- Nie krzycz na nią! - powiedziała Juna, lecz chcąc szybko po wstrzymać córkę od kolejnego płaczu, zrobiła to zbyt mocno, i za raz zorientowała się, że sprawiła wrażenie rozgniewanej.

Yorsh przypatrywał się długo im obu, potem wziął Erbrow na ręce, by ją pocieszyć, i znów objął

Junę.

- Spójrz - powiedział, pokazując Junie swoją zdobycz. Wszystko położył przed ich domem na dużym pniaku, który służył za ławę.

- Złapałem trzy ośmiornice: dwie duże dla was, a ta mała dla mnie.

Yorsh uśmiechnął się i poczekał, aż Juna się rozpogodzi; każda rzecz dotycząca pożywienia, a tego dla Erbrow zwłaszcza, sprawia-

ła, że jego żona rozpromieniała się niczym słońce w letni dzień, a Yorsh zapominał o wyrzutach sumienia z powodu zabicia zwierząt.

Lecz Juna zacisnęła usta i przytaknęła, nie odwracając nawet głowy, by spojrzeć na trzy ośmiornice. Wpatrywała się w kamień, który służył zarówno jako palenisko, jak i stół. Po jednej stronie były orzeszki piniowe dla Yorsha, a po drugiej rak dla niej i jej córki.

Zaczęła jeść. Po raz pierwszy w życiu nie była głodna. Musiała się wysilić, by cokolwiek przełknąć; wszystko smakowało jej jak piasek.

Żuła i żuła, wciąż ten sam kęs. Zorientowała się, że Yorsh przygląda się jej z zaciekawieniem.

-Dasz mi trochę? - spytał uprzejmie, uśmiechając się.

-Nie - odparła pospiesznie Juna. - Ja... ja... jestem bardzo głodna.

Uśmiech nie zniknął z jego twarzy.

- A ty, dasz mi troszeczkę z twojej porcji? - spytał Erbrow. - Zro bimy wymianę za kilka orzeszków piniowych. Zobacz: trzynaście orzeszków, jeden całusek i jedna historia za jeden kęs twojego papu.

Opowiem ci znów bajkę o księżniczce na ziarnku groszku. Myślisz, że to dobry interes?

Erbrow przytaknęła uradowana i położyła przed nim kawałek swojego raka.

- Nie! - krzyknęła Juna. - Nie, nie, nie. Ona... ona też jest bardzo głodna... musi mieć siły, bo rośnie...

Erbrow wpatrywała się w nią osłupiała, pionowa bruzda znów utworzyła się między jej brwiami, a podbródek zadrżał, lecz dziewczynka zdołała się nie rozpłakać.

Yorsh przytaknął spokojnie, nie tracąc uśmiechu.

Poszukał wzrokiem sylwetki feniksa, rysującej się na tle gasnącego nieba i potrząsnął głową.

-To ty masz rację - powiedział wesoło do Erbrow. - To faktycznie jest kura.

-Cip cip papu! - stwierdziła Erbrow z surową, aczkolwiek już nieco rozchmurzoną minką.

-Właściwie to ośmieliłbym się powiedzieć, że to coś między kurą, a sępem. Sępy to zepsute i okropne ptaszyska, które jedzą... no, zepsute i okropne rzeczy.

-Cip cip ble?

-Tak, myślę, że to oddaje istotę rzeczy. A jednak nawet one mię-

dzy sobą uznają się za piękne i kiedy rodzi się mały sęp, jego mama i tata są zadowoleni, a zatem choć nie są uosobieniem życzliwości, postarajmy się nad nimi nie znęcać.

-Nie be.

-Nie be, właśnie tak, mój aniołku.

Erbrow uśmiechnęła się szczęśliwa. Wreszcie dzień zaczynał zmierzać ku lepszemu. Tata wrócił i jakimś sposobem wszystko naprawiał.

- Moja pani - powiedział wreszcie Yorsh, zwracając się do Juny z łagodnym uśmiechem, i ujmując jej szorstką i chropowatą dłoń.

- Proszę, wybaczcie mi cierpienie, jakie wam zadaję. Ja nie chcę mojej nieśmiertelności, a wy nie ustrzeżecie jej.

Juna potrząsnęła głową. Znow załapała się łzami i znienawidziła się za nieumiejętność powstrzymania się od płaczu.

- Nie możesz mi tego robić. Nie możesz. Każdy kawałeczek jedzenia, które ci przygotowywałam, była dla ciebie trucizną, a ja o tym nie wiedziałam...

- Moja pani! Juno! Miłości moja jedyna. Tym, co odebrało mi moją nieśmiertelność, i to na zawsze, była połowa ślimaka, którą zabrałem ze skały nadbrzeżnej sam i bez niczyjej pomocy włożyłem sobie do ust, dokonując jedyne go wyboru, jaki pozwolił mi czerpać radość z życia. Moja pani, skoczyłbym w ogień dla jednego z waszych omletów z orzeszkami piniowymi i mirtem, który przyrządzacie, używając jako patelni miecza, i pewien jestem, że jeśli królowie elficy wiedzieliby, iż mieczem, który wykuli wieki temu, kiedy ich potęga osiągnęła szczyt, wy wymachujecie po to, by pokonać głód i przywrócić radość, byłiby z tego dumni i tym zaszczyt- ni. Moja pani, proszę was, nie pozbawiajcie mnie słodkiego miodu waszego uśmiechu, bo ja, byleby tylko go skosztować, przejdę przez bramy czasu i śmierci; przejdę na drugą stronę gwiazd i wiatru, gdzie spotykają się wszystkie szlaki, a wszystkie liczby kończą, a kiedy już tam dotrę, będę głosił chwałę waszej osoby i podziękuję za moje szczęście. Moja pani, nieśmiertelność to zły dar, który zgubił

mój ród. Nasze ciała nietykalne, niezniszczalne niczym kamień, niczym diament, niczym lód, który pozostaje uwięziony w skalnych szczelinach, gdzie wiosna nigdy nie dociera i którego słońce nie jest w stanie stopić, uczyniły nas tak kruchymi, że w końcu wyginęliśmy. Bezwolni, przestraszeni życiem, które z natury jest cią-

giem zmian i zniszczeń, jeden po drugim umarliśmy. Mój ród wyginał, bo zabrakło mu odwagi, by

zaakceptować śmierć, ostatni z darów wszechświata dla żyjących. Każda małżonka składa dar ze swej odwagi małżonkowi, kiedy zechce go pokochać, gdyż w narodzinach nowego dziecka życie i śmierć podają sobie dłoń. Pośród ludu skazanego na nieśmiertelność uznano to za dar zbyt wielki, by o niego prosić czy nawet go przyjmować. Tymczasem i tak wyginęliśmy: wymordowani, wybici przez głód i smutek. I tak umarliśmy. Rasa ludzka wiedziała, że śmierć stanowi część życia i że nie można ich rozdzielić. Elfy chciały to ignorować i przegrały swój los, kontynuując bezowocną walkę o życie dla muszek, które uzdrawiały.

-Ty nie rozumiesz - powiedziała Juna, podczas gdy głos jej się załamywał. Erbrow wystraszyła się i schroniła w ramionach taty. -

Ty nie rozumiesz. Twoje zęby wypadną... i włosy też!

-Dobrze, a więc zacznę mówić, plując dokoła jak stary rybak z Astrid, a o poranku będę sobie polerował głowę kawałkiem płótna, by lśniła w słońcu. Niewiele rzeczy wydaje mi się bardziej wstrętnych niż banalna i wieczna młodość, która czyniąc mnie podobnym do naszych dzieci, sprawi, że będę z nimi mylony. Chcę, by biel moich włosów i zmarszczki, które powstaną na mojej twarzy, przypominały moim dzieciom, że nie jestem ich bratem ani przyjacielem, lecz ich ojcem. Chcę, by patrząc na moje dłonie, spękane, poszarzałe i przebarwione, przypominały sobie, że to ja jestem tym, który je począł, gdyż w przeciwnym razie, kiedy dopadną je cierpienie lub niepewność, nie będą wiedziały, do kogo się udać po rady i pocieszenie. Chcę, by dzieci czuwały nad nami, gdy starość sprawi, że nasze życie stanie się kruche; by nauczyły się dzięki temu współczucia; jak będą mogły to zrobić, skoro my nie utracimy sił naszej młodości? Ze wszystkich przekleństw tego świata przeżycie własnego dziecka, oddanie go w objęcia śmierci, wydaje mi się najgorszym: nie życzyłbym tego najbardziej niegodziwemu i najbardziej zniechęconemu z wrogów. Juno, kiedy już się zmienię, naprawdę nie będziesz mnie więcej chciała?

Miłości moja jedyna, kiedy już będę mówił jak stary rybak, a słońce sparzy moją głowę, nieopierzoną niczym pisklę mewy, czy naprawdę będziesz mnie wtedy mniej kochać? Również twoja twarz i twój uśmiech zmieniają się, zachowując w sobie wspomnienie słońca, które opaliło twoją skórę, gdy szukałaś rogowców. Dlatego moja miłość do ciebie nie jest ciągle taka sama, lecz rośnie z każdym dniem; to dlatego radość z twej obecności z dnia na dzień staje się coraz większa i jaśniejsza. Twoje ciało będzie nosić ślady naszych dzieci, twoje włosy - czasu, który spędziliśmy razem, trzymając się za ręce. Odkąd wiem, że są policzone, dni moje zwieliokrotniły swój blask; ruch gwiazd i morskich przyływów i odpływów oraz maleńki ruch źdźbła trawy, któ-

re wzrasta, stały się teraz uchwytny, bo czas nabrał wartości. Pani moja, wasze spojrzenie ma w sobie dumę lotu sokołów i czułość słońca odbijającego się na powierzchni wody. Wasza głowa wznosi się ponad ramionami z niezwykłą siłą fal i z łagodnością, z jaką morze obmywa piaszczysty brzeg w najspokojniejsze letnie dni.

Uśmiech, z którym pochylacie się nad naszą córeczką, ma w sobie światło samego słońca, co ogrzewa ziemię. Uśmiech rozkwitający na waszej twarzy, kiedy ja pochylam się nad wami, ma w sobie tajemniczość blasku księżyca, który odbija się delikatnie pośród fal.

Pani moja, macie siłę wojska formującego szyk w bitwie i nic nigdy nie będzie w stanie was pokonać, nawet śmierć, bo nawet jej się nie obawiacie. Pani moja, błagam was, nie płaczcie. Zadawanie wam cierpienia jest mi nieznośne. Widziałem dziś wasze łzy i były dla mnie wielkim darem, bo wiem, że opłakiwaliście mnie, ale proszę was, przysięgnijcie mi, że jeśli to mnie przyjdzie umrzeć przed wami, wasze oczy pozostaną suche, a wasze czoło gładkie.

Yorsh uśmiechał się. Juna usiłowała sobie przypomnieć słowa feniksa, lecz wszystko przestało być ważne wobec uśmiechu jej mał-

żonka. Wszystko to ginęło pod wpływem jego głosu. Wciąż powtarzała w swojej głowie słowo „małżonek”. Był jej małżonkiem. Żyli ze sobą, a Erbrow była ich córeczką. Jak przez mgłę przypomniawszy sobie jeszcze słowa, które zadały jej największe cierpienie.

-Zjedzą cię robaki... - wymamrotała.

-Ależ moja pani - sprzeciwił się Yorsh, próbując ją uspokoić.

Rozłożył nawet ramiona, by dodać siły swoim słowom. -

Zastępami robaków żywiły się przepiórki i bażanty, którymi wasz ojciec karmił was, gdy byliście dzieckiem. Teraz tłuste dżdżownice, które gdy pada deszcz, zsuwają się ze skał, żywią dorady, a te z kolei zjadamy my. Niewybaczalnym brakiem uprzejmości byłoby niezrobienie niczego dla robaków, żeby się im odwdziżyć!

Choć nie przestała jeszcze płakać, Juna nie mogła się powstrzymać, by nie wybuchnąć śmiechem. Erbrow klasnęła w maleńkie dłonie, cała szczęśliwa.

Ciągle płacząc i śmiejąc się, Juna spojrzała na swego małżonka.

Nie był już nieśmiertelny. Umrą razem. Jako para staruszków.

Trzymając się za ręce.

- Wiesz... - zaczęła. To było trudniejsze, niż się spodziewała, zbyt długo zwlekała i z każdym mijającym dniem coraz trudniej przychodziło jej wyznać to, z czym tak długo czekała. - Wiesz, moje imię...

Nie zdążyła dokończyć. Przerwał jej krzyk Erbrow.

Juna i Yorsh odwrócili się oboje w stronę miejsca, które wskazywa-

ła przerażona dziewczynka.

Feniks płonął. To była istna eksplozja płomieni, które migotały na tle ciemnego horyzontu blaskiem, a tego piękna nie sposób opisać słowami. Błękit zlewał się ze srebrem i złotem.

Płomienie utrzymywały się prawie przez pół nocy. Północny wiatr, który omiatał plażę, nie był w

stanie ich zgasić, wręcz je podsycał, czyniąc jeszcze wyższymi i wspanialszymi.

Kolorowy płomień wznosił się, niesamowity i podwojony przez odbicie na falach, a zapach zwęglonego mięsa dotarł do tych domów w wiosce, które znajdowały się na linii wiatru.

Nadbiegło wielu innych mieszkańców, prawie wszyscy próbowali użyć wody morskiej lub swoich nielicznych i cennych ubrań, by ugasić ogień, który jednak oparł się wszystkiemu. Wszystkie dzieci, począwszy od Erbrow, płakały przerażone.

Juna była zaniepokojona strachem córeczki, której nie zdołała odciągnąć od ognia, bo mała chwyciła się czegośkolwiek, byle tylko zostać na miejscu. Dręczyło ją także poczucie winy i wściekłość na głupiego stwora, który tak czy inaczej nadal trzymał ich wszystkich w garści.

Najmniej poruszony był Yorsh, który powtarzał ciągle, że jest pewien, iż powtarzające się co jakiś czas samospalenie to normalny dla feniksa element cyklu, lecz w miarę upływu godzin również jego pewność zaczęła topnieć.

Wreszcie, kiedy księżyc już zaszedł, błękitne i srebrne płomienie zgasty i znów pojawił się feniks. Do błękitu i srebra upierzenia samicy dołączyły teraz złote odblaski. Zmieniła się również sylwetka, lecz nie na bardziej atrakcyjną. Skrzydła, już wcześniej śmiesznie krótkie, zbyt krótkie, by mogły umożliwić latanie, jeszcze bardziej zmalowały. Szyja była dłuższa, dziób bardziej zakrzywiony, a czaszka prawie zupełnie nieopierzona; wszystko to razem zmniejszało podobieństwo do kury, a zarazem zwiększało podobieństwo do jakiegoś fantasmagorycznego sępa w kolorach brzasku i morza.

Wreszcie Erbrow i pozostałe dzieci uspokoiły się. Powoli wszyscy udali się do domów, by ułożyć się do snu.

Tylko Juna, rozgoryczona jak nigdy i kompletnie wyprowadzona z równowagi, wzięła Erbrow na rękę i zagroziła feniksowi drogę.

- Jeszcze raz doprowadzisz moje dziecko do płaczu, a skręcę ci ten twój zapchlony kark - zagroziła sinoblada.

Potem obróciła się na pięcie i poszła położyć małą spać. W płomieniach oprócz ostatnich przejawów uprzejmości musiała spłonąć także pamięć samicy, która - jak zapewniła nieco bardziej piskliwym i skrzekliwym głosem niż poprzednio - nie miała najmniejszego pojęcia, kim jest ta okropna kobieta, i nie życzyła sobie, ona, korona stworzenia, chwala tego świata, pogroźek od jakiejś prostej niewiasty, związanych z jej pogardy godnym bachorem...

Juna była już daleko i feniksowi odpowiedział Yorsh.

-Pani - stwierdził pogodnie - następnym razem, gdy ośmielicie się nazwać moją córkę pogardy godnym bachorem, to gwarantuję wam, że skończycie na ruszcie, doprawiona rozmarynem do smaku i nadziana farszem z kilku orzeszków piniowych.

-Z rozmarynem i nadziana kilkoma orzeszkami piniowymi?

-Tak przyrządzone dorady smakują wybornie - powiedział Yorsh wesoło. - Moja znajomość sztuki kulinarnej jest ograniczona, lecz wydaje mi się, że orzeszki i rozmaryn pasowałyby również do was.

-Panie - powiedziała samica feniksa, nie mogąc złapać tchu - wi-dzę was pierwszy raz w życiu, lecz zdaje mi się, iż niezaprzeczalnie jesteście elfem!

-Jestem elfem.

-Elfy nie mogą jeść niczego obdarzonego zdolnością myślenia.

-Otóż to, a zatem w wypadku kogoś, kto nazywa moją córkę

„godnym pogardy bachorem", nie byłoby to odstępstwo od tej re-guły - odparł z mocą Yorsh. - Pani...

- Na koniec pożegnał się z lekkim ukłonem i udał się na spoczynek.

Początkowo Erbrow myślała, że wszystko idzie dobrze. Dni znów płynęły bez wielu zmartwień. Wystarczyło uważać tylko, by nie znaleźć się zbyt blisko nienawistnego człowieka i aby feniks nie zaczął płonąć, a wszystko jakoś się układało.

Nienawiść nienawistnego człowieka rosła jednak z każdym dniem.

Erbrow czuła, jak serce wali jej tak mocno, że aż sprawia ból, za każdym razem, gdy przekrzywiona sylwetka przemykała po plaży, a ona nie miała blisko siebie ani taty, ani mamy, aby schronić się na ich rękach.

Kiedy feniks płonął, co stało się niemal codziennym wydarzeniem, dochodziło do dziwnej rzeczy: Erbrow nie była w stanie od niego odejść. Czuła, że byłoby to „nieuprzejme”, jak by powiedział jej tata.

Wiedziała, że musi zostać, by patrzeć. Oprócz straszego zapachu palącego się mięsa czuła, spoglądając na płomienie, jakąś dziwną mieszaninę goryczy i żalu, której nie potrafiła nazwać. Miała nieodparte wrażenie, że jedyną rzeczą, jaka mogła uśmierzyć gorycz i żal, które wielka kura w sobie nosiła i którymi żyła, była obecność publiczności.

Mama nie była już jednak zrozpaczona, a w jej uśmiechu pojawiło się coś, czego nigdy wcześniej nie było.

A zatem wszystko układało się dobrze.

Potem jednak stało się coś złego, a ona nie rozumiała, co to było.

Nagle mama się zmieniła. Niebo pozostało błękitne, morze spokojne, lecz w mamie znowu pojawił się strach, jak wtedy, gdy trąba powietrzna zmiotła wioskę, a morze zamieniło się w rozwścieczonego potwora.

Od czasu ich dramatycznej wędrówki z hrabstwa Daligar aż na plażę Juna nie miała swoich wizji. Kiedyś prowadziły ją, dając jej odwagę i pewność odniesienia niewiarygodnego zwycięstwa podczas wszystkich bitew i ucieczek, a potem zniknęły. W ostatniej wizji ujrzała dłonie bawiących się dzieci: tak uzyskała pewność, że ona i Yorsh pobiorą się i będą mieć potomstwo. Nie widziała twarzy maluchów, nie zdołała nawet ich policzyć: obraz był niewyraźny, występowały w nim tylko rączki i zabawki, które nakładały się na siebie, pojawiając się i znikając. Wśród zabawek był bączek, bardzo pokrzywiony, mały konik z surowego drewna, a oprócz tego lalka i mała łódka, które zrobili dla niej rodzice, gdy była jeszcze dzieckiem, i które Yorsh przyniósł jej, gdy ją odnalazł i rozpoznał.

Wiedziała, że Yorsh miał bączka i konika z drewna, gdy był mały.

Tego bączka zdążyła nawet przez moment zobaczyć: była to misternie wykonana zabawka, pomalowana na wszystkie odcienie błękitu. Zarządca strzaskał ją butem, gdy wymierzył jej kopniaka podczas ich jedyne go spotkania. To zdarzyło się wtedy, gdy Yorsh przybył jej na ratunek, sam przeciw całemu garnizonowi, wspomagany jedynie przez więzienne myszy oraz dwóch dezertersów, Lebioda i Obala. Konika zabawkę, który prawdopodobnie również wyszedł

spod elfickich rąk, Yorsh zgubił sam. Zabawka wypadła mu z rąk, gdy kichnął smok, Erbrow Starszy, i wpadła do wulkanu, który ogrzewał grootę, gdzie smok wysiadywał jajo.

Kiedy urodziła się ich córeczka, Yorsh poprosił Solaria, by zrobił

konika i bączka. Bączek był źle wymierzony i kręcił się w dziwaczny sposób, konik miał zbyt cienkie tylne nogi i zbyt długą szyję; wtedy Juna rozpoznała w nich zabawki ze swojej wizji.

Po ich podróży dar jasnowidzenia opuścił Junę, o ile w ogóle moż-

na mówić o darze. Teraz wizje powróciły, lecz były przekleństwem.

Juna widziała nakładające się na siebie ciemne otchłanie, widziała coś, co niszczyło światło.

Wystarczył jeden promień światła, by usunąć mrok ale teraz było na odwrót - to mrok pożerał jasność. Kiedy Juna zamykała oczy, pojawiał się mrok, ciemny i nieprzenikniony, przerażający. Jak gdyby coś przygotowywało się, by lada chwila zalać cały świat.

Juna była rozdarta między pragnieniem, by powiedzieć o wszystkim Yorshowi i raz na zawsze wyjaśnić mu pochodzenie swojego imienia, a pragnieniem, by nadal łudzić się, że ta dziwna halucyna-cja może nie jest niczym poważnym.

Może to nie prawdziwa wizja, tylko skutek zmęczenia. Była ciągle przemęczona. Coraz częściej zdarzało jej się nie mieć sił, by ustać na nogach. Ciągle chciała spać. Często miała mdłości, również z powodu swądu zwęglonego mięsa feniksa, zapachu już stale unoszącego się nad zatoką.

Do aktów samospalania się samicy dochodziło coraz częściej, niemalże codziennie. Reszta wioski przyzwyczała się do tego i zwykle dopytywano się z rozbawieniem, kiedy feniks znów da pokaz ogni.

Jedyną osobą, która nie wydawała się tym ani trochę rozbawiona, była Erbrow. Za każdym razem, gdy złośliwa pokraka zaczynała się palić, dziewczynka stała, wpatrując się w nią zatroskana, i nie pozwalała się zabrać.

Po kolejnym spłonięciu samica feniksa wyłaniała się coraz okaza-lej upierzona i coraz bardziej zarozumiała. Jej wspomnienia stawały się coraz bardziej mgliste. Przedostatnim razem nie pamiętała, kim są elfy. Ostatnio nie wiedziała już nawet, kim były feniksy. Dziób nie zamykał jej się za to ani na chwilę. Jej słowotok był nieustannym lamentem nad własną urodą, że może zostać naznaczona piętnem wieku i - niech bogowie uchronią - zmarnieć pod wpływem czasu i zszarzeć na starość. Żądanie pocieszeń przybierało u samicy na sile, zaostrzało się i rosło bez umiaru, lecz nic nie było w stanie przynieść ukojenia zatrwożonemu stworowi. Jego piskliwa i denerwująca paplanina wykańczała Junę.

Kobieta podjęła więc decyzję: nie mogła dłużej zwlekać. Nie była już w wieku kogoś, komu przystoją kaprysy i umizgi.

Będzie musiała wyznać Yorshowi, że nie uwierzyła w jego miłość, ale teraz była już pewna, że on nie tylko się nie rozzłości, a wręcz będzie ją kochał tak samo, o ile nie bardziej.

Zastanawiała się, jak myśleć, że przepowiednie się nie spełnią.

Yorsh był razem z Jastrinem, obaj siedzieli na dużym pniu sosny nadmorskiej, który wiatr przygiął aż do poziomu. Erbrow bawiła się w pobliżu. Kulawy Ospos przemknął tuż za nią, naburmuszony, i Juna zirytowała się, jak zawsze na jego widok, lecz - jak słusznie mówiły Prawa Założycielskie Miasta - ich ziemia była Ziemią Wolnych i nie można było kogoś wygnać lub źle potraktować tylko dlatego, że miał w sobie coś okropnego. Sądząc po ruchu ust, Yorsh mówił właśnie o szarzy sir Arduina przeciwko orkom. Erbrow także musiała uznać to za interesujące, gdyż dokładnie w momencie, w którym cień Ospos się do niej zbliżył, natychmiast przerwała zabawę i pobiegła do taty, by wziął ją na rękę. Ospos oddalił się w kierunku jednego z cypli, nie omieszkawszy obrzucić biednego Jastrina jawnie pogardliwym spojrzeniem. Chłopiec nawet go nie zauważył i przejęty, a nawet zachwycony, nadal wsłuchiwał się w słowa Yorsha.

Nogi Jastrina były chudsze i słabsze niż każdego innego człowieka i często go bolały. Yorsh mianował go urzędowym skrybą, a wobec braku pergaminu, na którym ten mógłby pisać, zrobił go urzędowym strażnikiem pamięci i kiedy tylko mógł, spędzał cały swój wolny czas, ciągnąc go za sobą, by przekazać mu w miarę poprawne wersję historii, zaczerpniętą z kilkuset ksiąg historycznych.

Jak wyjaśniał Yorsh, przeszłość zawiera w sobie przyszłość, i lud, który nie zna własnej przeszłości, nie ma przed sobą przyszłości.

Urzędowy strażnik pamięci był zatem bardzo wysoką godnością.

Juna nie przysłuchiwała się temu wszystkiemu za bardzo, uznając, że również kolacja nie jest wcale bez znaczenia, jeśli chodzi o kwestię przyszłości danego ludu, i wobec tego jedynym zapalonym słuchaczem natchnionych wywodów Yorsha pozostał Jastrin.

Nie zdążyła dobiec do Yorsha.

Nagle nad linią horyzontu pojawiły się trzy postaci tak absolutnie czarne, że wydawało się, iż połykały światło, że je unicestwiały, że rozlewały wokół siebie ciemność, przyćmiewając nawet horyzont.

Daren Aboil był w wodzie razem z Pestkiem. Wszedł na brzeg, wciąż trzymając dziecko na rękę, potem postawił je na ziemi.

- A to co takiego? - spytał. - Burza nie jest aż tak czarna.

Juna nie odpowiedziała. Nie wiedziała co powiedzieć. Zrozumiała, tylko że przewidziała niebezpieczeństwo, ale ze zwykłej głupoty nie podniosła alarmu.

Wreszcie zjawił się Yorsh.

- Erynie! - krzyknął. - Furie! To Anioły Śmierci!

Yorsh był blady. Po raz pierwszy Juna dostrzegła przerażenie w jego oczach.

-Ery... co? - spytała.

-Mówiła mi o nich moja matka - odparł Yorsh. - Wiedziałem, że jest jakaś ziemia dręczona przez erynie, które co kilkadziesiąt lat powracają w miejsce ich męki, lecz nie wiedziałem, gdzie jest. To ta ziemia!

Trzy czarne cienie zbliżały się powoli. Dzieci w wodzie, pół tuzina istotek rozmaitego wzrostu, które do tej pory zagłuszały swoimi krzykami mewy, teraz ucichły. Erbrow zaczęła kaszleć.

- Oto dlaczego nikogo nie było na tej plaży - odezwał się znów Yorsh. - Erynie to upiory trzech nieszczęsnych kobiet skazanych na śmierć jako czarownice. Przeklęły życie i cały wszechświat i stały się duchami zniszczenia.

-Ale kiedy to się wydarzyło? - spytał Daren Aboil. Pestek także zaczął kaszleć. - Kiedy wydarzyła się ta historia? Co my mamy z tym wspólnego?

-To było jeszcze przed powstaniem królestw elfickich.

-Przed powstaniem królestw? To znaczy kiedy?

-Jakieś dziewięć, dziesięć wieków temu.

-Tysiąc lat temu? Mój syn nie może oddychać przez coś, co wydarzyło się przed tysiącem lat? Co on

ma z tym wspólnego? A co ja mam z tym wspólnego?

-To czarownice nie są córkami elfów? Zdarzyły się jakieś łajda-ctwa, jeszcze zanim zrobili z was królów? - spytał Ospo, który podszedł w trakcie rozmowy. - To był naprawdę świetny pomysł, żeby tu przyjść, ta plaża to prawdziwy skarb. Gdybyśmy zostali w Domu dla Sierot, teraz bylibyśmy już starszymi żołnierzami...

Juna znienawidziła go i tylko dzięki temu zdołała zagłuszyć na moment nienawiść, którą żywiła do samej siebie za to, że milczała gdy cienie zaczęły wypełniać jej sen. Potem przestało być ważne, gdy zobaczyła, że oddech Erbrow, obejmującej ją za nogi, przychodził

małej coraz trudniej. Inne dzieci też zaczęły kaszleć. Yorsh, Dra-bo, Cala i Solario zdołali do nich dotrzeć i wyciągnąć je z wody. Dzieci z powodu słabnącego oddechu wyszły na brzeg z trudem, a ich ruchy były powolne, niczym u starca lub chorego. Juna pozostała na plaży, pochylona nad Erbrow i Pestkiem, obejmując oboje.

- W tamtych czasach „czarownica” nie oznaczało „pochodząca od elfów” - podjął Yorsh, kiedy już byli na brzegu. Jego głos także zaczynał się łamać. - Słowem tym określano uzdrowicielki, kobie ty które pomagały przy porodach i zbierały zioła, by leczyć. Kiedy znad morza nadeszły zarazy, wszyscy oskarżyli uzdrowicielki o to, że im nie zapobiegły, ale one po prostu nie potrafiły ich uleczyć.

Kiedy dochodzi do nieuniknionych tragedii, poszukiwania winne go są pociechą na poczucie niemocy. Uznano, że zaraza była wynikiem zmyśli czarownic.

-No dobrze, co teraz robimy? - spytał znów Daren Aboil, coraz bardziej ochryłym głosem.

-Nie wiem - odparł Yorsh.

Już gdy pojawiły się jako trzy maleńkie czarne punkciki na tle złotego światła popołudnia, powietrze coraz ciężiej zaczęło przechodzić przez gardło, oddech stał się świszczący. Daren Aboil zaczął

kaszleć, a jego twarz pociemniała. Mimo łamiącego się głosu spró-

bował przywołać do siebie dzieci, które milcząc, stały w bezruchu.

Jedynym, które ośmielało się poruszać i hałasować, było morze, ze swoimi zalewającymi daleko brzeg falami, przybijającymi, jakby nie dbając o ciemność. Pestek przycupnął blisko Erbrow; jego ojciec wziął go z powrotem na rękę.

Zrobiło się zimno.

-Ja spróbuję pertraktować - szepnął Yorsh. - Wy uciekajcie! Uciekajcie wszyscy!

-Uciekać? Dokąd? - spytała Juna. Niebo pociemniało.

Postaci wyglądały coraz bardziej złowrogo, ogromne, bliskie. Zewsząd dobiegały odgłosy kaszlu i jęki. Matki rzuciły się do swoich dzieci, by je zakryć. Grupa staruszek, które szukały rogowców w

błotnistych bajorach, ukryła się za wodospadem w nadziei, że woda je ochroni i złagodzi nieznosny żar, który wypełniał ich płuca.

Wypuszczono kilka strzał.

Daren Aboil i Cair Ala podnieśli swoje łuki leżące na piasku, za pomocą których polowali na dorady. Strzały nie musnęły nawet postrzępionych sukni i zakrwawionych rąk. Piskliwy i ohydny śmiech uniósł się nad milczącą zatoką.

Jako ostatnia poszybowała jedna ze strzał Yorsha. Nie chybiła celu: przeszła największą spośród trzech postaci, która pozostała tam, gdzie była, a jej śmiech rozbrzmiewał, coraz ostrzejszy i coraz bardziej szydery.

Drabo i Cala objęli się, trzymając pośrodku Pestka i kaszląc. Ich ręce zacisnęły się mocniej. Niedaleko Ospo krzyżował na piersi swoje pięści wbijając paznokcie w dłonie.

Wszyscy z przerażeniem patrzyli na erynie.

Były to trzy skrzydlate postaci, czarne i w czarnych kapturach, tylko ich ręce, kościste i ociekające krwią, pozostawały widoczne.

Skrzydła miały ogromne i postrzępione, ich cień zasłaniał niebo.

Ciemność zalała świat, a trwoga ogarnęła wszystko: błękitne niebo, na którym latały mewy, bajora i czaple, skały nadbrzeżne z kwitnącymi kaparami, wszystko to pogrążyło się w chłodzie.

Dwie postaci pozostały po bokach, w pewnej odległości.

Trzecia zawisała dokładnie nad ludźmi i to ona przemówiła.

Jej mama wiedziała, że trzy bańki rozpaczy przybędą, by pochłonąć świat.

Oto czym był strach, który w sobie nosiła.

Jej mama widziała to, co miało się wydarzyć.

Ona też widziała to, co miało się wydarzyć, nie wszystko, a jedynie niektóre rzeczy; i to tylko czasami.

Inni nigdy niczego nie widzieli.

Nikt.

Nawet jej tata.

To dlatego oni, ci inni, nigdy nie czuli strachu.

Trzy bańki ciemności pojawiły się na horyzoncie, a potem się zbli-

żyły. Wszystko stało się ciemne.

Ona była przytulona do mamy i nagle jej oddech się urwał, jak wtedy, gdy wpadła do wody; tym razem jednak nie czuła zimna, a coś, co paliło. Pestek był tuż obok niej i choć także kaszłał, dał jej swoją szmacianą piłeczkę, starając się ją trochę pocieszyć. Potem nadszedł

jego tata, by wziąć go na ręce, i zabrał go gdzieś dalej od niej.

Cień stał się czarniejszy niż bezgwiezdna noc.

Jej tata powiedział, by uciekali, lecz nikt nie wiedział dokąd.

Potem to największe coś, to, które mieli nad głowami, zaczęło mówić.

Juna uniosła głowę i odważyła się spojrzeć na unoszącego się nad nią skrzydlatego potwora.

Coś przemówiło. Juna zrozumiała, dlaczego nazywano je

„furiami”.

- Myśmy furie, erynie - ozwał się posępny głos. - Myśmy matki bez potomstwa. Myśmy ból, cierpienie, zemsta, nienawiść.

Juna upadła na ziemię. Przycisnęła Erbrow mocno do siebie. Ból był

ogromny: czuła, jakby rozpalona ziemia wypełniała jej gardło.

Własnym ciałem zakryła córkę. Słyszała pod sobą jej ciężki oddech.

Ciemność pochłonęła plażę.

Furia znów się odezwała:

- Przybywamy, żądając zapłaty za nasze dzieci niepoczęte, nasze dzieci nienarodzone, nasze dzieci zmarłe, nim jeszcze dane im było poznać kolory życia. Nic nie zaspokoi naszej furii. Nic nie uśmierzy naszej nienawiści. Niczym stado kruków oszalałych, niczym stado psów, niczym hieny, wilki i sępy, rozszarpiemy wasz spokój; rozszarpiemy wasze dusze i wasze ciała. To będzie zapłatą dla tych, któ-

rzy nasze ciała rozszarpali i przelali naszą niewinną krew; dla tych, którzy naszą niewinność uznali, lecz zamilkli, stchórzywszy. Zniszczymy tych, którzy oddychają i żyją w tych samych miejscach, które były świadkiem naszego wygnania z królestwa życia. Niczym stado kruków oszalałych. Myśmy furie, erynie. Myśmy ból, cierpienie, zemsta, nienawiść. Wy, głupcy, ośmieliliście się sprofanować miejsce naszej męki; miejsce, gdzie krew nasza i nasze ciała zwęglone świadczyły o ludzkim nie do pojęcia okrucieństwie.

Nagle Juna poczuła, że powietrze znów zaczynało swobodnie przepływać przez jej gardło. Erbrow zakaszlała dwa albo trzy razy, a potem się rozplakała i spośród wszystkich możliwych dźwięków ten był najśłodszy, ponieważ oznaczał, że mała żyje. Juna podniosła wzrok. Pomiędzy nią a eryniami stał Yorsh z rozpostartymi ramionami, a jego cień zakrywał je obie, ją i dziecko. W jego cieniu powietrze było chłodne i czyste. Juna usłyszała, jak Yorsh dyszy, a jego oddech staje się coraz krótszy i coraz bardziej urywany. Zobaczyła, jak upadł na kolana, wciąż jednak chroniąc ich oddech.

Najbliższa spośród trzech erynii, ta, która przemawiała, roześmiała się i odsunęła. Yorsh znalazł się poza jej cieniem. Słońce znów zalśniło na jego srebrzystych włosach. Juna usłyszała, jak kaszle.

-Proszę was - zwrócił się uprzejmie do erynii. - Nie róbcie nam krzywdy. Nie róbcie im krzywdy. One nigdy jej nikomu nie wyrządziły. - Zdołał wstać.

-Chciałabym bardzo poznać wasze imię, młody elfie - powiedziała najbliższa spośród furii. Była najwyższa. Okrywał ją postrzępiony płaszcz, spod którego wychodziły tylko chude i zakrzywione ręce: palce miały zerwane paznokcie. Głębokie rany przecinały dłonie.

-Yorshkrunsquarkjolnerstrink.

-Yorshkrunsquarkjolnerstrink? Ostatni i najpotężniejszy zatem.

Wasza twarz pociemniała w promieniach słońca, śmiertelność naruszyła już wasze ciało, ostatni z elfickich wojowników. Nawet jeśli postanowimy nie zabierać wam oddechu, ciało wasze niedługo już rzucać będzie cień na ziemi.

-Panie - odparł Yorsh - znam wasze imiona. Wasza historia nie jest mi obca. Zanim jeszcze ją przeczytałem, moja matka mi ją opowiedziała, by pamięć o cierpieniu nie zaginęła. Jednym z moich ostatnich wspomnień o niej jest właśnie wasza historia. Jesteście uzdrowicielkami; kobietami, które zbierały rośliny, by leczyć; które asystowały kobietom przy porodach. To wy pielęgnowałyście rany, poparzenia, nastawiałyście złamane kości. Kiedy zarazy, anioły zniszczenia, przybyły zza morze, wasza moc i wasze umiejętności okazały się niewystarczające, by im zaradzić, i to wy zostałyście oskarżone, nazwane czarownicami i razem z nami znieawidzone oraz oskarżone jako źródło wszelkiego zła. Kobiety, panie, matki, nie pamiętacie?

My, elfy, razem z wami wstąpiliśmy na stopy. Również nam dzieci nie narodziły się, gdyż przyszłe matki zgładzono jeszcze jako dziewczęta.

Także nasze dzieci zostały wymordowane razem z waszymi. Piętno czarownic, którym was naznaczono, jest także imieniem nadanym ludzkim żonom elfów i córkom, które rodzą się z małżeństw z kobietami. Nasze córki, które po elfach dziedziczą nieraz moc, często oskarżane są o powodowanie cierpienia ze złej woli, bo jakoby złośliwie nie wykorzystują umiejętności powstrzymywania zła.

Największa spośród trzech furii zaśmiała się. Pozostałe wciąż ponuro i milczały.

- Przyznajemy rację twym słowom, młody elfie, ostatni - odparła. -

Wy umieraliście razem z nami, nie wyrządziliście nam krzywdy, a zatem pozwalamy ci żyć, o ile nie wejdiesz nam w drogę. Usuń się, a oszczędzimy cię. Matka i dziecko są nasze. Jeśli spróbujesz je chronić swym cieniem, i tak umrą, tyle tylko że po tobie. Twierdzisz, że istnieją ludzie niewinni? Może to i prawda, młody elfie, lecz w nienawiści prawda rozplywa się i traci swą wartość. Łatwiej jest zgładzić wszystkich, a ci sami bogowie, którzy nie uratowali kiedyś nas, jeśli tylko zechcą, odróżnią potem niewinnych od winnych. Darujemy ci życie w związku z prześladowaniami, które z nami dzieliliście, lecz żadnej litości nie będziemy miały dla ludzi, z którymi zmieszałeś swą krew. Dlaczego zresztą miałybyśmy? Oni nie ponoszą win, lecz ponosili ją przodkowie, których krew płynie w ich żyłach. Ci sami bogowie, którzy nie mieli litości dla nas, co niczym nie zawiniłyśmy ani żadnej winy nie odziedziczyłyśmy, będą mogli, jeśli tylko zechcą, zająć się prawdą, o której mówisz. Yorsh potrząsnął głową.

Nie ruszył się z miejsca.

-Jesteśmy wyborami, których dokonujemy, nie krwią, która płynie w naszych żyłach. Zawrzyjmy pakt, panie, weźcie moje życie w zamian za ich życie. Wtedy przyznam, że jesteście sprawiedliwe i nie przeklnę waszego imienia.

-Sprawiedliwe? Sprawiedliwość nie jest naszym celem, młody głupcze. Nie zasmuci nas świadomość, że jej nie uszanowałyśmy, ani nie zaniepokoi nas świadomość, że nas potępiłeś.

Pozostawiamy ci wybór między życiem a wspólną z nimi śmiercią.

Nic nie możesz zrobić, by je uratować.

Cień erynii znów zalał świat. Yorsh chronił Junę i Erbrow. Znów stał z rozpostartymi ramionami. Ręce zaczęły mu drżeć. Kaszel wdarł się w oddech młodego elfa. Juna sama poczuła skorpiony, które go dławily.

- Nie waż się go tknąć! - powiedziała Juna do najbliższej z trzech furii. - Trzymaj się od niego z daleka.

Dzięki ciału Yorsha, które zasłaniało ją przed cieniem erynii, Juna oddychała. Podniosła się, postawiła na ziemi Erbrow, która trzymała się kurczowo jej nóg, zrozpaczona i cicha.

- Przykro mi z powodu waszej śmierci. Przykro mi z powodu śmierci waszych dzieci. Nie ważcie się go tknąć. Nie ważcie się tknąć ani jego, ani mojej córki.

-Jak chcesz nas powstrzymać, młoda matko? - powiedziała sar-kastycznie słodkim głosem najdalsza z trzech erynii. - Nic już nie może nas zranić. Nikt nie może nas powstrzymać.

Juna nic nie odpowiedziała. Pomyślała o swoim ojcu. „Nigdy się nie poddawaj”, mawiał. „Nawet jeśli to bezcelowe”. W końcu jest czy nie jest dziedziczką Arduina? Była wojowniczką. Wojownicy giną z bronią w ręku.

Nikt, nawet erynie, furie, nawet same demony piekielne nie będą bezkarnie krzywdzić jej córki ani jej małżonka, nie za jej życia.

Miała jeszcze swoją procę.

Nie zgubiła jej nigdy nawet w Domu dla Sierot. Nawet w lochach Daligar nie znaleźli jej przy niej. To była ta sama proca, którą zrobił

dla niej tata, gdy była jeszcze dzieckiem. Zawsze miała ją przy sobie razem z jednym kamykiem. Juna poczuła drewno procy w swojej dłoni i odzyskała odwagę. Lada chwila Yorsh upadnie na ziemię, a ona zostanie powalona przez cień erynii. Oddała strzał. Jego idealna trajektoria rozpruła niebo pozbawione światła.

Furia runęła na ziemię.

Cień zmał.

Słońce znów zaczęło błyszczeć.

Yorsh opadł bezwładnie na kolana, potem na czworaka. Powoli jego oddech powracał.

-Wynocha stąd! - krzyknęła Juna do erylki. -Już.

Pochyliła się, by pomóc Yorshowi, który teraz kaszłał.

-Dlaczego mnie się udało? Dlaczego ja mogę je powalić?

Yorsh potrzebował paru chwil, by odpowiedzieć. Może musiał się zastanowić, może po prostu brakowało mu tchu.

- Moja pani - poinformował ja łagodnym głosem, gdy wreszcie zdołał go z siebie wydobyć - najpewniej od kilku dni spodziewacie się syna. Nositcie pod sercem nowe dziecko. Tej jesieni nasza córka będzie miała brata.

Zbliżył się do Juny i przytulił ją mocno do siebie.

B

Braciszek? Nowy dzidzius? I jest w środku mamy? Oto, co sprawiło coś małego, ciepłego i mokrego, od kilku dni wy-czuwalnego w brzuchu mamy! To było prawdziwe zmartwienie, że nikt nigdy niczego jej nie tłumaczył i Erbrow wszystkiego musiała się sama domyślać. Był z pewnością wielkim wojownikiem, ten jej mały braciszek, skoro już samo jego istnienie strąciło na ziemię tę czarną kreaturę, która była na niebie i groziła im śmiercią.

Teraz kreatura nie mogła ich już zabić. Siedziała skulona na piasku, czarna plama między lądem a morzem.

Była tylko złością i bólem.

Erbrow poczuła ten ból w swojej głowie, jakby stał się jej własnym.

Odczytała jej emocje tak, jakby to ona sama je przeżyła.

Ujrzała zieleń łąk, gdzie jakaś kobieta zbierała rośliny, by dzięki nim leczyć, i poprzez jej oczy zobaczyła również kształty liści, kwiatów. Poznała nazwy: wilcza jagoda na krótki oddech, euforgia na robaki, mniszek lekarski na opuchnięte stopy.

Przed jej oczami pojawił się mały domek, jeszcze mniejszy niż jej własny, zbudowany z drewna i wiązek suchych gałęzi, oraz dwoje dzieci, które się bawiły a potem halabardników, którzy otaczali chatę. Usłyszała słowo „czarownica”, ujrzała ogień.

Znów usłyszała głos taty. Nadal mówił do mamy:

- One są Aniołami Śmierci, a wy, moja pani, jesteście życiem. Nic nie może powalić eryl, żaden mężczyzna, żaden wojownik, nawet żadna kobieta, z wyjątkiem tej, która strzeże w sobie syna. Wy mo-

żecie je pokonać.

Erbrow poczuła się rozdarta. Chciała żyć. Pragnęła, by jej braciszek mógł się urodzić. Ale nie chciała, by wyrządzono kolejną krzywdę skrzydlatej istocie.

Wystarczy już tego krzywdzenia. Nie wiedziała, jak to powiedzieć mamie, która trzymała w ręce swoją procę i nie sprawiała wrażenia, jakby miała zamiar ją opuścić.

Kiedy jej mama się złościła, trudno się z nią dyskutowało, a teraz była naprawdę rozłoszczona.

Juna poczuła siłę i spokój, które ją przepelniały. Znów zaczęła rozpoznawać szum morza, cykady, wiatr pośród roślin. Zapach morza dotarł do jej nozdrzy, a powietrze stało się czyste. Ona i jej mąż byli niezwyknięci. Oczekiwała kolejnego dziecka.

Ścisnęła procę w dłoni, zostawiła Yorsha i odwróciła się, by stawić czoła dwóm pozostałym zjawom, wciąż wiszącym wysoko nad nią.

Yorsh stanął między nimi i znów rozłożył ramiona, lecz tym razem, by chronić erynie.

-Nie - powiedział. - Nie, panie. Nie odczuwajcie strachu.

-Ja sędzę, że lepiej by go odczuwały - powiedziała ostro Juna, bardzo już wojownicza, i odpędziła gwałtownie Erbrow, która ciągnęła ją z całej siły, jaką w sobie miała, za i tak już porwane ubrania.
Z

pewnością ze strachu zrobiła to biedna mała, lecz w ten sposób jej przeszkadzała, a Juna nie mogła pozwolić, by teraz ją zatrzymywano.

Yorsh przerwał jej jednym gestem. Uniósł dłoń, jakby chcąc ją powstrzymać, i z lekkim uśmiechem potrząsnął głową. Był to gest pe-

len uprzejmości, tak jak wszystko, co robił, lecz miał w sobie także coś nieznoszącego sprzeciwu.

Juna zatrzymała się.

- Panie, proszę was, nie obawiajcie się - powiedział Yorsh, znów zwracając się do erynii. - Nienawiść skierowała was przeciw ludziom, ponieważ strach zatrzymał was w tym życiu: opętane rozpaczą, nie ośmieliłyście się przekroczyć bram królestwa nieskończoności. Za-dano wam niesprawiedliwą i okrutną śmierć, lecz śmierć, o czym nie wiedzą oprawcy, jest pocieszeniem, a wy tego nie dostrzegłyście. Nie miałyście odwagi opuścić tego świata i zamieniłyście się w zjawy, furie, Anioły Śmierci, duchy zniszczenia. Zostałyście uwięzione.

Teraz, proszę was, przestańcie się obawiać. Niech wasz ból zostanie ukojony. Niech będzie tak, że poczujecie miłosierdzie. Proszę was, panie, nie lękajcie się. Niech ukoji was przebaczenie, byście mogły rozpostrzeć swe skrzydła, zmierzając ku nieskończoności. Ja przysięgam stać na straży waszej pamięci. Dzień, który dzieli jesień na dwie części, gdy delikatne mgły otulają świat, poświęcamy pamięci naszych zmarłych i wam ją poświęcimy. Ponacinamy dynie i ustawi-my w środku małe świece, niech migocą światłem, którego delikatny blask przypominał będzie o zdeptanej niewinności i zdradzonej sprawiedliwości. Nazwiemy ten dzień „dnem czarownic” i nigdy nie zapomnimy o waszej męce. Dzień czarownic stanie się corocz-nym świętem, podczas którego ludzkość prosić będzie o wybaczenie wszystkich niesprawiedliwie wyrządzonych krzywd, podczas które-go ofiary i oprawcy spojrzą sobie w twarz bez wyrzutu. Będzie prze-baczeniem. A potem zaczniemy wyczekiwać dnia, który rozpoczyna zimę, tego, w którym noc dominuje nad światłem i blade słońce jaśnieje tylko przez kilka godzin na niebie. Rozświetlimy go naszymi świecami i

uczczymy coroczne święto życia. Będziemy świętować razem z naszymi dziećmi i podziękujemy za ich istnienie, i tym samym również was wspomnimy.

Furia, która była na ziemi, powoli się podniosła i dołączyła do pozostałych dwóch. Trzy plamy zasłoniły niebo, lecz nie rzuciły żadnego cienia.

- Młody głupcze - warknęła najmniejsza spośród trzech erynii -

żałosny durniu, nie wiesz nawet, jak bredzisz. Bramy śmierci są okropne. Emanują przerażeniem, ociekają błotem zmieszonym z krwią.

Yorsh potrząsnął głową i znów rozłożył ramiona, ale w geście nie obronnym, a raczej jakby chciał ją objąć.

- Nie, moje panie, moje biedne matki. Bramy śmierci są okropne tylko od tej strony, od której my je widzimy. Jeśli mamy odwagę, by przestąpić próg, jeśli jesteśmy w stanie to zrobić, nieumęczeni goryczą, wyrzutem sumienia lub żalem, wtedy i tylko wtedy może-my zobaczyć drugą stronę bram, ich inne oblicze. Nie obawiajcie się niczego. Nie lękajcie się. Czekają na was bezkresne łąki pod nieskończonym niebem. Łąki wypełnią się kwiatami na wasze przybycie.

Gwiazdy rozbłysną jeszcze jaśniejszym blaskiem. Macie przed sobą pustynie do pokonania, ale potem nie zaznacie już nigdy pragnienia ani głodu. Kraina miodem i mlekiem płynąca leży po drugiej stronie świata. Aby tam dotrzeć, trzeba umrzeć. Śmierć ma kolor brzasku, głos fal i zapach soli. Często mężczyźni i kobiety pytają tych, którzy nas stworzyli, oczywiście jeśli jest ich wielu, a nie tylko jeden, dlaczego zostaliśmy opuszczeni. Nawet nadzieja odeszła! Ale to nie nadzieja jest ostatnim dla nas darem. Ostatnią towarzyszką, którą nam pozostawili, nie jest ona, a śmierć. To śmierć jest ostatnią towarzyszką, kiedy nadziei już nie ma, kiedy wargi spękane od żaru nie są w stanie dłużej opowiadać, kiedy przerażenie podcięło już skrzydła. To ona wówczas jest ostatnim darem. Niech pochwalony będzie ten, który stworzył świat, za jego litość. Moje panie, kobiety, matki, zbyt długo zwlekałyście. Wasze dzieci, te, które się nie narodziły, zbyt długo już was oczekują same pośród niekończących się łąk, pod nieskończonym niebem. Idźcie i weźcie je za ręce, opowiedzcie historie, które je pocieszą opowiedzcie im o życiach, których nie miały. Prosimy was o wasze przebaczenie za całe zło, które świat wam wyrządził, i dajemy wam nasze za całe zło, które wy wyrządziłyście światu. Teraz wasz czas dobiegł już końca. Teraz odejdźcie.

Juna stała wciąż za Yorshem, z procą w ręku i córeczką uczeponą jej nóg. Erbrow zażądała, by wzięto ją na ręce, zapewne nie zrozumiała powagi sytuacji, bo nie wyglądała na przestraszoną; co więcej, kiedy

już znalazła się na wysokości twarzy swojej matki, zaczęła ją głaskać, jakby to Junę chciała uspokoić.

Erynie tkwiły w bezruchu. Jedna, duża, ta, która została powalona na ziemię, była pośrodku, dwie mniejsze, wysoko na niebie.

Ich cień stawał się coraz mniej wyraźny.

Wszyscy - również Drabo, Jastrin, Cala, młody drwal - z trudem łapali oddech. Wszędzie rozbrzmiewały ataki kaszlu i pierwsze pró-

by, zachryple i urywane, wydania z siebie głosu.

Mewy znów pojawiły się na niebie. Ich pisk przeciął powietrze i dołączył do dłuższego i głębszego krzyku nadmorskich orłów.

Erbrow roześmiała się, a zaraz po jej śmiechu rozbrzmiał długi i radosny śmiech innych dzieci.

- Poszły sobie? - spytał ktoś. - Odeszły?

Niebo znów było błękitne, bez żadnej ciemnej plamy. Przecinały je duże, białe chmury, gnane przez wiatr z północy.

- Odeszły - potwierdził Yorsh. - Nie wrócą. Lecz my będziemy o nich pamiętać i zrobimy wszystko, by ta pamięć na zawsze pozostawała w świecie. Już zawsze z bólem i szacunkiem będziemy wspominać wszystkie kobiety, których jedyną winą było asystowanie przy porodach i zbieranie roślin, by leczyć, i przez to zostały nazwane czarownicami.

Obrócił się, by spojrzeć na Junę.

- Pani moja - powiedział cicho.

Juna upuściła procę. Ogarnęło ją ogromne zmęczenie. Lada chwila miała upaść na ziemię.

- Moje imię... - zaczęła.

Nie zdołała dokończyć. Po raz kolejny przerwał jej krzyk feniksa, lecz tym razem brzmiał inaczej. Nie było w nim zgrzytu ani nienawiści. Tylko cierpienie. Cierpienie pełne godności.

Tymczasem Juna zemdląca.

Potrzebowała dużo czasu, by dojść do siebie. Kiedy w końcu odzyskała siły, panowała już noc. Wiatr ucichł i delikatny deszczyk obmywał świat.

Juna leżała wyciągnięta na łóżku w swoim domu. Yorsh pochylał

się nad nią. Erbrow odezwała się słabym, stęsknionym głosem i był to pierwszy dźwięk, jaki Juna usłyszała.

- Mama?

Juna uspokoiła ją uśmiechem. Znajdująca się w pobliżu samica feniksa spoglądała na nią, przejęta.

- Juno, miłości moja, dobrze się czujesz? Dobrze się czujecie, moja

pani? - spytał Yorsh.

- Dobrze się czujecie, moja pani? - powtórzył niczym echo feniks.

Moja pani? Feniks nigdy nie zwrócił się do niej „moja pani”.

Juna spojrzała na samicę zdezorientowana. Po niedawnej nienawiści i drwinie nie było nawet śladu.

- Czuję się dobrze, dziękuję. Teraz już dobrze - odparła uspokajająco. - Czemu ona krzyknęła? - spytała Yorsha, wskazując na feniksa.

To, że tolerowała stwora, nadal nie wystarczało, by Juna chciała się do ptaka zwrócić. Tym razem samica sama jej odpowiedziała.

-Złożyłam jajo - powiedziała głosem jednocześnie nieśmiałym i poważnym. - Wiecie, moja pani, będę miała potomstwo. Ja sama umrę.

-Wy... co takiego? - spytała Juna.

-Po tym, jak złożone zostanie jajo, nie możemy dłużej otrzymywać młodości wiecznej, od czasu do czasu się spalając. Wkrótce umrę.

Postanowiłam umrzeć. Czeka mnie śmierć i sama ją wybrałam.

Mój ród także miał do wyboru nieśmiertelność. Widzicie, pani, byliśmy rodem wspaniałym, silnym, dumnym. Tak jak i smoki, z którymi przez czas długi wspólnie zamieszkivaliśmy wszechświat, umieramy, stając się rodzicami. Od momentu, w którym jajo nasze składamy, nasze dni są policzone. Imię moje, teraz do pamięci mej ono powróciło, to Angkeel, „posłaniec”. Ja, tak jak i siostry moje, przynosiłam ludziom głos bogów i bogowie, by nas wynagrodzić, pozwolili nam starość i śmierć naszą w czasie odroczyć. Był to dar straszny. Żadna chwila odpowiedzią na ostateczną śmierć nie była.

Płomień błękitny i złoty wymazywał czas, i wszystko od nowa się zaczynało. Biada

nam, bo zbyt późno sobie zdałyśmy sprawę, że za każdym razem coraz głębsze i bardziej pokraczne się odradzałyśmy. Utraciłyśmy zdolność latania. Utraciłyśmy dar intelektu. Jedyne zawziętość, rozgoryczenie i nienawiść nam pozostały, skierowane przeciw jakiemu-kolwiek życiu, które nie było tak niedorzeczne jak nasza wieczność.

I im bardziej spełnionym wydawało się dane życie, tym bardziej my, tkwiąc w pustce, nienawidziłyśmy go. Smoki srogie ulitowały się nad nami. Jedna po drugiej, spiesząc się, by nie umrzeć bezpotomnie, siostry me swe jaja złożyły i teraz ich potomstwo pod niebo lata.

Feniks zaczerpnął tchu.

- Mój panie - powiedział do Yorsha - proszę was o przebaczenie.

Nienawiść moja dla was była całkowita. Wy, którzy mieliście odwagę zrezygnować z wieczności, odrzucając tym samym strach przed śmiercią, jak nikt inny wcześniej wzbudziliście moją zawiść. Z oba wy przed śmiercią, my zrezygnowaliśmy z życia. Ale powiedzcie mi, proszę was, panie mój, czy prawdą jest to, co powiedzieliście matkom? Brama nieskończoności, okropna i przeraźliwa, ma jeszcze inne oblicze? Nie było to z waszej strony tylko kłamstwo litościwe, by matki owe uspokoić? Nie? Dobrze zatem, mój panie. O jeszcze jedną łaskę chcę was prosić. Kiedy już moje potomstwo się narodzi, czy możecie nad jego nieopierzoną młodością sprawować opiekę?

Opowiedzieliście mi, że również dla smoka to uczyniliście. Tak jak smok nie przeżyje i ja wysiadywania, i tak samo jak smok nie będę mogła się moim młodym zająć, który tak jak i smoka młode, będzie potrzebował kogoś, kto latać go nauczy, lecz musi go tego nauczyć ktoś z jego gatunku, rozumiecie? Wiecie, młode moje będzie latać wysoko, tak jak i ja na początku świata.

Samica usunęła się. Było pod nią jedno jajo, o wiele mniejsze niż jajo smoka i tak samo piękne: spirale srebra i złota przeplatały się na błękitnym tle.

-Ile trwa wasze wysiadywanie? - spytała Juna.

-Trzy księżyce, moja pani.

-Trzy księżyce! Wysiadywanie smoka trwało całe lata!

- Smok w trakcie wysiadywania całą wiedzę swoją, moja pani, młodości przekazuje. Ja daję tylko życie. Lecz potomstwo moje nie będzie musiało umrzeć, by zostać rodzicem. Ono tak jak wy postąpi: dwa życia się jednoczą, by trzecie się zrodziło i nie było niczyją kopią identyczną, lecz trochę ojca, a trochę matkę przypominało.

Potomstwo moje nie będzie daru mowy posiadać, lecz otrzyma dar latania, odwagi i intelektu.

Dziwny hałas skrzydeł zatrzepotał pośród nocy. Juna czuła się już dobrze i wyszła w ciemność. Yorsh trzymał na ramieniu Erbrow.

Nadmorskie orły przysiadły na ziemi i okrążyły ich chatkę, ciche i spokojne, jakby czegoś wyczekiwały. Były duże, majestatyczne, o białym i błękitnym upierzeniu, które oświetlało słabe światło gwiazd.

-Iksi eci - wyjaśniła pogodnie Erbrow, zdezorientowanym rodzicom. - Iksi eci!

-Feniksy dzieci - przetłumaczył jej ojciec. - Feniksy dzieci. One!

Dzieci feniksów!

Wielkie orły przytaknęły. Ich spojrzenie było spokojne i dumne.

Miało się wrażenie, że uśmiechnęły się pośród ciemności.

Dni wysiadania były dziwnymi dniami, podczas których podniecenie przeplatało się ze smutkiem. Dwie drogi: ta w stronę narodzin i ta ku śmierci, przecinały się nawzajem. To wywoływało lekką melancholię, która mieszała się z dyskretnym zadowoleniem.

Z każdym dniem, który przemijał, pamięć feniksa wyłaniała się na powrót spośród ruchomych piasków, gdzie pogrążała się uprzednio, z każdym kolejnym wcieleniem i płonącym stosem. Feniks przypominał sobie dawne dzieje, wydarzenia z czasów swoich narodzin, śmierć Arduina. Zobaczył na nowo całą historię świata ludzi, gdzie toczyło się jego życie; warzelnie, które dostarczały światu wielkich ilości soli, lśniącej w słońcu niczym śnieg na górskich szczytach; port, statki, piratów, którzy doprowadzili zatokę do ruiny, zanim jeszcze przybyły erynie, aby zniszczyć ją swoją okrutną furją.

Wreszcie samica przypominała sobie o jaskiniach, dziesiątkach otworów w skalistym masywie, pośród wspaniałych, przyprawiają-

cych o zawrót głowy rozbłysków światła między wodą i stromą górą, która wyrastała wysoko nad Wyspą Stołową. Pamiętała, że w grotach tych ludzie ze starego portu zgromadzili wszystkie towary i wszystkie bogactwa, które chcieli zabrać ze sobą na drugą stronę morza, jak tylko piraci przystaliby na rozejm.

Wspomnienie ostatniego lotu Erbrowa Starszego zaprzętało myśli Yorsha.

-Towary? - spytał Yorsh.

-Towary - potwierdził feniks.

Tkaniny na szaty i żagle, sieci, żyłki, haczyki, łopaty, motyki, pługi, widły, siekiery, igły, noże, małe ostrza, broń, błyskotki, pergamin, kołowrotki, wosk na świece, miski, dzbany, młotki, kowadła, skóry na buty, lejce i siodła, miecze, strzały, hełmy, zbroje...

Wszystko to, co mogło się przydać wiosce. Wszelkie rzeczy, które przydawały się w życiu, a nie można ich było wydobyć z ziemi ani morza...

Yorsh, Daren Aboil, Solario i mężczyźni, którzy potrafili lepiej pływać, zbudowali mnóstwo tratw i odbyli nieskończoną ilość po-dróży. Każda z nich bardziej męcząca od poprzedniej, lecz również bardziej udana, bo przynosząca niezliczoną ilość darów, które pochodziły z innego czasu, w pewnym sensie jakby z nieba i od bogów.

Nie wszystko było w dobrym stanie. Ale wszystko okazało się użyteczne.

W ciągu kilku dni każdy z nich miał ubrania i zaczął nosić obuwie, co zresztą na początku było nieznośne, po tym jak przyzwyczaili się do chodzenia boso. Jastrin otrzymał całe zwoje pergaminu i pamięć świata zaczęła być spisywana. Juna dostała srebrną spinkę do włosów, którą jednak podarowała Rimarze, jak tylko Yorsh wyznał

jej, że o wiele bardziej wolał swoją żonę z muszelkami i kwiatami we włosach.

Z nastaniem trzeciego księżyca jajo się otworzyło; było to w po-

łudnie jednego z pierwszych dni wiosny. Słońce stało wysoko nad ziemią. Samica feniksa siedziała tuż nad morzem, z głową na kolanach Erbrow, która nie chciała nawet słyszeć o oddaleniu się gdzieś.

Yorsh był blisko niej: dziewczynka opierała się plecami o jego bok, by ojciec mógł ją pocieszyć, jak tylko feniks umrze.

Małe, które wyszło z jaja, było małym samcem, mokrym, nieopierzonym i łysym, tak jak każde pisklę i nie było wątpliwości, że kiedyś stanie się orłem. On i jego matka spojrzeli sobie w oczy, a potem samica umarła. Wielkie orły nadmorskie zniżyły się w po-wolnym locie i utworzyły wokół niej półkole otwarte na morze, by umierając, mogła widzieć horyzont. Erbrow nie rozplakała się, lecz pozostała pogodna z pisklęciem w ręku pośród kręgu utworzonego przez orły. Juna ani na chwilę nie spuszczała z oka swojej córki, któ-

ra siedziała spokojnie, otoczone przez mrowie dziobów i szponów.

Mimo wszystko Juna postanowiła nie interweniować, choć przyszło jej to z wielkim trudem.

Mieszkańcy wioski, którzy śledzili całe wydarzenie z daleka, zbli-

żyli się. Wielu z nich było wzruszonych. Niektórzy zapłakali.

Postanowiono spalić feniksa i wszyscy zaczęli zbierać drewno na stos pogrzebowy.

W tym momencie zjawił się Ospo z propozycją urządzenia kuli-narnych uroczystości pogrzebowych.

Zanim jeszcze zdążył otworzyć usta i zapytać, dlaczego zamiast palić kuraka, nie zjedzą go, Erbrow zakryła sobie twarz dłońmi, a pisklę, które trzymała na kolanach, choć maleńkie, zwróciło się przeciw mężczyźnie z całą agresywnością, na jaką było je stać.

Przez króciutką chwilę Ospo spojrział na dziewczynkę i Yorsh dostrzegł w jego oczach nienawiść. I wtedy zdał sobie wreszcie sprawę ze strachu córki przed spojrzeniem tego człowieka. Niezliczoną ilość razy zdarzyło się, że Erbrow kazała się nagle brać na ręce, i za każdym razem Yorsh wyczuwał w niej strach. Przypisywał to złym snom, marzeniom, grom cieni, potworom z bajek pojawiającym się w opowieściach obok innych niesamowitych stworzeń i zjawisk.

Teraz dopiero powiązał ze sobą oba fakty: strach dziewczynki wzbudzało pojawienie się Ospa.

Pojął również, że pisklę czytało w ludzkim umyśle: w przeciwiem-

stwie do niego, który nie był w stanie ochronić swej córki, mały orzełek, jak tylko się wyklął, nieopierzony i mokry, wyczuł strach jego dziecka i nienawiść Ospa. On, Yorsh, tego nie potrafił.

Yorsh wstał i stanął twarzą twarzą z wrogiem.

- Trzymaj się z dala od mojej córki albo cię zniszczę - powiedział

mu. Nie podniósł głosu. Jego oblicze pozostało spokojne. Nikt, poza nimi dwoma, nie usłyszał tych słów.

Ospo spojrział na niego z krzywym uśmiechem.

-Nic nie zrobiłem - syknął agresywnie. - Nie możesz mnie skrzywdzić, jeśli nic nie zrobiłem. Przecież nie można nikogo ukarać za coś, co tylko pomyślał. Najpierw spisujesz te swoje reguły na skałę, a potem masz coś do kogoś, kto nigdy nie zrobił nic złego. Co jest? Czy twojej małej Księżniczce dzieje się krzywda od samego patrzenia na nią?

-Trzymaj się z dala od mojej żony i mojej córki albo cię zniszczę.

Mówię ci to po raz drugi i ostatni.

Ospo odszedł.

Feniks palił się powoli.

Nie pojawiło się żadne niesamowite światło ani dym czy zapach spalonego mięsa.

Erbrow i pisklę spoglądali spokojnie na płonącego ptaka. Byli smutni i poważni, lecz nie płakali; żadne z nich się nie rozpląkało.

Po wszystkim został tylko delikatny popiół, który wiatr rozrzucił na morzu, gdzie zniknął wśród fal. Orły nadmorskie zerwały się do lotu i krążyły długo w świetle zachodzącego słońca.

Pisklę nazwano Angkeel. Erbrow i Jastrin wzięli na siebie obowiązek pielęgnowania go i karmienia. Orzełek uwielbiał krewetki, zjadał ślimaki i ostrygi, ale za obrazę uznawał jakąkolwiek rybę, mięczaka i skorupiaka, które nie byłyby świeżutkie lub - niech bogowie bronią - stanowiłyby resztkę z czyjegoś posiłku.

Bezgraniczną miłością darzył Erbrow, a Jastrina niejasną sympatią. Junę i Yorsha tolerował.

Co do wszystkich pozostałych, to nie znosił, by się do niego zbli-

żali. Był obdarzony zabójczym dziobem i ostrymi jak brzytwa szponami. Miał charakter z piekła rodem i wilczy apetyt.

Kiedy nie jadł, nie polował na kury, nie doprowadzał do szału koni, nie biegał za czaplami, nie niszczył nielicznych, cennych sieci i nie płoszył ryb, trzepocząc skrzydłami na nadbrzeżnych skałach - siedział na rękach u Erbrow, która jeszcze nigdy nie była tak zadowolona.

Kiedy minęły trzy księżycy i lato było już za pasem, dla wszystkich stało się jasne, że orzełek podrośł

na tyle, by móc nauczyć się latać.

Powstało zatem pytanie, jak zanieść go aż na szczyt nadbrzeżnej skały.

Juna wyplotła dla malca coś w rodzaju kosza z trzciny, gdzie mógł

sobie wygodnie siedzieć, a Yorsh wspiął się na stromy brzeg, by dostarczyć go na szczyt.

Pożegnanie orzełka i Erbrow było długie i wzruszające.

Skała była bardzo stroma i trudna do zdobycia, z niewidoma występami, na których można by się oprzeć, i bez żadnych półek, gdzie dałoby się zaczerpnąć tchu.

Ramiona i plecy bolały Yorsha z wysiłku. Podczas całej wspinaczki otaczały go orły nadmorskie, które krążyły wokół niego dumnie, muskając go skrzydłami, ogłuszając krzykami i narażając go na niebezpieczeństwo utraty równowagi.

Kiedy wreszcie dotarł na szczyt stromej skały nadbrzeżnej, był

wykończony. Miał suche i popękane usta. Orzełek został przyjęty przez orły z wielką atencją i nakarmiony. Obfity posiłek, w postaci głowy królika ociekającej jeszcze krwią oraz połówki mewy trochę już obgryzionej, został również zaproponowany Yorshowi. Na szczęście przyjaźń między nim a orłami nie zakończyła się pomimo jego uprzejmej, aczkolwiek stanowczej odmowy przyjęcia poczę-

stunku.

Morze było tak piękne, że aż zapierało dech w piersiach. Zatoka Erbrow lśniła w słońcu. Od czasów swojej młodości, kiedy to przez dwa miesiące podróżował na grzbiecie smoka, Yorsh nie oglądał

morza z takiej wysokości. Na wschodzie Góry Ciemności wznosiły się jeszcze zieleńsze niż szmaragd w blasku słońca.

Yorsh poznał doliny, nad którymi leciał, siedząc między skrzyd-

łami swego brata smoka. Rozpoznał zakola Dogonu, które przeciął z Sajrą i Monserem. Wzdłuż nich wracał też razem z Juną i tymi, którzy stanowili teraz ludność jego wioski.

Poznał także, i nie było to trudne, jako że odległość nie przekraczała kilku mil, dwie postaci, które wolno poruszały się o wiele ni-

żej, w pobliżu miejsca, gdzie zaczynał się wodospad. Byli to dwaj mężczyźni, jeden wciąż jeszcze trochę gruby, drugi już okropnie wychudzony, i choć upłynęło osiem lat, Yorsh rozpoznał ich od razu

-
Lebiod i Obal, dwaj żołnierzy, którzy pilnowali Juny w lochach Daligar. Dobrzy ludzie, mimo że żaden z nich nie był wcieleniem ani uczciwości, ani odwagi. Nie byli jednak nieuprzejmi wobec

dziewczynki.

Wydawali się ranni, załamani i u kresu sił, poszukując rozpaczliwie jakiegoś sposobu zejścia ze skały bez skręcenia sobie przy tym karku.

Żegnając się z orłami, i złożywszy im głębokie ukłony, Yorsh, chcąc nie chcąc, zabrał głowę królika oraz połówkę mewy i ruszył.

Przeszedł się pośród paproci i dębów, które przypomniały mu o krajobrazach niewidzianych od lat. Nawet pomimo naglącej potrzeby zaspokojenia pragnienia, mimo chęci, by dogonić tych dwóch, Yorsh nie był w stanie biec. To nie tylko zmęczenie spowalniało ruchy jego nóg. Sprawilo to uczucie chłodu w klatce piersiowej, którego nie czuł już od dawna. Nie oznaczało ono bynajmniej głodu.

Strach.

To koniec.

Znaleźli ich.

Znaleźli go.

Są tu.

Lebiod i Obal nie należeli do tych żołnierzy, którzy puściliby się za nim w pogoń, by go schwytać. Ani do tego typu ludzi, którzy ryzykują własnym życiem, życiem głów rodziny, by przybyć z ostrzeżeniem, że ktoś go chce schwytać.

Może nie chodzi o niego... Może tylko są ścigani... Odkryto, że zdezerterowali, i to wszystko... Nie wiedząc, dokąd uciekać, dotarli aż do wodospadu, gdzie zatrzymali się nad przerażającą przepaścią.

Istniało jednak jeszcze jedno wyjaśnienie: coś straszego przytrafi-

ło się światu ludzi, a ci dwaj uciekają.

Pamiętał jednak, że Lebiod i Obal mieli żony i dzieci, dużo dzieci, a żon i dzieci się nie opuszcza, zwłaszcza jeśli dzieje się coś poważ-

nego, coś straszego.

Chyba że... rusza się, by szukać pomocy.

Druga myśl była taka, że przyszli go odszukać. Widocznie coś straszego musiało spotkać ludzi, skoro szukali jakiegokolwiek pomocy, łącznie z mocą elfa.

Niebezpieczeństwo musiało być tak poważne, że nienawiść dla jego rodu, zbyt okrutna, by mógł wymazać ją z pamięci, przestała być ważna

Yorsh zorientował się, że zwolnił kroku.

Nie chciał wcale usłyszeć, co się stało.

Nie chciał tego nawet wiedzieć.

Chciał, by życie biegło dalej, tak jak do tej pory. On. Juna. Erbrow.

Pozostali. Wyprawy na ryby. Jego dom. Plaża. Sam zbudował swoje życie, odrywając ślimaki od nadbrzeżnych skał, posyłając strzały w dorady, by jego córka miała co jeść, i układając kamienie jeden na drugim, by jego ludzie mieli dach nad głową podczas burzy.

Nowe dziecko, które rosło w ciepłej ciemności brzucha Juny, narodzi się, tak jak Erbrow, kołysane szumem fal i potem wzięte na ręce przez swego ojca.

Pragnął, by to wszystko trwało nadal, wiecznie.

Nie chciał wiedzieć, co się działo.

Nikomu nie był nic winien.

Nikomu nie byli nic winni. Uciekli, ścigani przez wszystkich, nie wspierani przez nikogo, z wyjątkiem ostatniego ze smoków, który został zabity, a uśmiercił go tenże świat ludzi, teraz przybywający, by prosić o pomoc. Sami odbudowali swoje życie, szukając rogowców w piasku na brzegu, drżąc z zimna zimą lub smażąc się w słoń-

cu latem.

Yorsh zatrzymał się.

Pokusa była bardzo silna. Chciał zawrócić.

Jeszcze go nie zobaczyli.

Nikt nigdy by się o tym nie dowiedział.

Na pewno tu nie umrą, szukając czegoś do jedzenia, ani nie zabiją się, schodząc w dół, wzdłuż wodospadu. Mieli wody pod dostatkiem, któryś z nich zdoła złapać jakiegoś pstrąga. Nawzajem się wyleczą, razem pocieszą, a potem sobie pójdą.

To nie była jego sprawa: nigdy ich nie zapraszał, nigdy nie gościł.

W cieniu lasu światło było zielone, jak paprocie, między którymi szedł. Przypomniało mu to skrzydła ostatniego smoka, jego brata.

Po raz pierwszy zapytał siebie czy Erbrow Młodszy, zanim jeszcze postanowił poświęcić swe życie, by oni wszyscy mogli żyć, również nie odczuł pokusy, by odejść i uratować się.

Ojciec i matka Juny też nigdy go nie zapraszali do swojego życia, po prostu natknęli się na niego i go uratowali.

Rodowi elfów nigdy nie przyszłoby na myśl prześladować jakąś żywą istotę. Oni, gdyby trafili na prześladowanego, oplakivaliby jego śmierć z pomocą pięknych pieśni i subtelnej poezji. Opowiedzieliby jego dzieje, stawiając na pergaminie, litery ozdobione złotymi ornamentami. Przedstawiliby losy na wielkich freskach, dzięki którym mury stałyby się jak karty historii pełne wspomnień. Elfy nigdy nie ruszyłyby mu na ratunek. Nie tylko dlatego, że nieśmiertelność może stać się trudnym do pojęcia darem i zdarza się, że czyni tchórzem tego, kto ją posiada, lecz też dlatego, że ratowanie prześladowanych wymaga czasem większego poświęcenia. Nie tylko oddania ofierze własnego życia, ale również duszy.

By kogoś wybawić, czasem trzeba walczyć.

A walka to ryzyko śmierci lub kalectwa. Może oznaczać cios mieczem, który na zawsze coś łamie, odcina lub kaleczy.

Może oznaczać zabijanie, ból i cierpienie.

Ludzie prześladowali i zabijali, ale też ratowali.

Czasem bywali bardziej okrutni od orków, lecz ich współczucie potrafiło być o wiele większe niż współczucie bogów.

Yorsh poczuł wstyd. To byli dwaj ranni mężczyźni, których dostrzegł zrozpaczonych pośród bloków skalnych. Cokolwiek przy-gnało ich aż tu, nie godziło się im nie pomóc.

Pomoże im, nakarmi ich, wyleczy i ugości.

Wreszcie las się skończył. Otworzyła się przed nim polana. Hałas wodospadu otoczył Yorsha, tak samo jak blask światła.

Lebiod i Obal zobaczyli go, rozpoznali i poinformowali, że orkowie wrócili, tak jak za czasów Arduina, lecz tym razem Arduina już nie ma. Powiedzieli mu, że Varil, miasto, które ich przygarnęło, ich, żony i ich dzieci, było obleżone i jeśli nikt nie wyruszy mu z odsieczą, upadnie. A potem powiedzieli, że nikogo już nie ma. Armia Varil została zmasakrowana. Zarządca, co było oczywiste, nie miał zamiaru poświęcać ani jednego żołnierza z Daligar, by wysłać go do nich.

Pozostawał tylko on. On jest księciem, prawda? Nie? Kimś w tym rodzaju? Wojownikiem? Przecież musiał być, widzieli go w akcji!

Wyciągnął miecz, który został wbity w kamień. Taka rzecz coś przecież oznacza! Ci, którym udaje się wyjąć miecz z kamienia, zawsze zwyciężają. Nawet w książkach piszą, że ten, kto wyciąga miecz z kamienia, potem jest już niezwyciężony. Oni tam książek nie znają, takie to życie, nie umieją przecież czytać. Ale tyle to wie nawet dziecko. Nie chcieli sprawiać kłopotu, przyszli tylko spytać, czy on, Yorsh, byłby na tyle uprzejmy, by iść wygrać dla nich tę wojnę, i wtedy oni mogliby wrócić do swoich domów, no, a w tych domach, w mieście otoczonym szczelnie przez orków, są ich dzieci.

Zaraz zostawią go w spokoju. Przecież nie chcieli mu wcale sprawiać kłopotu, ale jest on ostatnim z elfickich wojowników, i tylko on przyszedł im na myśl. Jak nie on, to kto? Coś przecież może zrobić. Prawda, że coś może zrobić? Wiedzą, że miał smoka. Słyszeli też, że mu go zabili, plotki krążą. Wszyscy wiedzą wszystko o wszystkich, takie to życie. Przykro im, że zabili mu smoka. Ma może jeszcze jednego? Nie? To pech! Smok na orków by się przydał. Ale nawet bez smoka... on przecież jest księciem? Nie? Nic mu o tym nie wiadomo? Wojownikiem? Też nie? Kimś jednak musi być. Coś zrobi. Jest tym, który wziął miecz zmarłego króla, coś musi zrobić!

Yorsh był zdesperowany.

Nie chciał opuszczać Juny, która spodziewała się kolejnego dziecka. Nie chciał zostawiać swojej córeczki, która posiadała moc czarownicy i tylko on mógł ją ochronić i zrozumieć.

Nie chciał oddalać się od plaży, która nosiła imię jego brata smoka; gdzie przeżywał dni, które były zawsze słoneczne.

Jedynym, co mógł zrobić dla obleżonego miasta Varil, było na-pisanie poematu. Pięknego poematu. Oczywiście epickiego. Dwu-nastozgłoskowcem, z rymami krzyżowymi. W epikę mógłby wpleść melodramatyczną historię. Król wojownik? Zbyt to oklepane. Kró-

lowa wojownicza. Król wojownik ginie za swoją małżonkę, a ona z rozpacz po jego śmierci i z potęgi jego miłości czerpie siłę, by zwyciężyć w beznadziejnej wojnie.

Porozmyślał jeszcze nad paroma innymi gatunkami literackimi, o bardziej nietypowej wersyfikacji i rymie, potem przestał dumać nad głupstwami i przystał na propozycję tych dwóch, których dzieci były w mieście otoczonym przez orków.

Nie chodziło tylko o to, że gdyby orkowie zwyciężyli, to prędzej czy później, oby tylko jak najpóźniej, dotarliby w końcu nad morze.

I pewnego dnia okazałoby się, że nic, poza pionowymi ścianami nadbrzeżnej skały, nie chroni ich plaży przed orkami.

Było jeszcze coś innego.

Nie chciał, by Juna i Erbrow były żoną i córką kogoś, kto mógł

walczyć w obronie obleżonego miasta i tego nie uczynił.

Gdyby przepędził Lebioda i Obala, gdyby obrócił się na pięcie i poszedł sobie, Juna i Erbrow z pewnością nigdy by się o tym nie dowiedziały; lecz wiedziałyby o tym on i od tej pory nie mógłby im spojrzeć w oczy.

Był ostatnim i najpotężniejszym z elfów.

Coś przyjdzie mu do głowy. Coś zrobi.

Jeśli nie on, to kto?

Erbrow była zdezorientowana. Działy się dziwne rzeczy. Jej tata wszedł na szczyt od strony skały nadbrzeżnej, a zszedł z niego od strony wodospadu. Wyruszył, zabierając ze sobą Angkeela, wrócił, przyprowadzając ze sobą dwóch innych tatusiów.

Wyruszył pewien siebie i zadowolony, z orłami, które latały wokół niego, a wrócił zrozpaczony i ponury.

Dwaj tatusiowie, których przyprowadził ze sobą, byli ranni i opowiadali straszne rzeczy: ich dzieci znajdowały się w miejscu, gdzie tylko mur oddzielał je od tych, którzy chcieli je zabić. Ci, którzy chcieli je zabić, byłiby zadowoleni i zatańczyliby, kiedy już by je zabili.

Erbrow znów była smutna.

Na początku wszystko było jedną wielką rozmową. Wszyscy mówili

ze wszystkimi. Kiedy milczeli, stali ze splecionymi rękami, patrząc w ziemię i kręcąc głową. Nikt nie rozmawiał z nią i musiała próbować zrozumieć, co się działo, po wyrazach twarzy i z urywa-nych słów.

Pojęła, że gdzieś były dzieci w niebezpieczeństwie i jej tata musiał

iść. Dwaj inni tatusiowie nie pochodzili z ich wioski, a z tamtego miejsca, odległego i straszego, gdzie znajdowały się ich dzieci, i o tych właśnie dzieciach ci dwaj tatusiowie mówili, i to dużo. Jeden z tatusiów, ten bardziej okrągły, z raną ramienia, powtarzał cały czas: „Takie to życie”, ten drugi, bardziej pociągły, miał ranną nogę i powtarzał ciągle: „Nawet dziecko to wie”. Nie przypominała sobie dobrze, które dzieci były jednego, a które drugiego, bo myliła je ze sobą. Dalia, która była już mamą, Gioeri, który urodził się ostatni, i wszyscy ci pośrodku: dziewczynka z warkoczykami, chłopiec z procą, ten, który miał ciągle katar...

Erbrow nie chciała, żeby jej tata gdzieś poszedł. Pragnęła, by został, bardzo, bardzo, ze wszystkich sił.

Ale jednocześnie chciała, by poszedł. Bała się o dzieci zostawione w tamtym okropnym miejscu. Jej tata im nie pomógł.

Angkeel został zabrany na szczyt skały, daleko od niej. Widywała go czasami, kiedy słońce w pełni oświetlało płaskowyż orłów, podczas gdy podejmował nieporadne i niezdarne próby lotu, które kończyły się pośród krzaków na skraju zbocza.

Mama znów się bała. Była zamknięta w sobie jak małża w muszli i nie mówiła nic do nikogo.

Lękała się, ale i tak wspaniale było przebywać u niej na rękach, bo słyszało się już nie tylko serce mamy.

Byli braciszczowie.

Dwaj.

Teraz, gdy stali się więksi, dawało się ich rozróżnić.

Mieszkało tam większe serduszko, spokojne i silne, i jedno mniejsze, które biło szybko i delikatnie. Poza tym była ta śmieszna gra.

Jej mama powiedziała Cali, że spodziewała się dziecka, i Erbrow nie zdołała zrozumieć, dlaczego mama mówiła, że jednego, skoro było przecież dwoje dzieci pod jej sercem.

Mężczyźni znów chwycili za łopaty i wykopali przejście za wodospadem. Mówili, że to już drugi raz je otwierają, i że tym razem poszło im dużo szybciej i dużo łatwiej; przejście było wystarczająco duże, by zmieściły się konie, bo dwa z nich miały iść z jej tatą.

Yorsh spędził cały dzień i cały wieczór z nią na ręku, opowiadając jej historie i śpiewając piosenki. Potem nagle zniknął: obudziła się któregoś ranka, a jego już nie było. Wszyscy zastanawiali się, dlaczego wyruszył nocą, nie żegnając się z nikim, aż wreszcie Drabo znalazł odpowiedź na to pytanie: jej tata oszedł, zabierając ze sobą nienawistnego człowieka. Tylko nocą mógł to zrobić, kiedy nikt nie odwiódłby go od tak nedorzecznego i niebezpiecznego kroku. Nikt nie potrafił zrozumieć powodów tej decyzji, z wyjątkiem Erbrow: jej tata nie chciał pozostawiać nienawidzonego jej człowieka zbyt blisko, bo wiedział już teraz, że ten mężczyzna sprawia, że ona źle się czuje. Nie powiedział tego jednak mamie, bo gdyby się o tym dowiedziała, po prostu by się go pozbyła. A tata nie chciał, by jakiś człowiek, nawet zły, został zabity, zwłaszcza przez mamę.

Strach mamy stał się twardy niczym kamień; Juna jeszcze bardziej się w sobie zamknęła.

Erbrow także się bała. Gdyby mama trzymała ją dłużej w ramionach, odrobina strachu znikłaby pośród bicia serc jej braciszków, ale Juna wciąż tylko siedziała skulona nad kamiennym stolikiem, z głową w dłoniach. Dziewczynka kulila się u jej nóg, ale stamtąd braciszków nie było słychać.

Yorsh oparł się o konia i spojrział w dół, na plażę i wioskę w pierwszym świetle brzasku.

Koń był młodym, gniadym wierzchowcem, pierworodnym Błyskawicy i Plamy, którego nazwali Enstriil, „szybki”, w starożytnym języku elfickim. Wyżej Ospó powłóczył nogami. Yorsh spojrział na niego. Nie mógł nawet dać mu konia, bo ten nie potrafił jeździć, bał się ponad wszelką miarę, a do tego jeszcze ich nienawidził, i to z wzajemnością.

Yorsh nie chciał opuszczać swojej małżonki i córki, a właśnie to zrobił. Z całych sił pragnął przy nich pozostać, ale się oddalał. Ze wszystkich rzeczy, które mógł robić, walka napawała go największą odrazą, lecz wyruszał, by do niej stanąć, ciągnąc za sobą tę spośród wszystkich ludzkich istot, której towarzystwa najmniej sobie życzył.

„Być wolnym nie oznacza móc robić to, co się chce, ale umieć brać na siebie odpowiedzialność za świat” - tak gdzieś zostało napisane.

Yorsh nie pamiętał, kto był autorem tych słów, i zastanowił się, czy ten, kto je zapisał, znał je ze słyszenia, czy może sam też musiał

opuścić ukochaną żonę i uwielbianą córkę, by dać się zabić daleko od domu. Koń zaczął skubać trawę. - Nie ma innego wyboru -

mruknął Yorsh. Zwierzę nadal się pożywiało. Yorsh potrząsnął głową.

Nie mógł zostawić Ospa w pobliżu swojej córki. Ten człowiek jej nienawidził. Wrogość wobec Erbrow była bólem, dziewczynka odczuwała ją niczym ranę.

Prędzej czy później człowiek ten zrobiłby jej prawdopodobnie krzywdę.

Yorsh nie mógł go ukarać, zanim Ospó nie zrobiłby czegoś naprawdę. Choćby nie wiadomo jak był odrażający, jak dotąd nie po-pełnił żadnego wykroczenia. Poza tym nic nie jest z góry przesądzone: skąd może wiedzieć, czy Ospó faktycznie zaszkodzi Erbrow? To był tylko domysł.

A może z dala od morza i od wioski człowiek ten znajdzie sobie życie, które bardziej mu się spodoba.

Każde byłoby lepsze niż tkwienie na plaży, której nienawidził z całego serca, i robienie rzeczy, których nie cierpiał, wśród ludzi, którym życzył śmierci.

Znów zaczęli się wspinać. Niżej Lebiód i Obal wlekli się ostatkiem sił, ciągnąc za sobą Galdfurta „Silnego”, trzeciego syna Błyskawicy i Plamy. Przejście wykopane i wykute w skale częściowo się zawaliło.

Niemożliwe byłoby przeprowadzenie tamtędy koni bez przekopania łopatami tuneli, które się osunęły, ale pieszo można je było przejść.

Podczas niewielu dni spędzonych w Erbrow, kiedy goiły się ich rany, a Yorsh przygotowywał się do drogi, obydwaj przybysze opowiedzieli mu, jak napadnięta została równina Varil, a miasto otoczone.

Wspomnieli mu o niejaki Rankstrailu, Kapitanie najemników na żołdzie miasta Daligar, i o tym, jak od lat walczy z orkami i trzyma ich z dala od Ziem Znanych.

Rankstrail pochodził z Varil.

- Właśnie z Varil? - spytał Yorsh.

Informacja ta wydała mu się interesująca. Pierwsza reguła dobrego wojownika mówi: „Znajdź sobie dobrego sprzymierzeńca”. Złota reguła wojownika z przymusu mówi z kolei: „Znajdź sobie dobrego sprzymierzeńca i przy pierwszej nadarzającej się okazji pozostaw mu całe przedsięwzięcie, a sam wracaj to domu”. Yorsh nie znalazł

jej w żadnym z traktatów militarnych, które przeczytał, lecz intuicja wspierała go czasem i doznawał wtedy pewnych olśnień.

Otrzymał szczegółowe dane. Kapitan, jak większość najemników, pochodził z Zewnętrznego Kręgu miasta Varil, miejsca, gdzie mieszkają Obal i Lebiod. W przeciwieństwie do Daligar, które było miastem jeżozwierzem i pozwalało ludziom zdychać poza swoimi bramami, Varil przyjmowało wszystkich. Potem ogołacało ich ze wszystkiego podatkami, takie to życie, ale jednak pozwalało im wejść do środka i pozwalało jakoś egzystować. Obaj przybysze znali też rodzinę Kapitana. Ojciec był porządnym człowiekiem, a siostra Fiamma pracowała jako praczka i weszła właśnie w odpowiedni wiek, by szukać sobie męża. Był jeszcze młodszy brat, ale nie pamię-

tali, jak miał na imię.

Kapitan nigdy nie został pokonany.

Mówiło się, że znajdował ślady bez trudu; krążyła plotka, że odgadywał ruchy wroga, obserwując lot ptaków. Był cichy jak wąż, nigdy nie mylił się co do spodziewanego ataku, wydawało się, że wcześniej wiedział, gdzie pojawi się wróg.

Stawiając czoła kolejnym atakom i odpierając jedna za drugą, rok po roku, coraz liczniejsze hordy orków, ostatniego poranka lutego, pośród szronu, stanął naprzeciw tego, co nie było już tylko bandą żołnierskich niedobitków, a całym wojskiem: z piechotą, kawalerią, katapultami i wozami, wojskiem, jakiego nie widziano od czasów poczciwego Arduina.

Kapitan musiał walczyć, cofając się pod naporem takiej inwazji.

To był odwrót, nie ucieczka, i już krążyły o nim legendy. Rankstrail nikogo nie zostawił za sobą. Powstrzymał orków, dopóki nie wyprowadził wszystkich ludzi z gospodarstw. Mężczyźni zostali wcieleni do wojska. Kapitan zabrał ze sobą, by byli bezpieczni, kobiety, starców i dzieci. Kazał

spalić sady, zniszczyć zbiory oraz ubić bydło i rozkazał za sobą iść wszystkim, co do ostatniego przedstawiciela rodu ludzi. Jego armia, spowolniona przez wozy z cywilami, została otoczona w Rozłupanej Górze, ale Rankstrail i jego ludzie przełamali otaczający ich pierścień. Potem znów zostali otoczeni na bagnach Silarii i też się wymknęli, potem jeszcze w Złoty Lasach i znów wyrwali się z okrążenia, a potem, po raz ostatni, u wejścia na równinę Varil. To ostatnie otoczenie było straszne: widzieli je z murów. Armia orków stała w szyku, niemożliwe było, aby Kapitan sobie poradził. Wojsko Varil znajdowało się w pełnej gotowości, ale podczas gdy najdostojniejsi spośród obywateli miasta naradzali się, czy wysłać je z odsieczą otoczonym, Kapitan, z resztką swoich ludzi, z wieśniakami uzbrojonymi w siekiery i kobietami z dziećmi na rękach, znów przerwał krąg otaczających ich oddziałów i dotarł do murów. Za każdym razem Kapitan przebijał się przez szyk orków w niesamowity sposób, atakując nocą, w ciemności wyczuwając intuicyjnie, które linie były najsłabsze, i zagrzewając wszystkich - kobiety, starców i dzieci - by walczyli i by nie sprzedawali tanio skóry.

Orkowie się tego nie spodziewali: nie walczyli z ludźmi od czasów Arduina i zapomnieli, że ci też potrafią się bić. O Arduinie również mówiono, że odnajdywał ślady bez trudu, że odgadywał ruchy wroga, obserwując lot ptaków, był cichy jak wąż i nigdy nie mylił

się co do spodziewanego ataku. On też jakby wiedział wcześniej, gdzie pojawi się wróg. Ale nawet poczciwy Arduin nie poradziłby sobie z prawdziwym wojskiem, mając do dyspozycji lekką kawalerię i chłopaków uzbrojonych w kuchenne noże. Kapitan nie mógł powstrzymać inwazji, lecz dotarł do Varil i zostawił

uciekinierów bezpiecznie za murami, i teraz Zewnętrzny Krąg wypełnił się ludźmi. Potem jednak Kapitan musiał sobie pójść, bo najemnicy należeli do Zarządcy i miejscem ich pobytu było miasto jeżozwierz. Najemnik nie mógł wcale robić tego, co chciał - to byłaby zdrada. A poza tym, choć wszyscy polubili Rankstraila, bo pochodził z Varil i gromił orków, bez większego żalu pogodzili się z odejściem Kapitana i jego ludzi. Jego wojsko napawało strachem: byli w nim bowiem wszyscy ci, których nie chciano gdzie indziej.

Odkąd orkowie zaczęli przy-

puszczać swoje ataki, kopalnie opustoszały, gdyż dołączono do najemników wszystkich karłów, co do ostatniego, zbrojnych w siekiery i łopaty. Kiedy zabrakło karłów, by łątać dziury w szeregach Rank-straila, otwarto więzienia. Wielu było takich, którym wcielenie do wojska zostało zaproponowane zamiast szubienicy. Rankstrailowi i jego ludziom trzeba się było dobrze przypatrzeć, zanim odróżniło się ich od orków, z którymi walczyli.

Jedynymi cechami, które łączyły tę zgraję szlachetnych wojaków, były nienawiść do orków i niezachwiana wiara w Kapitana.

W Varil nie przejmowano się zbytnio orkami. Mieli tam zapory i swoją niezwyciężoną armię, złożoną z bohaterów w zbrojach ze złotymi zdobieniami, należących do rodzin, które od wieków wydawały na świat niezwyciężonych wojowników. Wszyscy byli pewni, że Varil nic nie grozi.

Yorsh nigdy Varil nie widział? Miasto otaczały pola ryżowe. Były tam młyny, które wykorzystywały

siłę wiatru, by przelewać wodę do kanałów. Poziom wody na polach ryżowych regulowano za pomocą tam. Młyny pełniły także funkcję wież sygnalizacyjnych. Stali tam wartownicy. Kiedy była wojna, gdy nadciągali orkowie lub kiedy król Varil pobił się z tym z Daligar, na młynach podnoszono alarm za pomocą rogów i ogni sygnalizacyjnych i otwierano tamy, wszystkie jednocześnie. Równina zamieniała się w morze błota na wysokość człowieka, a nad tym trzęsawiskiem górowało miasto, nieosiągalne dla żadnego wojska, za swoim potrójnym pierścieniem murów nie do przebycia.

- To dlaczego tamy nie zostały otwarte? - spytał Yorsh.

Stało się coś strasznego. Tym razem ktoś zdradził. Orkowie podeszli aż pod miasto i nikt nie otworzył tam. Miasto zostało otoczone.

Jego wspaniała armia, złożona z kawalerzystów oraz piechurów znających świetnie wojenne rzemiosło, dała się roznieść w drobny mak, cała, co do żołnierza, podczas jednego zaledwie starcia. Oni dwaj byli poza miastem, bo poszli łowić karpie, które pływały w stawach ukrytych w zaroślach powyżej Yaril. Tam straży łowieckiej nie ma, bo karpie nikogo nic nie obchodzą, z kolei pstrągi płynąją niżej, ale one są dla Cytadeli, dla stałych mieszkańców, i tam już straż łowiecka pilnuje. Dlatego oni dwaj znaleźli się poza murami, ukryci w zaroślach, kiedy orkowie podeszli aż do miasta; nie podniesiono wówczas żadnego alarmu i nikt nie otworzył tam. Ni stąd, ni zowąd okazało się, że wokół nich rozłożyli się orkowie, obozujący na wzgó-

rze Varil. Widzieli ich, jak powalali całe mnóstwo drzew cedrowych i oliwkowych, żeby rozpaść swoje ogromne ogniska, nad którymi piekli ćwiartki krów. Przez dwa dni oni dwaj siedzieli w zaroślach, pięćdziesiąt kroków od miejsca, gdzie tamci obozowali i zabijali się nawzajem, żeby nabrać wprawy w posługiwaniu się bronią. Orkowie byli okropni, czy on kiedykolwiek ich widział? To nie ludzie. Mieli twarze pokryte sierścią, skórą i szponami. Ni to zwierzęta, ni demony. Powiada się, że są tylko maszynami do zabijania.

Po dwóch dniach armia Varil wyszła z miasta w pełni blasku swej potęgi, by przełamać oblężenie. Wspaniałe wojsko zostało pokonane, dokładnie mówiąc rozgromione, ale żeby tego dokonać, orkowie zajęci byli wyłącznie walką i dlatego oni dwaj mogli zbiec. Ucieczka była istnym koszmarem. Ale umożliwiły im ją najpierw gęste zaro-

śla, potem kwitnące drzewa migdałowe, a w końcu nocne ciemności oraz fakt, iż zwycięzcy byli kompletnie pijani.

- Dlaczego dali się rozgromić? - spytał Yorsh, słuchając z wielkim napięciem.

Fundamentalna reguła sztuki wojennej dotyczy właściwej oceny przeciwnika i mówi, by tam, gdzie dysproporcja sił jest zbyt wielka, nawet nie próbować nic robić.

Oni dwaj nie wiedzieli tego. Nie byli ekspertami od taktyki mili-tarnej. Jedyne, czym się zajmowali jako żołnierze Zarządcy, to warta w lochach. Umieci też polować na szczury. W tym byli dobrzy.

Im dwóm armia Varil wydała się wspaniała i niezwyciężona, ale orkowie musieli mieć inne zdanie na ten temat.

Oni dwaj nie widzieli wszystkiego. Dostrzegli blask zbroi i łopot sztandarów i peleryn, a zaraz potem dało się słyszeć rogi obwieszczające zwycięstwo, tyle tylko, że były to rogi orków. Oni siedzieli w zaroślach. Zostali tam, zastygli - z nogami, których po dwóch dniach moczenia w wodzie wcale nie czuli, tak były zmarznięte -

czekając, aż rogi Varil obwieszczą zwycięstwo. A tu jednak nie, żadnych rogów Varil obwieszczających zwycięstwo nie usłyszeli.

Tryumfalne okrzyki orków wypełniły powietrze, nie pozostawiając najmniejszych wątpliwości ani resztek nadziei. Wtedy uciekli. Krok za krokiem. Zgroza wokoło. Na szczęście orkowie byli pijani piwem i zwycięstwem i nie widzieli ich, gdy przechodzili obok...

- Nie widzieli was? A rany? Są przecież od strzał!

Wcale nie do orków należały strzały, które ich zraniły. Tamci ani ich nie dojrżeli, ani nie wyczuli, ani nie domyślali się ich obecności, inaczej obaj by się nie uratowali, tyle to wie nawet dziecko. Kiedy już uciekli, pełząc jak węże albo dżdżownice, rzucili się pędem do Daligar. Przeszli na skróty, między krzakami jeżyn, Dolinami Nowego Księżyca, ale była to zbyt duża ostrożność: obozy orków kończyły się nagle trzy mile za Varil. W wąwozie Dogonu nie było ani jednego. Do pewnego punktu orkowie byli, a potem już nie.

Przejsie na skróty na coś się jednak przydało: choć obdarci do mię-

sa przez krzaki jeżyn, przybyli na miejsce jako pierwsi. Nie zapadła jeszcze noc, gdy stanęli u bram Daligar. Chcieli podnieść alarm.

Przyplaciliby to życiem, oczywiście, bo w Daligar poszukiwano ich jako dezertersów, ale może gdyby udało im się wezwać Rankstraila, uratowaliby swoich ludzi, rodziny, dzieci.

Oni chcieli tylko wezwać Rankstraila, nawet ryzykując życie, niech będzie. Tak czy inaczej nie udało im się tego dokonać. Powiedzieli żołnierzom przy bramie, że przybywają z Varil, że chcieli widzieć się z Kapitanem najemników, lecz łucznicy zaczęli do nich strzelać.

- Rozpoznali was? - spytał przejęty Yorsh, któremu świat ludzi wydawał się coraz bardziej szalony i nieprzewidywalny.

Był pewien, że przynajmniej w wypadku ataku orków wszyscy się zjednoczą.

Nie, odpowiedzieli obaj. Nie mogli ich rozpoznać. Byli młodymi żołnierzami, których nigdy wcześniej nie widziano. Nigdy. Oni wcale nie zdradzili hrabstwa! Oni tylko zdezerterowali. Osiem lat temu.

I cóż z tego? Na śmierć ich wprawdzie skazano, a jakże, takie to życie, ale przecież nikt o nich nie pamiętał ani ich nie poszukiwał, w końcu oni nie byli elfami, bez obrazy. Byli tylko dezertersami. Tak czy inaczej, tamci ich nie rozpoznali.

Oni powiedzieli tylko, że przybyli orkowie i otoczyli Varil i że chcieli widzieć Kapitana

najemników, by prosić go o pomoc. Nawet im nie odpowiedziano. Wypuścili do nich strzały, ale na szczęście nie zranili ich poważnie, tylko trochę. Pozostali na tyle sprawni, by przywlec się tutaj w poszukiwaniu jego. Nie byli nawet pewni, czy on jeszcze żyje. Kiedy powalono na ziemię smoka, rozeszła się pogłoska, że wszyscy uciekinierzy zginęli, przygnieceni obsuniętą ziemią, która zatrzymała kawalerię. Nawet jeśli jakoś przeżyli, to na pewno skończyli jako posiłek dla erynii; mówiło się, że przybywały nad morze, by okrutnie zmieść wszystko z powierzchni ziemi i że właśnie ich okrucieństwu, a nie cieniowi zachodzącego słońca, Góry Ciemności zawdzięczały swoją nazwę. Plotki krążyły. Koniec końców, chociaż nigdy nie dotarła do nich żadna pogłoska o tym, jakoby oni wszyscy mieli się uratować, to i tak, nie mając innego wyboru, przyszli, żeby to sprawdzić. W najgorszym wypadku odbyliby niepotrzebną podróż, ale zawsze lepiej umrzeć, próbując zrobić coś.

- A jak wam się udało pokonać osuwisko? Było nie do przejścia! -

spytał Yorsh zaniepokojony.

Osuwisko, które zamknęło wąwóz Astrid, wraz z urwistą skałą nadbrzeżną było jedyną ochroną mieszkańców plaży i cypla. Ale oni odpowiedzieli mu, że nieprzebyte osuwisko, zostało rozmyte przez niezliczone ulewy, skolonizowane przez rośliny, kwiaty, krzewy, rozplaszczone przez terasy, gdzie rosła winorośl, i przecięte ścieżką, która była troszkę stroma, takie to życie, ale... Pokonali ją, mimo że byli ranni. A właściwie dlaczego do nich strzelano? On, który będąc elfem, wie wszystko, ma może jakiś pomysł?

Yorsh się zamyślił. Jedyna odpowiedź, jaka *przyszła* mu do głowy, była taka, że Zarządca wiedział już wcześniej o oblężeniu Varil (jeśli dobrze się nad tym zastanowić, musiał o tym wiedzieć, bo na pewno miał jakieś swoje czujki i patrole), ale nie zamierzał ruszać z odsieczą.

Oni dwaj, Lebiód i Obal, którzy zjawili się pod murami, krzycząc na całe gardło, że wróg stoi u bram, byli w oczach Zarządcy jeszcze większymi wrogami niż orkowie.

Potem, po głębszym namyśle, zdał sobie sprawę, że jego teoria była prawdopodobnie słuszna, lecz cokolwiek niekompletna.

Zarządca nie zamierzał działać na rzecz Varil i nie chciał, aby wiadomość o oblężeniu dotarła do miasta, obawiając się, że kapitan jego najemników odmówi wykonania rozkazu o niewstrzymywaniu się od działań. Kapitan najwyraźniej o niczym nie wiedział. Gdyby było inaczej, wyruszyłby ratować swoje miasto, zabierając ze sobą swych ludzi.

Takie tłumaczenie bardzo mu się spodobało i wciąż je sobie powtarzał, nie tylko dlatego, że było logiczne, a logika to zawsze przyjemność dla umysłu, ale że przynosiło pewne rozwiązanie.

Miał więc plan. Był on właściwie prosty: Lebiód i Obal będą musieli wrócić do Daligar i podnieść alarm; straszny elf powrócił. Za-rządca wysłał za nimi najemników wraz z legendarnym Kapitanem, a Yorsh zaciągnie ich w kierunku Varil. Pomysł nie do końca był

jego: coś podobnego już się kiedyś zdarzyło. Jeden z ostatnich elfickich wojowników zwabił wojsko ludzi, którzy sądzili, że go ścigają, by jednocześnie uwolnili oblężone miasto. Yorsh nie wiedział,

kiedy do tego doszło - miało to miejsce tuż przed upadkiem elfów - lecz pamiętał imię elfa wojownika: Nerstrinkail, „Ostatni Wojownik”. A więc Kapitan usłyszy o oblężeniu Varil. Nie dowie się o nim z relacji - zobaczy wszystko na własne oczy, będąc ze swoimi ludźmi poza granicami Daligar, z dala od katów Zarządcy i jego szubienic, mogąc walczyć i nie wykonywać rozkazów. Kapitan się dowie. Jego armia, choć niewystarczająca, by uwolnić Varil, to już będzie coś. Jakiś początek. Tak zaczną się kontratak. Opór. Przepędzą ich.

To był dobry plan. Yorsh wcieli w czyn złotą regułę początkującego niewojownika: znajdź odpowiednią osobę, ściągnij ją w odpowiednie miejsce, a potem wracaj do domu. Przedłożył pomysł Lebiodowi i Obalowi, którzy może i nie zaczęli skakać z radości, ale przynajmniej przestali rozpaczać. Możliwe, że skończą w jednym z lochów Daligar w towarzystwie tamtejszych szczurów; możliwe, że wreszcie odpowiedzą za swoją dezercję, ale za to jest przynajmniej nadzieja.

Prędzej czy później oblężenie Varil zostanie przerwane, a ich dzieci będą uratowane.

Jak mu pokrętnie wyjaśnili, można umrzeć na dwa sposoby: kiedy nikt nie przychodzi z pomocą i nikogo to kompletnie nie obchodzi lub gdy ktoś próbuje coś zrobić, ale mu nie wychodzi.

Yorsh zapewnił ich: on i Kapitan zdołają uratować ich dzieci.

Dzień minął. Niebo zaczerwieniło się od zachodu słońca. Dotarli wreszcie na szczyt obok wodospadu i Yorsh znów pomyślał, że tak jak oni się na niego wspięli, tak i ktoś inny, na przykład wojsko or-ków, mogłoby z niego zejść.

- Nie ma innego wyboru - mruknął znowu, rozpoznając z wysoka swój dom. Były w nim Juna i Erbrow.

W każdej chwili musiał zwalczać w sobie nieprzepartą ochotę, by wrócić. Jego koń znów spojrzał na niego z kompletnym brakiem zainteresowania dla żalu, który go rozdzierał. Nadszedł wieczór i moment rozbicia obozu na noc.

Ospo był cichy i spięty. Lebiod i Obal nabrali za to ochoty, by ciągle gadać. Ten ostatni opowiadał o swoim najmniejszym synku, który uparcie wzbraniał się przed mówieniem, może dlatego, iż bał

się, że jeśli się tego nauczy, stanie się duży i nie będą go już rozpiesz-czać. Lebiod z kolei mówił o swojej najstarszej córce, która niedawno urodziła córeczkę, i zaplątał się, próbując wyjaśnić, co to znaczy zostać dziadkiem i jak różni się to od bycia ojcem, ale nie zdołał

znaleźć właściwych słów i jego wypowiedź urwała się w połowie po-

śród delikatnych odgłosów wiosennej nocy.

Za pomocą łuku Yorsh upolował po jednym łososiu dla każdego i upiekli je nad ogniem, paląc suchymi pędami i szyszkami.

Minęła noc.

Świt był mglisty.

Ospo zniknął. Mało prawdopodobne, by sam zapuścił się w głąb kraju, w którym panoszyli się orkowie; jedyne wyjaśnienie było takie, że udał się w stronę Daligar, by sprzedać Yorsha Zarządcy w zamian za posadę żołnierza i pół kufła jasnego piwa.

Yorsh obudził Lebioda i Obala i poinformował ich, że ich poświę-

cenie nie jest już potrzebne: nie muszą iść aż do miasta jezozwiera, narażając się na więzienie albo stryczek, żeby skierować na Yorsha wściekłość Zarządcy.

Wyszło na to, że zabrał ze sobą swojego osobistego zdrajcę, a to może mieć pewne zalety zarówno logistyczne, jak i organizacyjne.

Już Ospo postara się, by ścigali ich wszyscy żołnierze w hrabstwie.

Kapitan Rankstrail zaklął.

Było to ciche przekleństwo, które zginęło pośród lekkich hałasów wiosennego poranka, nie zagłuszając ich. Wiał słaby wiatr, poruszający młodziutkimi liśćmi na gałęziach. Rankstrail nie mógł ich dojrzeć, ale słyszał ich szelest.

Kapitan znów zaklął. Gdyby bogowie słyszeli choć jedną trzecią tego, czego właśnie im życzył i do czego właśnie ich zachęcał, prawdopodobnie zesłaliby już na niego grom z jasnego nieba, ale przecież i tak nigdy nie słuchali.

Podczas ciągnącego się w nieskończoność lutego, który włókł się, świt za świtem, noc za nocą, krok za krokiem, śmierć za śmiercią, Rankstrail modlił się i jedną z niewielu rzeczy, jakie zrozumiał, było to, że bogowie są ślepi i głusi albo przynajmniej bardzo ograniczone jest ich zainteresowanie losem ludzkich istot oraz ich słowami.

Podczas niekończącego się marca zaczął już bogów obrażać, ale nie wydawali się oni bardziej poruszeni jego obelgami, niż gdy się modlił.

Kapitan przeciągnął się.

Dziwiło go, że nie miał co robić.

Od lat mu się to nie przytrafiło, a i wcześniej nie zdarzało się za często. Niczym nieodmierzony czas dryfował, niemal stał w miejscu.

Jedynym darem, jaki przynosił świt, było wyczekiwanie zachodu.

Wraz z gwiazdami pojawiała się czekanie na świt.

Jedynym, co wypełniało mu dni, były wspomnienia; ciągle powracał do nich, co ze wszystkich możliwych zajęć było tym, czego najbardziej pragnął uniknąć, a co powtarzało się w nieskończoność, zadając mu dodatkowe męki i sprawiając, że czuł się jeszcze bardziej bezużyteczny.

Powracały do niego obrazy rannych, których musiał zostawiać.

Wydawał ich własnym towarzyszom rozkaz dobicia ich, chyba że robił to sam, aby nie wpadli w ręce orków.

Było też wspomnienie o dzieciach, których nie zdołał obronić przed strzałami lecącymi na wozy cywilnej ludności niczym gzy do kiści winogron rozgniecionej na ziemi.

Było wspomnienie kata.

Nawet on sam go poznał.

Z niewiadomych przyczyn Kapitan trafił w ręce kata. Został zamknięty w lochu i w ciągu kilku niezmiernie długich godzin poznał, czym jest ból absolutny, najgorszy z możliwych, doświadczenie, któ-

re do tej nie było mu znane i za którym bynajmniej nie tęsknił. Nie miał wątpliwości, że już na zawsze zmieniło ono jego obraz samego siebie i świata. Ta przemiana, nieodwracalna, nie była bynajmniej zwrotem ku lepszemu.

Spotkanie z katem okazało się w pewnym sensie szczęśliwe, nie tylko dlatego, że było krótkie, ale przede wszystkim dlatego, że w żaden sposób nie został okaleczony: jedyne, co mu po nim pozostało, to ślady po rozpalonych obcęgach na klatce piersiowej i na plecach.

Przewodniczył ubrany w karmazynowy brokat sam Zarządca, któ-

ry to rozwodził się długo, wyjaśniając mu, że nie nienawidzi go, wręcz przeciwnie, zawsze bardzo go kochał, nie tylko miłością oj-cowską, którą darzył wszystkich swoich żołnierzy, ale uczuciem wyjątkowym i o wiele silniejszym. Doprawdy, cierpiał, zadając mu cierpienie.

- Nie chcę cię zabić, rozumiesz, chcę tylko być pewien, że cię zła-małem - zapewnił go uprzejmie, a Rankstrail modlił się w duchu, by Zarządca szybko zdał sobie sprawę, że już mu się to udało, i by poszukał swojemu katowi innej rozrywki. Zrozumiał wówczas reakcję Lisentraila na widok oprawcy.

Zarządca kontynuował: to z miłości oddał go w ręce kata, aby uchronić przed pokusą nieprzemyślanych, pochopnych decyzji. I nie chodziło tylko o zwykłe niewykonanie rozkazu, co już samo w sobie było postępkem nie do pomyślenia, lecz także o ewentualne działanie wykraczające poza otrzymane wytyczne czy też jakiegokolwiek ich zmodyfikowanie.

To z miłości Zarządca oddał go w ręce kata. By mieć pewność, że Kapitan będzie go kochał.

Ze wszystkich głupot, jakie Kapitan słyszał w swym krótkim, acz burzliwym życiu, ta wydała mu się początkowo największa, ale potem przypomniał sobie młodych arystokratów, którzy wynajęli go na jeden dzień jako osobistego strażnika Księżniczki Aurory.

Przypomniał sobie, jak w ich słowach i spojrzeniach absolutne przerażenie i absolutne oddanie mieszały się na samo tylko wspomnienie o Zarządcy.

Pomyślał też o wierności, jakiej osły i zbite psy dochowują w obliczu okrucieństwa swych panów.

Zdał sobie sprawę, że Zarządca był obłąkany, ponad wszelką wątpliwość, ale przyrzekł sobie pamiętać raz na zawsze, że nie jest on głupi.

Kiedy ból stał się nierozłączny ze wspomnieniem Zarządcy, Kapitan zorientował się, jak silne były podobieństwa między Zarządcą a Aurorą. Dłonie wyglądały identycznie, kształt twarzy, podbródek...

nie oczy... nie uśmiech. Zastanowił się, czy od tej chwili twarz Aurory będzie mu przypominać jej

ojca lub obcęgi jego kata, i jeszcze gdy o tym rozmyślał, sam odpowiedział sobie na to pytanie: nigdy do tego nie dojdzie, Aurora to Aurora i koniec, i tak pozostanie już na zawsze.

Kapitan pomyślał, że kuracja przynosi pożądane efekty. Po prze-trzymaniu obcęgów pozostawał w człowieku brudny strach i wstyd, które utrzymywały się jeszcze na długo po tym, jak zagoiły się poparzenia, a kaftan mógł je skutecznie przykryć. Tak jak zbity pies, torturowany człowiek będzie instynktownie dążył do wypełnienia poleceń.

Musiał przyznać, że w działaniach Zarządcy kryła się żelazna logika.

Po drugiej stronie krat zagruchały turkawki, chmura przemknęła po błękitnie wiosennego nieba.

Kapitan pomyślał, że dobrze byłoby wiedzieć, dlaczego wciąż trzymają go w celi, ale nie do końca miał pewność, czy odpowiedź na to pytanie zrobiłaby na nim jakieś wrażenie.

Cieszył się, że jego cela była jedną z tych, z których choć z pewnej odległości i zza krat, można było zobaczyć niebo.

Nie był pewien, czy to cela była jego. Może to on należał do celi.

To jednak dobra cela, z widokiem na niebo, choć zza krat. Szczury, z którymi ją dzielił, dawało się znieść. Niedaleko od miejsca, gdzie leżał na ziemi, latały turkawki. Mogło być gorzej.

Kapitan zastanawiał się, ile czasu człowiek może spędzić zamknięty w celi, nim zacznie tracić rozum, i naszła go wątpliwość, czy czas ten nie jest krótszy niż ten, który on spędził już w więzieniu.

Jednak odpowiedź na to pytanie z dnia na dzień także coraz bardziej traciła na znaczeniu.

Kapitan znów zaklął, lecz tym razem zapewne bogowie go usłyszeli. Dało się słyszeć głosy, hałas uzbrojonych ludzi, dreptanie, do którego dochodziły zgrzyt zbroi, skrzypienie zawiasów, szczęk rygli, odgłosy otwierających się i zamykanych drzwi.

Rankstrail usłyszał, jak otwierają się, jedna za drugą, cztery zasuwki, które ryglowały jego celę. Podczas gdy wciąż jeszcze zastanawiał się, czy należałoby podnieść się z ziemi, drzwi otworzyły się na oścież, a on ujrzał nad sobą Argniola, jeszcze piękniejszego i wspanialsze-go, niż go zapamiętał, w zbroi oślepiającej blaskiem emaliowanych złocień, w hełmie z wielobarwną kitą. Argniolo wyglądał prawie jak papuga w menażerii kuglarzy.

Rankstrail zadał sobie pytanie, jak mógłby pojmać choćby jednego orka, złapać choć jednego bandytę, z całym tym żelastwem na sobie.

Argniolo odezwał się do niego.

- Podnieś się, kiedy do ciebie mówię, prostaku - powiedział bez złośliwości, co więcej: z jakąś łagodnością, czyli zupełnie inaczej, niż zazwyczaj się do niego odzywał. - Wystarczy wam już wakacji, tobie

i całej tej reszcie darmozjadów.

Po raz kolejny - było to doznanie subtelne, lekkie, mgliste i nie-uchwytne - Rankstrail poczuł strach. Nadal nie rozumiał, dlaczego wtrącono go do lochu, ale przynajmniej wiedział, dlaczego go z niego wyciągnięto. Znaleźli się w opałach i nie mieli nikogo, kogo mogliby wysłać, by zażegnał niebezpieczeństwo. Jedyne zagrożenie, jakie przyszło mu do głowy, jedyne rozwiązanie, na jakie wpadł, zmroziło mu krew w żyłach.

-Orkowie? - spytał słabym głosem. To nie mogło być nic innego: gdy on siedział zamknięty w celi, nikt nie powstrzymał orków, którzy byli już u bram miasta.

-Ależ skąd! - odparł Argniolo zirytowany. I zaraz wzruszył ramionami.

Rankstrail szedł za Argniolem i jego ludźmi. W miarę jak przemierzał korytarze podziemnych lochów, otwierały się cele i jednego po drugim, pojedynczo albo w małych grupkach, jego ludzi wywlekano na zewnątrz. Kapitan zauważył, że tak jak on, byli brudni, z długimi i zmierzwionymi włosami i brodami, ale wszyscy wydawali się zdrowi. Ci, których ranili orkowie, zostali wyleczeni. Nie wyglądało na to, by ktokolwiek doświadczył głodu albo innego cierpienia, z wyjątkiem izolacji od świata. Jedyńm, który dostąpił zaszczytu wizyty Zarządcy i znajomości z katem, był on, najukochańszy syn najdroższego ojca hrabstwa, jak nazywali go wędrowni śpiewacy i dworzanie.

Kiedy wreszcie wydostali się na powierzchnię, mijając kolejne podziemia i kraty, Rankstrail miał przed sobą całe swoje wojsko, a przynajmniej to, co z niego zostało po jednym strasznym odwrocie i czterokrotnym okrążeniu.

W końcu znaleźli się na wewnętrznym dziedzińcu pałacu Zarządcy.

-Kapitanie - spytał ktoś' - wysyłają nas na orków? Dotarli aż tutaj?

-Kapitanie - zapytał inny głos - dlaczego trzymali nas w więzieniu?

Czyste powietrze otrzeźwiło skutecznie Rankstraila. Miał wrażenie, jakby obudził się właśnie z jakiegoś dziwnego snu. Lisentrail znów był u jego boku.

Chociaż on także siedział na dnie lochu, jak wszyscy inni, udało mu się zebrać trochę informacji. Nic dziwnego: nie sposób, by pośród wartowników nie było kogoś, kogo Lisentrail by nie znał, choćby jakiegoś krewnego, szwagra lub kuzyna w piątym pokoleniu, byłego sąsiada drugiego męża ósmej siostry, potomka wuja pradzia-da ze strony matki.

Lisentrail wyjaśnił, że trzymano ich w podziemiach za karę, że niszczyli i palili dobra hrabstwa, choć po to tylko, by nie dostały się w ręce orków; za to, że stracili ludzi i zostawili wrogowi broń podczas swego niekończącego się odwrotu. Powinni byli wykonać rozkaz: uciekać stamtąd i to biegiem. To, co stałoby się z gospo-darstwami, kiedy już padłyby łupem orków, nie było ich sprawą.

Oni byli najemnikami. Dobry najemnik mało myśli i nie podejmuje działania z własnej inicjatywy. Rankstrail wiedział również, dlaczego teraz ich uwolnili: znów pojawił się elf, ostatni, przeklęty, ten, który osiem lat temu zjawił się ze smokiem; a zatem potrzebny był ktoś, kto pójdzie go pojmać.

Argniolo nie mógł iść, bo porysowałyby mu się zbroja, a poza tym miał tak wysokie cholewy, że się w nich potykał; więc wysłał ich.

Kiedy Argniolo przemówił, potwierdziło się wszystko, co powiedział Lisentrail.

Pierwsza część przemówienia: więzienie jako kara za odwrót nawet jemu musiała się wydać mało rozsądna, bo wspomniał o tym szybko i pobieżnie; bez żadnych komentarzy czy obelg pod ich adresem.

Kiedy z kolei przeszedł do sprawy elfa, Argniolo rozkręcił się. Jego przemowa stała się niemal liryczna, jego krasomówstwo przybrało na sile. Długo rozwodził się nad opisem matek z dziećmi u szyi, wyniszczonych głodem i atakowanych przez zarazę, i wyjaśnił, że odpowiedzialny za to wszystko jest elf. Mówił także o hordach orków, przybyłych ze wschodnich terenów Pogranicza, by wspomóc przekłętogo; albowiem nie zna granic zło drzemiące w kimś, kto mógł bratać się ze smokiem.

Następnie Argniolo spojrział prosto w oczy Kapitanowi i oskarżył

go. Pewien szlachetny młodzieniec, niejaki Ospos, narażając się na niesłychane niebezpieczeństwa i pokonując niezliczoną ilość przeciwników, przybył, by ostrzec ich, że elf, przeklęty, znów przemierza hrabstwo, plugawiąc je śladami swych stóp. Szlachetny Ospos poinformował ich również o tym, jak dobrze żyje się w wiosce nad morzem wrogiem hrabstwa, którym udało się wymknąć sprawiedliwość osiem lat wstecz, kiedy to smok zapieczętował wąwóz Dogonu osuwiskiem.

Argniolo zaczerpnął tchu. Z pogardą spojrział na Kapitana, a potem znów podjął, lecz jego mowa stała się bardziej posępna i pełna głębokiego smutku, często przerywana długimi cierpiętniczym milczeniem.

Osiem lat temu pozwolili mu uciec.

Elfowi.

On i cała jego żalosna banda.

Elf pozostaje wrogiem. Orkowie stanowią problem tylko dla głupców; dla nich, dla Rankstraila i jego ludzi, prostaków, szaleńców chorych na barbarzyństwo, obłąd i okrucieństwo, którzy chcieli pokonać orków za pomocą broni i zniszczyli połowę hrabstwa, by tego dokonać. Z kolei oni, Argniolo i jemu podobni, potrafią mówić.

To się nazywa dyplomacja, „dyplomacja”, troszkę to skomplikowane słówko dla nich, prostaków. Z pewnością to nie orkowie, a elf jest ich głównym i odwiecznym wrogiem, który znów im zagraża.

- Ale skoro nie trzeba było walczyć, tylko razem rozmawiać, dlaczego to nas wysłano na orków? - spytał ktoś cicho.

Kilku innych spytało, czy widzieli kiedykolwiek jakąś osadę, przez którą przeszli orkowie, i jak ich zdaniem należałoby jej „dyploma-tycznie” bronić.

Mierząc Kapitana zbołałym wzrokiem, rozzłoszczony szeptami Argniolo podsumował, że tylko głupiec mógłby pomyśleć, że wrogiem są bandyci i orkowie. Tylko idiota nie rozumie, że bezcelowym i daremnym trudem jest walka z katastrofami, gdy nie eliminuje się tego, kto je wywołuje i sprowadza.

Ani jeden z uciekinierów nie zginął pod osuwiskiem. Dotarli aż nad morze, gdzie urządził się i prosperują nadal; gdzie ich mroczna magia podporządkowała sobie fale i ujarzmiła erynie, jako że wyszli cało z obu tych kataklizmów.

Żywi, ocaleni, uratowani. Wszyscy. Żywi i w dobrym zdrowiu, i to dzięki nim świat ludzi marnieje i obumiera.

Gratulacje dla najemników. Okazali się tyleż tchórzliwi, co tępi.

Gdy armię kapitana Rankstraila zajmowały głupstwa i błahostki, jak wieczne potyczki z orkami, i w związku z tym bawili się przednio, niszcząc połowę hrabstwa, w tym samym czasie prawdziwi wrogowie żyli i ucztowali.

Na szczęście nie wszyscy uciekinierzy są wrogami hrabstwa i zdrajcami. Jeden z nich jest szlachetnym młodzieńcem, człowiekiem od-ważnym, który podążył za nimi tylko po to, by ich nienawidzić, szpiegować i jak tylko nadarzy się okazja, wydać, i który przybył

teraz powiadomić ich o niebezpieczeństwie, ostrzec i zaalarmować.

On, Argniolo, skazałby ich wszystkich, najemników, na śmierć za zlikwidowanie smoka, a nie elfa; za umożliwienie ucieczki małej czarownicy i jej stronnikom, a nade wszystko - za kłamstwo. Lecz Zarządca, który był kiedyś inkwizytorem, w swym wielkim miło-sierdziu uznał, że w działaniach najemników nie było ani tchórzostwa, ani zakłamania, tylko naiwność. Elf ich oszukał, zakpił z nich: udał, że on i jego poplecznicy zostali zmiążdżeni przez osuwisko, a najemnicy w swej bezdennej prostocie, czyli tępocie, dali się na to nabrać.

Tępota więc nie mogła zostać ukarana, jak litościwie ustalił w swej wspaniałości i współczuciu Zarządca. Skazanie na śmierć wszystkich głupców oznaczałoby rzeź, zdecydował się zatem im wybaczyć, pod warunkiem, że głupcy zdadzą sobie sprawę z tego, iż są niezdolni do myślenia, i ograniczą się do ślepego wykonywania rozkazów.

Zarządca im przeto przebaczał i na powrót przyjmował ich na łono hrabstwa, a równocześnie nakazał pojmanie przeklętego. Elfa.

Miał gniadego konia i został dostrzeżony, spokojny niczym wę-

drowiec zwiedzający okolicę, poza murami Daligar, jeszcze nie w za-sięgu strzał. Przeklęty stał i jak gdyby na nich czekał.

Rozkaz brzmiał: dostarczyć go żywego lub martwego; w razie gdyby nie zginął, musi zostać związany wystarczająco mocno, by pewne było, że jest całkowicie unieruchomiony. Zaleca się użycie sznurów, nie łańcuchów, gdyż przeklęty potrafi otwierać kłódki bez pomocy klucza, a nic nie wiadomo o tym,

by potrafił rozwiązywać supły.

Jeśli zostanie przyniesiony martwy, oni będą wyjątkowo zadowoleni.

Argniolo roześmiał się dobrotliwie. Przemowa się skończyła. Słoń-

ce stało w zenicie. Dzień był letni, prawie ciepły, i niósł obietnicę zbliżającego się nieuchronnie lata oraz pewność, że zima dobiegła końca.

- Ale czy tego tam erynie nie powinny były zjeść żywcem? Nie mó wiło się, że tych to nikt nie powstrzyma? - szepnął ktoś.

Lisentrail rozłożył ręce.

-To elfy nie są nieśmiertelne? - zapytał ktoś.

-Tylko jeśli pozwolimy im żyć - odparł Lisentrail, który wiedział zawsze wszystko o wszystkim. -Jak ktoś je zabije, umierają tak jak my.

Kapitan był wściekły tak jak jeszcze nigdy w całym swoim życiu.

Ten tępak wrócił.

Ten głupiec ośmielił się wrócić.

Ten kompletny kretyn dowlókl swe gnaty i to, co na nich pozosta-

ło, pod same bramy Daligar.

Rankstrail przeklął elfa. Pomodlił się, by bogowie istnieli i strącili go do piekła: musieli przecież mieć choć jeden krąg przeznaczony dla idiotów.

Kapitan ryzykował życiem, własnym i swoich ludzi, by umożliwić ucieczkę elfowi i pozostałym. Opowiadając, że wszyscy zginęli, podarowali mu także przyszłość. Smok odbył wspaniały lot, a Lisentrail skazał swoją duszę na męki, sprawiając, że był to ostatni ze smoczycz lotów. A ten przeklęty zamiast siedzieć cicho na swojej plaży, wsiadł na konia i wybrał się na wycieczkę. Może poznawanie świata wzmacniało w nim ducha? A może szykował się na zostanie geografem czy kartografem. Albo też zajmował się obwoźnym handlem dyniami i mandarynkami.

Teraz Argniolo i Zarządca dowiedzieli się. Już zrozumieli, że tamci wszyscy żyją. Tym razem najemnicy pójda ich pojmać. Jednego po drugim. Rankstrail przypomniał sobie małą królową, tę z lśniącą koroną na głowie, która spojrzała na niego z pogardą i wściekłością.

Musiała już być kobietą. Może nawet miała dzieci. Pójda pojmać także i ją.

Rankstrail był mniej dobroduszny od Zarządcy. Kiedy głupota przekracza granice przyzwoitości, staje się zbrodnią, i słusznym jest, by została ukarana.

Może raczej mieli tamci: Argniolo, Zarządca, pozostali.

Co on może wiedzieć?

Gdzie zostało napisane, że jest zawsze sprytniejszy od innych?

A co, jeśli Szalony Skryba i pożyczkodawca się mylili i to elfy są przyczyną wszelkiego zła? Może to one sprowadziły orków; może rzeczywiście zatopiły świat, doprowadziły go do nędzy. Idiota zdolny do wskoczenia na koń i dotarcia do Daligar z pewnością powa-

żyłby się na wszystko...

Może z jego winy ktoś uda się na poszukiwania małej królowej i ją zabije...

I wszystkich ich wymordują...

Kapitan już raz go ocalił. Drugi raz tego nie zrobi. Odda go w ręce Argniola, wtedy się uspokoją i zostawią w spokoju małą królową, teraz już, po tych wszystkich latach pewnie nie tak małą, i pozosta-

łych. Jak już dostaną elfa, przestaną się nimi interesować.

Tylko jeśli go nie przyprowadzi, wtedy... o tak, wtedy pójdą szukać armii obdartusów i ich królowej. Znał już Zarządcę i Argniola: nie chcą kłopotów, jeśli mogą ich uniknąć. Uznają całą sprawę za zakończoną, a on będzie mógł wrócić do walki z orkami, by trzymali się z dala od ludzkich dzieci.

Musi go pojmać.

Pojmie go.

Kiedy opuścili dziedziniec, udali się do stajni. Po drodze musieli przejść ulicami miasta i mijając pałac Zarządcy, Rankstrail wbił

wzrok w ziemię, tak jakby nad czymś rozmyślał. Ale jego głowy nie zaprzętały żadne szczególne myśli, chciał tylko uniknąć w tym momencie nieznośnego ryzyka spotkania wzroku Aurory, w razie gdyby stała przy jednym z nielicznych okien na jednym z nielicznych balkoników.

Ich konie zostały nakarmione i wyleczone. Zepsute siodła naprawiono, zniszczone lejce wymieniono. Konie już osiodłano.

-To dziwne - powiedział ktoś. - Tak jakby trzymali nas w więzieniu tylko po to, żebyśmy się tu nie pałętali, ale nie uszkadzając nas, by mieć nas zdrowych, kiedy będziemy im potrzebni.

-...prawda, nie głodzili nas, nie traktowali źle... tylko żebyśmy się nie pałętali...

-...to była tylko okazja, żeby nam nie płacić...

Kapitan odnalazł swojego wilka, przywiązanego w pobliżu stajni i z brzydkimi śladami po sznurze na karku. Był wychudzony i wściekły z powodu długiej niewoli, ale żywy i ogólnie zdrowy. Chwilowe- go uczucia radości, jedyne od bardzo długiego czasu, Rankstrail doświadczył, rozpoznawszy obok zwierzęcia małą i jedyną w swoim rodzaju sylwetkę Rosy. Dama z rodu karłów, jak zwykł ją nazywać, pilnowała teraz klatki, która gościła wilczycę Daligar - sukę od zawsze trzymaną w mieście na cześć sir Arduina, który posiadał taką właśnie towarzyszkę. Nawet Zarządca, który nigdy nie okazywał ra- dości na wspomnienie Arduina Zwycięzcy, nie ośmielił się zniszczyć prastarej tradycji. Ograniczył się do przenoszenia wybiegu dla bestii coraz niżej, najpierw na tyły pałacu, a potem na tyły stajni, by o wil- czycy po prostu zapomniano.

Rankstrail rozpogodził się na widok przyjaznej twarzy: dużo zawdzięczał Rosie. Powodem, dla którego karły, które nigdy nie przyjmowały rozkazów od nikogo, a dla niego dałyby się rozszarpać na kawałki, była nie tylko wspólna im nienawiść do orków; chodziło też o to, że Kapitan od zawsze zwracał się do tych odzianych w łachmany i uzbrojonych w siekiery istot „mężowie z rodu karłów”.

W stajni Kapitan odkrył, że ma o jednego żołnierza więcej. Po ośmiu latach nieopłakiwanej przez nikogo nieobecności Siuil po-wrócił, by dołączyć do jego ludzi. On także miał konia i, jak pospiesznie poinformował Kapitana, to Argniolo we własnej osobie mu go wynalazł, by mógł dołączyć do kawalerzystów.

- Ej, Kapitanie - odezwał się Lisentrail, jak tylko nadarzyła się okazja - teraz jesteśmy w komplecie. Konie nam oddali, wilka odnaleźliśmy; mamy elfa do wytropienia i do tego podrzucili nam nawet zdrajcę. Niczego już nam nie brakuje.

Kiedy wreszcie siedzieli na koniach, otworzono bramy, by mogli się wydostać z miasta. Było już popołudnie. Wokół murów koczo-wali uchodźcy, uciekinierzy z Pogranicza Ziem Znanych. Zbudowali sobie chatki, poprzedzielane świeżo założonymi ogródkami warzywnymi; grządki kapusty i bakłażanów, maleńkie kurniki i młodziut-kie sady razem przypominały narzutę, którą robią ubogie kobiety, zszywając ze sobą kawałeczki różnych materiałów.

To był świat nędzy, uparcie trwający pośród kapusty i kurczaków.

Kapitan pomyślał, że jeśli kiedykolwiek miałby przyjąć jakiś herb, chciałby, aby zawierał on w sobie kurę: symbol wytrwałości, z jaką ludność w czasach wojen pomimo wszystkich przeciwności losu utrzymywała się przy życiu.

Minawszy ogródki i zarośla, niedaleko rzeki rozpoznali jedyną w swoim rodzaju sylwetkę elfa. Ubrany był w surowe płótno, które przypominało nieco materiał peleryn żołnierskich, i dosiadał gniadego konia. Inaczej niż za pierwszym razem, gdy go ujrzeli, teraz posiadał buty. Miał miecz u boku i nie dobył go ani nie spróbował

użyć łuku, który miał na pasie przewieszonym przez ramię. Dureń wyglądał tak, jakby na nich czekał. Nie oddalił się, dopóki ich dobrze nie zobaczył; wydawało się wręcz, że chciał się upewnić, iż został dostrzeżony. Sprawiał wrażenie, że nie zamierza im umknąć; potem nagle, kiedy południe dobiegło do połowy i pierwsze cienie zaczęły kłaść się na zachodzie, w wąwozie Dogonu, gdzieś zniknął.

Jakby rozplynął się w powietrzu.

Na przekleństwa Kapitana pobladyły nawet karły, które w swoich kopalniach ciągle złorzeczyły światu i bogom.

Potem Rankstrail pchnął do przodu dwóch zwiadowców i posłał

mały patrol na wschodnie zbocze wąwozu; wreszcie się poddał.

Zgubili go. Kapitan wydał rozkaz rozbicia obozu, by dać odpocząć koniom. Z językiem na wierzchu - z powodu ciężkiej gonitwy za galopującymi kawalerzystami, przyczłapał wilk. Tuż przed zachodem słońca, gdy cienie zalały cały wąwóz, a konie odpoczęły, elf znów się pojawił.

Pościg ponownie ruszył, lecz został przerwany z początkiem nocy, gdyż elf po tym, jak pokazał się na zachodnim brzegu - nagle zniknął. Rankstrail znów wydał rozkaz zatrzymania się, wyłuszczywszy niebu i piekłu swoją opinię. Konie nieco odpoczęły, a wilk, coraz bardziej wyczerpany, ledwie zipiący, po raz kolejny zdołał ich dogonić. I tak jeszcze raz, gdy konie wypoczęły, a wilk także odzyskał

siły, elf znów się pojawił i pościg znów wyruszył.

Dowodząc pościgiem za przeklętym elfem i stojąc na czele najemników z Daligar, kapitan Rankstrail, zwany Niedźwiedziem, spróbo-wał sobie przypomnieć, od ilu lat już go ściga.

Właściwie to spróbo-wał sobie przypomnieć, kiedy usłyszał o nim po raz pierwszy, bo przecież musiał być kiedyś taki czas w jego życiu, gdy nawet nie słyszał, aby ktokolwiek o nim wspominał, o tym przeklętym.

Z trudem udało mu się przywołać to wspomnienie. Był wtedy jeszcze dzieckiem - żył w obrębie murów Zewnętrznego Kręgu miasta Varil - kiedy to w dniu, w którym urodziła się jego siostra Fiamma, donna Guzzaria, skończywszy opowiadać o tym, że elfy, sprawcy wszystkich nieszczęść na tym świecie, posiadają nad domiar złego ogon, wspomniały i o nim, o przeklętym, o wrogu wszystkich ludzi i mordercy ich kur.

Po raz drugi usłyszał o nim tego samego dnia, w którym zrobił

sobie procę, i tak rozpoczęła się jego wspaniała kariera kłusownika.

Podarował wtedy trochę miodu jednemu z wielu nędzarzy, którzy chronili się w jamach między bastionami murów obronnych. Jednemu z niezliczonych żebraków, co ledwie powłóczyli nogami, tak jak ludzie, którym stopy okaleczył kat. Człowiek ów niemal do niego podbiegł, z trudem stawiając nierówne, koślawe kroczki, i pragnął mu podziękować, a jeszcze bardziej opowiedzieć właśnie o nim, o tym ściganym, o najpotężniejszym ze wszystkich wojowników, o którym stara przepowiednia mówiła, że jako jedyne może odnowić przeszłość i ocalić przyszłość.

Kapitan Rankstrail, zwany Niedźwiedziem, dowódca lekkiej kawalerii z Daligar, przysiągł sobie, że tym razem pojmie przeklętego elfa; złapie go i dostarczy jeszcze bardziej przeklętemu Zarządcy. I

wtedy przynajmniej zostawią ich wreszcie w spokoju. On i jego ludzie będą mogli wrócić w rodzinne strony i spróbują utrzymać armię orków z dala od ludzkich gospodarstw, od pagórków, gdzie dzieci wypasają stada i gdzie kobiety chodzą nabierać wody ze źródeł; z dala od zrozpaczonego ludu i jego ziemi, która krwawi i cierpi.

Wtedy właśnie wszyscy, najpierw elf, a za nim reszta, wyszli z wą-

wozu Dogonu. Ich oczom ukazało się miasto Varil. Wysokie i piękne, otoczone murami obronnymi, odbijało się wraz z ogromnym księżycem w zalanych polach ryżowych.

Zewnętrzny Krąg stał w płomieniach. Miasto oblegały setki oddziałów orków, którzy lada moment mieli zauważyć lekką kawalerię z Daligar, galopującą w ich stronę.

Kapitan Rankstrail pomyślał, że powinien się zatrzymać - mógłby jeszcze uratować swoich ludzi. Jeszcze chwila, a strażnicy wystawieni przez orków, którzy nie byli bynajmniej jakąś zgrają, lecz całą armią, dostrzegą ich; a oni byli tylko oddziałem słabo uzbrojonych kawalerzystów.

Kapitan Rankstrail pomyślał, że jeśli lada chwila się nie zatrzyma, usłyszy dźwięk ich rogów i dowie się, że mechanizm pułapki zastawionej przez elfa został zwolniony, a on w nią wpadł, i przez to zginą jego ludzie.

A potem przyszło mu na myśl, że jeśli się zatrzyma, to także bę-

dzie straszne, bo jedyne, czego pragnie, to ratować swoje miasto, które stoi w płomieniach, albo przynajmniej chciałby zginąć wraz z nim.

Elf nie zatrzymał się ani nie zwolnił. Wyciągnął swój miecz, którego blask rozjaśnił ciemność niczym światło pochodni, i mając nad sobą ogromny księżyc, który odbijał się na powierzchni wody pól ryżowych, a za sobą całą kawalerię Daligar, wciąż galopował w stronę ginącego w ogniu miasta i armii orków, która zamierzała je zniszczyć.

21

Plan był prosty: musiał pozwolić się ścigać, lecz dając koniom żołnierzy czas na odpoczynek, tak by nie dotarli do Varil w stanie zupełnego wycieńczenia. Wswobodzenie miasta było niemożliwe.

Wszystko, co mógł zrobić, to sprowadzić najemników Rankstraila, by nic sobie nie robiąc z rozkazów Zarządcy, zaczęli organizować obronę.

Niezbyt trudno, ale i niezbyt łatwo było tak ciągle się pojawiać i znikać. Ludzie mieli wprawdzie o wiele słabsze zmysły niż on, lecz musiał uważać na Kapitana, który posiadał dziwną umiejętność słyszenia i widzenia wszystkiego, zanim to jeszcze się wydarzy - zdolność, której Yorsh nie umiał nazwać.

W wąwozie Dogonu, gdy ludzie Kapitana dawali odpocząć koniom po tym, jak po raz drugi go „zgubili”, Yorsh odnalazł Lebioda i Obala, którzy czekali na niego w ustalonym miejscu, w małym lesie cedrowym. Tamci dwaj byli bardzo zdenerwowani, i właśnie wtedy dla uspokojenia samych

siebie i utwierdzenia się w przekonaniu o wielkim męstwie jedyne go obrońcy, jaki pozostał światu ludzi, zaczęli wyliczać zasługi Kapitana.

-Ten, który uwolnił Ziemię Południa od grabieżców.

-Ten, który sprowadził krowy z powrotem na nasze łąki.

-Ten, który nigdy nie został pokonany.

-Ten, który zabił smoka.

-Ten, który przez dziesięć lat stawiał czoła orkom.

-Ten który zabił smoka?

-Ten, który zabił smoka? - powtórzył Yorsh.

Obaj spojrzeli na niego wystraszeni: powiedzieli coś, czego nie powinni byli mówić.

Yorsh poczuł, jak lodowaty dreszcz przebiega mu po plecach.

Kapitan był mordercą Erbrowa, jego brata smoka, istoty, której imię nosiła teraz jego córka. A on właśnie zwabił bandytę. To za-bójca Erbrowa był ostatnim bohaterem ludzkości? Tym gorzej dla niej. Jeśli jej ocalenie miało zależeć od ewentualnego sojuszu Yorsha z mordercą brata, nadzieje stawały się naprawdę nikłe.

W tym momencie Lebiód wykonał nieostrożny ruch i złamał ga-

łąż. Kapitan ich usłyszał. Posiadał bowiem dużo doskonalszy słuch niż słuch człowieka.

Yorsh nie mógł zrobić nic innego, jak tylko pozostawić dwóch głupków ukrytych w lesie, wsiąść na konia i znów wyruszyć - w jedynym możliwym kierunku, w stronę równiny Varil. Lada moment wąwóz się skończy i wyłoni się miasto.

Dopiero wówczas Yorsh uprzytomnił sobie, że tuż za plecami będzie miał kawalerię zabójcy Erbrowa, a przed sobą wojsko orków.

W tym wszystkim zapomniał o jednym małym szczególe - swoim bezpieczeństwie. Historia ostatniego elfickiego wojownika nic nie mówiła na temat ocalenia: jak ten biedak się ostatecznie uratował?

Nagle wąwóz Dogonu się skończył. Niebo rozpostarło się szeroko, a na horyzoncie pojawiły się gwiazdy.

Yorsh poczuł wiatr we włosach i na twarzy.

Varil stało w płomieniach, a trawiący je ogień odbijał się w wodzie pól ryżowych razem z

gwiazdami i skrzydłami czapli wystraszonych galopem koni. Lada chwila orkowie ich spostrzegą, a on usłyszy dźwięk ich rogów. Yorsh pomyślał, że powinien się zatrzymać, lecz była to myśl, która zaraz gdzieś uleciała, zniknąwszy bez śladu. Miasto stało w płomieniach i cierpienie tych wszystkich, którzy czekali na śmierć, wypełniło duszę ostatniego, największego i najpotężniejszego z rodu elfów.

Yorsh poczuł ich cierpienie. Po raz pierwszy w swoim życiu widział Varil, lecz poczuł płomienie w sobie, zupełnie jakby to jego skóra płonęła. Czuł strach i cierpienie każdego pojedynczego mieszkańca miasta, a zarazem ich miłość dla żywych i dla umarłych oraz nadzieję, bo w ludziach ona nigdy nie umiera, nawet gdy wszystko jest stracone. Przypomniawszy imiona dzieci dwójki nieszczęsnych ojców, którzy przybyli, by wezwać go na ratunek, i zdał sobie sprawę, że ani chwili dłużej nie znieśli myśli, że zostaną one bez pomocy.

Jego koń pędził w kierunku otoczonego miasta. Za sobą miał całe wojsko. Obdarte, niewielkie, słabo uzbrojone, ale wojsko.

Litość Yorsha zamieniła się w gniew.

W tym momencie usłyszał ludzi za sobą. Poczuł ich wściekłość.

Poczuł ich nienawiść. Poczuł, jak ich umysły i jego własny zjednoczyły się.

Ścigany stał się dowódcą. Prześladowcy stali się podwładnymi.

Woda i ziemia tryskały spod kopyt koni. Zewnętrzny Krąg Varil, osłaniany przez bastiony, był jedną wielką pochodnią, a jego pnące się w górę łuki odcinały się czernią na tle płomieni, lecz centralna część miasta wciąż żyła i jej białe i złote sztandary powiewały brudne na gryzącym wietrze, niosącym sadzę. Gdyby zgasły już płomienie trawiące Zewnętrzny i Środkowy Krąg, z nieprzebranych bram z dębu i żelaza, ciężkich niczym bramy piekielne, pozostałby tylko popiół.

Cytadela byłaby niczym stado baranków otoczone przez sforę wilków.

Ponad połowa żołnierzy Daligar pochodziła z Zewnętrznego Krę-

gu; byli oni dziećmi uchodźców ze wszystkich zniszczonych atakami krańców Ziemi Znanymi, gdzie nikt z ludzi już nie myślał o honorze i tylko ucieczka mogła być ratunkiem. Byli oni najemnikami, których łączyły dwie rzeczy: to, że musieli z czegoś żyć, i to, że nie-zachwianie wierzyli w Kapitana; lecz domy, które teraz się paliły, były ich domami. Teraz umierał właśnie ich lud. Wściekłość stała się odwagą, a ta z kolei ich bronią. Zniewaga, jakiej doznawała ich ziemia, stała się zachętą do bohaterstwa. Galopując przez równinę Varil, najemnicy Rankstraila stali się niezwyciężonym wojskiem.

Ostatni i najpotężniejszy z elfów mógł uczynić je nietykalnym, zmieniając kierunek strzał wystrzelonych z łuków i kusz. Jeśli nie oni, to kto? Jeśli nie tej nocy, to kiedy? Mieli się właśnie zetrzeć się z wojskiem niewyobrażalnie silniejszym od nich, lecz ani jednemu z ludzi Rankstraila nie przyszło do głowy, by się zatrzymać i ratować własną skórę.

Podczas gdy galopował na czele żołnierzy, którzy stali się jego wojskiem, Yorsh przypomniał sobie,

że jego lud też był ludem przywód-ców i wojowników.

Zanim skończyły otoczone murami i odgródzone od reszty świata, wygłodzone, upokorzone, pokonane i wysmiane, elfy stawiały opór wojskom orków, oddziałom trolli. Stawiały czoła samym demonom, kiedy piekło wypluło je na świat, by napadły na ziemię ludzi.

On był elfem. To, co znajdowało się wokół niego, wchodziło do jego wnętrza. To, co było wewnątrz jego głowy, rozprzestrzeniało się na zewnątrz.

Kiedy spotykał innych, ich pogarda lub ich ból wpływały do wnętrza

jego duszy, nadwątlając ją. To właśnie była jego potęga i jego słabość: o ile pogarda innych przytłaczała go, a czyjś niepokój go ranił, o tyle jego odwaga mogła wypełnić inne dusze, nie mając wtedy granic. I gdy jego koń pędził przed wszystkimi, jego siła rozbudzała serca ludzi i rozpalala je niczym płomyk w trzcinach, unoszony przez suchy letni wiatr.

On, ostatni spośród elfów i najpotężniejszy, pędził konno na czele wojska, a jego wiara rosła gwałtownie w wierze galopujących kawalerzystów, jak promień słońca zwielokrotnia się w grze lustrzanych odbić. Wiedział, że pozostali czuli jego oddech, i sam czuł ich oddechy. Wiedział, że pozostali czuli bicie jego własnego serca, i sam też czuł bicie ich serc. Pośród wiatru smagającego grzbiety pędzących koni przebiegł potężny impuls; był jak płonący lont, jasny i gorący, i zjednoczył ze sobą ich umysły i siły. Umysł Enstriila, jego konia, był jednością z jego umysłem i umysłami innych koni. Ich kopyta pokonywały błoto, zmierzając w kierunku Varil, ich grzywy powiewały niczym sztandary.

Yorsh wyciągnął swój miecz, który zalsnił. Nie po raz pierwszy tak się działo. Kiedyś również korona na głowie Juny prowadzącej uciekinierów przez wąwóz Astrid chwytala światło i oddawała je silniejsze i bardziej rozpalone, by zagubieni w ciemności bojownicy mogli odnaleźć drogę i wiarę. To były miecz i korona stworzone to tego, by przywracać odwagę i nadzieję tym, którzy je stracili.

Nic już nie mogło ich zatrzymać, jego i jego armii wygnańców i obdartusów, zmienionej teraz w wojsko niezwycięzonych rycerzy.

Miasto Varil przeżywało swój ostatni ból, swoją ostatnią koszmarną chwilę: lekka kawaleria Daligar już nadciągała, niepowstrzymana.

Yorsh obejrzał się: Rankstrail, Kapitan, był tuż za jego plecami. Jego zastępca podążał za nim, trochę bardziej na prawo. Jeden umysł, jedno serce: jego oraz ich.

Umysł Yorsha podpalił trawę wysuszoną ciepłym letnim powietrzem, które muskało lekko pola ryżowe od strony tam: stworzył

długie i cienkie linie ognia, które zdwoiła tafla wody, by poprowadzić swój oddział tymi pasmami światła, które biegły na spotkanie oblężonemu miastu. Osłony, które wzniosło wrogie wojsko, by obronić się przed mało prawdopodobnym atakiem z Daligar, były dobrze widoczne.

W tym momencie ogromny księżyc wyłonił się zza chmur i oświetlił równinę. Na odgłos kopyt setki czapli, które nie trafiły na ruszty orków, podniosły się w locie, bijąc powoli skrzydłami i błyszcząc w księżycowym świetle. Kopyta koni oraz ich odbicia w wodzie biegly razem i spotykały się rytmicznie pośród chlupnięć i kropel, które wiązały w sobie złote światło ognia i zimny blask księżyca. Armia rodu ludzi przybywała, aby odebrać świat, który do niej należał.

W drgającym świetle palisady orków, najeżone zaostrozonymi palami, kawałkami włóczni i złamanymi strzałami, stały się widoczne na tle czerni nieba i blasku gwiazd. Jednak nawet Yorsh swoimi oczami

elfa nie dostrzegł uciętych głów nasadzonych na dzidy górujące ponad palisadami: wyczuł tylko słabo i niewyraźnie atmosferę cierpienia, której nie zdołał odróżnić od bólu miasta w agonii. Nawet on nie potrafił zobaczyć ust wykrzywionych w ostatnim krzyku, krwi skrzepniętej na włosach, które falowały na lekkim wietrze nocy rozpoczynającego się właśnie lata.

Ale gdy to ujrzał, a ludzie jego armii wraz z nim, Yorsh poczuł

przerażenie i ból. Wielu dostrzegło ojców lub braci. Niektórzy rozpoznali dzieci.

Ten, kto urządził to makabryczne przedstawienie z zamiarem wystraszenia tych, którzy przybędą na ratunek, nie miał pojęcia, czym jest gniew ludzi, jak może rosnać, czym może się stać.

-TERAZ! - krzyknął Rankstrail.

-Teraz!... Teraz!... Teraz!... - powtórzyła armia jednym głosem.

Krzyk rozbrzmiał w ciemności, mocny i dziki niczym ryk lwa, pobiegł przez równinę, przeleciał przez płomienie i dym i odbił się echem wśród pożaru.

- TERAZ!

Oblężone miasto odpowiedziało dźwiękiem rogów, niskim i krótkim.

Palisady zostały zbudowane źle i w pośpiechu: dowódcy orków musieli uznać ich wznoszenie za mało ważne, mając całkowitą pewność, że żadne wojsko, żadna armia, kompletnie nikt nigdy nie przybędzie z miasta jeżozwierza na ratunek miastu czapli.

Oczy Yorsha odnalazły te miejsca, gdzie pale powbijano rzadziej i łatwiej można było pokonać palisady, a tam, gdzie zapory były zbyt wysokie dla galopujących koni, siła umysłu młodego elfa pomogła zwierzętom nabrać rozmachu przy skoku. Enstriil uniósł się i skoczył jako pierwszy. Yorsh poprowadził jego skok i ułatwił go. Po nim wszystkie konie, prowadzone i wspomagane, przeskoczyły przez palisadę. Trud tego ponadludzkiego wysiłku pozostał niezauważony, i rozpląnął się w dźwięku rogów z oblężonego miasta.

Pierwsza bateria orków wyrosła nagle przed nimi, kompletnie zaskoczona. Dowódca był bardzo wysoki. Yorsh rozpoznał go jako jednego z orków, którzy zeszedli z Gór Ognia, leżących na obrzeżach wschodniej części znanego świata. Hełm, który skrywał twarz, wykonany z sierści i kłów, z

postrzępionej skóry i zardzewiałego żelaza, najwyraźniej imitował wilczy pysk, który przypominać miała z wyglądu również półokrągła tarcza wyposażona w żelazne ostrza w kształcie pazurów.

Yorsh powalił orka jednym uderzeniem miecza.

Ból zadanej śmierci przeszył go jak strzała: poczuł ostrze wchodzące w orka, jakby ciało wroga było jego własnym. Poczł oddech zalany falą krwi, powietrze, które zachłupotało w gardle. Serce przestało bić. Na moment powróciły wspomnienia ciała, którym odcięto głowy i nadziano na kopie, oraz plugawych śmiechów, które temu towarzyszyły. Rozpoznał także przyjemność płynącą z poczucia, że jest się silnym i potężnym, masakrując bezbronnych. Poczł radość, którą odczuwał tamten, maszerując w jednym rytmie ze wszystkimi innymi, bo w tym wspólnym przemieszczaniu się, i tylko w nim, mógł zagłuszyć poczucie własnej znikomości i zapomnieć o niej.

Poczł również przez moment, należące do tego drugiego, wspomnienie zapachu letniego wiatru. Ujrzał przez chwilę na tle brudnych rynsztoków jego matkę: brutalną, szukającą czegoś do jedzenia, a wokół zgraję małych, zrozpaczonych istot. Zrozumiał, że dzieciństwo orków to historia niekochanych synów, urodzonych jedynie po to, by wykorzystać ich jako żywe maczugi lub kamienie przeciwko światu, który należało ograbić.

To jednak były osoby.

Orkowie to były osoby.

To, co nosili na twarzy, coś z sierści i kłów, to była tylko maska wojenna. Orkowie nie zostali wypłuci prosto z piekielnych bagien; to były osoby. Mieli wspomnienia. Odczuwali ból. Płakali, jako niemowlęta, z tą samą rozpaczą, z jaką płaczą wszystkie małe dzieci.

Byli kiedyś noszeni w ciepłym brzuchu matki.

Yorsh zwolnił.

Za nic w świecie nie zdoła zadać kolejnego ciosu.

Jego kariera jako przywódcy kończyła się w tym miejscu.

Rankstrail wyprzedził go. Gra ścigającego i przywódcy się skończy-

ła. Wstrząśnięty i cierpiący na widok swoich zmasakrowanych rodaków, na myśl o swoim ludzie, który patrzył, jak jego dzieciom odci-nają głowy i nasadzają je na pale, młody Kapitan z Daligar pędził, by oswobodzić swe oblężone miasto. Jego miecz powalał wszystkich, którzy stawali na jego drodze.

Yorsh zrozumiał, dlaczego chwała jego ludu, płynąca z prowadzenia innych ludów ku zwycięstwu, należała już do przeszłości: elfy nie były barbarzyńcami, a trzeba było się nimi stać, żeby umieć toczyć jakąkolwiek wojnę, a z czasem nawet - żeby w tym okrutnym świecie po prostu utrzymać się przy życiu. Ich moc rozumienia bólu innych była zgubą. Nie powstrzymali orków, jak powinni byli to uczynić, i za to ich znenawidzono; ludzie przecenili potęgę ich mocy, źle zrozumieli ich słabość i

uznali ich za odpowiedzialnych za wszelkie zło. Oni tymczasem mogli walczyć z demonami, ale nie z orkami, a już zwłaszcza nie z ludźmi, bo ból pokonanych był

ponad ich siły i czynił każde zwycięstwo nieznośnym. Cokolwiek, byle nie to. Lepiej już umrzeć. Lepsza tułaczka niż patrzenie, jak własne ciało niszczeje, trawione przez głód, robactwo i nienawiść innych.

Podobnie jak niemożliwy do powstrzymania był pożar, tak armia rodu ludzi, najemnicy, nie zatrzymała się ani nie zawahała po tym, jak ból powalił serce Yorsha.

Elf pozostał niedaleko Rankstraila, który przełamywał, jedna za drugą, wszystkie linie orków, nie tracąc przy tym ani jednego ze swoich ludzi. Żadna ze strzał wystrzelonych z kusz wroga nie sięgnęła celu, gdyż Yorsh wykorzystał resztkę swej mocy, by zmienić ich kierunek, ale towarzyszący temu wysiłek spowodował straszny ból.

Młody Kapitan, wspomagany światłem ogni i księżyca, potrzebował

zaledwie kilku chwil, by zidentyfikować najsłabszy punkt wszystkich zapór, miejsce, gdzie można było je przełamać.

Rankstrail podniósł prawą rękę i wyciągnął w bok: Lisentrail natychmiast zrozumiał to i odbił ze swoimi ludźmi na północ, ku lesystemu wzgórzu, u wylotu drogi z miasta, by je okrążyć i uderzyć na orków z flanki, podczas gdy Kapitan i większość oddziałów natrą od frontu.

Potem Kapitan rozpostarł ramiona i jego armia rozdzieliła się na dwie, tuż za nim. Pozostając jedynie z Yorshem u boku, wpadał mię-

dzy orków z drugiej linii niczym lew w stado psów. Miał swój miecz w prawej ręce i halabardę wyciągniętą z jednej z barykad w drugiej; zsiadł z konia i sam, w pojedynkę, był w stanie stawić opór tuzinowi orków, ściągając na siebie wszystkich, podczas gdy jego ludzie atakowali wrogów z boku. Nagle okazało się, że orkowie są atakowani ze wszystkich stron. Byli liczniejsi, lecz po raz pierwszy, odkąd rozpoczęła się wojna z rodem ludzi, ich pewność siebie została zachwiana.

Ich odwaga nagle pierzchła niczym stado srok, które zauważyły nad sobą kilka sokołów. Przy Kapitanie, wyzbyty z wszelkiego strachu, pojawił się jego wilk, którego widok przeraził orków. Nie chodziło tylko o strach przed kłami: legenda głosiła, że również sir Arduin walczył, mając wilka u swego boku. Niezależnie od tego, czy była to prawda, czy tylko fantazja, orkowie z pewnością ową legendę znali.

Razem z bestią walczącą tuż obok niego Kapitan stawał się prze-dziwnie podobny do ich pradawnego wroga.

- Teraz! - krzyknęli znów ludzie.

Zabrzmiało to jak ryk lwa. Orkowie zaczęli się wycofywać, a odwrót przerodził się momentalnie w pogrom wojowników, którzy uciekali bezładnie, nie stawiając już żadnego oporu. Miecz Rankstraila złamał

się podczas pierwszego starcia i Kapitan podniósł kanciąstą, zabójczą broń jednego z dowódców orków. Ostrze było długie na ponad trzy stopy, a rękojeść ochraniała dłoń, która je dzierżyła. Orkowie zdolali dotrzeć do dwóch potężnych katapult, które podpaliły dwa kręgi miasta, wyrzucając płonące wiązki suchego drewna, namoczone w oleju. Podczas gdy część wrogów, już zupełnie rozproszonych, starała się jeszcze przeszkodzić kawalerii ludzi, inni nie mieli już siły ani czasu, by obrócić katapulty w stronę Rankstraila. Kiedy jednak im się to udało i Rankstrail znalazł się w zasięgu płonących wiązek drewna, oddział kawalerzystów, który okrążył wzgórze, zaatakował

orków z nienacka z prawej flanki, całkowicie nieosłoniętej, i wyciął

ich wszystkich w pień. Ogromnym i ciężkim ostrzem, którym zastąpił

własne, Rankstrail jak kosą ścinał orków.

Choć to nie on je zadawał, Yorsh czuł każdy cios. Chwila, w której głowa była odcinana od ciała stawała się zaprzeczeniem istoty człowieczeństwa, tajemnicy życia.

Yorsh ograniczał się do podążania za Rankstraiłem. Armia ludzi znów stanowiła jedność i właśnie szykowała się do przypuszczenia decydującego ataku.

Gdy dotarli na wzgórze, zaczęły się lasy i sady owocowe. Większość drzew została wycięta na ogniska, zapory i drabiny, i stosy. Z

tych, które pozostały, zwisały ciała powieszonych. Niektórzy byli bardzo młodzi, część to jeszcze dzieci. Na środku wznosił się długi stos drewna, setki wiązek tworzące coś w rodzaju zapory, na której około tuzina osób przykute było do pali, z rękami i nogami ubrudzonymi błotem i krwią. Zapach oleju, którym przesiąkł stos był

jeszcze silniejszy od zapachu ciał. Kilku orków stało na środku stosu, trzymając w rękach pochodnie.

Rankstrail zatrzymał się. Wojsko również przerwało marsz, z łoskotem żelastwa, który mieszał się z przekleństwami, bo konie stanęły dęba, zderzając się ze sobą nawzajem.

Orkowie zaczęli wydawać z siebie okrzyki zwycięstwa.

Jeden z nich, wysoki i z kłami wilka na tarczy, wskazał ręką Rankstraila, a potem wykrzyknął prześmiewczo:

- Ty już więcej nie krzyczysz „teraz”. Ty nie krzyczysz już więcej. Ty cicho. Ja chcę ciebie albo ja spalił ich.

Pozostali orkowie również się zaśmiali.

Rankstrail uniósł prawą rękę, by powstrzymać swoich ludzi.

Oschłym rozkazem zatrzymał także swojego wilka; zmierzył wzrokiem orka, potem spojrzał jeszcze

raz na ciała przykute na stosie i znów zmierzył wzrokiem orka. Nie opuszczając wzroku, zsiadł ze swojej szkapy.

-Kapitanie, to nie ma sensu, to głupota! - krzyknął do niego jego zastępca, mały, z warkoczykami i pucinanymi palcami u dłoni. -

Jak już cię rozszarpią na kawałki i tak ich spalą. Nie rób tego!

-Tam jest moje rodzeństwo: trzeci od lewej to mój brat, a dziewczyna w sukni ślubnej to moja siostra. - odparł Rankstrail. - Zanim przyjdzie mi zdechnąć, bardzo chciałbym się dowiedzieć, jak u licha moja siostra znalazła się na tym stosie i dlaczego jest tak ubrana, ale zdaje się, że moje wątpliwości pozostaną niewyjaśnione. A nawet jeśli żaden z nich nie byłby moim krewnym, to nic by nie zmieniło, bo to i tak są kobiety i dzieci.

Nie ruszajcie się stąd.

Kapitan upuścił swój miecz, odpiął dwa pasy, które przytrzymały jego zbroję na plecach, pozwalając jej się zsunąć na ziemię. Na końcu ściągnął hełm i zastygł w bezruchu bezbronny, patrząc na orków, których miał przed sobą. Dwaj z nich unieśli swe łuki lecz nie zdążyli nawet ich naciągnąć.

Yorsh spał mocno Enstriila, wjechał na stos i przewrócił ich.

- Nie! - krzyknął Rankstrail.

Yorsh zsiadł z konia, schował miecz i rozpostarł ramiona tak, jakby chciał objąć cały świat. Orkowie z pochodniami podpalili stos.

Enstriil stanął dęba i uderzył jednego z nich. Pozostałe pochodnie upadły na drewno, płomienie nie wybuchły, wślizgnęły się tylko pomiędzy drewna, a suche pędy faszyn, niczym robaki do wnętrza zgniłej ryby. Olej nie zapalił się. Yorsh odczuł okrutny trud zatrzymania w sobie płomieni: ogień, który nie palił się na stosie, płonął

właśnie w jego głowie. Lada moment padnie, nie pozostało mu już wiele czasu. Za swoimi plecami usłyszał hałas rozpoczynającej się na nowo bitwy. Powstrzymał ogień orków, ale nie ostrza ich mieczy.

Nadal trzymał uniesione lewe ramię z rozpostartymi palcami u dłoni, tak, by kontrolować ogień, a prawą ręką wyciągnął miecz, opuszczając go z całych sił, jakie mu pozostały, na łańcuchy pierwszego zakładnika, które rozkruszyły się, jakby były ze szkła. Zakładnikiem była młoda kobieta w sukni ślubnej. Na szyi miała małe serduszko z kości zawieszane na niebieskiej wstążce, a przez ramię -

przełożony łuk. Yorsh pokazał jej ruchem głowy swój miecz, a potem innych więźniów i kobieta zrozumiała. Wyciągnęła miecz z jego drżącej dłoni i roztrzaskała nim łańcuchy drugiego zakładnika.

Miecz zdobiony bluszczem zaśnił niespotykanym blaskiem. Nagle Yorsh znalazł się naprzeciw orka,

ogromnego, o jednym okropnie pustym oczodole pośród łusek i szponów, które pokrywały mu twarz. Nie zdążył nawet podnieść swojej siekiery: Kapitan Rankstrail, bez hełmu ani zbroi, odzyskał jednak swoje ostrze. Głowa orka została oddzielona od reszty ciała jednym cięciem. Yorsh poczuł w sobie radość, z którą jednooki by go uderzył, okrucień-

stwo, z jakim upuścił na stos swoją pochodnię, przyjemność, z którą oglądałby płonący ogień. Jednocześnie zobaczył znów jego matkę: gniewną, porywczą i zrozpaczoną, która kiedy był jeszcze dzieckiem, złamała mu kamieniem palce u ręki, by w ten sposób ukarać go za kradzież kawałka marchewki. Ujrzał kolejkę ubranych w łańchmany istot, pozostawionych w ulewie, na błocie. Usłyszał długi płacz, nigdy nieukoiony, który niczym ujadanie gubił się pośród ciszy, coraz bardziej głuchej, nieprzerwanej niczym, chyba że odgłosami deszczu i uderzeniami piorunów. Orkowie, wszyscy jak jeden, byli niekochanymi, nienawidzonymi dziećmi, wydanymi na świat tylko w jednym celu - by zostać wojownikami, uczestnikami okrutnych, grabież-

czych wojen, a wszystko dlatego, że zmieniali w nieludzką przemoc niekończący się ból, który ich przepełniał.

Kapitan Rankstrail posłużył się siekierą, by rozłupać łańcuchy również innych więźniów, a tam, gdzie opierały się one uderzeniom, powalił pale. Jego ludzie pomogli mu, podtrzymując więźniów i opuszczając ich na dół ze stosu.

Yorsh był jeszcze w stanie trzymać dłonie i ramiona rozpostarte, lecz nogi nie mogły go już dłużej utrzymać. Upadł na kolana. Kiedy już ostatni więzień był bezpieczny, Kapitan z Daligar chwycił go za tunikę tak, jakby był workiem szmatek i wyrzucił go na dół, skacząc wraz z nim prosto w błoto. Razem się sturlali.

Oczy Yorsha zaszły mgłą. W jego głowie wysiłek mieszał się z bó-

lem umarłych, przerażeniem ściętych i płaczem małego orka. Były tam jeszcze jakieś wspomnienia, lecz Yorsh nie zdołał już ich uchwycić. Światło pożaru Varil stopniowo gasło na tle wciąż jeszcze kwitnących drzew migdałowych. Rankstrail znów chwycił Yorsha za ubranie i postawił z powrotem na nogi, opierając go o pień jednego z niewielu drzew, które jeszcze ocalały.

Swą ogromną szorstką dłonią odgarnął mu włosy i starł błoto z twarzy. Chwytał za broń gołymi rękami i jego dłonie nosiły tego ślady. Yorsh spróbował się uchylić przed tym gestem.

-Jesteś ranny? - spytał niespodziewanie Rankstrail. -Jesteś chory?

- Jestem zmęczony - odparł Yorsh, zmieszany, słabym głosem.

Trząsł się. Spojrzał na tamtego. Po raz pierwszy patrzyli sobie prosto w oczy.

Dziewczyna w sukni ślubnej zbliżyła się do Yorsha i z lekkim ukłonem oddała mu miecz. Rękojeść była tak brudna od sadzy, że pędy bluszczu były ledwie rozpoznawalne. Ostrze lśniło jak nigdy dotąd.

Gdzieś między zachodnim krańcem pól ryżowych a wzgórzem Rankstrail przestał być psem myśliwskim, depreczającym po piętach swej ofierze, a stał się na powrót wojownikiem, który gnał, by wyswobodzić swój lud i swoją ziemię.

Pościg został zakończony, a rozpoczęła się bitwa. Elf nie był już więźniem, którego należało pojmać z rozkazu Zarządcy, lecz jedynym dowódcą, za jakim on byłby gotów ruszyć do walki.

Kapitan odniósł wrażenie, że jest jednocześnie sobą i Yorshem, który pędził na koniu, na wietrze, tuż przed nim. Poczł jego wiarę i spokój, nie mniej silne niż jego własne zwątpienie i wściekłość.

Poczł na twarzy ten sam wiatr, który owiewał Yorsha i pozostałych kawalerzystów. To było tak, jakby wszyscy stali się jednym człowiekiem.

Po raz pierwszy, odkąd spotkał go wątpliwy zaszczyt zostania jego właścicielem, Rankstrail poczuł jak jego marny koń pędzi na wietrze niczym wiatr. Zdobył się nawet na galop przez wodę i błoto. Rankstrail zorientował się, że jego koń niemal unosił się nad ziemią. Inni mogli mieć pewne wątpliwości, lecz on akurat dobrze znał Kleszcza i wiedział, że nawet uciekając przed stadem wygłodniałych wilków, nie mógłby tak biec.

Niesione przez moc młodego elfa kopyta ich pędzących koni odrywały się od ziemi.

Kiedy płomień wzniecone przez ofiarę, która teraz zamieniła się w przywódcę, rozblęsy wystarczająco mocnym światłem, by można było przeskoczyć przez zapory, Rankstrail zrozumiał, dlaczego wszyscy od zawsze nienawidzili elfów. To była mieszanka zawiści i strachu, a każdy z tych elementów z osobna wystarczał, by zadać śmierć, i jeszcze oba wzajem się podsycaly.

Rankstrail zrozumiał przyczynę nienawiści, która sprawiła, że elfy zostały wytępione.

Nie pojmował jednak, jak zdołano je wymordować. Elfy, jeśli choć odrobinę przypominały tego, który pędził na koniu tuż przed nim, powinny być niezwyciężone.

Potem Rankstrail zapomniał o tym wszystkim i tylko patrzył na kopyta swego konia, które ścięły swoje własne odbicie na powierzchni wody w jednym rytmie z kopytami wspaniałego rumaka młodego elfa. Jego własny, lichej koń unosił się w powietrzu; pokonał palisady zrobione przez orków z taką samą odwagą i brawurą, jakie on odczuwał w swojej duszy, i tak rozpoczęło się wyzwalenie Varil.

Młody elf otworzył im drogę, stawiając czoła pierwszemu oddzia-

łowi orków i powalając jego przywódcę, lecz potem nagle przekazał

dowództwo jemu; lekko zwolnił, pozostawiając jemu, Rankstrailowi, zadanie i zaszczyt zostania oswobodzicielem. W tym samym momencie Rankstrail przysięgł sobie, że to właśnie tamten będzie jego dowódcą; że to jemu, i tylko jemu, odda własne życie oraz swój miecz; oczywiście jeśli

kiedykolwiek będzie miał taki, który byłby godny tego miana.

Gdy dziewczę w sukni ślubnej oddało mu jego miecz, Yorsh pozostawał skulony w błocie, starając się, najwyraźniej na próżno, odzyskać siły. Widział jak przez mgłę. Jak we śnie zobaczył grupę orków, którzy go otoczyli. Rankstrail nie zdążył stawić im czoła, gdy strzała trafiła najbliższego z nich: młoda dziewczyna w sukni ślubnej bez wahania uzbroiła swój łuk w strzały z kołczanu wielkiego orka i właśnie stawiała do bitwy.

Rankstrail znów zaczął walczyć: na szczęście ograniczał się do zabijania wrogów, nie ścinając ich głów, i ból nie docierał już do Yorsha.

Wojenne okrzyki zagłuszyły trzask palącego się stosu. Dochodziły z góry, z ostatniego i najwyższego pierścienia murów, tego, który nie stał jeszcze w ogniu i wciąż stawiał opór. Tam również znajdowali się ludzie pojmani przez orków, lecz niepotrzebny był wcale żaden stos, by ich zabić, wystarczyło zepchnąć ich w płomienie. Więź-

niami byli mężczyźni, prawie wszyscy w zbrojach, najwidoczniej żołnierze wojsk Varil, którzy nieroztropnie dali się pojmać żywcem, i teraz mieli za to drogo zapłacić. Jeden obok drugiego w długim rzędzie, wszyscy z rękami związanymi nad głową, wisieli na belce, z której orkowie ich odcinali, i żołnierze spadali z muru.

Yorsh zacisnął zęby, próbując odzyskać siły. Podniósł się na nogi.

Chwycił swój łuk i strzałę i powalił orka, który znajdował się najbli-

żej więźniów. Strzała przeszła gardło wroga i Yorsh znów poczuł

krwawy oddech i zatrzymujące się bicie serca, a jednocześnie straszne i mroczne wspomnienia zalały jego umysł niczym fala błota. Zdo-

łał ponownie napiąć łuk, wystrzelił i trafił w sznur, którym związani byli znajdujący się najbliżej więźniowie, uwalniając ich. I zaraz znów oparł się plecami o drzewo, z czołem mokrym od lodowatego potu.

Jeden z dwójki wyzwolonych więźniów chwycił miecz powalonego orka i stawił czoła innym.

A drugi uwolnił, jednego po drugim, wszystkich towarzyszy i rozgorzała walka.

Przejście na szczycie muru było tak wąskie, że orkowie zmuszeni byli iść pojedynczo, a to ułatwiło zadanie żołnierzom, którzy natychmiast zyskali przewagę.

- Niemożliwe, żeby ktokolwiek tak strzelał, żaden człowiek tego nie potrafi - powiedziała panna młoda, zdumiona.

-On nie jest człowiekiem - wyjaśnił Rankstrail. - To elf.

-Elf?

-Elf- potwierdził Kapitan.

-To jeniec! Złapaliśmy go! - krzyknął z radością zastępca Rankstraila. - To jeniec! Kapitanie, złapaliśmy go! Złapaliśmy nawet jeńca!

-To nie jeniec, Lisentrail - powiedział Rankstrail, gasząc szybko entuzjazm tamtego. - To jest nasz dowódca. Kieruje atakiem na or-ków, a my podążamy za nim.

-Kapitanie, żartujesz chyba, ten tutaj to elf, a my nie przyjmujemy przecież rozkazów od elfów.

-Już prędzej zdechnę - powiedział ktoś inny. Kapitan nie obrócił

się nawet, by go zidentyfikować.

-Następnego, który otworzy usta i będzie gadał brednie, przeszyję moim mieczem! Nie chcę słyszeć ani słowa, bando kundli! -

krzyknął do swojej gromady z całej siły, a miał jej sporo. Jego głos rozbrzmiał ponad płomieniami i zagłuszył rogi Varil. - Niech nikt się nawet nie ośmieli podważać moich rozkazów albo rozszarpie was na kawałki własnymi rękami! Nie każcie mi się wstydzić, że już wcześniej tego nie zrobiłem, i nie każcie mi powtarzać na głos tego,

co myślę o was i o matkach, które zmarnowały swoje życie, wydając was na świat!

Mężczyźni zamilkli. Nikt nie miał zamiaru pisnąć ani słowem.

Nikt nawet by nie drgnął bez jego rozkazu. Kapitan się uspokoił.

Jego głos złagodniał.

- Wszyscy je przyjęliśmy, wszyscy przyjęliśmy rozkazy od elfa, i skutek jest taki, że nie tylko nie pozdychaliśmy, ale wygraliśmy bitwę, której nie podobna wygrać, potyczkę z wojskiem, którego byśmy nie pokonali, a więc kontynuujemy walkę. Jak tylko zdołam go z powrotem postawić na nogi.

Yorsh leżał na ziemi. Pomimo żaru nie do wytrzymania, który były od płonącego stosu, zaczął się trząść. Targały nim wspomnienia or-ków, których zabił: ujrzał wszystko, aż po najdawniejsze chwile, o jakich pamiętał. Zrozumiał, dlaczego tworzyli pojedyncze elementy jednego wojska: człowiek uczy się poczucia własnej tożsamości i znaczenia wolności od swojej matki, ale tylko pod warunkiem, że ta ma je sama. Synowie niewolnic, orkowie, byli tego pozbawieni.

Rankstrail postanowił zostawić elfa w spokoju i zajął się swoją siostrą.

- Co u licha ciężkiego robisz tu na zewnątrz? Czemu u licha ciężkiego nie jesteś w obrębie murów? I czemu u licha ciężkiego masz na sobie to coś? - spytał wściekły.

Mimo że wygląd Kapitana wyprowadzonego z równowagi zmroził

w momencie wszystkich jego żołnierzy, na jego siostrze nie zrobił

większego wrażenia.

- To za murami nas pojмали - wyjaśniła ze stoickim spokojem, sia dając na ziemi i obciągając suknię pomazaną krwią, sadzą i błotem.

Była to drobna dziewczyna, która nie miała w sobie nic z masywnej sylwetki brata, choć dostrzegano między nimi lekkie podobieństwo w dumnym trzymaniu głowy i patrzeniu rozmówcy prosto w oczy. Miała brązowe włosy, splecione w dwa warkocze, owinięte wokół głowy. Oparła się o drzewo i próbowała odzyskać siły, by móc mówić dalej, pomimo zmęczenia, które musiało być bezgranicznie wielkie. Miała usta popękane od spiekoty i jej brat, zanim znów zaczęła opowiadać, wyciągnął swoją manierkę i dał jej się napić, potem podał wodę pozostałym uwolnionym zakładnikom.

-Orkowie weszli łukami łączącymi trzy pierścienie murów - kontynuowała, jak tylko nabrała tchu. - Wtargnęli do Starego Miasta, gdzie wszyscy się schroniliśmy, i spalili Zewnętrzny Krąg. Złapali nas dziś rano i wyprowadzili na zewnątrz, nim płomienie zagroziły przejście schodami. Teraz Cytadela jest odcięta od reszty miasta. Orkowie są na murach, lecz w środku miasto stawia jeszcze opór.

-Ale jak to możliwe, że Varil upadło? Czemu nie otworzono tam?

I dlaczego armia Varil nie odparła ataku orków? To potężna armia! Najpiękniejsza armia na świecie!

-Tak, piękni może, ale byli - odparła dziewczyna. - Dali się wybić w pół dnia. Padli prawie wszyscy, ale to prawda, byli piękni. Nie został nikt oprócz kobiet dzieci i rannych, by bronić miasta. Ktoś nas sprzedał orkom. Ich przednie straże zjawiły się nocą, jak wilki: opanowali młyny i zabili żołnierzy pilnujących tam, zanim ci zdą-

żyli je otworzyć. Mieli mapy i wiedzieli, co robić. Potem otoczyli miasto. Kawaleria próbowała przerwać oblężenie. Wytrzymali jeden atak. Prawda jest taka, że koniec końców, owszem, byli bardzo piękni w tych swoich zbrojach ze srebra i złota, ale jeszcze nigdy nie walczyli. To było wojsko do defilad i wygrywania turniejów. W armii służyli członkowie świetnych rodów. U boku sir Erktora na czele kawalerii stał sir Gaimir, jego kuzyn w pierwszej linii, który dowodził lekką piechotą, która miała iść za kawalerią. Pierwsza linia kawalerii została przerwana przez oddział

piechoty, i właśnie tamtędy przebili się orkowie, dzieląc kawalerię na dwie części. Kolumny halabardników mogłyby zrobić mur i zatrzymać szarżę orków, ale oni stali z tyłu, za wszystkimi, bo ich dowódca uzyskał szlachectwo dopiero niedawno i żaden z patrycjuszów ze starodawnych rodów nie chciał go mieć blisko siebie, w pierwszym rzędzie. Książę Erik, syn sir Erktora, i jego łucznicy nawet nie zostali włączeni do oddziałów. Jego ojciec przepędził go nie tylko dlatego, że ten powiedział, iż wojsko złożone ze starożytnych herbów to czyste samobójstwo, ale i dlatego, że strzały to, ich zdaniem, broń... poczekaj, jak oni to powiedzieli... nieelegancka. Broń dla bandytów i kłusowników, dobra na polowanie na dzika. Strzałę może wystrzelić byle jaki obdartus, nawet z

daleka, i wtedy najlepszy z kawalerzystów ginie ni mniej, ni więcej, tylko jak najgorszy z halabardników, co jest rzeczą mało piękną. Ktoś spędza połowę swojego życia na nauce używania miecza w walce jeden na jednego, a potem na nic mu się to nie przydaje, skoro trafia go w gardło strzała lecąca z odległości trzydziestu stóp; to również jest nieeleganckie. Lepiej więc przegrać wojnę, tyle tylko, że jak już zostanie przegrana, orkowie grają w krę-

gle ściętymi głowami, i to też wcale nie jest eleganckie. Szkoda, że podręcznik dobrych manier orków nie wykluczał używania tych przeklętych kusz: niebo aż pociemniało od strzał. Nie byłyby takie zabójcze, gdyby nie to, że nasi stali jak słupy soli, przyjmując je na siebie. Reguły armii Varil zabraniają bowiem padania na ziemię, by się ratować; jest to jednoznaczne z ucieczką. Jeśli to zrobisz, czeka cię kara śmierci, więc zostali na stojąco. Wystarczyłoby kucnąć za tarczami, żeby ocaleć, a potem przypuścić kontratak. A oni stali: oczywiście nie cały czas, bo gdy otrzymali wiele ran, nie mogli już dłużej utrzymać się na nogach. Sir Erktor został schwytany i od razu zabity. Aby jego śmierć nie odbyła się w męczarniach, jego syn, książę Erik, zrzucił z muru worek złotych monet, i orkowie tylko powiesili go. Książę Erik z wysokiej twierdzy cisnął całe złoto miasta za innych więźniów, ale nie dla wszystkich go wystarczyło, i wtedy...

- Tak, wiem. Wiem - przerwał jej brat. - Wiem, do czego są zdolni.

Dziewczyna zalała się łzami, ale natychmiast się uspokoiła i spytała, czy ktoś ma coś do jedzenia. Rankstrail i jego zastępca rozdali chleb.

- Czemu masz na sobie to coś? - spytał Kapitan, wskazując na ślubną suknię, białą tunikę z mnóstwem haftów i tasiemek. Ściszył

głos, lecz Yorsh miał elfi słuch i nawet pośród trzasków stosu, który się dopalał, usłyszał każde słowo. - To była suknia naszej mamy.

Skąd ci przyszło do głowy, by ją włożyć? I w co ty się ubierzesz, jak syn piekarza poprosi cię o rękę?

- Syn piekarza mnie o nią nie poprosi. Ta hiena, jego matka, chce dwadzieścia sztuk złota w posagu, a my ich nie mamy. I nigdy nie będziemy mieć. A nawet jeśli mielibyśmy, to za nic w świecie nie chcę takiego, co mnie poślubi, tylko jeśli będę miała posag, i który zostawił mnie z bandą orków, żeby samemu ratować się ucieczką.

Gdybym nie miała łuku, który dla mnie zrobiłeś; gdybyś mnie nie nauczył go używać, byłabym martwa od półtora dnia. Włożyłam tę suknię, bo byłam pewna, że nie dożyję jutra. Nie chciałam umierać w zwykłych łachmanach, a nikt i tak nigdy nie poprosi mnie o rękę; więc, po raz pierwszy i ostatni, chciałam ją założyć. Nie miałam żad nych szans, by dotrzeć następnego dnia. - Dziewczyna znów się rozplakała. - Dlaczego tak długo to trwało? Jak mogliście aż tyle zwlekać? - spytała.

Potem znów się uspokoiła i jeszcze raz zaczęła mówić o sukni, prawdopodobnie, by dodać sobie otuchy mniej okrutnym tematem niż wojna i orkowie. Dziewczyna jeszcze bardziej ściszyła głos, lecz Yorsh i teraz słyszał ich rozmowę.

- Wiesz, że była zupełnie nowa? Nigdy wcześniej nie była używana! Sądziłam, że nasza matka miała ją na sobie podczas swojego ślubu, a tymczasem wcale nie. Hafty nie zostały dobrze zrobione, wiesz, mama nie umiała zbyt dobrze wyszywać, i do tego nie miała dobrego wzroku. Haftując zszyła ze sobą przód i tył góry sukni.

Musiałam te hafty rozpruć przed założeniem jej.

Rankstrail skamieniał.

- Jesteś pewna? - spytał po chwili.

Yorsh uznał za dość osobliwą głupotę polegającą na wdawaniu się w dyskusję na temat garderoby, gdy ma się przed oczami miasto, które stoi w płomieniach, a bitwa jeszcze się nie skończyła.

Z wielkim trudem spróbował wstać. Rankstrail ujął go za ramię i podciągnął do góry.

Młody elf przypomniał sobie, kim jest człowiek, którego ma przed sobą.

Do tej pory widział mężczyznę zrozpaczonego na widok swojej zniszczonej krainy, wielkiego wojownika nieznającego strachu, go-towego dać się zabić, byleby tylko ocalić zakładników.

Teraz przypomniał sobie, że ten, którego ma przed sobą, jest do-wódcą kawalerii Daligar. Wściekłość znów dodała mu sił. Gwałtownie odsunął się, by uniknąć kontaktu z wielką, ciemną dłonią tego drugiego; zmęczenie Yorsha ustąpiło.

- To wy kazaliście powalić ostatniego ze smoków - syknął blady, z pogardą. - To wy jesteście tym, który kazał zamordować Erbrowa.

Zapadła długa cisza. Rankstrail wydawał się zmieszany, lecz nie spuścił wzroku.

-Uratowałem cię - odpowiedział zapalczywie. - Wszystkich was uratowałem. Ciebie i pozostałych nędzarzy. Rozkazano mi, by was zgładzić, rozerwać was na strzępy, a pozwoliłem wam uciec.

Zwlekałem z rozkazem ataku, żeby dać wam szansę na bezpieczne dotarcie do wąwozu. Zaatakowałem z opóźnieniem, żebyś miał

czas, by się schronić. Ty i cała reszta. Nie chciałem mieć na sumieniu bandy nędzarzy i dałem wam czas na ucieczkę...

Zawdzięczasz mi życie.

-Nie uratowaliście nam życia. Ograniczyliście się tylko do tego, by nam go nie odbierać. To właśnie wy je narażaliście. Jak dla mnie to ostatni ze smoków był tym, który ocalił nasze życie. Z waszej winy już nigdy więcej skrzydła żadnego smoka nie uniosą się nad światem.

Yorsh poczuł, jak ogarnia go gniew i pogarda. Przepęłniło go wspomnienie Erbrowa. Chciał uderzyć Kapitana. Wilk wyczuł to, tak jak wyczuł nienawiść i wściekłość w jego głosie, i warknął groźnie,

lecz Kapitan uciszył go stanowczym rozkazem. Znów zapadła cisza.

- Myślę, że masz rację - powiedział Kapitan.

Yorsh nie spodziewał się tego.

- Sądzę, że masz rację - powtórzył Rankstrail, odgarniając dłonią włosy z twarzy, która zrobiła się jeszcze brudniejsza od krwi, sadzy i błota.

Kapitan miał ranę nadgarstka, której nie zauważył; nie wydawał

się tym bardzo przejęty. Zobaczył, że jest także ranny w ramię i nad kolanem, i tym także się nie zajmował. We wszystkim, co robił, była jakaś beztroska.

-Wiem, że masz rację - kontynuował - a najgorsze jest to, że znałem prawdę również wtedy, tamtej nocy. Postanowiłem zostać najemnikiem, bo potrzebowałem pieniędzy, i tyle. Nie sądziłem, że sprzedaję swój miecz i że to może oznaczać zaprzeczenie własnej duszy. Tamtej nocy nie wiedziałem, co robić. Powiedzieli nam, że jesteście największym wrogiem. Rozkaz brzmiał: wykończyć was, a niewypełnienie go oznaczałoby śmierć moich ludzi. Ale tam były dzieci, całe mnóstwo dzieci, dziewczynka z koroną na głowie, żebracy, nędzarze, starcy... Nie wiedzieliśmy, co robić. Powaliliśmy smoka i opowiedzieliśmy wszystkim, że zginęliście pod osuwiskiem... Wydało nam się to logicznym rozwiązaniem... Nigdy już was nie ścigali, bo powiedzieliśmy, że wszyscy jesteście martwi. Ty tego nie rozumiesz: w grę wchodziło nie tylko życie moich ludzi, a również ich rodzin. Musieliśmy ratować rodziny mężczyzn, którzy pochodzili z Daligar.

-Kapitanie - przerwał mu Yorsh bez kąśliwości, niemal łagodnie -

właśnie dlatego, że rodziny waszych ludzi zostały wzięte jako za-kładnicy... Kapitanie! Walczycie dla potwora.

Rankstrail wydawał się zdezorientowany, na chwilę jakby zabrakło mu powietrza.

- Wiem - odparł wreszcie. - Wiem to od dziesięciu lat, a dziesięć lat to za długo, ale orkowie są jeszcze gorsi od potwora, dla którego walczę, a w jaki inny sposób, jeśli nie walcząc dla Daligar, mógłbym wyruszyć, by ich powstrzymać?

Wilk zaskomlał cicho i oparł pysk o rękę Kapitana, który go po-głaskał.

Rankstrail i Yorsh spojrzeli na siebie.

Yorsh musiał się wysilić, by nie rozczulić się w obecności zabójcy Erbrowa.

Ten, kto bierze na siebie odpowiedzialność za świat, nie zasługuje na pogardę. To pewne. Kapitan popełnił błąd, może była to tra-giczna pomyłka, może wybór mniejszego zła... Może ból, któremu zapobiegł przez wszystkie te lata, gdy był jedynym obrońcą zrozpaczonych, stanowił największą wartość...

Yorsh przypomniał sobie, że w wieży nad morzem, która mieściła w sobie sporą część wiedzy i pamięci żyjących istot, była także historia życia sir Arduina, spisana przez niego samego. Patrząc na Kapitana, zdał sobie sprawę, że obaj prawdopodobnie nie różnili się bardzo od siebie. Ciężko było Yorshowi nie wzruszyć się z powodu udręki Kapitana, z powodu jego barbarzyństwa. Poczul, że już dłu-

żej tego nie zniesie.

- Dobrze - zaczął znów szorstko, lecz uprzejmie - skoro jesteście w nastroju do przemyśleń, czy moglibyście przestać zwracać się do mnie tak, jak bym był waszym koniem albo psem?

Kapitan zaniemówił. Spoglądał w oczy Yorsha, wciąż nic nie rozumiejąc. Ale w końcu Rankstrail pojął, o co chodzi.

- Ty... to znaczy... wy. Ja... Wy. Wybaczcie, to z przyzwyczajenia.

Tak mówię do moich ludzi... oczywiście, macie rację... to z przyzwyczajenia, ale macie rację: wy imię waszego ojca znacie i nie jesteście ani karłem z jakiejś kopalni, ani skazańcem uratowanym spod szu bienicy...

Yorsh przerwał mu.

- Wybaczcie, panie, że ośmielam się do was zwracać z pozycji tego, który poucza, ale nikt na świecie, z wyjątkiem dzieci, i to tylko kiedy są bardzo małe, nie zasługuje na to, by zwracano się do niego w słowach nieokazujących najwyższego szacunku. To nie nędzne pochodzenie, dramatyczne okoliczności narodzin i okropne ślady pozostawione przez katów na ciałach pozbawiają waszych ludzi godności, która należy się ich życiu, lecz słowa, które są do nich kierowane. Karły, wszystkie, wywodzą się od pradawnych i świetnych mężów, pochodzących z wnętrza ziemi, i choć teraz cierpią z powodu niewoli i nędzy, wciąż pozostają spadkobiercami najznakomitszych rodów. Ludzie, wszyscy, pochodzą od mężczyzny i kobiety, którzy w miłości czy w nienawiści, w czułości czy w okrucieństwie, zostali złączeni przez bogów, a ci na to pozwolili, i również oni, wszyscy, są święci. Ci, którzy nie znają imienia swego ojca, mogą zatem być dziećmi jakiegoś króla lub jeszcze prawdopodobnie jakiegoś boga.

Istnieją starożytne przekazy, pradawne historie, które opowiadają, że za każdym razem, gdy ten, który stworzył wszechświat i życie, będzie chciał przemówić, powierzy swe słowa synowi bez ojca, bo synowie nieposiadający ojca są dziećmi samego życia. Zwracajcie się do nędzarzy i do potępionych tymi samymi słowami, jakimi zwracacie się do królów, a świat sam odnajdzie sprawiedliwość i nie trzeba będzie przelewać krwi. Słowa są niekiedy ważniejsze od rzeczy, które oznaczają, i mogą je zmieniać. Rozumiem, że unieśliście się w obawie, że moje życie może znaleźć się w niebezpieczeństwie, lecz nie traktujcie nigdy więcej waszych ludzi jak dzikich bestii albo nikkzemników, a oni nigdy się nimi nie staną.

Yorsh podniósł oczy na Varil. Zastępcy Rankstraila musiało się udać otworzyć jedną z tam i woda, której poziom gwałtownie wzrósł, gasiła właśnie pożar na zewnątrz miasta. Wielkie kłęby dymu przesłoniły księżyc. Yorsh czuł się rozdarty na dwoje. Nie mógł nie nienawidzić zabójcy Erbrowa,

lecz nie potrafił nienawidzić Kapitana. To było nie do zniesienia. Chciał już stamtąd odejść.

Pragnął wrócić do domu.

- Bliscy waszych ludzi nadal są zakładnikami Zarządcy? - spytał

zmartwiony.

Kapitan potrząsnął głową. Niemal się uśmiechnął.

-Są bezpieczni. Mieliśmy kilka dobrych lat, by ich ukryć.

-Wszyscy?

-Wszyscy.

Potem półuśmiech zniknął z twarzy Kapitana i mroczny niepokój wypełnił jego spojrzenie.

- Powstrzymam orków - obiecał Rankstrail. - Powstrzymam ich, zniszczę. Przepędzę ich z powrotem na ich parszywe ziemie, wszystkich co do jednego. Zetrę ich na proch. Rozerwę na kawałki, każdy mniejszy od jajka. Nie okażę litości. Nigdy.

-Nie - powiedział Yorsh.

-Nie?

-Oni, to znaczy orkowie, to osoby.

Rankstrail długo się przyglądał twarzy młodego elfa, potem jego wzrok błąkał się między palisadami, nad którymi górowały ścięte przez orków głowy.

- Trudno to wytłumaczyć; sadzę, że ich okrucieństwo ma swój początek w żalonym losie ich matek. W świecie orków matka to tylko środek służący wojownikowi do tego, by spłodzić kolejnego wojownika. Cierpienie, które odczuwają matki, jest przekazywane jako bestialstwo ich dzieci.

Yorsh przerwał. Spojrzenie Kapitana było całkowicie błędne. Cały wywód elfa mijał się zatem z celem. Wszystko, co Kapitan mógł zrobić, to z powrotem przepędzić orków na ich ziemie, już i tak byłoby to nie lada osiągnięcie.

Przełknął ślinę i rozpostarł ramiona.

-Będę walczył i umrę dla was, kiedy tylko tego ode mnie zażądacie... - zapewnił z powagą.

-Dziękuję, nie trzeba byćście się fatygowali - odparł Yorsh. - Nie wybieram się na żadną wojnę. Wystarczy, że wy będziecie kontynuować waszą, a ja wrócę spokojnie do domu.

-Kiedy wy już w niej uczestniczycie, wszyscy - powiedział Kapitan.

- Jesteście w niebezpieczeństwie, wy i wasi ludzie. Powiedzieliśmy, że wszyscy zginęliście pod ziemią, która się osunęła, ale teraz już wiadomo, że to nieprawda. Wróciliście, by ocalić miasto. Uratowaliście moich ludzi, ale w ten sposób naraziliście na niebezpieczeństwo waszych. Przybывая, by wybawić nas od orków, zdradziliście Zarządcy, że żyjecie. Ten obrzydliwy typ, który was wydał...

- Ospos?

Yorsh był załamany. Nie przyszło mu do głowy, że narazi Junę i swoją córeczkę. Bezgranicznie naiwny, by nie powiedzieć: tępy, nawet o tym nie pomyślał.

-Ospos opowiedział o jakiejś wiosce, która żyje sobie w spokoju...

Przyjdą was zniszczyć...

-Ale dlaczego? Nigdy nie zrobiliśmy mu nic złego... My tylko uciekliśmy...

-Wiem, wiem, ale dopóki was nie dostaną w swoje ręce, nic ich nie powstrzyma. Jedźcie już, jedźcie do waszych ludzi. Brońcie ich. Tym, co się dzieje tutaj, zajmiemy się my. Dzięki wam odnieśliśmy zwycięstwo.

Kapitan obrócił się i zawołał na jednego ze swoich ludzi, by przyprowadził konia Yorsha. Enstriil był niedaleko, zaczął skubać trawę między migdałowcami.

Yorsh jeszcze raz spojrział na Kapitana.

-Kapitanie - powiedział do niego cicho - istnieje legenda, jakoby elfy potrafiły czytać w ludzkich myślach. I jest to jedna z przyczyn nienawiści, jaką się je darzy. Nie potrafię odczytywać myśli, lecz czuję emocje, kiedy są one silne; czuję więc strach. Tamtej nocy, kiedy uciekliśmy i mój brat smok został zabity, zjawily się dwa oddziały: jeden z nich, który wiem już teraz, że był wasz, i drugi, o wiele liczniejszy, za wami, złożony z kawalerzystów w lśniących zbrojach, w siodłach na bardzo pięknych koniach. Tamci z tyłu, zapewniam was, byli przerażeni... Strach był tak wielki, że unosił się niczym zapach w powietrzu...

-Przerażeni wami? - spytał Rankstrail. - Przerażeni smokiem?

-Nie, wami. Zbieranina ludzi, czyli wasza armia, jest przerażająca.

Tamtej nocy widziałem was w walce. Nikt nie może się z wami równać. Już na pewno nie kawalerzyści, choć liczni i dobrze uzbrojeni, których mieliście za swoimi plecami w wąwozie Astrid.

Wiem to po ich strachu. Kapitanie, kto ma siłę, by zapobiec krzywdzie, i nie wykorzystuje tego, staje się za krzywdę odpowiedzialny. Nie wybaczę

wam śmierci zadanej ostatniemu ze smoków, bo tamtej nocy nikt nie mógł was do niczego zmusić i

nikt nie był od was silniejszy. To, że nie zdaliście sobie z tego sprawy, sprawiło, że okryliście się hańbą.

Nie dopuście do tego ponownie.

Stali tak, spoglądając sobie prosto w oczy. Kapitan nie czuł się urażony, był raczej zdziwiony i zasmucony.

- Teraz jadę ratować moją rodzinę i moich ludzi - dodał Yorsh.

- Dziewczynka w koronie, jak ją nazwaliście, nie jest już dziewczynką i od trzech lat to moja małżonka. To, że ona i moja córka mogą znaleźć się przeze mnie w niebezpieczeństwie, to najgorszy z kosz marów, Kapitanie.

Pozdrowił go i wsiadł na grzbiet Enkstriila.

-Nie możecie odjechać w pojedynkę. Myślę, że bandy orków są wszędzie na równinie. Rozszarpią was na kawałki.

-Jak? - spytał Yorsh z lekką nutą arogancji w głosie. - Potrafię podpalić trawę, zmienić bieg strzał i rozpalić rękojeść każdej broni.

Kapitan spojrzał na niego i przytaknął; pożegnał go z lekkim ukłonem. Yorsh oddalił się pośród nocy. Zwyciężył. Był

zrozpaczony.

Musiał jak najszybciej wrócić do swoich ludzi.

Usłyszał jeszcze za sobą głos Kapitana:

- Jeśli kiedykolwiek potrzebny wam będzie mój miecz, zjawię się.

Rankstrail powiedział to bardzo cicho, lecz pomimo galopu Enstriila i trzasku płomieni Yorsh i tak to usłyszał; przez moment przemknęło mu przez myśl, że w wąwozie Astrid tamten może nawet być gotów na śmierć, byle tylko ich ocalić, i że nie zrobił tego tylko dlatego, bo nie chciał pozbawiać udręczonej ziemi jedyńskich wojowników, którzy mogli jej bronić.

Nie mógł zarzucić Kapitanowi przestępstwa: nazwać hańbą tego, że nie zaatakował kawalerii Daligar, że nie przejął władzy nad hrabstwem, odebrawszy ją szaleńcowi.

Kapitan był najemnikiem. Jego ludzie to potężni wojownicy, lecz wciąż bandyci. Ot, najgorsi skazańcy, co w ostatniej chwili uniknęli szubienicy; karły wyciągnięte z kopalń, od zawsze przywykli do pogardy. Dla człowieka, który nie należał do arystokracji, zbyt wielkie było ryzyko, które musiałby ponieść, w pojedynkę wzniesając przerażającą i siejącą spustoszenie wojnę domową. To jeszcze bardziej osłabiłoby ludzi, a tymczasem orkowie stali u bram.

Dowódca najemników nie był ani niegodziwcem, ani tchórzem.

A ofiara Erbrowa uratowała wszystkich. Uratowała zarówno jego, jak i Kapitana, uciekinierów, jak i najemników. Ci przynajmniej pozwolili im uciec.

Kiedy słowo „elf zaczęło krążyć między jego ludźmi, groźne i złośliwe, niczym płomień, które wślizgnęły się między polane olejem wiązki drewna na stosie orków, Kapitan przemówił brutalnie i okrutnie pod wpływem przerażenia, które go wypełniło.

Już raz nie zapanował nad swoją armią - w wąwozie Astrid, kiedy ostatni ze smoków w świetle księżycy odbył swój ostatni, cudowny lot. Nie chciał ani trochę, by coś takiego się powtórzyło. Nienawiść do elfów była silna, głęboko zakorzeniona, pierwotna. Pośród tłumu uzbrojonych żołnierzy nienawiść mogła wybuchnąć w każdej chwili, by następnie się rozprzestrzenić - nienawiść nieujarzmiona, nieprzewidywalna, dzika i zabójcza. Tylko garstka kawalerzystów z pierwszego szeregu widziała to, co stało się na stosie, ale Rankstrail nie był wcale pewien, czy nawet oni wszystko zrozumieli. Strach na myśl, że jego ludzie mogli zrobić krzywdę księciu elfów w chwili, gdy tamten wydawał się całkowicie bezbrony, był całkowicie uza-sadniony. Widok elfa oddalającego się pośród ciemności przyniósł

mu ulgę. Wiedział, że Yorsh wyrusza na pomoc swojej ludności, bezpieczny od halabard jego własnych ludzi.

Kapitan wrócił na mury obronne Varil. Rozkazał Lisentrailowi pozostawić połowę ludzi, by patrolowali teren na zewnątrz miasta.

Dopiero skończył wydawać rozkaz, gdy znów go powtórzył, poprze-dzając imię tamtego słowem „panie” i uważając, by zwracać się do niego per „wy”; formę tę do tej pory stosował jedynie w rozmowach ze swoimi przełożonymi, mimo że wykazywali się oni bezgranicznym tchórzostwem, okrucieństwem i tępotą - tak jak Argniolo.

Kapral spojrział na niego z ubolewaniem i zaskoczeniem i Rankstrail oddalając się, usłyszał, jak podsumował sytuację i wyjaśnił pozostałym, niepokieszony, że oto elf rzucił jeden ze swoich uroków; wygrać wygrali, ale ich Kapitan zidiociał.

Rankstrail przeszedł przez na wpół spaloną bramę Zewnętrznego Kręgu. Na ziemi woda, która ugasiła pożar, utworzyła gęste błoto pełne popiołu. Brama Środkowego Kręgu była spalona, ale te w Cytadeli wytrzymały. Otworzyły się przed Kapitanem, który wszedł do środka pośród oklasków i ochrypyłych okrzyków radości. Rozbrzmiały rogi Cytadeli.

Piechota i kawaleria regularnego wojska dały się wyciąć w pień w jeden poranek, lecz miasto nie zostało pozbawione uzbrojonych ludzi.

Pozostali jeszcze łucznicy księcia Erika i strażnicy na murach. To oni otworzyli bramę nowo przybyłym i powitali ich. W górze, na murach, inni łucznicy i cywile z prowizoryczną bronią ścigali ostatnich orków, uwięzionych przez pożar w Cytadeli, która miała przynieść im chwałę, a tymczasem stała się dla nich śmiertelną pułapką.

Rankstrail rozpoznał większość cywilów, którzy walczyli, używając siekier niczym halabard i noży kuchennych jako mieczy: byli to mężczyźni i kobiety z Rozłupanej Góry. Pochodzili z Pogranicza

Ziem Znanych. To ludzie, których dostarczył bezpiecznie do miasta podczas strasznego odwrotu; ci, których nauczył jak się bić. Oni z kolei nauczyli walczyć innych. Dzięki nim garstka łuczników księżniczki Erika utrzymała Cytadelę. Ludzie ci rozpoznali Kapitana i zaczęli wiwatować. Pobiegli go uściskać i rozplakali się z radości na jego widok.

Pod jego stopy rzucono kwiaty: były to łodygi lawendy, zeschnięte i brudne od sadzy. Coś takiego po raz pierwszy przytrafiło się armii najemników.

Dwaj arystokraci ze złotymi odznaczeniami, całymi w sadzy i krwi, którzy przybyli w tym samym momencie, także im wieszowali.

Pośród wydającego z siebie okrzyki radości niedużego tłumu przedstawili się jako książę Erik, syn Erktora, dowódcy miasta zamordowanego przez orków, i jego kuzyn Paolk.

Rankstrail także przedstawił siebie, swoją siostrę Fiammę i Lisentraila, którego - jak poprosił Yorsh - nazwał „panem” i swoim

„pierwszym oficerem”. Książę Erik pozdrowił ich i lekko się uklonił.

Lisentraile długo się w niego wpatrywał, tak bardzo osłupiał, że nie odezwał się ani słowem, a Kapitan zorientował się, że tą dziwną prezentacją postawił swoich ludzi na równi z wojskiem szlachciców.

- Pani - książę Erik zwrócił się do Fiammy - być może nie zdajecie sobie z tego sprawy, lecz jesteście aniołem oblężonych. Nie byliśmy nawet pewni, czy było to przywidzenie, czy też prawdziwe dziewczę, które całe w bieli wspinało się po murach z łukiem przewieszonym przez ramię, nie lękając się orków i najwyraźniej nie mając zamiaru się im poddać.

Fiammą poczerwieniała. Nie uśmiechnęła się jednak; jej wyraz twarzy przez moment przypomniawszy Kapitanowi oblicze ich ojca. Dla niej zabijanie nie mogło być tak bezbolesne, jak dla Rankstraila, i na myśl o tym nie była w stanie się uśmiechnąć, nawet jeśli wynikiem było zwycięstwo.

Młody książę uśmiechnął się za to. Był bardzo podobny do swojej matki, Damy Lucilli, która podarowała Rankstrailowi słoik miodu, gdy był jeszcze dzieckiem. Zwrócił się do Kapitana:

-Panie, dziękujecie Zarządcy, że wysłał was nam na ratunek.

Niektórzy z nas, a ja zaliczam się do tego haniebnego grona, ośmielili się zwątpić w naszego sojusznika...

-To nie Zarządca nas przysłał - odparł Kapitan. Właśnie przyznawał się do niesubordynacji przed jednym z arystokratów.

Pokusa przemilczenia prawdy była silna, lecz wierność dla Yorsha, niedawno mu obiecana i bezwzględna, zabroniła Rankstrailowi to zrobić. - Wasze zwątpienie nie powinno napawać was wstydem, bo przez

niego żaden rozkaz pomocy nie został wydany. To ostatni z wielkich przywódców elfickich poprowadził nas, by was uratować. Gdyby nie on, nie dowiedzielibyśmy się o oblężeniu, bo wiadomość tę przed nami zatajono, i gdyby nie on, nigdy nie zdołalibyśmy przerwać linii orków, by dotrzeć aż tutaj. Kopyta naszych koni ugrzęzłyby w błocie pól ryżowych, a nasze miecze nie splamiłyby się krwią wroga, lecz hańbą zdrady. Reakcją na słowa Kapitana było pełne osłupienia milczenie.

- My nie przepadamy za elfami, Kapitanie. Nie wstyd wam wy znać, że wypełnialiście rozkazy jednego z nich? - spytał lodowatym tonem kuzyn księcia, młody i chuderlawy blondyn.

Kapitan spojrzał na niego uważnie. To było tak, jakby nagle stanął

przed Argniolem: ta sama pycha, ta sama tępota. Pokusa, by spuścić wzrok i wrócić do roli najemnika i obdartusa, nawet nie przemknęła mu przez myśl: wierność, którą przysiągł Yorshowi, wyznaczała jego drogę tak, jak zrobiła to wcześniej lśniąca klinga jego miecza.

- O wstydzie ciężkim i nie do przyjęcia mówić należy wtedy, gdy ktoś nie potrafi nawet zrozumieć, komu należy być wdzięcznym za ocalenie naszego życia i naszej ziemi. Zapiszcie imię elfa na waszych pergaminach, wyrycie je na murach i zapamiętajcie je, bo gdyby nie on, z tego miasta zostałyby błoto i zgliszcza; kupa ruin, w których ryłyby świny i po których błąkałyby się psy, ogryzając kości osma lone przez ogień.

Za jego plecami Lisentrail zdusił w sobie jęk; kątem oka Kapitan dostrzegł, jak jego siostra podnosi dłoń do ust, by zrobić to samo.

Kapitan wiedział, że użył słów i mówił rzeczy, których nigdy, przenigdy on, najemnik z Zewnętrznego Kręgu, nie powinien był

nawet pomyśleć w obecności arystokratów; tak jednak jak dla Lisentraila ośmielił się przeciwstawić Argniolowi, tak dla Yorsha go-tów był przeciwstawić się samym demonom z piekła rodem, samym bogom.

Obcesowym gestem księżę uciszył swojego kuzyna, a następnie podziękował Kapitanowi, że przybył ratować miasto.

Nie było w jego słowach śladu pogardy czy pychy. Był wzruszony i nie zrobił nic, by to ukryć. Aż do zachodu słońca żyli w przekonaniu, że będzie to ich ostatnia noc; on, Kapitan, przybył, przynosząc im w darze kolejny świt i jeśli dokonał tego dzięki elfowi, to wdzięczność miasta należy się im obu.

Księżę Erik opowiedział o oblężeniu, o najeździe na równinę, o wodach Dogonu czerwonych od krwi, o rozpacz. Miasto zostało pozostawione samo sobie. Żadne wojsko nie ostało się, by go bronić; żadne armia nie zjawiała się, by je ratować. Zamknięci w Cytadeli, walczyli o ostatnie ziarna fasoli z robakami. Nie było już wody, by obmyć rannych. Nie było też bandaży, by ich opatrzyć. Nie mieli już strzał, by strzelać z łuków; wyciągali więc strzały orków z ciał

zabitych. Gdyby nikt nie przybył na ratunek, miasto upadłoby przed świtem.

Rankstrail pozwolił sobie na uśmiech. Książę przypominał swoją matkę, Damę. Był tak całkowicie pozbawiony jakiejkolwiek pychy, że Rankstrail ośmielił się powiedzieć mu, że dostąpił zaszczytu poznania jego matki, która podarowała mu słoiczek miodu, na dzień przed narodzinami księcia, a w dniu narodzin jego siostry. Oczy księcia wypełniły się łzami i Rankstrail przeprosił go za zrobienie mu przykrości. Ale książę przerwał mu i raz jeszcze podziękował. Ledwie parę chwil wcześniej był przekonany, że przyjdzie mu zginąć, tak jak i jego miastu, a tymczasem życie i ocalenie przyniosło mu wojsko, którego nikt się nie spodziewał, pod dowództwem niezwyciężonego wybawcy, który przybył, by podarować mu wspomnienie o jego własnej matce.

Erik należał do arystokracji, a mimo to wydawał się dobrym żołnierzem.

Rankstrail pomyślał, że wreszcie spotkał kogoś, kto był jednocześnie sprawny fizycznie i zdrowy na umyśle.

Już miał oddać się na jego rozkazy, jak było to w obowiązku jego, najemnika i dowódcy najemników, wobec członka arystokracji, kiedy w jego głowie rozbrzmiały słowa Yorsha: „To wy jesteście najsilniejsi... Kto ma siłę i nie wykorzystuje jej...”.

Oblężenie zostało przerwane, lecz wojna dopiero się zaczęła. To był moment, w którym dowództwo musiało pozostać w rękach naj-sprawniejszego, i czy księciu się to podobało, czy nie, on, nawet jeśli nędznik, on był najsprawniejszy.

Ostatnią armią, jaka pozostała, była jego zbieranina skazańców, którym darowano życie, a on pozostawał jej Kapitanem.

Elf miał chyba rację: może teraz jego obowiązkiem było wydawanie rozkazów, a nie przyjmowanie ich od innych. Rankstrail zdał

sobie sprawę, że dzięki Yorshowi, dzięki pragnieniu, by nie zdradzić jego poleceń, i przemożnej potrzebie dochowania wierności, którą mu przysiągł, zachowywał się aż do tej chwili jak równy stopniem pozostałym i jako taki został zaakceptowany. Był dowódcą jedyne istniejącego wojska i ci żołnierze wykonywali już tylko jego rozkazy, nikogo innego.

Znów się odezwał:

- Miasto nie jest jeszcze wolne. Nie będzie wolne tak naprawdę, dopóki nie odzyskamy równiny. Tej nocy oczyścimy Cytadelę, a jutro o świcie będziemy musieli wyjść, by stawić czoła bandom orków tam, na zewnątrz. Wymieńcie broń i hełmy, które mogą zostać wymienione. Zbierzcie tutaj przed świtem wszystkich ludzi, którzy są w stanie walczyć, byśmy policzyli, ilu nas jest, i ustalili, co robić.

Młody arystokrata przytaknął. Nie uniósł się gniewem, nie oburzył

się, co więcej: zarówno on, jak i jego łucznicy rozpromienili się, odczuwając ulgę.

Wreszcie mieli kogoś, kto wiedział, co robić.

Rankstrail był pogodny, jak za każdym razem, gdy grywał w kości z Lisentrailem. Musiał poprowadzić kontratak i wyzwolić swoją ziemię od orków.

Nie wydawało się to aż tak trudne czy niewykonalne. Po raz pierwszy nie będzie musiał zbierać z powrotem stępionych strzał, by mieć czym strzelać. Po raz pierwszy będzie miał oddziały rusznikarzy, kowali i stolarzy na swoje rozkazy, a jedynym celem tych ludzi bę-

dzie ułatwianie mu działań. Jeśli wziąć pod uwagę straty poniesione przez orków i jakość armii, którą zgromadził, może po raz pierwszy nie będzie musiał walczyć przeciw komuś o wiele silniejszemu, a jedynie trochę liczniejszemu.

-Będziemy musieli zaatakować - powtórzył. - Zrobimy to o świcie, bo to ostatnie, czego się spodziewają.

-Ależ panie! - wykrzyknął najbliższy kuzyn księcia Erika, wymawiając słowo „panie” tak powoli, że zabrzmiało ono ironicznie. -

Sądziłem, iż nie do pomyślenia jest atak z zaskoczenia. Wojsko, mam na myśli prawdziwe wojsko, zawsze ogłasza, kiedy rozpocznie walkę, z należyтым wyprzedzeniem, i formuje szyk.

Książę Erik wyglądał na wściekłego.

Rankstrail nie zmieszał się bynajmniej.

- Nim zajdzie słońce - wyjaśnił, obojętny na zgłoszoną uwagę

- wyjdę z miasta i pójdę na równinę, gdzie głowy mężczyzn, ko biet i dzieci nadal tkwią na dzidach orków, i zniszczę tych, którzy dobrze się bawili, paląc, raniąc i mordując. Nim na niebie pojawi się jutrzejszy księżyc, równina będzie wolna i wieśniacy przekonają się, że już nikt więcej nie będzie mógł niszczyć ich życia ani ich do mów. Jeśli w tym celu przyjdzie mi przelać krew moich ludzi, zrobię to, a jeśli oprócz krwi moich ludzi tumany kurzu pokryją również resztki waszego honoru, poświęcę i je.

- Mój panie - znów odezwał się kuzyn księcia Erika, pobladłszy

- myślałem, że wojnę prowadzimy po to, by wykazać się naszym męstwem i odzyskać nasz honor.

- To źle myśleliście. Cele żołnierza są zbyt ważne, by musiał się od nich odrywać dla takich błahostek jak zapewnienie świetności swe mu imieniu. Cele żołnierza to powstrzymać orków, bo orkowie to ci, którzy przednio się bawią, zarzynając, ścinając i mordując; to ci, którzy zabijają dzieci i śmieją się przy tym, i każda chwila niepoświę-

cona temu, by ich pokonać i zgładzić, jest zbrodnią, bo czyni nas współwinnymi mordów, którym powinniśmy byli zapobiec, a nie zdołaliśmy tego zrobić. Zadaniem żołnierza jest odzyskanie pastwisk, na których krowy będą mogły skubać trawę, a pasterze nie zostaną ograbieni i zabici.

Zadaniem żołnierza jest walczyć tak, by wieśniacy mieli co uprawiać i posiadali ziemię, na której mogliby to czynić.

Miasto jest otoczone przez orków i czasy dworskiej uprzejmości już się skończyły.

Nie walczy dla własnej chwały. Z wszystkich możliwych czynno-

ści wojna bez wątpienia może uchodzić za tę najmniej chwalebłą.

Chwałą jest walczyć i umierać tylko po to, by wojna się skończyła i już nigdy nie trzeba jej było prowadzić. Chwałą jest rozumieć, kiedy trzeba prowadzić wojnę, i zatrzymać się, skoro można ją przerwać.

Wyjdziemy i zwyciężymy. Wojsko zaatakuje oddziały na północy, żeby oswobodzić wioski i gospodarstwa w obrębie pól ryżowych.

Przyprowadzimy tamtejszych mieszkańców za mury: ich gospodarstw zbyt trudno jest bronić, a poza tym, kiedy już zatopi się pola, żadne prace na roli nie będą możliwe. Każda pojedyncza sztuka bydła, każdy kurczak przed wieczorem mają być w obrębie murów, potem otworzymy tamy i odetniemy miasto od reszty świata.

Wszyscy stolarze wezmą się natychmiast do pracy: bramy Zewnętrznego Kręgu muszą zostać odbudowane przed jutrem...

-To niemożliwe... - zaproponował ktoś.

-Jestem pewien, że stolarzom się uda, i jestem pewien, że w przeciągu tych paru godzin, które dzielą nas od świtu, kowale wyprodukują strzały, których nam brakuje. W tym czasie nauczycie naciągać łuk wszystkie kobiety, które są wystarczająco silne, by to zrobić. Księżę Eriku, moja siostra wam pomoże. Ona potrafi walczyć i nauczy tego inne kobiety lepiej niż mężczyzna.

Kobiety pozostaną na murach i miasto nie pozostanie bez osłony, kiedy my wyruszymy na równinę. Może i ich strzały nie będą celne, bo na ćwiczenia nie ma czasu, ale za to liczne, i to też nam się przyda.

-Chyba nie pozwolicie walczyć kobietom?

-Będzie walczył każdy, kto potrafi to robić.

-Oczywiście, dlaczego nie - odparł zirytowany Paolk. - Czemu nie wystawimy do walki również starców i dzieci, żeby rzucali kamieniami i wylewali wrzącą wodę na wroga?

-Dobry pomysł, i tak też zrobimy - odparł Kapitan, nie mrugnąwszy nawet okiem.

-My też będziemy musieli włożyć zbroje z klamer i skór, tak jak wy i jak... orkowie? - dobiegł czyjś głos.

-Oczywiście - odpowiedział Rankstrail. - I to z dwóch powodów.

A właściwie, jak się nad tym zastanawiam, to z trzech. Tak my, jak i orkowie nosimy takie zbroje, bo nie krępują nam ruchów: są wystarczająco lekkie, by pozwolić nam maszerować całymi godzinami bez zmęczenia. Drugi powód jest taki, że nie błyszczą, i przez to nie są łatwym celem dla łuczników, a poza tym nie rozpalają się do czerwoności. Jest jeszcze trzeci powód: nie przepadam za zbrojami w złote i srebrne esy-floresy. Sprawiają wrażenie, jakby wojna miałyby być czymś w rodzaju festynu, a to pomysł tylko na miarę orków. Ktoś ma jeszcze jakieś pytania?

Nikt nie miał żadnych pytań.

Księżę Erik zapewnił Rankstraila, że własnym życiem będzie odpowiadał za bezpieczeństwo olśniewającej damy, której odwaga i mę-

stwo mogłyby zostać porównane jedynie do bohaterskich czynów pradawnych władczyń. Kapitan potrzebował chwili, by zrozumieć, o jakiej damie mówił księżę, tak bardzo nieprawdopodobne wydawało mu się to określenie w stosunku do jego siostry, Fiammy. Kątem oka dostrzegł ją, jak ukryła zaczerwienione dłonie praczki między fałdami sukni, a potem zauważył, że potrząsnęła głową i z powrotem je wyciągnęła i położyła na łuku przed sobą, i wszyscy mogli je widzieć, podczas gdy ona i księżę Erik patrzyli sobie prosto w oczy.

Po wydaniu odpowiednich dyspozycji, by rozkazy Kapitana mogły być natychmiast wcielane w czyn - polecenia, które wszyscy, łącznie z Paolkiem, zgodzili się wykonywać - księżę wyjaśnił, że mieszkańcy Zewnętrznego Kręgu, który został spalony, musieli teraz zostać przyjęci i zamieszkać tam, gdzie tylko się dało: w domach, w obozowiskach, w ogródkach warzywnych, na dachach, w ogrodach. On, księżę Erik, byłby zaszczycony, mogąc ugościć krewnych Kapitana w swoim rodzinnym domu. Rankstrail spojrział

na niego zdezorientowany, jako że ryzykownym, by nie powiedzieć: idiotycznym, wydał mu się pomysł trzymania młodego mężczyzny i młodego dziewczęcia pod jednym dachem, zwłaszcza jeśli mężczyzna jest arystokratą, a dziewczę pracuje jako praczka, ale nie przyszedł mu do głowy żaden odpowiedni sposób, w jaki mógłby to wyrazić.

Rankstrail wysłał Lisentraila do zewnętrznej bramy z rozkazem zebrania wszystkich najemników, odnalezienia zagubionych koni i przeniesienia ciężko rannych do Cytadeli. Trakrailowi miał przekazać polecenie, by wyleczył wszystkich lżej ranionych.

Z pomocą księcia Rankstrail i Fiamma zdołali odnaleźć swojego ojca i Borstrila. Nic im się nie stało: byli cali w sadzy i kaszlący, ale zdrowi. Ojciec długo go obejmował i z ogromnym trudem Rankstrail musiał znaleźć w sobie siłę, by uwolnić się z uścisku. Oczy Borstrila lśniły pełne podziwu pośród sadzy, która pokrywała mu całą twarz.

Rankstrail zostawił rodzinę z księciem Erikiem i skierował się w stronę Zewnętrznego Kręgu. Wrócił do miejsca, gdzie znajdował się jego dom. Nie zostało z niego nic z wyjątkiem kilku zwęglonych belek, sterczących z murów. Zobaczył też płytę na grobie swojej matki, opodal nieustraszona dzika wiśnia stawiała wciąż opór, rosnąc krzywo pomiędzy kamieni wysokiego muru.

Rankstrail udał się w stronę Wielkiej Bramy, której resztki wciąż jeszcze się tliły, rozżarzone. Nagle wyrosła przed nim jakaś postać z łukiem w ręku i naciągniętą cięciwą. To był jeden z jego ludzi i Rankstrail spytał go, czy ściga orka.

- Ścigam ciebie, Kapitanie - odparł tamten.

Pośród triumfalnej wrzawy Rankstrail najwyraźniej zapomniał o Siuilu.

To było poważne uchybienie, że ośmielił się wojować, ciągnąc za sobą szpiega.

-Zarządca polecił mi się z tobą rozprawić, jeśli go zdradzisz.

-Zwycięstwo nad orkami to dla twojego Zarządcy zdrada?

Kapitan spojrział na Siuila; ciemna sylwetka w srebrzystym świetle księżyca i złotym blasku płomieni. Nie było nic, co mógłby zrobić, by uniknąć strzały, która miała się zaraz wbić w jego nieosłonięte serce, w pierś pozbawioną zbroi. A jednak, co było bardzo dziwne.

Kapitan w ogóle nie odczuwał strachu.

Nagle zobaczył, jak Siuil upada na ziemię.

- Za waszym pozwoleniem, Kapitanie - mruknął jakiś głos.

To byli Nirdly, karzeł, a za nim Lisentrail. To topór karła spadł na Siuila. Lisentrail trzymał w dłoni miecz, lecz nie zdążył go użyć.

- Za twoim pozwoleniem, Kapitanie - powtórzył niczym echo.

- Twoich ludzi nikt nie ma prawa tknąć, to wiemy, ale ten tutaj człowiekiem nie był nigdy w całym swoim życiu. - Uśmiechnął się i dodał: - A poza tym dzięki temu przestał wreszcie cierpieć.

Kapitan przytaknął w milczeniu i w duchu stwierdził, że prędzej czy później będzie musiał podliczyć, ile to już razy Lisentrail ratował mu życie. Spojrział na ciało zabitego i wreszcie zrozumiał cierpienie, w którego odczuwaniu Siuil uważał się za eksperta, traktując jak amatorów wszystkich innych, nawet tych, którzy poznali już, co to kopalnie i kat, lub - jak Trakrail - widzieli własną matkę umierającą na stosie, oskarżoną o czary, często przypisywane uzdrowi-cielkom.

Tym, co odczuwał Siuil, była zazdrość - mroczna i trawiąca go zazdrość, głucha i nieuleczalna uraza, jaką ci, którzy wiodą przeciętne życie, chowają wobec niesprawiedliwego losu. Wreszcie zrozumiał

też, dlaczego Zarządca nienawidził elfów. Wreszcie zrozumiał, dlaczego on sam został oddany w ręce kata. Przebraną za okrucieństwo, bo innej maski nie znalazł, Zarządca skrywał w sobie żalostną przeciętność. Oddał go w ręce kata, bo się go bał. Zapewne nie zabił go tylko dlatego, że nie chciał pozbawiać się jedynej obrony przed wrogami, których Kapitan mógł dla niego pokonać, może też nie chciał

przyznawać się przed samym sobą do tego strachu.

Nagle dwaj dziwni ludzie minęli zgliszcza zewnętrznej bramy.

Oznajmili, że nazywają się Lebiód i Obal i że przybyli walczyć w obronie miasta, lecz nie za długo i tylko jeśli faktycznie zachodziła taka potrzeba, bo obaj są ojcami rodzin. A jeden nawet dziadkiem. Rankstrail rozpoznał w nich mieszkańców Zewnętrznego Krę-

gu i przypomniał, w którym miejscu w Cytadeli widział ich rodziny; powiedział im o tym.

Yorsh pędził jak wiatr. Kopyta jego konia pokonywały pola ryżowe.

Czaple podrywały się do lotu na widok jeźdźca, a potem osiadały z powrotem na ziemi. Nastął świt.

Zatrzymując się tylko na tyle, na ile było to konieczne, by serce Enstriila nie pękło ze zmęczenia, wspomagając pęd jego kopyt całą siłą swojej woli, Yorsh potrzebował jednego dnia i jednej nocy, by ujrzeć na horyzoncie wąwóz Astrid. Pola wokół niego pełne były śmierci. Minął Olearię, wielki, nieprzerwany ciąg winnic, który znajdował się na zachodnich krańcach regionu i który rozpoznał, bo gdzieś już o nim czytał. Winorośle były specyficzne, niskie, niemal przycupnięte tuż przy ziemi, jakby unikające wiatru; nadawały krajobrazowi swojski wygląd i przypominały wielkie połacie zielonych koszy, stojących w rzędach. Bezpieczne od wiatru kiście winogron pozostawiano i przejrzywały one na krzaku, a następnie produkowano charakterystyczne wino, cenne i słodkie, będące chlubą tego regionu.

Gospodarstwa zostały spalone. W chatach tłoczyli się orkowie, z których żaden nie zdołał go schwytać ani zastąpić mu drogi. Niemal wszyscy spali; byli to żołnierze prawie zawsze pijani i zdolni nawet powyrzynać się nawzajem. Nikt nie dostrzegł go na tyle wcześnie, by mieć czas na zrobienie czegoś więcej niż chaotyczne wypuszczenie kilku strzał z kuszy albo posłanie kilku przekleństw w jakimś szorstkim języku, którego nawet Yorsh nie znał.

Potem nagle orkowie zniknęli. Jak donieśli Lebiód i Obal, na równinie Varil wszędzie było ich pełno, podczas gdy w hrabstwie Daligar ani jednego; ich obozy kończyły się na granicy między dwoma krainami.

Słońce stało wysoko na niebie, pola przeplatały się z sadami owo-cowymi. Wydawało się, że jedynymi klęskami, jakie spadły na ziemię hrabstwa, były niedbalstwo i zwyczajna nędza. Chuderlawe dzieci pę-

dziły kilka wychudzonych owiec, nędzne chaty z bali i błota wznosiły się na równinie. Za każdym razem, gdy kogoś napotykał, Yorsh zatrzymywał się, by powiadomić go o obecności orków i o groźbie ich ataku; na granicy nie było patroli ani żadnego uzbrojonego człowieka - po prostu nikogo. Zakrawało na cud, że orkowie jeszcze się tam nie pojawili.

Większość z zatrzymanych przez Yorsha osób nawet mu nie odpowiedziała. Ci, którzy rozpoznawali go jako elfa, rzucali za nim kamieniami, zupełnie niegroźnymi w porównaniu ze strzałami orków, i klęli na potęgę, tym razem w zrozumiałym już języku.

Pewien stary drwal wzruszył ramionami i okazał się na tyle uprzejmy, by zakomunikować mu, że przeszli już tamtędy heroldzi Za-rządcy, ogłaszając, że orkowie nie stanowią zagrożenia, bo posłużyli się dyplacjami, to znaczy, porozmawiali wszyscy razem...

- Dyplomacją? - spytał Yorsh.

Tak, to właśnie było to słowo. Oznaczało, że z orkami, którzy tak naprawdę, jak stwierdził Zarządca,

są zacnymi obywatelami, poroz-mawiano, i teraz orkowie stali się jeszcze zacniejsi i nikomu w ich obecności włos nie spadnie z głowy.

-Zacnymi obywatelami? - spytał Yorsh osłupiały.

-Oczywiście, zacnymi obywatelami, ale jeśli ktoś wszczyna z nimi wojnę, to nawet oni też potrafili się rozzłościć, ale hrabstwo wykorzystało dypla... dopla...

-Dyplomację - powtórzył Yorsh, który już nie miał wątpliwości co do tego, kto i za co sprzedał Varil i jego mieszkańców orkom, kto wręczył ich dowódcom plany prowadzące do tam i przekazał instrukcje, jak się nimi posługiwać.

-Dyplomację, tak, to jest to słowo. Nam z Daligar prowadzenie wojny wcale się nie podoba, nie tak jak innym. My z orkami porozmawialiśmy i teraz orkowie są dobrzy, nie ma żadnego niebezpieczeństwa ani nikt nie musi uciekać. A poza tym, zyskaliśmy jeszcze winnice.

-Jakie winnice?

-Te z Olearii. Zawsze należały do Varil, a teraz staną się nasze, hrabstwa. Nasza własność, rozumiesz? To sprawiedliwe, że wreszcie my z hrabstwa też otrzymamy dla siebie trochę miejsca.

Kiedys byliśmy o wiele więksi, tak powiedział Zarządca, a kto jak kto, ale on akurat książek o historii przestudiował dużo. Ci z Varil zawsze zadzierali nosa i traktowali nas jak karaluchy. Teraz się uspokoją i spuszczą z tonu. Winnice bierzemy my. Wystarczy już tej nędzy. Rodziny, które pójdą tam żyć, już się wybierają.

Widzisz, jaki zacny okazał się Zarządca? Tak staniemy się więksi i bogatsi, już był czas najwyższy. Zrozumiałeś? Dobrze, a teraz sam sobie pójdziesz czy mam cię pogonić siekierą?

Yorsh wszystko zrozumiał. W swojej bezgranicznej perfidii, w swym nieskończonym tchórzostwie i bezdennej tępcie, Zarządca przehan-dłował śmierć Varil za nietykalność hrabstwa, z dodatkiem małego zysku terytorialnego: winnic na zachodnim krańcu pól ryżowych.

To nie orkowie mieli zastąpić wymordowanych gospodarzy, lecz ludzie z hrabstwa, które dzięki temu zaczęłoby dążyć do potęgi i świetności, od zawsze obiecywanych przez Zarządcę mieszkańcom, którzy do tej pory musieli trochę narzekać, żyjąc w ogromnej nędzy.

Przymierze, które od wieków łączyło Daligar z Varil, zostało po-deptane i nawet dziecko zrozumiałoby, że o ile oba miasta, Varil i Daligar, razem byłyby w stanie stawić czoła każdej napaści, o tyle oddzielnie są zgubione. Upadek hrabstwa został tylko chwilowo za-

żegnany; to była tylko kwestia czasu. Po zmieceniu z powierzchni ziemi miasta czapli orkowie, nie spiesząc się i przygotowani, wyruszą, by wymordować mieszkańców miasta jeżozwierza. Yorsh zastanowił się, jaką to książkę o historii musiał przestudiować Zarządca, skoro on jeden na świecie zdawał się nie wiedzieć, że nigdy, przenigdy, w całej swojej historii orkowie nie uszanowali żadnego traktatu.

Yorsh uprzytomnił sobie również, że wyzwolenie Varil zostanie przez orków zinterpretowane jako zerwanie umowy. Przepędzone przez strasznego Kapitana, wojsko orków nie zawaha się zaatakować Daligar. Lada moment rozpęta się piekło. Yorsh miał więc tylko kilka dni, by przekonać tych ludzi do opuszczenia swoich domów, pól uprawnych i nędznych sadów owocowych i nakłonienia, by wraz ze swoimi rachitycznymi owcami schronili się za murami Daligar lub przynajmniej w ich pobliżu, w cieniu ścian szczelnych niczym skały, najeżonych ostrymi palami i strzeżonych przez uzbrojonych ludzi, którzy ich obronią.

Zanim odszedł, Yorsh poinformował drwala że on, przeklęty elf, w pełni zasługujący na swoją sławę, obrócił dyplomację Zarządcy w miazgę. Rozzłościł orków i nastawił ich przeciwko niemu. „Rozzłościł” to właściwie za mało powiedziane. Doprowadził ich do wściekłości, do szału. Niech wszyscy uciekają natychmiast, póki mają jeszcze nogi i dech w piersiach, żeby uciekać, bo lada moment już nie będzie to możliwe.

Drwal popatrzył na niego z całą nienawiścią, jaką może wyrażać ludzka twarz; potem, nie zdążywszy nawet go przekląć, rzucił się pędem, by wezwać i zebrać innych. Po kilku krokach zatrzymał się i odwrócił.

- Skąd mam wiedzieć, że nie kłamiesz? - spytał podejrzliwie.

Dobre pytanie: prymitywnej, bo prymitywnej, ale pewnej dozy logiki nie można było drwalowi odmówić. Yorsh od razu coś wy-myślił.

- Elfy nigdy nie kłamią. Potrafią zrobić wszystko, z wyjątkiem mówienia kłamstw - odparł taktownie.

Nie było to do końca kłamstwo, tylko niezupełna prawda. Dla elfa kłamstwo było sporym wysiłkiem, lecz w razie absolutnej konieczności wykonalnym.

-Aha - powiedział drwal, nie do końca przekonany. - A teraz skąd mam wiedzieć, że nie kłamiesz?

-Ktoś, kto kłamiąc, zapewnia, że nie umie kłamać, mówi prawdę, a więc tym samym nie jest kłamcą - odparł Yorsh.

Słowa te automatycznie mu się narzuciły, wypowiedział je bez żadnego zastanowienia. Pochodziły z jakiegoś dialogu w którejś z historii, mniej lub bardziej nedorzecznych, które czytywał mnóstwo razy Erbrowowi Starszemu podczas niekończącego się, trwającego latami, wysiadywania jaja. Ta historia podobała się również jego córce i znów zaczął ją opowiadać: dla małej pójście spać bez historyjki na dobranoc byłoby nie mniejszym wyzwaniem niż rezygnacja z kolacji. Wspomnienie Erbrow wypełniło myśli Yorsha, a wraz z nim pojawił się ogromny strach; nagła potrzeba, by czym prędzej się oddalić, i zniecierpliwienie zabierającą mu czas rozmową z drwalem, który potrzebował dłuższej chwili, by dać się przekonać.

- A co to u licha znaczy? - spytał mężczyzna. - Mówienie kłamstw albo ich niemówienie wcale nie jest czymś stałym, tak jak imię albo kolor włosów. Co to wszystko ma do rzeczy? Ktoś kłamie albo nie, w zależności od tego, czy mu się to opłaca, czy nie. Wcale nie musi kłamać zawsze. Nawet mój sąsiad, co mówi, że to nieprawda, że jego przeklęte kozy zjadają moje pomidory, a tymczasem to

właśnie jego przeklęte kozy je zjadają, wczoraj powiedział, że była ładna pogoda, i to akurat była prawda.

To był trudny przeciwnik. Uparty. Może po prostu człowiek obdarzony nieco większym zdrowym rozsądkiem.

- Według ciebie - odparł Yorsh poirytowany - jakim cudem, sko ro jesteście o wiele potężniejsi i o wiele bardziej złośliwi, udało wam się nas zniszczyć?

- Nie wiem - odparł tamten z namysłem.

- Nawet my mamy słaby punkt. Nie umiemy kłamać. Kiedy za-dajesz pytanie elfowi, on musi odpowiedzieć. Na przykład: jeśli go spytasz, czy jest uzbrojony albo gdzie są ukryte inne elfy, musi ci to powiedzieć. Zastanów się, jak w przeciwnym razie mogliśmy wam ulec?

Drwał długo się nad tym zastanawiał, potem wydał się przekonany. Rzucił parę kamieni i zaklął pod adresem Yorsha, a wreszcie pospieszył, by podnieść alarm. Kiedy spinał swojego konia, Yorsh usłyszał dźwięk rogów i ich echo niosące się od wioski do wioski.

Udało mu się.

Kiedy przybędą orkowie, zastaną tylko puste chaty i może jakąś zapomnianą kurę, kręcącą się między krzewami czarnego bzu.

Yorsh pędził i pędził, aż nadszedł kres dnia, a potem jeszcze przez pierwszą część niekończącej się nocy, podczas której strach wewnątrz niego był jeszcze mroczniejszy niż ciemność nieba.

Serce Enstriila wytrzymało. Na długo, zanim błysnął brzask, oczom Yorsha ukazała się przelęcz Astrid, rozświetlona niezliczonymi pochodniami, które lśniły pośród nocy. Kawaleria Daligar, złożona z żołnierzy w lśniących zbrojach i z mieczami ze stali, które się nie łamały, już na niego czekała. Yorsh nie zaniepokoił się specjalnie na ich widok, właściwie to ich obecność przyniosła mu wręcz ulgę. Skoro byli tutaj, to znaczy, że nie zlokalizowali wioski i nie wdarli się na plażę.

Kiedy był już dość blisko skrzydła imponującego oddziału, Yorsh dostrzegł Ospa pod orzechowcem, który przetrwał obsunięcie się ziemi. Zdrajca miał na sobie mundur żołnierza, zrobiony z płótna i skóry. Najprawdopodobniej za to sprzedał Yorsha. Długa kopia przydawała mu jeszcze bardziej koślawego wyglądu. Wreszcie biednemu Ospowi udało się zostać żołnierzem. Szkoda tylko, że jego przedsięwzięcie powiodło się akurat teraz, gdy orkowie byli tuż tuż: wszystkim, co zdołał uzyskać, sądząc po braku jakiegokolwiek świciełka na piersi, był stopień zwykłego żołnierza. Ale pewnie biedaczyna nie mógł się za bardzo targować. Fakt, iż Yorsh sam dobrowolnie pojawił się przed murami Daligar, w zasięgu wzroku pierwszego lepszego strażnika, któremu będzie chciało się spojrzeć w jego stronę - musiał drastycznie obniżyć atrakcyjność oferty do-nosiciela, liczącego na coś więcej w zamian za informację o tym, że elf znów jest w hrabstwie.

Yorsh zatrzymał się tuż przy nim i uśmiechnął się do niego. Ospo spojrział na niego przerażony i uciekł, potykając się o swoją kopię.

Cała przelęcz była odcięta. Kawalerzyści stali w szeregu ciągnącym się od jednego jej krańca do drugiego. Nawet szczer by się nie prze-

ślizgnął, a on nie był bynajmniej szczurem. Yorsh minął powoli cały szyk i dotarł do jego środka. Tak jak osiem lat wcześniej, kiedy w tym samym miejscu powalony został jego brat smok, księżyc wyszedł zza Gór Ciemności i rozjaśnił świat swoim łagodnym, rozproszonym światłem. Wspomnienie o ostatnim locie Erbrowa odżyło w nim tak mocno, że aż stało się bólem, Yorsh ujrzał ponownie rozpościerające się zielone skrzydła i na moment pochylił głowę, aby żaden ze zbrojnych, których miał przed sobą, nie dostrzegł jego żalu. Nie mógł myśleć o swoim bracie smoku. Miał ocalić hrabstwo.

W środku szyku Zarządca we własnej osobie siedział na przepięknym koniu w kolorze dymu, z czarnymi pasmami na grzywie.

Władca miał na sobie pełną zbroję ze srebra albo stali, a ponad jego hełmem wznosiła się okazała kita, także w kolorze dymu, z czarnymi pasmami, pasująca do grzywy jego konia. Przyłbica była podniesiona nad piękną i starą już twarzą, którą rozjaśniały zarówno błękit oczu, jak i biel brody oraz włosów. Kawalerzysta u jego boku miał spuszczone przyłbicę. Yorsh pomyślał, że jego wielobarwna kita czyniła go nadzwyczaj podobnym do papug wędrownych kuglarzy.

Yorsh wyrósł nagle przed Zarządcą i długo mu się przyglądał.

Tamten wytrzymał jego spojrzenie. W postaci Zarządcy było coś niezrozumiałego. Yorsh pomyślał, że stać naprzeciw niego to jak czytać książkę, z której powyrywano zbyt wiele stron, by można było odtworzyć jej treść.

- Lada moment wasza ziemia zostanie napadnięta przez orków

- poinformował go oschle, spokojnym i zdecydowanym tonem.

- Miasto Varil, które sprzedaliście orkom w zamian za wasze bezpieczeństwo, przełamało oblężenie. Najeźdźcy zostali odparci i lada chwila przybędą w poszukiwaniu łatwiejszej do upolowania zwierzyny, obawiam się, że tą zwierzyną będziecie wy.

- Varil? - powtórzył Zarządca zdumiony. Zamilkł, najwyraźniej nie będąc w stanie tego pojąć. - To niemożliwe, by Varil złamało oblężenie. To nie może być prawda!

- To jest prawda - zapewnił go Yorsh. - Varil jest wolne. Opłakuje swoje zabite dzieci, liczy swoje zniszczone przez ogień łuki, stawia czoła orkom obozującym na polach ryżowych, lecz zaczęło ich już wypierać i nie ma zamiaru się zatrzymać. Zwierzyną łowną jesteście teraz wy.

Twarz Zarządcy spochmurniała, srogie i piękne jego czoło pokry-

ło się głębokimi zmarszczkami, które pofałdowały je nad rzędem groźnych brwi; rozbrzmiał jego głos pełen cierpienia.

- Za późno przybywamy, bracia - odezwał się silnym i zbolalym głosem, który niósł się pośród

widnej nocy. - Przeklęty elf sprowadził wojnę na naszą ukochaną ziemię. Za późno. Nic już nie możemy zrobić...

-Możecie walczyć - powiedział Yorsh. - Możecie sprzymierzyć się z Varil. Wy i wasz straszny Kapitan z jego przerażającą armią...

-Elf, przeklęty, sprowadził wojnę na naszą ukochaną ziemię

-powtórzył Zarządca, jednocześnie rozżalony i surowy. -

Walczyć? Wiesz, co oznacza wojna, zepsuty młodzieńcze i okrutny głupcze?

Pytanie wstrząsnęło Yorshem. Nie

potrafił nic odpowiedzieć.

Poczuł w sobie strach z powodu śmierci orków, których zabił. Znow ujrzał wspomnienia tych, którzy zostali ścięci. Powierzył wojnę Kapitanowi najemników. Wiedział, że uwolni gospodarstwa i oczyści pola ryżowe, lecz miał też świadomość, że Rankstrail nie będzie brał jeńców, wytnie co do ostatniego wszystkich orków, jakich napotka na swojej drodze. Ranni wrogowie, pozostali na polach bitewnych, zostaną dobiti, tak jak zabija się szczury w spichlerzu. Okrucieństwo świata ludzi stanie się jeszcze większe, aż w końcu ostatni człowiek sam się w nim pogrąży i utopi. Wraz z każdym orkiem, którego pokonywał, powalał albo szykował mu jeszcze gorszy koniec, Kapitan tracił część swojej duszy.

Tak czy inaczej, koniec końców, zwycięży okrucieństwo: orków lub ludzi, którzy się do nich upodobnią, by zniszczyć wroga.

Pertraktować i dyskutować. Orkowie nie byli demonami, tylko osobami. Wewnątrz nich ból przeradzał się w przemoc, a przemoc, raz zapoczątkowana, rosła z rzezi na rzeź, nie było miejsca na ból.

Sto razy lepsza jest przemoc Kapitana od tchórzostwa Zarządcy, oczywiście, ale... może... może jeśli zdołałby ograniczyć tę przemoc, zmniejszyć jej rozmiary... tak, by orkowie zostali zwyciężeni, ale nie zmiażdżeni; pozostawieni sami sobie pośród upokorzenia, by szykować się do kolejnych okrucieństw...

Yorsh zdał sobie sprawę, że w żadnym wypadku nie będzie mógł

zostać na swojej plaży, pozostawiając Rankstraila, by sam poradził

sobie z orkami, a mężczyźni i kobiety w hrabstwie, by sami zrobili coś z szalonym despotą. To, co powiedział Rankstrailowi, odnosi się również do niego. Kto ma siłę, by zapobiec krzywdzie, i nie wykorzystuje jej, staje się za ową krzywdę odpowiedzialny. Odnosiło się to przede wszystkim do niego samego. Największy i najpotężniejszy, ostatni, nie mógł tak po prostu wrócić sobie na swoją plażę, żeby polować na ślimaki, recytować sonety, układać komedie i kontemplować straszliwą czystość swojej duszy, podczas gdy Kapitan i jego wyrzutki społeczeństwa, wypuszczone z kopalń i

więzień, sami skazywali się na potępienie. Tak samo jak sir Arduin w swoich czasach, zatracając się w coraz gorszych wojnach.

Musiał przejąć dowodzenie. Rankstrail powiedział mu, że jest go-tów dla niego walczyć, wypełniać jego rozkazy, a zatem również te, aby brać jeńców i ich leczyć.

Dusze walczących zostałyby ocalone, a oni mieliby w osobach jeń-

ców przyszłych mimowolnych posłów, dzięki którym mogliby rozpocząć pertraktacje.

Kapitan wypełniałby jego rozkazy, a zatem również polecenie wstrzymania zwycięskiej kampanii, by już nie unicestwiać wroga i nie upokarzać go, lecz zmusić do ugody.

On i Kapitan byli w stanie pokonać i orków, i okrucieństwo jako takie.

Gdyby walczyli przeciw ludziom, wystarczyłyby jego moc oraz ogromna odwaga Kapitana. Razem byłiby niezwyciężeni, jak nikt przed nimi, nawet sir Arduin, nawet sam bóg wojny, jeśli w ogóle takowy istniał. Albowiem bóg wojny wygrywał wojny, urządzając je, a Yorsh odnosiłby zwycięstwo, unikając ich.

Ludzie podołaliby temu trudowi, jeśli on by ich poprowadził.

Zrobiliby to razem. Nienawiść do elfów umarłaby, pokonana przez zwycięstwo, a ich dzieci żyłyby w świecie, w którym słowo „półelf

nie byłoby już obelgą.

Marząc o wojnie, którą można by przerwać, Yorsh przypomniał

sobie o winnicach Olearii, gdzie gospodarze zostali wymordowani przez orków, by ludzie z hrabstwa mogli zbierać winogrona z rzę-

dów winorośli, których nie posadzili.

Spojrzał w twarz człowiekowi, który stał przed nim, i uświadomił

sobie, że dopóki Zarządca pozostaje przy władzy, niewinność świata będzie zagrożona.

-Nie usiłujcie tłumaczyć zdrady miłością do pokoju i życia

-powiedział twardo. Nawet wobec katów Daligar nie czuł takiej pogardy.

-Nie przybyłem tu, żeby cię przekonywać - przerwał mu kąśliwie Zarządca. - Przybyłem, żeby cię zabić.

Yorsh westchnął.

- Doprawdy? A jak? - spytał spokojnie. -Jakim to sposobem chce cie mnie zabić? - dodał z nieukrywaną pogardą. - Potrafię podpalić trawę, zmienić kierunek lecących strzał i rozżarzyć rękojeść każdej broni. Żaden człowiek nie może mnie skrzywdzić, chyba że ja sam mu na to pozwolę.

- Tyle to sami wiemy - odparł Zarządca. - Nie jesteśmy na tyle nierozważni, żeby tego nie przewidzieć.

Erbrow była wystraszona.

Może lepiej byłoby powiedzieć, że wyczuwała lodowaty lęk swojej mamy, skrywany pod spokojnym uśmiechem. Ów strach ją przerażał.

Odkąd jej tata sobie poszedł, mama uspokajała wszystkich swoim pogodnym uśmiechem i życie toczyło się normalnym biegiem.

Teraz pracowali, mając do dyspozycji materiały, igły, łopaty i dłuta, które znaleźli w jaskiniach Wyspy Stołowej. Domy z każdym dniem stawały się coraz większe, mniej pochyłe, bardziej regularne i starannie wykonane. Porządne drzwi otwierały się, skrzypiąc porządnymi zawiasami.

Wszyscy nosili ubrania. Daren Aboil i inni mężczyźni, uzbrojeni po zęby, z imponującymi mieczami i łukami, którymi nie umieli się posługiwać, patrolowali wyższe partie skał nadbrzeżnych, bo czasy, gdy wydawało się, że na świecie są tylko oni, minęły i bez wątpienia nie miały już powrócić.

Jej mama nigdy nie nauczyła się szyc, ale wszystkie mieszkanki plaży zbyt stare i zbyt zmęczone, aby wypłynąć w morze, kobiety, które do tej pory żyły dzięki rybom i małżom złowionym przez jej mamę, teraz prześcigały się w szyciu jej ubrań i ozdabianiu ich róż-

nymi haftami.

Jej mama nosiła białą suknię, na niej tunikę, również białą, i duży płaszcz z ciężkiego, ciemnego materiału. Erbrow kobiety uszyły jasną sukienkę, z błękitnym fartuszkem na wierzchu, z mnóstwem dużych kieszeni: jedna na górnej części fartuszka, pozostałe na dolnej. Na wszystkich kieszeniach zostały wyhaftowane długie wzory z kwiatów, niebo pełne chmur i mew, ławica ryb i unoszące się w locie nadmorskie orły. Kieszenie były tak wielkie, że mogły pomieścić jej zabawki: mała łódka i lalka należały do jej mamy, bączka i drewnianego konika zrobił jej Solario, przyjaciel, któremu jej tata opowiedział raz, że jako dziecko posiadał takie zabawki. Erbrow także słyszała tamtą opowieść: konik został zagubiony, gdy wpadł do kra-teru w jakimś miejscu pełnym książek i smoków. Do tej pory książki jeszcze się zachowały, ale smoka nie ma już ani jednego. Bączka zepsuł pewien niedobry pan, który czasami pojawiał się w życiu jej rodziny i robił komuś z nich krzywdę.

Mając na sobie sukienkę i fartuszek, Erbrow już nie marzyła, i to było bardzo przyjemne, bo o ile wcześniej, kiedy bywało jej zimno, biegła się ogrzać przy swoim tacie, o tyle teraz on był gdzieś daleko, nie wiadomo wcale gdzie. Nie mogła też chodzić pływać w tym wszystkim na sobie i zrozumiała, że mama wkładała to na nią specjalnie, by jej uniemożliwić kąpiel, bo bała się, że ona mogłaby iść pływać głęboko w morzu, a przecież jej tata nie mógł jej towarzyszyć. Na szczęście jej tata zabrał ze sobą tego nienawistnego człowieka; teraz we wszystkich tych ubraniach ona nie mogłaby już uciec do rybek i malutkich drzewek, które pozdrawiają dzieci na dnie morza.

Strach, że mogłaby się utopić, zawsze czaił się gdzieś w głowie jej mamy i z każdym dniem coraz częściej towarzyszyła mu przykra i straszna myśl, że tata może nie wrócić. Mama uśmiechała się w ciągu dnia, ale nocą, w ciemności, gdy sądziła, że Erbrow śpi, wybuchała strasznym i rozpaczliwym

płaczem, i wtedy jako jedyne pocieszenie pozostawały tylko serduszka jej braciszków, jedno spokojniejsze i mocniejsze, drugie szybsze i słabsze.

W dzień mama ciągle coś robiła i gdzieś się kręciła, przy nowych domach, które się budowały, przy sieciach rybaków, wymagających naprawy; a gdy mama odchodziła, na szczęście był Jastrin, a to zawsze coś.

Chłopiec przyszedł zamieszkać z nimi w ich chatce. Nie miał ojca ani mamy i nie zachował żadnego wspomnienia o nich. Coś było nie tak z jego nogami, które zamiast stawać się silniejsze, z roku na rok robiły się chudsze. Jastrin nie biegał zbyt dużo i coraz bardziej męczył się, chodząc.

- Trzymaj go przy sobie i chroń - powiedział jej tata mamie w przed-dzień swojego odjazdu. - Tak jakby był twoim synem - dodał.

Mama przytaknęła i od tej pory Jastrin mieszkał u nich.

Daren Aboil i Solario powiększyli dom i dodali mu jeden osobny pokój, gdzie zamieszkał Jastrin. Pomieszczenie całe tonęło w pergaminach, na których z zapalem ciągle coś pisał, starając się nie zapomnieć ani słowa z tego wszystkiego, co przez lata opowiedział

mu jej tata. Jastrin tak dużo mówił i pisał, bo nie chodził za dobrze.

Rozwodził się, długo wyjaśniając Erbrow, że czuje ruch w swojej głowie; wiedział, że chce pobiec; wyczuwał intuicyjnie, jak skacze się z kamienia na kamień, lecz nie potrafił sprawić, by zrozumiały to jego nogi. Erbrow przytakiwała, pełna zrozumienia. Jej zdarzało się coś takiego ze słowami: myśl była zupełnie jasna w jej głowie, ale język potykał się pośród pół tuzina okaleczonych i niedokładnych dźwięków, które były wszystkim, co potrafiła wypowiedzieć. Raz jej tata powiedział, że wcześniej ukształtowaną zdolność myślenia odziedziczyła po elfach, lecz języka uczy się w tempie właściwym ludziom, czyli nieco wolniej. To pocieszyło Erbrow, bo oznaczało, że stan, w jakim się znajduje, kiedyś wreszcie przeminie. Z każdym miesiącem, który mijał, jej sprawność językowa i siła jej nielicznych sylab rosły; z kolei u Jastrina nic takiego nie działo się z jego nogami: stopniowo jego kroki stawały się mniej pewne i coraz po-wolniejsze.

Tym, w czym chłopiec czuł się sprawny i silny, w czym jego biegiłość nie ulegała wątpliwości, było słowo. Jastrin okazał się świetnym uczniem Yorsha.

Niełatwym zadaniem musiało być dla niego, chłopca, który zawsze rysował litery kawałkiem drewna na mokrym piasku, nauczenie się pisania atramentem: zarówno jego ręce, jak i jego ubranie na okrągło nosiły ślady owej nauki. Lecz tym, co jeszcze bardziej niż pisanie utrudniało życie Jastrinowi, była jego pamięć. Jak obszernie wyjaś-

niał Erbrow, teraz, kiedy ma już pergamin, gęsie pióra i atrament, brakowało mu głosu jej taty, ostatniego z elfów, który by opowiadał.

Jastrin wprawdzie przypominał sobie historie, lecz imion i dat nie był pewien i często je mylił. Kto zabronił Augurom wyludzania pieniędzy, gdy udawali, że potrafią przepowiedzieć przyszłość z lotu

ptaków, Artimio trzeci czy czwarty? Kto wprowadził obowiązek, by dzieci znamienitych obywateli zostawały kawalerzystami, a dzieci rzemieślników piechurami, Artemisio pierwszy czy trzeci? To był

piąty wiek czy szósty? Za każdym razem, gdy jej mama wracała do domu, Erbrow biegła jej naprzeciw, by dać się objąć, a Jastrin zaczynał zadawać całą masę pytań na temat dat i dynastii. I dzień w dzień odkrywał z rozczarowaniem, że mama Erbrow po prostu nic nie pamięta. Dokładniej mówiąc: miała o nich tak samo blade pojęcie jak o kolorze oczu demonów lub o tym, ile ziarenek piasku jest na plaży. Choćby nie wiadomo jak bardzo niewiarygodne wydawało się to Jastrinowi, jej mama nigdy nie słuchała uważnie, kiedy jej tata coś mówił, i nie pamiętała prawie żadnych dat, nazwisk, a czasem nawet i samych historii. Myślała tylko o łowieniu ryb, szukaniu orzeszków piniowych, poślubieniu taty, uczeniu się pisania, rodzeniu córki, pomaganiu tym, którzy nie radzili sobie z budową domu, i pośród wszystkich tych rzeczy piąty i szósty wiek musiały się jej pomieszać. To Jastrinowi musiało wydać się... Niewybaczalne.

„To absolutnie niewybaczalne!”, mawiał chłopiec, czasem nawet po kilka razy dziennie, podczas gdy jej mama uśmiechała się czarująco, cała rozweselona.

Erbrow zastanawiała się, jak to możliwe, że tylko ona zdaje sobie sprawę z tego, jak bardzo fałszywy był wesoły i pogodny uśmiech jej mamy; jak bardzo silny i lodowaty stał się jej strach, tak wielki i tak zimny, że nawet ochota, by udusić Jastrina (która nachodziła jej mamę przy każdym z jego problemów, od których roztrząsania nie mógł się powstrzymać), zniknęła bez śladu.

Nocą Erbrow usypiała, mając z jednej strony ciało swojej mamy, a z drugiej ogień w kominku: dobry sposób, by przez całą noc pozostawać w cieple. Lepiej byłoby wprawdzie spać między mamą a tatą, ale taty nie było i jakoś musiała sobie radzić. Na szczęście, odkąd odkryli jaskinie na Wyspie Stołowej i wszystko to, co było w nich, zdobyli duże kawałki ciepłego materiału, które nazywały się „koł-

dra”. Ta, która przypadła im, była ciemna, gęsta, miękka i jednocześnie drapiąca.

Pierwszej nocy nowiu, gdy księżyc świecił delikatnie za wąskim oknem, Erbrow obudziła się zmarznięta, trzęsąc się z zimna, które przeszywało ją do szpiku kości. Wyciągnęła rękę, żeby z powrotem naciągnąć na siebie kołdrę, i spojrzała na żar w kominku, by sprawdzić, jak dawno temu zgasł ogień. Kiedy zobaczyła, że kołdra nadal ją przykrywała, a ogień trząskał w kominku, zrozumiała, że tym, co ją wyziębilo, nie był chłód, a nienawiść. Erbrow odwróciła się i ujrzała cień nienawistnego człowieka tuż obok siebie, a po chwili coś jak kaptur wciśnięto jej na głowę i nie była w stanie zobaczyć już nic więcej. Poczowała coś zimnego i niedobrego na gardle.

-Nie ruszaj się i ani słowa, albo każę pociąć twoją córkę na kawałki

- szepnął głos. Był spokojny, zimny i powolny; Erbrow nie słyszała go wcześniej. Ktoś mówił do jej mamy: nie był to ani nienawistny człowiek, ani ten, który trzymał niedobrą rzecz na jej gardle.

-Nie ruszaj się, Erbrow - powiedziała cicho jej mama. - Masz ostrze miecza na gardle. Nie ruszaj się i nie płacz.

-A z tym kaleką co robimy, sir Argniolo? - zapytał nienawistny człowiek.

-Z kaleką, Ospos? Bierzemy go ze sobą... tak, to lepszy pomysł... -

powiedział znów zimny i spokojny głos, który musiał zatem nale-

żeć do pana, który nazywał się sir Argniolo. - Zabierz także koronę, która leży w pobliżu kominka. To korona, którą czarownica miała

na głowie, gdy uciekła. Bluszcz to symbol elfów. Na pewno ma jakąś moc. Zarządca będzie zadowolony, gdy ją dostanie, a tej pani tutaj już się ona nie przyda. Ostatnią rzeczą, jakiej światu trzeba, to kró-

lowa czarownica, która żyje z elfem, z przeklętym. Zobaczycie, jak się ucieszy, gdy znów ujrzy swoją rodzinę.

Niedobra rzecz, którą Erbrow miała na gardle, trochę bardziej je ucisnęła i to było bolesne.

- Jastrin nie ruszaj się i bądź cicho, rób to, co mówią, albo zabiją Erbrow - powiedział zupełnie spokojny głos jej mamy.

Potem ktoś o brzydkim zapachu wziął ją na rękę i zabrał w zimną noc.

Erbrow bardzo chciała się rozpłakać, ale zdołała się powstrzymać.

Yorsh poczuł lodowaty dreszcz, przebiegający wzdłuż kręgosłupa.

Co oznaczało, że wezbrał w nim gniew. Złość opanowała go na myśl o zdradzie, która podzieliła świat ludzi; o zwycięstwie, które znajdowało się na wyciągnięcie ręki, a jednak znów się rozwiewało.

Za lodowatym dreszczem krył się też niewyraźny jeszcze strach; może w mocy Zarządcy było coś, czego nie wziął pod uwagę; coś, co mu umknęło.

Zdał sobie sprawę, że Zarządca ani jego ludzie nie odczuwali strachu.

Nie bali się go.

A tymczasem powinni byli.

Po chwili poczuł odczuł strach Erbrow, maleńki niczym pęcherzyk powietrza zagubiony w morskiej wodzie.

Jego córeczka tu jest.

Ospo, żalosny idiota, doprowadził ich aż do jego rodziny: oto, na co zamienił stanowisko zwykłego żołnierza.

Yorsh, pełen nowo odkrytej dumy zwycięskiego wojownika, nie zdał sobie sprawy z obecności Erbrow. Pewność siebie go zaślepiała.

Obawa Yorsha zamieniła się w przerażenie.

Jego córeczka została schwytana, jest tu, tuż, nieopodal niego, nie widział jej, ale wiedział, że tam jest. Odczuwał teraz cały jej strach, całe jej przerażenie. Poczuł też ostrze, które trzymali jej na szyi, zorientował się, że w ten sposób zmusili ją do zachowania milczenia, podczas gdy ona walczyła z całych sił z pragnieniem, by go zawołać i wreszcie móc się rozplakać.

Mogli z nim zrobić, co chcieli, a potem także z nią będą mogli zrobić, co zechcą.

Przypomniał sobie swoją głupią arogancję, z jaką odmówił przyjęcia pomocy Kapitana. Wysłał go, by uwolnił Varil. Z całej duszy zapragnął, by Kapitan nie usłuchał jego polecenia i podążył za nim.

Obrócił się, aby spojrzeć na zarys wzgórz i wiszący nad nimi księ-

życ. Jak nigdy w swoim życiu zapragnął ujrzeć pojawiającą się groź-

ną postać wojownika, z podążającym za nim wilkiem i armią byłych skazańców.

Widok wzgórz nie zmienił się, na ich tle nikt się nie pojawił.

Kapitan został na miejscu, by wyzwolić Varil.

Yorsh był sam.

- Tyle już sami zrozumieliśmy - powiedział Zarządca. - Nie jeste śmy na tyle nieostrożni, byśmy nie mieli tego przewidzieć.

Przewidzieli to, oczywiście.

-Pozwólcie odejść mojej córce. Ma tylko dwa lata. Ludzie honoru nie walczą z dziećmi - powiedział powoli Yorsh. Udało mu się zachować spokój; nie chciał, by Erbrow usłyszała, jak drży mu głos, bo jeszcze bardziej by się wystraszyła.

-Twoja córka nie jest dwuletnim dzieckiem tylko dwuletnią czarownicą, nieprawdaż? Jaki sens ma pozostawianie przy życiu istoty, która nie może być niczym innym jak wcieleniem zła?

Wszystko, co mogę zrobić, to ofiarować ci jej życie w zamian za twoje. Nie będzie wolna, ale pozostanie przy życiu. Wygnam ją i jej matkę, czarownicę, która złączyła swe życie z twoim, w Góry Północy. Zostaną zaprowadzone do Alyil, miasta sokoła. Tam ich zło nikomu nie zaszkodzi. Pozwolę im żyć. Masz moje słowo. W

zamian chcę twego życia. Tu i teraz. Wiemy, że wypuszczone strzały mogą cię zranić tylko wtedy, jeśli na to pozwolisz. Chcemy właśnie tego. To nic trudnego. Układ jest prosty.

Yorsh poczuł ogarniającą go wściekłość, rozpacz i nienawiść. Jeśli jego nienawiść mogłaby zabijać, miałyby miejsce istna rzeź. Postarał

się zebrać myśli. Jedyna broń, jaka mu pozostała, to myśl i słowo.

-Nie czas na to - powiedział, wciąż starając się zachować spokój.

Jego głos zdradził cię niepewności, ale poza tym nadal był

głosem przywódcy. - Wróg jest u bram. Orkowie...

-Wrogiem jesteś ty, nędzny elfie - przerwał mu Zarządca.

-Wrogiem są orkowie, razem moglibyśmy ich powstrzymać...

-Kiedy już będziesz martwy, będę mógł dowieść orkom mojej lojalności i być może ograniczą swój atak. A jeśli nawet miałyby mi się nie udać, zyskam przynajmniej pewność, że zgładziłem elfy.

Przynajmniej jeden cel mego życia zostanie osiągnięty.

Przerazający dla Yorsha dźwięk przerwał ich rozmowę: Erbrow w końcu wybuchnęła płaczem. Łzy powstrzymywane od wielu dni, tłumiony strach, przerażenie, wszystko to eksplodowało w jednym wielkim szlochu. Zarządca znów zaczął się śmiać. Krąg żołnierzy otworzył się i pojawiły się Erbrow

i Juna... Erbrow była na rękę człowieka o gołej klatce piersiowej i głowie całkowicie zakrytej kapturem z czarnej skóry: jednego z katów z Daligar. Oddali jego córeczkę w ręce kata z Daligar. Twarde mięśnie ogromnych ramion przerażająco kontrastowały z pulchną twarzą i rączkami dziecka.

Mężczyzna trzymał klingę poniżej gardła małej. Juna była na ziemi z rękami związanymi na plecach. Obcięli jej włosy. Była zupełnie łysa. Czarnych loków, pośród których błędziły przez lata palce Yorsha i które stanowiły pierwszą rzecz, jaką widział, gdy rano otwierał oczy, już nie było.

- Jest tutaj także kobieta, która z tobą żyje - powiedział głos Za rządcy. - Zrobiliśmy porządek z jej włosami: teraz bardziej przypomina kobietę, która złączyła się z elfem.

Juna uniosła głowę w stronę Yorsha i ich spojrzenia się spotkały.

Obok Juny był Jastrin. On także, podobnie jak Erbrow, zaczął

plakać.

Yorsh próbował coś powiedzieć, coś zrobić. Nic nie przyszło mu do głowy. Niebo było puste. Yorsh spróbował się pomodlić, ale bogowie, jeśli w ogóle istnieli, nie byli już nim zainteresowani, nie bardziej niż do tej pory całym jego rodem.

-Uwolnijcie moją żonę i oddajcie jej dziewczynkę - powiedział.

-Nie wygaduj bredni - odparł Zarządca. - Może się nie zorientowałeś, ostatni z elfickich książąt, lecz twoje możliwości pertraktowania zostały zredukowane do zera. Nie chcę ryzykować. Masz zbyt wielką moc. A może nie?

Oczy Yorsha znów napotkały oczy Juny. Może gdyby udało mu się rozzarzyć uchwyt noża, który kat trzymał pod gardłem jej córki, a potem...

A potem... Może... Mógłby...

A potem nic.

Jego moc wyczerpała się. Zapomniał, że moc elfów znika, gdy pojawią się ból, cierpienie i pogarda. Przede wszystkim moc nie może przetrwać w obliczu cierpienia. Teraz została unicestwiona, zniszczona, zniweczona. Jego matka utraciła magiczne umiejętności w momencie śmierci jego ojca. Jego babcia nie była już nawet w stanie rozpaść ognia po tym, jak musiała pochować własną córkę.

Yorsh o tym zapomniał, ale Zarządca doskonale wszystko pamiętał.

Jego moc znikła z powodu cierpienia dwóch osób, które kochał

najbardziej na świecie; wygasła w wyniku przerażenia na myśl o tym, że nie potrafił ich chronić. Uzmysłowanie sobie tego, że sprowadził

na nie nieszczęście, może więzienie, a bardziej prawdopodobne, że śmierć, zdusiło nawet najmniejszą iskierkę jego magii.

Przyjdzie mu umrzeć.

Yorsh nie chciał umierać. Chciał żyć. Pragnął nadal spać blisko Juny, trzymać na rękach Erbrow, widzieć, jak rodzi się jego nowe dziecko. Jego córeczka czarownica potrzebowała go, by rosnąć i żyć.

On miał umrzeć, ale może Zarządca dotrzyma swojego słowa. Może zaraz po jego śmierci nie umrą osoby, które kochał najbardziej na świecie. Nie miał nic poza tą nadzieją.

Upokorzenie Juny, jej ostrzyżona na łyso głowa była dla niego ciosem.

Nawet na biednego Jastrina sprowadził nieszczęście!

Gdyby kiedyś przyszło mu mieć płytę nagrobną, mogliby na niej napisać, że umarł pogrążony i pokonany przez własną niewinność; wzniosłe słowo, którym określa się naiwność, kiedy nie chce się mówić o głupocie.

Juna zdołała się podnieść.

- Erbrow, przestań płakać - rozkazała spokojnie. - Już. W tej chwili. Jesteś spadkobierczynią rodu elfów oraz rodu Arduina i nie będziesz płakać przed tymi ludźmi.

Zapadła cisza. Ktoś zaśmiał się szyderczo, lecz imię Arduina zosta-

ło wypowiedziane. Juna znów obróciła się w stronę Yorsha i skrzy-

żowali swoje spojrzenia.

- Moje imię to Jutrznia - powiedziała wyraźnym, stanowczym i wyniosłym głosem. Głosem, jakim przemawiają królowe.

Juna, Jutrzenka. Jutrznia.

Yorsh znów nabrał odwagi. Przytaknął.

Przepowiednia Arduina odżyła w jego pamięci i pocieszyła go.

Wielki król wojownik i wizjoner nie mógł spojrzeć w przyszłość tylko po to, by pooglądać sobie płyty nagrobne kryjące ich zwłoki.

Juna i jej potomstwo mieli przeżyć.

On miał umrzeć, lecz jego córka przeżyje. Jutrznia również: jego królowa i jego małżonka będzie żyła. Zwycięży. Ich dziecko się narodzi... Ich dzieci się narodzą. Wreszcie Yorsh zdołał wyczuć,

małe i wyraźne, dwie maleńkie dusze, które bezpiecznie kształtowały się w łonie królowej wojowniczkii, która uchroni je i obroni przed wszystkim i przed wszystkimi, jeśli będzie to konieczne. Przeszłość i przyszłość mówiła przepowiednia... przerwać krąg...

Ostatni smok i ostatni elf spotkali się: krąg samotności został przerwany.

Ponury krąg tępoty, okropny krąg niesprawiedliwości pękł: grupka wygłodniałych dzieci, zrozpaczonych i samotnych, została uwolniona. Erbrow powstała. Nawet jeśli życie Yorsha miało się tego dnia zakończyć, to i tak odnieśli zwycięstwo. Nawet jeśli nie miał pojęcia, jak jego małżonce się to uda, przepowiednia dawała mu pewność, że Juna uratuje siebie samą, ich dzieci oraz świat ludzi. Dziedziczka Arduina była gotowa zająć należne jej miejsce. Ostatni elf nie zawiódł.

Teraz spiralą, którą należało przerwać, była spirala okrucieństwa orków i Zarządcy. Jak każda dobra przepowiednia, także i słowa Arduina posiadały więcej niż jedno znaczenie.

Juna. Jutrzenka. Jutrznia. Juna wiedziała, że to ona jest dziewczynką z przepowiedni, córką mężczyzny i kobiety, którzy ochronili i pokochali Yorsha, od zawsze mu przeznaczoną. Na moment na-sunęło mu się pytanie, dlaczego Juna wcześniej mu tego nie powiedziała, i natychmiast znalazł odpowiedź. Chciała mieć absolutną pewność, że on ją chciał ze względu na samą, a nie dlatego, że była mu przeznaczona jako małżonka. Znow ogarnęło go pragnienie, by żyć: chciał pozostać blisko Juny, chciał dzielić z nią dni i noce, czuć jej ciepło w objęciach, odnajdywać jej zapach każdego wieczoru i dźwięk jej głosu zawsze o świcie. Pragnął zobaczyć, jak rodzą się jego dzieci. Ale nie mógł nic zrobić, by tak się stało.

Yorsh nie chciał umierać, lecz jego śmierć była dla niego nieskoń-

czenie bardziej znośna niż świadomość, że doprowadziłby do śmierci swojej ukochanej żony i swojej ukochanej córeczki.

Miał przed sobą ostatnie zadanie: pocieszyć swoją córeczkę, skoro sam ma umrzeć. Po raz ostatni jego oczy zagubiły się w czarnych oczach jego małżonki i po raz ostatni wyczytał w nich, oprócz dumy, rozpacz i nienawiści, całą miłość, jaką w sobie zawierały.

Odwaga w spojrzeniu wojowniczkii znow dodała mu otuchy. Jakimś sposobem uratuje świat i ich córkę. Chciał Junie coś powiedzieć, jakieś ostatnie słowo. Pragnął jej podziękować za wszystko, za to, że go pokochała, za to, że była, że wydała na świat jego córkę.

Chciał jej powiedzieć, by go nie opłakiwała; by nie zmarnowała swojego życia na ból i rozpacz, lecz cieszyła się nim aż po ostatnią możliwą iskierkę radości, jaką można wykrzesać.

- Żyj nadal - powiedział jej.

Yorsh odwrócił wzrok od twarzy Juny i poszukał przerażonych i zrozpaczonych błękitnych oczu Erbrow. Dziewczynka stłumiła swój płacz i tkwiła nieruchomo w straszliwych rękach kata. Yorsh uśmiechnął się do niej. Zarządca wydał rozkaz naciągnięcia łuków.

Kilku łuczników wykonało polecenie. Yorsh ani na chwilę nie oderwał wzroku od Erbrow: uśmiech nie wystarczył, by uspokoić dziewczynkę. Była zbyt wystraszona.

-Nie mam już żadnej mocy. Oddajcie dziewczynkę jej matce na ręce, a umrę, nie przeklinając was.

-Gdyby przekleństwa elfów mogły mnie dosięgnąć - odparł Za-rządca słodko - powinienem już być w kawałeczkach, nieprawdaż?

Yorsh zagubił się w zropaczonym błękitnie oczu Erbrow. Wiedział, że ten, kto wkracza w cień cierpienia i kroczy przez mroki śmierci, tak jak teraz jego córeczka, zmuszona patrzeć na śmierć swego ojca, albo upadnie, albo staje się kimś wspaniałym.

Yorsh przypomniał sobie o erylach. Powiedział, że czekają je bezkresne łąki pod ogromnym niebem, które pokryją się kwiatami na ich przybycie, gwiazdy zaświecą silniejszym blaskiem. Mówił im, że pośród gwiazd nauczą się latać. Wobec nieuchronności swej niedalekiej śmierci wiedział, że była to prawda.

Obraz bezkresnych łąk pod ogromnym niebem ukoił jego duszę i Yorsh odnalazł spokój i pocieszenie. Ujrzał, jak rozpacz znika z oczu jego córki. Również w jej umyśle pojawił się widok zielonych łąk rozciągających się pod niekończącym się niebem. Przez króciutką chwilę Erbrow uśmiechnęła się.

On się nie bał i Erbrow też nie.

Teraz mógł odejść.

Padł rozkaz, by strzelać.

Yorsh poczuł przeszywający ból w ramieniu. Zdał sobie sprawę z ryzyka, że Enstriil mógłby się przestraszyć i uciec, zabierając go bezpiecznie ze sobą, a wtedy Erbrow pozostałaby w rękach kata. Nie przestając patrzeć na swoją córkę, zsiadł z konia. Był jeszcze w stanie utrzymać się na nogach. Przez moment odczuł pokusę, by umrzeć natychmiast, samemu zatrzymać swoje serce, by uniknąć bólu kolejnych ran: jako elf mógł to zrobić. Choć bardzo ograniczona; jego osłabiona moc nie mogła zniknąć całkowicie. Coś zawsze z niej pozostawało; nie tyle, by móc walczyć, nie tyle, by walcząc, uratować Junę, Erbrow czy Jastrina, lecz jeszcze tyle, by zatrzymać bicie serca albo zmienić kierunek lotu jednej strzały. Zrezygnował z nieśmiertelności, lecz pozostał mu dar przyspieszenia własnej śmierci, samo-dzielnej decyzji o jej momencie. Znów odegnał od siebie pokusę, by nie zarazić nią Erbrow, aby jego córka zrozumiała, że życie, jakiegokolwiek życia, to zbyt cenna okazja, by zmarnować z niego nawet najmniejszą chwilę, nawet ostatni odczuwany ból.

To dlatego nie chciał rezygnować z tej króciutkiej chwili, ostatniej, w której mógł jeszcze spojrzeć na swoją córkę.

Yorsh nie odczuwał strachu, tylko smutek. Erbrow, jego córeczka, będzie rosła bez niego. Juna będzie żyła bez niego. Dwoje ich dzieci narodzi się bez niego. Zaczął źle widzieć, jakby przez mgłę, i ze zdziwieniem zorientował się, że jego oczy wypełniły się łzami. Przez moment był

dezorientowany, ale potem odczuł zadowolenie na myśl o tym, że zdecydował się zjeść połowę ślimaka w dniu swego ślubu, bo dzięki temu mógł zapłakać, tak jak płaczą ludzie.

Jej tata ani na moment nie przestawał na nią patrzeć. Erbrow ujrzała bezkresne łąki rozciągające się pod bezgranicznym niebem.

Przestała się bać. Pozostał wewnątrz niej tylko smutek ogromny jak niebo i łąki, które zobaczyła.

Nigdy więcej już nie oprze głowy na ramieniu swojego taty. Nigdy więcej już nie usłyszy jego głosu, śpiewającego kołysanki lub opowiadającego bajki. Nigdy nie poszybuje do świata snów, nie obawiając się potworów żyjących w mrokach, kiedy nastaje noc i ciemność, a które dostrzec mogą tylko dzieci. Nigdy więcej już nie rozpozna jego zapachu we włosach mamy o poranku.

Chciałaby się rozplakać, ale mama powiedziała, że nie wolno. Do-wódca niedobrych ludzi znów wydał rozkaz i tym razem strzelał

żołnierz znajdujący się tuż obok niego; ten z kitą we wszystkich możliwych kolorach. Jej tata został trafiony strzałą w serce i ona poczuła ten straszny ból. Odczuła spazmatyczne pragnienie, by się rozplakać. Jastrin, który był przecież od niej starszy, cały czas szlochał. Erbrow z całego serca też chciała móc się rozplakać.

Jej tata upadł na ziemię i pozostał tam, nieruchomy. Krew rozlała się po ziemi i zmieniła ją w błoto.

Erbrow odwróciła się do człowieka, który trzymał ją na rękę i spojrzała mu w oczy, które widać było przez otwór w jego skórzanym kapturze, a potem wskazała rączką swoją mamę. Był to człowiek o wyjątkowo mrocznym wnętrzu, lecz zrozumiał jej prośbę. Potrzebował kilku chwil, by podjąć decyzję, potem wzruszył ramionami i przytaknął. Zbliżył się do Juny tak, by Erbrow mogła przynajmniej być przy niej.

- Twój tatuś zaraz się podniesie, zobaczysz - szepnęła jej mama. -

Oni o tym nie wiedzą, ale twój tata ma całe mnóstwo mocy. Zaraz coś się wydarzy...

Erbrow wiedziała, że to nie była prawda, jej tata już się nie podniesie. W jej sercu, tam, gdzie był wcześniej tata, teraz powstała czarna i lodowata dziura.

Świat stał się zielony.

Mężczyźni wciąż się śmiali. Jastrin nadal szlochał. Jej mama cią-

gle stała nieruchoma, wpatrując się w jej tatę leżącego na ziemi, tuż obok Enstriila.

Świat stał się zielony i nikt tego nie zauważył.

To była piękna zieleń; taka ze złotymi wzorami, które przeplatały się ze sobą, przepuszczając światło słońca.

Bezkrzesne łąki pod bezgranicznym niebem.

Dwa zielone skrzydła, wielkie jak niebo...

Ktoś o wielkich, zielonych skrzydłach przybył zabrać jej tatę, który nie był już sam.

Tam, gdzie była przed chwilą czarna i lodowata dziura, Erbrow poczuła wiosenny wiatr, kwiaty i morską wodę.

To było uczucie, jakiego doświadcza ktoś, kto dosiada smoka.

Wokół kopyt Enstriila, tam gdzie jej tata leżał na ziemi, łąka wypełniła się małymi kwiatami. Było ich całe mnóstwo, jak gwiazd na niebie. To były kwiaty z wieloma białymi płatkami i żółtym guziczkiem pośrodku. Wreszcie Erbrow przypomniała sobie ich nazwę: to stokrotki.

- Nie be - powiedziała cicho do swojej mamy.

W tym momencie jak nigdy Erbrow żałowała, że nie może mówić.

O ile jej umysł był sprawny i czysty, o tyle jej język potykał się wciąż na nielicznych sylabach, które potrafiła wymówić.

- Nie be - powtórzyła, by pocieszyć mamę, ale było już za późno.

Jej mama nie mogła już jej usłyszeć.

Jej tata zmieniał cierpienie w wielki smutek i to przez ten wielki smutek zdołali go pokonać.

Mama zmieniała cierpienie w siłę i furję.

Była i miała pozostać niezwyciężona.

Jej furia była nieskończona.

Dopiero po tym jak ciało jej taty spalone na stosie zamieniło się w proch, wszyscy zyskali zupełną pewność, że elf nic nie mógł już zrobić. Mężczyzna, który trzymał ją na ręku dał jej się napić i postawił ją na ziemi.

Mama zaczęła mówić ale nikt już nie zwracał na nią uwagi, więc Erbrow udało się pochylić i zebrać garść małych kwiatków, niektó-

rych o białych płatkach, innych o płatkach zabarwionych na ciemnoczerwony kolor krwi. Schowała je do swojej największej kieszeni.

Te zmoczone przylepiły się do małej łódki i lalki, które miała w kieszeni, zabawek należących kiedyś

do mamy.

Mężczyzna w masce ze skóry znów wziął ją na ręce.

Juna wciąż miała nadzieję, wciąż czekała: że on się podniesie, że ożyje. Leczył przecież rany innych.

Uleczy i własne. Lada moment na pewno się podniesie.

Nic się nie wydarzyło.

Juna nadal czekała. To była jakaś sztuczka. To musiała być jakaś sztuczka. W chwili gdy oni najmniej będą się tego spodziewać, on wstanie i powali ich na kolana.

W końcu on to był on.

Juna przypomniała sobie ich pierwsze spotkanie: kiedy Yorsh uleczył okaleczoną dłoń Cali.

On potrafił wszystko.

Powstrzymał erynie.

Kiedy go poznała, dosiadał smoka.

To musiała być sztuczka.

Yorsh wciąż leżał wyciągnięty u stóp Enstriila, w kałuży krwi, która coraz bardziej się powiększała, z której wyrosły tysiące małych stokrotek.

-Ej, spójrzcie - powiedział ktoś - stokrotki!

-Stokrotki! - powtórzył ktoś inny. - Gdy zginął, wokół smoka też wyrosły stokrotki. Czyli ten tutaj też zdechł na dobre.

Juna poczuła, że zaczyna jej się kręcić w głowie: po raz pierwszy dopuściła do siebie myśl, że to naprawdę był już koniec.

Tkwiła tak w miejscu, osłupiała, wciąż nie mogąc uwierzyć w to, co się działo, mając wrażenie, że spada w pustkę.

Nadludzkim wysiłkiem udało jej się ustać na nogach.

Chciała klęczeć i płakać już do końca życia, ale wiedziała, że tego nie zrobi. Nie przed nimi.

Ujrzała jak we śnie ludzi Zarządcy szykujących stos, kładących na nim ciało jej małżonka. Zobaczyła pochodnie rozpalające ogień.

Widziała płomienie wznoszące się nad stosem.

Chcieli mieć pewność, że żadna magia, żadna sztuczka nigdy już nie będzie mogła sprowadzić z

powrotem ostatniego z elfów.

Dym uniósł się wysoko w świetle brzasku, muskając niebo, które pozostało niezmacone i milczące.

Ciągle jeszcze, wbrew wszelkiej logice, Juna czekała, aż wydarzy się coś, co przerwie ten koszmar; wciąż jeszcze wierzyła, że usłyszy głos Yorsha, że ujrzy go pojawiającego się z powrotem pośród płomieni.

Juna czekała że niebo rozstąpi się i pochłonie ziemię, lecz tak się nie stało.

Stos płonął powoli. Wzeszło słońce, a potem zawisło pionowo nad światem. Przez cały dzień Juna pozostała w bezruchu, na nogach, czując w sobie niczym głaz cały ciężar dzieci, które nosiła w łonie, i znosząc torturujące ją pragnienie.

Ktoś w przypiływie litości dał się napić Erbrow i pozwolił jej zrobić kilka kroków. Przycupnięty na ziemi Jastrin nieprzerwanie płakał.

Kiedy już spalił wszystko, co mógł spalić, ogień zgasł.

To był już koniec.

Nic się nie wydarzyło.

Juna poczuła jak szarpia ją wymioty i wystraszyła się, że upadnie.

Jeden z ludzi Zarządcy, położył miecz Yorsha na dużej skale i uderzył w niego z całych swoich sił ogromną siekierą. Kamień pękł, siekiera rozleciała się na kawałki. Miecz pozostał nietknięty, a jego blask przybrał na sile i ostrze zaśniło lodowatym blaskiem w świetle słońca. Cios maczugą, który spotkał koronę, również nie pozostawił na niej nawet zadraśnięcia, podczas gdy maczuga rozleciała się na kawałki. Mężczyzna popatrzył zmartwiony na Zarządcę. Miecz Yorsha i korona Juny pozostawiły na kamieniu.

Hałas otrzeźwił Junę. Owładnęła nią wściekłość, która dodała jej sił.

Zgładzi ich.

Zgładzi ich wszystkich, co do jednego: wysłucha ich błagań o li-tość tylko po to, aby je wyśmiać.

- Przeklinam was - powiedziała Juna ze spokojem. Jej głos roz brzmiał ponuro. Zapadła cisza. - Ja, Jutrznia, spadkobierczyni Arduina, mówię wam, że jesteście przekłeci, wszyscy. Wasze ciała roz sypią się w proch, wasze umysły zgniją, wyjałowione przerażeniem.

Wasze kości będą leżeć porozrzucane, bez pochówku, obgryzane przez psy.

Juna długo szukała wzrokiem Ospa, zanim domyśliła się, że to właś-

nie on kryje się w cieniu skał zamykających przełęcz od wschodu.

- Nie wiem, czy jest jakiś bóg, w którego wierzysz. Jeśli tak, to módl się do niego, by pomógł ci uciec i umrzeć, zanim ja cię znajdę

- wycedziła.

Następnie odwróciła się do Zarządcy i wciąż z wielkim spokojem przemówiła do niego:

- Prze-kli-nam cię - wysylabizowała. - Umrzesz w przerażeniu.

Twoje potomstwo umrze w bólach: prosić będzie o litość i nie zazna jej, tak jak nie zaznała jej dziś moja córka...

Przerwał jej jęk Erbrow. Juna oderwała wzrok od Zarządcy i odwróciła się, by spojrzeć na córkę. Musiała się uspokoić i zająć swoim dzieckiem.

-Nie jesteś zbyt mądra, kobieto - powiedział Zarządca. - To nie są właściwe słowa, by skłonić mnie, abym cię oszczędził.

-Nigdy nie miałeś najmniejszego zamiaru mnie oszczędzić, nikczemny uzurpatorze - odparła Juna. - Gdyby cię nimi określić, sło-wo „kanalia” zostanie splugawione, słowo „robak” zbrukane, słowo „wieprz” sprofanowane.

-Ja jestem królem, największym, jaki kiedykolwiek stąpał po tej ziemi, łagodnym w czasie pokoju, strasznym podczas wojny -

warknął rozwścieczony Zarządca, ale zaraz się opanował. -

Przyznaję, nie miałem zamiaru pozwolić ci żyć. Ani tobie, ani twojej smarkatej córce. Nie można cię nazwać uosobieniem łagodności i jeśli bym cię oszczędził, za parę tygodni mielibyśmy na świecie kolejnego reprezentanta rodu, któremu wraz z elfem dałaś początek, nieprawdaż? Co do twojej córki, to po tym, co zobaczyła, jej moc, o ile jakąś miała, powinna zniknąć. Jak już teraz doskonale wiesz, cierpienie niszczy moc elfów, lecz wolę nie ryzykować. Świat obejdzie się bez tego mieszańca, w którego żyłach płynie krew w połowie twoja, w połowie elfa.

-To i tak lepsza od twojej, częściowo od szczura, częściowo od wszy, a reszta, po równo, od kleszczy, karaluchów i robaków.

Juna jak we śnie usłyszała Zarządcę wydającego rozkaz zabicia ich, natychmiast, zarówno jej, jak i Erbrow. Nie bała się. Nie miała po-jęcia co się wydarzy, ale była całkowicie pewna, że ani ona, ani jej córka nie umrą tego dnia. Powtórzyła sobie w myślach, że jest spadkobierczynią Arduina, a on kazał wyryć na murach swoją przepowiednię. Ona i jej dzieci przeżyją. Ona z kolei zwycięży.

Starszy kawalerzysta z brodą i ciężkim naszyjnikiem ze złotych płytek zbliżył się do niej. Ujął ją za ramię, a potem nagle obrócił

Juną i precyzyjnym ruchem przeciął sznury, które krępowały jej dłonie. Mężczyzna przyłożył swój miecz do gardła kata, który natychmiast puścił Erbrow. Juna pospieszyła w stronę swej córki i

wreszcie mogła wziąć ją w ramiona. Dziewczynka drżała, ale znów zdołała się nie rozplakać.

Kawalerzysta znalazł się między nią a pozostałymi.

Ostry głos Zarządcy zachował lodowaty i spokojny ton.

-Follio, hrabio Daligar, uświadamiacie sobie, że jesteście zdrajcą, nieprawdą?

-Trochę późno, to prawda - potwierdził mężczyzna. - Za późno.

Okropnie późno. Nieprzyzwoicie za późno. Moja dusza już i tak jest zgubiona, tak jak i mój honor, i wyzwoleniem dla mnie będzie stracić życie, które wy zmieniliście w rzekę błota zmieszanego z niewinną krwią. Każde jutro, które staje się dniem dzisiejszym, nie przynosi wcale nadziei nowego dnia, a tylko przybliża do śmierci, która nie będzie nawet ulgą. Pogrążony w gnuśności, w tchórzostwie, w głupiej nadziei, że unikam większej krzywdy, że pomagam zbudować lepszy świat, gdzie w końcu pojawi się choć światełko sprawiedliwości, patrzyłem, jak popełniacie zbrodnię za zbrodnią, ani razu nie interweniując i pozostając waszym współnikiem. Szed-

łem w błocie i krwi, podążając za wami, i im dalej brnąłem, tym trudniej było się zatrzymać. Chcąc uniknąć przyznania się do tego, że jestem i byłem współnikiem zbrodniarza, przekonałem siebie, by nadal wam wierzyć, kłamać i akceptować szaleństwo za szaleństwem.

Patrzyłem, jak haniebnie mordujecie ostatniego z elfów, i nie zrobi-

łem nic, by was powstrzymać.. Nie będę się beczynnym przyglądał, jak mordujecie kobietę, która spodziewa się dziecka, i dziewczynkę, która nie ma nawet trzech lat.

-To imię Arduina popchnęło was to tego głupstwa, nieprawdą?

Mężczyzna zastanowił się, nim odpowiedział.

-Tak - potwierdził. - To w imię Arduina się sprzeciwiam.

-Naprawdę wierzycie w brednię, jakoby czarownica miała być jego dziedziczką?

-Nic nie wydało mi się nigdy bardziej prawdopodobne, lecz nawet jeśli nią nie jest, to już sam dźwięk imienia człowieka honoru wystarczy, by przypomnieć nam, że honor istnieje, że męstwo nie jest tylko bajką, którą opowiada się dzieciom, nim ułoży się je do snu, że przyzwoitość nie jest tylko mrzonką, którą należy wyśmiać jako naiwną. Ocalę tę kobietę i tę dziewczynkę albo zginę, próbując to uczynić.

Ten sam mężczyzna, kawalerzysta z różnobarwną kitą, który zabił

Yorsha, znów oddał strzał z łuku. Hrabia został trafiony w szyję.

Upadł przed Juną, która zdołała wziąć miecz z jego ręki. W przeciwieństwie do miecza Yorsha, ten był bardzo ciężki. Juna od rana była na nogach; na jednej ręce miała Erbrow, w drugiej trzymała

miecz.

Sam Zarządca skierował konia w jej kierunku. Uniósł miecz i Juna pomyślała, że jej ramię nie jest wystarczająco silne, by odeprzeć jego cios.

Znów nie czuła strachu.

Niebo zmieniło nagle kolor, przesłonięte czymś białym i błękitnym. Juna potrzebowała chwili, by zrozumieć, że to jeden z nadmorskich orłów zaatakował Zarządcę. Angkeel przybywał na ratunek.

Młody orzeł musiał zakończyć już swoje loty ćwiczebne i pospieszył w ślad za Erbrow, światłem jego oczu i miłością jego życia. Juna ujrzała, jak twarz Zarządcy spływa krwią. Z całego serca zapragnęła, by orlątko wydlubało mu oczy, lecz Angkeel nie wydawał się jeszcze zbyt doświadczony w lataniu i Zarządca z pomocą dwóch swoich ludzi zdołał się od niego uwolnić.

Bestialskie, dzikie i brutalne okrzyki rozbrzmiały w oddali.

Wzgórza pociemniały.

Orkowie przepowiedziani przez Yorsha zjawili się.

Kwestia ich przymierza z Zarządcą nie wydawała się do końca jasna. Horda uzbrojonych najeźdźców pędziła w stronę oddziału kawalerzystów.

Zarządca dał rozkaz, by uciekać, natychmiast, bezzwłocznie. Spiał

swego wspaniałego konia w kolorze dymu i ruszył do ucieczki przed orkami i orłem, który nie podążył za nim, lecz przysiadł na ramieniu Juny, tuż obok Erbrow. W parę chwil kawaleria Daligar wsiadła na koń i puściła się galopem przed siebie.

-Na północ - krzyknął Zarządca.

-Na północ? - spytał ktoś. - Nie jedziemy do Daligar?

-Zbyt ryzykowne, na północ. Pojedziemy do Alyil, w góry. Miejsce jest niedostępne. To miasto sokoła. Moja córka Aurora już tam jest, bezpieczna. Daligar jakoś sobie poradzi. Postaramy się je odzyskać, gdy kanały dyplomatyczne z orkami zostaną ponownie otwarte. Uwalniając Yaril, przeklęty elf podburzył przeciw nam orków...

Są jeszcze ognie sygnalizacyjne i te ostrzegą Daligar odpowiednio wcześniej, by dwór zdążył je opuścić.

Głos Zarządcy umilkł w oddali.

Kawalerzyści pojechali za nim. Ktoś próbował zabrać Enstriila, który jednak się spłoszył i uwolnił, wracając w pobliże stosu. Ktoś wystrzelił kilka strzał w kierunku Juny, o której nagle zapomniano, a ona skuliła się, przykrywając sobą Erbrow, by ją ochronić i udać, że została trafiona. Wokół nich nie

było już nikogo. W najwyższym pośpiechu, próbując ująć z życiem, pozostawili wykonanie egzekucji orkom. Mieli wystarczająco dużo czasu, by zbiec.

Juna upuściła zbyt ciężki miecz hrabiego Daligar. Pochyliła się nad hrabią. Jastrin pospieszył, by objąć Erbrow. Angkeel zatrzepotał

skrzydłami radośnie.

- Głupia kura - szepnęła Juna, powstrzymując łzy złości i rozpacz, które zaczęły wypełniać jej oczy.
- Nie mogłeś przylecieć wcześniej?

To była głupota. Angkeel nie mógłby uratować Yorsha. Ocalił za to ją. Juna łykała łzy, które napływały jej do oczu, i pogłaskała młodego orła po głowie. Zjawienie się Angkeela musiało uspokoić Erbrow, która przytuliła z całych sił swego przyjaciela, a potem, spoglądając na Junę, wykonała dziwny gest: pokazała najpierw skrzydła Angkeela, a potem wszystko wokół. Powtórzyła go parę razy.

Hrabia jeszcze żył. Pomimo ciężkiej rany i utraconej krwi był jeszcze w stanie mówić.

- Pani, proszę was o przebaczenie... Proszę o przebaczenie... Bła gam was... Jeśli możecie... Wy... spadkobierczyni Arduina... Ratuj cie Daligar... ratujcie moje miasto... Ci zbrodniarze, ci szaleńcy, je opuścili... Daligar, tak jak i ja, splamiło się tchórzostwem, ale nie za służy na śmierć... Trzymajcie, weźcie mój naszyjnik... to insygnia hrabstwa... pomogą wam, zostaniecie rozpoznani...

Mężczyzna umarł. Juna zamknęła mu oczy. Po raz kolejny opanowała ją pokusa, by się rozplakać, by szlochać bez końca, i po raz kolejny i ostatni odpędziła ją od siebie. Nie zapłacze.

Teraz musi ratować swoje dzieci.

Czas na łzy jeszcze przyjdzie. Może później. Gdy wojna już się skończy.

Dopóki to nie nastąpi, jej oczy pozostaną suche, a jej serce twarde jak kamień.

Teraz musiała wrócić do Erbrow, do swojej wioski. Musiała wrócić do swojego domu na plaży, gdzie szum fal miesza się ze wspomnieniem Yorsha, i nawet wtedy Juna nie zdoła zapłakać. Może później.

Gdy wojna już się skończy.

Musiała szybko odzyskać siły, urodzić dzieci i przygotować swoją wojnę.

Będzie walczyć. Odzyska świat, by jej dzieci miały gdzie żyć, i zmieni jego reguły, by jej dzieci mogły żyć, nie obawiając się prze-

śladowań. Nie okaże litości. Tak jak Yorsh jej nie zaznał.

Litość umarła wraz z rodem elfów.

- Juno - odezwał się płaczliwie Jastrin. - Wracamy do domu?

Juna podniosła wzrok. Armia orków pędziła beładnie na zachód i jej najbardziej wysunięte skrzydła były już zbyt blisko przełęczu Astrid.

Jej umęczone serce zamarło z przerażenia.

Nie mogła uciekać w tamtą stronę, zupełnie bezbronna, to byłoby samobójstwo. Jedynym sposobem, by się przedostać, tak by nikt ich nie zobaczył ani za nimi nie ruszył, była wspinaczka, wysoko w górę, w cieniu skał, i zejście wysokim nadbrzeżem, ale Juna ze swoim brzuchem nie poradziłaby sobie. Tym bardziej Erbrow, zbyt mała, nie mówiąc o Jastrinie, ledwo powłóczącym nogami. Poza tym rzucaliby się w oczy, kiedy tuż nad ich głowami krążyłby orzeł.

Nie mogła więc wrócić do domu.

To zdanie dźwięczało w jej głowie niczym refren. Nie mogła wrócić do domu.

Juna rozejrzała się wokoło. Mogła zrobić tylko jedno: uciekać na wschód, do Daligar, miasta, którego nienawidziła. Miasta, które było świadkiem egzekucji jej rodziców, które o mały włos nie stało się świadkiem powieszenia Juny. Jeśli orkowie zajmą równinę, jedynym, co mogłoby uratować ją, jej córkę i Jastrina było schronienie się za murami Daligar.

Zarządcy nie ma w Daligar, więc nie może wydać rozkazu, aby pozbawiono życia również jej dzieci.

Być może zabiją ją, o ile oczywiście uda im się ją rozpoznać, ale z pewnością nie jej dzieci.

- Teraz nie możemy - odparła łagodnie. - Między nami a domem są teraz orkowie. Wsadzę na konia ciebie i Erbrow. Ty uważaj na nią, a ja będę uważać na ciebie. Zobaczysz, damy sobie radę.

Juna nie podniosła wzroku na stos. Nie mogła płakać i nie mogła dopuścić do siebie takiej pokusy. Świadomość, że nigdy więcej nie usłyszy głosu Yorsha, nigdy więcej nie zaśnie, czując przy sobie jego oddech, nigdy więcej nie napotka jego spojrzenia, ugodziła ją niczym ostrze miecza.

Dwa słowa, „nigdy więcej”, rozbrzmiewały w jej głowie niczym uderzenia dzwonów żałobnych. Odpędziła je od siebie. Później bę-

dzie czas na rozpacz.

Założyła na szyję złote insygnia miasta Daligar. Przyszło jej na myśl, by pochylić się nad miejscem, gdzie zginął jej małżonek, i wyrwać trochę ziemi z małymi stokrotkami o płatkach splamionych ciemną czerwienią. Mogłaby włożyć tę ziemię do ukrytej kieszeni sukni, gdzie znajdowała się proca, ta, którą zrobił jej tata, gdy była dzieckiem, i która nie raz uratowała jej życie, lecz nie ośmieliła się.

Ryzyko płaczu było zbyt duże. Nie mogła. Jeśli pozwoli sobie na rozpacz, pograży się w niej i jej dzieci będą zgubione.

Jutrznia podniosła miecz Yorsha. Zaciśnięcie dłoni na rękojeści dodało jej odwagi. Często władała tym mieczem: głównie, by usma-

żyć na nim omlet z jaj mew, ale także, by narąbać drewna, które miało ogrzewać jej dom, czy ociosać kamienie, z których go zbudowała. Miecz wtedy nie czerniał, nie wyszczerbiał się, wręcz przeciwnie, jego blask stawał się większy.

Juna przełożyła gruby pas, do którego przyczepiony był miecz, tak, by broń nie uciskała zaokrąglonego brzucha, co przeszkadzało-by jej oddychać.

Koronę włożyła na głowę nie tylko dlatego, że kieszeń jej sukni była zbyt mała, by ją pomieścić, ale i dlatego, że było jej zimno w gołą głowę, bez włosów.

Nieopodal, obojętny na krzyki orków, tak samo jak na galopującą kawalerię, Enstriil czekał, stojąc bez ruchu. Juna zbliżyła się do niego, wsadziła mu na grzbiet najpierw Erbrow, potem Jastrina. Następnie z ogromnym trudem wsiadła sama. Angkeel przysiadł przed Erbrow, tuląc się do niej mocno.

- Jedziemy, mój piękny, odwagi, na wschód. - Spięła konia. - Po-mkniemy szybko, ukrywając się pośród kasztanowców, tak że orkowie nas nie zobaczą. Oni nie mają koni; maszerują na nogach. Uda nam się. Jutro wciąż jeszcze będziemy żywi i pojutrze też.

Koń stał jeszcze chwilę, wpatrując się w stos, a następnie powoli ruszył.

Juna przeszukała wzrokiem ciemne miejsce, lecz nie zdołała dostrzec Ospa. Nie mógł uciec z Zarządcą, musiał iść pieszo. Był gdzieś niedaleko, w cieniu czegoś wystarczająco ciemnego, by go ukryć.

Juna życzyła mu, aby orkowie go znaleźli. Dla niego i tak będzie to lepsze, niż żeby odszukała go ona.

Ruszyła w stronę Daligar.

Ospo pozostał w ukryciu w jednej z jaskiń między skałami, które wznosiły się nad wąwozem. Czarownica wreszcie sobie poszła, przeklinając go, siedząc na swoim koniu, mając za sobą dwójkę smarkaczy, swoją córkę i tego natręta Jastrina, jednego półelfa i jednego półkalekę, towarzystwo, że tylko pozazdrościć.

Spojrzał z lekkim rozczarowaniem na swoje odznaczenie zwykłego żołnierza, wiszące na jego piersi, przyczepione do łańcucha z mosiądzu, który w odpowiednim świetle mógłby nawet wyglądać na złoty. Ale tylko wtedy.

Kawalerzyści odjechali. Nigdy nie liczył specjalnie na to, że ktoś naprawdę będzie go chciał, przyzwyczał się już do samotności, a jednak...

Porzucili go tam, pieszego, z czarownicą tuż i nadciągającymi orkami: bardzo to uprzejme. Do tego wszystkiego jeszcze tamten orzeł! Całe szczęście, że był zbyt zajęty przypochlebianiem się małej i nie przyleciał wydlubać mu oczu.

Może za elfa za mało sobie policzył. Powinien był kazać sobie przyznać stanowisko konnego żołnierza, nie zwykłego piechura. Teraz przynajmniej końskie kopyta niosłyby go jak najdalej od orków, a nie własne nogi, uwięzione w żołnierskich cholewach z metalu i skóry, do których nie był przyzwyczajony i potykał się niemal na każdym kroku. Czarownica pojechała na wschód. Dla niego lepszy więc będzie marsz w przeciwną stronę.

Mogła mu się udać ucieczka nad morze.

Nadal kryjąc się w cieniu, Ospo wspiał się wysoko na skały i tam przycupijał. Posuwał się naprzód przyciśnięty do skał, spoglądając od czasu do czasu na straszne oddziały, które maszerowały w dole.

Okropne maski wojenne przeraziły go. Bestialskie okrzyki go ogłuszyły.

Z całego serca zapragnął, by złapali czarownicę i rozszarpali ją na kawałki.

Przynajmniej elf zdechł.

Tyle na szczęście mu się udało. Smarkuła jednak wciąż żywa. Ale wystarczy, że dopadną ją orkowie. Jak ją złapie Zarządca, też długo nie pożyje.

Ale jeśli dotrą do Daligar, to całkiem prawdopodobne, że jej matka każe się zrobić królową. Była wnuczką tego typu, Ard... coś tam, tego, co to wszyscy nagle zaczęli się uważnie przysłuchiwać, jak tylko padało jego imię. Nosi koronę na głowie i naszyjnik hrabiego na szyi, a w Daligar nie ma już nikogo, kto by wydawał rozkazy. Ta to jest zdolna do wszystkiego. Niektórym ludziom zawsze wszystko się udaje. Jemu oczywiście nie uda się dotrzeć aż do Daligar. Bardzo prawdopodobne, że w Daligar zastałby Junę, która zostanie królową, tak jak powiedział ten typ z brodą, co dał jej naszyjnik ze złota, a nie z mosiądzu, tak jak ten jego. A przy Junie, która zostanie królową, jak on by się tam pokazał, to nie daliby mu posiłku jak zwykłemu żołnierzowi, a piękny sznur, żeby powiesić

go na rynku.

Elf jednak zdechł.

Wciąż pełzną po skałach, Ospo dotarł do przełęczy. Tam uwolnił się od swoich niepotrzebnych już atrybutów zwykłego żołnierza.

Marzył o nich przez całe życie, ale teraz mogły oznaczać dla niego śmierć. Groziła mu, i gdyby dopadli go orkowie, i jeśli złapałaby go Juna, nie mówiąc już o jego krajanach, mieszkańcach Erbrow; tylko jakimś kretyńskiemu elfowi mogła przyjść do głowy taka nazwa dla miejsca, w którym żyli ludzie.

Raz, lata temu, gdy starał się wyjaśnić Drabowi, ile wart jest ten śmierdzący elf, tamten popatrzył mu w oczy i syknął, że jeśli kiedykolwiek przyłapie go na tym, jak robi mu jakąś krzywdę, znaczy elfowi albo komuś z jego rodziny, rozerwie go na kawałki.

To był naprawdę pech, że teraz musiał wrócić do Erbrow.

Plan jednak wcale nie przewidywał jego powrotu do Erbrow. Polegał na tym, że elf, Juna i smarkula zdychają, a on zostaje w Daligar, pije piwo i cieszy się życiem.

Czemu nigdy mu nic nie wychodziło?

Chociaż jeśli dobrze się nad tym zastanowić, to nawet pozostanie w Daligar i radość z życia, o ile była możliwa, nie do końca... jakby to powiedzieć...

Ospo szukał w głowie właściwych słów.

W pewnym sensie...

Brakowało mu elfa.

Trudno jest nienawidzić kogoś przez całe życie a potem... nic, nic więcej.

To była taka strata, jakby okuleć.

Jako dziecko, gdy dostawał od swojego ojca tyle kopniaków, że nie był w stanie chodzić, kuczał sobie między składem drewna a komin-kciem i jeśli było lato, spędzał dzień, łapiąc muchy i wyrywając im skrzydła. Żeby tylko mieć jakieś zajęcie.

W pewnym sensie czuł się jak taka mucha bez skrzydeł.

Nawet gdyby wszystko poszło jak trzeba; jeśli teraz miałby kufel piwa w ręku i siedziałby w koszarach z innymi żołnierzami, czułby, że czegoś mu brakuje... a tymczasem nic nie poszło jak trzeba... I nie miał już nic.

Krok za krokiem zbliżał się do końca drogi. Słońce wzeszło, potem zaszło, potem znów wzeszło. Deszcz go przemoczył, lekki wia-terek osuszył i wreszcie Ospo dotarł do wodospadu.

Wystarczyłoby zaszyć się gdzieś na przełęczy na całą resztę życia, gdzieś nad Dogonem, trochę wyżej, trochę bardziej z dala od przej-

ścia prowadzącego do Daligar. Unikałby tak Draba, jak i orków.

Jadłby kasztany, mysikróliki, rudziki, ślimaki, czasem w ogóle nic by nie jadł, i tak już do tego przywykł. Ukrytego pośród kasztanowców, nigdy by go nie odnaleźli.

Chodziło tylko o to, ie... że w pewnym sensie... nie miał na to ochoty.

Mógł jakoś żyć, o kasztanach i przymierając głodem, ale nie miał

na to ochoty... a poza tym... prędzej czy później Juna albo Drabo, albo obydwójce, złapałby go. A wtedy byłoby z nim krucho.

Nie chodziło jednak tylko o strach, a o to, że po prostu nie miał na to wszystko ochoty. Mucha bez skrzydeł.

Chociaż dobrze znał drogę i osłaniała go ciemność, musiał uwa-

żać, gdy schodził w dół za wodospadem, bo Daren Aboil, dowódca Erbrow, wiedząc, że ziemia była opanowana przez orków, zorganizował patrole wartowników i ognie ostrzegawcze.

Ospo zdołał uniknąć tego wszystkiego. Był dobry w pełzaniu. Był

dobry w ukrywaniu się. Każdy jest w czymś dobry. Nie ma nikogo, kto nie byłby w czymś dobry.

Ospo schodził, spadał i ześlizgiwał się, ale nie robił hałasu; nikt go nie zobaczył. Na długo przed świtem dotarł do plaży Erbrow.

Woda w morzu była lodowata i poczuł potworne zimno. Zanurzył

się powoli. Drepcząc, bo nie umiał pływać, dotarł do Skały Głupiego Orka, ostatniego orka. Pozostał tam, czekając na świt. Wraz z pierwszym światłem dnia nadejście przyplływ.

Kiedy jego mały braciszek umarł, w Domu dla Sierot, Drabo powiedział mu, że jest jakby orkiem, bo swojemu małemu bratu kradł

kaszkę a nawet pozwolił mu umrzeć. Ale co miał go niby obchodzić jego mały brat? Ten przynajmniej został z mamą na długi czas po tym, jak jego, Ospa, zabrali do Domu dla Sierot. Niektórym ludziom wszystko się zawsze udaje.

Wraz ze świtem nadszedł przyplływ. Ospo zadrzał z zimna. Jego życie kończyło się w tym miejscu. Ale przynajmniej kończyło się wtedy, kiedy on tego chciał: przynajmniej tyle mu się udało.

Dokuczało mu, że musi zdychać w zimnie. A zawsze nienawidził

zimna.

Wzruszył ramionami. Najważniejsze, że wszystko pójdzie szybko, w końcu i tak tam, gdzie miał zdechnąć, stokrotki wcale nie wyrosną.

Tymczasem mylił się.

Po tym, jak woda nadeszła i morze zabrało jego oddech, kiedy nadszedł odpływ i skała znów wyłoniła się z wody, a wtedy leżała na niej kupka stokrotek. Były nieliczne, nędzne i koślawe, ale były tam, niczym niema, spóźniona i niemożliwa do spełnienia prośba o odrobinę czułości.

Nikt ich nie zauważył.

Kolejny przypływ zabrał je na zawsze, i

Spis rzeczy

księga pierwsza

Niedźwiedź i wilk

7

księga druga

Ostatni feniks

239